

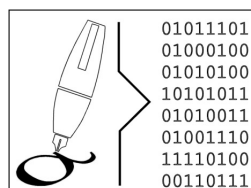
DEAN KOONTZ

Drzwi do grudnia

Tłumaczyła: Danuta Górka

Tyt. oryg.: The door to December, 1994

Warszawa : 1999



CZEŚĆ PIERWSZA

SZARY POKÓJ

ŚRODA 2.50-8.00

1

Laura skończyła się ubierać, podeszła do drzwi frontowych i zobaczyła, że samochód patrolowy Departamentu Policji Los Angeles właśnie hamuje przy krawężniku. Wyszła z domu, zatrzasnęła drzwi i pośpiesznie ruszyła chodnikiem.

Ostre kolce zimnego deszczu przybijały noc do miasta.

Nie zabrała parasola. Nie pamiętała, do której szafy go wetknęła, i nie chciała tracić czasu na szukanie.

Grzmot przetoczył się po ciemnym niebie, ale Laura ledwie zauważyła ten złowieszczy odgłos. Jej serce waliło tak mocno, że zagłuszało wszelkie nocne hałasy.

Czarno-białe drzwi po stronie kierowcy otwarły się i wysiadł umundurowany policjant. Zobaczył ją, wsiadł z powrotem, sięgnął ponad fotelem i otworzył przednie drzwi po stronie pasażera.

Zajęła miejsce obok niego i zatrzasnęła drzwi. Zimną, drżącą dłonią odgarnęła wilgotny kosmyk włosów z twarzy i wsunęła za ucho.

Wóz patrolowy pachniał silnie sosnowym środkiem dezynfekującym i słabo wymiocinami.

— Pani McCaffrey? — zapytał młody policjant.

— Tak.

— Nazywam się Carl Quade. Zawiozę panią do porucznika Haldane'a.

— I do mojego męża — przypomniała zaniepokojona.

— Nic o tym nie wiem.

— Powiedziano mi, że znaleźli Dylana, mojego męża.

— Na pewno porucznik Haldane wszystko pani wyjaśni.

Zakrztusiła się, zakaszła, potrząsnęła głową z obrzydzeniem.

— Przepraszam za ten smród — powiedział Quade. — Dzisiaj wieczorem zatrzymałem faceta za jazdę po pijanemu i zachowywał się jak świnia.

To nie od fetoru jej żołądek kurczył się i skręcał. Mdliło ją, ponieważ kilka minut temu otrzymała wiadomość przez telefon, że znaleźli jej męża, ale nie wspomnieli o Melanie. A jeśli Melanie nie było z Dylaniem, to gdzie była? Zaginęła? Nie żyje? Nie. Nie do

pomyślenia. Laura zakryła usta dłonią, zacisnęła zęby, wstrzymała oddech i czekała, aż mdłości ustąpią.

— Dokąd... dokąd jedziemy? — zapytała.

— Do domu w Studio City. Niedaleko.

— Czy tam znaleźli Dylana?

— Jeśli pani powiedzieli, że go znaleźli, to pewnie tam.

— Jak na niego trafili? Nawet nie wiedziałam, że go szukacie. Na policji powiedzieli mi, że nie zajmują się takimi sprawami... to nie należy do ich jurysdykcji. Myślałam, że już nigdy więcej go nie zobaczę... ani Melanie.

— Musi pani porozmawiać z porucznikiem Haldane'em.

— Widocznie Dylan obrabował bank czy coś w tym rodzaju. — Nie potrafiła ukryć rozgoryczenia. — Kradzież dziecka matce nie wystarczy, żeby zainteresować policję.

— Proszę zapiąć pas.

Nerwowo gmerała przy pasie, kiedy odjeżdżali od krawężnika. Quade zawrócił na środku opustoszałej, smaganej deszczem jezdni.

— Co z Melanie? — zapytała Laura.

— Jak to?

— Z moją córką. Nic jej nie jest?

— Przepraszam. O tym też nic nie wiem.

— Czy była z moim mężem?

— Wątpię.

— Nie widziałam jej od... prawie od sześciu lat.

— Spór o opiekę?

— Nie. On ją porwał.

— Naprawdę?

— No, prawnicy nazwali to odebraniem opieki, ale dla mnie to było po prostu porwanie.

Gniew i żal znowu nią zawładnęły, kiedy pomyślała o Dylanie. Próbowwała pokonać te emocje, stłumić w sobie nienawiść, ponieważ nagle doznała niezwykłego wrażenia, że Bóg na nią patrzy, że ją osądza i jeśli dostrzeże w niej nienawiść lub negatywne myśli, wówczas postanowi, że nie zasługuje na odzyskanie córeczki. Szaleństwo. Nic nie mogła poradzić. Strach doprowadzał ją do szaleństwa.

I tak osłabła ze strachu, że przez chwilę nawet nie miała siły oddychać.

Dylan. Laura zastanawiała się, jak to będzie znowu stanąć z nim twarzą w twarz. Co mógłby jej powiedzieć, żeby wytłumaczyć swoją zdradę — i co ona mogłaby mu powiedzieć, żeby należycie wyrazić wściekłość i ból?

Drżała przez cały czas, ale teraz zaczęła gwałtownie dygotać.

— Dobrze się pani czuje? — zapytał Quade.

— Tak — skłamała.

Quade nie odezwał się. Z włączonym kogutem na dachu, ale bez syreny pędzili przez sieczoną deszczem wschodnią część miasta. Kiedy przejeżdżali przez głębokie kałuże, woda pryskała na obie strony, upiornie fosforyzująca, niczym spienione białe kurtyny rozstępujące się przed nimi.

— Ona ma teraz dziewięć lat — powiedziała Laura. — To znaczy moja córka. Nie mogę panu podać dokładnego rysopisu. Bo kiedy ją ostatnio widziałam, miała tylko trzy latka.

— Niestety nie widziałem żadnej dziewczynki.

— Jasne włosy. Zielone oczy.

Gliniarz nie odpowiedział.

— Melanie musiała być z Dylanem — rzuciła desperacko Laura, rozdarta pomiędzy radością a przerażeniem. Tak bardzo się cieszyła, że znowu zobaczy Melanie, i tak bardzo się bała, że dziewczynka nie żyje. Laura często śniła, że znajduje okropnie zmasakrowane zwłoki córki. Teraz podejrzewała, że powracający koszmar okaże się proroczy. — Ona musiała być z Dylanem. Przecież była z nim przez te wszystkie lata, sześć długich lat, więc dlaczego nie teraz?

— Dojedziemy za kilka minut — poinformował ją Quade. — Porucznik Haldane odpowie pani na wszystkie pytania.

— Nie budziliby mnie o wpół do trzeciej nad ranem, nie wyciągaliby z domu w środku burzy, gdyby nie znaleźli też Melanie. Na pewno ją znaleźli.

Quade skupił się na prowadzeniu samochodu, a jego milczenie było gorsze od wszelkich słów.

Wycieraczki szorujące po przedniej szybie nie mogły całkowicie oczyścić szkła. Lepka warstewka wilgoci zniekształcała świat za oknem, więc Laura miała uczucie, jakby jechała przez sen.

Dłonie jej się pociły. Wytarła je o dzinsy. Czuła krople potu ściekające spod pach, spływające po bokach. Mdlący supeł w żołądku zacisnął się mocniej.

— Czy ona jest ranna? — zapytała. — O to chodzi? Dlatego nie chce pan nic o niej powiedzieć?

Quade zerknął na nią.

— Naprawdę, pani McCaffrey, nie widziałem w tamtym domu żadnej dziewczynki. Niczego przed panią nie ukrywam.

Laura osunęła się w fotelu.

Zbierało jej się na płacz, ale powstrzymywała się z całej siły. Łzy to przyznanie, że straciła wszelką nadzieję na odnalezienie żywej Melanie, a gdyby straciła nadzieję (kolejna szaleńcza myśl), dosłownie byłaby odpowiedzialna za śmierć dziecka, ponieważ (jeszcze większy obłęd) może dalszą egzystencję Melanie, podobnie jak Blaszanego

Dzwoneczka z „Piotrusia Pana”, podtrzymywała jedynie stała i żarliwa wiara. Laura zdawała sobie sprawę, że tkwi w szponach cichej hysterii. Sam pomysł, że dalsze istnienie Melanie zależy od wiary i opanowania jej matki, był solipsystyczny i irracjonalny. Niemniej uchwyciła się tej myśli, przełknęła łyżę, zmobilizowała całą wiarę, jaką zdołała z siebie wykrzesać.

Wycieraczki stukwały monotonna, deszcz bębnił głucho po dachu, opony syczały na mokrym asfalcie, a Studio City wydawało się równie odległe jak Hongkong.

Zjechali z Bulwaru Ventura w Studio City, osiedlu o chaotycznej architekturze: domy w stylu hiszpańskim, tudorowskim, kolonialnym, Cape Cod i postmodernistycznym stały słożone jeden przy drugim. Osiedle nazwano po starym studiu filmowym Republic, gdzie przed nastaniem telewizji nakręcono wiele niskobudżetowych westernów. Większość nowych mieszkańców Studio City stanowili scenarzyści, malarze, artyści, rzemieślnicy, muzycy i fachowcy wszelkich rodzajów, uchodźcy z wolno, lecz nieubłagane podupadających dzielnic takich jak Hollywood, którzy obecnie toczyli walkę o styl życia z dawnymi właścicielami domów.

Oficer Quade zatrzymał się przed skromnym wiejskim domem w spokojnym zaułku, obsadzonym nagimi w zimie drzewami oraz indiańskim laurem o bujnym listowiu. Kilka pojazdów parkowało na ulicy, między innymi dwa musztardowo-zielone fordysedany, dwa inne czarno-białe i szara furgonetka z godłem miasta na drzwiach. Lecz inna furgonetka przyciągnęła uwagę Laury, ponieważ na podwójnych tylnych drzwiach miała wypisane słowo KORONER.

O Boże, nie. Proszę, nie.

Laura zamknęła oczy i próbowała sobie wmówić, że to jest tylko sen, z którego telefon wyrwał ją tak bezwzględnie.

Przecież wezwanie na policję mogło stanowić część koszmaru. W takim razie Quade również należał do koszmaru. I ten dom. Laura obudzi się i wszystko zniknie.

Ale kiedy otworzyła oczy, furgonetka koronera ciągle tam stała. Okna domu przesłaniały ciężkie kotary, lecz cały front skąpany był w ostrym świetle przenośnych lamp łukowych.

Srebrzysty deszcz siekł ukośnie przez jasny blask, drżące cienie targanych wiatrem zarośli pełzały po ścianach.

Umundurowany policjant w pelerynie pełnił wartę przy krawężniku. Drugi policjant stał pod daszkiem osłaniającym drzwi frontowe. Mieli za zadanie odstraszać ciekawskich sąsiadów i innych gapiów, chociaż późna pora i fatalna pogoda wykonały za nich całą robotę.

Quade wysiadł z samochodu, ale Laura nie mogła się ruszyć. Kierowca nachylił się do niej i powiedział:

— To tutaj.

Laura kiwnęła głową, ale wciąż siedziała bez ruchu. Nie chciała wejść do domu. Wiedziała, co tam znajdzie. Melanie. Martwą.

Quade odczekał chwilę, potem obszedł samochód i otworzył drzwi. Wyciągnął do niej rękę.

Wiatr napędzał grube krople zimnego deszczu do wnętrza samochodu.

Quade zmarszczył brwi.

— Pani McCaffrey? Pani płacze?

Nie mogła oderwać wzroku od furgonetki koronera. Kiedy samochód odjedzie z małym ciałem Melanie, zabierze ze sobą także nadzieję Laury i pozostawi jej przyszłość równie martwą jak córka.

Głosem drżącym tak silnie, jak targane wiatrem listki na krzewach laurowych, powiedziała:

— Pan mnie okłamał.

— Hej? Hej, wcale nie, naprawdę.

Nie chciała na niego patrzeć.

Wciągnął powietrze przez zęby z dziwacznym końskim prychnięciem, niezbyt stosownym w danych okolicznościach, i powiedział:

— No tak, mamy tutaj sprawę zabójstwa. Znaleźliśmy kilka ciał.

Wezbrał w niej krzyk i chociaż go powstrzymała, stłumione napięcie boleśnie paliło ją w piersi.

Quade szybko ciągnął:

— Ale pani córeczki tam nie ma. Nie znaleźliśmy jej zwłok. Przysięgam, że nie było ciała.

Laura wreszcie odwzajemniła jego spojrzenie. Wydawał się szczery. Nie miało sensu okłamywanie jej teraz, skoro za chwilę i tak pozna prawdę.

Wysiadła z samochodu.

Quade wziął ją za ramię i poprowadził po chodniku do drzwi frontowych.

Deszcz bębnił ponuro niczym werble w procesji pogrzebowej.

2

Wartownik wszedł do środka, żeby wezwać porucznika Haldane'a. Laura i Quade czekali pod daszkiem, osłonięci z grubsza przed deszczem i wiatrem.

Noc pachniała ozonem i różami. Krzewy różane pięły się po kolumnkach wzdłuż fasady domu, a w Kalifornii większość gatunków kwitnie nawet zimą. Kwiaty opadły, wilgotne i ciężkie od deszczu.

Haldane zjawił się niezwłocznie. Był wysoki, barczysty, grubo ciosany, z krótkimi piaskowymi włosami i sympatyczną, kwadratową irlandzką twarzą. Niebieskie oczy wydawały się płaskie, niczym bliźniacze owale barwionego szkła. Laura zastanawiała się, czy zawsze tak wyglądały, czy tylko dzisiaj były płaskie i pozbawione życia z powodu tego, co zobaczyły w domu.

Haldane nosił tweedową sportową marynarkę, białą koszulę, krawat z rozluźnionym węzłem, szare spodnie i czarne mokasyny. Z wyjątkiem oczu wyglądał jak ktoś spokojny, odprężony i życzliwy, a w jego przelotnym uśmiechu kryło się prawdziwe ciepło.

— Doktor McCaffrey? Nazywam się Dan Haldane.

— Moja córka...

— Jeszcze nie znaleźliśmy Melanie.

— Ona nie...?

— Co?

— Nie zginęła?

— Nie, nie. Wielkie nieba, skąd. Nie pani córka. Nie ściągałbym pani tutaj, gdyby o to chodziło.

Nie poczuła ulgi, ponieważ nie całkiem mu uwierzyła. Był spięty, podminowany. Coś okropnego stało się w tym domu.

Tego była pewna. Ale jeśli nie znaleźli Melanie, dlaczego sprowadzili jej matkę o tej porze? Co się stało?

Haldane odesłał Carla Quade'a, który wrócił w deszczu do wozu patrolowego.

— Dylan? Mój mąż? — zapytała Laura.

Haldane odwrócił spojrzenie.

— Tak, chyba na niego trafiliśmy.

— On... nie żyje?

— No... tak. Widocznie to on. Mamy ciało z jego dokumentami, ale jeszcze nie potwierdziliśmy tożsamości. Musimy sprawdzić kartę dentystyczną albo porównać odciski palców, żeby uzyskać pewność.

Dziwne, ale wiadomość o śmierci Dylana prawie nie zrobiła na niej wrażenia. Nie odczuła straty, ponieważ nienawidziła go przez ostatnie sześć lat. Lecz nie odczuła również żadnej radości, żadnego triumfu czy satysfakcji; nie cieszyła się, że Dylan dostał za swoje. Dawniej był obiektem miłości, później nienawiści, teraz stał się obojętny. Laura nie poczuła absolutnie nic i może to właśnie było najsmutniejsze.

Wiatr zmienił kierunek. Lodowaty deszcz zacinął pod daszkiem. Haldane pociągnął Laurę w najdalszy kąt.

Zastanawiała się, dlaczego nie wpuścił jej do środka. Widocznie nie chciał, żeby coś zobaczyła. Coś zbyt okropnego dla jej oczu? Co tam się stało, na miłość boską?

— Jak on umarł? — zapytała.

— Zamordowany.

— Kto to zrobił?

— Nie wiemy.

— Zastrzelony?

— Nie. Został... pobity na śmierć.

— Mój Boże. — Zrobiło jej się niedobrze. Oparła się o ścianę, bo nagle nogi przestały jej słuchać.

— Doktor McCaffrey? — Troskliwie wziął ją pod ramię, gotów podtrzymać w razie potrzeby.

— Nic mi nie jest — zapewniła. — Ale spodziewałam się, że Dylan i Melanie będą razem. Dylan mi ją zabrał.

— Wiem.

— Sześć lat temu. Zamknął nasze konta bankowe, zwolnił się z pracy i uciekł. Ponieważ chciałam rozwodu. A on nie chciał dzielić się opieką nad Melanie.

— Kiedy wrzuciliśmy jego nazwisko do komputera, dostaliśmy panią, pełny raport — powiedział Haldane. — Nie miałem czasu zapoznać się ze szczegółami, ale przeczytałem najważniejsze punkty na przenośnym terminalu w samochodzie, więc mam pewne pojęcie o sprawie.

— Zrujnował sobie życie, porzucił karierę i wszystko, żeby tylko zatrzymać Melanie. Na pewno z nim była — oświadczyła zdenerwowana Laura.

— Była. Mieszkała z nim tutaj..

— Mieszkała tutaj? Tutaj? Tylko dziesięć czy piętnaście minut drogi ode mnie?

— Zgadza się.

— Przecież wynajęłam prywatnych detektywów, kilku, i żaden nie wpadł na trop...
— Czasami — powiedział Haldane — najciemniej jest pod latarnią.
— Myślałam, że może nawet wyjechali z kraju, do Meksyku czy gdzieś... a oni przez cały czas byli dosłownie o dwa kroki.

Wiatr przycichł i deszcz padał pionowo, jeszcze bardziej ulewny niż przedtem. Wkrótce trawnik zmieni się w jezioro.

— Jest tam trochę ubrań dla małej dziewczynki — powiedział Haldane — kilka książek odpowiednich dla dziecka w jej wieku. W kredensie znaleźliśmy pudełko płatków Hrabiego Czokuli, na pewno żaden dorosły ich nie jadł.

— Żaden dorosły? Więc tam mieszkało więcej osób, nie tylko Dylan i Melanie?

— Nie mamy pewności. Znaleźliśmy... inne ciała. Przypuszczamy, że jeden z nich tam mieszkał, ponieważ znaleźliśmy męskie ubrania w dwóch rozmiarach, albo pasujące na pani męża, albo na jednego z pozostałych mężczyzn.

— Ile ciał?

— Jeszcze dwa. Razem trzy.

— Pobici na śmierć?

Przytaknął.

— I pan nie wie, gdzie jest Melanie?

— Jeszcze nie.

— Więc może... ten, kto zabił Dylana i pozostałych, zabrał ją ze sobą.

— Istnieje taka możliwość — przyznał.

Nawet jeśli Melanie jeszcze żyła, była zakładniczką mordercy. Może nie tylko mordercy, ale gwałciciela.

Nie. Ona ma dopiero dziewięć lat. Czego chciałby od niej gwałciciel? Przecież była zaledwie dzieckiem.

Oczywiście w naszych czasach to nie robiło różnicy. Po świecie grasowały dziwaczne zwierzęta, potwory żerujące na dzieciach, gustujące zwłaszcza w małych dziewczynkach.

Wypełniło ją zimno znacznie bardziej dotkliwe od lodowatego deszczu.

— Musimy ją znaleźć — wykrztusiła ochryplym głosem, którego sama nie poznała.

— Próbujemy — zapewnił Haldane.

Teraz zobaczyła w jego niebieskich oczach współczucie i sympatię, ale nie potrafiła przyjąć od niego pociechy.

— Chciałbym, żeby pani weszła ze mną do środka — powiedział — ale muszę panią uprzedzić, że to nie jest przyjemny widok.

— Jestem lekarzem, poruczniku.

— Tak, ale psychiatrą.

— I doktorem medycyny. Wszyscy psychiatry to doktorzy medycyny.

- Och, racja. Nie pomyślałem.
- Zakładam, że chce pan, żebym rozpoznała ciało Dylana.
- Nie. Nie zamierzam pani prosić o obejrzenie ciała. To nic nie da. Jego stan... wizualna identyfikacja jest właściwie niemożliwa. Chcę pani pokazać coś innego i mam nadzieję, że pani mi to wyjaśni.
- Co to jest?
- Coś dziwnego — odparł. — Coś cholernie dziwnego.

3

Wszystkie lampy i kinkiety w domu były zapalone. Laura mrużyła oczy od blasku, kiedy się rozglądała. Pokój dzienny został umeblowany schludnie, ale bez smaku. Śmiały geometryczny wzór na obiciu rozkładanej sofy gryzł się z kwiecistymi zasłonami. Dywan i ściany różniły się odcieniem zieleni. Tylko regały na książki, wypełnione setkami tomów, wyglądały jak skompletowane z prawdziwym zainteresowaniem i odpowiadające określonym gustom.

Reszta pokoju przypominała sceniczną dekorację, pospiesznie skleconą w niskobudżetowym teatrze.

Obok wygasłego kominka przewrócił się tani, czarny, blaszany pojemnik, przybory z kutego żelaza leżały rozsypane na białym ceglany palenisku. Dwaj technicy laboratoryjni posypywali proszkiem odsłonięte płaszczyzny i zdejmowali taśmą znalezione odciski palców.

- Proszę niczego nie dotykać — ostrzegł Laurę Haldane.
- Jeśli nie potrzebujecie mnie do identyfikacji Dylana...
- Jak mówiłem, to nic nie da.
- Dlaczego?
- Nie ma czego identyfikować.
- Z pewnością ciało nie jest tak poważnie...
- Zmasakrowane — oświadczył. — Nic nie zostało z twarzy.
- Mój Boże.

Stali w przedpokoju przy łukowym wejściu do pokoju dziennego. Haldane wyraźnie nie miał ochoty zaprowadzić jej w głąb domu, podobnie jak wcześniej nie chciał jej wpuścić.

- Czy on miał jakieś znaki szczególne? — zapytał.
- Odbarwiony placek skóry...
- Od urodzenia?
- Tak.
- Gdzie?

— Na środku klatki piersiowej. Haldane pokręcił głową.
— To raczej nie pomoże.
— Dlaczego?
Popatrzył na nią, potem spuścił wzrok na podłogę.
— Jestem lekarzem — przypomniała mu.
— Ma wgniecioną klatkę piersiową.
— Od pobicia?!
— Tak. Każde żebro złamane kilka razy. Mostek roztrzaskany jak porcelanowy talerzyk.
— Roztrzaskany?
— Tak. Świadomie użyłem tego słowa, pani doktor. Nie po prostu złamany. Nie pęknięty czy rozłupany. Roztrzaskany. Jakby był ze szkła.
— To niemożliwe.
— Widziałem na własne oczy. I żałuję.
— Ale mostek to solidna kość. Mostek i czaszka w ludzkim ciele to jakby części pancerza.
— Widocznie zabójca był wielkim, silnym sukinsynem.
Laura potrząsnęła głową.
— Nie. Można roztrzaskać mostek w wypadku samochodowym, gdzie występują ogromne siły, zderzenie z szybkością pięćdziesięciu i sześćdziesięciu mil na godzinę, miażdżący impet i ciężar... Ale to niemożliwe przy pobiciu.
— Myśleliśmy, że ołowiana rura albo...
— Nawet wtedy — zaprzeczyła. — Roztrzaskany? Na pewno nie.
Melanie, moja mała Melanie, mój Boże, co się z tobą dzieje, dokąd cię zabrali, czy cię jeszcze zobaczę?
Zadygotała.
— Panie poruczniku, jeśli nie potrzebujecie mnie do identyfikacji Dylana, to nie rozumiem, w czym mogę pomóc...
— Jak mówiłem, chciałbym coś pani pokazać.
— Coś dziwnego.
— Właśnie.
Lecz nadal trzymał ją w przedpokoju i nawet stanął przed nią, żeby nie mogła zajrzeć w głąb domu. Wyraźnie targwały nim sprzeczne uczucia: pragnął uzyskać od niej jakies informacje, a jednocześnie nie chciał jej prowadzić przez krwawą jatkę.
— Nie rozumiem — powiedziała. — Dziwaczne? Co?
Haldane pozostawił pytanie bez odpowiedzi.
— Pani i on pracowaliście w tym samym zawodzie — zauważył.
— Nie całkiem.

— On też był psychiatrą, prawda?

— Nie. Psychologiem behawioralnym. Ze szczególnym naciskiem na behawioralną modyfikację.

— A pani jest psychiatrą, doktorem medycyny.

— Specjalizuję się w leczeniu dzieci.

— Tak, rozumiem. Różne dziedziny.

— Bardzo różne.

Zmarszczył brwi.

— Ale jeśli pani obejrzy jego laboratorium, może mi pani powie, czym on się tutaj zajmował.

— Laboratorium? On i tutaj pracował?

— On głównie tutaj pracował. Wątpię, czy on i pani córka prowadzili normalne życie w tym domu.

— Pracował? Co robił?

— Jakieś eksperymenty. Nie potrafimy określić.

— Chodźmy obejrzeć.

— Tam jest... paskudnie — oznajmił, wpatrując się w nią uważnie.

— Mówiłam panu, że jestem lekarzem.

— Tak, a ja jestem gliniarzem, a gliniarz widuje więcej krwi niż lekarz, a tam było tak paskudnie, że dostałem mdłości.

— Poruczniku, pan mnie tutaj sprowadził i teraz nie odejdę stąd, dopóki się nie dowiem, co mąż i córeczka robili w tym domu.

Kiwnął głową.

— Tędy.

Ruszyła za nim. Minęli pokój dzienny i kuchnię, przeszli przez krótki korytarz, gdzie smukły, przystojny Latynos w ciemnym garniturze nadzorował dwóch mężczyzn, których mundurowe kurtki miały wypisane słowo KORONER. Ładowali zwłoki do białego plastikowego worka. Jeden z pracowników biura koronera zaciągnął zamek błyskawiczny. Przez mleczny plastik Laura widziała tylko bryłowaty ludzki kształt, żadnych szczegółów oprócz kilku rozmazanych plam krwi.

Dylan?

— Nie pani mąż — powiedział Haldane, jakby czytał w jej myślach. — Ten nie miał żadnych dokumentów. Musimy polegać wyłącznie na odciskach palców.

Mnóstwo krwi zachlapało ściany i spłynęło na podłogę, tak wiele, że wydawała się nieprawdziwa, niczym w scenie z taniego filmu grozy.

Na środku korytarza rozłożono plastikowy chodnik, żeby technicy i oficerowie dochodzeniowi nie musieli wchodzić w krwawe kałuże i plamić sobie butów.

Haldane zerknął na Laurę, a ona próbowała nie okazywać strachu.

Czy Melanie była tutaj, kiedy popełniono te morderstwa? Jeśli tak i jeśli zabrał ją ten sam człowiek — czy ludzie — który tego dokonał, ona również została skazana na śmierć, ponieważ była świadkiem. Nawet jeśli nic nie widziała, morderca zabije ją, kiedy... kiedy z nią skończy. Nie ma wątpliwości. Zabije ją, ponieważ to mu sprawi przyjemność.

Wygląd tego miejsca świadczył, że sprawca jest psychopata; żaden normalny człowiek nie masakrowałby swoich ofiar z tak dziką, krwawą radością.

Dwaj ludzie koronera poszli po nosze na kółkach, żeby wywieźć zwłoki.

Smukły Latynos w ciemnym garniturze odwrócił się do Laury. Głos miał zaskakująco niski.

— Opróżniliśmy tamto miejsce, poruczniku, skończyliśmy fotografować, zebraliśmy wszystkie odciski palców i całą resztę. Zabieramy tę ofiarę.

— Zauważyłeś coś specjalnego przy wstępnych oględzinach, Joey? — zapytał Haldane.

Laura przypuszczała, że Joey jest policyjnym patologiem, chociaż wydawał się zbyt mocno poruszony jak na kogoś, kto powinien przywyknąć do widoku gwałtownej śmierci.

— Wygląda na to, że każda kość w ciele została złamana przynajmniej raz. Setki siniaków, jeden na drugim, nie wiadomo jak wiele. Autopsja na pewno wykáže pęknięte organy, odbite nerki — powiedział Joey.

Popatrzył niepewnie na Laurę, jakby nie wiedział, czy powinien mówić dalej. Laura przybrała obojętną maskę zawodowego zainteresowania z nadzieją, że nie wygląda zbyt fałszywie.

— Pęknięta czaszka — kontynuował. — Połamane zęby. Jedno oko wyrwane z oczodołu.

Laura zobaczyła na podłodze pogrzebacz oparty o listwę.

— Czy to jest narzędzie zbrodni?

— Naszym zdaniem nie — powiedział Haldane.

Joey dodał:

— Facet trzymał to w ręku. Musieliśmy mu wyłamać palce. Próbował się bronić.

Wszyscy troje popatrzyli na plastikowy worek i zamilkli. Uporczywe bębnienie deszczu o dach brzmiało znajomo i zarazem niesamowicie — niczym łoskot ogromnych drzwi otwieranych we śnie, za którymi odsłania się tajemniczy, nieziemski widok.

Dwaj mężczyźni wrócili, pchając nosze na kółkach. Jedno skrzywione kółko chybotło się jak w zepsutym wózku sklepowym: zimny, klekoczący dźwięk.

Troje drzwi prowadziło z krótkiego korytarza, jedno po każdej stronie i jedno na końcu. Wszystkie były uchylone. Haldane przeprowadził Laurę obok trupa do pokoju na końcu korytarza.

Pomimo ciepłego swetra i płaszcza z podpinką było jej zimno. Marzła. Dłonie miała tak białe, że wydawały się martwe. Wiedziała, że ogrzewanie jest włączone, ponieważ kiedy mijała szczeliny wentylacyjne, czuła nawiew ciepłego powietrza, więc widocznie chłód pochodził z jej wnętrza.

Ten pokój był dawniej gabinetem, teraz jednak stanowił obraz zniszczenia i chaosu. Stalowe szuflady na akta były wyrwane z szafek, porysowane i poobijane, z wykręconymi uchwytami, zawartość rozrzucona po podłodze. Ciężkie biurko z orzecha i chromu przewrócono na bok; dwie metalowe nogi były wygięte, drewno popękane i rozszczipione jak od ciosów siekiery. Maszynę do pisania rzucono o ścianę z taką siłą, że kilka klawiszy wyleciało i utkwilo w ściennej okładzinie. Wszędzie walały się papiery — kartki maszynopisu, wykresy, stronice pokryte rysunkami i notatkami sporządzonymi drobnym, precyzyjnym charakterem pisma — często podarte, zmięte lub ciasno zgniecione w kule. I wszędzie była krew: na podłodze, na meblach, na gruzach, na ścianach, nawet na suficie. Pokój wręcz cuchnął krwią.

— Jezu — szepnęła Laura.

— Chciałem pani pokazać drugi pokój — wyjaśnił Haldane, prowadząc ją do drzwi na końcu zdemolowanego gabinetu.

Zauważyła dwa nieprzezroczyste plastikowe worki na podłodze.

Haldane obejrzał się na nią.

— Drugi pokój — powtórzył.

Laura nie chciała się zatrzymywać, ale przystanęła. Nie chciała patrzeć na dwa zakryte ciała, ale spojrzała.

— Czy jeden z nich to... Dylan?

Haldane zdążył ją wyprzedzić. Teraz wrócił do niej.

— Ten miał dokumenty Dylana McCaffreya — powiedział, wskazując ciało. — Ale lepiej, żeby go pani nie oglądała.

— Tak — zgodziła się. Spojrzała na drugi worek. — Kto to był?

— Według prawa jazdy i innych dokumentów w portfelu, nazywał się Wilhelm Hoffritz.

Laura była zaskoczona.

Widocznie okazała zdziwienie, ponieważ Haldane zapytał:

— Pani go zna?

— Był na uniwersytecie. Jeden z... kolegów mojego męża.

— UCLA?

— Tak. Dylan i Hoffritz prowadzili wspólnie kilka programów badawczych. Mieli te same... obsesje.

— Czyżbym wyczuwał krytykę?

Nie odpowiedziała.

- Nie lubiła pani Hoffritza? — naciskał Haldane.
- Gardziłam nim.
- Dlaczego?
- Był załganym, zarozumiałym, protekcyjnym, aroganckim, nadętym gnojkiem.
- Co jeszcze?
- Czy to nie wystarczy?
- Taka kobieta jak pani nie szafuje słowem „pogarda”.

Napotkała jego wzrok i dostrzegła w nim ostrą, przenikliwą inteligencję, której wcześniej nie zauważyła. Zamknęła oczy. Bezpośrednie spojrzenie Haldane’a przyprawiało ją o zmieszanie, ale nie chciała patrzeć gdzie indziej, ponieważ wszędzie była krew.

— Hoffritz wierzył w centralne planowanie społeczne — powiedziała. — Interesowało go zastosowanie psychologii, narkotyków i rozmaitych form podświadomego warunkowania do zmieniania mas i kierowania nimi.

Haldane milczał.

- Kontrola umysłu? — zapytał po chwili.
- Właśnie. — Oczy miała ciągle zamknięte. — Elitysta. Nie. Zbyt łagodne określenie. Totalitarysta. Byłby tak samo dobrym nazistą lub komunistą. Wszystko jedno którym. Nie uznawał żadnej polityki oprócz polityki czystej siły. Chciał panować.

— W UCLA prowadzą takie badania?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że nie żartował.

— Oczywiście. To wielki uniwersytet, wolny uniwersytet. Nie ma żadnych jawnych restrykcji co do kierunku badań naukowca... jeśli zdobędzie fundusze.

— Ale konsekwencje tego rodzaju badań...

— Wyniki doświadczalne. Przełom w nauce. Postęp wiedzy. Tylko to obchodzi badacza, porucznika. Nie konsekwencje — odparła z kwaśnym uśmiechem.

— Mówiła pani, że pani mąż i Hoffritz mieli te same obsesje. To znaczy, że on zajmował się badaniami nad zastosowaniem kontroli umysłu?

— Tak. Ale nie był faszystą jak Willy Hoffritz. Bardziej interesował się modyfikacją zachowań osobowości przestępczej jako metodą zmniejszenia poziomu przestępczości. Przynajmniej myślałam, że to go interesowało. O tym najwięcej mówił. Ale im bardziej Dylan zapalał się do jakiegoś projektu, im bardziej się pogrążał, tym mniej o nim mówił, jakby nie chciał marnować na mówienie energii, którą mógł lepiej wykorzystać do myślenia i w pracy.

— Otrzymywał rządowe granty?

— Dylan? Tak. Razem z Hoffritzem.

— Pentagon?

— Może. Ale nie był nastawiony głównie na obronę. Dlaczego? Co ma jedno do drugiego?

Nie odpowiedział.

— Mówiła pani, że mąż zrezygnował z posady na uniwersytecie, kiedy uciekł z waszą córką.

— Tak.

— Ale teraz okazuje się, że wciąż pracował z Hoffritzem.

— Hoffritz już dawno nie pracuje w UCLA, od... od czterech czy pięciu lat, może dłużej.

— Co się stało?

— Nie wiem — przyznała. — Słyszałam tylko plotki, że zajął się czym innym. I odniosłam wrażenie, że poprosili go, żeby odszedł.

— Dlaczego?

— Podobno... ze względu na pogwałcenie etyki zawodowej.

— Jakie?

— Nie wiem. Niech pan zapyta kogoś w UCLA.

— Pani nie jest związana z uniwersytetem?

— Nie. Nie prowadzę badań. Pracuję w Dziecięcym Szpitalu św. Marka i oprócz tego prowadzę małą prywatną praktykę. Może jeśli porozmawia pan z kimś w UCLA, dowie się pan, co takiego zrobił Hoffritz, że go więcej nie chcieli.

Już nie czuła mdłości, nie dostrzegą krwi. Właściwie przestała się przejmować. Zbyt wiele okropności musiała oglądać; jej umysł popadł w odrętwienie. Jeden trup i jedna kropla krwi bardziej by ją poruszyły niż ta cuchnąca rzeźnia. Zrozumiała, dlaczego gliniarze tak szybko obojętnieją na sceny krwawej przemocy; człowiek albo się uodparniał, albo wariował, a ta druga ewentualność nie była pociągająca.

— Myślę, że pani mąż i Hoffritz znowu pracowali razem. Tutaj. W tym domu — odezwał się Haldane.

— Co robili?

— Nie jestem pewien. Dlatego chciałem, żeby pani przyjechała. Dlatego chciałem, żeby pani zobaczyła laboratorium w sąsiednim pokoju. Może pani mi powie, co tutaj robili.

— Więc chodźmy popatrzeć.

Zawahał się.

— Jeszcze jedno.

— Co?

— No, myślę, że pani córka stanowiła integralną część eksperymentu.

Laura wytrzeszczyła na niego oczy.

— Myślę — ciągnął — że oni ją... wykorzystywali.

— Jak? — szepnęła.

— To pani mi musi powiedzieć — odparł detektyw. — Nie jestem naukowcem.

Wiem tylko tyle, ile przeczytam w gazetach. Ale zanim tam wejdziemy, powinna pani wiedzieć... wydaje mi się, że część tych eksperymentów była... bolesna.

Melanie, czego oni chcieli od ciebie, co oni ci zrobili, dokąd cię zabrali?

Wzięła głęboki oddech.

Wytarła spocone dłonie w płaszcz.

Weszła za Haldane'em do laboratorium.

4

Dan Haldane był zdumiony, jak dobrze Laura McCaffrey radzi sobie w tej sytuacji. Okay, była lekarzem, ale większość medyków nie przywykła do brodzenia we krwi po kostki; w obliczu brutalnego, wielokrotnego morderstwa lekarze tracili panowanie nad sobą równie łatwo jak zwykli, przeciętni ludzie. Nie tylko medyczne przeszkolenie Laury McCaffrey pomogło jej znieść ten koszmar; Laura posiadała również niezwykłą siłę wewnętrzną, hart i wytrzymałość, które Dan podziwiał — które uznał za intrygujące i pociągające. Jej córka zaginęła, może była ranna, może nawet nie żyła — lecz dopóki Laura nie zdobędzie odpowiedzi na najważniejsze pytania dotyczące Melanie, nie zamierza się załamywać, na Boga, nie pozwoli sobie na okazanie słabości. Spodobała mu się.

W dodatku wyglądała ślicznie, chociaż nie miała żadnego makijażu, a jej kasztanowe włosy były zmierzwione i wilgotne od deszczu. Miała trzydzieści sześć lat, ale wyglądała młodziej.

Jej zielone oczy były czyste, głębokie, przenikliwe i piękne. I pełne udręki.

Na pewno widok zaimprovizowanego laboratorium jeszcze bardziej ją przerazi. Dan nie chciał jej tam zabierać. Ale przecież głównie po to wyciągnął ją z domu w środku nocy. Chociaż nie widziała męża od sześciu lat, nikt nie znał tego człowieka lepiej niż ona. Ponieważ była także psychiatrą, mogła rozpoznać rodzaj eksperymentów i badań prowadzonych przez Dylana McCaffreya. A Dan miał przeczucie, że nie rozwiąże sprawy tego wielokrotnego zabójstwa — ani nie znajdzie Melanie — dopóki nie wykryje, czym się zajmował Dylan McCaffrey.

Laura weszła za nim do pomieszczenia.

W szarym pokoju obserwował jej twarz. Zarejestrował zdumienie, zaskoczenie i niepokój.

Garaż na dwa samochody został zamurowany i zmieniony w jedno duże, pozabawione okien, bezlitośnie monochromatyczne pomieszczenie. Szary sufit. Szare ściany. Szary dywan. Światłówki na suficie jaśniały miękkim blaskiem spoza szarawych plastikowych paneli. Nawet uchwyty na szarych przesuwanych drzwiach szafy były pomalowo-

wane na szaro. Chociaż kratki na szczelinach wentylacyjnych pierwotnie były ze zwykłego szarego metalu, również zostały pomalowane, pewnie żeby nie błyszczały. Nie zostawiono ani jednej barwnej plamki, ani kawałka wypolerowanego metalu. Efekt był nie tyle zimny i instytucjonalny, ile wręcz pogrzebowy.

Głównym elementem wyposażenia pokoju był metalowy zbiornik, przypominający staroświeckie żelazne płuco, chociaż znacznie większy. Pomalowano go na ten sam ponury szary kolor co resztę wnętrza. Wychodziły z niego rury wpuszczone w podłogę, a kabel elektryczny prowadził prosto w górę, do skrzynki przyłączonej na suficie. Trzy przenośne drewniane stopnie zapewniały dostęp do klapy podwyższonego wjazdu zbiornika, który stał otworem.

Laura weszła na stopnie i zajrzała do środka.

Dan wiedział, co tam zastanie: bezkształtne czarne wnętrze, słabo oświetlone nikłym odbłaskiem wpadającym przez klapę; plusk wody falującej od wibracji przenoszonych przez stopnie i ściany zbiornika; wilgotny, lekko słonawy odór.

— Wie pani, co to jest? — zapytał.

Zeszła po trzech stopniach.

— Jasne. Komora deprivacji sensorycznej.

— Co on z tym robił?

— Pyta pan, jakie są naukowe zastosowania?

Dan przytaknął.

— No więc wypełnia się zbiornik częściowo wodą... Właściwie używa się dziesięcioprocentowego wodnego roztworu siarczanu magnezu dla uzyskania maksymalnej wyporności. Podgrzewa się roztwór do dziewięćdziesięciu trzech stopni Fahrenheita, bo w tej temperaturze siła wyporu działająca na pływające ciało najbardziej przeciwstawia się grawitacji. Albo, w zależności od rodzaju eksperymentu, można go podgrzać do dziewięćdziesięciu ośmiu stopni, żeby zniwelować różnicę pomiędzy temperaturą ciała a wody. Wówczas obiekt...

— Którym jest człowiek... nie zwierzę?

Wydawała się zdziwiona pytaniem. Dan Haldane poczuł się żałośnie niedouczony, ale w głosie Laury nie zadźwięczała ani jedna nuta lekceważenia czy zniecierpliwienia, więc po chwili odzyskał równowagę.

— Tak — potwierdziła. — Człowiek. Nie zwierzę. W każdym razie kiedy woda jest gotowa, obiekt rozbiera się, wchodzi do komory, zamyka za sobą drzwi i unosi się w całkowitej ciemności i w całkowitej ciszy.

— Po co?

— Żeby zniknęły wszelkie bodźce zmysłowe. Brak światła. Brak dźwięku. Praktycznie brak smaku. Minimalna stymulacja olfaktoryczna. Brak poczucia ciężaru, miejsca i czasu.

— Ale dlaczego ktoś miałby to robić?

— No, początkowo, kiedy zbudowano pierwsze zbiorniki, ludzie wchodzili tam, ponieważ chcieli się dowiedzieć, co się stanie, kiedy kogoś odetniemy niemal od wszystkich bodźców zewnętrznych.

— Tak? I co się stało?

— Nie to, czego się spodziewali. Nie wystąpiła żadna klaustrofobia ani paranoja. Krótki moment strachu, tak, ale potem... nie całkiem przykra dezorientacja przestrzenna i czasowa. Poczucie uwięzienia znikało mniej więcej po minucie. Niektórzy badani odczuwali przemożne wrażenie, że znajdują się nie w małej komorze, lecz w olbrzymiej, otoczeni przez nieskończoną przestrzeń. Umysł, którego nie zaprzętają zewnętrzne bodźce, zwraca się w głąb siebie, żeby poznawać cały nowy świat bodźców wewnętrznych.

— Halucynacje?

Na chwilę zapomniała o niepokoju. Odezwało się w niej zawodowe zainteresowanie funkcjonowaniem ludzkiego umysłu i Dan pomyślał, że byłaby wspaniałą nauczycielką, gdyby wybrała karierę pedagoga. Wyraźnie czerpała przyjemność z objaśniania, pouczenia.

— Tak, czasami halucynacje — przyznała. — Ale nie straszne czy groźne, nic podobnego do przeżyć po narkotykach. W wielu przypadkach intensywne i wyjątkowo żywe halucynacje seksualne. I dosłownie każdy obiekt zgłasza usprawnienie i wyostrenie procesów myślowych. Niektórzy rozwiązują skomplikowane zadania z algebry i rachunku różniczkowego nawet bez pomocy papieru i ołówka, zadania, które normalnie przekraczają ich możliwości. Istnieje nawet kultowy system psychoterapii, gdzie stosuje się komory deprywacyjne, żeby nakłonić pacjenta do skupienia się na kierowanym samopoznaniu.

— Z pani tonu domyślam się, że pani tego raczej nie pochwała — zauważył.

— No, całkowicie nie potępiam — odpowiedziała. — Ale jeśli mamy osobnika zaburzonego psychologicznie, który już czuje się niepewny, nie całkiem panuje nad sobą... dezorientacja w komorze deprywacyjnej prawie na pewno odniesie negatywne skutki. Niektórzy pacjenci potrzebują wszelkiej możliwej styczności ze światem fizycznym, jak najwięcej bodźców zewnętrznych. — Wzruszyła ramionami. — Z drugiej strony może jestem zbyt ostrożna, zbyt staroświecka. Ostatecznie sprzedają te rzeczy do prywatnego użytku, przez ostatnie kilka lat sprzedali na pewno tysiące i kilka musiało trafić do ludzi niezrównoważonych psychicznie, a jednak nigdy nie słyszałam, żeby od tego komuś pomieszało się w głowie.

— Pewnie to kosztowne.

— Zbiornik? Bez wątpienia. Większość zestawów w prywatnych domach to... nowe zabawki bogaczy.

— Po co ludzie kupują coś takiego?

— Niezależnie od etapu halucynacji i ostatecznego usprawnienia procesów myślowych wszyscy badani zgłaszają, że sesja w zbiorniku wspaniale odpręża oraz dodaje energii. Po godzinie unoszenia się w wodzie fale mózgowe są takie jak u mnicha zen podczas głębokiej medytacji. Nazywają to medytacją dla leniwych: nie trzeba niczego się uczyć, nie trzeba przestrzegać żadnych zasad religijnych, łatwy sposób na przeżycie tygodniowego wypoczynku w kilka godzin.

— Ale pani mąż nie używał tego do wypoczynku.

— Wątpię — przytaknęła.

— Więc o co mu konkretnie chodziło?

— Naprawdę nie mam pojęcia. — Niepokój ponownie pojawił się na jej twarzy i w oczach.

— Myślę — powiedział Dan — że to pomieszczenie nie służyło tylko za laboratorium. Myślę, że to był również pokój pani córki. Myślę, że ona była tutaj dosłownie więźniem. I myślę, że sypiała w tym zbiorniku co noc, może nawet spędzała tam całe dni.

— Dni? Nie. To... niemożliwe.

— Dlaczego nie?

— Potencjalne zniszczenie psychiki, ryzyko...

— Może pani mąż nie przejmował się ryzykiem.

— Ale Melanie była jego córką. On ją kochał. Tyle muszę mu przyznać. Naprawdę ją kochał.

— Znaleźliśmy dziennik, w którym pani mąż zapisywał chyba każdą minutę z życia córki przez ostatnie pięć i pół roku.

Zwężyla oczy.

— Chcę to zobaczyć.

— Za chwilę. Jeszcze go dokładnie nie przejrzałem, ale podejrzewam, że pani córka ani razu nie wyszła z domu przez te pięć i pół roku. Nawet do szkoły. Nawet do lekarza. Nawet do kina, do zoo czy gdziekolwiek. I chociaż pani mówi, że to niemożliwe, podejrzewam na podstawie tego, co czytałem, że czasami spędzała w zbiorniku trzy albo cztery dni bez przerwy.

— Ale jedzenie...

— Myślę, że nie karmiono jej w tym czasie.

— Woda...

— Może piłą trochę tej, w której pływała.

— Musiała się załatwiać...

— Z tego, co czytałem, czasami wypuszczano ją na dziesięć czy piętnaście minut, żeby skorzystała z toalety. Ale myślę, że najczęściej zakładał jej cewnik, żeby mogła od-

dawać mocz do zapieczętowanego słoja, nie opuszczając zbiornika i nie zanieczyszczając wody, w której pływała.

Kobieta wydawała się wstrząśnięta.

Dan zaprowadził ją do następnego elementu wyposażenia, żeby z tym skończyć jak najszybciej, ze względu na nią i dlatego, że źle się czuł w tym miejscu.

— Aparatura do biologicznego sprzężenia zwrotnego — poinformowała go. — W jej skład wchodzi EEG, elektroencefalograf do monitorowania fal mózgowych. Przypuszczalnie pomaga badanemu kontrolować własne fale mózgowie, a co za tym idzie — stan własnego umysłu.

— Słyszałem o biosprzężeniu zwrotnym. A tamto? — Wskazał ponad aparatem na krzesło, z którego zwisały skórzane pasy i przewody zakończone elektrodami.

Laura McCaffrey obejrzała je i Dan wyczuwał narastające w niej obrzydzenie — i zgrozę. Wreszcie powiedziała:

— Urządzenie do terapii awersyjnej.

— Dla mnie wygląda jak krzesło elektryczne.

— Owszem. Nie takie, które zabija. Prąd płynie z tych baterii, nie z gniazdka w ścianie. A to... — dotknęła dźwigni z boku krzesła — reguluje napięcie. Można stosować różne bodźce, od ukłucia do bolesnego wstrząsu.

— To jest standardowe wyposażenie do badań psychologicznych?

— Wielkie nieba, skąd!

— Widziała pani kiedyś coś takiego w laboratorium?

— Raz. Właściwie... dwa razy.

— Gdzie?

— U dość bezwzględnego psychologa zwierząt, którego dawniej znałam. Stosował trening awersyjno-wstrząsowy u małp.

— Torturował je?

— On na pewno tak nie uważał.

— Nie wszyscy zwierzęcy psychologowie tak postępują?

— Mówiłam, że ten był bezwzględny. Mam nadzieję, że pan nie należy do tych nowych luddystów, którzy myślą, że wszyscy naukowcy to głupcy lub potwory.

— Nie ja. Kiedy byłem dzieckiem, zawsze oglądałem programy edukacyjne w telewizji.

Laura zdobyła się na słaby uśmiech.

— Nie chciałam na pana warczeć.

— Nic nie szkodzi. Mówiła pani, że widziała takie urządzenie dwukrotnie. Gdzie po raz drugi?

Nikły cień jej uśmiechu nagle zgasł.

— Na fotografii.

— O?

— W książce o... eksperymentach naukowych w nazistowskich Niemczech.

— Rozumiem.

— Używali tego na ludziach.

Zawahał się, ale musiał to powiedzieć.

— Tak jak pani mąż.

Spojrzenie Laury McCaffrey wyrażało nie tyle niedowierzanie, ile żarliwe pragnienie niewiary. Jej twarz przybrała barwę zimnego, wypalonego popiołu.

Dan powiedział:

— Myślę, że przywiązywał pani córkę do tego krzesła...

— Nie.

— ...i on, Hoffritz i Bóg wie kto jeszcze...

— Nie.

— ...torturowali ją — zakończył.

— Nie.

— To jest w dzienniku, o którym pani wspomniałem.

— Ale...

— Myślę, że stosowali... tę „awersyjną” terapię, żeby nauczyć ją kontrolować wzorce własnych fal mózgowych.

Wizja Melanie przypiętej pasami do krzesła była tak przerażająca, że Laura McCaffrey doznała głębokiej metamorfozy. Nie wyglądała już po prostu jak wypalona, barwy popiołu; zrobiła się blada jak śmierć. Oczy jakby zapadły się w czaszkę i straciły prawie cały blask. Twarz obwisła jak rozmiękły wosk.

— Ale... — zaczęła — ...ale to nie ma sensu. Terapia awersyjna to wcale nie jest dobry sposób uczenia technik biosprężenia zwrotnego.

Dan gwałtownie zapragnął wziąć ją w ramiona, przytulić mocno, pogłaskać po głowie, pocieszyć. Pocałować. Kiedy tylko ją zobaczył, wydała mu się atrakcyjna, lecz aż do tej chwili nie odczuwał żadnych romantycznych porywów. Zresztą co w tym dziwnego? Zawsze rozczulał się nad bezradnymi kociętami, popsutymi lalkami, nad każdą słabą, zagubioną, bezbroną istotą. I zawsze potem żałował, że się wtrącał. Laura McCaffrey początkowo nie pociągała go, ponieważ była pewna siebie, opanowana, całkowicie zrównoważona. Dopiero kiedy zaczęła się rozsypywać, kiedy nie mogła dłużej ukrywać strachu i zagubienia, coś się w nim obudziło. Nick Hammond, inny detektyw z wydziału zabójstw i policyjny mądrała, zarzucał Danowi instynkty matki-kwoki i miał trochę racji.

Co jest ze mną? — zastanawiał się Dan. Dlaczego ciągle odgrywam błędnego rycerza, ciągle szukam damy w opałach? Prawie nie znam tej kobiety i już pragnę, żeby całkowicie na mnie polegała, żeby złożyła na moje barki swoje troski i nadzieje. O taak,

psze pani, Wielki Dan Haldane pani pomoże, nikt inny; Wielki Dan złapie tych wstrętnych złoczyńców i odbuduje pani zrujnowany świat. Wielki Dan poradzi sobie śpiewając, psze pani, chociaż w głębi serca jest ciągle niedojrzałym idiotą.

Nie. Nie tym razem. Miał swoją robotę, owszem, ale potraktuje to wyłącznie zawodo-wo. Osobiste uczucia nie mają nic do rzeczy. Zresztą ta kobieta nie związała by się z gli-niarzem. Była bardziej wykształcona od niego. Miała więcej klasy. Typ koniakowy, pod-czas gdy on wolał piwo. Poza tym, na litość boską, to nie była odpowiednia pora na ro-manse.

Laura McCaffrey była za bardzo rozstrojona: umierała z niepokoju o córkę; zabito jej męża i na pewno to nią wstrząsnęło, chociaż przestała go kochać dawno temu. Jaki mężczyzna mógł myśleć o romansowaniu z nią w takiej chwili? Dan wstydził się za sie-bie. A jednak... Westchnął.

— No, kiedy pani przejrzy dziennik męża, może znajdzie pani dowód, że on nigdy nie posadził córki na tym krześle. Ale wątpię.

Laura po prostu stała bez ruchu, oszołomiona.

Dan podszedł do szafy, rozsunał drzwi i odsłonił kilka par dżinsów, podkoszulków, swetrów i butów, które mogły pasować na dziewięcioletnią dziewczynkę. Wszystkie miały szary kolor.

— Dlaczego? — zapytał. — Co on chciał udowodnić? Jakie efekty chciał osiągnąć z tym dzieckiem?

Kobieta potrząsnęła głową, zbyt zdenerwowana, żeby odpowiedzieć.

— I jeszcze coś mnie zastanawia — ciągnął Dan. — To wszystko, całe sześć lat, kosz-towało więcej pieniędzy, niż miał, kiedy wyczyścił wasze wspólne konta bankowe i od-szedł. Dużo więcej. Ale on nigdzie nie pracował. Nigdy nie wychodził. Może Wilhelm Hoffritz dawał mu pieniądze. Ale jacyś inni też musieli się dokładać. Kto? Kto finanso-wał te prace?

— Nie mam pojęcia.

— I dlaczego? — powtórzył.

— I dokąd zabrali Melanie? — zapytała. — I co jej robią teraz?

5

Kuchnia nie była właściwie brudna, ale wyglądała nieporządnie. Stosy nieumytych naczyń wypełniały zlew. Okruchy zaśmiecały stół, który stał przy jedynym oknie.

Laura usiadła przy stole i strzepnęła trochę okruchów. Pilno jej było zajrzeć do dziennika eksperymentów Dylana z Melanie. Haldane jeszcze go jej nie pokazał. Trzymał go w ręku — notatnik dużego formatu, oprawny w imitację brązowej skóry — i spacerował po kuchni w trakcie rozmowy.

Deszcz bębnił w okno i spływał po szybach. Od czasu do czasu błyskawica rozjaśniała noc i przelotnie wyświetlała na ścianach nieregularny, falujący deseń wodnych zacieków, a wtedy pokój wydawał się bezkształtny i półprzezroczysty jak miraż.

— Chciałbym wiedzieć dużo więcej o pani mężu — powiedział Haldane.

— Na przykład co?

— Na przykład, dlaczego pani zdecydowała się na rozwód.

— Co to ma do rzeczy?

— Może ma.

— Jak to?

— Po pierwsze, jeśli w grę wchodziła inna kobieta, mogłaby nam powiedzieć więcej o tym, co tutaj robił. Mogłaby nawet powiedzieć, kto go zabił.

— Nie było innej kobiety.

— Więc dlaczego pani postanowiła się rozwieść?

— Po prostu... już go nie kochałam.

— Ale dawniej go pani kochała.

— Tak. Ale nie był już tym mężczyzną, za którego wyszłam.

— W jaki sposób się zmienił?

Laura westchnęła.

— Nie zmienił się. Nigdy nie był tym mężczyzną, za którego wyszłam. Tylko tak mi się zdawało. Później stopniowo dotarło do mnie, jak bardzo od samego początku go nie rozumiałam.

Haldane przestał chodzić, oparł się o blat i skrzyżował ramiona, wciąż trzymając

dziennik.

— Pod jakim względem pani go nie rozumiała?

— No... po pierwsze, musi pan wiedzieć o mnie jedno. W szkole i na studiach nigdy nie byłam specjalnie popularną dziewczyną. Nigdy nie chodziłam na randki.

— Trudno mi w to uwierzyć.

Zarumieniła się, chociaż próbowała to opanować.

— To prawda. Byłam straszliwie nieśmiała. Unikałam chłopców. Unikałam wszystkich. Nigdy też nie miałam bliskiej przyjaciółki.

— Nikt pani nie powiedział o odpowiedniej płukance do ust i szamponie przeciwłupieżowym?

Uśmiechnęła się, ponieważ usiłował ją rozśmieszyć, ale nigdy nie potrafiła swobodnie mówić o sobie.

— Nie chciałam, żeby ludzie mnie poznali, bo wyobrażałam sobie, że mnie nie polubią, a nie mogłabym znieść odrzucenia.

— Dlaczego mieliby pani nie lubić?

— Och... bo nie byłam dostatecznie ładna, bystra czy dowcipna jak na ich wymagania.

— No, trudno mi powiedzieć, czy pani jest dowcipna, ale w tym domu nawet David Letterman nie mógłby sypać żartami. Ale na pewno nie brakuje pani inteligencji. W końcu zrobiła pani doktorat. I nie rozumiem, jak pani może patrzeć w lustro i nie widzieć, że jest pani piękna.

Podniosła wzrok znad zasypanego okruchami stołu. Spojrzenie porucznika było bezpośrednie, ujmujące, ciepłe, wcale nie zuchwałe czy prowokujące. Zachowywał się jak policjant dokonujący obserwacji, stwierdzający fakt. Lecz pod powierzchnią profesjonalizmu wyczuła głęboko skrywane zainteresowanie. Poczuli się nieswojo.

Skrepowana, wpatrując się w niewyraźne srebrzyste smugi deszczu na ciemnej szybie, powiedziała:

— Miałam wtedy okropny kompleks niższości.

— Dlaczego?

— Rodzice.

— Jak zawsze.

— Nie. Nie zawsze. Ale w moim przypadku... głównie matka.

— Jacy byli pani rodzice?

— Nie mają nic wspólnego z tą sprawą — odparła. — Zresztą oboje już odeszli.

— Zmarli?

— Tak.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie. Mnie nie jest przykro.

— Rozumiem.

Wyraziła się dość ostro. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nie chciała zrobić na nim złego wrażenia. Z drugiej strony wolała nie opowiadać mu o swoich rodzicach i dzieciństwie pozbawionym miłości.

— Co do Dylana... — zaczęła, ale zgubiła wątek.

— Mówiła pani, dlaczego od początku źle go pani oceniła — podsunął Haldane.

— Widzi pan, tak dobrze umiałam odpychać ludzi, tak gruntownie ich zniechęcałam i zamykałam się w mojej przytulnej skorupie, że nikt nigdy nie zbliżył się do mnie. Zwłaszcza chłopcy... czy mężczyźni. Wiedziałam, jak ich szybko spławić. Aż do Dylana. On nie zrezygnował. Ciągle zapraszał mnie na randki. Nieważne, jak często odmawiałam, on zawsze wracał. Nie odstraszała go moja nieśmiałość. Chłód, obojętność, szorstka odmowa — nic go nie powstrzymało. Uganiał się za mną. Przedtem nikt nigdy za mną nie latał. Nie jak Dylan. Był uparty. Opętany. Ale nie jakoś niebezpiecznie, nie ten rodzaj opętania. To było takie staroświeckie, kiedy próbował mi zaimponować, zrobić na mnie wrażenie. Przez cały czas zdawałam sobie sprawę, że to staroświeckie, ale i tak skutkowało. Przysyłał kwiaty, więcej kwiatów, słodyczne, znowu kwiaty, nawet wielkiego pluszowego misia.

— Pluszowy miś dla młodej kobiety pracującej nad doktoratem? — zdziwił się Haldane.

— Mówiłam panu, że był staroświecki. Pisał wiersze i podpisywał się: „Tajemniczy wielbiciel”. Banalne, wiem, ale to działało na dwudziestosześcioletnią kobietę, która właściwie nigdy się nie całowała i spodziewała się zostać starą panną. On był pierwszym mężczyzną, przy którym poczułam się... doceniona.

— Przełamał pani opory.

— Cholera, zawrócił mi w głowie.

W trakcie opowiadania tamte wyjątkowe chwile i uczucia powróciły, boleśnie silne i wyraźne. Wraz ze wspomnieniami napłynął smutek, żal za zmarnowaną szansą, niemal przytłaczające poczucie utraconej niewinności.

— Później, kiedy się pobraliśmy, dowiedziałam się, że Dylan nie rezerwował swoich namiętnych uczuć wyłącznie dla mnie. Och, nie chodziło o inne kobiety. Nie było innych kobiet. Ale on gonił za każdym pomysłem tak zażarcie, jak dawniej gonił za mną. Jego badania modyfikacji behawioralnej, fascynacja okultyzmem, miłość do szybkich samochodów... wkładał w te zainteresowania tyle pasji i energii, ile dawniej wkładał w zaloty.

Pamiętała, jak martwiła się o Dylana i o to jaki wpływ może wyrzucić na Melanie jego wymagająca osobowość. Zażądała rozwodu częściowo z powodu obawy, że Dylan zarazi Melanie swoim obsesyjno-kompulsywnym zachowaniem.

— Na przykład zbudował skomplikowany japoński ogród za domem i poświęcał na

to każdą wolną chwilę przez wiele miesięcy. Z fanatyczną determinacją dążył do doskonałości. Każda roślina i kwiat, każdy kamień na każdej ścieżce musiał wyglądać idealnie. Każde drzewko bonsai musiało mieć tak wspaniałe proporcje i harmonijny, niepowtarzalny kształt, jak w książkach o klasycznej orientalnej sztuce ogrodowej. Oczekiwał ode mnie, że będę równie gorliwie jak on uczestniczyła w tym projekcie... w każdym projekcie. Ale ja nie mogłam. Nie chciałam. Poza tym on był takim fanatycznym perfekcjonistą, że cokolwiek razem robiliśmy, prędzej czy później zmieniało się w zwykłą ciężką pracę, a nie zabawę. Nigdy nie spotkałam takiego obsesyjno-kompulsywnego typu. Był jak opętany i chociaż co chwila wpadał w dziki entuzjazm, właściwie nic mu nie sprawiało przyjemności, nic go nie cieszyło, bo zwyczajnie nie miał czasu na radość.

— Zdaje się, że małżeństwo z nim było dość wyczerpujące — zauważył Haldane.

— Boże, jeszcze jak! Po kilku latach jego wieczny, uniwersalny zapał przestał być zaraźliwy, ponieważ żadna normalna osoba nie może ciągle miotać się w gorączce. Dylan nie był już intrygujący i ożywczy. Był... męczący. Denerwujący. Nigdy ani chwili spokoju czy odprężenia. Wtedy właśnie robiłam doktorat z psychiatrii, przechodziłam psychoanalizę, co jest wymagane od wszystkich podejmujących praktykę psychiatryczną, i wreszcie zrozumiałam, że Dylan cierpi na zaburzenia psychiczne; nie nadmiar entuzjazmu, nie przesadne wymagania, tylko ostry przypadek nerwicy obsesyjno-kompulsywnej. Próbowałam go przekonać, żeby poddał się analizie, ale do tego wcale się nie zapalił. W końcu powiedziałam mu, że chcę rozwodu. Nawet nie zostawił mi czasu na wypełnienie dokumentów. Następnego dnia wyczyścił nasze wspólne konta bankowe i zniknął razem z Melanie. Powinnam była to przewidzieć.

— Dlaczego?

— Miał obsesję na punkcie Melanie, jak na punkcie wszystkiego. W jego oczach była najpiękniejszym, najmądrzejszym, najcudowniejszym dzieckiem pod słońcem. Zawsze pilnował, żeby była idealnie ubrana, idealnie zadbana, idealnie się zachowywała. Miała dopiero trzy latka, ale już uczył ją czytać, próbował ją uczyć francuskiego. Dopiero trzy latka. Mówił, że nauka najłatwiej przychodzi najmłodszym. Co jest prawdą. Ale on nie robił tego dla Melanie. O nie. Wcale nie dla niej. Chodziło mu tylko o siebie, o posiadanie idealnego dziecka, ponieważ nie mógł znieść myśli, że jego córeczka nie będzie najładniejszym, najmądrzejszym, najwspanialszym dzieckiem na całym świecie.

Zapadło milczenie.

Deszcz stukał w okno, bębnił po dachu, bulgotał w rynnach i rynsztokach.

Wreszcie Haldane powiedział cicho:

— Człowiek taki jak on mógł...

— Mógł eksperymentować na własnej córce, mógł poddać ją torturom, jeśli uważał, że w ten sposób ją ulepszy. Albo jeśli miał obsesję na punkcie eksperymentów, które wymagały dziecka jako podmiotu.

— Jezu — mruknął Haldane tonem, który wyrażał częściowo niesmak, częściowo potępienie i częściowo litość.

Ku własnemu zdziwieniu Laura zaczęła płakać. Detektyw podszedł do stołu. Przysunął krzesło i usiadł obok niej.

Osuszyła oczy chusteczką.

Położył rękę na jej ramieniu.

— Wszystko będzie dobrze.

Kiwnęła głową, wydmuchała nos.

— Znajdziemy ją — obiecał.

— Boję się, że nie znajdziemy.

— Znajdziemy.

— Boję się, że ona nie żyje.

— Żyje.

— Boję się.

— Nie trzeba.

— Nic nie poradzę.

— Wiem.

Przez pół godziny, kiedy porucznik Haldane zajmował się innymi sprawami gdzieś w domu, Laura przeglądała ręcznie pisany dziennik Dylana, który zawierał dokładny opis każdego dnia Melanie. Zanim detektyw wrócił do kuchni, Laura skamieniała ze zgrozy.

— To prawda — powiedziała. — Spędzili tutaj co najmniej pięć i pół roku, tak długo, jak prowadził ten dziennik, i przez ten czas Melanie chyba ani razu nie wyszła z domu.

— I co noc spała w komorze deprywacji sensorycznej, jak podejrzewałem?

— Tak. Na początku osiem godzin na dobę. Potem osiem i pół. Potem dziewięć. Pod koniec pierwszego roku spędzała w komorze dziesięć godzin w nocy i dwie w dzień.

Zamknęła notatnik. Widok schludnego pisma Dylana nagle wprawił ją w furję.

— Co jeszcze? — zapytał Haldane.

— Co rano najpierw spędzała godzinę na medytacji.

— Medytacja? Taka mała dziewczynka? Pewnie nawet nie znała znaczenia tego słowa.

— W zasadzie medytacja to po prostu kierowanie umysłu do wewnątrz, odrzucanie materialnego świata, poszukiwanie spokoju poprzez wewnętrzną samotność. Wątpię, czy on uczył Melanie medytacji zen albo innych doktryn o silnym filozoficznym czy religijnym podłożu. Pewnie po prostu uczył ją siedzieć spokojnie, zwracać się do wewnątrz i nie myśleć o niczym.

— Autohipnoza.

— To inna nazwa.

— Dlaczego chciał, żeby to robiła?

— Nie wiem.

Wstała z krzesła, niespokojna i wzburzona. Chciała się ruszać, chodzić, wyładować gorączkową energię, która ją rozpierała. Ale w kuchni było za mało miejsca. Dotarła do końca po pięciu krokach. Ruszyła w stronę drzwi holu, ale zatrzymała się, kiedy sobie uświadomiła, że nie będzie mogła przejść przez resztę domu, obok trupów, deptając po krwi, wchodząc w drogę policji i ludziom koronera. Nachyliła się nad blatem, przyłożyła płasko dłonie do krawędzi i nacisnęła z całej siły, jakby chciała przelać cząstkę swojej nerwowej energii w ceramiczną powierzchnię.

— Każdego dnia — podjęła — po medytacji Melanie przez kilka godzin uczyła się technik biosprężenia zwrotnego.

— Siedząc na tym elektrycznym krześle?

— Tak myślę. Ale...

— Ale? — naciskał.

— Ale myślę, że używali krzesła nie tylko do tego. Myślę, że używali go również do uodporniania jej na ból.

— Słucham?

— Myślę, że Dylan stosował wstrząsy elektryczne, żeby nauczyć Melanie, jak zagłuszać ból, jak go znosić, ignorować sposobem wschodnich mistyków, sposobem joginów.

— Po co?

— Może po to, żeby później umiejętność blokowania bólu pomogła jej wytrzymać dłuższe sesje w komorze deprywacji sensorycznej.

— Więc pod tym względem miałem rację?

— Tak. On stopniowo przedłużał jej pobyt w zbiorniku, aż pod koniec trzeciego roku czasami zostawała tam przez trzy dni. W czwartym roku cztery, pięć dni bez przerwy. Ostatnio... jeszcze w zeszłym tygodniu trzymał ją tam przez siedem dni.

— Z cewnikiem?

— Tak. I na kroplówce. Odżywiał ją dożylnie glukozą, żeby nie straciła zbyt wiele na wadze i nie uległa odwodnieniu.

— Boże wielki.

Laura nie odpowiedziała. Czuła, że znowu zbiera jej się na płacz. Mdliło ją, oczy ją piekły, twarz wydawała się brudna. Podeszła do zlewu i odkręciła zimną wodę, która chlusnęła na stopy brudnych naczyń. Nabrała wody w złożone dłonie i ochlapała twarz. Wytarła się papierowymi ręcznikami, które wyciągnęła ze ściennego podajnika.

Nie poczuła się lepiej.

— On chciał ją uodpornić na ból, żeby łatwiej znosiła długie sesje w zbiorniku — powiedział z namysłem Holdane.

— Może. Nie mam pewności.

— Ale co może boleć w zbiorniku? Myślałem, że tam się nic nie czuje. Tak mi pani mówiła.

— Nic nie boli w trakcie sesji normalnej długości. Ale jeżeli kogoś trzymają w zbiorniku przez kilka dni, skóra zaczyna się marszczyć, pękać. Tworzą się rany.

— Aha.

— No i jeszcze ten cholerny cewnik. Pewnie nigdy nie był pan tak poważnie chory, że pan nie trzymał moczu i trzeba było podłączyć cewnik.

— Nie. Nigdy.

— Widzi pan, po kilku dniach cewka moczowa zwykle ulega podrażnieniu. Boli.

— Domyślam się.

Laura marzyła o alkoholu. Zazwyczaj piła niewiele. Od czasu do czasu kieliszek wina, rzadko martini. Ale teraz chciała się upić.

— Więc o co mu chodziło? — zapytał Haldane. — Co chciał osiągnąć? Dlaczego narażał ją na to wszystko?

Wzruszyła ramionami.

— Pani musi coś wiedzieć.

— Wcale nie. Dziennik nie opisuje eksperymentów i nie wspomina ani słowem o jego zamiarach. To tylko rejestr wszystkich sesji Melanie i całego używanego sprzętu, dokładne sprawozdanie z każdego jej dnia, godzina po godzinie.

— Widziała pani w jego gabinecie papiery rozrzucone na podłodze. Na pewno są bardziej szczegółowe niż dziennik. Dowiemy się z nich więcej.

— Może.

— Rzuciłem okiem na kilka, ale niewiele z nich zrozumiałem. Mnóstwo technicznych określeń, psychologiczny żargon. Dla mnie chińszczyzna. Jeżeli każę je skserować, zapakować kopie w pudła i dostarczyć pani za kilka dni, może zechce je pani przejrzeć, spróbuje uporządkować i coś z nich wyciągnąć?

Zawahała się.

— No... sama nie wiem. Już od tego dziennika prawie się pochorowałam.

— Nie chce pani wiedzieć, co on jej zrobił? Jeśli ją znajdziemy, powinna pani to wiedzieć. Inaczej pani sobie nie poradzi z żadnym psychologicznym urazem Melanie.

Mówił prawdę. Żeby zastosować skuteczną terapię, Laura będzie musiała wejść w koszmar córki i sama go doświadczyć.

— Poza tym — dodał Haldane — w tych papierach mogą być wskazówki, rzeczy, które pomogą nam ustalić, z kim on pracował i kto mógł go zabić. Jeśli do tego dojdziemy, może wykryjemy również, z kim jest teraz Melanie. Jeżeli przejrzy pani papiery męża, może wyłuska pani akurat ten strzępek informacji, dzięki któremu znajdziemy pani córkę.

— No dobrze — powiedziała ze znużeniem. — Jak to zapakujecie, przyslijcie pudła do mojego domu.

— Wiem, że to nie będzie łatwe.

— Na pewno.

— Chcę się dowiedzieć, kto finansował torturowanie małej dziewczynki w imię nauki — oświadczył tonem niezwykle twardym i zawziętym jak na bezstronnego przedstawiciela prawa. — Bardzo chcę wiedzieć.

Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał mu policjant w mundurze, który wszedł z holu.

— Poruczniku?

— O co chodzi, Phil?

— Szukacie w tym wszystkim małej dziewczynki, zgadza się?

— Tak.

— No więc jedną znaleźli — powiedział Phil.

Laura poczuła, że jej serce zaciska się mocno jak pięść: węzeł bólu w piersi. Pałace pytanie uformowało się w jej umyśle, ale nie mogła go wymówić na głos, bo coś zaciśnięło jej krtań.

— W jakim wieku? — zapytał Haldane.

Nie to pytanie Laura chciała zadać.

— Oceniają na jakieś osiem, dziewięć lat — odpowiedział Phil.

— Dostałeś rysopis? — zapytał Haldane.

To również nie było właściwe pytanie.

— Kasztanowe włosy. Zielone oczy — oznajmił policjant.

Obaj mężczyźni odwrócili się do Laury. Wiedziała, że patrzą na jej własne kasztanowe włosy i zielone oczy.

Próbowała wyartykułować pytanie. Bez skutku.

— Żyje? — zapytał Haldane.

To było pytanie, którego Laura nie potrafiła wymówić.

— Tak — potwierdził policjant. — Patrol znalazł ją siedem przecznic stąd.

Gardło Laury odzyskało sprawność, język odkleił się od podniebienia.

— Żyje? — powtórzyła, bojąc się uwierzyć.

Policjant w mundurze kiwnął głową.

— Już mówiłem. Żyje.

— Kiedy? — zapytał Haldane.

— Jakies półtorej godziny temu.

— Nikt mnie nie zawiadomił, do cholery — warknął Haldane poczerwieniały z gniewu.

— Zauważyli ją podczas rutynowego patrolu — wyjaśnił Phil. — Nie wiedzieli, że

ma związek z tą sprawą. Zorientowali się dopiero przed paroma minutami.

— Gdzie ona jest? — zapytała Laura.

— W Valley Medical.

— W szpitalu? — Jej zaciśnięte serce zaczęło walić o klatkę piersiową jak pięść. — Co jej się stało? Czy jest ranna? Jak poważnie?

— Nie jest ranna — odpowiedział policjant. — Z tego, co wiem, znaleźli ją wędrującą po ulicy, hmm, nago, w zamroczeniu.

— Nago — powtórzyła Laura słabym głosem. Lęk przed pedofilami powrócił i uderzył w nią jak cios młotem. Oparła się o ladę i chwyciła jej krawędź obiema rękami, żeby nie upaść. Usiłowała trzymać się prosto i oddychać głęboko, ale mogła jedynie wciągać płytkie hausty powietrza.

— Naga? — spytała.

— I całkiem oszołomiona, nie mogła mówić — dodał Phil. — Myśleli, że jest w szoku albo może pod wpływem narkotyków, więc zawieźli ją na sygnale do Valley Medical.

Haldane wziął Laurę za ramię.

— Chodźmy. Jedziemy.

— Ale...

— Co się stało?

Oblizwała wargi.

— A jeśli to nie Melanie? Nie chcę nabrać nadziei, a potem...

— To ona — zapewnił. — Dziewięcioletnia dziewczynka zniknęła stąd i dziewięcioletnią dziewczynkę znaleźli siedem przecznic dalej. Mało prawdopodobny zbieg okoliczności.

— Ale jeśli...

— Doktor McCaffrey, o co pani chodzi?

— Jeśli to nie jest koniec koszmaru?

— Hę?

— Jeśli to dopiero początek?

— Pani mnie pyta, czy myślę, że... po sześciu latach tej tortury...

— Czy pan myśli, że ona jeszcze kiedyś będzie normalną małą dziewczynką — dołączyła głucho Laura.

— Proszę nie oczekiwać najgorszego. Zawsze istnieje jakaś nadzieja. Nie można niczego przesądzać, dopóki jej pani nie zobaczy, porozmawia...

Laura z uporem potrząsnęła głową.

— Nie. Nie może być normalna. Nie po tym, co jej zrobił ojciec. Nie po latach wymuszonej izolacji. Na pewno jest bardzo chorym dzieckiem, z głębokimi zaburzeniami. Nie ma nawet jednej szansy na milion, że będzie normalna.

— Nie — przyznał łagodnie, chyba wyczuwając, że zdawkowe pocieszenia tylko

ją rozgniewają. — Nie, ona nie będzie zdrową, idealnie zrównoważoną dziewczynką. Będzie chora, zagubiona, przerażona, może zamknięta we własnym świecie, może niedostępna, może na zawsze. Ale nie wolno pani zapominać o jednym.

Laura podniosła na niego wzrok.

— O czym?

— Ona pani potrzebuje.

Laura kiwnęła głową. Wyszli z zalanego krwią domu.

Deszcz siekł ciemności, piorun rozdarł niebo niczym smagnięcie bata.

Haldane wsadził Laurę do nieoznakowanego sedana. Przyczepił przenośnego koguta do skraju samochodowego dachu. Pojechali do Valley Medical na sygnale, z migającym światłem, sycząc oponami po mokrej jezdni tak głośno, jakby z całego świata uchodziło powietrze.

6

W izbie przyjęć dyżurował doktor Richard Pantangelo. Był młody, miał gęste brązowe włosy i starannie przyciętą rudobrazową brodę. Czekał na Laurę i Haldane za biurkiem w rejestracji, po czym zaprowadził ich do pokoju dziewczynki.

Korytarze były puste, tylko kilka pielęgniarek przemykało się jak duchy. O czwartej dziesięć nad ranem w szpitalu panowała nienaturalna cisza.

Po drodze doktor Pantangelo mówił cichym głosem, niemal szeptem:

— Nie miała żadnych złamań, żadnych skaleczeń ani otarć. Jedna kontuzja, siniec na prawym ramieniu, dokładnie nad żyłą. Wygląda jak ślad po kroplówce, igła numer cztery, niezbyt zręcznie wprowadzona.

— Ona była zamroczona? — zapytał Haldane.

— Właściwie nie zamroczona — odparł Pantangelo. — Żadnych wyraźnych objawów oszołomienia. To raczej przypominało trans. Ani śladu urazów głowy, chociaż nie mogła albo nie chciała mówić, odkąd ją tutaj przywieźli.

Zniżając głos podobnie jak lekarz, lecz niezdolna ukryć zdenerwowania, Laura zapytała:

— A... gwałt?

— Nie znalazłem żadnych dowodów, że została wykorzystana.

Skręcili za róg i zatrzymali się przed pokojem 256. Drzwi były zamknięte.

— Ona jest tam — oznajmił doktor Pantangelo, wpychając ręce w kieszenie białego fartucha.

Laura wciąż rozważała sposób, w jaki lekarz sformułował odpowiedź na pytanie o gwałt.

— Nie znalazł pan żadnych dowodów wykorzystania, ale nie powiedział pan, że nie została zgwałcona.

— Brak śladów nasienia w kanale rodnym — odparł Pantangelo. — Brak sińców i krwawienia na sromie i ściankach pochwy.

— Co musiałoby wystąpić, gdyby dziewczynka w tym wieku była napastowana seksualnie — wtrącił Haldane.

— Tak. I błona dziewicza nietknięta — dodał Pantangelo.

— Więc nie została zgwałcona — podsumował Haldane.

Laura spochmurniała, kiedy dostrzegła smutek i współczucie w łagodnych brązowych oczach lekarza.

Głosem równie cichym jak smutnym Pantangelo powiedział:

— Nie odbyła normalnego stosunku, nie. To możemy wykluczyć. Ale... no cóż, nie mogę stwierdzić na pewno... — odchrząknął.

Laura widziała, że ta rozmowa była dla młodego lekarza niemal równie ciężka jak dla niej. Chciała z tym skończyć, ale musiała usłyszeć wszystko, musiała wiedzieć, a on miał obowiązek ją poinformować.

Przestał chrząkać i podjął przerwany wątek:

— Nie mogę stwierdzić na pewno, że nie doszło do stosunku oralnego.

Bolesny, nieartykułowany jęk wydarł się z ust Laury. Haldane wziął ją za ramię, a ona leciutko oparła się na nim.

— Spokojnie — powiedział. — Tylko spokojnie. Nawet nie wiemy, czy to jest Melanie.

— To ona — odparła ponuro. — Wiem, że to ona.

Chciała zobaczyć córkę, tęskniła za jej widokiem. Ale bała się otworzyć drzwi i wejść do pokoju. Za progiem czekała przyszłość, ale to mogła być przyszłość wypełniona jedynie emocjonalnym cierpieniem, rozpaczą.

Pielęgniarka przeszła obok bez jednego spojrzenia, świadomie odwracając wzrok, odcinając się od tragedii.

— Przykro mi — powiedział Pantangelo.

Wyjął ręce z kieszeni fartucha. Wyraźnie chciał pocieszyć Laurę, ale bał się jej dotknąć. Zamiast tego podniósł jedną rękę do stetoskopu zawieszzonego na szyi i bawił się nim w roztargnieniu. — Proszę pani, jeśli to pomoże... moim zdaniem ona nie była napastowana seksualnie. Nie mogę tego udowodnić. Po prostu czuję. Poza tym bardzo rzadko się zdarza, żeby napastowane dziecko nie miało sińców, zadrapań czy innych widocznych urazów. Ona nie ma żadnych śladów, co świadczy, że nikt jej nie tknął. Naprawdę, gotów jestem się założyć. — Uśmiechnął się do niej, chociaż wyglądał tak, jakby się skrzywił. — Gotów jestem się założyć o rok mojego życia.

— Ale jeśli ona nie była napastowana, dlaczego błąkała się nago po ulicach? — spytała Laura, walcząc ze łzami.

Zanim jeszcze skończyła mówić, domyśliła się odpowiedzi. Dan Haldane również odgadł odpowiedź.

— Widocznie była w komorze deprivacji sensorycznej, kiedy zabójca... lub zabójcy... weszli do domu. W zbiorniku nie miała ubrania.

— Deprivacja sensoryczna? — zapytał Pantangelo, unosząc brwi.

Laura zwróciła się do Haldane'a:

— Może dlatego nie została zabita razem z pozostałymi. Może zabójca nie wiedział, że ona tam była, w zbiorniku.

— Może — zgodził się Haldane.

Laura ciągnęła, szybko nabierając nadziei:

— Widocznie wyszła ze zbiornika po odejściu zabójcy. Jeżeli zobaczyła ciała... tyle krwi... na pewno doznała wstrząsu. To tłumaczy jej zamroczenie.

Pantangelo spojrział z ciekawością na porucznika Haldane'a.

— To jakaś dziwna sprawa.

— Bardzo dziwna — przyznał detektyw.

Laura nagle przestała się bać tego, co zobaczy w pokoju Melanie. Pchnęła drzwi.

Doktor Pantangelo przytrzymał ją za ramię.

— Jeszcze jedno — powiedział.

Laura czekała niespokojnie, kiedy młody lekarz szukał najmniej bolesnych słów, żeby przekazać resztę złych wiadomości. Wiedziała, że będą złe. Czytała to w jego twarzy, ponieważ z braku doświadczenia nie potrafił zachować obojętnej zawodowej uprzejmości.

— Jej stan... — zaczął — ...wcześniej użyłem określenia „trans”. Ale nie całkiem poprawnie. To niemal katatonia. Bardzo przypomina stan, który czasami widzimy u autystycznych dzieci, kiedy wchodzą w najbardziej pasywną fazę.

Laura miała tak sucho w ustach, jakby przez ostatnie pół godziny jadła piasek. Czuła też metaliczny posmak strachu.

— Niech pan to powie, doktorze. Niech pan niczego nie ukrywa. Sama jestem lekarzem. Psychiatrą. Cokolwiek pan mi powie, wytrzymam.

Pantangelo mówił teraz pospiesznie, wyrzucał z siebie słowa, żeby jak najszybciej przekazać złe wiadomości i skończyć z tym.

— Autyzm, w ogóle zaburzenia psychiczne to raczej pani specjalność, nie moja. Toteż chyba nie powinienem wypowiadać się na ten temat. Ale chcę panią przygotować na to, co tam pani zastanie. Jej milczenie, zamknięcie w sobie, oderwanie od rzeczywistości... wątpię, czy ten stan ustąpi szybko i łatwo. Uważam, że miała jakieś cholernie traumatyczne przeżycia i zwróciła się do wewnątrz, żeby uciec od wspomnień. Sprowadzenie jej z powrotem będzie wymagało olbrzymiej cierpliwości.

— Może nigdy nie wrócić? — zapytała Laura.

Pantangelo pokręcił głową, przecesał palcami rudobrazową brodę, pociągnął za stetoskop.

— Nie, nie, tego nie powiedziałem.

— Ale tak pan myślał.

Jego milczenie stanowiło odpowiedź twierdzącą.

W końcu Laura pchnęła drzwi i weszła do pokoju. Lekarz i detektyw ruszyli za nią.

Deszcz bębnił w jedyne okno. Ten dźwięk brzmiał jak skrzydła nocnych ptaków, gorączkowo tłukące o szyby. Daleko w ciemności, ponad niewidocznym oceanem, błyskawica zapulsowała dwukrotnie, trzykrotnie i zgasła.

Łóżko pod oknem było puste, a drugie na środku pokoju było zaciemnione. Lampka paliła się nad pierwszym łóżkiem. Pod prześcieradłem leżało dziecko w zwyczajnej szpitalnej koszuli, z głową opartą na pojedynczej poduszce. Górna część łóżka była uniesiona pod lekkim kątem, toteż Laura od razu zobaczyła twarz dziewczynki, kiedy weszła do pokoju.

To była Melanie. Laura nie miała żadnych wątpliwości. Dziewczynka odziedziczyła po matce włosy, nos, delikatną linię szczęki. Po ojcu — czoło i kości policzkowe. Oczy miała w tym samym odcieniu zieleni co Laura, lecz osadzone głęboko jak u Dylana. W ciągu minionych sześciu lat wyrosła na dziecko inne od tego ze wspomnień Laury, lecz jej tożsamość potwierdził nie tylko wygląd, również coś niekreślonego, jakaś znajoma aura, emocjonalna czy wręcz psychiczna więź pomiędzy matką a córką, którą Laura wyczuła natychmiast, kiedy weszła do pokoju. Wiedziała, że to jest jej córeczka, chociaż nie potrafiła wyjaśnić skąd.

Melanie przypominała dziecko z ogłoszenia międzynarodowej organizacji do zwalczania głodu albo z plakatu ostrzegającego przed rzadką i groźną chorobą. Twarz miała mizerną, skórę bladą, o niezdrowej ziarnistej fakturze. Wargi, bardziej szare niż różowe, były popękane i złuszczone. Zapadnięte oczy otaczały ciemne, rozmazane smugi, jakby Melanie wycierała łzy rękami ubrudzonymi atramentem.

Same oczy najdobitniej świadczyły o ciężkim stanie dziewczynki. Wpatrywała się w przestrzeń przed sobą, mrugała, ale nie widziała niczego — niczego na tym świecie. Ani strach, ani ból nie gościły w tych oczach. Tylko pustka.

— Kochanie? — odezwała się Laura.

Dziewczynka nie drgnęła, nie podniosła wzroku.

— Melanie?

Brak odpowiedzi.

Laura z wahaniem podeszła do łóżka.

Dziewczynka jakby jej nie dostrzegała.

Laura opuściła poręcz, pochyliła się nad córką, ponownie wymówiła jej imię, lecz nie zaobserwowała żadnej reakcji. Drżącą dłońią dotknęła twarzy Melanie, która chyba miała lekką gorączkę, i ten kontakt przełamał całą rezerwę. Tama emocji pękła i Laura chwyciła dziewczynkę w ramiona, uniosła ją z łóżka, przytuliła mocno, z całej siły.

— Melanie, dziecko moje, Melanie, już dobrze, wszystko będzie dobrze, naprawdę, teraz jesteś bezpieczna, przy mnie jesteś bezpieczna, bezpieczna przy mamie, dzięki Bogu, bezpieczna, dzięki Bogu.

Łzy trysnęły z jej oczu i wybuchnęła gwałtownym, nieopanowanym płaczem, jakby sama znowu była dzieckiem.

Gdybyż tylko Melanie zapłakała razem z nią. Lecz dziewczynka nie uroniła ani jednej łzy. Nie odwzajemniła uścisku Laury. Zwisła bezwładnie w ramionach matki; uległe ciało, pusta skorupa, nieświadoma miłości, którą otrzymywała, niezdolna przyjąć matczynej pomocy i opieki, odległa, zagubiona we własnej rzeczywistości.

Dziesięć minut później na korytarzu Laura wytarła oczy kilkoma chusteczkami i wydmuchała nos.

Dan Haldane spacerował tam i z powrotem. Jego buty skrzypiały na wypolerowanych płytkach podłogi. Z wyrazu twarzy detektywa Laura odgadła, że usiłował chociaż w części rozładować gniew z powodu tego, co zrobiono Melanie.

Może niektórzy gliniarze przejmowali się bardziej, niż myślała. W każdym razie ten na pewno.

— Chcę tutaj zatrzymać Melanie przynajmniej do jutra po południu. Na obserwację — powiedział doktor Pantangelo.

— Oczywiście — przytaknęła Laura.

— Kiedy ją wypiszemy ze szpitala, będzie potrzebowała opieki psychiatrycznej.

Laura kiwnęła głową.

— Zastanawiałem się... pani chyba nie zamierza jej leczyć osobiście, prawda?

Laura wepchnęła przemoczone chusteczki do kieszeni płaszcza.

— Pan uważa, że lepiej oddać ją pod opiekę kogoś postronnego, innego terapeuty.

— Tak.

— No więc, doktorze, rozumiem pański punkt widzenia i w większości wypadków zgodziłabym się z panem. Ale nie tym razem.

— Najczęściej to zły pomysł, kiedy terapeuta próbuje leczyć własne dzieci. Pani, jako jej matka, prawie na pewno będzie wymagała więcej od własnej córki niż od zwykłego pacjenta. I wybaczy pani, ale jest całkiem możliwe, że sami rodzice stanowią część problemu.

— Tak. Ma pan rację. Najczęściej. Ale nie tym razem. Ja tego nie zrobiłam swojej córce. Nie brałam w tym udziału. Praktycznie jestem dla niej równie obca jak każdy inny terapeuta, ale mogę jej poświęcić więcej czasu, więcej troski, więcej uwagi niż inni. Dla innego lekarza będzie tylko kolejną pacjentką. Ale dla mnie będzie jedyną pacjentką. Wezmę zwolnienie ze Świętego Marka. Przekażę kolegom prywatną praktykę na kilka tygodni lub nawet miesięcy. Nie będę od niej oczekiwać szybkich postępów, ponieważ mam do dyspozycji cały czas świata. Melanie otrzyma całą mnie, wszystko, co mam do zaoferowania jako lekarz, jako psychiatra, i całą miłość matki.

Pantangelo chyba zamierzał wygłosić kolejne ostrzeżenie albo udzielić następnej rady, ale zmienił zdanie.

— No więc... powodzenia.

— Dziękuję.

Po odejściu lekarza, kiedy Laura i Haldane zostali sami w cichym, antyseptycznie pachnącym korytarzu, detektyw powiedział:

— To wielkie zadanie.

— Poradzę sobie.

— Tego jestem pewien.

— Ona z tego wyjdzie.

— Mam nadzieję.

W dyżurce pielęgniarek na końcu korytarza dwukrotnie zabrzączał stłumiony dzwonek telefonu.

— Posłałem po mundurowego funkcjonariusza — oznajmił Haldane. — Na wypadek gdyby Melanie była świadkiem morderstwa, gdyby ktoś jej szukał, pomyślałem sobie, że lepiej jej pilnować. W każdym razie do jutra po południu.

— Dziękuję, poruczniku.

— Pani tutaj nie zostanie?

— Tak, oczywiście. A gdzież indziej?

— Nie na długo, mam nadzieję.

— Na parę godzin.

— Pani potrzebuje wypoczynku, doktor McCaffrey.

— Melanie potrzebuje mnie bardziej. Zresztą i tak nie mogłabym zasnąć.

— Ale jeśli ona jutro wraca do domu, nie musi pani przygotować dla niej miejsca? Laura zamrugwała.

— Och. Nie pomyślałam o tym. Muszę przygotować sypialnię. Ona już nie zmieści się w kołysce.

— Lepiej niech pani wraca do domu — poradził łagodnie Haldane.

— Za chwilę — zgodziła się Laura. — Ale nie żeby spać. Nie mogę spać. Zostawię ją tutaj samą, dopóki nie przygotuję domu na jej powrót.

— Przykro mi o tym wspominać, ale potrzebuję próbek krwi pani i Melanie.

Zdumiało ją to żądanie.

— Po co?

Haldane zawahał się.

— No, dzięki próbkom krwi pani, pani męża i dziewczynki możemy z całą pewnością ustalić, czy ona jest pani córką.

— Nie ma potrzeby.

— To najłatwiejszy sposób...

— Powiedziałam, nie ma potrzeby — przerwała mu z irytacją — To jest Melanie. To jest moja córeczka. Wiem o tym.

— Rozumiem, co pani czuje — powiedział ze współczuciem. — Na pewno to jest pani córka. Ale ponieważ pani jej nie widziała od sześciu lat, przez które znacznie się zmieniła, i ponieważ ona nie może mówić we własnym imieniu, potrzebujemy jakiegoś dowodu, nie tylko pani instynktu, albo sąd dla nieletnich odda ją pod opiekę stanu. Tego pani nie chce, prawda?

— Mój Boże, nie.

— Doktor Pantangelo mówi, że już mają próbkę krwi dziewczynki. Pobranie od pani kilku mililitrów zajmie tylko chwilę.

— No dobrze. Ale... gdzie?

— Gabinet zabiegowy jest obok dyżurki pielęgniarek.

Laura spojrzała nerwowo na zamknięte drzwi pokoju Melanie.

— Nie możemy poczekać, aż przyjdzie wartownik?

— Oczywiście.

Haldane oparł się o ścianę. Laura stała bez ruchu, wpatrując się w drzwi.

Gładka jak szkło cisza stała się nieznośna.

— Miałam rację, prawda? — powiedziała Laura, żeby ją przełamać.

— Pod jakim względem?

— Wcześniej powiedziałam, że może koszmar wcale się nie skończy, kiedy znajdziemy Melanie, może to będzie dopiero początek.

— Tak. Miała pani rację. Ale przynajmniej to jakiś początek.

Wiedziała, co miał na myśli: Mogli znaleźć ciało Melanie obok pozostałych trupów — zmasakrowane, martwe. To było lepsze. Przeróżające, przygnębiające, dezorientujące, ale stanowczo lepsze.

7

Dan Haldane siedział za biurkiem, z którego korzystał podczas tymczasowego przydziału do wydziału East Valley. Stary drewniany blat, odrapany i porysowany, ozdobiony fryzem z wypalonych śladów po papierosach, pokrywały liczne nakładające się ciemne kółka po mokrych kubkach z kawą. Nie przeszkadzały mu te warunki. Lubił swoją pracę i mógł ją wykonywać nawet w namiocie, gdyby musiał.

Na godzinę przed świtem w wydziale East Valley panowała cisza niezbyt typowa dla posterunku policji. Większość potencjalnych ofiar jeszcze nie wstała i nawet przestępcy musieli czasem spać. Szkieletowy personel dyżurował na posterunku, dopóki nie zjawił się personel dzienny. W tych ostatnich minutach cmentarnej zmiany panowała upiorna atmosfera, jak zawsze nocą w biurze. Jedynym dźwiękiem był samotny terkot maszyny do pisania w pokoju po drugiej stronie korytarza, naprzeciwko barierki, oraz stukanie szczotki woźnego, kiedy obijała się o nogi pustych biurek. Gdzieś zadzwonił telefon; nawet o tej porze ktoś miał kłopoty.

Dan otworzył zamek błyskawiczny swojej sfatygowanej teczki i wysypał zawartość na biurko. Polaroidowe zdjęcia trzech ciał znalezionych w domu w Studio City. Wybrane na ślepo próbki papierów, które zaścielały podłogę w gabinecie Dylana McCaffreya. Zeznania sąsiadów. Wstępne ręcznie pisane raporty ludzi koronera i wydziału badań naukowych. I spisy.

Dan wierzył w spisy. Miał spisy zawartości szuflad, kredensów i szaf w domu, gdzie popełniono morderstwa, spis tytułów książek na półkach w pokoju dziennym, listę numerów telefonicznych z bloczka obok telefonu w gabinecie McCaffreya. Miał również nazwiska — każde nazwisko z każdego skrawka papieru znajdującego się w tym domu. Aż do zamknięcia sprawy zamierzał nosić te spisy przy sobie, wyjmować je i odczytywać ponownie w wolnych chwilach — przy lunchu, w ubikacji, w łóżku przed zgaszeniem światła — i szturchać swoją podświadomość w nadziei, że dozna przełomowego olśnienia albo wykryje znaczące powiązania.

Stanley Holbein, stary przyjaciel i były partner z wydziału rabunków i zabójstw, kiedyś narobił wstydu Danowi na wydziałowym przyjęciu gwiazdkowym, opowiadając

długą, prześmieszoną (i apokryficzną) historię, jak to obejrzał niektóre najbardziej prywatne spisy Dana, między innymi rejestry wszystkich zjedzonych posiłków i wszystkich wypróżnień, poczynawszy od dziewiątego roku życia. Dan, który stał i słuchał ubawiony, chociaż z czerwoną twarzą i rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie marynarki, w końcu chciał na niby udusić Stanleya. Lecz kiedy wyszarpnął ręce z kieszeni, żeby chwycić przyjaciela za gardło, niechcący wyciągnął również pół tuzina spisów, które sfrunęły na podłogę, wywołując huraganowy śmiech wszystkich obecnych i zmuszając go do pospiesznego odwrotu.

Teraz szybko przejrzał najnowsze spisy z niejasną nadzieją, że coś wyskoczy z tych notatek jak diabełek z pudełka. Nic nie wyskoczyło. Zaczął od początku, czytając powoli.

Tytuły książek nic mu nie mówiły. Kolekcja stanowiła dziwaczną mieszaninę psychologii, medycyny, nauk ścisłych oraz okultyzmu. Dlaczego lekarz, naukowiec, interesował się jasnowidzeniem, siłami psychicznymi i innymi paranormalnymi zjawiskami?

Spojrzał na listę nazwisk. Nie rozpoznał ani jednego.

Czując coraz większą kwaśność w żołądku, wrócił do fotografii zwłok. Przez czternaście lat służby w policji, a przedtem cztery lata w wojsku, widział sporo nieboszczyków. Lecz te trupy nie przypominały nic znanego. Widywał ludzi, którzy nadepnęli na minę przeciwpiechotną, a jednak ich ciała były w lepszym stanie.

Zabójców — na pewno było ich kilku — cechowała niezwykła siła lub zwierzęca furia, albo jedno i drugie. Ofiary bito długo po śmierci, tłuczono je na miazgę. Jaki człowiek mógł zabijać z tak niepohamowaną złością i okrucieństwem? Jaka maniakalna nienawiść mogła do tego doprowadzić?

Zanim Dan naprawdę skupił się na tych pytaniach, przerwał mu odgłos zbliżających się kroków.

Ross Mondale przystanął przy biurku Dana. Kapitan wydziału był krępyim mężczyzną średniego wzrostu, z potężnym torsem. Jak zwykle wszystko w nim było brązowe: brązowe włosy, gęste brązowe brwi, czujnie przymrużone piwne oczy, czekoladowy garnitur, beżowa koszula, ciemnobrązowy krawat, brązowe buty. Nosił ciężki sygnet z jaskrawym rubinem, jedyną plamkę koloru w całej jego osobie.

Woźny wyszedł. Zostali sami w wielkim pomieszczeniu.

— Ciągle tu jesteś? — zagadnął Mondale.

— Nie. To tylko taka kartonowa atrapa. Naprawdę jestem w sraczu i wstrzykuję sobie heroinę.

Mondale nie uśmiechnął się.

— Myślałem, że już wróciłeś do centrali.

— Przydzielili mnie do East Valley. Tutejszy smog ma wyjątkowo apetyczny zapach. Mondale spiorunował go wzrokiem.

— Cholera z tymi cięciami funduszków. Dawniej, jak ktoś poszedł na urlop albo na chorobowe, miałem mnóstwo innych na zastępstwo. Teraz musimy ściągać ludzi z innych wydziałów lub pożyczać własnych, kiedy mamy wolne siły, czyli właściwie nigdy. Zawracanie głowy.

Dan wiedział, że Mondale nie narzekałby tak bardzo na wypożyczanie personelu, gdyby wypożyczono mu kogoś innego. Nie lubił Dana. Z wzajemnością.

Razem byli w akademii policyjnej, a później wyznaczono im wspólny wóz patrolowy. Haldane wystąpił o zmianę partnera, bez rezultatu. Wreszcie spotkanie z szaleńcem, kula w piersiach i pobyt w szpitalu załatwiły Danowi to, czego nie osiągnął drogą urzędową: kiedy wrócił do pracy, dostał nowego, godnego zaufania partnera. Dan był urodzonym gliną operacyjnym; lubił pracować na ulicy, gdzie coś się działo. Mondale natomiast wolał siedzieć w biurze; był stworzony do prowadzenia public relations, podobnie jak Ischak Perlmann był stworzony do gry na skrzypcach. Mistrz obłudy, pochlebstwa i wazeliniarstwa, posiadał niesamowitą zdolność wyczuwania nadchodzących zmian w hierarchii wydziałowej władzy, podlizywał się tym przełożonym, którzy mogli najbardziej mu pomóc, porzucał byłych sprzymierzeńców, kiedy tracili wpływy. Wiedział, jak zamydlić oczy politykom i reporterom. Dzięki tym talentom awansował szybciej niż Dan. Plotka głosiła, że burmistrz umieścił Rossa Mondale'a wysoko na liście kandydatów na stanowisko szefa policji.

Lecz chociaż taki miły dla wszystkich innych, Mondale nie znajdował żadnych pochwalnych czy pochlebnych słów dla Dana.

— Masz płamę z jedzenia na koszuli, Haldane.

Dan spuścił wzrok i zobaczył rdzawą plamkę wielkości dziesięciocentówki.

— Chili dog — wyjaśnił.

— Wiesz, Haldane, że każdy z nas reprezentuje cały departament. Naszą powinnością... naszym obowiązkiem jest dbanie o przyzwoity wygląd.

— Słusznie. Nigdy więcej nie zjem chili dog, dopóki nie umrę i nie pójdę do nieba. Odtąd tylko kawior i croissanty, ślubuję uroczystie. Plamy w najlepszym gatunku.

— Zawsze tak się wymądrzasz przy przełożonych?

— Skąd. Tylko przy tobie.

— Mało mnie to obchodzi.

— Tak podejrzewałem — przyznał Dan.

— Wiesz, nie będę wiecznie znosił twojego chamstwa tylko dlatego, że razem byliśmy w akademii.

Mondale tolerował obraźliwe zachowanie Dana bynajmniej nie z powodu nostalgii, o czym obaj doskonale wiedzieli. Tak naprawdę Dan wiedział o Mondale'u coś, co zniszczyłoby karierę kapitana, gdyby wyszło na jaw, co zaszło, kiedy obaj byli drugorocznymi patrolowcami; ważna informacja, która wprawiłaby w szal radości każdego szantażystę.

Oczywiście nigdy nie użyłby tej informacji przeciwko Mondale'owi. Chociaż nie znosił go z całego serca, nie potrafił zmusić się do szantażu.

Natomiast gdyby role się odwróciły, Mondale nie miałby żadnych skrupułów, jeśli chodzi o szantaż czy zemstę. Uporczywe milczenie Dana niepokoiło kapitana, zbijało go z tropu, prowokowało do zawołanych pogroźek przy każdym spotkaniu.

— Sprecyzujmy — zaproponował Dan. — Dokładnie jak długo będziesz znosił moje chamstwo?

— Niedługo, dzięki Bogu. Nie będę musiał. Wracasz do centrali po tej zmianie — oznajmił Mondale.

Uśmiechnął się.

Dan przeniósł cały ciężar ciała na nienaoliwione sprężynujące oparcie krzesła biurowego, które zaprotestowało skrzypieniem, i założył ręce za głowę.

— Żałuję, że muszę cię rozczarować. Zostanę tutaj przez jakiś czas. Wczoraj w nocy wykryłem morderstwo. Teraz to moja sprawa. Myślę, że trochę nad tym popracuję.

Uśmiech kapitana roztopił się niczym lody na gorącej patelni.

— Chodzi ci o potrójne sto osiemdziesiąt siedem w Studio City?

— Aha, teraz rozumiem, dlaczego zjawiłeś się w biurze tak wcześnie. Usłyszałeś o tym. Dwaj dość znani psychologowie załatwieni w tajemniczych okolicznościach, więc liczysz na duże zainteresowanie mediów. Jak ty to wyłapujesz tak szybko, Ross? Sypiasz z policyjnym odbiornikiem pod poduszką?

Ignorując pytanie, Mondale przysiadł na krawędzi biurka i zapytał:

— Jakies tropy?

— Nic. Ale mam zdjęcia ofiar.

Zauważył z satysfakcją, że cała krew odpłynęła z twarzy Mondale'a, kiedy zobaczył zmasakrowane ciała na fotografiach. Kapitan nawet nie przejrzał wszystkich.

— Wygląda na włamanie, które wymknęło się spod kontroli — powiedział.

— Wcale tak nie wygląda. Wszystkie trzy ofiary miały przy sobie pieniądze. W domu było sporo gotówki. Nic nie ukradziono.

— No — rzucił Mondale obronnym tonem — nie wiedziałem o tym.

— Ale powinieneś wiedzieć, że włamywacze zabijają tylko wtedy, kiedy nie mają wyjścia, czysto i szybko. Nie w ten sposób.

— Zawsze są wyjątki — oznajmił pompatycznie Mondale. — Nawet babcie czasami rabują banki.

Dan parsknął śmiechem.

— To prawda — upierał się Mondale.

— Jesteś wspaniały, Ross.

— Ale to prawda.

— Nie moja babcia.

— Nie mówiłem, że twoja babcia.

— Więc mówisz, że twoja babcia rabuje banki, Ross?

— Czyjaś cholerna babcia rabuje, możesz się założyć.

— Znasz bukmachera, który przyjmuje zakłady, czy jakaś babcia obrabuje bank?

Jeżeli szansę są uczciwe, postawię u niego sto dolców.

Mondale wstał. Sięgnął jedną ręką do krawata, poprawił węzeł.

— Nie chcę, żebyś tu dłużej pracował, ty skurwysynu.

— Przypomnij sobie tę starą piosenkę Rolling Stonesów, Ross. Nie będziesz miał tej satysfakcji.

— Mogę wykopać twój tyłek z powrotem do centrali.

— Nie możesz, jeśli nie wykopiesz reszty mnie, a reszta mnie zamierza tutaj zostać przez jakiś czas.

Twarz Mondale'a pociemniała. Zaciśnięte wargi zbladły. Wyglądał jak ktoś doprowadzony do ostateczności.

Zanim kapitan zdążył wykonać jakiś nierozważny gest, Dan podjął:

— Słuchaj, nie możesz mnie odsunąć od sprawy, która była moja od początku, jeśli nie chcesz się wpakować. Znasz przepisy. Ale nie chcę się z tobą wyklócać. Tylko traciłbym nerwy. Więc zawrzyjmy rozejm, hę? Będę ci schodził z drogi, będę grzecznym chłopcem, a ty przestaniesz się czepiać.

Mondale nie odpowiedział. Oddychał ciężko i widocznie wolał się nie odzywać.

— Nie przepadamy za sobą nawzajem, ale to nie powód, żebyśmy nie mogli razem pracować — ciągnął Dan najbardziej pojednawczym tonem, na jaki mógł się zdobyć wobec Mondale'a.

— Dlaczego nie chcesz wypuścić z rąk tej sprawy?

— Wygląda interesująco. Zabójstwa na ogół są nudne. Mąż zabija kochankę żony. Jakiś psychol zabija kilka kobiet, bo przypominają mu matkę. Jeden handlarz prochów wykańcza drugiego handlarza prochów. Widziałem to setki razy. Już mi się przejadło. To jest inne, tak myślę. Dlatego nie chcę tego wypuścić. Wszyscy potrzebujemy odmiany w życiu, Ross. Właśnie dlatego nie powinieneś zawsze nosić brązowych garniturów.

Mondale zignorował przytyk.

— Myślisz, że tym razem mamy coś ważnego?

— Trzy morderstwa... dla ciebie to nie jest ważne?

— Chodziło mi o coś naprawdę dużego — rzucił niecierpliwie Mondale. — Jak rodzina Mansona albo Dusiciel z Hillside, coś w tym rodzaju.

— Możliwe. Zależy, jak się rozwinie. Ale podejrzewam, że to będzie taka historia, która zwiększa nakłady gazet i podnosi oglądalność telewizji.

Mondale zamyślił się nad tym, jego spojrzenie straciło ostrość.

— Nalegam na jedno — oświadczył Dan. Pochylił się, oparł ręce na biurku i przy-

brał poważny wyraz twarzy. — Jeśli mam kierować tą sprawą, nie chcę tracić czasu na wywiady i rozmowy z reporterami. Musisz trzymać tych drani ode mnie z dala. Niech sobie filmują plamy krwi do woli, żeby zdobyć materiał do poobiednich audycji, ale trzymaj ich z daleka. Nie radzę sobie z nimi.

Spojrzenie Mondale'a ponownie się wyostriżyło.

— Umm... tak, jasne, żaden problem. Prasa bywa cholernie upierdliwa. — Dla Mondale'a kamery i publiczność stanowiły nektar bogów, był uszczęśliwiony samą perspektywą, że znajdzie się w centrum uwagi mediów. — Zostaw ich mnie.

— Świetnie — mruknął Dan.

— I składasz raporty tylko mnie, nikomu innemu.

— Jasne.

— Codziennie, co do minuty.

— Jak sobie życzysz.

Mondale popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale nie podejmował dyskusji. Każdy lubi sobie pomarzyć. Nawet Ross Mondale.

— Skoro tak ci brakuje ludzi i w ogóle — rzucił Haldane — pewnie masz dużo pracy?

Kapitan ruszył w stronę własnego gabinetu. Po kilku krokach zatrzymał się, obejrzał i powiedział:

— Na razie mamy dwóch zamordowanych dość prominentnych psychologów, a prominentni zazwyczaj znają innych prominentów. Więc pewnie będziesz się obracał w innych kręgach niż wtedy, kiedy ktoś załatwi handlarza prochów. Poza tym, jeżeli z tego wyjdzie gorąca sprawa i przyciągnie uwagę prasy, ty i ja pewnie spotkamy się z szefem policji, z członkami komisji, może nawet z burmistrzem.

— Więc?

— Więc nie nadepnij nikomu na odcisk.

— Och, nie martw się, Ross, mogę nawet tańczyć z tymi facetami.

Mondale potrząsnął głową.

— Chryste.

Dan patrzył, jak kapitan odchodzi. Potem wrócił do swoich spisów.

8

„Niebo pojaśniało od czerni do mrocznej szarości. Świt jeszcze nie wypełznął z nory, ale podkładał się coraz bliżej i za dziesięć czy piętnaście minut miał wdrapać się na górzysty horyzont.

Publiczny parking szpitala Valley Medical był prawie pusty, szachownica cieni i chaotycznie rozmieszczonych plam jadowicie żółtego światła lamp sodowych.

Siedząc za kierownicą swojego volvo, Ned Rink niechętnie oglądał koniec nocy. Był nocnym stworzeniem, raczej sową niż skowronkiem. Nie potrafił jasno myśleć ani sprawnie funkcjonować aż do popołudnia, a nabierał tempa dopiero po północy. Preferencje te niewątpliwie miał zakodowane w genach, jako dziedzictwo po matce. Osobisty zegar biologiczny Neda nie był zsynchronizowany z zegarami większości ludzi.

Lecz nocny tryb życia stanowił również kwestię wyboru: Ned czuł się bardziej swojsko w ciemności. Był brzydki i wiedział o tym. W blasku dnia wolał schodzić ludziom z oczu, wierzył jednak, że noc łagodzi i częściowo ukrywa jego brzydotę. Zbyt wąskie i cofnięte czoło sugerowało niewielką inteligencję, chociaż w rzeczywistości bynajmniej nie był głupi. Małe oczy osadzone zbyt blisko siebie, krogulczy nos i grubo ciosane rysy dopełniały obrazu twarzy. Miał pięć stóp siedem cali, przy szerokich ramionach, długich rękach i baryłkowatej klatce piersiowej, nieproporcjonalnej do wzrostu.

W dzieciństwie musiał znosić okrutne drwiny rówieśników, którzy przezywali go małpą. Szyderstwa i prześladowania tak go wykończyły psychicznie, że dorobił się wrzodu, zanim skończył trzynaście lat. Obecnie Ned Rink nikomu nie pozwalał się gnębić. Obecnie, jeśli ktoś dał mu się we znaki, Ned po prostu zabijał dręczyciela, rozwałił mu łeb bez wahania i bez żadnych skrępowań. Wspaniały sposób na rozładowanie stresu: Ned już dawno wyleczył się z wrzodów.

Podniósł czarną aktówkę z drugiego fotela. Zawierała biały laboratoryjny kitel, biały szpitalny ręcznik, stetoskop oraz półautomatyczny walther 45 wyposażony w tłumik, załadowany kulami o wydrążonych czubkach i teflonowych powłokach, które gwarantowały przebicie nawet kuloodpornej kamizelki. Nie musiał otwierać aktówki, żeby

sprawdzić zawartość; sam ją spakował przed niecałą godziną.

Zamierzał wejść do szpitala, pójść prosto do publicznej toalety w westybulu, zrzucić płaszcz nieprzemakalny, nałożyć biały fartuch, owinąć pistolet ręcznikiem i pomaszerować prosto do pokoju 256, gdzie umieszczono dziewczynkę. Uprzedzono go, że może się natknąć na policyjnego ochroniarza. W porządku. Poradzi sobie. Poda się za lekarza, wymyśli jakiś pretekst, żeby zwabić gliniarza do pokoju dziewczynki, gdzie pielęgniarki go nie zobaczą, potem zastrzeli tego palanta i dziewczynkę. Później *coup de grace*: kula w ucho dla każdego, żeby się upewnić, że nie żyją. Po wykonaniu zadania Rink natychmiast wyjdzie, wróci do publicznej toalety, zabierze płaszcz nieprzemakalny i aktówkę, po czym wyniesie się ze szpitala.

Plan był łatwy i nieskomplikowany. Nie zawierał praktycznie żadnych ryzykownych elementów.

Zanim Rink otworzył drzwi i wysiadł z volvo, rozejrzał się dokładnie po parkingu, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Chociaż burza minęła i deszcz przestał padać pół godziny wcześniej, pasma lekkiej mgiełki wirowały leniwie w podmuchach łagodnej bryzy i przemieszczały się, tworząc zmienne wzory, przesłaniając niektóre przedmioty, zniekształcając inne. Każde zagłębienie w makadamowej nawierzchni wypełniała deszczówka, liczne kałuże marszczyły się od wiatru i odbijały żółte światło lamp sodowych.

Oprócz dryfującej mgły wszystko trwało w absolutnym bezruchu.

Rink uznał, że nikt go nie śledzi.

Na wschodzie czarnoszare niebo przybrało blady, opalizujący, różowawo-błękitny odcień. Pierwszy leciutki przebłysk promiennej twarzy świtu. Za godzinę dzienna krzątania zastąpi spokojną nocną rutynę szpitala. Czas ruszać.

Niecierpliwie czekał na rozpoczęcie pracy. Zapowiadała się interesująco. Jeszcze nigdy nie zabił dziecka.

9

Dziewczynka obudziła się w samotności. Usiadła na łóżku, próbując krzyczeć. Usta miała otwarte szeroko, mięśnie szyi napięte, naczynia krwionośne w gardle i na skroniach pulsowały od wysiłku, który jednak okazał się daremny.

Siedziała tak przez pół minuty, zaciskając w małych piąstkach prze poczone prześcieradło. Wytrzeszczała oczy. Nie patrzyła ani nie reagowała na nic w pokoju. Groza czała się poza tymi ścianami.

Na chwilę jej spojrzenie nabrało wyrazu. Przestała ignorować szpitalny pokój. Po raz pierwszy zobaczyła, że jest sama. Przypomniała sobie, kim jest. Rozpaczliwie zapragnęła towarzystwa, czyjś wsparcia, bliskości, pociechy.

— Halo? — szepnęła. — K-kto? Kto? Mamo?

Gdyby ktoś przy niej był, może przyciągnąłby jej uwagę tak skutecznie, że przestałaby myśleć o rzeczach, które ją przerażały. Sama jednak nie potrafiła wyrwać się ze szponów koszmaru. Jej oczy znowu się zaszklily, wzrok powędrował do innego wymiaru.

Wreszcie z rozpaczliwym, bezsłownym jękiem dziewczynka przerzuciła nogi przez poręcz i wstała z łóżka. Chwiejnie zrobiła kilka kroków. Upadła na kolana. Dysząc ciężko, rżąc w panice, wpełzła w najciemniejszy kąt pokoju, obok nieposłanego łóżka, do rogu, gdzie przyjazny cień ofiarował schronienie. Przywarła plecami do ściany i podciągnęła kolana. Szpitalna koszula podwinęła się jej na biodrach. Dziewczynka objęła ramionami chude nogi i zwinęła się w ciasną kulkę.

Pozostała w tej pozycji ledwie przez minutę, potem zaczęła skomleć i kwilić jak przestraszone zwierzątko. Uniosła ręce i zakryła twarz, żeby odepchnąć ohydny wizję.

— Nie, proszę, proszę, proszę.

Dysząc szybko i płytko, z narastającą paniką, opuściła dłonie i zacisnęła je w pięści. Uderzyła się w pierś, mocno, mocniej.

— Nie, nie, nie — powtarzała.

Biła dostatecznie mocno, żeby zrobić sobie krzywdę, ale nie czuła ciosów.

— Drzwi — szepnęła. — Drzwi... drzwi...

Nie przerażały jej drzwi pokoju szpitalnego ani drugie, prowadzące do łazienki. Nie

patrzyła na żadne z nich. Ledwie zauważała otoczenie, ponieważ skupiła się na rzeczach, których nie mógł zobaczyć nikt inny z żadnego miejsca w pokoju.

Uniosła dłonie i wyciągnęła przed siebie, jakby napierała na niewidzialne drzwi, rozpaczliwie przytrzymywała je zamknięte.

— Nie.

Wątle mięśnie jej drobnych ramion nabrzmiały, a potem łokcie ugięły się, jakby niewidoczne drzwi rzeczywiście napierały na nią i uchylały się wbrew jej protestom. Jakby coś wielkiego pchało nieustępliwie z drugiej storny. Coś nieludzko, niewyobrażalnie silnego.

Nagle ze zdławionym okrzykiem wyczołgała się z mrocznego kąta. Wpełzła pod wolne łóżko. Bezpieczna. Albo nie. Nigdzie nie było bezpiecznie. Skuliła się w pozycji embrionalnej i znieruchomiła, mamrotała i beznadziejnie usiłowała schować się przed stworem zza drzwi.

— Drzwi — powiedziała. — Drzwi... drzwi do grudnia.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi, wbijając mocno paznokcie we własne kościste ramiona, zaczęła cicho płakać.

— Ratunku, ratunku — powtarzała, ale szept nie docierał do holu, gdzie mogły go usłyszeć pielęgniarki.

Gdyby ktoś odpowiedział na jej wołanie, Melanie mogła uczepić się go ze strachu, niezdolna zrzucić skorupy autyzmu, która osłaniała ją przed nieznośnie okrutnym światem. Niemniej nawet taki kontakt z innym człowiekiem, kiedy go potrzebowała, stanowiłby pierwszy mały krok w stronę uzdrowienia. Lecz w najlepszej wierze zostawiono ją samą, żeby odpoczęła, więc jej błaganie o pomoc i pociechę nie doczekało się odpowiedzi.

Zadygotała.

— Pomóżcie mi. One się otwierają. One się... otwarły.

Ostatnie słowo rozplynęło się w niskim jęku czystej rozpacz. Udręka Melanie dosięgła szczytu.

Stopniowo jej oddech uspokoił się, uregulował, powrócił do normy. Łkania ucichły.

Leżała spokojnie, w idealnym bezruchu, jakby głęboko uśpiona. Lecz w ciemności pod łóżkiem oczy miała wciąż szeroko otwarte, pełne grozy i bólu.

10

Laura wróciła do domu tuż przed świtem i zaparzyła dzbanek mocnej kawy. Zaniósła kubek do gościnnej sypialni i popijała gorący napój, kiedy ścierała kurze, słała łóżko i przygotowywała pokój dla Melanie.

Czteroletnia cętkowana kocica Pieprzówka ustawicznie włąziła jej pod nogi, ocierała się i żądała, żeby ją głaskano i drapano za uszami. Kotka jakby wyczuwała, że wkrótce utraci swoją pozycję domowej faworyty.

Przez cztery lata Pieprzówka stanowiła dla Laury namiastkę dziecka. W pewnym sensie dom również stanowił namiastkę dziecka, pomagał wyładować macierzyńską energię, której Laura nie mogła skierować na własną córkę.

Sześć lat wcześniej, po ucieczce Dylana, który wyczyścił ich konta bankowe i nie zostawił żadnej gotówki, Laura musiała zacisnąć pasa, ciułać i kombinować, żeby utrzymać dom. Nie była to rezydencja, lecz przestronna parterowa willa w hiszpańskim stylu w Sherman Oaks, z czterema sypialniami, po „dobrej” stronie Bulwaru Ventura, na krętej uliczce, gdzie niektóre domy miały baseny, a jeszcze więcej — sauny, gdzie dzieci zwykle posyłano do prywatnych szkół, a domowe psy to nie były kundle, tylko rasowe owczarki niemieckie, spaniele, golden retrievery, airedaleteriery, dalmatyńczyki i pudle zarejestrowane w Amerykańskim Klubie Kynologicznym. Dom stał na dużej parceli, częściowo zasłonięty przez drzewa, krzewy lindery, bujne czerwone i purpurowe hibiskusy, czerwone azalie oraz płot obrośnięty bugenwillą, za gęstym żywopłotem niecierpków we wszelkich możliwych odcieniach wzdłuż serpentynowej, wykładanej kafkami ścieżki, która prowadziła do drzwi frontowych.

Laura była dumna ze swojego domu. Trzy lata wcześniej, kiedy wreszcie przestała opłacać prywatnych detektywów, żeby szukali Dylana i Melanie, zużyła zaoszczędzone pieniądze na drobne remonty: ciemno bejcowane dębowe listwy podłogowe, listwy sufitowe i framugi drzwi; nową, intensywnie ciemnoniebieską glazurę w głównej łazience, z białymi umywalkami-muszelkami w stylu Sherle Wagner i złotą armaturą. Zrównała z ziemią orientalny ogród Dylana na tylnym trawniku, ponieważ przypominał jej o mężu, i zastąpiła go dwudziestoma gatunkami róż.

W pewnym sensie dom zajął miejsce córki, którą jej ukradziono; opiekowała się nim, chuchała i dmuchała na niego, prowadziła ku dojrzałości. Troska o dobry stan domu przypominała matczyną troskę o zdrowie dziecka.

Teraz nie musiała już dłużej sublimować instynktu macierzyńskiego. Jej córka wreszcie wracała do domu.

Pieprzówka miauknęła.

Laura zgarnęła kota z podłogi i trzymając go, z dyndającymi łapami, tuż przy twarzy, powiedziała:

— Zostanie jeszcze mnóstwo miłości dla jednej biednej kici. Nie martw się, myszopłapko.

Zadzwonił telefon.

Laura postawiła kota, przeszła przez hol do głównej sypialni i zdjęła słuchawkę z widełek.

— Halo?

Brak odpowiedzi. Dzwoniący wahał się przez chwilę, po czym odłożył słuchawkę.

Laura niepewnie popatrzyła na telefon. Może pomyłka. Ale o tej martwej godzinie przed świtem, w tę niezwykłą noc dzwoniący telefon i cisza w słuchawce nabierały złowrogiego znaczenia.

Ponownie sprawdziła zamki na drzwiach. Marny środek ostrożności, ale nie potrafiła nic więcej wymyślić.

Wciąż niespokojna, próbowała wyrzucić z myśli głuchy telefon i w końcu poszła do pustego pomieszczenia, niegdyś pokoju dziecinnego.

Dwa lata wcześniej pozbyła się dziecięcych mebelków Melanie, kiedy wreszcie przyznała przed sobą, że jej zaginiona córka do tej pory na pewno ze wszystkiego wyrosła. Nie urządziła pokoju od nowa, rzekomo dlatego, że po powrocie Melanie będzie dostatecznie duża, żeby samodzielnie wybrać nowe meble. Tak naprawdę Laura zostawiła pusty pokój, ponieważ — chociaż nie potrafiła przyznać się do własnych lęków — w głębi duszy czuła, że Melanie nigdy nie wróci, że córeczka zniknęła na zawsze.

Zachowała jednak kilka zabawek. Teraz wyciągnęła z szafy pudło z nimi i przetrząsnęła zawartość. Trzylatka i dziewięciolatka niewiele mają ze sobą wspólnego, ale Laura znalazła dwa przedmioty, które powinny wciąż przemawiać do Melanie: dużą lalkę z gałganków, trochę usmoloną, oraz mniejszego pluszowego misia z oklapłymi uszami.

Zaniosła lalkę i misia do gościnnej sypialni i posadziła je na poduszce, oparte o wezgielnie. Melanie zobaczy zabawki, gdy tylko wejdzie do pokoju.

Pieprzówka wskoczyła na łóżko, podeszła do lalki i misia z zaciekawieniem, lecz zachowując ostrożność. Obwąchała lalkę, szturchnęła nosem misia, po czym zwinęła się w kłębek obok nich; widocznie zdecydowała, że są przyjazne.

Pierwsze smugi dziennego światła wpadały przez oszklone drzwi. Subtelne fluktu-

acje odcieni blasku — od szarości do złota i z powrotem do szarości — powiedziały Laurze nawet bez patrzenia na niebo, że deszcz ustał i chmury się rozchodzą.

Chociaż Laura w nocy przespała tylko trzy godziny i chociaż odbierała córkę ze szpitala dopiero za sześć czy osiem godzin, nie chciała wracać do łóżka. Czuła się ożywiona, pełna energii. Z tarasu przed frontowymi drzwiami przyniosła opakowaną w plastik poranną gazetę. W kuchni wycisnęła dwie duże pomarańcze i napełniła szklankę świeżym sokiem, postawiła garnuszek wody na kuchence, żeby się zagotowała, wyjęła z kredensu pudełko płatków zbożowych z rodzynkami i włożyła dwie kromki chleba do tosterka. Nawet zaczęła nucić — melodię „Daniel” Eltona Johna — kiedy siadała przy stole.

Jej córka wracała do domu.

Artykuły z pierwszej strony gazety — zamieszki na Bliskim Wschodzie, walki w środkowej Afryce, intrygi polityków, napady, rabunki i bezsensowne zabójstwa — nie wprawiły jej w zwykłe przygnębienie. Nie podano informacji o morderstwie Dylana, Hoffritza i nieznanego mężczyzny. Ta historia wydarzyła się zbyt późno, żeby trafić do porannego wydania. Gdyby Laura przeczytała opis tej zbrodni w „Timesie”, pewnie straciłaby radosny nastrój. Ale nie znalazła żadnej wzmianki na ten temat, a po południu Melanie miała wyjść ze szpitala, i biorąc wszystko pod uwagę, zdarzały się gorsze poranki.

Jej córka wracała do domu.

Laura dokończyła śniadanie, odsunęła gazetę i siedziała, Patrząc przez okno na mokry ogród różany. Wilgotne kwiaty wydawały się zbyt jaskrawe w ukośnych promieniach słońca, nienaturalnie barwne, jak w zbyt wyrazistym śnie.

Laura straciła rachubę czasu, mogła tak siedzieć przez dwie minuty albo nawet dziesięć, kiedy wyrwał ją z zamyślenia nagły huk i łoskot gdzieś w domu. Wyprostowała się sztywno, czujna, przestraszona, oczyma duszy widząc ściany zbryzgane krwią i zimne, martwe ciała w nieprzezroczystych plastikowych workach.

Złowieszcza wizja rozviała się, kiedy Pieprzówka wpadła z jadalni do kuchni, szczękając pazurkami po płytkach podłogi. Skoczyła do kąta i stanęła tam ze zjeżoną sierścią na grzbiecie, położywszy uszy, wpatrując się w drzwi, przez które weszła. Potem kotka nagle się opamiętała i z udawaną, niemal komiczną nonszalancją zwinęła się w puszysty kłębek, ziewnęła i spojrzała na Laurę sennymi oczami, jakby mówiła: „Kto, ja? Straciłam swoją kocią godność? Ani na chwilę! Nigdy! Przestraszona? Śmieszne!”

— Coś ty zrobiła, kiciu? Przewróciłaś coś i się złękłaś?

Kotka znowu ziewnęła.

— Lepiej, żebyś nic nie stłukła — ostrzegła Laura — bo sprawię sobie nauszniki z kociego futerka.

Obeszła dom sprawdzając, co zbroiła Pieprzówka, i odkryła to w gościnnej sypialni.

Pluszony miś i szmaciana lalka leżały na podłodze. Na szczęście kot nie poszarpał ich pazurami. Budzik spadł z nocnej szafki. Laura podniosła go i zobaczyła, że nadal tykał; nawet szklana tarcza nie pękła. Odstawiła budzik na miejsce, posadziła lalkę i misia z powrotem na łóżku.

Dziwne. Pieprzówka wyrosła z etapu niezdarnego kocięctwa trzy lata wcześniej. Teraz była nieco zaokrąglona, zrównoważona i całkowicie zadowolona z siebie. To miotanie się, niepodobne do niej, stanowiło kolejną wskazówkę, że kotka zdawała sobie sprawę, iż nie zajmuje już drugiego po Laurze miejsca w domu McCaffreyów.

W kuchni kot nadal leżał w kącie.

Laura nałożyła pokarm do kociej miski.

— Masz szczęście, że nic się nie stukło. Możesz się cieszyć, że cię nie przerobią na nauszniki.

Pieprzówka uniosła się na przednich łapach i nastawiła uszy.

Stukając o miskę pustą puszką po „9 żywotach”, Laura powiedziała:

— Czas na śniadanko, groźna pożeraczko myszy.

Pieprzówka nie drgnęła.

— Zjesz, kiedy zgłodniejesz — stwierdziła Laura i zaniósła pustą puszkę do zlewu, żeby ją opłukać przed wyrzuceniem do śmieci.

Pieprzówka nagle wystrzeliła z kąta, przemknęła przez kuchnię i przez jadalnię, znikła.

— Zwariowana kocica — mruknęła Laura i zmarszczyła brwi, patrząc na nietknięte „9 żywotów”. Zwykle Pieprzówka pchała się do żółtej miski i próbowała jeść, zanim jeszcze Laura wyskrobała do końca pokarm z puszek.

Dziwne.

CZEŚĆ DRUGA

WROGOWIE BEZ TWARZY

ŚRODA 13.00-19.45

11

O pierwszej po południu, kiedy Laura wjechała swoją błękitną hondą do Valley Medical, umundurowany policjant blokował wjazd na główny parking. Skierował ją na parking dla personelu, który otwarto dla gości, „dopóki nie uprzątniemy tego bałaganu”. Jakies osiemdziesiąt czy sto stóp za plecami policjanta zgromadziły się wozy patrolowe LAPD i inne oficjalne samochody, na kilku migały koguty.

Skრęcując na parking dla personelu, zgodnie ze wskazówkami policjanta, Laura spojrzała w prawo nad ogrodzeniem i zobaczyła porucznika Haldane’a. Był najwyższym i największym mężczyzną w całej grupie. Nagle przyszło jej do głowy, że zamieszanie może mieć związek z Melanie i nocnymi zabójstwami w Studio City.

Zanim wcisnęła hondę pomiędzy dwa samochody z plakietkami MD i pobiegła szpitalnym podjazdem z powrotem do ogrodzenia, które otaczało publiczny parking, prawie zdążyła sobie wmówić, że Melanie jest ranna, zniknęła albo nie żyje. Policjant przy bramie nie chciał jej przepuścić, nawet kiedy się przedstawiła, więc krzyknęła do Dana Haldane’a.

Pospiesznie ruszył do bramy, oszczędzając lewą nogę. Niewiele, tylko trochę. Mogła tego nie zauważyć, gdyby strach nie wyostrzył jej zmysłów. Wziął ją pod ramię i poprowadził wzdłuż ogrodzenia do miejsca, gdzie mogli spokojnie porozmawiać.

— Co się stało z Melanie? — zapytała po drodze.

— Nic.

— Niech pan mi powie prawdę!

— Mówię prawdę. Melanie jest w swoim pokoju. Bezpieczna. Tak jak ją pani zostawiła.

Zatrzymali się i Laura stanęła plecami do ogrodzenia, patrząc ponad ramieniem Haldane’a na pulsujące światła alarmowe. Obok samochodów patrolowych zobaczyła furgonetkę z kostnicy.

Nie. To nie w porządku. Znaleźć Melanie po tylu latach i stracić ją znowu tak szybko... to było nie do pomyślenia. Ucisk w piersi. Łomotanie w skroniach.

— Kto zginął? — zapytała.

— Dzwoniłem do pani...
— Chcę...
— ...próbowałem się dodzwonić...
— ...wiedzieć...
— ...przez półtorej godziny.
— ...kto zginął! — wybuchnęła.
— Proszę posłuchać, to nie Melanie. Okay? — Głos miał niezwykle miękki, łagodny i spokojny jak na mężczyznę takich rozmiarów. Spodziewała się ryku, ale on zamruczał:
— Melanie jest cała i zdrowa. Naprawdę.

Laura przyjrzała się jego twarzy, jego oczom. Uwierzyła, że mówił prawdę. Melanie była cała i zdrowa. Ale Laura wciąż się bała.

Haldane powiedział:

— Wróciłem do domu dopiero o siódmej rano, padłem na łóżko. O jedenastej dzwoni telefon i wzywają mnie do Valley Hospital. Myślą, że istnieje jakiś związek pomiędzy tym zabójstwem i Melanie, ponieważ...

— Ponieważ co?

— No, w końcu ona jest tutaj pacjentką. Więc próbowałem panią złapać...

— Robiłam zakupy, kupowałam dla niej nowe ubrania — wyjaśniła Laura. — Co się stało? Kto zginął? Powie mi pan wreszcie, na miłość boską?!

— Facet we własnym samochodzie. W tamtym volvo. Zginął na przednim siedzeniu.

— Kto?

— Według dokumentów nazywał się Ned Rink.

Laura oparła się o siatkę ogrodzenia, jej gorączkowo bijący puls stopniowo zwalniał.

— Znała go pani? — zapytał Haldane. — Neda Rinka.

— Nie.

— Zastanawiałem się, czy nie współpracował z pani mężem. Jak Hoffritz.

— Nic o tym nie wiem. Nazwisko nie brzmi znajomo. Dlaczego pan myśli, że on znał Dylana? Ponieważ zginął w ten sam sposób? Czy tak? Został śmiertelnie pobity jak tamci?

— Nie. Ale to dziwne.

— Proszę mi powiedzieć.

Zawahał się i z wyrazu jego niebieskich oczu odgadła, że chodzi o kolejne wyjątkowo brutalne zabójstwo.

— Proszę mi powiedzieć — powtórzyła.

— Miał zmiążdżone gardło, jakby ktoś walnął go potężnie ołowianą rurą, trafił prosto w jabłko Adama. Więcej niż jeden cios. Mnóstwo obrażeń. Dosłownie roztrzaskana

tchawica, zmiądzona krtań, struny głosowe. Złamany kark. Pęknięty kręgosłup.

— Wystarczy — powiedziała wyschniętymi wargami. — Już rozumiem.

— Przepraszam. W każdym razie to nie wygląda jak ciała ze Studio City, ale jest niezwykle. Rozumie pani, dlaczego podejrzewamy jakiś związek. W obu przypadkach mordowano wyjątkowo gwałtownie. To nie wygląda tak źle jak tamte ciała, nawet w polowie, niemniej...

Odepchnęła się od siatki.

— Chcę zobaczyć Melanie.

Nagle musiała zobaczyć Melanie. To była silna fizyczna potrzeba. Musiała dotknąć dziewczynki, przytulić ją, upewnić się, że dziecku nic nie grozi.

Ruszyła przez parking w stronę frontowych drzwi szpitala. Haldane szedł obok niej, utykając lekko, ale bez widocznego wysiłku.

— Miał pan wypadek? — zapytała.

— Hę?

— Pańska noga.

— Och. Nie. Tylko dawna futbolowa kontuzja ze studiów. Na ostatnim roku fatalnie rozwaliłem sobie kolano. Czasami odzywa się przy deszczowej pogodzie. Jeszcze jedno w sprawie tego faceta z volvo, Rinka.

— Co?

— Miał ze sobą aktówkę. W środku był biały szpitalny fartuch, stetoskop i pistolet z tłumikiem.

— Zastrzelił napastnika? Szuka pan kogoś z raną postrzałową?

— Nie. Nie użył broni. Ale rozumie pani, do czego zmierzam? Szpitalny fartuch? Stetoskop?

— On nie był lekarzem, prawda?

— Właśnie. Wygląda na to, że zamierzał wejść do szpitala, nałożyć fartuch, zawiesić na szyi stetoskop i udawać lekarza.

Zerknęła na niego, kiedy dotarli do krawężnika i weszli na chodnik.

— Po co?

— Na podstawie wstępnych oględzin zastępca patologa ustalił, że Rink został zabity pomiędzy czwartą a szóstą dzisiaj rano, chociaż znaleziono go dopiero o dziewiątej czterdzieści pięć. Więc jeśli chciał odwiedzić kogoś w szpitalu, powiedzmy o piątej rano, prawie na pewno musiałby udawać lekarza, ponieważ godziny odwiedzin zaczynają się dopiero o pierwszej po południu. Gdyby próbował wejść na któryś oddział o tej porze w cywilnym ubraniu, mogła go zatrzymać pielęgniarka albo strażnik z ochrony. Ale w białym fartuchu, ze stetoskopem, mógł się przemknąć niezauważony.

Dotarli do głównego wejścia szpitala. Laura przystanąła na chodniku.

— Kiedy pan mówi „odwiedzić”, nie chodzi panu o odwiedziny.

— Nie.

— Więc pan uważa, że on zamierzał wejść do szpitala i kogoś zabić.

— Człowiek nie nosi pistoletu z tłumikiem, jeśli nie zamierza go użyć. Tłumiki są nielegalne. Za to grożą surowe kary. Złapią cię z tłumikiem i siedzisz po uszy w go... w kłopotach. Poza tym jeszcze nie znam szczegółów, ale dowiedziałem się, że Rink był notowany. Podejrzewają, że przez ostatnie kilka lat działał jako wolny strzelec.

— Płatny zabójca?

— Mogę się założyć.

— Ale to jeszcze nie znaczy, że chciał zabić Melanie. Może kogoś innego w szpitalu...

— Już to uwzględniliśmy. Sprawdzamy na liście pacjentów, czy mają tutaj kogoś z kryminalną przeszłością albo koronnego świadka w procesie, który niedługo się rozpocznie. Albo znanych handlarzy narkotyków czy członków rodziny mafijnej. Na razie niczego nie znaleźliśmy. Nikt nie pasuje jako cel Rinka... oprócz Melanie.

— Czy pan twierdzi, że ten Rink zabił Dylana, Hoffritza i tego trzeciego w Studio City... a potem przyjechał tutaj, żeby zabić Melanie, bo go widziała w akcji?

— Możliwe.

— Więc kto zabił Rinka?

Haldane westchnął.

— W tym miejscu logika zawodzi.

— Ktokolwiek go zabił, nie chciał, żeby on zabił Melanie — oświadczyła Laura.

Haldane wzruszył ramionami.

— Cieszę się, jeśli tak było.

— Z czego tu się cieszyć?

— No, jeśli ktoś zabił Rinka, żeby powstrzymać go od zabicia Melanie, to znaczy, że ona nie ma samych wrogów. Ma również przyjaciół.

Z nieukrywanym współczuciem Haldane zaprzeczył:

— Nie. To niekoniecznie prawda. Ludzie, którzy zabili Rinka, pewnie chcieli dostać Melanie tak samo jak on... tylko chcieli ją dostać żywą.

— Dlaczego?

— Ponieważ ona wie za dużo o eksperymentach prowadzonych w tamtym domu.

— Więc też powinni chcieć jej śmierci, jak Rink.

— Chyba że jej potrzebują, żeby kontynuować eksperymenty.

Laura od razu zrozumiała, że miał rację, i ramiona jej opadły pod brzemieniem tego nowego strachu. Dlaczego Dylan pracował z takim skompromitowanym fanatykiem jak Hoffritz? I kto ich finansował? Żadna legalna fundacja, żaden uniwersytet czy instytut badawczy nie przyznałby grantu Hoffritzowi, odkąd go wyrzuciono z UCLA. Żadna szanująca się instytucja nie opłacałaby również Dylana, człowieka, który porwał wła-

sne dziecko i ukrywał się przed prawnikami żony, człowieka wykorzystującego własną córkę jako królika doświadczalnego w eksperymentach, które doprowadziły ją na skraj autyzmu. Ktokolwiek dostarczał pieniędzy na utrzymanie Dylana i prowadzenie badań tego rodzaju, był szalony, równie szalony jak Dylan i Hoffritz.

Chciała, żeby to wszystko wreszcie się skończyło. Chciała zabrać Melanie ze szpitala, wrócić do domu i odtąd żyć szczęśliwie, ponieważ nikt na świecie nie zasłużył sobie na spokój i szczęście bardziej niż jej mała dziewczynka. Ale teraz „oni” na to nie pozwolą. „Oni” spróbują znowu porwać Melanie. „Oni” potrzebowali dziecka dla celów i powodów, które tylko „oni” rozumieli. Kim, u diabła, oni byli? Ludzie bez twarzy. Ludzie bez nazwiska. Laura nie mogła walczyć z wrogiem, którego nigdy nie widziała, a jeśli nawet widziała, to nie rozpoznała.

— Oni są dobrze poinformowani — powiedziała. — I nie tracą czasu.

Haldane zamrugął.

— O czym pani mówi?

— Melanie przebywała w szpitalu dopiero od kilku godzin, kiedy Rink się zjawił. Nie musiał długo jej szukać.

— Niezbyt długo — przyznał porucznik.

— Co skłania do podejrzeń, że miał swoje źródła.

— Źródła? To znaczy w departamencie policji?

— Możliwe. A przeciwnicy Rinka szybko się dowiedzieli, że on ściga Melanie — dodała Laura. — Oni wszyscy działają cholernie szybko, obie grupy, kimkolwiek są.

Stała przez frontowymi drzwiami szpitala i uważnie obserwowała ruch uliczny, a także sklepy i biura po drugiej stronie alei. Słońce błyszczało w wielkich szklanych taflach okien, lśniło w szybach i chromowanych częściach przejeżdżających samochodów osobowych i ciężarówek. W demaskatorskich promieniach słońca Laura miała nadzieję wykryć coś podejrzanego, co Haldane mógłby ścigać i schwytać, ale widziała tylko zwykłych ludzi robiących zwykłe rzeczy. Rozgniewał ją ten zwykły, powszedni dzień i nieuchwytny wróg, który nie chciał się ujawnić.

Nawet słońce i ciepło irracjonalnie ją drażniły. Haldane właśnie jej powiedział, że ktoś chce zabić jej córkę, a ktoś inny chce ją porwać i znowu zamknąć w komorze deprywacji sensorycznej albo przywiązać do innego prowizorycznie skleconego krzesła elektrycznego, żeby dalej ją torturować, Bóg wie w jakim celu. Takie wiadomości wymagały zupełnie innej atmosfery. Burza nie powinna jeszcze minąć. Niebo powinno być szare, posępne, ciężkie od chmur; powinien padać deszcz i dmuchać zimny wiatr. Zupełnie nie na miejscu wydawała się wspaniała pogoda i ludzie spacerujący w słońcu, uśmiechnięci, pogwizdujący, zadowoleni, podczas gdy Laura zapadała coraz głębiej w mroczny, ponury koszmar na jawie.

Spojrzała na Dana Haldane’a. Wietrzyk rozwiewał jego piaskowe włosy, słońce wy-

ostrzało przyjemne rysy twarzy, dodając im wyrazu. Nawet pomijając korzystną grę światłocienia, był zdecydowanie przystojny. W innych okolicznościach mogłaby się nim zainteresować. Kontrast pomiędzy potężnym ciałem a łagodnym zachowaniem dodawał mu tajemniczości. Zmarnowany potencjał tego związku mogła dopisać do listy zarzutów przeciwko nieznanym „im”.

— Dlaczego tak pilnie chciał pan się ze mną skontaktować? — zapytała. — Dlaczego wydzwaniał pan do mnie przez półtorej godziny? Chyba nie po to, żeby mi powiedzieć o Rinku. Wiedział pan, że tutaj przyjadę. Mógł pan spokojnie poczekać ze złymi nowinami.

Haldane zerknął w stronę parkingu, gdzie furgonetka kostnicy odjeżdżała z miejsca zbrodni. Kiedy znowu spojrzał na Laurę, twarz miał pobrużdżoną, usta zacięte, oczy mroczne od troski.

— Chciałem pani poradzić, żeby znalazła pani prywatną firmę ochroniarską i załatwiła całodobową ochronę domu, kiedy już pani odbierze Melanie ze szpitala.

— Ochroniarza?

— Mniej więcej.

— Ale jeśli jej życie jest w niebezpieczeństwie, czy policja nie zapewni ochrony?

Pokręcił głową.

— Nie w tym przypadku. Nie było bezpośredniego zagrożenia, telefonów z pogroźkami, listów.

— Rink...

— Nie wiemy na pewno, że chciał zabić Melanie. Tylko podejrzewamy.

— Wszystko jedno...

— Gdyby stan i miasto nie cierpiały na wieczny kryzys budżetowy, gdyby policji nie obcięto funduszy, gdyby chronicznie nie brakowało ludzi, moglibyśmy nagiąć przepisy i wziąć pod nadzór pani dom. Ale w obecnej sytuacji nie mogę tego zatwierdzić. A jeśli zarządzę nadzór bez zgody mojego kapitana, wyśle mój tyłek do przetwórni odpadów mięsnych i skończę w puszkach z żarciem dla psów. On i ja nie bardzo się lubimy. Ale agencja ochrony, zawodowi ochroniarze... w niczym nie ustępują policji; oczywiście, gdyby nam nie brakowało ludzi... Może pani sobie pozwolić na ich wynajęcie chociaż na parę dni?

— Chyba tak. Nie wiem, ile coś takiego kosztuje, ale nie jestem biedna. Skoro pan uważa, że to tylko na parę dni...

— Mam przeczucie, że ta sprawa szybko się rozwikła. Te wszystkie zabójstwa, te ryzykowne posunięcia... świadczą wyraźnie, że coś ich naciska, że istnieje jakiś limit czasu. Nie mam zielonego pojęcia, co oni robili pani córeczce i dlaczego tak rozpaczliwie chcą ją odzyskać, ale wyczuwam, że ta sytuacja jest jak ogromna kula śnieżna, która stacza się po zboczu góry, pędzi jak pociąg ekspresowy, coraz większa i większa. Już teraz jest

olbrzymia i zbliża się do podnóża góry. Kiedy wreszcie rąbnie w ziemię, rozprysnie się na setki kawałków.

Jako psychiatra dziecięcy Laura była pewna siebie, nigdy nie miała wątpliwości co do sposobu postępowania z nowym pacjentem. Oczywiście nie wybierała kierunku terapii bez namysłu, ale kiedy już podjęła decyzję, bez wahania wprowadzała ją w życie. Odnosiła sukcesy w uzdrawianiu, w reperowaniu, w naprawianiu okaleczonej psychiki, a każde zwycięstwo wspomagało jej autorytet i wiarę w siebie, co prowadziło do dalszych sukcesów. Teraz jednak czuła się zagubiona. Krucha, bezbronna, bezradna. Nie doznawała tego uczucia od wielu lat, odkąd nauczyła się akceptować zniknięcie Melanie.

— Ja... — zaczęła — ...ja nawet nie wiem, jak... jak się znajduje ochroniarza.

Haldane wyciągnął portfel, pogrzebał w nim, wyjął wizytówkę.

— Większość prywatnych detektywów, których pani wysłała za Dylanem przed laty, prawdopodobnie oferuje również usługi ochroniarskie. Nie wolno nam nikogo polecać. Ale wiem, że ci chłopcy są dobrzy i mają konkurencyjne ceny.

Wzięła wizytówkę, spojrzała na nią:

KALIFORNIA PALADYN, INC.
PRYWATNE DOCHODZENIA
Ochrona osobista

Na dole widniał numer telefonu. Laura włożyła wizytówkę do torebki.

— Dziękuję.

— Niech pani do nich zadzwoni przed wyjściem ze szpitala.

— Zadzwonię.

— Niech przyślą tutaj człowieka. Pojedzie za panią do domu.

Czuła się odrętwiała.

— Dobrze.

Odwróciła się w stronę drzwi szpitala.

— Chwileczkę. — Podał jej drugą wizytówkę, własną. — Numer wydrukowany na środku to moja linia w centrali, ale tam mnie pani nie złapie. Chwilowo przeniesiono mnie do wydziału East Valley, więc zapisałem ten numer na odwrocie. Proszę do mnie dzwonić, jeśli coś pani przyjdzie do głowy, cokolwiek dotyczące przeszłości Dylana albo dawnych badań, które mogą mieć jakiś związek.

Odwróciła wizytówkę.

— Tu są dwa numery.

— Na dole jest mój domowy numer, gdyby nie było mnie w biurze.

— Czy z biura nie przekażą wiadomości?

— Tak, ale nie będą się spieszyć. Gdyby pani chciała mnie szybko złapać, chcę to pani umożliwić.

— Zawsze pan tak rozdaje swój domowy numer?

— Nie.

— Więc dlaczego?

— Bo najbardziej nienawidzę...

— Czego?

— Przestępstw tego rodzaju. Maltretowanie dzieci doprowadza mnie do wściekłości.

Mdli mnie od tego. Krew się we mnie burzy.

— Wiem, co pan czuje — powiedziała.

— Taak, chyba pani wie.

12

Doktor Rafael Ybarra, naczelny pediatra w Valley Medical, spotkał się z Laurą w małym pokoiku obok dyżurki pielęgniarek, gdzie personel przychodził na kawę. Dwa automaty z napojami stały pod ścianą. Maszyna do lodu sapała, brzęczała i klekotała. Za plecami Laury cicho szumiała lodówka. Laura siedziała naprzeciwko Ybarry przy długim stole, na którym leżały szczytane magazyny i stały dwie popielniczki pełne niedopałków.

Pediatra — wysoki, szczupły, o orlich rysach — był ubrany nieskazitelnie, wręcz wymuskany. Jego starannie uczesane włosy przypominały lakierowaną perukę. Kołnierzyk koszuli miał sztywno wykrochmalony, krawat idealnie zawiązany, fartuch uszyty na miarę. Chodził tak, jakby bał się pobrudzić buty, siedział z wyprostowanymi ramionami i podniesioną głową, sztywny i formalny. Zmierzył wzrokiem okruchy i popiół z papierosów na stole, zmarszczył nos i trzymał ręce na kolanach.

Laura doszła do wniosku, że nie lubi tego człowieka.

Doktor Ybarra mówił szybko i autorytatywnie, ucinając słowa:

— Pod względem fizycznym pani córka jest w dobrym stanie, zadziwiająco dobrym, zważywszy na okoliczności. Ma trochę niedowagi, ale to nic poważnego. Prawe ramię jest posiniaczone od wielokrotnego wkłuwania kroplówki przez kogoś niezbyt wprawnego. Lekkie zapalenie cewki moczowej, prawdopodobnie od cewnika. Przepisałem na to odpowiedni środek. I taki jest zakres jej fizycznych niedomagań.

Laura kiwnęła głową.

— Wiem. Przyszłam ją zabrać do domu.

— Nie, nie. Odradzam to pani — sprzeciwił się Ybarra. — Po pierwsze, za trudno będzie opiekować się nią w domu.

— Ona nie jest właściwie chora?

— Nie, ale...

— Nie zanieczyszcza się?

— Nie, chodzi do toalety.

— Potrafi sama jeść?

— W pewnym sensie. Musi pani zacząć ją karmić, a dalej ona przejmuje inicjatywę. I musi pani pilnować jej przy jedzeniu, bo po kilku kęsach ona jakby zapomina, co robi, traci zainteresowanie. Musi pani ją ciągle nakłaniać do jedzenia. Ona potrzebuje też pomocy przy ubieraniu.

— Poradzę sobie z tym wszystkim.

— W dalszym ciągu wolałbym jej nie wypisywać.

— Ale wczoraj w nocy doktor Pantangelo mówił...

Na wzmiankę o Pantangellu doktor Ybarra zmarszczył nos. W jego głosie wyraźnie zabrzmiał niesmak.

— Doktor Pantangelo zakończył swój staż dopiero zeszłej jesieni i pracuje w tym szpitalu od miesiąca. Ja jestem naczelnym pediatrą i moim zdaniem pani córka powinna tutaj zostać.

— Jak długo?

— Jej zachowanie jest typowe dla ostrego stuporu katatonicznego... dość powszechnego w przypadkach długotrwałego uwięzienia i maltretowania. Należy ją tutaj zostawić w celu sporządzenia kompletnej oceny psychiatrycznej. Na tydzień... dziesięć dni.

— Nie.

— To będzie najlepsze dla dziecka — oznajmił tonem tak chłodnym i wyważonym, że aż trudno było uwierzyć, żeby naprawdę chciał jak najlepiej dla kogoś innego niż Rafael Ybarra.

Laura nie rozumiała, jakim cudem dzieci mogą ufać temu nadętemu doktorkowi.

— Jestem psychiatrą — oznajmiła. — Potrafię ocenić jej stan i zapewnić odpowiednią terapię w domu.

— Prowadzić terapię własnej córki? — Uniósł brwi. — Nie uważam tego za rozsądne.

— Mam inne zdanie. — Nie zamierzała tłumaczyć się przed tym człowiekiem.

— Tutaj, po zakończeniu oceny i ustaleniu sposobu leczenia, mamy odpowiednie wyposażenie do przeprowadzenia tej terapii. Pani w domu po prostu nie dysponuje właściwym sprzętem.

Laura zmarszczyła brwi.

— Sprzęt? Jaki sprzęt? O jakim właściwie leczeniu pan mówi?

— To zależy od decyzji doktora Gehagena z psychiatrii. Ale jeśli Melanie nadal zostanie w tym stanie ostrej katatonii albo pograży się jeszcze bardziej, no cóż... barbiturany i terapia elektro wstrząsowa...

— Nic z tego — warknęła Laura, odepchnęła krzesło od stołu i wstała.

Ybarra zamrugał, zaskoczony jej wrogością.

— Narkotyki i elektrowstrząsy... właśnie tym ją torturował przeklęty ojciec przez ostatnie sześć lat.

— No, oczywiście nie zamierzamy stosować tych samych narkotyków ani takich samych wstrząsów elektrycznych, i nasze intencje różnią się od...

— Tak, pewnie, ale jak Melanie ma rozpoznać tę cholerną różnicę? Wiem, że w niektórych przypadkach barbiturany i nawet elektrowstrząsy przynoszą pożądane rezultaty, ale nie nadają się dla mojej córki. Ona musi odzyskać pewność siebie, poczucie własnej wartości. Musi uwolnić się od strachu i bólu. Potrzebuje stabilizacji. Potrzebuje... miłości.

Ybarra wzruszył ramionami.

— No, wypisanie ze szpitala nie zagrozi jej zdrowiu, więc w żaden sposób nie mogę pani powstrzymać przed zabraniem jej do domu.

— Właśnie — powiedziała Laura.

Po odjeździe furgonetki do kostnicy, kiedy technicy z wydziału badań naukowych przeczesywali parking wokół volvo, funkcjonariusz Kerry Burns podszedł do Dana Haldane'a.

— Był telefon z East Valley, wiadomość od kapitana Mondale'a.

— Aha, czcigodny i wspaniały kapitan.

— Chce zaraz pana widzieć.

— Tęskni za mną? — zagadnął Dan.

— Nie powiedział dlaczego.

— Założę się, że za mną tęskni.

— Pan i Mondale macie coś do siebie?

— Bynajmniej. Może Ross jest gejem, ale ja jestem normalny.

— Wie pan, o co mi chodzi. On się panu jakoś naraził?

— To chyba oczywiste, no nie? — rzucił żartobliwie Dan.

— To chyba oczywiste, że psy nie lubią kotów.

— Powiedzmy, że gdybym się zapalił i gdyby Ross Mondale trzymał jedyne wiadro wody w promieniu dziesięciu mil, wolałbym na siebie napluć, żeby zgasić ogień.

— Jasna sprawa. Jedzie pan do East Valley?

— Przecież mnie wezwał, no nie?

— Ale czy pan pojedzie? Muszę oddzwonić i potwierdzić.

— No pewnie.

— Ma pan jechać natychmiast.

— No pewnie.

— Zadzwoń i potwierdź, że pan już jedzie.

— Koniecznie — przytaknął Dan.

Kerry wrócił do wozu patrolowego, a Dan wsiadł do swojego nieoznakowanego wydziałowego sedana. Wyjechał ze szpitalnego parkingu, skręcił w zatłoczoną ulicę i ru-

szył do śródmieścia, w kierunku przeciwnym niż East Valley i Ross Mondale.

Przed rozmową z doktorem Ybarrą Laura zadzwoniła do agencji ochrony, którą polecił Dan Haldane. Zanim skończyła rozmowę, ubrała Melanie w dżinsy, niebieską kra-
ciastą bluzkę i tenisówki oraz podpisała niezbędne formularze zwolnienia, agent z Ka-
lifornia Paladyn już się zjawił.

Nazywał się Earl Benton i wyglądał jak wielki wieśniak, który jakimś cudem obu-
dził się w niewłaściwym domu i musiał włożyć rzeczy z szafy bankiera. Jasnobrązowe
włosy miał zaczesane gładko do tyłu na skroniach i modnie przycięte — przez stylistę,
nie zwykłego fryzjera — ale nie wyglądało to najlepiej; naturalnie rozwichrzona czu-
pryna bardziej pasowałaby do grubych, pospolitych rysów jego twarzy. Kark grubo-
ści siedemnastu cali wydawał się rozsadzać kołnierzyk koszuli od Yvesa St. Laurenta,
a trzyczęściowy szary garnitur wyraźnie krępował ruchy potężnego ciała. Wielkim dło-
niom o grubych palcach brakowało wdzięku, lecz paznokcie były starannie wymani-
kiowane.

Laura odgadła na pierwszy rzut oka, że Earl był jednym z dziesiątków tysięcy ludzi,
którzy co roku napływali do Los Angeles w nadziei na lepsze życie, i najwyraźniej osią-
gnął cel. Mógł awansować jeszcze wyżej, gdyby nabrał więcej ogłady i nauczył się nosić
swoje wytworne stroje. Spodobał się jej. Miał sympatyczny, szeroki uśmiech i zachowy-
wał się swobodnie, a jednocześnie był czujny, spostrzegawczy, inteligentny. Spotkała się
z nim na korytarzu przed pokojem Melanie i kiedy już wyjaśniła te szczegóły, których
nie podała przez telefon, powiedziała:

— Zakładam, że pan ma broń.

— O tak, psze pani.

— To dobrze.

— Zostanę z panią do północy — oznajmił Earl — a potem zmieni mnie kolega.

— Świetnie.

Chwilę później Laura wyprowadziła Melanie z pokoju. Earl nachylił się do małej.

— Jaka ładna z ciebie dziewczynka.

Melanie nie odpowiedziała.

— Faktycznie — ciągnął — przypominasz mi moją siostrzyczkę Emmę.

Melanie spojrzała na niego szklanym wzrokiem.

Earl ujął wiotką dłoń dziewczynki, ginącą w jego ogromnych rękach, i dalej mówił
do niej, jakby prowadził normalną towarzyską rozmowę:

— Emma jest dziewięć lat młodsza ode mnie, chodzi do pierwszej klasy liceum.
Wyhodowała dwa nagrodzone cielątka, ta moja Emma. Ma kolekcję wstążek z odzna-
czeniami, chyba ze dwadzieścia, z rozmaitych konkursów, nawet z pokazów żywego in-
wentarza na trzech różnych okręgowych jarmarkach. Wiesz coś o cielakach? Lubisz

zwierzęta? No, cielątka są naprawdę śliczne. Mają takie łagodne oczy. Założę się, że dobrze byś sobie z nimi radziła, całkiem jak Emma.

Widząc, jak Earl Benton traktuje Melanie, Laura polubiła go jeszcze bardziej.

— No więc, Melanie — podjął — o nic się nie martw, okay? Jestem twoim przyjacielem, a dopóki Earl jest twoim przyjacielem, nikt na ciebie krzywo nie spojrzy.

Dziewczynka jakby nie zauważała jego obecności. Puścił jej dłoń i chude ramię opadło bezwładnie. Earl wstał, poruszył barkami, żeby wyprostować marynarkę, i spojrzął na Laurę.

— Mówi pani, że jej ojciec doprowadził ją do takiego stanu?

— Razem z innymi ludźmi.

— I on... nie żyje?

— Tak.

— Ale tych kilku innych jeszcze żyje?

— Tak.

— Bardzo chciałbym kogoś spotkać. Chciałbym z nim pogadać. Tylko on i ja, sam na sam. Bardzo bym chciał — oświadczył Earl.

W jego głosie pojawił się twardy ton, w oczach zimny błysk: rozgniewany, po raz pierwszy zaczął wyglądać niebezpiecznie.

Laurze również to się spodobało.

— No więc, psze pani... chyba powinienem mówić „pani doktor”... kiedy stąd wyjdziemy, ja pierwszy przejdę przez drzwi. Wiem, że to niedzenteleńskie zachowanie, ale od tej pory, gdziekolwiek pójdziemy, będę panią wyprzedzał o kilka jardów, przeprowadzał zwiad, można powiedzieć.

— Z pewnością nikt nie zacznie do nas strzelać w biały dzień — zaprotestowała Laura.

— Może nie. Ale ja idę pierwszy.

— Zgoda.

— Kiedy każe pani coś zrobić, proszę to zrobić natychmiast, bez zadawania pytań. Zrozumiano?

Kiwnęła głową.

— Może nie wrzasnę na panią — ciągnął. — Może zwykłym tonem powiem „padnij” albo „uciekaj”... jakbym rozmawiał o pogodzie, więc musi pani zachować czujność.

— Rozumiem.

— Doskonale. Na pewno wszystko pójdzie gładko. A więc czy panie gotowe, żeby wrócić do domu?

Ruszyli w stronę windy, która miała ich zwieźć do westybulu.

Przez ostatnie sześć lat Laura co najmniej tysiąc razy marzyła o cudownym dniu, kiedy Melanie wróci do domu. Wyobrażała sobie ten dzień jako najszcześniejszy w jej życiu. Nigdy nie myślała, że to będzie tak wyglądało.

13

W centrali Dan Haldane odebrał dwa foldery od urzędnika z archiwów i zaniósł je do jednego z małych stolików pod ścianą.

Nazwisko na pierwszej teczce brzmiało: Ernest Andrew Cooper. Na podstawie odcisków palców zidentyfikowano go jako ofiarę NN, którą znaleziono poprzedniej nocy razem z Dylanem McCaffreyem i Wilhelmem Hoffritzem w domu w Studio City.

Cooper miał trzydzieści siedem lat, pięć stóp jedenaście cali wzrostu i ważył sto sześćdziesiąt funtów. W teczce były policyjne zdjęcia, dotyczące aresztowania za prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, ale nie przydały się Danowi, ponieważ twarz ofiary została stłuczona na bezkształtną krwawą miazgę. Musiał polegać na odciskach palców.

Cooper mieszkał w Hancock Park, na ulicy milionerów i multimilionerów. Był prezesem rady nadzorczej i głównym udziałowcem Cooper Softech, prosperującej komputerowej firmy software'owej. Aresztowano go trzy razy w granicach Los Angeles, zawsze za jazdę po pijanemu, i w dodatku przy wszystkich trzech okazjach nie miał prawa jazdy. Za każdym razem opierał się aresztowaniu, występował do sądu, otrzymywał wyrok skazujący i musiał zapłacić grzywnę, ale nie siedział w więzieniu. We wszystkich trzech przypadkach oficer aresztujący zanotował, że Cooper uważał za niemoralne — oraz pogwałcenie jego konstytucyjnych praw — żeby rząd wymagał od obywatela noszenia przy sobie jakiegokolwiek dowodu tożsamości, nawet prawa jazdy. Drugi policjant napisał również: „...pan Cooper poinformował tego oficera, że on (Cooper) należy do organizacji Teraz Wolność, która rzuci wszystkie rządy na kolana, i że rzeczona organizacja wykorzysta fakt jego aresztowania jako test na podważenie określonych przepisów, a ten oficer jest nieświadomym narzędziem sił totalitarnych. Następnie zwymiotował i stracił przytomność”.

Uśmiechając się przy ostatnim wierszu, Dan zamknął teczkę. Spojrzał na nazwisko na drugim folderze — Edward Philip Rink — zaintrygowany, co policja ma na tego faceta.

Najpierw zaniósł obie teczki do najbliższego z trzech komputerowych terminali

i usiadł przed monitorem. Włączył terminal, wstukał swój kod dostępu i zapytał o profil Teraz Wolność.

Po krótkiej pauzie informacje zaczęły pojawiać się na ekranie.

Teraz Wolność

Komitet polityczny zarejestrowany w federalnej komisji wyborczej i w Urzędzie Skarbowym.

Uwaga:

Teraz Wolność jest legalną organizacją obywateli, wykorzystujących swoje prawa konstytucyjne. Ta organizacja nie jest przedmiotem dochodzenia żadnego policyjnego wydziału śledczego ani nie powinna być przedmiotem takiego dochodzenia, dopóki zajmuje się działalnością, do której została powołana i do której została uprawniona przez Federalną Komisję Wyborczą. Wszystkie informacje w tym pliku pochodzą z ogólnie dostępnych źródeł. Plik założono wyłącznie w celu zidentyfikowania legalnych politycznych organizacji oraz odróżnienia ich od grup wywrotowych. Istnienie tego pliku nie powinno sugerować żadnego specjalnego zainteresowania policji organizacją Teraz Wolność.

LAPD zebrała pokaźne ciągi od Unii Amerykańskich Swobód Obywatelskich i innych za tajną inwigilację grup politycznych, podejrzanych o uczestnictwo w niebezpiecznej działalności wywrotowej. Departament nadal posiadał pełne uprawnienia do inwigilowania organizacji terrorystycznych, lecz otrzymał zakaz infiltracji prawidłowo zarejestrowanych grup politycznych, dopóki nie dysponował dostatecznymi dowodami, żeby przekonać sędziego, że dana organizacja ma powiązania z innymi grupami osobników zamieszanych w działalność terrorystyczną.

Klauzula na początku pliku była znajoma i Dan nie fatygował się czytaniem. Nacisnął kursor, żeby przejść do kolejnych informacji.

Teraz Wolność — obecny zarząd:

Przewodniczący: Ernest Andrew Cooper, Hancock Park

Skarbnik: Wilhelm Stephan Hoffritz, Westwood

Sekretarz: Mary Katherine O'Hara, Burbank

Teraz Wolność została zarejestrowana w 1979 roku dla wspierania kandydatów o liberalnej orientacji, publicznie deklarujących zamiar działania na rzecz ostatecznego

zniesienia wszelkich rządów poza minimalistycznymi oraz ostatecznego rozwiązania wszelkich partii politycznych.

Cooper i Hoffritz, przewodniczący i skarbnik, obaj już nie żyli. A Teraz Wolność została zarejestrowana w tym samym roku, kiedy Dylan McCaffrey znikł razem z córeczką, co mogło stanowić zbieg okoliczności, ale niekoniecznie.

W każdym razie interesujący zbieg okoliczności.

Dan potrzebował dwudziestu minut, żeby przejrzeć zawartość pliku i porobić notatki. Potem wyłączył terminal i otworzył papierową teczkę z aktami Neda Rinka.

Zawierała wiele dokumentów, które bynajmniej nie były nudne. Rink, martwy człowiek znaleziony w volvo dopiero dzisiaj rano, miał trzydzieści dziewięć lat. Ukończył Akademię Policyjną w Los Angeles, kiedy miał dwadzieścia jeden lat, cztery lata służył w siłach policyjnych i jednocześnie uczęszczał na wieczorowe kursy prawa kryminalnego. Dwukrotnie prowadzono przeciwko niemu wewnętrzne śledztwo w LAPD pod zarzutem brutalności, lecz z braku dowodów nie podjęto żadnych kroków. Zgłosił się do FBI, został przyjęty dzięki uchyleniu przepisu o wymaganym minimalnym wzroście, w ramach zastosowania praw przeciw dyskryminacji, i pracował dla Biura przez pięć lat. Dziewięć lat temu zwolniono go z FBI z nieznanych przyczyn, chociaż poszlaki wskazywały, że przekroczył swoje kompetencje i co najmniej przy kilku okazjach wykazał nadmierny zapał podczas przesłuchiwania podejrzanych.

Dan pomyślał, że zna ten typ. Niektórzy ludzie wybierali służbę w policji, ponieważ pragnęli pełnić użyteczną funkcję publiczną, niektórzy — ponieważ bohaterowie ich dzieciństwa byli policjantami, inni — ponieważ mieli ojców policjantów, a jeszcze inni — ponieważ ten zawód był stosunkowo bezpieczny i zapewniał wysoką emeryturę. Istniały setki powodów. Ludzi w rodzaju Rinka pociągała władza; podniecało ich wydawanie rozkazów, sprawowanie rządów, nie dlatego, że czerpali przyjemność z dobrego kierowania innymi, lecz ponieważ lubili narzucać innym swoją wolę i wzbudzać respekt.

Według akt sprzed ośmiu laty, po zwolnieniu z FBI Rink został aresztowany za napad i usiłowanie zabójstwa. Oskarżenie zredukowano do zwykłego napadu, żeby zapewnić wyrok skazujący, który uzyskano, i Rink odsiedział dziesięć miesięcy, zwolniony przedterminowo za dobre sprawowanie. Dwa lata później znowu go aresztowano jako podejrzanego o morderstwo. Dowody okazały się niewystarczające i oskarżenie wycofano. Od tamtej pory Rink nauczył się ostrożności. Władze miejscowe, stanowe i federalne uważały go za zawodowego zabójcę, pracującego dla przestępczego podziemia i każdego, kto zapłaci za jego usługi; pośrednie dowody przypisywały mu dziewięć morderstw w ciągu ostatnich pięciu lat — co pewnie stanowiło tylko wierzchołek góry lodowej — lecz żadna policyjna agencja nie zdobyła wystarczających dowodów, żeby postawić Rinka przed sądem.

Ale i tak ktoś wymierzył mu sprawiedliwość.

Nie policja ani sąd, tylko ktoś inny.

Haldane zamknął folder, położył go na teczce Coopera i wyciągnął z kieszeni garść najnowszych spisów. Przeglądał je przez kilka minut i tym razem coś wyskoczyło. Nazwisko: Mary O'Hara. Członek zarządu organizacji Teraz Wolność. Jej nazwisko i numer znajdowały się na bloczku obok telefonu w gabinecie Dylana McCaffreya.

Haldane odłożył spisy i siedział przez chwilę pogrążony w myślach. Boże, co za bałagan. Dwaj doktorzy psychologii, obaj dawniej z UCLA — martwi. Jeden biznesmen milioner i polityczny aktywista — martwy. Jeden były gliniarz, były agent FBI i prawdopodobnie płatny morderca — martwy. Dziwaczny szary pokój w zwykłym podmiejskim domu, gdzie jedna mała dziewczynka była — między innymi — torturowana elektrowstrząsami. Przez własnego ojca. Wielki Bóg Szmatławego Dziennikarstwa był łaskawy dla swoich wyznawców: prasa zakocha się w tej historii.

Dan zwrócił dwie teczki urzędnikowi z archiwów i pojechał windą do wydziału badań naukowych.

14

Jak tylko weszli do domu, Earl Benton obszedł wszystkie pokoje i sprawdził, czy drzwi i okna są pozamykane. Zaciągnął zasłony i rolety i poradził Laurze, żeby ona i Melanie trzymały się z dala od okien.

Wybrawszy kilka czasopism ze stosu publikacji leżących na mosiężnej tacy w gabinecie Laury, Earl przysunął krzesło do jednego z frontowych okien w pokoju dziennym, skąd miał widok na chodnik i jezdnię.

— Może wygląda, jakbym się lenił, ale proszę się nie martwić. Nic w tych magazynach nie rozproszy mojej uwagi.

— Ja się nie martwię.

— Moja praca to głównie siedzenie i czekanie. Facet zwariuje, jeśli nie ma gazety albo pisma.

— Rozumiem — zapewniła go.

Pieprzówka, cętkowana kocica, bardziej zainteresowała się Earlem niż Melanie. Przez pewien czas krążyła czujnie wokół niego, obserwowała go, węszyła u jego stóp. Wreszcie wślazła mu na kolana i zażądała pieszczot.

— Ładna kicia — powiedział, drapiąc Pieprzówkę za uszami. Kotka rozłożyła się wygodnie, z rozkosznie zadowoloną miną.

— Ona zwykle nie idzie tak szybko do obcych — odparła Laura.

Earl wyszczerzył zęby.

— Zawsze miałem podejście do zwierząt.

Chociaż to było niemądre, reakcja kotki podniosła Laurę na duchu i jeszcze bardziej zwiększyła jej sympatię do Earla Bentona. Teraz ufała mu kompletnie.

Co to znaczy? — zapytała samą siebie. Czy już mu nie zaufałam? Czy podświadomie miałam wobec niego wątpliwości?

Został wynajęty, żeby chronić ją i Melanie, i to właśnie będzie robił. Nie miała powodu podejrzewać, że był związany z ludźmi, którzy chcieli zabić Melanie — albo z tymi, którzy woleli zamknąć ją żywcem w następnym szarym pokoju.

Lecz właśnie takie podejrzenie tkwiło głęboko w podświadomości Laury.

Powinna bronić się przed paranoją. Nie znała swoich wrogów: wrogów bez twarzy. Dlatego skłonna była podejrzewać wszystkich, tworzyć zawikłane teorie spisku, który zatacza coraz szersze kręgi, aż wreszcie obejmie wszystkich ludzi na świecie prócz niej samej i Melanie.

Zaparzyła kawę dla siebie i Earla, a potem przygotowała gorącą czekoladę dla Melanie i zaniósła do gabinetu, gdzie czekała dziewczynka. Laura załatwiła sobie bezterminowe zwolnienie ze Świętego Marka i poprosiła kolegę, żeby przejął jej prywatnych pacjentów przynajmniej na następny tydzień. Zamierzała rozpocząć terapię z Melanie natychmiast, jeszcze tego samego popołudnia, ale nie chciała prowadzić sesji w jednym pokoju z Earlem, żeby ich nie rozpraszał.

Gabinet był mały, lecz wygodny. Dwie ściany od sufitu do podłogi zakrywały regały, wypełnione eklektyczną kolekcją książek w twardych oprawkach, od egzotycznych tomów z dziedziny specjalistycznej psychologii po popularne powieści. Na pozostałych ścianach, obitych beżowym welurem, wisiały dwie ryciny Delacroix. Stało tam ciemne sosnowe biurko z wyściełanym krzesłem, bujany fotel i szmaragdowozielona sofa z mnóstwem poduszek. Miękkie bursztynowe światło padało z dwóch mosiężnych lamp Stiffela stojących na dopasowanych bocznych stolikach; Earl zaciągnął szmaragdowozielone kotary.

Melanie siedziała na sofie, wpatrując się we własne dłonie, odwrócone wnętrzem do góry.

— Melanie.

Dziewczynka nie okazała, że zdaje sobie sprawę z obecności matki.

— Skarbie, przyniosłam ci gorącej czekolady.

Kiedy dziewczynka nadal nie reagowała, Laura usiadła obok niej. Trzymając kubek w jednej dłoni, drugą ręką ujęła podbródek Melanie, przechyliła jej głowę i spojrzała w oczy.

Nadal były przerażająco puste i Laura nie zdołała nawiązać z nimi kontaktu, przykuć ich uwagi.

— Wypij to, Melanie — powiedziała. — To dobre, smaczne. Będzie ci smakowało. Wiem, że będzie ci smakowało.

Przyłożyła brzeg kubka do ust dziewczynki i cierpliwie nakłoniła córkę, żeby wypła łyk czekolady. Trochę pociekło po policzku Melanie i Laura zebrała krople papierową serwetką, zanim kapnęły na sofę. Po dalszych zachętach dziewczynka zaczęła pić mniej niezdarnie. Wreszcie jej chude rączki uniosły się i objęły kubek dostatecznie mocno, żeby Laura mogła go puścić. Trzymając kubek samodzielnie, Melanie wypła resztkę gorącej czekolady szybko i łapczywie. Kiedy skończyła, oblizała wargi. W jej oczach na mgnienie zabłysło życie, płomyk świadomości; i na sekundę, nie dłużej niż na sekundę, jej oczy napotkały spojrzenie matki, nie patrzyły przez Laurę jak przedtem, ale na nią.

Ta cenna chwila bliskości zelektryzowała Laurę. Niestety Melanie natychmiast wycofała się z powrotem do sekretnego wewnętrznego świata, jej oczy znowu się zaszklily. Teraz jednak Laura wiedziała, że dziecko może powrócić ze swego dobrowolnego wygnania; zatem istniała szansa, chociaż niewielka, że można ją sprowadzić nie na jedną sekundę, lecz na stałe.

Wyjęła pusty kubek z dłoni Melanie i odstawiała na boczny stolik. Potem usiadła przodem do dziewczynki, wzięła ją za ręce i powiedziała:

— Skarbie, minęło tyle czasu, a ty byłaś taka mała, kiedy ostatni raz cię widziałam... może nie wiesz, kim jestem. Jestem twoją matką, Melanie.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

Laura mówiła cicho, łagodnie, tłumacząc wszystko krok po kroku, ponieważ miała pewność, że przynajmniej na poziomie podświadomości Melanie ją rozumie.

— Wydałam cię na ten świat, ponieważ pragnęłam cię bardziej niż czegokolwiek innego. Byłaś takim ślicznym dzieckiem, takim kochanym, nigdy żadnych kłopotów. Nauczyłaś się chodzić i mówić szybciej, niż się spodziewałam, i taka byłam z ciebie dumna. Taka dumna. Potem cię porwano i chciałam tylko, żebyś wróciła. Żeby znowu cię przytulić i kochać. A teraz, maleńka, najważniejsze, żebyś wyzdrowiała, żebyś wyszła z tej dziury, w której się chowasz. I ja cię wyleczę, skarbie. Pomogę ci wyjść z tej dziury. Pomogę ci wyzdrowieć.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Wyraz jej zielonych oczu świadczył, że przebywała gdzieś daleko.

Laura przyciągnęła córkę na kolana, objęła ją, przytuliła. Przez chwilę po prostu tak siedziały, dając sobie bliskość, dając sobie czas, ponieważ musiały stworzyć więź uczuciową, żeby terapia miała jakieś szansę.

Po kilku minutach Laura zaczęła mruczeć kołysankę, potem nucić słowa niemal szeptem. Pogładziła czoło córeczki, odgarnęła jej włosy z twarzy. Oczy Melanie pozostały odległe i szkliste, ale po chwili dziewczynka podniosła rękę i włożyła kciuk do ust. Jakby była małym dzieckiem. Jak wtedy, kiedy miała trzy lata.

Łzy napłynęły do oczu Laury. Głos jej zadrżał, ale dalej śpiewała cichutko i przeczesywała palcami jedwabiste włosy córeczki. Potem przypomniała sobie, jak usilnie próbowała przed sześciu laty odzwyczaić Melanie od ssania kciuka, i rozbawiło ją, że teraz ten widok tak ją ucieszył i wzruszył. Nagle płakała i śmiała się jednocześnie, i na pewno wyglądała głupio, ale czuła się cudownie.

Naprawdę poczuła się tak dobrze, ssanie kciuka przez córkę i przelotny kontakt wzrokowy po wypiciu gorącej czekolady dodały jej tyle otuchy, że postanowiła spróbować hipnozy już dzisiaj, zamiast czekać do jutra, jak planowała. Melanie, przytomna, lecz pogrążona w połowicznej katatonii, wycofała się głęboko w świat fantazji i nie chciała wyjść z bezpiecznej kryjówki swojego umysłu. Pod hipnozą będzie bardziej

ustępliwa, bardziej podatna na sugestię, i może przynajmniej częściowo pozwoli się sprowadzić z powrotem do rzeczywistości.

Hipnotyzowanie kogoś w tym stanie powinno być znacznie łatwiejsze niż zahipnotyzowanie całkiem świadomej osoby — albo wręcz niemożliwe. Laura dalej śpiewała cicho kołysankę i zaczęła masować skronie dziewczynki, wykonując okrężne ruchy koniuszkami palców, naciskając lekko. Kiedy powieki dziecka zatrzepotały, Laura przerwała masaż i powiedziała szeptem:

— Spokojnie, maleńka. Teraz zaśnij, kochanie, śpij, o tak, chcę, żebyś zasnęła, odpręż się... zapadasz w głęboki naturalny sen... jak piórko, które opada coraz niżej w ciepłym, nieruchomym powietrzu... opadasz w dół, w dół... śpisz... ale wciąż słyszysz mój głos... w dół, w dół, wirujesz leniwie jak opadające piórko... w dół, w sen... ale mój głos popłynie za tobą w sen... w dół... w dół... będziesz mnie słuchała i odpowiesz na wszystkie pytania, które ci zadam... śpij, ale słuchaj i bądź posłuszna. Słuchaj i odpowiadaj.

Masowała jeszcze delikatniej, poruszała palcami coraz wolniej, aż wreszcie oczy dziewczynki zamknęły się i zaczęła oddychać miarowo, jak w głębokim śnie.

Pieprzówka wśliznęła się przez uchylone drzwi i popatrzyła na nie z wyraźną ciekawością. Potem przemaszerowała przez pokój, wskoczyła na bujany fotel i zwinęła się w kłębek.

Wciąż trzymając córkę na kolanach, Laura powiedziała:

— Teraz opadłaś na sam dół, zasnęłaś głęboko. Ale słyszysz mnie i odpowiesz, kiedy zadam ci pytanie.

Usta dziewczynki zwiotczały, wargi były lekko rozchylone.

— Słyszysz mnie, Melanie?

Dziewczynka nie odpowiedziała.

— Melanie, słyszysz mnie?

Dziewczynka westchnęła lekko, niemal niedosłyszalnie.

— Ach...

Po raz pierwszy wydała jakiś dźwięk, odkąd Laura zobaczyła ją w szpitalu poprzedniej nocy.

— Jak masz na imię?

Dziewczynka zmarszczyła czoło.

— Me...

Cętkowany kot podniósł głowę.

— Melanie? Czy tak masz na imię? Melanie?

— Me... me.

Pieprzówka nadstawiła uszu.

Laura postanowiła przejść do następnego pytania.

— Czy wiesz, kim jestem, Melanie?

Pogrążone we śnie dziecko oblizało wargi.

— Me... me... to... och... to...

Drgnęła i zaczęła unosić jedną rękę, jakby chciała coś odepchnąć.

— Spokojnie — powiedziała Laura. — Odpręż się. Spokój. Odpręż się i śpij. Jesteś bezpieczna. Jesteś bezpieczna ze mną.

Dziewczynka opuściła rękę. Westchnęła. Kiedy bruzdy na jej twarzy trochę się wygładziły, Laura powtórzyła pytanie:

— Czy wiesz, kim jestem?

Melanie wydała nieartykułowany, skamlący dźwięk.

— Czy wiesz, kim jestem, Melanie?

Twarz dziecka ponownie ściągnęła się z wysiłku lub strachu, usta wymamrotały:

— Umm... uch... uch-uch-uch... to... to...

Laura spróbowała innej taktyki.

— Czego się boisz, Melanie?

— To... to... tam...

Teraz w jej głosie brzmiał strach, porysował bladą skórę jej twarzy.

— Co widzisz? — zapytała Laura. — Czego się boisz, skarbie? Co widzisz?

— Te... tam... te...

Pieprzówka przechyliła łepkę i wygięła grzbiet. Z widocznym napięciem kotka czujnie obserwowała dziewczynkę.

Powietrze było nienaturalnie ciężkie i nieruchome.

Chociaż to było niemożliwe, cienie w kątach pokoju wydawały się większe i ciemniejsze niż przed chwilą.

— To... tam... nie, nie, nie, nie.

Laura położyła uspokajającą dłoń na zmarszczonym czole córki i czekała cierpliwie, kiedy dziewczynka usiłowała coś powiedzieć. Ogarnęło ją dziwne, niepokojące uczucie, zimny dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie jak żywa istota.

— Gdzie jesteś, Melanie?

— Nie...

— Czy jesteś w szarym pokoju?

Dziewczynka głośno zgrzytnęła zębami, zacisnęła powieki, mocno zwarła pięści, jakby broniła się przed czymś bardzo silnym. Laura zamierzała cofnąć ją w czasie, przenieść ją do szarego pokoju w tamtym domu w Studio City, ale Melanie najwyraźniej wróciła tam sama bez żadnej zachęty, gdy tylko została zahipnotyzowana. To nie miało sensu: Laura nigdy nie słyszała o spontanicznej regresji hipnotycznej. Pacjentem trzeba zawsze kierować, namawiać do powrotu na miejsce traumy.

— Gdzie jesteś, Melanie?

— N-n-nie... te... nie!

— Spokojnie. Cicho. Czego się boisz?

— Proszę... nie...

— Uspokój się, skarbie. Co widzisz? Powiedz mi, maleńka. Powiedz mamie, co widzisz. Zbiornik, komorę deprivacyjną? Nikt nie każe ci tam wrócić, kochanie.

Ale nie tego lękała się dziewczynka. Słowa Laury wcale jej nie uspokoiły.

— Te... te...

— Krzesło terapii awersyjnej? Elektryczne krzesło? Nigdy już na nim nie usiądziesz.

Coś innego przerażało dziewczynkę. Zadygotała i wyprężyła się w ramionach Laury, jakby chciała się wyrwać, uciekać.

— Kochanie, ze mną jesteś bezpieczna — zapewniała Laura, przytulając córkę mocniej. — To cię nie skrzywdzi.

— Otwiera... otwiera się... nie... one... otwarte...

— Spokojnie — powtórzyła Laura.

Kiedy zimny dreszcz wędrujący po jej plecach dotarł do karku, doznała przeczucia, że za chwilę stanie się coś straszliwie ważnego.

15

Porucznika Feliksa Porteau z wydziału badań naukowych nazywano za plecami „Poirot”, jak nadętego belgijskiego detektywa z powieści Agathy Christie. Dan nie miał wątpliwości, że Porteau wolał się uważać za Sherlocka Holmesa, pomimo pokaźnego brzuszka, krótkich nóg, zgarbionych ramion, twarzy świętego Mikołaja i błyszczącej łysiny. Dla podtrzymania upragnionego wizerunku Porteau prawie nigdy nie rozstawał się z fajką o wygiętym cybuchu, w której palił aromatyczną mieszankę grubo ciętego tytoniu.

Fajka nie paliła się, kiedy Dan wszedł do gabinetu Porteau, ale przedstawiciel wydziału chwycił ją z popielniczki i wskazał nią krzesło.

— Siadaj, Danielu, siadaj. Oczywiście spodziewałem się ciebie. Zakładam, że przyszedłeś zapytać, czego się dowiedziałem w sprawie Studio City.

— Zadziwiająca spostrzegawczość, Feliksie.

Porteau odchylił się do tyłu w fotelu.

— Wyjątkowa sprawa. Naturalnie upłynie parę dni, zanim otrzymam wszystkie wyniki z mojego laboratorium. — Feliks zawsze mówił: „moje laboratorium”, jakby nie kierował wydziałem badawczym policji w wielkim mieście, tylko samotnie prowadził eksperymenty w jednym pokoju prywatnego mieszkania na Baker Street. — Jednakże mogę przedstawić ci kilka wstępnych wniosków, jeśli sobie życzysz.

— Jesteś bardzo uprzejmy.

Porteau przygryzł ustnik fajki, rzucił Danowi chytre spojrzenie i uśmiechnął się.

— Kpisz sobie ze mnie, Danielu.

— Nigdy.

— Owszem. Kpisz ze wszystkich.

— Robisz ze mnie przemądrzałego gnojka.

— Bo jesteś przemądrzałym gnojkiem.

— Wielkie dzięki.

— Ale miłym, dowcipnym, inteligentnym, uroczym gnojkiem... a to wielka różnica.

— Teraz robisz ze mnie Cary Granta.

— Czy tak siebie widzisz?

Dan zastanowił się nad pytaniem.

— No, może w tej chwili połowa Cary Granta i połowa Kojota.

— Kogo?

— Kojota z kreskówki ze Strusiem Pędziwiatrem.

— Aha. Dlaczego?

— Mam wrażenie, że ogromny głaz właśnie stoczył się ze skały nad moją głową i spada prosto na mnie, i zaraz zostanę rozpląszczony jak naleśnik.

— Ten głaz to ta sprawa?

— Właśnie. Są jakieś odciski palców, które nam pomogą?

Porteau otworzył szufladę biurka i wyjął kapciuch z tytoniem. Zaczął nabijać fajkę.

— Liczne odciski należące do trzech ofiar. W całym domu. Inne należące do małej dziewczynki... chociaż tylko w przerobionym garażu.

— W laboratorium.

— W szarym pokoju, jak to nazwał jeden z moich ludzi.

— Więc trzymano ją stale w tym pokoju?

— Z pewnością to najbardziej logiczny wniosek. Mamy kilka częściowych z łazienki w holu, które mogą należeć do niej, ale z żadnego innego miejsca w domu.

— I nic więcej? Żadnych odcisków, które mogły należeć do zabójców?

— Och, oczywiście znaleźliśmy dużo innych odcisków, głównie częściowych. Przepuszczamy je przez nowy przyspieszony komputerowy program porównawczy, żeby je dopasować do odcisków znanych przestępców, ale jak dotąd nie dopisało nam szczęście. I wątpię, żeby dopisało. — Przerwał, skończył ubijać tytoń w pojemnej główce fajki i sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. — W trakcie twojej kariery, Danielu, ile razy zdarzyło się, że morderca zostawił na miejscu zbrodni wyraźne, nierozmazane i łatwe do identyfikacji odciski palców?

— Dwa razy — odparł Dan. — W ciągu czternastu lat. Więc odciski nie pomogą. A co mamy?

Porteau zapalił fajkę, wydmuchnął słodkawy dym i machaniem zgasił zapalniczkę.

— Nie znaleziono żadnej broni...

— Jedna z ofiar miała pogrzebacz.

Porteau przytaknął.

— Pan Cooper widocznie zamierzał go użyć do obrony. Ale nikogo nie uderzył. Krew na pogrzebaczku należała wyłącznie do Coopera, tylko kilka kropli, część naturalnego układu rozprysków, które pokrywały ściany i podłogę wokół ciała.

— Więc Cooper ani razu nie walnął napastnika i sam też nie zainkasował żadnych ciosów pogrzebaczem.

— Właśnie.

— Czy ekipa odkurzenia zebrała coś poza brudem?

— Wyniki są analizowane. Szczerze mówiąc, nie jestem optymistą.

Porteau zwykle był optymistą, kolejna holmesowska cecha, więc jego pesymizm w obecnej sprawie wyglądał dość niepokojąco.

— A brud spod paznokci ofiar? — zapytał Dan.

— Nic ciekawego. Ani skóry, ani włosów, ani krwi oprócz własnej pod paznokciami, co prawdopodobnie znaczy, że nie mieli szans podrapać napastników.

— Ale zabójcy musieli się zbliżyć. Przecież pobili tych ludzi na śmierć, Feliksie.

— Tak. Ale chociaż musieli się zbliżyć, chyba nie odnieśli żadnych obrażeń. Pobraliśmy liczne próbki krwi z każdej powierzchni w tych pokojach, ale wszystkie należały do ofiar.

Siedzieli w milczeniu.

Porteau wypuszczał kłęby wonnego dymu w powietrze nad swoją głową. Jego oczy przybrały nieobecny wyraz, kiedy rozważał materiał dowodowy w tej sprawie, i gdyby grywał na skrzypcach jak Sherlock Holmes, pewnie teraz sięgnąłby po instrument.

Wreszcie Dan powiedział:

— Zakładam, że widziałeś fotografie ciała.

— Tak. Potworne. Niewiarygodne. Co za furia.

— Czy nie wydaje ci się, że ta sprawa będzie naprawdę upiorna?

— Danielu, ja uważam wszystkie morderstwa za upiorne — odparł Porteau.

— Ale to wygląda bardziej upiornie niż zwykle.

— Bardziej upiornie niż zwykle — zgodził się Porteau z uśmiechem, jakby zadowolony z wyzwania.

— Dostaję gęziej skórki.

— Uważaj na ten spadający głaz, panie Kojocie.

Dan zostawił porucznika z badań naukowych w aromatycznym obłoku dymu i zjechał windą na dół, tym razem do sutereny, gdzie mieścił się wydział patologii.

16

Wciąż pogrążona w hipnotycznym transie, dziewczynka zawołała:

— Nie!

— Melanie, skarbie, uspokój się, spokojnie, nikt ci nie zrobi krzywdy.

Dziewczynka odrzuciła głowę do tyłu, chwytając powietrze szybkimi, płytkimi haustami, świadczącymi o panice. Narastający jęk strachu i zgrozy uwiązał jej w gardle i wydobył się tylko jako cienkie, piskliwe „iiiiiiii”. Szarpnęła się i próbowała zejść z kolan matki. Laura przytrzymała ją.

— Przestań walczyć, Melanie. Odpręż się. Cicho. Spokojnie.

Nagle dziewczynka zaatakowała niewidzialnego wroga, wymachując rękami. Niechcący uderzyła matkę w pierś, potem w twarz, dwa silne, dotkliwe ciosy.

Przez chwilę Laura czuła się oszołomiona. Cios w twarz był dostatecznie mocny, żeby wywołać mimowolne łzy bólu.

Melanie stoczyła się z kolan matki na podłogę i odpełzła od kanapy.

— Melanie, stój!

Pomimo sugestii posthipnotycznej, nakazującej córce słuchać rozkazów Laury, dziewczynka zignorowała matkę. Przeczółgała się obok bujanego fotela, wydając żałosne zwierzęce dźwięki czystego przerażenia.

Cętkowana kotka stanęła na fotelu i położyła uszy po sobie, sycząc złowrogo. Kiedy Melanie podczołgała się bliżej, Pieprzówka przeskoczyła przez dziewczynkę i błyskawicznie uciekła z gabinetu.

— Melanie, posłuchaj mnie.

Dziewczynka zniknęła za biurkiem.

Z lewym policzkiem wciąż piekącym w miejscu, gdzie córka ją uderzyła, Laura również weszła za biurko. Melanie schowała się w pustej przestrzeni między szafkami. Laura nachyliła się i zajrzała do niej. Dziewczynka kulila się z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując nogi ramionami, wytrzeszczając oczy, które jak poprzednio nie widziały ani Laury, ani niczego w tym pokoju.

— Skarbie?

Chwytając oddech jak po długim biegu, Melanie wykrztusiła:

— Nie pozwól ich... otworzyć. Trzymaj je... zamknięte... mocno zamknięte.

Earl Benton wszedł w drzwi.

— Z wami okay?

Laura wyjrzała znad blatu biurka.

— Tak. Tylko... moja córka, ale nic jej nie będzie.

— Na pewno? Nie trzeba pomóc?

— Nie, nie. Muszę być z nią sama. Poradzę sobie.

Z ociąganiem Earl wrócił do pokoju dziennego.

Laura ponownie zajrzała pod biurko. Melanie wciąż ciężko dyszała i zaczęła również gwałtownie dygotać. Strumienie łez spływały jej po policzkach.

— Wyjdź stamtąd, skarbie. Dziewczynka nie drgnęła.

— Melanie, masz mnie słuchać i robić, co ci każe. Wyjdź stamtąd natychmiast.

Zamiast usłuchać, dziewczynka próbowała wcisnąć się głębiej pod biurko, chociaż nie miała już miejsca.

Laura nigdy nie spotkała się z tak całkowitym buntem pacjenta podczas terapii hipnotycznej. Przyjrzała się dziewczynce i w końcu postanowiła, że na razie pozwoli jej zostać pod biurkiem, skoro tam Melanie czuje się przynajmniej odrobinę bezpieczniej.

— Kochanie, przed czym się chowasz?

Brak odpowiedzi.

— Melanie, musisz mi powiedzieć... co takiego widzisz, co chcesz trzymać zamknięte?

— Nie pozwól ich otworzyć — poprosiła żałośnie dziewczynka, po raz pierwszy jakby reagując na głos Laury, chociaż wciąż skupiała wzrok na jakimś koszmarze z innego czasu i miejsca.

— Nie pozwól czego otworzyć? Powiedz mi, Melanie.

— Trzymaj je zamknięte! — krzyknęła dziewczynka, zacisnęła powieki i przygryzła wargę tak mocno, że popłynął mały strumyczek krwi.

Laura sięgnęła pod blat biurka i uspokajająco położyła rękę na ramieniu córki.

— Kochanie, o czym ty mówisz? Pomogę ci trzymać to zamknięte, jeśli tylko mi powiesz, co to jest.

— Te d-d-drzwi — wyjąkała dziewczynka.

— Jakie drzwi?

— Drzwi!

— Drzwi do zbiornika?

— Otwierają się, otwierają się!

— Nie — zaprzeczyła ostro Laura. — Posłuchaj mnie. Musisz mnie słuchać i wierzyć

w to, co mówię. Drzwi się nie otwierają. Są zamknięte. Mocno zamknięte. Popatrz na nie. Widzisz? Nawet się nie uchyliły, nie ma ani jednej szparki.

— Ani jednej szparki — powtórzyła dziewczynka i teraz nie ulegało już wątpliwości, że przynajmniej częściowo słyszy głos matki i reaguje, chociaż patrzyła przez Laurę na wylot i wciąż przebywała w jakiejś innej, stworzonej przez siebie rzeczywistości.

— Ani jednej szparki — potwierdziła Laura uszczęśliwiona, że przynajmniej odrobinę panuje nad sytuacją.

Dziewczynka trochę się uspokoiła. Drżała i twarz nadal miała ściągniętą ze strachu, ale już nie zagryzała wargi. Karmazynowa strużka krwi zasychała w krzywą linię na jej brodzie.

— Teraz, kochanie — powiedziała Laura — drzwi są zamknięte i pozostaną zamknięte, i nic po drugiej stronie ich nie otworzy, ponieważ założyłam na nie nowy zamek, ciężki zamek z zasuwą. Rozumiesz?

— Tak — powiedziała dziewczynka słabo, z powątpiewaniem.

— Popatrz na drzwi. Jest na nich wielki, błyszczący, nowy zamek. Widzisz ten nowy zamek?

— Tak — przytaknęła Melanie, tym razem z większym przekonaniem.

— Wielki mosiężny zamek. Ogromny.

— Tak.

— Ogromny i mocny. Absolutnie nic na świecie nie zdoła wyłamać tego zamka.

— Nic — zgodziło się dziecko.

— Dobrze. Doskonale. A teraz... chociaż drzwi nie można otworzyć, chciałabym wiedzieć, co jest za tymi drzwiami.

Dziewczynka nie odpowiedziała.

— Kochanie? Pamiętaj o mocnym zamku. Jesteś teraz bezpieczna. Więc powiedz mi, co jest za tymi drzwiami.

Drobne, białe dłonie Melanie ciągnęły i klepały puste powietrze pod biurkiem, jakby usiłowały coś narysować.

— Co jest po drugiej stronie drzwi? — zapytała ponownie Laura.

Ręce poruszały się niezmordowanie. Dziewczynka wydała jęk rozczarowania.

— Powiedz mi, skarbie.

— Drzwi...

— Dokąd prowadzą te drzwi?

— Drzwi...

— Jaki pokój jest po drugiej stronie?

— Drzwi do...

— Dokąd?

— Drzwi... do... grudnia — powiedziała Melanie. Jej strach załamał się pod miąż-

dżącym ciężarem wielu innych uczuć — żalu, rozpacz, smutku, samotności, frustracji — wszystkich wyraźnie brzmiących w jej nieartykułowanych jękach i niepohamowanym płaczu. — Mamo? Mamo?

— Jestem tutaj, maleńka — powiedziała Laura zaskoczona, że córka ją woła.

— Mamo?

— Tutaj, kochanie. Chodź do mnie. Wyjdź stamtąd.

Zapłakana dziewczynka nie wyszła, lecz ponownie zawołała:

— Mamo?

Widocznie myślała, że jest sama, daleko od kojących objęć Laury, chociaż w rzeczywistości dzieliło je zaledwie kilka cali.

— Och, mamo! Mamo!!!

Wpatrując się w mroczną przestrzeń pod biurkiem, słysząc szlochy i jęki córeczki, sięgając do niej, dotykając jej, Laura podzielała niektóre z uczuć Melanie, zwłaszcza żal i frustrację, ale wypełniała ją również ogromna ciekawość. Drzwi do grudnia?

— Mamusiu?

— Tutaj, jestem tutaj.

Były tak blisko siebie, lecz rozdzielone olbrzymią, tajemniczą przepaścią.

Luther Williams, młody czarny patolog, pracował w LAPD. Ubierał się jak duch Sammy Davisa, Jr. — barwne garnitury i za dużo biżuterii — ale był równie elokwentny i zabawny jak Thomas Sowell, czarny socjolog. Luther podziwiał Sowellę oraz innych socjologów i ekonomistów z burżuazyjnego konserwatywnego odłamu społeczności czarnych intelektualistów i potrafił cytować obszerne ustępy z ich książek. Zbyt obszerne. Kilka razy robił Danowi wykłady na temat pragmatycznej polityki i wychwalał zalety ekonomiki wolnorynkowej jako mechanizmu wydzwignięcia ubogich z biedy. Był takim doskonałym patologiem, wyczulonym na wszelkie drobne anomalie ważne w medycynie sądowej, że prawie opłacało się wysłuchiwać jego sztywnych politycznych wywodów w zamian za dostęp do informacji, które wydobywał ze sztywnych ciał. Prawie.

Luther siedział przy mikroskopie, badając próbkę tkanki, kiedy Dan wszedł do laboratorium wyłożonego zielonymi kafelkami. Patolog podniósł wzrok i wyszczerzył zęby, kiedy rozpoznał gościa.

— Danny, chłopie! Wykorzystałeś te bilety, które ci dałem?

Przez chwilę Dan nie wiedział, o czym tamten mówi, ale zaraz sobie przypomniał. Luther kupił dwa bilety na debatę pomiędzy G. Gordonem Liddym a Timothyem Learym, a potem coś mu wypadło. Natknął się na Dana w holu przed tygodniem i niemal przemocą wcisnął mu bilety. „To cię uświadomi”, oświadczył.

Teraz Dan przestępował z nogi na nogę.

— Mówiłem ci w zeszłym tygodniu, że pewnie nie dam rady. Prosiłem, żebyś dał bilety komuś innemu.

— Nie poszedłeś? — zapytał rozczarowany Luther.

— Nie miałem czasu.

— Danny, Danny, musisz znaleźć czas na te rzeczy. Toczy się walka, która ukształtuje nasze życie, walka pomiędzy zwolennikami wolności a jej przeciwnikami, cicha wojna pomiędzy miłującymi wolność libertarianami a nienawidzącymi wolności faszystami i lewakami.

Dan nie głosował — ani nawet nie rejestrował się w punktach wyborczych — od dwunastu lat. Niewiele go obchodziło, która partia czy frakcja ideologiczna jest przy władzy. Wcale nie uważał, że republikanie i demokraci, liberałowie i konserwatyści to same oszołomy; pewnie tacy byli, ale jemu właściwie to nie robiło różnicy i nie dlatego uparcie trwał w politycznym celibacie. Wierzył, że społeczeństwo jakoś się utrzyma bez względu na to, kto nim rządzi, i nie miał czasu na wysłuchiwanie nudnych politycznych argumentów.

Jego największą, najbardziej absorbującą pasją było morderstwo i właśnie dlatego nie miał czasu na politykę. Morderstwo i mordercy. Niektórzy ludzie zdolni byli do niewyobrażalnej brutalności, co go fascynowało. Nie ci zabójcy, którym ewidentnie brakowało piątej klepki. Nie ci, którzy zabijali w bezmyślnym napadzie szału lub wściekłości, na skutek wyraźnej prowokacji. Ale ci inni. Niektórzy mężowie zabijali własne żony bez żadnych skrupułów, po prostu dlatego, że im się znudziły. Niektóre matki zabijały własne dzieci tylko dlatego, że nie chciały dłużej ponosić odpowiedzialności za ich wychowanie, i nie odczuwały żalu ani skruchy. Cholera, niektórzy ludzie mogli zabić każdego z byle powodu, nawet z powodu takiego drobiazgu jak zajechanie drogi; nigdy nie znudzili Dana ci amoralni socjopaci i ich pokrętna psychika. Pragnął ich zrozumieć. Czy byli chorzy umysłowo albo opóźnieni? Czy tylko niektórzy ludzie zdolni byli popełnić morderstwo z zimną krwią, kiedy nie chodziło o samoobronę, czy też zabójcy stanowili odrębny gatunek? Jeżeli byli inni, jak wilki w społeczeństwie owiec, chciał wiedzieć, czym się różnili. Czego im brakowało? Dlaczego nie znali empatii ani współczucia?

Nie całkiem rozumiał własną intelektualną fascynację morderstwem. Nie miał zadatków na filozofa, myśliciela — przynajmniej nie myślał o sobie w tych kategoriach. Może każdy, kto pracował dzień po dniu w świecie przemocy, krwi i śmierci, z biegiem lat zaczynał filozofować. Może inne gliny od zabójstw też poświęcały wiele czasu na kontemplowanie mrocznych stron ludzkiej natury, może nie był jedyny; nie mógł tego wiedzieć; większość gliniarzy nie gadała o takich sprawach.

Oczywiście w jego przypadku potrzeba zrozumienia morderstwa i morderczego umysłu mogła wynikać z faktu, że jego brat i siostra zostali zamordowani. Mogła.

Teraz Luther Williams, cuchnący silnie alkoholem i słabo innymi chemikaliami używanymi w laboratorium patologii, uśmiechnął się do Dana i powiedział:

— Słuchaj, Danny, w przyszłym tygodniu jest naprawdę świetna debata pomiędzy...

Dan przerwał mu.

— Przepraszam, Luther, ale nie mam czasu na pogawędki. Potrzebuję kilku informacji, i to zaraz.

— Skąd ten pośpiech?

— Muszę się odlać.

— Danny, wiem, że polityka cię nudzi...

— Nie, wcale nie o to chodzi — zaprzeczył Dan z kamienną twarzą. — Naprawdę muszę się odlać.

Luther westchnął.

— Pewnego dnia totalitaryści przejmą władzę i wydadzą takie prawo, że nie będziesz mógł się odlać bez zezwolenia od Oficjalnego Federalnego Urynarnego Strażnika.

— Au.

— Wtedy przyjdiesz do mnie z pękającym pęcherzem i powiesz: „Luther, mój Boże, dlaczego nie ostrzegłeś mnie przed tymi ludźmi?”

— Nie, nie, obiecuję, że odczołgam się gdzieś do kąta i będę siedział cicho, aż pęcherz mi pęknie. Obiecuję, przysięgam, że nie będę ci zawracał głowy.

— Właśnie, bo wolisz narazić się na pęknięcie pęcherza, niż usłyszeć moje: „A nie mówiłem?”

Luther siedział przy laboratoryjnym stole na obrotowym stołku. Dan przyciągnął drugi stołek i usiadł naprzeciwko.

— Okay. Olśnij mnie błyskotliwą analizą naukową, doktorze Williams. Masz tutaj trzech specjalnych klientów z ostatniej nocy. McCaffrey, Hoffritz i Cooper.

— Wyznaczeni do autopsji dzisiaj wieczorem.

— Jeszcze ich nie zrobili?

— Mamy spore zaległości, Danny. Zabijają ich szybciej, niż nadążamy ich kroić.

— To wygląda na pogwałcenie reguł wolnego rynku — zauważył Dan.

— Hę?

— Podaż znacznie przewyższa popyt.

— Może nie? Chcesz zajrzeć do chłodni i zobaczyć te wszystkie stoły, gdzie musimy kłaść sztywniaków jednego na drugim?

— Nie, dziękuję, chociaż to z pewnością uroczy widok.

— Niedługo zaczniemy ich upychać w szafach razem z workami lodu.

— Przynajmniej widziałeś tych trzech, którzy mnie interesują?

— O tak.

— Możesz mi o nich coś powiedzieć?

— Nie żyją.

— Jak tylko totalitaryści przejmą władzę, w pierwszej kolejności załatwią wszystkich przemądrzałych czarnych patologów.

— Hej, przecież ciągle ci mówię — parsknął Luther.

— Zbadałeś rany tej trójki?

Ciemna twarz patologa jeszcze bardziej pociemniała.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Każdy trup to jedna wielka rana, mnóstwo obrażeń, może setki. Jezu, co za masakra. Ale nie znajdziesz dwóch ciosów z taką samą konfiguracją. Również złamania w wielu miejscach, ale nie ma żadnego schematu ura-

zów kości. Autopsja wykaże więcej, ale już na podstawie wstępnych oględzin powiedziałbym, że niektóre kości wydają się pęknięte, niektóre rozłupane, a inne... zmiążdżone. No więc żaden cholerny cios tępym narzędziem, użytym w charakterze maczugi, nie sproszkuje kości. Złamanie albo roztrzaska, owszem, ale tylko od impetu uderzenia. Impet nie miażdży... chyba że chodzi o potężny impet, jak wtedy, kiedy samochód taranuje pieszego i przygważdża go do muru. Na ogół kości można zmiążdżyć tylko stosując nacisk, zgniatając, i mam na myśli duży nacisk.

— Więc czym ich pobito?

— Nie rozumiesz. Widzisz, kiedy kogoś walą tak mocno i tyle razy jak tych facetów, znajdujesz odwzorowanie kształtu narzędzia — kanciaste, zaokrąglone, chropowate, gładkie, cokolwiek. I możesz powiedzieć: „Tego gościa załatwili młotkiem z okrągłą główką średnicy jednego cala, z lekko ściętą krawędzią”. Albo łomem, obuchem siekierą, kantem książki czy kiełbasą salami. Ale po zbadaniu ran zwykle można określić narzędzie. Ale nie tym razem. Każda rana ma inny kształt. Jakby każde obrażenie spowodował inny przedmiot.

Dan pociągnął się za płatek lewego ucha.

— Pewnie należy wykluczyć możliwość, że zabójca wszedł do tamtego domu z pełną walizką tępych narzędzi, ponieważ lubi urozmaicenie. Nie wyobrażam sobie, żeby ofiara stała spokojnie, kiedy on zamienia młotek na łopatę, a łopatę na klucz francuski.

— Skłonny jestem przyznać ci rację. Chodzi o to, że... nie zauważyłem ani jednej rany, która wyglądała dokładnie jak cios młotkiem albo ślad po łomie czy kluczu francuskim. Każda kontuzja nie tylko różniła się od innych, ale miała wyjątkowy, dziwaczny kształt.

— Masz jakieś pomysły?

— No, gdyby to była stara powieść o Fu Manchu, powiedziałbym, że jakiś łajdak wynalazł zabójczą nową broń, dmuchawę sprężonego powietrza, które ma więcej siły niż Arnold Schwarzenegger wymachujący młotem kowalskim.

— Barwna teoria. Ale mało prawdopodobna.

— Czytałeś kiedyś Saksa Rohmera, te stare książki o Fu Manchu? Cholera, tam było mnóstwo egzotycznej broni i wyrafinowanych metod zabójstwa.

— To jest prawdziwe życie.

— Podobno.

— Prawdziwe życie to nie powieść Saksa Rohmera.

Luther wzruszył ramionami.

— Nie jestem taki pewien. Oglądałeś ostatnio wiadomości?

— Potrzebuję czegoś więcej, Luther. Naprawdę potrzebuję pomocy w tej sprawie.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

Potem Luther powiedział, tym razem bez śladu humoru: — Ale to tak wygląda, Danny. Jakby ich pobito na śmierć młotem zrobionym z powietrza.

18

Wywabiwszy Melanie spod biurka, Laura wyprowadziła ją ze stanu hipnozy. No, nie całkiem. Dziewczynka nie odzyskała pełnej świadomości. Raczej wyszła z hipnotycznego transu i powróciła do stanu połowicznej katatonii, w którym trwała, odkąd znalazła ją policja.

Laura żywiła niewielką nadzieję, że przerwanie hipnotycznego transu wyrwie córkę również z katatonii. Dziecko na chwilę naprawdę dostrzegło Laurę i położyło jedną dłoń na jej policzku, jakby nie mogło uwierzyć w obecność matki.

— Zostań ze mną, maleńka. Nie odpływaj. Zostań ze mną. Ale dziewczynka i tak odpłynęła. Chwila kontaktu była wzruszająca, lecz krótka, boleśnie krótka.

Sesja terapeutyczna wiele kosztowała dziewczynkę. Twarz jej zwiotczała z wyczerpania, oczy nabiegły krwią. Laura położyła Melanie do łóżka i dziewczynka zasnęła, kiedy tylko dotknęła głową poduszki.

Kiedy Laura weszła do pokoju dziennego, zobaczyła, że Earl Benton wstał z krzesła i zdjął marynarkę. Wyjął również rewolwer z kabury pod pachą i trzymał go w opuszczonej dłoni, nie jakby zaraz zamierzał go użyć, lecz jakby przewidywał, że wkrótce będzie potrzebował broni. Stał przy oszklonych drzwiach i wyglądał na zewnątrz, z zaniepokojonym wyrazem szerokiej twarzy.

— Earl? — zapytała niepewnie Laura.

Zerknął na nią.

— Gdzie jest Melanie?

— Zasnęła.

Przeniósł spojrzenie z powrotem na ulicę.

— Lepiej niech pani z nią posiedzi.

Oddech uwiązał jej w gardle. Z trudem przełknęła ślinę.

— Co się stało?

— Może nic. Pół godziny temu przyjechała furgonetka z firmy telefonicznej i zaparkowała po drugiej stronie ulicy. Nikt nie wysiadł.

Stanął obok niego przy oknie.

Szaroniebieska furgonetka z biało-błękitnymi napisami stała naprzeciwko domu, zaparkowana trochę pod górę, do połowy w słońcu i do połowy w cieniu żakarandy. Wyglądała jak wszystkie inne furgonetki telefoniczne: nie było w niej nic niezwykłego ani złowieszczonego.

— Czemu dla pana wygląda podejrzenie? — zapytała Laura.

— Jak mówiłem, nie widziałem, żeby ktoś z niej wysiadał.

— Może monter uciął sobie drzemkę w czasie pracy.

— Wątpliwe. Towarzystwa telefoniczne są za dobrze zarządzane, żeby pozwolić na takie rzeczy. Poza tym to jakoś... śmierdzi. Mam takie przeczucie. Widywałem już takie sytuacje i moim zdaniem... jesteśmy śledzeni.

— Śledzeni? Przez kogo?

— Trudno powiedzieć. Ale furgonetka towarzystwa telefonicznego... no, federalni często tak pracują.

— Agenci federalni?

— Aha.

Zdumiona, przeniosła wzrok z furgonetki na profil Earla. Najwyraźniej nie podzielał jej zaskoczenia.

— To znaczy FBI?

— Może. Albo Urząd Skarbowy, Biuro do spraw Alkoholu, Tytoniu i Broni Palnej. Może nawet wydział bezpieczeństwa Departamentu Obrony. To są różne rodzaje federalnych.

— Ale po co agenci federalni nas śledzą? Przecież jesteśmy ofiarami... w każdym razie potencjalnymi ofiarami, nie przestępcami.

— Nie powiedziałem, że to na pewno federalni. Mówiłem tylko, że oni często pracują w ten sposób.

Wpatrując się w Earla, który nie spuszczał wzroku z furgonetki, Laura uświadomiła sobie, że on się zmienił. Nie był już prostodusznym wiejskim chłopakiem z cienką warstwą ogłady zachodniego Los Angeles. Wyglądał twardziej, starzej niż na swoje dwadzieścia sześć lat, zachowywał się bardziej rzeczowo i profesjonalnie niż przedtem.

Zmieszana Laura powiedziała:

— No, skoro to agenci rządowi, nie musimy się niczym martwić.

— Nie musimy?

— To nie oni próbują zabić Melanie.

— Nie oni?

— Oczywiście, że nie oni. To nie rząd zabił mojego męża i tamtych dwóch — odparła coraz bardziej zmieszana.

— Skąd pani wie? — zapytał, wciąż wbijając spojrzenie w furgonetkę towarzystwa telefonicznego.

— Och, na litość boską...

— Pani mąż i jeden z tamtych zabitych... oni dawniej pracowali w UCLA.

— I co z tego?

— Otrzymywali granty. Na badania.

— Tak, oczywiście, ale...

— Niektóre granty, może nawet większość, pochodziły od rządu, prawda?

Laura nie fatygowała się odpowiedzią, ponieważ Earl wyraźnie znał już odpowiedź.

— Granty z Departamentu Obrony — oznajmił.

Przytaknęła.

— I inne.

— Departament Obrony — podjął Earl — interesuje się modyfikacją behawioralną. Kontrolą umysłów. Najlepszy sposób na pokonanie wroga to opanować jego umysł, zrobić z niego przyjaciela, żeby nawet nie zorientował się w manipulacji. Prawdziwy przełom na tym polu może położyć kres wojnom, jakie znamy. Ale jeśli o to idzie, każda cholerna agencja rządowa zainteresuje się kontrolą umysłów.

— Skąd pan tyle wie o pracy Dylana? Nic panu nie mówiłam.

Zamiast odpowiedzi Earl rzucił:

— Może pani mąż i Hoffritz nadal pracowali dla rządu.

— Hoffritz został zdyskredytowany...

— Ale jeśli prowadził ważne badania, jeśli przynosiły rezultaty, nie przejmowałiby się, że go zdyskredytowano w środowisku akademickim. I tak by go wykorzystali.

Zerknął na nią ponownie i zobaczyła cynizm w jego oczach, a na twarzy wyraz znużenia, z którym wyglądał zupełnie inaczej niż wcześniej.

Nie przypominał już wiejskiego chłopca i Laura zastanowiła się, czy ten wizerunek prostaczka, zdobywającego ogładę i wyrafinowanie w nowym miejskim życiu, nie stanowił zwykłej pozy. Nagle nabrała przekonania, że Earl Benton, chociaż taki młody, nigdy nie był prostakiem.

A ona nie miała już pewności, że może mu zaufać.

Sytuacja gwałtownie się skomplikowała i pojawiło się tyle różnorodnych możliwości, że poczuła zawrót głowy.

— Rządowa konspiracja? Więc dlaczego mieliby zabijać Dylana i Hoffritza, skoro Dylan dla nich pracował?

Earl nawet się nie zawahał.

— Może nie oni dokonali zabójstwa. Zresztą to wysoce nieprawdopodobne. Ale może badania pani męża prowadziły do przełomowego odkrycia o zastosowaniach wojskowych i dlatego druga strona kazała go zlikwidować.

— Druga strona?

Znowu obserwował ulicę.

— Obcy agenci.

— Związek Radziecki upadł. Może pan słyszał. Pisali w gazetach.

— Rosjanie ciągle tam są i wcale nie zmienili się w naszych najlepszych przyjaciół. No i są jeszcze Chiny, Iran, Irak i Libia. Na tym świecie nigdy nie brakuje wrogów. Zawsze jacyś szaleńcy pragną władzy.

— To obłąd — zaprotestowała.

— Dlaczego?

— Tajni agenci, szpiedzy, intrygi międzynarodowe... Zwykli ludzie nie mieszają się do takich spraw, chyba że w filmach.

— Właśnie o to chodzi. Pani mąż nie był zwykłym człowiekiem — wyjaśnił Earl.

— Ani Hoffritz.

Nie mogła oderwać wzroku od tego mężczyzny, który na jej oczach przechodził tak głęboką metamorfozę — coraz starszy, coraz twardszy. Powtórzyła pytanie, na które poprzednio nie odpowiedział.

— Te wszystkie spekulacje... nie mógł pan tego wymyślić, jeśli pan nie znał zawodu mojego męża, jego osobowości, rodzaju wykonywanej pracy. Skąd pan tyle wie o Dylanie? Ja panu niczego nie mówiłam.

— Dan Haldane mi powiedział.

— Ten detektyw? Kiedy?

— Kiedy do mnie zadzwonił. Tuż przed południem.

— Ale ja nawet nie zatrudniłam pańskiej firmy przed pierwszą.

— Dan powiedział, że dał pani naszą wizytówkę i że pani na pewno zadzwoni. Chciał, żebyśmy od samego początku orientowali się we wszystkich aspektach tej sprawy.

— Ale on mi nie mówił, że w to mogą być zamieszani agenci FBI albo Rosjanie, na litość boską.

— Nie wiedział, czy są zamieszani, pani doktor. Po prostu zorientował się, że te morderstwa mogą mieć szersze znaczenie, nie tylko lokalne. Nie rozmawiał o tym z panią, bo nie chciał pani niepotrzebnie martwić.

— Chryste.

Szalony, kuszący szept paranoi znowu wezbrał w jej umyśle. Poczuli się uwięziona w zagmatwanej sieci spisków.

— Lepiej niech pani zajrzy do Melanie — poradził Earl.

Na zewnątrz chevrolet sedan powoli przejechał ulicą. Zatrzymał się obok furgonetki telefonicznej, potem podjechał kawałek i zaparkował przed nią. Wysiedli dwaj mężczyźni.

— Nasi — oznajmił Earl.

— Agenci Paladyna?

— Aha. Niedawno zadzwoniłem do biura, kiedy doszedłem do wniosku, że furgo-

netka nas śledzi, i poprosiłem, żeby przysłali paru chłopaków, żeby to sprawdzili, bo nie chciałem wychodzić z domu i zostawiać was samych.

Dwaj mężczyźni, którzy wysiedli z chevroleta, podeszli z dwóch stron do furgonetki.

— Lepiej niech pani zajrzy do Melanie — powtórzył Earl.

— Z nią wszystko w porządku.

— Więc przynajmniej proszę odejść od okna.

— Dlaczego?

— Bo mnie płacą za ryzykowanie, ale pani nie. I uprzedziłem panią na początku, że musi pani mnie słuchać.

Laura odsunęła się od okna, ale nie całkiem. Chciała zobaczyć, co się dzieje przy furgonetce towarzystwa telefonicznego.

Jeden z agentów Paladyna wciąż stał przy drzwiach kierowcy. Drugi przeszedł do tyłu pojazdu.

— Jeżeli to agenci federalni, nie będzie żadnej strzelaniny — stwierdziła Laura.

— Nawet jeśli chcą zabrać Melanie.

— Słusznie — zgodził się Earl. — Będziemy musieli ją oddać.

— Nie — zawołała ze strachem.

— Tak. Niestety nie będziemy mieli wyboru. Prawo jest po ich stronie. Ale przynajmniej będziemy wiedzieli, kto ją ma, i możemy o nią walczyć w sądzie. Ale jak mówiłem, może to nie są federalni.

— A jeśli to... ktoś inny? — zapytała, bo słowo „Rosjanie” nie przeszło jej przez gardło.

— Wtedy zrobi się nieprzyjemnie.

Jego wielka, silna dłoń mocno objęła rewolwer. Laura spojrzała w okno, pokryte smugami i plamami po niedawnym nocnym deszczu.

Popołudniowe słońce malowało ulicę odcieniami miedzi i brązu.

Mrużąc oczy zobaczyła, jak otwiera się jedna połowa tylnych drzwi furgonetki towarzystwa telefonicznego.

19

Dan wyszedł z wydziału patologii, ale zrobił tylko parę kroków, zanim zatrzymała go pewna myśl. Zawrócił, otworzył drzwi i zajrzał do gabinetu, gdzie Luther znowu podniósł wzrok znad mikroskopu.

— Myślałem, że musisz się odlać — powiedział patolog. — Nie było cię tylko dziesięć sekund.

— Odląłem się tutaj pod drzwiami — wyjaśnił Dan.

— Typowy detektyw od zabójstw.

— Słuchaj, Luther, jesteś libertarianinem?

— No tak, ale są różne rodzaje libertarian. Mamy konserwatywnych libertarian, anarchistycznych libertarian, no i podstawowych ortodoksyjnych libertarian. Mamy libertarian, którzy wierzą, że ludzie powinni...

— Luther, popatrz na mnie, to zobaczysz definicję słowa „nuda”.

— Więc po co pytasz...

— Chciałem tylko wiedzieć, czy słyszałeś kiedyś o libertariańskiej grupie pod nazwą Teraz Wolność.

— Nie przypominam sobie.

— To komitet polityczny.

— Nic mi nie mówi.

— Przecież ty aktywnie działasz w kręgach libertarian. Słyszałybyś o grupie Teraz Wolność, gdyby oni naprawdę ostro zamieszali, nie?

— Prawdopodobnie.

— Ernest Andrew Cooper.

— Jeden z trzech sztywniaków ze Studio City — odparł Luther.

— No. Słyszałeś o nim wcześniej?

— Nie.

— Na pewno?

— Tak.

— Podobno był wielką szyczą w kręgach libertarian.

— Gdzie?

— Tutaj, w L.A.

— No, tutaj nie był. Nigdy przedtem o nim nie słyszałem.

— Na pewno?

— Oczywiście. Dlaczego zachowujesz się jak policyjny kutas?

— Bo jestem policyjny kutas.

— Kutas jesteś na pewno — oświadczył Luther, szczerząc zęby. — Wszyscy w pracy tak mówią. Niektórzy używają innych słów, ale to zawsze znaczy „kutas”.

— Kutas, kutas, kutas... masz obsesję na punkcie tego słowa czy jak? Co z tobą, Luther? Czujesz się samotny, może potrzebujesz nowego chłopca?

Patolog roześmiał się serdecznie. Miał uśmiech budzący odruchową sympatię. Dan nie mógł zrozumieć, dlaczego taki pogodny, aktywny, energiczny, optymistyczny człowiek jak Luther Williams postanowił spędzić życie wśród trupów.

Doktor Irmatruda Gelkenshettle, kierowniczka wydziału psychologii w UCLA, miała narożny gabinet z mnóstwem okien i widokiem na kampus. Teraz, o czwartej czterdzięści pięć po południu, krótki zimowy dzień już zamierał w słabym pomarańczowym świetle, niczym ogień dogasający na palenisku. Na dworze cienie wydłużały się z każdą chwilą, a studenci pospiesznie kryli się przed wieczornym chłodem, który poprzedzał zapadającą ciemność.

Dan usiadł w nowoczesnym duńskim fotelu, a doktor Gelkenshettle obeszała biurko i zajęła fotel ze sprężynującym oparciem.

Była to niska, krępa kobieta po pięćdziesiątce. Stalowo-siwe włosy miała obcięte bez żadnego stylu i chociaż nigdy nie była piękna, jej wyrazistą twarz charakteryzowała łagodność. Ubrana była w błękitne spodnie i męską białą koszulę, z kieszeniami na piersiach i epoletami; miała podwinięte rękawy i nawet nosiła męski zegarek, zwykły, lecz niezawodny timex na rozciągliwej bransoletce. Promieniowała kompetencją, inteligencją i sprawnością.

Chociaż Dan zaledwie ją poznał, miał wrażenie, że zna ją doskonale, ponieważ jego ciotka Kay, siostra przybranej matki, która zrobiła karierę wojskową w WAC, bardzo przypominała tę kobietę. Doktor Gelkenshettle najwyraźniej wybierała ubrania ze względu na wygodę, wytrzymałość i cenę. Nie pogardzała tymi, którzy kierowali się modą; po prostu nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby uwzględnić modę, kiedy nadchodził czas na uzupełnienie garderoby. Zupełnie jak ciocia Kay. Nawet wiedział, dlaczego doktor Gelkenshettle nosi męski zegarek. Ciocia Kay również taki nosiła, ponieważ tarcza była większa niż w damskich zegarkach i łatwiej było odczytać cyfry.

Początkowo zaskoczył go jej wygląd. Nie tak wyobrażał sobie osobę kierującą wielkim uniwersyteckim wydziałem psychologii. Potem jednak zauważył, że w biblioteczce

za biurkiem całą jedną półkę wypełniało ponad dwadzieścia tomów, noszących na grzbietach jej nazwisko.

— Doktor Gelkenshettle...

Przerwała mu, podnosząc rękę.

— To nazwisko jest okropne. „Doktor Gelkenshettle” mówią do mnie wyłącznie studenci, ci spośród kolegów, których nie znoszę, mój mechanik — bo tych ludzi trzeba trzymać na dystans, inaczej policzą ci roczne pobory za dostrojenie radia — i obcy. Jesteśmy obcy albo prawie obcy, ale oboje jesteśmy zawodowcami, więc odrzucimy formalności. Mów mi Marge.

— Czy to twoje drugie imię?

— Niestety nie. Ale Irmatruda brzmi równie źle jak Gelkenshettle, a na drugie imię mam Heidi. Czyja wyglądam na Heidi?

Uśmiechnął się.

— Chyba nie.

— Masz cholerną rację, nie wyglądam. Moi rodzice byli kochani, ale nie mieli gustu do imion.

— Mam na imię Dan.

— Znacznie lepiej. Prosto. Rozsądnie. Każdy potrafi wymówić „Dan”. A więc chciałeś porozmawiać o Dylanie McCaffreyu i Willym Hoffritzu. Trudno uwierzyć, że nie żyją.

— Nie tak trudno, gdybyś zobaczyła ciała. Opowiedz mi najpierw o Dylanie. Co o nim myślałaś?

— Nie byłam kierowniczką wydziału, kiedy Dylan McCaffrey tutaj pracował. Awansowałam dopiero trochę ponad cztery lata temu.

— Ale wtedy tutaj uczyłaś, prowadziłaś własne badania. Pracowaliście na jednym fakultecie.

— Tak. Nie znałam go dobrze, ale wystarczająco, żeby wiedzieć, że nie chcę go poznać lepiej.

— Rozumiem, że był bardzo oddany swojej pracy. Jego żona... ona jest psychiatrą... nazwała go typem obsesyjno-kompulsywnym.

— Był świrem — oświadczyła Marge.

Dwaj nowi agenci Paladyna odeszli od podejrzanej furgonetki towarzystwa telefonicznego i ruszyli prosto do frontowych drzwi domu Laury. Earl Benton ich wpuścił.

Jeden był wysoki, drugi niski. Wysoki był chudy, z szarą twarzą. Niski był pulchny, z piegami na nosie i na obu policzkach. Nie chcieli usiąść ani napić się kawy. Earl zwracał się do niskiego „Flash”, po nazwisku lub przezwisku, Laura nie mogła odgadnąć.

Flash mówił za obu, podczas gdy wysoki stał obok niego z twarzą bez wyrazu.

— Wkurzyli się, żeśmy im spalili kamuflaż — oznajmił.

— Jeśli nie chcą się sypnąć, powinni być bardziej subtelni — stwierdził Earl.

— To samo im powiedziałem — przytaknął Flash.

— Kim oni są?

— Pokazali legitymacje FBI.

— Spisałeś ich nazwiska?

— Nazwiska i numery legitymacji.

— Czy legitymacje wyglądały na prawdziwe?

— Tak — potwierdził Flash.

— A ludzie? Według ciebie wyglądali na typki z Biura?

— Tak — przyznał Flash. — Odstawieni. Bardzo spokojnie, cicho mówią, uprzejmie nawet w gniewie, ale ta podskórna arogancja. Wiesz, jak to u nich.

— Wiem — mruknął Earl.

Flash powiedział:

— Wracamy do biura, sprawdzimy ich, zobaczymy, czy FBI zatrudnia agentów o takich nazwiskach.

— Znajdziecie nazwiska, nawet jeśli ci goście się podszywają — ostrzegł Earl.

— Musicie zdobyć fotografie prawdziwych agentów i sprawdzić, czy wyglądają jak tamci.

— Właśnie to zamierzamy zrobić — odparł Flash.

— Odezwijcie się do mnie jak najszybciej — powiedział Earl i dwaj mężczyźni ruszyli do drzwi.

— Zaczekajcie — odezwała się Laura.

Wszyscy spojrzeli na nią.

— Co oni wam powiedzieli? — zapytała. — Jaki podali powód obserwowania mojego domu?

— Biuro nie tłumaczy się ze swoich spraw, jeśli nie ma ochoty — wyjaśnił Earl.

— A ci goście nie mieli ochoty — dodał Flash. — Prędeż nas pocałują i poproszą do tańca, niż ujawnią powód obserwacji.

Wysoki kiwnął głową. Laura powiedziała:

— Gdyby przyjechali chronić Melanie i mnie, powiedzieliby nam, prawda? Więc to znaczy, że chcą ją znowu porwać.

— Niekoniecznie — sprzeciwił się Flash.

Earl włożył rewolwer z powrotem do kabury na ramieniu.

— Widzi pani, sytuacja może być równie niejasna i zagmatwana dla Biura, jak dla nas. Na przykład założmy, że pani mąż pracował nad ważnym projektem Pentagonu, kiedy znikł z Melanie. Założmy, że FBI go szukało od tamtego czasu. Teraz wypłynął, martwy, w tajemniczych okolicznościach. Może to nie nasz rząd finansował go przez ostatnie sześć lat, a w takim razie będą chcieli wiedzieć, skąd brał pieniądze.

Laura ponownie doznała uczucia, że podłoga ucieka jej spod nóg, że rzeczywisty świat zmienia się w iluzję. Zupełnie jakby prawdziwa rzeczywistość stała się koszmarnym snem paranoika, pełnym niewidzialnych wrogów i zawikłanych spisków.

— Więc mówicie — podjęła — że oni siedzą tam w tej furgonetce i obserwują mój dom, bo myślą, że ktoś inny może przyjść po Melanie, i chcą go przyłapać na gorącym uczynku? Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego nie przyszli do mnie i nie uprzedzili o tej obserwacji.

— Oni pani nie ufają — powiedział Flash.

— Wściekali się na nas za ujawnienie ich obecności nie tylko przed jakimiś postronnymi osobami — dodał Earl — ale także przed panią.

— Dlaczego? — spytała zaskoczona Laura.

Earl zrobił niewyraźną minę.

— Ponieważ, o ile im wiadomo, pani mogła od początku współdziałać z mężem.

— On mi ukradł Melanie.

Earl odchrząknął z zakłopotaniem, jakby te wyjaśnienia sprawiały mu trudność.

— Z punktu widzenia Biura pani mogła pozwolić mężowi, żeby zabrał córkę i eksperymentował na niej bez wiedzy rodziny i przyjaciół, bez żadnych przeszkód z ich strony.

— To obłąd! — zawołała zaszokowana Laura. — Widział pan, co zrobiono z Melanie. Jak mogłam w tym pomagać?

— Ludzie robią dziwne rzeczy.

— Kocham ją. To moja córeczka. Dylan miał zaburzenia, może zwariował, okay, więc był zbyt nieźrównoważony, żeby widzieć, jak ją rani i niszczy, żeby się tym przejmować. Ale ja nie jestem nieźrównoważona! Nie jestem taka jak Dylan.

— Wiem — uspokajał ją Earl. — Wiem, że pani nie jest taka.

Zobaczyła, że Earl Benton jej wierzy, zobaczyła w jego oczach zaufanie i współczucie, ale kiedy spojrzała na tamtych dwóch, dojrzała wątpliwości i podejrzenia.

Pracowali dla niej, ale nie całkiem wierzyli, że powiedziała im prawdę.

Szaleństwo.

Pochwyił ją wir i wciągał coraz głębiej w koszmarny świat kłamstwa, fałszu i przemocy, w obcy pejzaż, gdzie nic nie było takie, jakie się wydawało.

— Świr? — powtórzył zdziwiony Dan. — Nie wiedziałem, że psycholodzy używają takich słów.

Marge uśmiechnęła się przepaszająco.

— No, nie w sali wykładowej i nie w publikacjach, i z pewnością nie w sądzie, jeśli mamy zaświadczyć o poczytalności. Ale to jest prywatna rozmowa, między prawie obcymi ludźmi, i mówię ci, Dan, że to był świr. Nie chory umysłowo, nic takiego, uważasz.

Ale więcej niż zwykły ekscentryk. Główną dziedziną jego badań miał być rozwój i zastosowanie technik modyfikacji behawioralnej, które zreformują przestępczą osobowość. Ale on ciągle zbaczał w innych kierunkach, zawsze miał jakiegoś dziwnego konika. Regularnie ogłaszał głębokie zaangażowanie... lepiej pasuje słowo „obsesja”... w jakiś nowy kierunek badań, ale najwyżej po sześciu miesiącach kompletnie tracił zapał.

— A jakie były te jego koniki?

Marge odchyliła się do tyłu w fotelu i skrzyżowała ramiona na piersiach.

— Przez jakiś czas koniecznie chciał opracować terapię lękową, która zwalczy uzależnienie od nikotyny. Według ciebie to brzmi rozsądnie? Pomagać palaczom w rzuceniu papierosów, wciągając ich w narkotyki? Akurat. Potem przez pewien czas głosił pogląd, że subliminalna sugestia, podświadome warunkowanie pomoże nam odrzucić uprzedzenia wobec wiary w zjawiska nadprzyrodzone i otworzy nasze umysły na doświadczenia parapsychiczne, dzięki czemu będziemy mogli widzieć duchy tak wyraźnie jak siebie nawzajem.

— Duchy? Mówisz o duchach zmarłych?

— Owszem. A raczej on mówił.

— Nigdy bym nie pomyślał, że psycholog może wierzyć w duchy.

— Rozmawiasz z takim, który nie wierzy. McCaffrey wierzył.

— Pamiętam książki, które znaleźliśmy w jego domu. Niektóre dotyczyły okultyzmu.

— Pewnie połowa jego koników o to zahaczała — przytaknęła Marge. — Takie czy inne zjawiska okultystyczne.

— Kto opłacał badania tego rodzaju?

— Musiałabym zajrzeć do akt. Podejrzewam, że te okultystyczne historie prowadził na własną rękę, bez funduszy, albo sprytnie defraudował fundusze przeznaczone na inne prace.

— Można tak bezczelnie defraudować fundusze? Nie są wymagane rozliczenia?

— Stosunkowo łatwo jest naciągnąć rząd, jeśli ktoś jest nieuczciwy. Czasami złodziejowi najłatwiej okraść innego złodzieja, ponieważ nigdy nie postrzegają siebie jako ofiary, tylko jako sprawców.

— Kto finansował jego podstawowe badania?

— Otrzymał część pieniędzy z funduszu trustu założonego przez absolwentów dla celów badawczych. I oczywiście granty korporacji. No i jak mówiłam, rząd.

— Większość od rządu?

— Moim zdaniem tak.

Dan zmarszczył brwi.

— No, jeśli Dylan McCaffrey był świrem, dlaczego rząd go popierał?

— Owszem, był świrem, a jego okultystyczne zainteresowania były równie dzi-

waczne jak denerwujące, ale był bystry. Muszę mu to przyznać. Przy bardziej stabilnej osobowości jego intelekt mógł go daleko zaprowadzić. Zdobyłby sławę w swojej dziedzinie, może nawet na skalę krajową.

— Czy dostawał fundusze z Pentagonu?

— Tak.

— Nad czym mógł pracować dla Pentagonu?

— Nie mogę powiedzieć. Po pierwsze, nie wiem. Mogę sprawdzić dane, ale nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym powiedzieć. Nie masz uprawnień.

— Uczciwe postawienie sprawy. Co możesz mi powiedzieć o Wilhelmie Hoffritzu?

— Oblesny gad.

Dan parsknął śmiechem.

— Pani doktor... Marge, ty rzeczywiście nie przebierasz w słowach.

— To święta prawda. Hoffritz był wyjątkowym sukinsynem. Za wszelką cenę chciał zostać kierownikiem tego wydziału. Nigdy nie miał szans. Wszyscy wiedzieli, jaki by był, gdyby miał władzę nad nami. Złośliwy. Mściwy. Doprowadziłby cały wydział do ruiny.

— On też robił badania dla Obrony?

— Prawie wyłącznie. O tym również nie mogę nic powiedzieć.

— Plotka głosi, że usunięto go z uniwersytetu.

— To było święto dla UCLA.

— Dlaczego go wyrzucili?

— Pewna młoda dziewczyna, studentka

— Aha.

— Znacznie gorzej, niż myślisz — oświadczyła Marge. — Nie chodziło tylko o deprawację moralną. Nie był pierwszym profesorem, który sypiał ze studentką. Należałoby zwolnić połowę mężczyzn z fakultetu i chyba jedną piątą kobiet, gdyby ściśle przestrzegano tej zasady. Owszem, uprawiał z nią seks, ale także bił ją i posłał do szpitala. Ich związek był... zboczony, delikatnie mówiąc. Pewnej nocy wymknął się spod kontroli.

— Masz na myśli zabawy z kajdankami i tak dalej? — zapytał Dan.

— Tak. Hoffritz był sadystą.

— A dziewczyna się zgadzała? Była masochistką?

— Tak. Ale dostała więcej, niż się spodziewała. Pewnej nocy Hoffritz stracił panowanie nad sobą, złamał jej nos, trzy palce, lewe ramię. Odwiedziłam ją w szpitalu. Oczy podbite, rozcięta warga, mnóstwo siniaków.

Laura i Earl stali przy oknie i patrzyli, jak Flash z drugim mężczyzną idą chodnikiem w zapadającym zmierzchu.

Furgonetka towarzystwa telefonicznego wyglądała jak bryła mroku, z zamazanymi

szczegółami, kiedy nadciągająca noc pogłębiła cienie pod żakarandami przy krawężniku.

— FBI, he? — rzuciła Laura. — Oni nie odjadą?

— Nie.

— Nawet kiedy już o nich wiem?

— No, nie mają pewności, że pani konspirowała ze swoim mężem. Właściwie ich zdaniem to najmniej prawdopodobna możliwość. Dalej myślą, że ktoś... ktokolwiek finansował badania Dylana... przyjdzie po Melanie, i chcą przy tym być.

— Ale ja wciąż pana potrzebuję — oświadczyła. — W razie gdyby samo FBI zabrało moją córkę.

— Tak. Jeśli do tego dojdzie, będzie pani potrzebowała świadka, żeby ścigać ich sądownie.

Laura podeszła do kanapy i usiadła na brzegu, zgarbiona, ze zwieszoną głową, oparłszy łokcie na udach.

— Wydaje mi się, że tracę zmysły.

— Wszystko się ułoży, jeśli...

Przerwał mu wrzask Melanie.

Dan zamrugął, słuchając opisu pobitej studentki.

— Ale Hoffritz nie był notowany.

— Dziewczyna nie wysunęła oskarżenia.

— On ją tak potraktował, a ona puściła mu to płazem? Dlaczego?

Marge wstała, podeszła do okna i wyjrzała na kampus. Pomarańczowe blaski zachodu ustąpiły miejsca szarościom i błękitom zmierzchu. Kilka chmur napłynęło nad morza.

Wreszcie psycholog powiedziała:

— Kiedy Willy Hoffritz został zawieszony i zaczęliśmy sprawdzać jego wcześniejsze związki ze studentkami, odkryliśmy, że ta dziewczyna nie była pierwsza. Miał co najmniej cztery inne przez te lata, cztery, o których wiemy, wszystkie przed magisterium, zabawiały się z Hoffritzem i odgrywały masochistki przy nim jako sadyście, chociaż żadna nie doznała poważnych obrażeń. Przed tamtą dziewczyną to zawsze były tylko zboczone gierki. Tamte cztery po naszych naleganiach zgodziły się mówić i w trakcie tych przesłuchań uzyskaliśmy pewne interesujące, zadziwiające i... przerażające informacje.

Dan nie popędział Marge. Podejrzał, że bolesna i upokarzająca była dla niej świadomość, iż jeden z jej kolegów — nawet nielubiany — okazał się zdolny do takich postępów i że społeczność akademicka pod względem moralnym nie przewyższała reszty ludzkości. Lecz Marge była realistką, zdolną spojrzeć nieprzyjemnej prawdzie w oczy

— rzadka cecha zarówno w świecie akademickim, jak poza nim — i zamierzała powiedzieć mu wszystko. Po prostu chciała to zrobić we własnym tempie.

Wciąż patrząc na zmierzch, powiedziała:

— Żadna z tych pierwszych czterech dziewczyn nie była promiskuityczna, Dan. Porządne dzieciaki z dobrych rodzin, które przyjechały tutaj po wykształcenie, nie żeby wyrwać się spod rodzicielskiej opieki i użyć życia. Dwie z nich nawet były dziewicami, zanim padły ofiarą Hoffritza. I żadna nigdy nie zaangażowała się w sadomasochistyczny związek przed Hoffritzem, i z pewnością nie po nim. Odrzucało je na samo wspomnienie tego, co mu pozwoliły ze sobą robić.

Ponownie zamilkła.

Dan wyczuł, że oczekiwała na jakieś pytanie z jego strony.

— No, skoro tego nie lubiły, dlaczego to robiły?

— Odpowiedź jest trochę skomplikowana.

— Poradzę sobie. Sam jestem trochę skomplikowany.

Odwróciła się od okna i uśmiechnęła się, ale tylko przelotnie. To, co miała do powiedzenia, nie było zabawne.

— Odkryliśmy, że każda z tych czterech dziewczyn dobrowolnie uczestniczyła w niejawnych eksperymentach modyfikacji behawioralnej z Hoffritzem. W tych eksperymentach stosowano sugestię posthipnotyczną oraz rozmaite egosupresywne narkotyki.

— Dlaczego zgodziły się uczestniczyć w czymś takim?

— Żeby zadowolić profesora, żeby dostać dobrą ocenę. A może dlatego, że naprawdę tym się interesowały. Studenci czasami interesują się studiowanym przedmiotem, nawet w dzisiejszych czasach, nawet małokalibrowi studenci, których ostatnio dostajemy. A Hoffritz posiadał pewien wdzięk, działający na niektórych ludzi bardziej skutecznie niż na innych.

— Nie na ciebie.

— Kiedy włączał swój wdzięk, wydawał mi się jeszcze bardziej obleśny niż zwykle. W każdym razie uczył te dziewczyny i oczarował je, i nie zapominaj, że w swojej dziedzinie miał pozycję i nazwisko. Zasługiwał na szacunek.

— I dopiero po rozpoczęciu tych eksperymentów każda z dziewcząt nawiązała z nim stosunki seksualne.

— Tak.

— Więc myślisz, że stosował hipnozę, narkotyki, podświadome warunkowanie, żeby... no, żeby je odmienić?

— Zaprogramować ich matryce psychologiczne, włączyć do nich promiskuityzm i masochizm. Tak. Właśnie tak myślę.

Wrzask Melanie wypełnił dom.

Wykrzykując imię córki, Laura pobiegła za Earlem Bentonem przez hol. Z rewolwerem w ręku ochroniarz wpadł pierwszy do pokoju dziecka i włączył światło.

Melanie była sama. Zagrożenie, które powodowało jej wrzaski, było widoczne tylko dla niej.

Ubrana w białe skarpetki i białe bawełniane majteczki, które nosiła zamiast piżamy, dziewczynka kulila się w kącie, wyciągając ręce przed sobą, żeby odepchnąć niewidzialnego wroga. Krzyczała tak głośno, że na pewno sforsowała sobie gardło. Wydawała się taka krucha, tak żałośnie bezbronna.

Na chwilę Laurę opanował przemożny wstręt do Dylana. Zachwiała się, ugięła, niemal upadła pod ciężarem własnego gniewu.

Earl schował broń do kabury. Sięgnął po Melanie, ale ona uderzyła go w rękę i odpełzła, przywierając do listwy podłogowej.

— Melanie, skarbie, przestań! Wszystko w porządku — zawołała Laura.

Dziewczynka nie zwróciła uwagi na matkę. Dotarła do drugiego kąta, usiadła, podciągnęła nogi, zacisnęła małe dłonie w pięści i uniosła je obronnym gestem. Przestała wrzeszczeć, tylko wydawała dziwaczne, rytmiczne, paniczne dźwięki:

— Uch... uch... uch... uch... uch...

Earl przykucnął przed nią i powiedział:

— Już dobrze, dzieciaku.

— Uch... uch... uch... uch...

— Wszystko okay. Naprawdę. Wszystko okay, Melanie. Zaopiekuję się tobą.

— D-d-drzwi — wyjąkała Melanie. — Drzwi. Nie pozwól ich otworzyć!

— Są zamknięte — pospiesznie rzuciła Laura i uklękła przed córką. — Drzwi są zamknięte na klucz, skarbie.

— Zamknij je!

— Nie pamiętasz, kochanie? Na drzwiach jest nowy, wielki, ciężki zamek — powiedziała Laura. — Nie pamiętasz?

Earl zerknął na Laurę, wyraźnie zaskoczony.

— Drzwi są zamknięte — ciągnęła Laura. — Zamknięte na trzy spusty. Zabite gwoździami. Nikt ich nie otworzy, maleńka. Nikt.

Wielkie łzy wezbrały w oczach dziecka i potoczyły się po policzkach.

— Zaopiekuję się tobą — powtórzył uspokajająco Earl.

— Kochanie, jesteś tutaj bezpieczna. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

Melanie westchnęła i strach odpłynął z jej twarzy.

— Nic ci nie grozi. Jesteś zupełnie bezpieczna.

Melanie podniosła bladą rączkę do głowy i zaczęła kręcić w palcach pasmo włosów roztargnionym gestem, jak każda zwykła dziewczynka bawiąca się swoimi włosami, kiedy rozmyśla o chłopcach, koniach, prywatkach czy innych rzeczach, które zaprzatają

głowy dziewczynek w tym wieku. W porównaniu z jej dotychczasowym dziwnym zachowaniem, oscylującym pomiędzy skrajnościami — od histerii do katatonii, widok tej zabawy włosami jednocześnie wzruszał i dodawał otuchy, ponieważ to był taki zwyczajny gest — drobiazg, żaden przełom, nawet nie szczelina w twardej skorupie jej autyzmu, ale normalny gest.

Wykorzystując tę chwilę, Laura powiedziała:

— Chciałabyś pójść ze mną do salonu piękności, kochanie? Co? Nigdy nie byłaś w prawdziwym salonie kosmetycznym. Pójdziemy razem do fryzjera. Co ty na to?

Chociaż oczy Melanie pozostały nieco szkliste, brwi zmarszczyły się, jakby dziewczynka rozważała propozycję.

— Boże drogi, koniecznie trzeba coś zrobić z twoimi włosami — ciągnęła Laura, gorączkowo próbując zatrzymać ten moment, rozciągnąć go w czasie, pogłębić i poszerzyć ten niespodziewany kontakt z córką zamkniętą w autystycznej zbroi. — Obetniemy je i ułożymy. Może zakręcimy. Chciałabyś sobie zakręcić włosy, skarbie? Och, wyglądałaśbyś ślicznie z całą masą loczków.

Twarz dziewczynki złagodniała, cień uśmiechu musnął jej wargi.

— A po fryzjerze pójdziemy na zakupy. Co ty na to, skarbie? Kupimy mnóstwo nowych sukienek. Sukienek i sweterków. Nawet taką błyszczącą kurtkę, jakie teraz noszą dzieciaki. Spodoba ci się, na pewno.

Nie uformowany do końca uśmiech Melanie zgasł. Chociaż Laura dalej mówiła, nastrój zniknął tak nagle, jak się pojawił. Pogodny wyraz twarzy dziewczynki ustąpił miejsca odrazie, jakby w swoim prywatnym świecie zobaczyła coś strasznego i wstrętnego.

Potem zrobiła zdumiewającą, szokującą rzecz: uderzyła się małymi piąstkami we własne kolana i uda, mocno, z głośnym plaśnięciem, potem wymierzyła cios w klatkę piersiową...

— Melanie!

...i zamachnęła się jednocześnie obiema pięściami, tłukła we własne wątle bicepsy i przedramiona, okładała się z całej siły, z niezrozumiałą furją, jakby próbowała się zranić.

— Przestań! Melanie!

Laura była wstrząśnięta i przerażona nagłym autodestrukcyjnym szałem córki.

Melanie trzasnęła się w twarz.

— Mam ją! — krzyknął Earl.

Dziewczynka ugryzła go, kiedy próbował ją poskromić. Wyrwała jedną rękę i rozdrapała własną pierś tak mocno, że popłynęła krew.

— Jezu! — jęknął Earl, kiedy kopnęła go bosymi stopami i znowu się wyrwała.

Dan spojrzął na Marge i zmarszczył brwi.

— Zaprogramował je, żeby były promiskuityczne i masochistyczne? Czy coś takiego jest możliwe?

Przytaknęła.

— Jeśli psycholog zgłębił nowoczesne techniki prania mózgu i jest pozbawiony skrupułów, i jeśli ma do dyspozycji ochotnika lub osobę, którą może zniewolić fizycznie i kontrolować przez dłuższy czas... wtedy jest to możliwe. Zwykle jednak potrzeba długiego czasu, wiele cierpliwości i uporu. W tej sprawie najbardziej zadziwiający i niepokojący jest fakt, że Hoffritz jakimś sposobem zdołał zaprogramować te dziewczyny w ciągu kilku tygodni, pracując z nimi tylko godzinę lub dwie dziennie, trzy, cztery razy w tygodniu. Widocznie opracował jakieś nowe i cholernie skuteczne metody psychologicznego warunkowania. Ale z pierwszą czwórką to nie trwało długo, najwyżej kilka tygodni lub miesięcy. W końcu pierwotna osobowość każdej dziewczyny dochodziła do głosu. Najpierw dziewczyna miała wyrzuty sumienia na tle swoich seksualnych akrobacji z Hoffritzem, ale nadal odnajdywała perwersyjną przyjemność w bólu i upokorzeniach wynikających z masochistycznej roli. Potem stopniowo ogarniał ją strach i pogarda dla sadomasochistycznych aspektów tego związku. Każda z nich mówiła, że kiedy wreszcie zapragnęła uwolnić się od Hoffritza, to było jak przebudzenie się ze snu. Wszystkie cztery dziewczyny w końcu zdobyły się na dostateczną siłę woli, żeby zerwać.

— Dobry Boże — mruknął Dan.

— Wierzę, że jest dobry, ale czasami zastanawiam się, dlaczego pozwala chodzić po ziemi ludziom takim jak Hoffritz.

— Dlaczego te dziewczyny nie doniosły na niego policji... albo przynajmniej władzom uniwersytetu?

— Za bardzo się wstydziły. Dopóki ich nie znaleźliśmy i nie przesłuchaliśmy, wcale nie podejrzewały, że ich psychologiczne aberracje były dziełem Hoffritza. Wszystkie myślały, że te zboczone żądze tkwiły w nich samych.

— Ale to zadziwiające. Przecież wiedziały, że biorą udział w eksperymentach modyfikacji behawioralnej. Więc kiedy zaczęły zachowywać się inaczej niż przedtem...

Marge podniosła rękę, żeby go uciszyć.

— Hoffritz prawdopodobnie zaszczerpił w nich posthipnotyczne rozkazy, które nie pozwalały im dopuszczać możliwości, że to on odpowiada za ich nowe zachowanie.

Przestraszyła Dana myśl, że mózg tak bardzo przypomina idiotę, którym tak łatwo można manipulować.

Melanie przemknęła obok Earla, skoczyła na równe nogi i zrobiła dwa niezręczne kroki na środek sypialni, gdzie zatrzymała się, zachwiała i prawie upadła. Ponownie zaczęła się bić, okładać pięściami, jakby chciała wymierzyć sobie karę albo jakby próbo-

wała wypędzić złego ducha ze swego zdradliwego ciała.

Laura podeszła bliżej, jęknęła pod ciosami małych piąstek, objęła córkę, przytuliła ją mocno i próbowała przycisnąć jej ramiona do boków.

Nawet z unieruchomionymi rękami Melanie nie chciała się uspokoić. Kopała i wrzeszczała.

Earl Benton stanął za nią i zamknął ją jak w kleszczach pomiędzy sobą a Laurą, tak że wcale nie mogła się ruszyć. Mogła tylko krzyczeć, szlochać i naprężyć mięśnie w daremnej próbie ucieczki. Stali tak we trójkę przez minutę lub dwie, a Laura ciągle mówiła do córki i starała się ją uspokoić. Wreszcie Melanie przestała walczyć. Zwisła bezwładnie między dorosłymi.

— Skończyła? — zapytał Earl.

— Chyba tak — odpowiedziała Laura.

— Biedne dziecko.

Melanie wydawała się wyczerpana.

Earl cofnął się.

Melanie potulnie pozwoliła, żeby Laura zaprowadziła ją do łóżka.

Usiadła na brzegu. Ciągle łkała.

— Kochanie? — zapytała Laura. — Co ci jest?

Ze szklistym wzrokiem dziewczynka odpowiedziała:

— Otwarły się. Znowu się otwarły, na całą szerokość.

Zadygotała ze wstrętu.

— Piąta dziewczyna — powiedział Dan. — Ta, którą pobił i która wylądowała w szpitalu. Jak się nazywa?

Krępa psycholog odsunęła się od ciemniejącego okna, wróciła za biurko i opadła na fotel, jakby te nieprzyjemne wspomnienia wymęczyły ją bardziej niż cały dzień ciężkiej pracy.

— Nie wiem, czy powinnam ci powiedzieć.

— Chyba musisz.

— Naruszenie prywatności i tak dalej.

— Policyjne śledztwo i tak dalej.

— Tajemnica lekarska i tak dalej — odparła.

— Och? Ta piąta dziewczyna była twoją pacjentką?

— Odwiedziłam ją kilka razy w szpitalu.

— Nie wystarczy, Marge. Zręcznie sformułowane, ale to nie wystarczy. Odwiedzałem tatę codziennie w szpitalu, kiedy mu robili potrójny bypass na sercu, ale nie wyobrażam sobie, żebym dzięki codziennym wizytom stał się jego lekarzem.

Marge westchnęła.

— Po prostu ta biedna dziewczyna tyle wycierpiała, i teraz odgrzebywać to znowu po czterech latach...

— Nie zamierzam odgrzebywać jej przeszłości przed nowym mężem czy rodzicami — zapewnił Dan. — Może wyglądam na wielkiego tępego brutala, ale w rzeczywistości potrafię być wrażliwy i dyskretny.

— Nie wyglądasz na tępaka ani na brutala.

— Dzięki.

— Ale wyglądasz niebezpiecznie.

— Kultuwuję ten wizerunek. Pomaga mi w pracy.

Wahała się jeszcze przez chwilę, wreszcie wzruszyła ramionami.

— Nazywa się Regina Savannah.

— Żartujesz.

— Czy Irmatruda Gelkenshettle mogłaby żartować z cudzego nazwiska?

— Przepraszam. — Zapisał „Regina Savannah” w swoim notesiku. — Wiesz, gdzie ona mieszka?

— No, wtedy kiedy to się wydarzyło, Regina studiowała na pierwszym roku. Wynajmowała duże mieszkanie w Westwood poza kampusem razem z trzema innymi dziewczętami. Ale na pewno już dawno stamtąd się wyprowadziła.

— Co zrobiła po wyjściu ze szpitala? Rzuciła naukę?

— Nie. Skończyła studia, otrzymała dyplom, chociaż niektórzy żalowali, że się nie przeniósła. Część osób uważała jej obecność za żenującą.

Zaskoczyło go takie postawienie sprawy.

— Żenującą? Chyba wszyscy powinni się cieszyć, że doszła do siebie — fizycznie i psychicznie — na tyle, żeby prowadzić normalne życie.

— Tylko że nadal spotykała się z Hoffritzem.

— Co?

— Zdumiewające, hę?

— Dalej spotykała się z nim po tym, jak ją posłał do szpitala?

— Zgadza się. Gorzej, Regina napisała do mnie list, jako do kierowniczkę wydziału, w obronie Hoffritza.

— Dobry Boże.

— Pisała listy do rektora i do kilku innych członków wydziałowej komisji dyscyplinarnej. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby uchronić Willy’ego Hoffritza przed wyrzuceniem z pracy.

Niesamowite uczucie ponownie ogarnęło Dana. Nie miał wrodzonych skłonności do dramatyzowania, ale z jakiegoś powodu sama rozmowa o Hoffritz przyprawiała go o zimne dreszcze. Jeśli Hoffritz zdobył taką władzę nad Regina, jakich przełomowych odkryć mógł dokonać wspólnie z Dylanem McCaffreyem, odkąd połączyli swoje demo-

niczne talenty? W jakim celu niemal zmienili Melanie w warzywo?

Dan nie mógł dłużej usiedzieć spokojnie. Wstał. Ale gabinet był mały, a on był dużym mężczyzną i nie miał gdzie spacerować. Więc tylko stanął przy swoim krześle z rękami w kieszeniach.

— Myślałem raczej, że po tym pobiciu Regina będzie mogła wyrwać się spod jego kontroli — powiedział.

Marge potrząsnęła głową.

— Kiedy Willy Hoffritz wyleciał z wydziału, Regina kilkakrotnie przyprowadzała go na kampusowe imprezy jako osobę towarzyszącą.

Dan wytrzeszczył na nią oczy.

— I był jej jedynym gościem na wręczeniu dyplomów — dodała Marge.

— Boże wielki.

— Oboje uwielbiali grać nam na nerwach.

— Ta dziewczyna potrzebowała pomocy psychiatrycznej.

— Tak.

— Odwarunkowania.

Smutek zagościł na łagodnej twarzy psycholog. Zdjęła okulary, jakby nagle zrobiły się znacznie cięższe, nieznośnie ciężkie. Potarła zmęczone oczy.

Dan doskonale sobie wyobrażał, jak ona się czuje. Kochała swój zawód, była dobrym lekarzem i przestrzegała norm moralnych. Miała skrupuły i ideały. Wrażliwe sumienie na pewno kazało jej wierzyć, że człowiek taki jak Hoffritz skompromitował nie tylko swój zawód, lecz również wszystkich znajomych i współpracowników.

— Próbowaliśmy zapewnić Reginie pomoc, której potrzebowała — powiedziała. — Ale odmówiła.

Na dworze włączyły się latarnie sodowe, ale ich światło nie przegnało nocy.

— W takim razie widocznie Regina nie wystąpiła przeciwko Hoffritzowi, ponieważ lubiła, kiedy ją bił — powiedział Dan.

— Widocznie.

— Zaprogramował ją, żeby to lubiła.

— Widocznie.

— Nauczył się na czterech pierwszych dziewczynach.

— Tak.

— Stracił nad nimi kontrolę, ale uczył się na błędach. Zanim zabrał się do Reginy, nauczył się utrzymywać żelazny chwyt. — Dan musiał się ruszyć, wyładować trochę energii. Przeszedł pięć kroków do biblioteczki, zawrócił do krzesła i położył ręce na oparciu. — Będzie mnie mdliło za każdym razem, kiedy usłyszę słowa „modyfikacja behawioralna”.

Marge odparła obronnym tonem:

— To uzasadniona dziedzina badań, szacowna gałąź psychologii. Modyfikacja behawioralna pomoże nam znaleźć metody łatwiejszego nauczania dzieci i sprawić, że na dłużej zapamiętają to, czego się nauczyły. Pomoże nam zredukować poziom przestępczości, wyleczyć chorych i może nawet stworzyć spokojniejszy świat.

Podczas gdy Dan coraz bardziej rwał się do czynu, przez kontrast Marge wydawała się zapadać w letarg. Osunęła się jeszcze niżej w fotelu. Była typem przywódcy, silną kobietą, zdolną sprostać każdemu wyzwaniu, ale nie mogła poradzić sobie z potworem takim jak Hoffritz. A kiedy natrafiała na coś, czego nie mogła zrozumieć i kontrolować, nie wyglądała już jak przebojowy oficer z WAC, tylko jak babunia tęskniąca do bujanego fotela i filiżanki herbaty z miodem. Dan polubił ją jeszcze bardziej za tę bezradność.

Odezwała się zmęczonym głosem:

— Modyfikacja behawioralna i pranie mózgu wcale nie są tym samym. Pranie mózgu to bękartia odrośl modyfikacji behawioralnej, jej perwersyjne wypaczenie, podobnie jak Hoffritz nie był normalnym człowiekiem ani normalnym naukowcem, tylko wypaczeniem obydwóch.

— Czy Regina ciągle z nim jest?

— Nie wiem. Ostatnio widziałam ją ponad dwa lata temu, a wtedy jeszcze z nim była.

— Jeśli nie rzuciła go po tym pobiciu, to chyba żaden jego postęp nie skłoni jej do odejścia. Więc pewnie dalej się spotykają.

— Chyba że mu się znudziła — podsunęła Marge.

— Z tego, co o nim słyszałem, nigdy nie znudzi mu się osoba, którą może zdominować i zastraszyć.

Marge przytaknęła ponuro.

Zerknąwszy na zegarek, spiesząc się do wyjścia, Dan powiedział:

— Mówiłaś, że Dylan McCaffrey był bystry, genialny. Możesz to samo powiedzieć o Hoffritzu?

— Chyba tak. Owszem, tak. Ale jego geniusz był bardziej mroczny, zboczony, wypaczony.

— Tak jak McCaffreya.

— Nawet w połowie nie tak zboczony jak Hoffritza — zaprzeczyła.

— Ale jeśli zaczęli pracować razem, z okazałymi, może nawet nieograniczonymi funduszami, z ludzkim podmiotem badań, bez absolutnie żadnych legalnych czy moralnych ograniczeń, stworzyli chyba niebezpieczną kombinację?

— Tak — przyświadczyła. Po chwili dodała: — Piekielną.

W ustach Marge określenie „piekielna” zabrzmiało dość nietypowo, ale Dan wiedział, że wybrała je świadomie.

— Piekelną — powtórzyła, nie pozostawiając mu żadnych wątpliwości co do rozmiarów swojej obawy.

W łazience w holu Laura za pomocą jodyny i dużego plastra opatrzyła niewielką ranę na dłoni Earla Bentona, gdzie ugryzła go Melanie podczas szamotaniny.

— To nic — zapewnił Laurę. — Proszę się nie martwić.

Melanie siedziała na krawędzi wanny, wpatrując się w zielone kafelki na ścianie. W niczym nie przypominała diabła, które walczyło z nim tak zażarcie w sypialni przed paroma minutami.

— Ludzkie ugryzienie częściej powoduje infekcję niż psie, kocie czy jakiegokolwiek innego zwierzęcia — odparła Laura.

— Przemyła je pani porządnie jodyną, i prawie nie krwawi. Tylko płytkie ugryzienie. Nawet nie boli — oświadczył, chociaż Laura wiedziała, że musi przynajmniej trochę szczypać.

— Brał pan ostatnio zastrzyk przeciwężcowy? — zapytała.

— Tak. W zeszłym miesiącu tropiłem zbiegów. Jeden z facetów, których znalazłem, miał o to pretensję i wyciągnął nóż. Nie zrobił mi wielkiej krzywdy. Wystarczyło jakieś siedem szwów. Właśnie wtedy dostałem zastrzyk. Całkiem niedawno.

— Tak mi przykro.

— Już pani to mówiła.

— Naprawdę mi przykro.

— Przecież wiem, że ona nie zrobiła tego umyślnie. Zresztą to ryzyko zawodowe.

Laura przykucnęła przed córką i obejrzała zaczerwienienie na lewym policzku dziecka. Znaczyło miejsce, gdzie mała uderzyła się pięścią w ataku furii. Po jakimś czasie powstanie siniak. W rozcięciu bluzki widać było pręgi na szyi i piersi, gdzie podrapała się paznokciami. Wargę miała spuchniętą i przekrwioną od ugryzienia, którym zakończyła popołudniową sesję terapii hipnotycznej.

Czując suchość w ustach ze strachu, Laura powiedziała do Earla:

— W jaki sposób możemy ją obronić? Nie chodzi tylko o jakiegoś nieznanego wroga, który chce ją dopaść. Nie chodzi tylko o rządowych agentów czy rosyjskich szpiegów. Ona sama chce zrobić sobie krzywdę. Jak mamy ją obronić przed nią samą?

— Ktoś musi z nią zostać, pilnować jej bez przerwy.

Laura wzięła córkę pod brodę, odwróciła jej głowę i spojrzała w oczy.

— Tego już za wiele, maleńka. Mamusia spróbuje przepędzić złych ludzi, którzy chcą cię dostać w swoje ręce. I mamusia spróbuje cię wyleczyć, pomoże ci wyjść z tego stanu. Ale to... tego już za wiele. Dlaczego chcesz zrobić sobie krzywdę, dziecinko? Dlaczego?

Melanie drgnęła, jakby rozpaczliwie próbowała odpowiedzieć, ale ktoś jej nie pozwa-

łał. Jej rozbite wargi poruszyły się, rozwarły i zamknęły bezgłośnie. Zadygotała, potrząsnęła głową, jęknęła cicho.

Laurę dosłownie zabolalo serce, kiedy patrzyła, jak jej blada, chuda córka daremnie usiłuje wyzwolić się z okowów autyzmu.

Ned Rink, eksgliniarz i były agent FBI, którego znaleziono martwego w samochodzie na szpitalnym parkingu wcześniej rano, miał mały, schludny wiejski dom w pustynnym stylu na skraju Van Nuys. Dan pojechał tam zaraz po spotkaniu z Marge Gelkenshettle. Był to niski dom z płaskim dachem wyłożonym białymi kamieniami, stojący pośrodku najbardziej płaskiej części doliny San Fernando, na płaskiej ulicy wśród innych niskich, płaskich domów. Jedynie bujne zarośla — z typową dla południowej Kalifornii chlorofiliczną przesadą — łagodziły surową geometrię domu i monotonię ogrodu, jedno i drugie pochodzące wyraźnie z późnych lat pięćdziesiątych.

W domu było ciemno. Latarnia przed frontem miała brudny klosz i dawała niewiele światła. Puste czarne okna i kawałki bladożółtych stiukowych ścian prześwitywały pomiędzy mrocznymi sylwetkami schludnie przyciętych kolczastych krzewów, hibiskusów wysokich na pięć stóp, miniaturowych drzewek pomarańczowych, wyrosniętych palm daktylowych i fragmentów gęstego żywopłotu.

Samochody parkowały po jednej stronie wąskiej uliczki. Chociaż nieoznakowany policyjny sedan schował się w cieniu w połowie drogi między dwiema latarniami, pod ogromnym płaczącym krzewem laurowym, Dan dostrzegł go natychmiast. Jeden mężczyzna siedział za kierownicą zwykłego forda, zgarbiony, ledwie widoczny, obserwując dom Rinka.

Dan minął dom, skręcił w przecznicę, zawrócił i zaparkował kawałek za wydziałowym sedanem. Wysiadł z samochodu i podszedł do forda. Okno po stronie kierowcy było do połowy opuszczone. Dan zajrzał do środka.

Gliniarz w cywilu prowadzący obserwację był detektywem z wydziału East Valley. Dan go znał. Nazywał się George Padrakis i wyglądał jak Perry Como, piosenkarz z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Padrakis opuścił do końca uchylone okno i zapytał:

— Przeszedłeś mnie zmienić czy co?

Nawet głos miał jak Perry Como: miękki, melodyjny i senny. Spojrzał na zegarek.

— Nic z tego, zostało mi jeszcze parę godzin. Za wcześniej na zmianę.

— Chciałem tylko zajrzeć do środka — wyjaśnił Dan.

Wykręcając głowę, żeby popatrzeć na Dana, Padrakis zapytał:

— To twoja sprawa, hę?

— Moja.

— Wexlersh i Manuello już tam wszystko przeczesał.

Wexlersh i Manuello byli zaufanymi ludźmi Rossa Mondale'a w wydziale East Valley: dwaj detektywi-karierowicze, którzy doczepili swoje wagony do jego lokomotywy i gotowi byli zrobić dla niego wszystko, włącznie z okazjnym naginaniem prawa. Włazili bez mydła. Dan ich nie znosił.

— Też są w tej sprawie? — zapytał.

— Myślałeś, że masz wszystko tylko dla siebie? Za duża sprawa. Razem cztery trupy. W tym jeden milioner z Hancock Park. Za duża dla Samotnego Jeźdźca.

— Po co cię tutaj ściągnęli? — Dan przykucnął, żeby podczas rozmowy z Padrakisem patrzeć mu w oczy.

— Pojęcia nie mam. Pewnie sobie wymyślili, że w domu Rinka jest coś, co wskaże jego pracodawcę, a ten pracodawca wie o tym i przyjdzie tutaj, żeby pozbyć się do wodu.

— I wtedy go capniesz.

— Śmieszne, nie? — mruknął sennie Padrakis.

— Czyj to był pomysł?

— A jak myślisz?

— Mondale'a — stwierdził Dan.

— Wygrywasz jedną pluszową maskotkę.

Chłodny wiaterek nagle zmienił się w zimny wiatr, który zaszeleścił laurowymi liśćmi.

— Chyba pracujesz przez całą dobę na okrągło, jeśli wczorajszej nocy byłeś w tym domu w Studio City — zauważył Padrakis.

— Prawie na okrągło.

— Więc co tu robisz?

— Słyszałem, że dają darmową prażoną kukurydzę.

— Powinieneś siedzieć w domu z nogami na stole i popijać piwo. Tam twoje miejsce.

— Skończyło mi się piwo. Poza tym jestem pracowity — odparł Dan. — Zostawili ci klucz, George?

— Słyszałem, że jesteś pracoholikiem.

— Zrobisz mi najpierw psychoanalizę, zanim mi powiesz, czy masz klucz?

— Tak. Ale nie wiem, czy powinienem ci go dać.

— To moja sprawa.

— Ale dom już został przeszukany.

— Nie przeze mnie.

— Wexlersh i Manuello.

— Tweedledee i Tweedledum. Daj spokój, George, czemu jesteś taki upierdliwy?

Padrakis niechętnie poszukał w kieszeni marynarki klucza do domu Neda Rinka.

— Słyszałem, że Mondale koniecznie chce z tobą pogadać.

Dan kiwnął głową.

— To dlatego że jestem błyskotliwym rozmówcą. Powinieneś posłuchać, jak dyskutuję o balecie.

Padrakis wyciągnął klucz, ale nie podał go od razu.

— Przez cały dzień próbował cię złapać.

— I on się uważa za detektywa? — prychnął Dan, wyciągając rękę po klucz.

— Szukał cię przez cały dzień, a potem zjawiasz się tutaj, zamiast wrócić na posterunek, jak mu obiecałeś, a ja tak zwyczajnie daję ci klucz... nie będzie tym zachwycony.

Dan westchnął.

— Myślisz, że będzie zachwycony, jeśli nie dasz mi klucza i będę musiał wybić szybę, żeby wejść do domu?

— Nie zrobisz tego.

— Wybierz okno.

— To głupie.

— Wszystko jedno które.

Wreszcie Padrakis dał mu klucz. Dan przeszedł chodnikiem przez bramę do drzwi frontowych, oszczędzając kontuzjowane kolano. Znowu zanosił się na deszcz, mówiło. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Znalazł się w maleńkim przedpokoju. Salon po prawej stronie był ciemny, przez okno wpadał tylko nikły bladoszary odbłask dalekiej latarni. Po lewej, na drugim końcu wąskiego korytarza paliła się lampa w gabinecie lub sypialni. Nie było jej widać z ulicy. Wexlersh i Manuello widocznie zapomnieli ją zgasić, kiedy skończyli, co było do nich podobne: partacze.

Włączył światło w korytarzu, wszedł w ciemność po prawej, znalazł lampę i najpierw obejrzał salon. Zdumiał się. Ten skromny domek w skromnym sąsiedztwie był umeblowany tak, jakby służył za sekretny azyl któremuś z Rockefellerów. Środek salonu zajmował wspaniały chiński dywan trzycalowej grubości, mierzący dwanaście na dwanaście stóp, we wzór ze smoków i kwiatów wiśni. Stały tam francuskie krzesła z połowy dziewiętnastego wieku, z ręcznie rzeźbionymi nogami, oraz sofa do kompletu, obita kosztowną tkaniną w odcieniu złamanej bieli, dokładnie pasującym do barwy tła na dywanie. Dwie lampy z brązu o misternie rzeźbionych podstawach miały abażury z kryształowych wisiorów. Duży stolik do kawy nie przypominał niczego, co Dan widywał

wcześniej: wykonany całkowicie z brązu i cyny, ze wspaniale wygrawerowaną orientalną sceną na blacie; wierzch zakrzywiał się łagodnie tworząc boki, a boki wyginały się tworząc nóżki, toteż cały mebel wydawał się uformowany z jednej opływowej bryły. Na ścianach wisiały pejzaże, wyglądające na dzieła mistrzów, każdy w bogatej ramie. Stylowa francuska etażerka w drugim końcu pokoju zawierała kolekcję kryształów — wazy, puchary, figurki — jeden piękniejszy od drugiego.

Samo umeblowanie salonu kosztowało więcej niż cały skromny dom. Widocznie Ned Rink dobrze zarabiał jako płatny morderca. I wiedział, jak wydawać pieniądze. Gdyby kupił wielki dom w najlepszej okolicy, urząd skarbowy w końcu zainteresowałby się źródłami jego dochodów, tutaj jednak mógł żyć w luksusach, zachowując pozory skromności.

Dan próbował wyobrazić sobie Rinka w tym pokoju. Morderca był niski, krępy i zdecydowanie brzydki. Zrozumiałe było jego pragnienie, by otaczać się pięknymi rzeczami, lecz siedząc tutaj, musiał wyglądać jak karaluch na torcie urodzinowym.

Dan zauważył, że w salonie nie było luster, przypomniał sobie, że nie widział żadnego w przedpokoju, i zaczął podejrzewać, że nie znajdzie ani jednego w całym domu, oczywiście z wyjątkiem łazienki. Prawie pożałował Rinka, miłośnika piękna, który nie mógł na siebie patrzeć.

Zafascynowany, przeszedł przez korytarz, żeby obejrzeć resztę domu. Najpierw ruszył do pokoju, gdzie Wexlersh i Manuello zostawili zapalone światło. Kiedy przestąpił próg, nagle przyszło mu do głowy, że może niesłusznie obwinia Wexlersha i Manuella, może ktoś inny wszedł tymczasem do domu, może ktoś zakradł się tutaj nielegalnie, mimo że George Padrakis pilnował frontowego wejścia, i w tej samej chwili dostrzegł kątem oka jakiś ruch, ale za późno. Odwrócił się i ujrzał kolbę pistoletu spadającą mu na głowę. Ponieważ zdążył się odwrócić, cios trafił go prosto w czoło zamiast w bok czaszki.

Upadł.

Twardo.

Górne światło zgasło.

Miał wrażenie, że czaszka mu pękła, ale nie stracił przytomności.

Usłyszał szelest i zorientował się, że napastnik przechodzi obok niego w stronę drzwi. W korytarzu paliło się światło, ale Danowi ćmiło się w oczach i widział tylko bezkształtną sylwetkę otoczoną blaskiem. Sylwetka jakby falowała w górę i w dół, a jednocześnie kręciła się w kółko jak na karuzeli, i Dan zrozumiał, że traci przytomność.

Niemniej podpełznął do przodu po podłodze, sycząc z bólu, który przeszył jego głowę, kark i ramiona, wyciągnął rękę i próbował złapać umykającą zjawę. Chwycił pełną garść materiału, nogawkę męskich spodni, i szarpnął z całej siły.

Obcy zatoczył się, uderzył we framugę drzwi i warknął:

— Cholera!

Dan nie puszczał.

Przeklinając, intruz kopnął go w ramię.

Potem drugi raz.

Dan trzymał teraz faceta obiema rękami za nogę i usiłował go ściągnąć na podłogę, gdzie obaj mieliby równe szansę, tamten jednak uczepił się framugi drzwi i próbował strząsnąć napastnika. Dan poczuł się jak pies atakujący listonosza.

Intruz kopnął go ponownie, tym razem w prawe ramię, które natychmiast zdrętwiało. Uchwyt na nodze przeciwnika stracił połowę siły. Światło jakby przygasło i Dan już prawie nic nie widział. Oczy go piekły. Zgrzytnął zębami, jakby chciał wgrzyźć się w świadomość i przytrzymać ją w imadle własnych szczęk.

Obcy, ciemny kształt na tle mętnego światła w korytarzu pochylił się nad nim i rąbnął go ponownie kolbą pistoletu. Tym razem w ramię. Potem w środek pleców. Potem znowu w ramię.

Mrugając, żeby rozproszyć mgłę w piekących oczach, Dan puścił nogę włamywacza, poderwał zdrową lewą rękę i próbował dosięgnąć gardła lub twarzy. Chwycił ucho, i szarpnął.

Obcy zakwiczał.

Ręka Dana ześliznęła się z zakrwawionego ucha, ale palce zahaczyły za kołnierzyk koszuli.

Intruz tłukł ramię Dana, żeby się uwolnić.

Dan trzymał mocno.

Częściowo odzyskał władzę w prawym ramieniu i zdołał podeprzeć się na nim, jednocześnie podciągając się ręką zaczepioną za koszulę przeciwnika. Na kolana. Potem jedna stopa na podłodze. Dźwignął się, popchnął faceta do tyłu. Na korytarz. Wykonali kilka chwiejnych kroków, obracając się niczym para niezdarnych tancerzy. Potem obaj runęli na podłogę.

Dan leżał teraz na przeciwniku, ale wciąż nie widział, jak tamten wygląda. Wzrok go zawodził, a światło w korytarzu jakby jeszcze przygasło. Oczy paliły Dana jak od kwasu, widocznie zalewał je pot i krew z rozcięcia na czole.

Sięgnął pod marynarkę i wy dobył swój policyjny specjal 38 z kabury pod pachą, ale nie zobaczył, jak przeciwnik bierze zamach i nie zdołał uchylić się przed ciosem. Coś twardego uderzyło go w kostki dłoni i broń upadła na podłogę.

Na skutek szamotaniny potoczyli się pod ścianę. Dan wycelował zdrowe kolano w krocze przeciwnika, ale tamten zablokował uderzenie. Co gorsze, drań kopnął Dana w drugie, felerne kolano, jego słaby punkt. Szybki jak jaszczurka błysk bólu przemknął przez udo do pachwiny i zawirował w żołądku. Trafienie w to kolano czasami przypominało kopniaka w jaja: nie mógł złapać tchu i prawie rozluźnił chwyt.

Prawie.

Intruz przełaził przez niego i próbował odczołgać się w stronę kuchni, ale Dan chwycił jego marynarkę. Bandzior uparcie posuwał się dalej, wlokąc Dana za sobą.

Wyglądałoby to śmiesznie, gdyby obaj nie krwawili i nie dyszeli jak zajeżdżone konie. I gdyby nie byli śmiertelnie poważni.

Z rozmytym, gasnącym wzrokiem Dan rzucił się do przodu w ostatnim rozpaczliwym wysiłku, żeby przygwoździć do ziemi intruza. Lecz bandyta widocznie doszedł do wniosku, że najlepszą defensywą jest porządna ofensywa, więc przestał się wyrывać i odwrócił się do Dana, przeklinając tak zawzięcie, że ślina pryskała mu z ust. Wydawało się, że wymachiwał jednocześnie czterema lub pięcioma ramionami. Walczący przetoczyli się kilka stóp w głąb korytarza, zanim zatrzymali się z intruzem na wierzchu.

Coś zimnego i twardego stuknęło Dana w zęby. Wiedział, co to jest. Lufa broni.

— Przystań się stawiać! — zażądał obcy.

Poprzez metal wibrujący na zębach Dan powiedział:

— Gdybyś chciał mnie zabić, już bym nie żył.

— Nie przeciągaj struny — ostrzegł bandyta, dostatecznie wściekły, żeby pociągnąć za spust nawet wbrew sobie.

Mrugając rozpaczliwie, Dan odrobinę oczyścił pole widzenia, na tyle, żeby zobaczyć rozmazany kształt broni, wielkiej jak armata, wetkniętej w jego usta. Zobaczył również mężczyznę za bronią, chociaż niewyraźnie. Lampa sufitowa w korytarzu wisiała z tyłu nad głową sukinsyna, więc jego twarz kryła się w cieniu. Lewe ucho dziwacznie obwisło i broczyło krwią.

Dan zorientował się, że krew skleić mu rzęsy. Krew i obfite strugi słonego potu nadal zalewały mu oczy, i częściowo dlatego nic nie widział.

Przestał walczyć.

— Puszczaj... ty... cholerny... buldogu! — wysapał intruz, klęcząc na nim i chwytając nowy oddech przy każdym słowie, jakby słowa były ołowianymi sztabami i każde wymagało ogromnego wysiłku.

— Okay — powiedział Dan i puścił.

— Odbiło ci, facet?

— Jasne — przytaknął Dan.

— Kurwa, mało mi ucha nie urwałeś!

— Jasne.

— Nie wiesz, kiedy masz leżeć spokojnie, ty głupi sukinsynu?

— Teraz?

— Tak, teraz!

— Okay.

— Nie wstawaj!

— Dobrze.

Intruz odsunął się i chociaż ciągle mierzył z pistoletu do Dana, nie przyciskał już broni do jego zębów. Przez chwilę nieufnie wpatrywał się w Dana, po czym wstał. Z trudem.

Teraz Dan widział go lepiej, ale to nie miało znaczenia, ponieważ nie znał tego człowieka.

Facet wycofał się w stronę kuchni. Trzymał broń jedną ręką, a drugą dotykał krwawiącego ucha.

Bezbronny, nie mogąc się ruszyć pod groźbą postrzelenia, Dan leżał na plecach na podłodze korytarza, z uniesioną głową, krew spływała mu do oczu, czuł zapach krwi, jej smak, serce mu waliło, chciał walczyć dalej, chciał rzucić się na drania pomimo pistoletu, ale musiał zapanować nad sobą, nie mógł nic zrobić, tylko patrzeć z bezsilną furią na ucieczkę włamywacza.

Bandzior dotarł do kuchni. Tylne drzwi były otwarte. Wyszedł przez nie tyłem, zawałał się, potem pobiegł.

Dan na czworakach poszukał własnej broni, która leżała na podłodze pod drzwiami pokoju, gdzie go napadnięto. Chwycił rewolwer, chwiejnie dźwignął się na nogi, wrzasnął, kiedy granat bólu eksplodował w kontuzjowanym kolanie, cudem wepchnął ból do małej skrzyneczki swojego umysłu i zatrasnął wieko, po czym ruszył do kuchni.

Zanim dotarł do tylnych drzwi i wyszedł na chłodne nocne powietrze, intruz zniknął. Nie miał pojęcia, którą część sekwojowego płotu przeskoczył włamywacz.

Dan obmył twarz w łazience Rinka. Na czole miał siniec i otarcie.

Wróciła mu ostrość wzroku. Chociaż odnosił wrażenie, że jego głowa zmieniła się w kowadło, nie musiał obawiać się wstrząsu mózgu.

Nie tylko głowa go bolała. Czuł bolesne pulsowanie w plecach, ramionach, karku i lewym kolanie.

W apteczce nad zlewem znalazł paczkę gazy, zrobił z niej kompres i odłożył. Odkrył również pojemnik ze środkiem dezynfekcyjnym, więc spryskał poranione czoło, osuszył je niezręcznie, spryskał jeszcze raz. Przyłożył gazowy kompres do czoła i mocno przycisnął prawą ręką w nadziei, że całkiem zatamuje krwawienie, zanim skończy przeszukiwać dom.

Wszedł do pokoju, gdzie go napadnięto, i zapalił światło. Był to gabinet, mniej elegancki, lecz równie kosztownie umeblowany jak salon. Jedną ścianę w całości zakrywały regały zbudowane wokół telewizora i magnetowidu. Połowę półek zajmowały książki; drugą połowę wypełniały kasety wideo. Najpierw obejrzał taśmy i znalazł kilka znajomych tytułów: „Transamerican Express”, „Arthur”, wszystkie filmy Abbotta i Costella, „Tootsie”, „Żegnaj dziewczyno”, „Dzień świstaka”, „Nieczysta gra”, „Pani Doubtfire”, kilka filmów z Charliem Chaplinem, dwa obrazy braci Mara. Wszystkie filmy fabularne

to były komedie; widocznie zawodowy zabójca potrzebował odrobiny humoru, kiedy wracał zmęczony do domu po całym dniu rozwalania ludzi. Ale większość filmów była pornograficzna, z tytułami w rodzaju „Debbie załatwia Dallas” albo „Sperminator”; na oko jakieś dwieście do trzystu pornosów.

Książki bardziej zainteresowały Dana, ponieważ o nie najwyraźniej chodziło włamywaczowi. Na podłodze przed regałem stało kartonowe pudło, w którym leżało kilka tomów zdjętych z półki. Dan najpierw obejrzał całą kolekcję i odkrył, że wszystkie książki to niebeletrystyczne traktaty na temat tej czy innej dziedziny okultyzmu. Potem, wciąż przyciskając gazę jedną ręką do czoła, przerzucił siedem tomów w pudle i zobaczył, że wszystkie napisał ten sam autor, Albert Uhlander. Uhlander?

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął mały notesik z adresami, który zabrał poprzedniej nocy z domu w Studio City, ze zdewastowanego gabinetu Dylana McCaffreya. Przekartkował stroniczki do U i znalazł tylko jedno nazwisko. Uhlander.

McCaffrey interesował się okultyzmem i znał Uhlandera. Rink, który interesował się okultyzmem, co najmniej czytywał Uhlandera; może również znał go osobiście. Istniało powiązanie pomiędzy McCaffreym a Nedelem Rinkiem. Ale czy walczyli po tej samej stronie, czy byli wrogami? I co miał z tym wspólnego okultyzm?

Kręciło mu się w głowie, nie tylko od uderzenia kolbą pistoletu.

W każdym razie Uhlander najwyraźniej stanowił klucz do zagadki. Widocznie intruz włamał się tylko po to, żeby usunąć te książki z domu, żeby ukryć powiązania z Uhlanderem.

Przyciskając gazę do czoła, Dan wyszedł z gabinetu. Ból, niczym prąd elektryczny, wydawał się płynąć przez gazę do jego dłoni, w górę ręki do prawego ramienia, w dół przez plecy, w górę do lewego ramienia, przez kark i lewy policzek, i zamykał obwód z powrotem na czole, gdzie cała zabawa zaczynała się od początku.

Oszczędzając lewe kolano, przekładając rzeczy jedną ręką i czując się jak wielki okaleczony owad, przeszukał metodycznie cały dom i nie znalazł więcej nic ciekawego. Rink był płatnym mordercą, a płatni mordercy nie przechowują poręcznych małych notesików z adresami i rejestrów zleceń, żeby pomagać w policyjnym śledztwie.

Wróciwszy do łazienki, zdjął kompres i zobaczył, że krwawienie rzeczywiście ustało.

Wyglądał koszmarnie. Ale całkiem stosownie, ponieważ również czuł się koszmarnie.

21

Kiedy Dan dokuśtykał do krawężnika, niosąc niewielkie pudło z książkami, George Padrakis wciąż siedział za kierownicą nieoznakowanego sedana, w ciemności, za uchylonym oknem. Opuścił szybę do końca, kiedy zobaczył Dana.

— Właśnie gadałem przez radio. Mondale chce... Hej, co ci się stało w głowę?

Dan opowiedział mu o włamywaczu.

Padrakis otworzył drzwi i wysiadł z auta. Wyglądał i mówił jak Perry Como, i poruszał się tak samo: leniwie, niedbale, z wrodzonym wdziękiem. Nawet kiedy wyciągał rewolwer spod marynarki, zrobił to niedbale.

— Facet zwał — oznajmił Dan, kiedy Padrakis zrobił krok w stronę domu Rinka.
— Już dawno.

— Ale jak się tam dostał?

— Tylnym wejściem.

— Na tej ulicy jest cicho, a ja miałem uchylone okno — zaprotestował Padrakis.
— Usłyszałbym rozbijanie szyby czy cokolwiek.

— Nie znalazłem rozbitej szyby — wyjaśnił Dan. — Myślę, że wszedł kuchennymi drzwiami, pewnie miał klucz.

— Więc to nie moja wina — stwierdził Padrakis i włożył rewolwer do kabury. — Nie mogę być w dwóch miejscach naraz, do cholery. Jak chcieli obstawić również tył domu, powinni przydzielić dwóch ludzi. Dobrze się przyjrzałeś temu cwaniaczkowi, który ci przyłożył?

— Nie za dobrze. — Dan zwrócił Padrakisowi klucz. — Ale jeśli zobaczysz faceta ze strasznie zmasakrowanym uchem, to on.

— Uchem?

— Prawie mu urwałem ucho.

— Po co?

— Po pierwsze dlatego, że chciał mi rozwalić łeb — odparł niecierpliwie Dan.
— Poza tym ja jestem jak matador. Zawsze chcę przynieść do domu trofeum, a ten facet nie miał ogona.

Padrakis wydawał się zbity z tropu.

Olbrzymi turystyczny dom na kółkach wyjechał zza rogu z rykiem silnika i przeto-
czył się przez ulicę niczym dinozaur.

Padrakis zmarszczył brwi na widok pudła w ręku Dana i podniósł głos, żeby prze-
krzyczeć hałaśliwy pojazd miłośników natury.

— Co tam masz?

— Książki.

— Książki?

— Zszyte kartki papieru zadrukowane słowami, w celu dostarczenia informacji lub
rozrywki. Co z tym radiem? Czego chciał Mondale?

— Zabierasz te książki ze sobą?

— Właśnie.

— Nie wiem, czy możesz.

— Nie martw się. Poradzę sobie. Nie są takie ciężkie.

— Nie o to mi chodziło.

— Czego chciał Mondale?

Wpatrując się ponuro w pudło trzymane przez Dana, Padrakis zaczekał, aż zmoto-
ryzowany dom minął ich niczym brontozaur człapiący ociężale przez pierwotne bagno.
Owionął ich obłok spalin i zimnego powietrza.

— Przekazałem Mondale'owi, że tutaj jesteś.

— Jak przezornie z twojej strony, George.

— Właśnie zamierzał odwiedzić Znak Pentagramu na Bulwarze Ventura.

— Dobrze mu robi.

— Bardzo chce się tam z tobą spotkać.

— Co to jest ten cholerny Znak Pentagramu? Nazywa się jak bar dla wilkołaków.

— To chyba jakaś księgarnia czy coś w tym guście — odparł Padrakis, wciąż spoglą-
dając pochmurnie na pudło z książkami. — Zabili tam faceta.

— Jakiego faceta?

— Chyba właściciela. Nazywa się Scaldone. Mondale mówił, że wygląda jak trupy
w Studio City.

— Tyle z mojego obiadu — mruknął Dan.

Ruszył chodnikiem, przez plamy czarnofioletowych cieni rozdzielone kałużami błę-
dęgo bursztynowego światła, w stronę własnego samochodu.

Padrakis pospieszył za nim.

— Hej, te książki...

— Ty czytasz, George?

— Są własnością zmarłego...

— Nie ma jak wieczór z dobrą książką, chociaż trupa to już chyba nie bawi.

— I to nie jest miejsce przestępstwa, skąd możemy zabrać każdą rzecz jako dowód.

Dan oparł pudło na zderzaku samochodu, otworzył bagażnik, włożył pudło do środka i powiedział:

— „Człowiek, który nie czyta dobrych książek, w niczym nie jest lepszy od tego, który nie umie czytać”. Mark Twain tak powiedział, George.

— Słuchaj, dopóki ktoś z rodziny nie wyrazi zgody, naprawdę uważam, że nie powinieneś...

Dan zatrzasnął pokrywę bagażnika i wyrecytował:

— „W książkach kryją się skarby większe od wszystkich pirackich łupów na Wyspie Skarbów”. Walt Disney. On miał rację, George. Powinieneś więcej czytać.

— Ale...

— „Książki to coś więcej niż stosy martwego papieru, to żywe umysły na półkach biblioteki”. Gilbert Highet. — Poklepał Padrakisa po ramieniu. — Poszerzaj swoje ograniczone horyzonty, George. Nadaj barwę swojej szarej egzystencji detektywa. Czytaj, George, czytaj!

— Ale...

Dan wsiadł do samochodu, zamknął drzwi i uruchomił silnik. Padrakis patrzył na niego z wyrzutem przez szybę.

Dan pomachał i odjechał.

Skreślił za róg, przejechał kilka przecznic i zatrzymał samochód przy krawężniku. Wyjął notes z adresami Dylana McCaffreya. Pod literą S znalazł Josepha Scaldone, obok słowo „Pentagram”, numer telefonu i adres na Bulwarze Ventura.

Morderstwa w Studio City, śmierć Neda Rinka i obecne zabójstwo Scaldonego prawie na pewno były ze sobą powiązane. Coraz bardziej wyglądało na to, że ktoś rozpaczliwie próbuje zatuszować dziwną konspirację, eliminując wszystkich uczestników. Prędzej czy później zlikwidują również Melanie McCaffrey — albo porwą ją od matki. A jeśli bezimienni wrogowie ponownie dostaną w łapy dziewczynkę, mała zniknie na zawsze; nie będzie miała tyle szczęścia, żeby uratować się po raz drugi.

O dziewiętnastej zero pięć Laura była w kuchni, robiła obiad dla siebie, Melanie i Earla. Woda w dużym garnku zaczynała kipieć na piecyku, w mniejszym garnku podgrzewał się sos do spaghetti z pulpetami. Kuchnię wypełniały smakowite zapachy: czosnek, cebula, pomidory, bazylia i ser. Laura opłukała garść czarnych oliwek i wrzuciła je do wielkiej miski z sałatką.

Melanie siedziała przy stole, milcząca, nieruchoma, ze spuszczoną głową i dłońmi splecionymi na podołku. Oczy miała zamknięte, jakby spała. A może tylko wycofała się głębiej w swój własny, prywatny świat.

Po raz pierwszy od sześciu lat Laura przygotowała posiłek dla córki i nawet żaloszny

stan Melanie nie mógł całkiem zepsuć tej chwili. Laura czuła się domowo i macierzyńsko. Minęło wiele czasu, odkąd ostatnio doznawała takich uczuć; zapomniała już, że macierzyństwo może dostarczać równie wielkiej satysfakcji jak osiągnięcia zawodowe.

Earl Benton nakrył do stołu, rozstawił talerze i szklanki, rozłożył sztucze i serwetki. Teraz siedział naprzeciwko Melanie, w koszuli z krótkimi rękawami — i z kaburą pod pachą — czytając gazetę. Kiedy natrafił na coś ciekawego, zabawnego czy szokującego w kolumnie z plotkami lub w kąciuku samotnych serc, czytał to Laurze.

Pieprzówka, cętkowana kocica, zwinęła się wygodnie w kącie obok lodówki, ukołysana mruczeniem i wibracją silnika. Wiedziała, że nie wolno jej włączyć na stół czy kuchenne blaty, i zwykle siedziała cichutko w kuchni z obawy, żeby jej całkiem nie wyrzuciono. Nagle jednak kotka miauknęła przeraźliwie i zerwała się na nogi. Wygięła grzbiet w łuk, zjeżyła sierść. Spojrzenie miała dzikie, syczała i pluła z furją. Earl odłożył gazetę i zapytał:

— Co się stało, kiciu?

Laura odwróciła się od deski, na której kroїła warzywa na sałatkę.

Pieprzówka okazywała straszliwe zdenerwowanie. Jej uszy przywarły płasko do czaszki, wargi ściągnęły się, obnażając kły.

— Pieprzówka, co ci jest?

Wybałuszone ze zgrozy oczy kota zdawały się rozsadzać oczodoły. Przez chwilę patrzyły na Laurę. W tych oczach nie zostało nic z domowego zwierzątka, nic, tylko czysta dzikość.

— Pieprzówka...?

Kotka wyskoczyła z kąta, wrzeszcząc ze strachu lub wściekłości. Pomknęła w stronę rzędu szafek, lecz nagle zawróciła ostro, jakby zobaczyła coś potwornego. Rzuciła się do zlewu, potem zapiszczała i znowu gwałtownie zmieniła kierunek. Jej pazurki drapały po płytkach podłogi. Przez kilka obrotów ścigała własny ogon, plując i kłapiąc szczękami, potem wyskoczyła prosto w górę, jakby dźgnięta niewidzialnym szpikulcem. Drapała powietrze pazurami, skakała i kręciła się na tylnych łapach w dziwacznym tańcu świętego Wita. Wreszcie opadła na cztery łapy i natychmiast rzuciła się do ucieczki. Jak błyskawica śmignęła pod stołem, pomiędzy krzesłami, przez kuchenne drzwi do jadalni. Zniknęła. Odegrała niesamowite przedstawienie. Laura nigdy nie widziała niczego w tym rodzaju.

Melanie nie zwróciła uwagi na szaleństwa kota. Siedziała spokojnie z rękami na kolanach, z zamkniętymi oczami, ze spuszczoną głową.

Earl rzucił gazetę i wstał z krzesła. W głębi domu Pieprzówka wydała ostatni żalospny wrzask. Potem zapadła cisza.

Znak Pentagramu to był nieduży sklep w ruchliwym kwartale, stanowiącym samą

esencję południowokalifornijskich nadziei i marzeń. Fotografia tej części Bulwaru Ventura mogła służyć za słownikową ilustrację hasła „drobny kapitalizm”. Małe sklepiki i restauracje tłoczyły się jedne przy drugim, całe szeregi firm prowadzonych przez właścicieli w najróżniejszym wieku i najrozmaitszego pochodzenia, i każdy mógł tam znaleźć coś ciekawego, zaspokoić każdy gust, egzotyczny czy zwyczajny: koreańska restauracja z najwyżej piętnastoma stolikami; feministyczna księgarnia; dostawca ręcznie wyrobianych noży; coś o nazwie Gejowskie Centrum Rozrywki; pralnia chemiczna, obsługa przyjęć, ramiarz, kilka delikatesów i sklep ze sprzętem elektronicznym; księgarnia sprzedająca wyłącznie fantasy i fantastykę naukową; Finanse Braci Ching, „Pożyczki dla Rzetelnych”; maleńka restauracyjka oferująca „zamerykanizowaną kuchnię nigeryjską” i druga specjalizująca się w „chinois, potrawy francusko-chińskie”; handlarz oferujący wojskowe wyposażenie wszelkiego rodzaju, chociaż nie broń. Niektórzy z tych przedsiębiorców zbijali majątek, inni nie mieli na to szans, wszyscy jednak marzyli i Dan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w wieczornym zmierzchu nadzieja oświeciła Bulwar Ventura nawet jaśniej niż latarnie.

Zaparkował w sporej odległości od Znaku Pentagramu i przeszedł obok furgonetki Wiadomości Naocznych Świadców, podobnych pojazdów z działów wiadomości KNBC i KTLA, oznakowanych i nieoznakowanych policyjnych samochodów oraz wozu kornera. Na chodniku zebrał się tłum złożony z miejscowych gapiów, dzieciaków ubranych jak punki i gangsta-raperzy, które pozowały na uliczników, ale pewnie mieszkały z rodzicami w domach za trzysta tysięcy dolarów, oraz spragnionych sensacji przedstawicieli mediów o rozbieganym spojrzeniu, które (według Dana) upodabniało ich do szakali. Przepchnął się przez zbiegowisko, dostrzegł dziennikarza z „Los Angeles Times” i wycofał się poza zasięg minikamery, przed którą reporter i jego ekipa filmowali odcinek do wiadomości o jedenastej na Kanale Czwartym. Dan wyminął nastolatkę z pasiastymi błękitno-zielonymi włosami skręconymi w punkowe kolce; nosiła czarne buty do kolan, mikroskopijną czerwoną spódniczkę i biały sweter w dziwaczny deseń z martwych niemowląt. Cały fronton sklepu pokrywały amatorsko wymalowane, lecz barwne okultystyczne i astrologiczne symbole. Umundurowany policjant z LAPD stał pod wyblakłym czerwonym pentagramem, pilnując wejścia. Dan mignął odznaką i wszedł.

Rozmiar zniszczeń wydawał się znajomy. Wściekły olbrzym, który poprzedniej nocy zdemolował dom w Studio City, znowu zlaźł z łodygi fasoli i obrócił w ruinę również ten sklep. Elektroniczna kasa wyglądała jak roztrzaskana młotem kowalskim; jakimś cudem prąd nadal krążył w zmiażdżonych obwodach i jedna czerwona cyferka migiała w rozbitym okienku wyświetlacza, szóstka, przypominająca ostatnie słowo umierającej ofiary, jakby kasa próbowała powiedzieć policjantom coś o swoim zabójcy. Kilka półek w regałach pękło, na podłodze leżały stosy okaleczonych książek o zgniecionych obwolutach, pogiętych okładkach i podartych stronicach. Lecz w Znaku Pentagramu sprze-

dawano nie tylko książki; podłogę zaśmiecały również świece wszelkich barw, kształtów i rozmiarów, karty tarota, połamane tabliczki ouija, wypchane sowy, totemy, figurki tiki oraz setki egzotycznych proszków i olejków. Pachniało tu olejkiem różanym, truskawkowym kadzidłem i śmiercią.

Detektywi Wexlersh i Manuello znajdowali się wśród gliniarzy i techników z badań naukowych i zauważyli Dana, gdy tylko wszedł do sklepu. Ruszyli w jego stronę, brodząc przez szczątki towarów. Na twarzach mieli identyczne lodowate uśmiechy, bez śladu humoru. Przypominali parę lądowych rekinów, równie drapieżnych i zimnokrwistych jak prawdziwe rekiny.

Wexlersh był niski, z bladoszarymi oczami i woskowo białą cerą, która w Kalifornii wyglądała niestosownie nawet w zimie.

— Co się panu stało w głowę? — zapytał.

— Uderzyłem się o niską gałąź — wyjaśnił Dan.

— Chyba raczej pobił pan jakiegoś biednego, niewinnego podejrzanego, pogwałcił jego prawa obywatelskie, a biedny niewinny podejrzanym okazał się na tyle głupi, żeby stawiać opór.

— Czy tak traktujecie podejrzanym w wydziale East Valley?

— A może to była prostytutka, która nie chciała dać darmowej próbki tylko dlatego, że pan jej machnął odznaką przed nosem — wyszczerzył się Wexlersh.

— Nie powinieneś silić się na żarty — pouczył go Dan. — Masz tyle dowcipu co dziura w kiblu.

Wexlersh wciąż się uśmiechał, ale jego szare oczy wypełniała zimna złość.

— Haldane, według pana, z jakim wariatem mamy tutaj do czynienia?

Manuello, pomimo nazwiska, nie przypominał z wyglądu Hiszpana: wysoki blondyn o kwadratowych rysach twarzy, z dołkiem w brodzie jak Kirk Douglas.

— Właśnie, Haldane, niech pan podzieli się z nami swoją mądrością i doświadczeniem — powiedział.

A Wexlersh dodał:

— Tak, pan jest porucznikiem. My jesteśmy tylko skromnymi detektywami pierwszego stopnia.

— Tak, pragniemy wysłuchać pańskich spostrzeżeń i wnikliwych opinii o tej wyjątkowo ohydnej zbrodni — rzucił szyderczo Manuello. — Nie możemy się doczekać.

Chociaż Dan przewyższał ich rangą, tego rodzaju drobna niesubordynacja mogła im ujść bezkarnie, ponieważ mieli stały przydział do East Valley, nie do centrali, gdzie pracował Dan, ale głównie dlatego, że byli pieszczoškami Rossa Mondale'a i wiedzieli, że kapitan ich obroni.

— Wiecie co, wy dwaj źle wybraliście zawód. Na pewno wolelibyście łamać prawo, niż go bronić — odezwał się Dan.

— Ale naprawdę, poruczniku — powiedział Wexlersh — do tej pory musiał pan już stworzyć jakąś teorię. Co to za wariat gania po mieście i tłucze ludzi na dżem truskawkowy?

— A przy okazji — podjął Manuello — co to za wariat tutaj zginął?

— Joseph Scaldone? — upewnił się Dan. — Właściciel tego sklepu? Dlaczego twierdzisz, że był wariatem?

— No — powiedział Wexlersh — na pewno nie był zwykłym biznesmenem.

— Wątpię, żeby go przyjęli do Izby Handlowej — dorzucił Manuello.

— Albo do Biura Rozwoju Biznesu — uzupełnił Wexlersh.

— Kompletny szajbus — podsumował Manuello.

— Co wy wygadujecie? — zdziwił się Dan.

Manuello odparł:

— Nie uważa pan, że tylko szajbus mógł prowadzić sklep... — sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął buteleczkę wielkości i kształtu tych, w jakich zwykle sprzedaje się oliwki — ...sklep handlujący czymś takim?

Na pierwszy rzut oka buteleczka istotnie wydawała się zawierać małe oliwki, lecz Dan natychmiast zorientował się, że to były gałki oczne. Nie ludzkie oczy. Mniejsze. I dziwne.

Niektóre miały żółte źrenice, inne zielone, pomarańczowe, czerwone, ale chociaż różniły się kolorami, wszystkie miały podobny kształt: nie okrągłe jak źrenice oczu człowieka i większości zwierząt, tylko podłużne, eliptyczne, promieniujące złem.

— Wężowe oczy — oznajmił Manuello, pokazując etykietę.

— A co pan na to? — zagadnął Wexlersh, wyjmując inną buteleczkę z kieszeni kurtki.

Wypełniał ją szarawy proszek. Starannie wypisana etykiетка głosiła: GUANO NIETOPERZY.

— Gównno nietoperzy — przetłumaczył Wexlersh.

— Sproszkowane gównno nietoperzy — mówił Manuello — wężowe oczy, jaszczurcze języki, wianki czosnku, fiolki byczej krwi, magiczne zaklęcia, uroki i inne bzdury. Jacy ludzie przychodzą tutaj i kupują takie śmiecie, poruczniku?

— Wiedzmy — podpowiedział Wexlersh, zanim Dan zdążył się odezwać.

— Baby, którzy uważają się za wiedźmy.

— Czarownicy — ciągnął Wexlersh.

— Faceci, którzy uważają się za czarowników.

— Wariaci — zakończył Wexlersh.

— Popaprańcy — stwierdził Manuello.

— Ale tutaj przyjmują karty kredytowe Visa i MasterCard — oznajmił Wexlersh.

— Oczywiście tylko z ważnym dowodem tożsamości.

— Tak, w naszych czasach czarownicy i wariaci używają MasterCard — zauważył Manuello. — Czy to nie dziwne?

— Płacą rachunki za nietoperze gówno i węzowe oczy w dwunastu dogodnych miesięcznych ratach — wyjaśnił Wexlersh.

— Gdzie jest ofiara? — zapytał Dan.

Wexlersh wskazał wyprostowanym kciukiem w głąb sklepu.

— Jest tam z tyłu, próbują go do głównej roli w sequelu „Teksaskiej masakry piłą łańcuchową”.

— Spodziewam się, że wy, faceci z centrali, macie mocne żołądki — rzucił Manuello, kiedy Dan ruszył w głąb sklepu.

— Nie haftuj pan tutaj — ostrzegł Wexlersh.

— Właśnie, żaden sędzia nie dopuści dowodów w sądzie, jeśli jakiś gliniarz je obrzyga — wytłumaczył Manuello.

Dan zignorował ich. Gdyby zrobiło mu się niedobrze, starałby się obrzygać Wexlersha i Manuella.

Przestąpił przez stertę skotłowanych książek, przesiąkniętych rozlanym olejkiem jaśminowym, i podszedł do zastępcy patologa, który kucał nad bezkształtną szkarłatną masą, pozostałością po Josephie Scaldone.

W celu zweryfikowania teorii, że cętkowana kocica usłyszała odgłosy włamania zbyt ciche dla ludzkich uszu i przestraszyła się intruza w odległej części domu, Earl Benton przeszedł przez wszystkie pokoje, sprawdził drzwi i okna, zajrzał do szaf i za większe meble. Ale nie odkrył nic podejrzanego.

Znalazł Pieprzówkę w pokoju dziennym, już nie wystraszoną, lecz czujną. Kotka leżała na telewizorze. Pozwoliła się pogłaskać i zaczęła mruczeć.

— Co w ciebie wstąpiło, kiciu? — zapytał Earl.

Po kilku pieszczotach kotka wyciągnęła jedną nogę nad krawędzią telewizora i wskazała łapką na przyciski. Spojrzała na Earla prosząco, jakby chciała zapytać, czy mógłby włączyć grzejnik-z-dźwiękiem-i-obrazem, żeby trochę podgrzać jej tymczasowe legowisko.

Nie spełniwszy prośby, Earl wrócił do kuchni. Melanie wciąż siedziała przy stole, równie ożywiona jak marchewka.

Laura stała przy blacie, gdzie Earl ją zostawił, wciąż trzymając nóż. Chyba nic nie zrobiła od jego wyjścia. Po prostu czekała z nożem w ręku na wypadek, gdyby ktoś inny wrócił zamiast Earla.

Na jego widok wyraźnie doznała ulgi. Odłożyła nóż i zapytała:

— I co?

— Nic.

Drzwi lodówki nagle same się otworzyły. Słoiki, butelki i inne przedmioty na szklanych półkach zaczęły trząść się i grzechotać. Drzwiczki kilku szafek rozwarły się nagle, jakby szarpnięte niewidzialną ręką.

Laura zachłysnęła się.

Earl instynktownie sięgnął do kabury po broń, ale nie miał do kogo strzelać. Zastygł w bezruchu, z dłonią na kolbie rewolweru, trochę zakłopotany i bardziej niż trochę zdumiony.

Naczynia brzęczały i szczękały na półkach. Kalendarz wiszący na ścianie obok tylnych drzwi spadł na podłogę z odgłosem przypominającym łopot skrzydeł.

Po dziesięciu czy piętnastu sekundach, które wydawały się godziną, naczynia przestały grzechotać, drzwi szafek przestały kołysać się na zawiasach, a zawartość lodówki znieruchomiała.

— Trzęsienie ziemi — oświadczył Earl.

— Czyżby? — zapytała z powątpiewaniem Laura McCaffrey.

Wiedział, o co jej chodzi. To było podobne do skutków niewielkiego trzęsienia ziemi, a jednak... inne. Pod wpływem osobiwej zmiany ciśnienia powietrze jakby zgęstniało, nagle pojawił się chłód zbyt ostry, żeby składać winę wyłącznie na otwarte drzwi lodówki. I rzeczywiście kiedy wstrząsy ustały, powietrze natychmiast się ociepliło, chociaż lodówka wciąż była otwarta.

Lecz jeśli nie trzęsienie ziemi, to co? Nie przelot naddźwiękowego samolotu. To nie tłumaczyło zimna ani zmiany ciśnienia. Nie duch. Earl nie wierzył w duchy. Zresztą skąd taki pomysł, do cholery? Kilka dni temu obejrzał „Ducha” na swoim magnetowidzie. Może stąd powstało skojarzenie. Ale nie tak łatwo poddawał się sugestii, żeby jeden porządny film grozy kazał mu szukać nadnaturalnych przyczyn tutaj i teraz, kiedy nasuwało się znacznie mniej egzotyczne wyjaśnienie.

— Tylko trzęsienie ziemi — powtórzył, chociaż wcale nie był o tym przekonany.

Założyli, że to jest Joseph Scaldone, właściciel, ponieważ wszystkie dokumenty w jego portfelu wystawione były na nazwisko Scaldone. Dopóki jednak nie sprawdzą karty dentystycznej albo odcisków palców, mogli go zidentyfikować tylko na podstawie zawartości portfela. Żaden znajomy Scaldonego nie potrafił go rozpoznać, ponieważ biedak nie miał już twarzy. Niewielkie szansę miała również identyfikacja na podstawie blizn czy innych znaków szczególnych, gdyż skóra została pocięta, poszarpana, pozdzierana i podziurawiona tak brutalnie, że stare blizny czy znamiona znikły wśród krwawych strzępów. Potrzaskane żebra sterczały przez dziury w koszuli, ostry odłamek kości przebił mięśnie nogi i materiał spodni.

Trup wyglądał jak... rozgnieciony.

Dan odwrócił się od zwłok i zobaczył człowieka, którego zegar biologiczny widocz-

nie się rozregulował. Mężczyzna miał gładką, otwartą, pozbawioną zmarszczek twarz trzydziestolatka, siwiejące włosy pięćdziesięciolatka i przygarbione wiekiem ramiona emeryta. Nosił dobrze skrojony ciemnoniebieski garnitur, białą koszulę i ciemnoniebieski krawat ze złotym łańcuszkiem zamiast klipsa czy spinki.

— Pan jest Haldane? — zapytał.

— Zgadza się.

— Michael Seames, FBI.

Podali sobie ręce. Dłoń Seamesa była zimna i lepka. Odsunęli się od trupa i znaleźli kąt wolny od śmieci.

— Teraz wy to przejmujecie? — zagadnął Dan.

— Bez obaw. Nie odsuniemy pana od sprawy — zapewnił dyplomatycznie Seames.
— Chcemy tylko w tym uczestniczyć. Tylko obserwować... na razie.

— Świetnie — odparł szczerze Dan.

— Rozmawiałem ze wszystkimi innymi pracującymi nad tą sprawą, więc chciałem tylko powtórzyć panu, co im powiedziałem. Proszę informować mnie na bieżąco. Chcę wiedzieć o każdym nowym odkryciu, nawet najbardziej nieistotnym.

— Ale jakie usprawiedliwienie podaje FBI, żeby wkroczyć w tę sprawę?

— Usprawiedliwienie? — Twarz Seamesa zmarszczyła się w wymuszonym uśmiechu. — Poruczniku, po czyjej pan jest stronie?

— Chciałem wiedzieć, jakie federalne przepisy zostały złamane?

— Powiedzmy, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego.

W młodej twarzy Seamesa tkwiły oczy stare, doświadczone i czujne. Przypominały oczy drapieżnego jaszczura, który żył tutaj od czasów ery mezozoicznej i znał wszystkie sztuczki.

— Hoffritz pracował dawniej dla Pentagonu — zauważył Dan. — Robił dla nich badania.

— Owszem.

— Czy prowadził badania nad obronnością, kiedy go zabito?

— Nie.

Agent mówił płaskim głosem, pozbawionym modulacji, wypranym z emocji, dlatego Dan nie wiedział, czy tamten kłamie, czy mówi prawdę.

— A McCaffrey? — zapytał. — Czy on prowadził badania wojskowego typu?

— Nie dla nas — odparł Seames. — Przynajmniej nie ostatnio.

— Dla kogoś innego?

— Może.

— Dla Rosjan?

— W tych czasach prędzej dla Iraku, Iranu czy Libii.

— Mówi pan, że któryś z ich rządów go finansował?

— Tego nie powiedziałem — zaprzeczył Seames tym samym bezbarwnym głosem, który niczego nie zdradzał. — Nic nie wiemy i dlatego chcemy się włączyć w tę sprawę. McCaffrey pracował nad projektem finansowanym przez Pentagon, kiedy zniknął sześć lat temu ze swoją córką. Wtedy go sprawdziliśmy na polecenie Departamentu Obrony i doszliśmy do wniosku, że nie uciekł z żadną nową, cenną informacją dotyczącą projektu. Uważaliśmy, że nic się za tym nie kryło... wyłącznie osobista decyzja związana z nieprzyjemną kłótnią o prawo opieki nad dzieckiem.

— Może tak było.

— Tak, może tak było — przyznał Seames. — Przynajmniej z początku. Ale po pewnym czasie McCaffrey widocznie zajął się czymś ważnym... może nawet niebezpiecznym. Przynajmniej na to wygląda, kiedy się obejrzy ten szary pokój w Studio City. Co do Willy'ego Hoffritza... osiemnaście miesięcy po zniknięciu McCaffreya Hoffritz zakończył długofalowy projekt Pentagonu i odmówił przyjęcia następnych zleceń związanych z obronnością. Powiedział, że badania tego rodzaju zaczęły mu ciążyć na sumieniu. Początkowo wojskowi próbowali go przekonać, żeby zmienił zdanie, ale w końcu przyjęli jego rezygnację.

— Z tego, co o nim słyszałem — mruknął Dan — wątpię, czy Hoffritz w ogóle miał sumienie.

Przenikliwe jastrzębie oczy Seamesa wpatrywały się w Dana.

— Chyba ma pan rację pod tym względem. Wtedy, kiedy Hoffritz odstawił ten numer z *mea culpa*, Departament Obrony nie prosił nas o zweryfikowanie jego nagłego nawrócenia na pacyfizm. Przyjęli to za dobrą monetę. Ale dzisiaj przyjrzałem się dokładniej Willy'emu Hoffritzowi. W moim przekonaniu Hoffritz przestał korzystać z grantów Pentagonu tylko dlatego, że nie chciał dłużej podlegać wyrywkowym okresowym kontrolom służb bezpieczeństwa. Nie chciał, żeby ktoś mu patrzył na ręce. Potrzebował anonimowości dla jakiegoś własnego projektu.

— Na przykład torturowania dziewięcioletniej dziewczynki — podsunął Dan.

— Tak. Przed paroma godzinami byłem w Studio City, obejrzałem ten dom. Wstrętne.

Ani wyraz twarzy, ani spojrzenie nie pasowało do niesmaku i potępienia w jego głosie. Sądząc po oczach, wręcz nasuwało się podejrzenie, że Michael Seames uważał szary pokój raczej za interesujący niż odrażający.

— Jak pan myśli, dlaczego oni robili takie rzeczy z Melanie McCaffrey? — zapytał Dan.

— Nie mam pojęcia. Zwariowana historia — ocenił Seames, szeroko otwierając oczy i w zadziwieniu kręcąc głową. Lecz ta mina niewiniątka wyglądała na wykalkulowaną.

— Jaki efekt chcieli uzyskać?

— Nie wiem.

— W tamtym domu nie prowadzili zwykłych badań nad modyfikacją behawioralną — stwierdził Dan.

Seames wzruszył ramionami.

— Badali metody prania mózgu, całkowitej kontroli umysłu... i coś jeszcze... coś gorszego.

Seames wydawał się znudzony. Jego wzrok ześliznął się z Dana i powędrował w stronę techników z wydziału badań naukowych, przesiewających spryskane krwią śmieci.

— Ale dlaczego? — powtórzył Dan.

— Naprawdę nie wiem — ponownie oświadczył Seames, tym razem ze zniecierpliwieniem. — Ja tylko...

— Ale rozpaczliwie próbujecie się dowiedzieć, kto finansował ten cały piekielny projekt — ciągnął Dan.

— Nie powiedziałbym „rozpaczliwie”. Powiedziałbym, że nam zależy. Bardzo zależy.

— Więc musicie chociaż trochę orientować się, do czego oni zmierzali. Coś wicie i dlatego wam zależy.

— Na litość boską, Haldane — rzucił gniewnie Seames, ale nawet jego gniew wydawał się wykalkulowany; podstęp obliczony na zmylenie przeciwnika. — Widział pan, w jakim stanie są ciała. Wybitni naukowcy, dawniej finansowani przez Pentagon, zamordowani w niewytłumaczalny sposób... cholera, pewnie, że jesteśmy zainteresowani!

— Niewytłumaczalny? — zdziwił się Dan. — Przecież to jasne. Pobito ich na śmierć.

— Daj pan spokój, Haldane. To bardziej skomplikowane. Gdyby pan pogadał z własnym biurem koronera, dowiedziałyby się pan, że nie potrafią określić rodzaju tego cholernego narzędzia zbrodni. I że ofiary nie miały żadnej szansy obrony... brak krwi, skóry czy włosów pod ich paznokciami. I wielu ciosów nie mógł zadać człowiek walący maczugą, bo żaden człowiek nie ma tyle siły, żeby w ten sposób zmiażdżyć kości innego człowieka. To wymaga ogromnej siły, mechanicznej siły... nieludzkiej siły. Ich nie pobito tak zwyczajnie na śmierć, ich rozgnieciono jak pluskwy! I jeszcze te drzwi.

Dan zmarszczył czoło.

— Jakie drzwi?

— Tutaj, w tym sklepie, frontowe i tylne drzwi.

— Co z nimi?

— Pan nie wie?

— Dopiero przyszedłem. Jeszcze z nikim nie rozmawiałem.

Seames nerwowo poprawił krawat. Ten gest zaniepokoił Dana. Jeszcze nigdy nie widział nerwowego agenta FBI. A zdenerwowanie Michaela Seamesa było chyba jedyną rzeczą, której nie udawał.

— Drzwi były zamknięte na klucz, kiedy przyjechali pana ludzie — zaczął agent. — Scaldone skończył dzisiaj pracę tuż przed zabójstwem. Tylne drzwi pewnie były zamknięte przez cały czas, ale zanim został zabity, zamknął również drzwi frontowe na klucz i zaciągnął roletę. Pewnie zamierzał wyjść tylnymi drzwiami — jego samochód stoi za budynkiem — po podliczeniu dziennego utargu. Ale nie skończył liczyć. Został napadnięty w zamkniętym sklepie. Pierwszy policjant, który dotarł na miejsce zbrodni, musiał wyłamać zamek w drzwiach frontowych.

— Więc?

— Więc w środku była tylko ofiara — podjął Seames. Jedne i drugie drzwi były zamknięte na klucz, kiedy przyjechała policja, ale zabójca wydostał się ze sklepu.

— Co w tym takiego dziwnego? Widocznie zabójca miał klucz.

— I pozamykał za sobą, kiedy wychodził?

— Możliwe.

Seames pokręcił głową.

— Nie, jeśli wiemy, jak były pozamykane drzwi. Oprócz podwójnych zamków z zasuwą na każdym był też rygiel, ręcznie zamykany tylko od środka.

— Ręczne rygle na obu drzwiach? — upewnił się Dan.

— Tak. I w sklepie są tylko dwa okna. Wielkie okno wystawowe, zamocowane na stałe. Nikt tędy nie wyjdzie, jeśli najpierw nie rozbije go cegłą. Drugie jest na zapleczu, w gabinecie. Okno do wentylacji z żaluzjami.

— Dostatecznie duże dla człowieka?

— Tak — potwierdził Seames. — Tylko że od wewnątrz jest zakratowane.

— Zakratowane?

— Zakratowane.

— Więc musi być inna droga wyjścia.

— Niech pan znajdzie — zaproponował Seames tonem sugerującym, że nawet nie warto szukać.

Dan ponownie ocenił wzrokiem rozmiar zniszczeń i potarł twarz ręką, jakby próbował zetrzeć zmęczenie. Skrzywił się, kiedy czubki palców musnęły wciąż lepłą ranę na czole.

— Mówi pan, że Scaldone został pobity na śmierć w pokoju zamkniętym na klucz.

— Zamordowany w zamkniętym pokoju, tak. Ciągle nie mam pewności co do określenia „pobity”.

— Czy zabójca nie mógł się stąd wydostać przed przyjazdem pierwszej ekipy?

— Nie miał którędy.

— Ale go tutaj nie ma.

— Właśnie. — Zbyt młoda twarz Seamesa jakby usiłowała dopasować się do siwiejących włosów i zgarbionych ramion: w ciągu ostatnich dziesięciu minut postarzała się co

najmniej o kilka lat. — Rozumie pan, dlaczego mi zależy, poruczniku Haldane? Zależy mi na wyjaśnieniu śmierci dwóch byłych czołowych naukowców od obronności, ponieważ zabiły ich jakieś nieznane osoby lub siły, jakaś broń, która przenika przez ściany i zamknięte drzwi i przed którą absolutnie nie ma ucieczki.

To było nieco inne niż trzęsienie ziemi, ale Laura nie potrafiła dokładnie określić różnicy. No, po pierwsze nie słyszała dzwonienia szyb, chociaż przy trzęsieniu dostatecznie silnym, żeby pootwierać drzwiczki szafek, okna powinny klekotać i brzęczeć. Nie odczuła również żadnego ruchu, żadnego kołysania; oczywiście, jeśli znajdowali się dostatecznie daleko od epicentrum, niełatwo byłoby wykryć poruszenia gruntu. Powietrze wydawało się dziwnie przytłaczające, nie duszne ani wilgotne, tylko... naładowane. Laura przeżyła już kilka trzęsień ziemi, ale nie pamiętała tak ciężkiego powietrza. I coś jeszcze przemawiało przeciwko teorii trzęsienia ziemi, coś ważnego, czego ciągle nie mogła uchwycić.

Earl wrócił do stołu i gazety, a Melanie ciągle siedziała ze zwieszoną głową. Laura skończyła robić sałatkę i wstawiła ją do lodówki, czekając, aż makaron się ugotuje.

Woda zawrzała. Nad garnkiem uniosła się para.

Laura właśnie wyjmowała wermiszel z pudełka, kiedy Earl podniósł wzrok znad gazety i zawołał:

— Hej, to wyjaśnia kota!

Laura nie zrozumiała.

— Co?

— Tutaj piszą, że zwierzęta zwykle wyczuwają nadchodzące trzęsienie ziemi. Robią się nerwowe i dziwnie reagują. Może dlatego Pieprzówka wpadła w histerię i ścigała duchy po całej kuchni.

Zanim Laura zdążyła rozważyć słowa Earla, włączyło się radio, zupełnie jakby niewidzialna ręka przekręciła gałkę. Mieszkając sama przez ostatnie sześć lat, Laura czasami nie mogła znieść ciszy i pustki panującej w domu, toteż trzymała radia w kilku pokojach. Kuchenne wielozakresowe sony stało obok pojemnika na pieczywo, zaledwie kilka stóp od Laury, i kiedy samodzielnie się włączyło, odezwała się stacja KRLA, którą Laura ostatnio nastawiła. Bonnie Tyler śpiewała „Total Eclipse of the Heart”.

Earl odłożył gazetę. Znowu wstał.

Laura z niedowierzaniem zagapiła się na radio.

Gałka głośności zaczęła przekręcać się w prawo jakby z własnej woli. Laura widziała jej ruch.

Gardłowy głos Bonnie Tyler rozbrzmiał głośniej, jeszcze głośniej.

— Co u diabła? — powiedział Earl.

Melanie obojętnie dryfowała w swojej prywatnej ciemności.

Głos Bonnie Tyler i muzyka towarzysząca jej słowom huczały teraz w czterech ścianach kuchni. Szyby okienne dzwoniły, jakby nadeszło prawdziwe trzęsienie ziemi.

Świadoma powracającej fali zimna, Laura zrobiła krok w stronę radia.

Gdzieś w domu znowu rozdarła się Pieprzówka.

Kiedy Dan zbierał się do odejścia, Michael Seames zapytał:

— Przy okazji, co się panu stało w czoło?

— Przymierzałem kapelusze — wyjaśnił Dan.

— Kapelusze?

— Przymierzyłem jeden, który był za mały. Cholernie się namęczyłem, zanim go zdjąłem. Obtarłem skórę na czole.

Zanim Seames zdążył odpowiedzieć, Ross Mondale wszedł przez drzwi w głębi sklepu, za kontuarem. Spostrzegł Dana i powiedział:

— Haldane, pozwól tutaj.

— Co jest, szefie?

— Chcę z tobą porozmawiać.

— O czym, szefie?

— Sam na sam — warknął Mondale.

— Już idę, szefie.

Zostawił mrugającego, dezorientowanego Seamesa i pobrnął przez zwały śmieci. Ominął trupa i wszedł za ladę. Mondale skierował go w drzwi i ruszył za nim.

Pomieszczenie na zapleczu, równie długie jak sklep, ale szerokie tylko na dziesięć stóp, miało ściany z betonowych bloków. Spełniało podwójną funkcję biura i magazynu. Po lewej piętrzyły się sterty pudeł, widocznie wypełnionych towarami. Po prawej stało biurko z pecetem IBM, kilka segregatorów, nieduża lodówka oraz kuchenny stół z ekspresem do kawy. Nie było tutaj śladów przemocy; wszędzie panował ład i porządek.

Mondale zdążył przejrzeć szuflady biurka. Kilka przedmiotów, wśród nich cienki notes z adresami, leżało na bibularzu.

Kapitan zamknął drzwi, a Dan obszedł biurko dookoła i usiadł.

— Co ty wyprawiasz? — rzucił Mondale.

— Daję odpocząć nogom. Miałem ciężki dzień.

— Wiesz, że nie o to pytam.

— O?

Mondale jak zwykle nosił brązowy garnitur, jasnobezową koszulę, brązowy krawat, brązowe buty i skarpetki. W jego piwnych oczach płonęły mordercze błyski, podobne do refleksów światła w rubinowym pierścieniu.

— Miałeś się zgłosić w moim gabinecie o drugiej trzydzieści.

— Nie dostałem twojego wezwania.

- Cholernie dobrze wiem, że dostałeś.
- Nie, naprawdę. Przyleciałbym biegiem.
- Nie rób ze mnie jaj.

Dan tylko patrzył bez słowa.

Kapitan stał kilka kroków przed biurkiem, ze sztywnym karkiem, z ramionami wyprężonymi po bokach, zaciskając i rozwierając dłonie, jakby siłą woli powstrzymywał się od zaciśnięcia pięści i zaatakowania Dana.

- Co robiłeś przez cały dzień?
- Kontemplowałem sens życia.
- Byłeś w domu Rinka.
- Tego nie trzeba robić w kościele. Sens życia można kontemplować prawie wszędzie.
- Nie wysyłałem cię do domu Rinka.
- Jestem pełnoprawnym detektywem-porucznikiem. Zwykle kieruję się własnym instynktem podczas śledztwa.
- Nie tym razem. To za duża sprawa. Tym razem jesteś tylko częścią drużyny. Robisz, co ci każe, idziesz, gdzie ci każe. Nawet nie srasz, dopóki ci nie pozwolę.
- Uważaj, Ross. Chyba władza uderzyła ci do głowy.
- A co ciebie uderzyło w głowę?
- Brałem lekcje karate.
- Co?
- Próbowałem rozbić głową deskę.
- Akurat.
- Okay, więc to się stało, kiedy George Padrakis powiedział, że mnie wzywasz. Na dźwięk twojego nazwiska padłem na kolana i pokłoniłem się tak nisko, że walnąłem głową w chodnik.

Na chwilę Ross zaniemówił. Oddychał ciężko. Rumieniec zabarwił jego brązową twarz.

Dan dokładniej obejrzał przedmioty, które Mondale wyjął z szuflad i ułożył w stos na bibularzu: notes z adresami, pokaźna książeczka czekowa Znak Pentagramu, terminarz i gruby plik faktur. Podniósł notes.

- Odłóż to i posłuchaj — rzucił ostro Mondale, który wreszcie odzyskał głos.
- Dan obdarzył go słodkim, niewinnym uśmiechem i powiedział:
- Ale tam może być jakaś wskazówka, kapitanie. Prowadzę śledztwo w tej sprawie i muszę sprawdzać wszystkie poszlaki, bo na tym polega moja praca.

Wścikły Mondale podszedł do biurka. Jego dłonie w końcu zacisnęły się w bliźniacze pociski z ciała i kości.

Aha, nareszcie, pomyślał Dan, rozgrywka, na którą obaj czekamy od lat.

Laura stała i wpatrywała się w radio sony, bojąc się go dotknąć, drząc w lodowatym powietrzu. Chłód jakby promieniował z odbiornika, niesiony falą bladozielonego blasku z wyświetlacza zakresów.

Szalona myśl.

To było radio, nie klimatyzator. Nie... nie coś innego. Tylko radio. Zwykłe radio.

Zwykłe radio, które włączyło się bez niczyjej pomocy.

Piosenkę Bonnie Tyler zastąpiła nowa melodia. Był to stary przebój Procol Harum: „Bielszy odcień bieli”. Również podkreślony na maksymalną głośność. Radio wibrowało na kafelkowym blacie. Zgiełkliwa melodia odbijała się od szyb, raniła uszy Laury.

Earl stanął za nią.

Jeśli Pieprzówka wciąż miauczała w innej części domu, zagłuszył ją grzmot muzyki.

Laura z wahaniem położyła palce na pokrętle głośności. Lodowate. Wzdrygnęła się i prawie cofnęła rękę, nie tylko dlatego, że plastik był przeraźliwie zimny, ale ponieważ jeszcze nigdy nie czuła zimna tego rodzaju, obcości mrożącej nie tylko ciało, lecz także umysł i duszę. Niemniej chwyciła gałkę i próbowała przykręcić dźwięk, ale gałka nie chciała się obrócić. Laura nie mogła przyciszyć Procol Harum ani wyłączyć muzyki, ponieważ pokrętko głośności pełniło również funkcję wyłącznika. Próbowała z całej siły, napinając mięśnie ramienia, ale gałka nie ustąpiła.

Laura dygotała.

Puściła gałkę.

Chociaż „Bielszy odcień bieli” był melodyjną, pełną uroku piosenką, przy takim natężeniu dźwięku brzmiał szorstko, wręcz złowieszczo. Każde uderzenie perkusji huczało niczym ciężkie kroki jakiegoś groźnego stwora, którego krwiożercze wrzaski rozlegały się w zawodzeniu rogów.

Laura chwyciła przewód od radia i szarpnęła. Wtyczka wyskoczyła ze ściennego gniazdka.

Muzyka natychmiast zamilkła.

Na wół świadomie Laura bała się, że radio będzie grało dalej, nawet bez prądu.

Kiedy Dan nie odłożył notesu z adresami Josepha Scaldonego — właściwie książeczki kieszonkowego formatu — Mondale sięgnął przez biurko, złapał prawą ręką dłoń Dana i ścisnął mocno, żeby go zmusić do wypuszczenia zdobyczy.

Mondale nie był wysoki, ale szeroki w ramionach i klatce piersiowej. Miał potężne ramiona, nieproporcjonalne do reszty ciała, wielkie dłonie, grube nadgarstki. Silny mężczyzna.

Dan był silniejszy. Nie puścił notesu. Wpatrywał się uparcie w oczy Mondale’a, a lewą dłonią próbował rozewrzeć palce przeciwnika.

Sytuacja zrobiła się komiczna. Wyglądali jak para kretyńskich nastolatków, pragnących za wszelką cenę udowodnić swoją męskość. Mondale usiłował zmiażdżyć prawą dłoń Dana, a Dan nawet nie mrugnął ani w żaden inny sposób nie okazał bólu, kiedy walczył o wolność.

Zdołał uchwycić jeden palec Mondale'a i zaczął go odginać do tyłu.

Mondale mocno zwarł szczęki. Mięśnie policzków napięły się i zadrżały.

Palec wyginał się coraz bardziej. Mondale stawiał opór, jednocześnie zwiększając nacisk na dłoń Dana, lecz Dan nieubłaganie wyginał palec coraz mocniej, coraz mocniej. Pot wystąpił na czoło kapitana.

Mój pies jest lepszy od twojego psa, moja mama jest ładniejsza od twojej mamy, pomyślał Dan. Jezu! Ile my mamy lat, czternaście? Dwanaście?

Ale wciąż nie spuszczał oczu z twarzy Mondale'a i niczym nie dał po sobie poznać, że cierpi. Wygiął cholerny palec jeszcze trochę, prawie do pęknięcia, i jeszcze trochę, aż nagle Mondale zachłysnął się i puścił.

Notes z adresami pozostał w ręku Dana. Dan przytrzymał palec Mondale'a jeszcze przez sekundę czy dwie, żeby nie było wątpliwości, kto pierwszy się poddał. Pojedynek był szczeniacki i głupi, ale nie dało się wykluczyć ewentualności, że Ross Mondale traktował go poważnie. Był śmiertelnie poważny. A jeśli kapitan zamierzał dać nauczkę Danowi z użyciem siły fizycznej, to może... może sam czegoś się nauczył dzięki zastosowaniu tych samych środków wychowawczych.

Stali w cichej kuchni, wpatrując się w radio. Wreszcie Earl powiedział:

— W jaki sposób...

— Nie wiem — odparła Laura.

— Czy ono kiedyś...

— Nigdy.

Radio z nieszkodliwego urządzenia zmieniło się w groźną, zaczącą bestię.

— Niech pani znowu je podłączy — polecił Earl.

Laurę ogarnął irracjonalny strach, że jeśli znowu włoży wtyczkę do gniazdka, radio wypuści pająkowate plastikowe nogi i zacznie pełzać po blacie. Ta nietypowo dziwaczna myśl była zdumiewająca, zaskoczył ją nagły przyływ przesądnych lęków, ponieważ uważała się za naukowca, osobę zawsze logiczną i racjonalną. Nie mogła jednak opanować wrażenia, że jakaś złowieszcza siła wciąż kryje się w radiu i czeka niecierpliwie na ponowne włączenie do sieci. Nonsens.

— Podłączyć? Dlaczego? — odpowiedziała, grając na zwłokę.

— No — odparł Earl — chcę zobaczyć, co ono robi. Nie możemy tego tak zostawić. To jakaś niesamowita sprawa. Musimy to zbadać.

Laura wiedziała, że on ma rację. Z wahaniem sięgnęła po przewód. Niemal oczeki-

wała, że zacznie wic się w jej dłoni, zimny i śliski jak węgorz. Ale to był tylko przewód elektryczny: zwykły, nieożywiony przedmiot.

Dotknęła gałki radia i odkryła, że teraz można nią ruszać. Przekręciła ją do końca i przełączyła na pozycję OFF.

Z wielką ostrożnością włożyła ponownie wtyczkę do gniazdka.

Nic.

Pięć sekund. Dziesięć. Piętnaście.

Earl odezwał się:

— No, cokolwiek to było...

Radio nagle zbudziło się do życia. Skala zajaśniała.

Powrócił arktyczny mróz.

Laura odsunęła się od blatu, cofnęła się w stronę stołu z obawy, że radio rzuci się na nią. Zatrzymała się obok Melanie i położyła dłoń na ramieniu dziewczynki, żeby ją uspokoić, ale Melanie wydawała się równie obojętna na te niezwykle wydarzenia jak na wszystko inne.

Gałka głośności poruszyła się. Tym razem nie przekręciła się do końca, ale zatrzymała się w połowie drogi. Najnowszy kawałek ordynarnego gangsta-rapu załomotał w głośnikach. Ciężki beat rozbrzmiewał głośno, ale można było wytrzymać.

Następna gałka obróciła się, jakby kierowana niewidzialną ręką. To było pokrętko strojenia. Czerwona kropka wskaźnika prześliznęła się po świecącej zielonej skali, porzuciła rapowy utwór i szybko pomknęła w prawo, wyłapując tylko urywki piosenek, reklam, wiadomości i zapowiedzi prezenterów z wielu różnych stacji. Kropka dotarła do końca skali i zawróciła w lewo aż do końca, potem znowu popędziła w prawo tak szybko, że fragmenty rozmaitych audycji zlewały się w dziwny elektroniczny szum. Earl podszedł bliżej do odbiornika sony.

— Ostrożnie — ostrzegła Laura.

Potem uświadomiła sobie, że śmieszne jest ostrzeganie kogoś przed zwykłym radiem. To był nieożywiony przedmiot, na litość boską, nie żywa istota. Miała je od czterech lat, dotrzymywało jej towarzystwa. To było tylko radio.

Mondale cofnął dłoń, ale nie rozmasował jej ani nawet nie poruszył palcami, żeby zmniejszyć ból. Niczym tępy szkolny osiłek urażony w swej dumie, nadal grał rolę twarziela. Niedbale włożył rękę do kieszeni, jakby szukał kluczyków czy drobnych, i więcej jej nie wyjmował.

Wyciągnął drugą rękę do Dana i pogroził mu palcem.

— Nie wolno ci tego spieprzyć, Haldane. To ważna sprawa. Zrobi się gorąco, naprawdę gorąco. Będziemy pracować jak w cholernym wielkim piecu. Prasa depcze mi po piętach, FBI siedzi mi na karku i miałem już telefony od burmistrza i od szefa poli-

cji Kelseya z żądaniami wyników. Nie zamierzam tego spieprzyć. Moja kariera zależy od tej sprawy. Zachowam kontrolę, Haldane, ścisłą kontrolę. Nie pozwolę, żeby jakiś cwaniaczek wystawił mnie na odstrzał. Sam decyduję, kiedy mam narażać swój tyłek. To jest wysiłek zespołowy, rozumiesz, a ja jestem kapitanem, trenerem i strzelcem w jednej osobie, i nikt, kto nie potrafi grać w zespole, nie wyjdzie na boisko. Jasne?

Więc jednak nie dojdzie do ostatecznej rozgrywki. Ross będzie tylko pienił się i odgrażał. Lubił odgrywać ważniaka, rozstawiać podwładnych po kątach, sztorcować i musztrować.

Dan westchnął z pewnym rozczarowaniem, odchylił się do tyłu w fotelu i założył ręce za głowę.

— Wielkie piece, boiska... Ross, pomieszały ci się przenośnie. Stary, pogódź się z tym, że nigdy nie będziesz natchnionym mówcą... i nie zdobędziesz posłuchu u podwładnych. Daleko ci do generała Pattona.

Piorunując go wzrokiem, Mondale oświadczył:

— Na żądanie szefa Kelseya organizuję specjalną jednostkę do prowadzenia tej sprawy, tak jak zrobili kilka lat temu z Dusicielem z Hillside. Tylko ja decyduję o wszystkich przydziałach i właśnie przydzieliłem cię do pracy biurowej w centrali na ten okres. Będziesz koordynował dane dotyczące pewnych aspektów śledztwa.

— Nie pracuję za biurkiem.

— Teraz pracujesz.

— Mam biurkofobię. Jak mi każesz usiąść za biurkiem, dostanę załamania nerwowe. To oznacza spore odszkodowanie za utratę zdrowia.

— Nie rób ze mnie jaj — ostrzegł ponownie Mondale.

— Poza tym boję się bibularzy... a te plastikowe uchwyty na ołówki doprowadzają mnie do szaleństwa. Więc pomyślałem sobie, że jutro z samego rana zacznę szukać tej grupy Teraz Wolność i może...

— Wexlersh i Manuello to załatwią — przerwał mu Mondale. — I pogadają z kierownikiem wydziału psychologii w UCLA. A ty będziesz siedział za biurkiem, Haldane... będziesz siedział za biurkiem i robił, co ci każą.

Dan nie wyjawiał, że już był w UCLA i rozmawiał z Irmatrudą Heidi Gelkenshettle. Na razie nie zamierzał dzielić się z Mondale'em. Zamiast tego powiedział:

— Wexlersh to żaden detektyw. Cholera, musi sobie pomalować fiuta na żółto, żeby go znaleźć, jak chce się wysikać. A Manuello pije.

— Akurat — rzucił ostro Mondale.

— Na służbie częściej jest pijany niż trzeźwy.

— To znakomity detektyw — upierał się Mondale.

— Dla ciebie „znakomity” znaczy tyle samo co „posłuszny”. Lubisz Manuella, bo ci się podlizuje. Potrafisz zadbać o własną karierę, Ross, ale marny z ciebie policjant i jeszcze

gorszy zwierzchnik. Dla twojego dobra i nie tylko zamierzam zignorować ten biurowy przydział i prowadzić śledztwo na własną rękę.

— Dosyć, ty bezczelny draniu. Tego już za wiele! Koniec z tobą. Wylatujesz stąd. Zadzwoń do twojego szefa, zadzwoń do Templetona i każę mu wykopać twoją nie-subordynowaną dupę z powrotem do centrali, gdzie twoje miejsce!

Kapitan zamaszycie obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Dan powiedział:

— Jeśli zmusisz Templetona, żeby odebrał mi ten przydział, powiem mu... i wszystkim innym... o Cindy Lakey.

Mondale zatrzymał się z ręką na klamce, oddychając ciężko, ale nie odwrócił się do Dana.

Dan powiedział do jego pleców:

— Opowiem wszystkim, jak to mała Cindy Lakey, ośmioletnia dziewczynka, dalej by żyła, dzisiaj już jako młoda kobieta, może mężatka z własną córeczką... gdyby nie ty.

Laura stała obok Melanie, z jedną ręką na ramieniu dziewczynki, gotowa złapać ją i uciekać w razie konieczności.

Earl Benton pochylił się nisko nad radiem, jak urzeczony przez magicznie wirującą gałkę strojenia i czerwony wskaźnik, który śmigał tam i z powrotem po oświetlonej skali.

Nagle czerwona kropka zatrzymała się, ale tylko na chwilę, dostatecznie długo, żeby didżej zdążył wypowiedzieć jedno słowo:

— ...coś...

...a potem pomknęła przez skalę i znieruchomiła na innej częstotliwości. Ponownie wychwyciła z paplaniny prezentera pojedyncze słowo:

— ...nadchodzi...

...potem ruszyła dalej po świetlistym zielonym pasku, zatrzymała się jeszcze raz i wybrała jedno słowo z tekstu piosenki:

— ...coś...

...znowu przeskoczyła na nową stację i trafiła w środek ogłoszenia:

— ...nadchodzi...

...i znowu popędziła po skali.

Laura nagle zorientowała się, że selektor częstotliwości robi pauzy w określonym celu.

Przekazuje nam wiadomość, pomyślała.

Coś nadchodzi.

Ale wiadomość od kogo? Skąd?

Earl spojrział na nią i zdumienie na jego twarzy świadczyło, że zadawał sobie te same pytania.

Laura chciała wyjść, uciec, wyrwać się stąd. Nie mogła unieść stóp. Stawy w jej kończynach przestały funkcjonować.

Mięśnie zeszywniały.

Czerwona kropka znieruchomiła najwyżej na sekundę, może na ułamek sekundy. Tym razem Laura rozpoznała piosenkę, z której zostało wyrwane słowo. Śpiewali Beatlesi. Zanim czerwona kropka ruszyła dalej, z głośnika padło pojedyncze słowo, jednocześnie tytuł piosenki:

— Coś...

Kropka prześliznęła się dalej po zielono rozświetlonej skali, zatrzymała się na kolejną chwilę:

— ...nad...

Zeszła z tej częstotliwości, złapała następną:

— ...chodzi...

Powietrze było lodowate, ale Laura drżała nie tylko z tego powodu.

Coś... nad... chodzi.

Te dwa słowa stanowiły nie tylko wiadomość, lecz również przestrozę.

Nie otwierając drzwi, które łączyły biuro zmarłego Josepha Scaldonego z salą sklepową Znak Pentagramu, Mondale ponownie odwrócił się twarzą do Dana. Wcześniejsza złość i oburzenie ustąpiły miejsca czystej nienawiści.

Dan wymienił nazwisko Cindy Lakey po raz pierwszy od ponad trzynastu lat. To był ten brudny sekret, który ich łączył, jad ukryty w samym rdzeniu ich związku. Teraz, kiedy Dan wyciągnął sprawę na jaw, cieszyła go perspektywa, że Mondale wreszcie będzie musiał uznać konsekwencje swoich postępów.

Zniżonym głosem, z naciskiem kapitan oznajmił:

— Ja nie zabiłem Cindy Lakey, do cholery!

— Dopuszciasz do tego, chociaż mogłeś temu zapobiec.

— Nie jestem Bogiem — odparł Mondale z goryczą.

— Jesteś gliną. Ponosisz odpowiedzialność.

— Ty załgany draniu.

— Ślubowałeś chronić społeczeństwo.

— Taak? Czyżby? Tylko że to zasrane społeczeństwo nigdy nie płacze nad martwym gliniarzem — oświadczył Mondale, pomimo wściekłości nie podnosząc głosu, żeby rozmowa nie dotarła do niepowołanych uszu w sąsiednim sklepie.

— I masz obowiązek wspierać kolegę, osłaniać plecy swojego partnera.

— Gadasz jak jakiś nieopierzony harcerzyk — prychnął pogardliwie Mondale.

— *Esprit de corps*. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Bzdet! Jak robi się gorąco, każdy myśli tylko o sobie i dobrze o tym wiesz.

Dan zdążył już pożałować, że w ogóle wspomniał o Cindy Lakey. Radosne uniesienie rozwiało się bez śladu. Powróciła depresja, jeszcze silniejsza niż przedtem. Dan poczuł się straszliwie zmęczony. Zamierzał zmusić Mondale'a do poniesienia odpowiedzialności po tych wszystkich latach, ale było już za późno. Zawsze było za późno, ponieważ Mondale należał do ludzi, którzy nie potrafili przyznać się do słabości czy błędu. Zawsze tuszował swoje pomyłki albo znajdował sposób, żeby przerzucić winę na innych. Miał czyste, nieskazitelne konto i pewnie zawsze pozostanie nieskazitelny, nie tylko w oczach większości, lecz również w swoich własnych. Nie potrafił przyznać się do błędów i słabości nawet przed sobą. Ross Mondale nie znał poczucia winy ani wyrzutów sumienia. W tej chwili, stojąc przed Danem, wcale nie czuł się odpowiedzialny za los Cindy Lakey; nie odczuwał żadnej skruchy; przepełniała go jedynie paląca, irracjonalna nienawiść do byłego partnera.

— Jeśli ktoś był odpowiedzialny za śmierć tej dziewczynki, to jej matka — oświadczył.

Dan nie chciał ciągnąć tej walki. Czuł się wypompowany jak stuletek, który przetańczył całą noc na swoim przyjęciu urodzinowym.

— Powinieneś oskarżać jej cholerną matkę, nie mnie — ciągnął Mondale.

Dan nie odpowiedział.

— Przecież to jej matka spotykała się z Feliksem Dunbarem — nie ustępował Mondale.

Wpatrując się w kapitana niczym w kupkę jakiejś szkodliwej, odrażającej substancji znalezionej na ulicy, Dan powiedział:

— Chcesz mi wmówić, że Fran Lakey powinna wiedzieć, że Feliks jest niezrównoważony?

— Jasne, cholera.

— To był miły facet, według wszelkich kryteriów.

— Odstrelili jej głowę, do kurwy nędzy — warknął Mondale.

— Miał własną firmę. Dobrze ubrany. Nie notowany. Regularnie chodził do kościoła. Wszystko świadczyło, że był normalnym, porządnym obywatelem.

— Porządni obywatele nie rozwalają ludziom głów. Fran Lakey spotykała się z czubkiem, świrem, kompletnym nieudacznikiem. Jak słyszałem później, spotykała się z wieloma facetami i prawie każdy był świrem. To ona narażała życie córki, nie ja.

Dan patrzył na Mondale'a z taką miną, jakby obserwował wyjątkowo obrzydliwego owada pełzającego po obrusie.

— Twierdzisz, że powinna była przewidzieć przyszłość? Skąd miała wiedzieć, że jej facetowi odbiło, kiedy wreszcie z nim zerwała? Skąd miała wiedzieć, że przyjdzie do jej domu z bronią i będzie próbował zabić ją i jej córkę tylko dlatego, że nie chciała z nim pójść do kina? Gdyby potrafiła tak dobrze przepowiadać przyszłość, Ross, wysadziłaby

z interesu wszystkie wróżki, Cyganki i media. Zdobyłaby sławę.

— Naraziła na niebezpieczeństwo życie córki — upierał się Mondale.

Dan pochylił się do przodu, zgarbił nad biurkiem i jeszcze bardziej zniżył głos.

— Gdyby umiała przewidzieć przyszłość, wiedziałaby tamtej nocy, że nie warto dzwonić po gliny. Wiedziała, że ty odbierzesz telefon i że się zakrztusisz, i...

— Nie zakrztusiłem się — zaprotestował Mondale.

Zrobił krok w stronę biurka, ale ten gest stanowił pustą groźbę.

— Coś... nadchodzi...

Zafascynowany Earl wpatrywał się w radio.

Laura spojrzała na drzwi, które wychodziły na patio i trawnik za domem. Były zamknięte na klucz. Podobnie okna. Zaciągnięte rolety. Jeśli coś nadchodziło, to skąd? I co to będzie, na litość boską, co to będzie?

Radio powiedziało:

— Uważaj...

Potem:

— ...cię...

Laura wpiła wzrok w otwarte drzwi do jadalni. Cokolwiek nadchodziło, może już było w domu. Może nadejdzie z salonu, przez jadalnię...

Selektor częstotliwości zatrzymał się znowu i głos didżeja zadudnił w głośniku. Pospieszna paplanina miała tylko wypełnić kilka sekund przerwy pomiędzy dwiema piosenkami, lecz dla Laury posiadała niezamierzone złowieszcze znaczenie:

— Lepiej się pilnujcie, moje rokendrolowe manczkiny, lepiej uważajcie, bo to jest dziwny świat, zimny i straszny świat, gdzie potwory wyłażą w nocy, a wy nie macie żadnej obrony poza waszym kuzynem Frankiem, czyli mną, więc jeśli nie zostawicie radia w spokoju, jeśli teraz zmienicie stację, to lepiej uważajcie, uważajcie na okropne zębate potwory, które mieszkają pod łóżkiem i nie boją się niczego, tylko głosu wujka Frankiego. Lepiej się pilnujcie!

Earl położył jedną rękę na obudowie radia. Laura na wpół spodziewała się, że w plastik otworzy się paszcza i odgryzie Earlowi palce.

— Zimne — powiedział, kiedy gałka strojenia przekręciła się na następną stację.

Laura potrząsnęła córką.

— Skarbie, obudź się, wstań.

Dziewczynka nie reagowała.

Jedno wyraźne słowo dobiegło z radia, kiedy gałka strojenia znieruchomiła w środku wiadomości:

— ...morderstwo...

Dan marzył, żeby czarodziejskim sposobem przenieść się z tego koszmarnego biura do delikatesów Saula, gdzie mógł zamówić wielką kanapkę reuben i wypić kilka butelek ciemnego becka. Jeśli nie do Saula, wystarczy mu Jack-in-the-Box. Jeśli nie tam, wołałby już siedzieć w domu i zmywać brudne naczynia zostawione w kuchni. Wszystko, byle nie konfrontacja z Rossem Mondaléem. Odgrzebywanie przeszłości było bezcelowe i przygnębiające.

Ale posunęli się już za daleko, żeby zawrócić. Musieli przejść od początku przez całe zabójstwo Lakey, rozdrapać stare blizny, podważać strupy i sprawdzać, czy rana pod spodem się zagoiła. I oczywiście tylko marnowali czas i energię psychiczną, ponieważ obaj wiedzieli, że rana nie zagoiła się i nigdy nie zagoi.

— Kiedy Dunbar postrzelił mnie na trawniku przed domem Lakeyów... — zaczął Dan.

— Pewnie myślisz, że to też moja wina — wtrącił Mondale.

— Nie — zaprzeczył Dan. — Nie powinienem był rzucać się na niego. Nie przypuszczałem, że użyje broni, i myliłem się. Ale kiedy mnie postrzelił, przez chwilę stał jak ogłuszony, oszołomiony tym, co zrobił, i wtedy był bezbronny.

— Gówno prawda. Był bezbronny jak rozpędzony czołg. Dostał szał, kompletnie mu odbiło i miał największy cholerny pistolet...

— Trzydziestkę dwójkę — sprostował Dan. — Są większe pistolety. Każdy gliniarz może się nadziać na większy pistolet, zawsze i wszędzie. A on przez chwilę był bezbronny i miał mnóstwo czasu, żeby załatwić skurwysyna.

— Wiesz, czego zawsze w tobie nie znosiłem, Haldane?

Ignorując go, Dan ciągnął:

— Ale ty uciekłeś.

— Zawsze nie znosiłem tego twojego koszmarnego zadufania.

— Gdyby Dunbar chciał, mógł mi wpakować następną kulę. Nikt by go nie powstrzymał, skoro zwiąłeś za dom.

— A ty w całym swoim cholernym życiu ani razu nie popełniłeś błędu.

Obaj już prawie szeptali.

— Ale zamiast tego zostawił mnie...

— I nigdy się nie bałeś.

— ...i odstrzelił zamek w drzwiach frontowych...

— Chcesz zgrywać bohatera, proszę bardzo. Ty i Audie Murphy. Ty i Jezus Chrystus.

— ...wszedł do środka i uderzył pistoletem Fran Lakey...

— Nienawidzę cię.

— ...a potem kazał jej patrzeć...

— Brzydzę się tobą.

— ...jak zabijał jedyną istotę na świecie, którą naprawdę kochała — dokończył Dan. Zachowywał się bezwzględnie, ale teraz nie mógł już przestać, dopóki wszystko nie zostało powiedziane. Żałował, że w ogóle zaczął, żałował, że odgrzebał przeszłość, ale skoro już zaczął, musiał skończyć. Ponieważ był jak Stary Marynarz z dawnego poematu. Ponieważ musiał oczyścić się z powracającego koszmaru. Ponieważ coś go pchało do mówienia. Ponieważ gdyby przerwał w połowie, przemilczane słowa utkwilyby mu w gardle jak wielka, gorzka kula wymiotów, mocno zaklinowana, dławiąca na śmierć. Ponieważ — i taka była prawda, tym razem bez żadnych łatwych eufemizmów — po tych wszystkich latach wciąż ugiął się pod brzemieniem winy, jakby jego dusza została przykuta łańcuchem do żelaznej kuli; więc jeśli wreszcie porozmawia z Rossem Mondale'em o śmierci małej Lakey, może znajdzie klucz, który uwolni go od tej żelaznej kuli, od tego łańcucha.

Radio znowu grało na pełny regulator i każde słowo eksplodowało niczym fragment kanonady:

— ...krew...

— ...nadchodzi...

— ...uciekaj...

Bardziej nagłaco niż przedtem, przerażona tym, co nadchodziło, usiłując przygotować Melanie do ucieczki, Laura powiedziała:

— Skarbie, rusz się, wstań.

Z radia:

— ...kryj się...

I:

— ...nadchodzi...

Natężenie dźwięku wzrosło.

— ...to...

Przeraźliwe, rozdzierające uszy:

— ...wolne...

Earl położył dłoń na gałce głośności.

— ...to...

Earl gwałtownie oderwał dłoń od gałki, jakby poraził go prąd. Ze zgrozą spojrzął na Laurę. Energicznie wytarł dłoń o koszulę. Nie doznał elektrycznego wstrząsu; poczuł coś innego, kiedy dotknął gałki, coś obcego, dziwnego, odrażającego.

Radio powiedziało:

— ...śmierć...

Nienawiść Mondale'a była jak mroczne, rozległe trzęsawisko, gdzie mógł się schro-

nić, jeżeli prześladowała go niewygodna prawda o Cindy Lakey. Kiedy prawda podchodziła bliżej i wywierała na niego silniejszy nacisk, wycofywał się dalej we wszechogarniającą czarną nienawiść i krył się tam wśród węży, robactwa i brudu własnej psychiki.

Wciąż piorunował wzrokiem Dana, pochylony groźnie nad biurkiem, ale nie pozwalał, żeby nienawiść popchnęła go do czynu. Nie zamierzał uderzyć. Nie pragnął ani nie potrzebował atakować Dana, żeby ulżyć swojej nienawiści. Wolał podsycać w sobie tę nienawiść, gdyż pomagała mu uciec od odpowiedzialności. Osłaniała go przed prawdą, a im grubsza zasłona, tym lepiej dla niego.

W ten sposób działał umysł Mondale'a. Dan znał go dobrze, znał jego myśli.

Lecz chociaż Ross próbował to ukryć, prawda była taka, że Feliks Dunbar postrzelił Dana — a Mondale za bardzo się przestraszył, żeby odpowiedzieć ogniem. Prawda była taka, że następnie Dunbar wszedł do domu Lakeyów, uderzył pistoletem Fran Lakey i trzykrotnie strzelił do ośmioletniej Cindy Lakey, podczas gdy Ross Mondale był nie wiadomo gdzie i robił nie wiadomo co. I prawda była taka, że ciężko ranny, krwawiący Dan odszukał własną broń, wczołgał się do domu Lakeyów i zabił Feliksa Dunbara, zanim Dunbar zdążył rozwalić głowę również Fran Lakey. Przez cały ten czas Ross Mondale prawdopodobnie wymiotował w krzakach albo stracił panowanie nad pęcherzem, albo leżał rozciągnięty na trawniku za domem i ze wszystkich sił udawał naturalny element krajobrazu. Wrócił, kiedy wszystko się skończyło, spocony, błądy jak ściana, cuchnący kwaśnym odorem tchórzostwa.

Teraz, wciąż siedząc za biurkiem Josepha Scaldonego, Dan powiedział:

— Spróbuj odsunąć mnie od tej sprawy albo wyłączyć z czynnego śledztwa, to rozgłoszę tę śmierdzącą historię o zastrzeleniu małej Lakey, opowiem prawdę każdemu, kto zechce słuchać, i to będzie koniec twojej błyskotliwej kariery.

Protekcjonalnym tonem, który mógł doprowadzić do furii, gdyby nie dawał się aż nazbyt łatwo przewidzieć, Mondale odparł:

— Gdybyś naprawdę zamierzał o tym powiedzieć, zrobiłbyś to już dawno.

— To na pewno pocieszające założenie — odparł Dan — ale błędne. Kryłem cię wtedy, bo byłeś moim partnerem i myślałem, że każdy ma prawo raz nawalić. Ale z czasem zacząłem tego żałować i jeśli dasz mi dobry pretekst, chętnie naprawię fałszerstwo.

— To było dawno temu — zauważył Mondale.

— Myślisz, że nikogo nie obchodzi zaniedbanie obowiązków tylko dlatego, że zdarzyło się trzynaście lat temu?

— Nikt ci nie uwierzy. Zlekceważą to. Awansowałem, mam przyjaciół.

— Taak. Takich przyjaciół, co sprzedadzą własną matkę za garść drobnych.

— Zawsze byłeś samotnikiem. Przemądrzały typek. Nieważne, co o nich myślisz, mam ludzi, którzy za mną staną.

— Ze sznurem do linczowania.

— Władza wymusza lojalność, Haldane, nawet wbrew chęciom. Nikt nie uwierzy w żadne brednie, które będziesz o mnie rozpowiadał. Nie uwierzą takiemu przemądrza-
łemu palantowi. Nie masz szans.

— Ted Gearvy uwierzy — odparł Dan tak cicho, że ledwie go było słychać.

Lecz pomimo zniżonego głosu te trzy słowa zrobiły na kapitanie takie wrażenie, jakby Dan walnął go młotem. Mondale wyglądał jak ogłuszony.

Gearvy, starszy od nich o dziesięć lat, był emerytowanym policjantem z patrolu i dawnym partnerem Mondale'a podczas rocznego stażu próbnego. Widział, jak Mondale popełnia błędy — chociaż nie tak poważne jak później, w domu Lakeyów, kiedy Dan zastąpił Gearvy'ego jako następny partner. Po prostu denerwujące błędy w ocenie. Zbyt słabe poczucie odpowiedzialności. Gearvy podejrzewał również Rossa o tchórzostwo, ale krył go, podobnie jak Dan w późniejszym okresie. Gearvy był wielkim, burkliwym, dobrodusznym facetem, w trzech czwartych Irlandczykiem, za bardzo współczującym stażystom. Nie dał Mondale'owi wysokiej oceny za roczny staż: Irlandczyk był życzliwy i wyrozumiały, ale odpowiedzialny. Jednak nie wystawił też Mondale'owi złych ocen, ponieważ miał za miękkie serce.

Kilka miesięcy po wypadku u Lakeyów, kiedy Dan wrócił do pracy z nowym partnerem, zjawił się Ted Gearvy, próbował dyskretnie wybadać Dana, rzucał aluzje, martwił się, że popełnił poważny błąd, kryjąc Rossa. W końcu wymienili informacje i odkryli, że obaj niesłusznie osłaniali Mondale'a. Zrozumieli, że jego niewłaściwie zachowanie nie było kwestią przypadku. Wtedy jednak wydawało się za późno, żeby ujawnić prawdę. W opinii zwierzchników fakt, że Gearvy i Dan nie zameldowali o zaniedbaniu obowiązków przez Mondale'a — lub zameldowali z opóźnieniem — stanowił niemal równie poważne wykroczenie jak samo zaniedbanie. Gearvy i Dan zasiedliby na ławie oskarżonych obok Mondale'a. Żaden z nich nie chciał narażać czy nawet niszczyć własnej kariery.

Poza tym w tym czasie Mondale załatwił sobie przydział do wydziału opinii publicznej; już nie pracował na ulicy. Gearvy i Dan doszli do wniosku, że Mondale dobrze sobie poradzi w opinii publicznej i nigdy nie wróci do normalnej służby, a w takim razie nigdy więcej nie będzie narażał ludzkiego życia. Najlepsze — i najwygodniejsze — rozwiązanie to zostawić go w spokoju.

Żaden z nich nie przypuszczał, że pewnego dnia Mondale zostanie poważnym kandydatem na stanowisko szefa policji. Może podjęliby jakieś działanie, gdyby umieli przewidzieć przyszłość.

Przez wszystkie nadchodzące lata służby obaj mieli gorzko żałować swojej beczynności.

Mondale widocznie nie wiedział, że Gearvy i Dan porównywali notatki. Ich porozu-

mienie paskudnie wstrząsnęło kapitanem.

Radio ryczało:

— TO!

— NADCHODZI!

— UCIEKAJ! NADCHODZI!

Pojedyncze słowa eksplodowały z ogłuszającym hukiem, znacznie powyżej granicy możliwości głośników. Grzmiące, wulkaniczne. Ściany drżały. Głośniki powinny przepalić się lub pęknąć, kiedy wyrzucały z siebie ten potworny hałas, lecz wciąż funkcjonowały. Radio wibrowało na blacie.

— UWOLNIONE!

— NADCHODZI!

Każde słowo uderzało w Laurę i rozbijało na kawałki jej samokontrolę. Zalewały ją fale panicznego strachu.

Światła kuchenne zapulsowały, przygasły. Jednocześnie zielony blask na skali radia zajaśniał mocniej, nienaturalnie jaskrawo, jakby sony stało się świadome i jednocześnie straszliwie spragnione elektryczności, jakby chciwie wysysało z otoczenia każdą dostępną odrobinę energii. Ale to nie miało sensu, bo choćby radio pochłonęło nie wiadomo ile prądu, nadal było wyposażone w niskowatową żarówkę, która nie mogła świecić tak jasno. A jednak świeciła. Lampy sufitowe jeszcze bardziej przygasły, a przez pleksiglasową szybkę z przodu radia wystrzeliły oślepiające szmaragdowe promienie, zabarwiły twarz Earla Bentona, zaśniły na chromach piecyka i lodówki. Kuchnia pogrążyła się w falującym zielonkawym mroku, jak pod wodą.

— ...ROZRYWA...

Powietrze było lodowate.

...ROZDZIERA...

Laura nie rozumiała tej części wiadomości — chyba że chodziło o groźbę fizycznej przemocy.

Sony wibrowało szybciej niż segmenty w ogonie grzechotnika. Wkrótce zacznie podskakiwać na blacie.

— ...ROZSZCZEPIA... NA... PÓŁ...

Dan powiedział:

— Jeśli zacznę mówić, Ted Gearvy pewnie też zacznie. I może znajdzie się ktoś jeszcze, kto cię widział w najgorszych chwilach, Ross. Może oni też pójda za naszym przykładem. Może obudzi się w nich sumienie.

Sądząc po wyrazie twarzy Mondale'a, widocznie był jeszcze ktoś, kto mógł roznieść na strzępy jego karierę. Z jego głosu znikła wszelka protekcyjność, kiedy powiedział:

— Gliniarz nigdy, kurwa, nie donosi na innego gliniarza!
— Bzdura. Jeśli jeden z nas jest mordercą, nie osłaniamy go.
— Nie jestem mordercą — zaprotestował Mondale.
— Jeśli jeden z nas jest złodziejem, nie osłaniamy go.
— Nigdy w życiu nie ukradłem ani centa.
— A jeśli jeden z nas jest tchórzem, który chce zostać szefem policji, też musimy przestać go osłaniać, zanim obejmie naczelne stanowisko i zacznie zabawiać się życiem innych ludzi, jak to czasami robią tchórze, kiedy dorwą się do władzy i nie muszą już sami się narażać.

— Zabierz sobie ten cholerny tort! Jesteś najwredniejszym, najbardziej zadowolonym z siebie skurwysynem na świecie.

— Z twoich ust przyjmuję to za komplement.

— Znasz kodeks. Albo my ich, albo oni nas.

— Rany boskie, Ross, jeszcze przed chwilą mówiłeś mi, że każdy zawsze myśli o sobie.

Irracjonalnie próbując oddzielić własne zachowanie w domu Lakeyów od kodeksu honorowego, którego żarliwym wyznawcą właśnie się ogłosił, Mondale nie potrafił zdobyć się na nic więcej, tylko powtórzył:

— Albo my, albo oni, do cholery!

Dan przytaknął.

— Tak, ale kiedy mówię „my”, nie włączam ciebie. Ty i ja nie należymy do tego samego gatunku.

— Zniszczysz własną karierę — ostrzegł Mondale.

— Może.

— Na pewno. Wydział spraw wewnętrznych cholernie się zainteresuje, dlaczego kryłeś tak zwane zaniedbanie obowiązków.

— Źle pojęta lojalność wobec kolegi w mundurze.

— To im nie wystarczy.

— Zobaczymy.

— Usmażą twój tyłek na śniadanie.

— To ty czynnie spałaś robotę — oświadczył Dan. — Moja moralna nieodpowiedzialność była bierna, bierne przewinienie. Mogą mnie za to zawiesić, udzielić nagany. Ale nie wyrzucą mnie z jednostki.

— Może nie. Ale nigdy nie dostaniesz następnego awansu.

Dan wzruszył ramionami.

— Nieważne. Zaszedłem tak wysoko, jak chciałem. Ambicja mną nie rządzi, Ross, tak jak tobą.

— Ale... nikt więcej ci nie zaufa, jak to zrobisz.

— Owszem, zaufają.

— Nie, nie. Nie po tym, jak doniosłeś na innego gliniarza.

— Gdyby ten gliniarz nie był tobą, przyznałbym ci rację.

Mondale najeżył się.

— Mam przyjaciół!

— Jesteś lubiany przez zwierzchników — odparł Dan — bo zawsze im mówisz to, co chcą usłyszeć. Potrafisz nimi manipulować. Ale przeciętny glina na służbie uważa cię za palanta.

— Gówno prawda. Mam przyjaciół wszędzie. Znajdziesz się poza nawiasem, odtrącony, w izolacji.

— Nawet jeśli to prawda... chociaż wątpię... to co? I tak jestem samotnikiem. Pamiętasz? Sam to powiedziałeś. Powiedziałeś, że jestem samotnikiem. Mam się przejmować izolacją?

Po raz pierwszy twarz Rossa Mondale'a wyrażała więcej niepokoju niż nienawiści.

— Widzisz? — Dan uśmiechnął się jeszcze szerzej niż przedtem. — Nie masz wyboru. Musisz mi pozwolić, żebym pracował nad tą sprawą na moich warunkach, bez przeszkód, tak długo, jak zechcę. Jeśli będziesz mi bruździł, zniszczę cię, tak mi dopomóż Bóg, choćbym nawet miał sobie zaszkodzić.

Górne światła jeszcze bardziej przygasły. Niesamowity zielony blask z radia był tak jasny, że raził Laurę w oczy.

— ...PRZESTAŃ... RATUNKU... UCIEKAJ... KRYJ SIĘ... RATUNKU...

Pleksyglasowa osłona skali radia nagle pękła w środku.

Sony wibrowało tak gwałtownie, że zaczęło przesuwac się po blacie.

Laura przypomniała sobie koszmarną wizję sprzed kilku minut: pajęcze odnóża wyrastające z plastikowej obudowy...

Drzwi lodówki otworzyły się same.

Z piskiem i zgrzytem zawiasów, z przeraźliwym łomotem wszystkie kuchenne szafki rozwarły się jednocześnie na całą szerokość. Jedne drzwiczki podcięły nogi Earlowi, który mało nie upadł.

Radio przestało nadawać wybrane słowa z rozmaitych stacji. Teraz wypluwało tylko piskliwy elektroniczny hałas o niewiarygodnym natężeniu, jakby próbowało roztrzaskać im kości, podobnie jak idealnie zaśpiewane i przedłużone wysokie C może roztrzaskać cienki kryształ.

Ross Mondale siedział na skrzyni okrętowej z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby płakał.

Dan Haldane był zaskoczony i zmieszany. Nie wierzył dotąd, że Mondale potrafi płakać.

Kapitan nie szlochał, nie pociągał nosem ani nie wydawał żadnych innych dźwięków, a kiedy wreszcie podniósł głowę, po niecałej minucie, oczy miał idealnie suche. Jednak nie płakał — po prostu myślał. Gorączkowo myślał.

Przybrał również nowy wyraz twarzy, w świadomym akcie przypominającym zamianę jednej maski na drugą. Strach, gniew i panika całkowicie zniknęły. Nawet nienawiść została dobrze ukryta, chociaż jej ciemne kręgi wciąż widniały w oczach kapitana, niczym obwódka czarnego lodu na płytce kałuży pod koniec zimy. Teraz nałożył wypróbowaną życzliwo-pokorną minę, na wskroś zakłamaną.

— Okay, Dan. Okay. Kiedyś byliśmy przyjaciółmi i może znowu zostaniemy przyjaciółmi.

Nigdy naprawdę nie byliśmy przyjaciółmi, pomyślał Dan. Ale nic nie powiedział. Ciekaw był, jak dobrze potrafi udawać Ross Mondale.

Mondale podjął:

— Przynajmniej na początek spróbujmy popracować razem, a ja pierwszy przyznam, że jesteś cholernie dobrym detektywem. Metodycznym, lecz także z intuicją. Nie będę próbował cię krótko trzymać, bo to jak zabronić urodzonemu psu myśliwskiemu, żeby szedł za swoim węchem. Okay. Więc w tej sprawie masz wolną rękę. Idź, dokąd chcesz, rozmawiaj, z kim chcesz i kiedy chcesz. Tylko od czasu do czasu złóż mi raport. Niewykluczone, że jeśli obaj trochę ustąpimy, jeśli obaj trochę się ugniemy, przekonamy się, że możemy nie tylko pracować razem, ale znowu zostać przyjaciółmi.

Dan doszedł do wniosku, że woli nieopanowaną wściekłość i nienawiść Mondale'a od tych pojednawczych deklaracji. Nienawiść kapitana była przynajmniej szczerą i uczciwą. Teraz jego przymilne gesty i słowa bynajmniej nie ułagodziły Dana, tylko sprawiły, że skóra na nim cierpła.

— Ale mogę ci zadać jedno pytanie? — ciągnął Mondale z poważną miną, wychylając się do przodu ze swojego miejsca na skrzyni.

— Jakie?

— Dlaczego ta sprawa? Dlaczego tak mocno się angażujesz?

— Po prostu wykonuję swój zawód.

— To coś więcej.

Dan nic nie powiedział.

— Chodzi o tę kobietę?

— Nie.

— Jest bardzo atrakcyjna.

— Nie chodzi o tę kobietę — powtórzył Dan, chociaż uroda Laury nie uszła jego uwagi. Istotnie, przynajmniej w niewielkim stopniu wpłynęła na jego determinację, żeby zostać przy tej sprawie, ale nigdy nie zamierzał zdradzić tego Mondale'owi.

— Chodzi o dziecko?

— Może.

— Zawsze pracujesz najciężej przy sprawach, gdzie maltretowano albo krzywdzono dzieci.

— Nie zawsze.

— Owszem, zawsze — oświadczył Mondale. — To przez tę historię z twoim bratem i siostrą?

Radio wibrowało szybciej, mocniej. Bębniło w blat z dostateczną siłą, żeby wyszczerbić płytki — i nagle uniosło się w powietrze. Lewitowało. Zawisło nad blatem, kołysząc się i podskakując na końcu przewodu, jak balon z helem podskakuje na końcu linki.

Laura przekroczyła już próg zdumienia; patrzyła, sparaliżowana zgrozą, nawet nie przerażona, tylko odrętwiała z zimna i niedowierzania.

Elektroniczny jęk wzniósł się wyżej po spirali, cienki, przenikliwy, niczym upadek bomby nagrany na taśmę i puszczonej od końca.

Laura spojrzała na Melanie i zobaczyła, że dziewczynka wreszcie zaczęła wychodzić z letargu. Nie otworzyła oczu — przeciwnie, zacisnęła powieki jeszcze mocniej — ale otworzyła usta i uniosła ręce do uszu.

Smużki dymu wypłynęły z cudownie wiszącego radia. Sony eksplodowało.

Laura zamknęła oczy i pochyliła głowę, kiedy radio wybuchło. Odłamki plastiku obypały ją jak grad, odbijały się od jej głowy i ramion.

Kilka większych kawałków radia, wciąż połączonych ze sznurem, spadło prosto na podłogę — niewidzialne ręce już ich nie podtrzymywały — i uderzyło o kafelki z łoskotem i szczękiem. Wtyczka wyskoczyła ze ściennego gniazdka, sznur ześliznął się po blacie, spadł na podłogę obok resztek roztrzaskanego sony i znieruchomiał.

Kiedy nastąpił wybuch, Melanie wreszcie zareagowała na chaos w otoczeniu. Wyprysnęła z krzesła i zanim jeszcze szczątki radia przestały latać w powietrzu, uciekła na czworakach do kąta obok tylnych drzwi. Schowała się tam, osłaniając głowę ramionami i żałośnie szlochając.

W ciszy, kiedy umilkło upiorne zawrozdzenie radia, szlochy dziecka brzmiały wręcz rozdzierająco. Każdy, niczym miękki cios, trafiał prosto w serce Laury, nie z fizyczną siłą, lecz z olbrzymim impetem emocjonalnym, popychając ją to w stronę rozpacz, to zgrozy.

Kiedy Dan nie odpowiedział, Mondale powtórzył pytanie tonem niewinnej ciekawości, podszytym złośliwą drwiną:

— Czy pracujesz ciężiej przy sprawach maltretowanych dzieci z powodu tego, co się stało z twoim bratem i siostrą?

— Może — odparł Dan, żałując, że w ogóle powiedział Mondale'owi o tych trage-

diach. Lecz kiedy dwaj młodzi policjanci razem pełnią służbę, zwykle zwierają się sobie podczas długich nocnych patroli. Dan wypaplał zbyt wiele, zanim zrozumiał, że nie lubi Mondale'a i nigdy nie polubi. — Może częściowo dlatego nie chcę odpuścić tej sprawy. Ale nie tylko. Również z powodu Cindy Lakey. Nie rozumiesz, Ross? Mamy następną sprawę, gdzie kobieta i dziecko są w niebezpieczeństwie, kobieta i jej córka zagrożone przez maniaka, może więcej niż jednego maniaka. Zupełnie jak te Lakey. Więc może wreszcie mam szansę odkupić swój błąd. Mogę odpokutować za to, że nie uratowałem Cindy Lakey, i trochę zmniejszyć wyrzuty sumienia.

Mondale wytrzeszczył na niego oczy.

— Ty masz wyrzuty sumienia z powodu śmierci małej Lakey?

Dan przytaknął.

— Powinienem był zastrzelić Dunbara na miejscu, jak tylko skierował na mnie broń. Nie trzeba było się wahać, nie trzeba było dawać mu szansy, żeby rzucił broń. Gdybym od razu go załatwił, nie wszedłby do tego domu.

Zdumiony Mondale zaprotestował:

— Ale, Chryste, przecież wiedziałeś, jak wtedy było. Jeszcze gorzej niż teraz. Sąd najwyższy rozpatrywał pół tuzina oskarżeń o brutalność policji, nawet bezpodstawnych. W tamtych czasach każdy zasrany polityczny aktywista miał na pieńku z całym wydziałem. Jeszcze gorzej niż teraz. Nawet kiedy gliniarz zastrzelił kogoś w ewidentnej samoobronie, domagali się jego głowy. Wszyscy mieli swoje prawa... oprócz glin. Gliny miały stać grzecznie jak tarcze na strzelnicy. Reporterzy, politycy, Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich... wszyscy uważali nas za krwiożerczych faszystów. Kurwa, człowieku, przecież pamiętasz!

— Pamiętam — przyznał Dan. — I właśnie dlatego nie zastrzeliłem Dunbara, kiedy powinienem. Widziałem, że facet jest niezrównoważony, niebezpieczny. Wiedziałem intuicyjnie, że chce kogoś zastrzelić, ale podświadomie myślałem o tej nagonce na policję, o tych wszystkich oskarżeniach o pochopne użycie broni, i wiedziałem, że jeśli go zastrzelę, będę musiał za to odpowiadać. W tamtej atmosferze bałem się, że nikt mi nie uwierzy. Że mnie poświęcą. Bałem się, że stracę pracę, że wylecę z policji. Nie chciałem niszczyć sobie kariery. Więc czekałem, dopóki nie wyjął broni, czekałem, dopóki we mnie nie wycelował. Ale czekałem o sekundę za długo i on mnie załatwił, a ponieważ nie posłuchałem własnego instynktu ani rozumu, zdążył również załatwić Cindy Lakey.

Mondale z uporem pokręcił głową.

— Ale to nie była twoja wina. Obwiniaj durnych społecznych reformatorów, którzy wygłaszają opinie, chociaż za cholerę nie rozumieją naszej sytuacji i nie mają pojęcia, co się dzieje na ulicach. Ich obwiniaj. Nie siebie. Nie mnie.

Dan przeszył go wściekłym wzrokiem.

— Nie waż się porównywać ze mną, Ross. Nie waż się. Ty uciekłeś. Ja nawaliłem, bo bałem się o swój tyłek... o swoją emeryturę, na litość!... kiedy powinienem myśleć tylko o tym, jak najlepiej wykonać zadanie. Dlatego muszę żyć z tym ciężarem winy. Ale nigdy nie mów, że wina ciąży jednakowo na mnie i na tobie. Bo to nieprawda. To bzdura i sam o tym wiesz.

Mondale próbował zrobić przejętą, zatroskaną minę, ale coraz trudniej mu było ukryć nienawiść.

— A może nie wiesz — ciągnął Dan. — To jeszcze gorzej. Może nie tylko trzęsiesz się o własny tyłek. Może naprawdę uważasz, że walka o stołki to jedyna sensowna zasada moralna.

Mondale bez odpowiedzi wstał i ruszył do drzwi.

— Naprawdę masz czyste sumienie, Ross? — zapytał Dan. — Boże ci dopomóż, myślę, że tak.

Mondale obejrzał się na niego.

— Rób, co chcesz w tej sprawie, ale nie wchodź mi w drogę.

— Nie miałeś ani jednej nieprzespanej nocy z powodu Cindy Lakey, co, Ross?

— Mówiłem, nie wchodź mi w drogę.

— Z rozkoszą.

— Nie chcę więcej wysłuchiwać twojego gderania i jęczenia.

— Jesteś niesamowity.

Bez odpowiedzi Mondale otworzył drzwi.

— Z jakiej planety pochodzisz, Ross?

Mondale wyszedł.

— Założę się, że na jego rodzinnej planecie mają tylko jeden kolor — powiedział Dan do pustego pokoju. — Brązowy. W jego świecie wszystko jest brązowe. Dlatego on nosi tylko brązowe ubrania... przypominają mu o domu.

To był słaby żart. Może dlatego Dan nie mógł się uśmiechnąć. Może.

W kuchni panował spokój.

Trwała cisza.

Powietrze znowu się ociepliło.

— Skończone — powiedział Earl.

Laura wyrwała się z odrętwienia. Układ scalony z rozbitego radia trzasnął pod jej stopą, kiedy przeszła przez kuchnię i uklękła obok Melanie.

Łagodnymi słowami i licznymi pieszczotami uspokoiła córkę. Otarła łzy z dziecięcej twarzy.

Earl zaczął grzebać w szczątkach, oglądał kawałki radia, mamrotał coś do siebie, zdumiony i zafascynowany.

Laura usiadła na podłodze obok Melanie, wzięła dziewczynkę na kolana, przytuliła ją i kołysała z olbrzymią ulgą, że wciąż ma kogo pocieszać. Dałaby wszystko, żeby wymazać wydarzenia z ostatnich kilku minut. Żałowała, że nie może uznać ich za nierealne. Lecz była zbyt dobrą psychiatrą, żeby pozwalać sobie na jakieś umysłowe gierki, które pomniejszą znaczenie tego niesamowitego odkrycia; nie zamierzała również racjonalizować tego na siłę za pomocą standardowego żargonu swojej profesji. Nie miała halucynacji. Ten paranormalny epizod — ten nadnaturalny fenomen — nie dawał się również wyjaśnić jako zwykłe zakłócenie percepcji: percepcja Laury pozostała wierna i dokładna, bez względu na nieprawdopodobieństwo obserwowanych zjawisk. Nie nakładała subiektywnych, nielogicznych fantazji na logiczny ciąg wydarzeń, jak wielu schizofreników. Earl również to widział. I to nie była wspólna iluzja, zbiorowa halucynacja, To było szalone, niemożliwe — ale realne. Radio zostało... nawiedzone.

Kilka kawałków sony jeszcze dymiło. Gryzący odór zwęglonego plastiku wisiał w powietrzu. Melanie jęknęła cicho. Drgnęła.

— Spokojnie, kochanie, spokojnie.

Dziewczynka podniosła wzrok na matkę i ten kontakt wzrokowy wstrząsnął Laurą. Melanie już nie patrzyła przez nią na wylot. Ponownie wróciła ze swojego mrocznego świata i Laura modliła się, żeby tym razem córka wróciła na dobre, chociaż sama w to nie wierzyła.

— Ja... chcę — powiedziała Melanie.

— Czego chcesz, kochanie? Co to jest?

Oczy dziecka odszukały twarz Laury.

— Ja... muszę.

— Wszystko, Melanie. Cokolwiek zechcesz. Tylko mi powiedz. Powiedz mamie, czego chcesz.

— To dopadnie ich wszystkich — oznajmiła Melanie głosem zgrubiałym ze strachu. Earl podniósł wzrok znad dymiących szczątków radia i słuchał uważnie.

— Co? — zapytała Laura. — Co ich dopadnie, skarbie?

— A potem... dopadnie... mnie — wyjąkała dziewczynka.

— Nie — zaprzeczyła szybko Laura. — Nic cię nie dopadnie. Zaopiekuję się tobą. Obronię...

— To... wyjdzie... ze środka.

— Ze środka czego?

— ...ze środka...

— Co to jest, kochanie? Czego się boisz? Co to jest?

— ...to... wyjdzie... i zje mnie...

— Nie.

— ...zje mnie... całą — dokończyła dziewczynka i zadygotała.

— Nie, Melanie. Nie bój się...

Głos uwiązł jej w gardle, ponieważ zauważyła, że spojrzenie dziewczynki uległo subtelnej przemianie. Nie straciło całkowicie ostrości, ale nie spoczywało już na Laurze.

Melanie westchnęła i jej oddech zwolnił. Wróciła do tego prywatnego miejsca, gdzie ukrywała się, odkąd znaleziono ją wędrującą nago po ulicy.

— Pani doktor, rozumie pani coś z tego? — odezwał się Earl.

— Nie.

— Bo ja zupełnie nic nie kojarzę.

— Ja też.

Wcześniej, gotując obiad, poczuła przyływ optymizmu w związku z Melanie i przyszłością. Poczła się prawie normalnie. Ale sytuacja zmieniła się na gorsze i Laura znowu zaczęła się denerwować.

W tym mieście byli ludzie, którzy chcieli porwać Melanie, żeby dalej na niej eksperymentować. Laura nie wiedziała, co chcieli osiągnąć ani dlaczego wybrali Melanie, ale miała pewność, że istnieją. Nawet FBI tak uważało. Inni ludzie pragnęli śmierci Melanie. Odkrycie trupa Neda Rinka dowodziło, że dziewczynce niewątpliwie groziło niebezpieczeństwo. Teraz jednak okazało się, że nie tylko ci bezimienni ludzie chcieli dostać w ręce Melanie. Teraz pojawił się następny wróg. Taki był sens ostrzeżenia przekazanego za pośrednictwem radia.

Lecz kto lub co opanowało radio? I w jaki sposób? Kto lub co wysłało ostrzeżenie? I dlaczego?

Co ważniejsze, kim był ten nowy wróg?

„To”, powiedziało radio, dając do zrozumienia, że ten nowy wróg był bardziej przerażający i bardziej niebezpieczny niż wszyscy inni razem wzięci. TO było wolne, powiedziało radio, TO nadchodziło. Musieli uciekać, powiedziało radio. Musieli się ukryć. Przed TYM.

— Mamo? Mamusiu?

— Tutaj jestem, skarbie.

— Mamoooooooo!

— Jestem tutaj. Już dobrze. Jestem przy tobie.

— Ja... ja... ja się... boję.

Melanie nie mówiła do Laury ani do Earla. Zdawała się nie słyszeć pocieszających słów Laury. Mówiła tylko do siebie, głosem stanowiącym esencję samotności, głosem zagubionej, porzuconej istoty.

— Boję się. Boję się.

CZEŚĆ TRZECIA

POŚCIG

ŚRODA 20.00-CZWARTEK 6.00

Wciąż siedząc za biurkiem Josepha Scaldonego w biurze-magazynie sklepu na Bulwarze Ventura, Dan Haldane przejrzał stojak na dyskietki obok komputera IBM. Przeczytał nalepki na dyskietkach i zobaczył, że większość nie zawierała nic interesującego dla śledztwa; tylko jedna, opisana LISTA WYSYŁKOWA KLIENTÓW, wydawała się warta sprawdzenia.

Dan włączył komputer, przestudiował menu, wszedł w odpowiedni program i wywołał listę wysyłkową. Pojawiła się białymi literami na niebieskim tle, podzielona na dwadzieścia sześć dokumentów, jeden na każdą literę alfabetu.

Wywołał dokument M i przewinął go powoli, szukając Dylana McCaffreya. Znalazł nazwisko i adres domowy Studio City.

Wywołał dokument H i odszukał Willy'ego Hoffritza.

W pliku C trafił na Ernesta Andrew Coopera, bogatego biznesmena, którego okaleczone ciało znaleziono w domu w Studio City poprzedniej nocy, razem z McCaffreym i Hoffritzem.

Dan stuknął w plik R. Figurował tam Ned Rink.

Odkrył więź łączącą wszystkie cztery ofiary: interesowali się okultyzmem, a co więcej, byli stałymi klientami dziwnego sklepiku zmarłego Josepha Scaldonego.

Sprawdził pod U. Był tam adres w Ojai i numer telefoniczny Alberta Uhlandera, autora tych cudacznych książek o okultyzmie, które ktoś próbował usunąć z domu Neda Rinka i które teraz bezpiecznie spoczywały w bagażniku policyjnego sedana przydzielonego Danowi.

Kto jeszcze?

Zastanowił się nad tym pytaniem, potem wywołał plik S i poszukał Reginy Savannah. Tak nazywała się młoda kobieta, która całkowicie poddała się władzy Hoffritza i którego pobicie spowodowało usunięcie psychologa z UCLA cztery lata wcześniej. Nie należała do klientów Scaldonego.

Plik G. Tylko na wszelki wypadek. Ale nie znalazł żadnej wzmianki o Irmatrudzie Gelkenshettle.

W gruncie rzeczy nie spodziewał się jej znaleźć. Trochę wstydził się sprawdzać. Ale detektyw od zabójstw z samej natury nie ufał nikomu.

Wywoławszy plik O, poszukał Mary Katherine O'Hara z Burbank, sekretarza stowarzyszenia Teraz Wolność, gdzie Cooper i Hoffritz działali jako prezes i skarbnik, w wymienionej kolejności.

Widocznie Mary O'Hara nie podzielała entuzjazmu swoich współtowarzyszy dla okultystycznej literatury i parafernaliów.

Żadne inne nazwiska nie przychodziły Danowi do głowy, ale pewnie mógłby znaleźć coś interesującego, gdyby przeczytał całą listę. Wystukał polecenie wydruku.

Laserowa drukarka wypuła pierwszą stronę po kilku sekundach. Dan chwycił kartkę z tacy i przeczytał ją, podczas gdy maszyna drukowała dalej. Na kartce znajdowało się dwadzieścia nazwisk z adresami, w dwóch kolumnach po dziesięć. Nie rozpoznał nikogo.

Podniósł następną kartkę i na dole drugiej kolumny zobaczył nazwisko nie tylko znajome, ale wręcz zaskakujące. Palmet Boothe.

Właściciel „Los Angeles Journal”, dziedzic wielkiej fortuny, lecz również jeden z najsprytniejszych biznesmenów w kraju, Palmer Boothe znacznie powiększył odziedziczone bogactwo. Zajmował się nie tylko wydawaniem gazet i czasopism, lecz także bankami, nieruchomościami, produkcją filmów, transportem, różnymi zaawansowanymi technologiami, radiem, rolnictwem, hodowlą rasowych koni i chyba wszystkim, co tylko przynosiło pieniądze. Cieszył się znakomitą reputacją jako szafarz władzy politycznej, filantrop, który corocznie zaskarbiał sobie wdzięczność licznych dobroczynnych organizacji, człowiek znany ze swego trzeźwego pragmatyzmu.

Ach tak? Co mają wspólnego okultystyczne przesady z trzeźwym pragmatyzmem? Dlaczego obrotny biznesmen, ceniący zdroworoządkowe prawa, reguły i metody kapitalizmu, popiera takie dziwne miejsce jak Znak Pentagramu?

Ciekawe.

Oczywiście istniały znikome szanse, żeby Palmer Boothe zadawał się z osobnikami pokroju McCaffreya, Hoffritza czy Rinka. Jego nazwisko na liście klientów Scaldonego jeszcze nie świadczyło o powiązaniach ze sprawą McCaffreya. Nie każdy, kto kupował w Znak Pentagramu, musiał uczestniczyć w tej konspiracji.

Niemniej Dan otworzył prywatny notes z adresami Scaldonego — przedmiot, który wywołał konfrontację z Mondale'em — i przekartkował do litery B, żeby sprawdzić, czy Palmer Boothe był więcej niż zwykłym klientem. Nie znalazł nazwiska biznesmena. Co pewnie znaczyło, że Boothe kontaktował się z Josephem Scaldonem wyłącznie jako okazjonalny nabywca okultystycznych książek i artefaktów.

Dan sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął notes z adresami Dylana McCaffreya. Tam też nie znalazł nazwiska Boothe.

Ślepy zaułek.

Wiedział, że tak będzie.

Po namyśle poszukał w notesie McCaffreya nazwiska Alberta Uhlandera. Autor tam był, pod tym samym adresem i numerem telefonu w Ojai.

Znowu zajrzał do notesu Scaldonego. Uhlander również tam figurował. Pisarz z pewnością nie był tylko zwykłym klientem Znak Pentagramu. Stanowił integralną część tajemniczego projektu, nad którym pracowali Hoffritz i McCaffrey.

Ci dwaj rzeczywiście dobrali sobie wesołe towarzystwo. Dan zastanawiał się, co robili na spotkaniach. Porównywali ulubione marki nietoperzowego gówna? Przyrządzali smakowite przekąski z węzowych oczu? Dyskutowali o megalomańskich planach powszechnego prania mózgow i przejęcia władzy nad światem?

Torturowali małe dziewczynki?

Drukarka wyrzuciła piętnastą i ostatnią stronicę dużo wcześniej, nim Dan skończył przeglądać pozostałych czternaście. Zebrał je, spiął zszywaczem, złożył i wepchnął do kieszeni. Lista klientów zawierała prawie trzysta nazwisk, które chciał spokojnie przestudiować później, w domu przy piwie, gdzie będzie mógł się lepiej skoncentrować.

Znalazł puste pudełko po papeterii i włożył do niego notes z adresami Dylana McCaffreya, mniejszy notes Scaldonego i kilka innych przedmiotów. Wyniósł pudełko z zaplecza przez sklep, gdzie ludzie koronera pakowali do worka ohydnie zmasakrowane ciało Josepha Scaldonego, i wyszedł na ulicę.

Tłumek ciekawskich przerzedził się, może z powodu zimnej nocy. Kilku przemarzniętych reporterów wciąż sterczało w pobliżu okultystycznego sklepu, z głowami wtulonymi w ramiona i rękami w kieszeniach. Przenikliwy wiatr świszczwał i zawodził po Bulwarze Ventura, wysysając ciepło z miasta i wszystkich mieszkańców. Powietrze było ciężkie i wilgotne. Zanosilo się na deszcz jeszcze przed świtem.

Nolan Swayze, najmłodszy z mundurowych policjantów na posterunku przed frontem Znak Pentagramu, przyjął pudełko, które podał mu Dan.

— Nolan, zabierzesz to do East Valley i dasz maszynistkom. W środku są dwa notesy z adresami. Chcę, żeby przepisano zawartość obydwóch i niech wszyscy detektywi ze specjalnego oddziału dostaną jutro rano kopię transkrypcji dołączoną do pakietów informacyjnych.

— Zrobi się — mruknął Swayze.

— Jest też dyskietka. Niech wydrukują zawartość i zrobią kopie. I tam jest kalendarz z datami spotkań.

— Kopie dla wszystkich?

— Szybko chwytasz.

Swayze kiwnął głową.

— Zamierzam zostać szefem policji.

- Niezły plan.
- Matka będzie dumna.
- Jeśli ci na tym zależy, mądrzej będzie zostać zwykłym krawężnikiem. Mam tutaj plik faktur...
- Niech przepiszą treść w bardziej poręcznym formacie.
- Właśnie — przytaknął Dan.
- Z kopiami dla wszystkich.
- Może nawet zostaniesz burmistrzem.
- Wymyśliłem już swój slogan wyborczy. „Przebudujmy L.A.”
- Czemu nie? Sprawdza się na wszystkich innych kandydatach od trzydziestu lat.
- Ta książka...?
- Książeczka czekowa — wyjaśnił Dan.
- Chce pan, żeby przepisano informacje z odcinków, z kopiami dla wszystkich. Może nawet zostanę gubernatorem.
- Nie, to posada nie dla ciebie.
- Dlaczego?
- Musiałbyś mieszkać w Sacramento.
- Hej, racja. Wolę cywilizację.

Obiad się spóźnił, ponieważ musieli posprzątać kuchnię. Wodę na spaghetti trzeba było wylać: pływały w niej kawałki roztrzaskanego radia. Laura wyszorowała garnek, napełniła go ponownie i postawiła na palniku.

Zanim usiedli do stołu, zupełnie straciła apetyt. Nie mogła jeść, bo w wyobraźni ciągle widziała radio obdarzone własnym demonicznym życiem. Kuchnię wypełniały smakowite aromaty czosnku, parmezanu i sosu pomidorowego, ale spod nich przebiła nikły swąd spalonego plastiku i rozgrzanego metalu, który przypominał (to szaleństwo, ale naprawdę tak myślała, Boże jej dopomóż) olfaktoryczny ślad obecności jakiegoś złego ducha.

Earl Benton zjadł więcej od niej, ale niezbyt wiele. Niewiele również mówił. Wpatrywał się w swój talerz, nawet kiedy robił długą przerwę między kolejnymi kęsami, i tylko raz podniósł wzrok, żeby zerknąć na koniec kuchennego blatu, gdzie przedtem stało sony. Zwykle energiczny i rzeczowy, teraz wydawał się zagubiony; jego oczy miały nieobecny wyraz.

Melanie również miała nieobecne spojrzenie, ale zjadła więcej od Laury i Earla. Chwilami żuła powoli, z roztargnionym wyrazem twarzy, chwilami pochłaniała spiesznie cztery czy pięć kęsów z wilczym apetytem. Od czasu do czasu kompletnie zapomniała o jedzeniu i trzeba było jej przypominać.

Karmiąc córkę i co chwila wycierając z jej brody sos do spaghetti, Laura mimo woli

wspominała własne nieszczęśliwe dzieciństwo. Jej matka Beatrice była religijną fanatyką i nie pozwalała śpiewać, tańczyć ani czytać książek innych niż Biblia oraz wybrane traktaty religijne. Samotna, cierpiąca na manię prześladowczą Beatrice bardzo się starała, żeby Laura nigdy nie uwolniła się od nieśmiałości, zahamowań i lęku przed światem; gdyby Laura znalazła się w takim samym stanie jak obecnie Melanie, Beatrice niewątpliwie byłaby zachwycona. Wolałaby interpretować schizofreniczną katatonię jako odrzucenie złych cielesnych popędów, jako głęboką komunię z Bogiem. Beatrice nie tylko nie mogłaby, ale nie chciałaby pomóc Laurze w powrocie do rzeczywistości.

Ale ja mogę ci pomóc, skarbie, pomyślała Laura i wytarła plamę sosu z brody dziecka. Mogę i chcę pomóc ci znaleźć powrotną drogę, Melanie, jeśli tylko podasz mi rękę, jeśli tylko pozwolisz sobie pomóc.

Głowa Melanie opadła. Oczy się zamknęły.

Laura nawinęła kolejną porcję spaghetti na widelec i podniosła do ust dziewczynki, ale Melanie widocznie ześliznęła się na jakiś głębszy poziom apatii, może nawet w sen.

— No, Melanie, zjedz jeszcze trochę. Musisz nabrać trochę ciała, skarbie.

Coś głośno szcęknęło.

Earl Benton podniósł wzrok znad talerza.

— Co to było?

Zanim Laura zdążyła odpowiedzieć, tylne drzwi otworzyły się z szokującym impetem. Łańcuch bezpieczeństwa został wyrwany z framugi, drewno pękło z ostrym trzaskiem.

Pierwszy szcęk oznaczał zasuwę, która się otworzyła. Sama z siebie.

Earl skoczył na równe nogi, przewracając krzesło.

Z patio za domem, z ciemności i wiatru coś weszło w drzwi.

O 9.15, po rozmowie z właścicielem sklepu sąsiadującego ze Znakiem Pentagramu, nie dowiedziawszy się niczego ciekawego, Dan wstąpił do McDonalda na obiad. Kupił dwa cheeseburgery, dużą porcję frytek i dietetyczną colę. Jadł w samochodzie i jednocześnie próbował zlokalizować Reginę Savannah za pomocą samochodowego terminalu.

Monitor terminalu znajdował się w tablicy rozdzielczej, wmontowany ukośnie, więc Dan nie musiał się pochylać, żeby odczytać zawartość ekranu. Klawiatura prawie całkowicie wypełniała konsolę pomiędzy siedzeniami. W ciągu ostatnich dwóch lat wszystkie wozy patrolowe LAPD i połowę nieoznakowanych sedanów wyposażono w nowe terminale komputerowe. Ruchome VDT łączyły się poprzez mikrofalowe transmisje z podziemnym, wstrząsoodpornym, zabezpieczonym przed bombami policyjnym centrum komunikacyjnym dowodzenia, które z kolei przez modem miało dostęp do rozmaitych rządowych i prywatnych banków danych.

Dan ugryzł kawałek cheeseburgera, uruchomił silnik sedana, włączył VDT, wklepał swój kod osobisty i uzyskał dostęp do rejestrów towarzystwa telefonicznego. Zażądał numeru Reginy Savannah pod każdym adresem na obszarze Wielkiego Los Angeles.

Po kilku sekundach na ekranie pojawiły się świecące zielone litery:

BRAK ZAPISU
SAVANNAH, REGINA

BRAK ZAPISU
SAVANNAH, R.

Zażądał podania wszystkich zastrzeżonych numerów obciążających rachunek Reginy lub R. Savannah, ale znowu trafił w ślepy zaułek.

Zjadł kilka frytek.

Ekran świecił łagodnie, cierpliwie.

Połączył się z rejestrem praw jazdy wydziału komunikacji i polecił odszukanie Reginy Savannah. Wynik negatywny.

Dumając nad następnym krokiem, zjadł drugiego cheeseburgera i obserwował ruch na smaganej wiatrem ulicy. Potem znowu wklepał pliki WK i polecił odszukanie prawa jazdy wydanego każdej osobie o imieniu Regina i drugim imieniu Savannah. Może wyszła za mąż i nie całkiem zrezygnowała z panińskiego nazwiska.

Oplaciło się spróbować. Ekran wyświetlił odpowiedź:

REGINA SAVANNAH HOFFRITZ

Dan patrzył z niedowierzaniem. Hoffritz?

Marge Gelkenshettle nic o tym nie wspominała. Czyżby ta dziewczyna naprawdę wyszła za człowieka, który pobił ją do nieprzytomności i przez którego wylądowała w szpitalu?

Nie. O ile wiedział, Wilhelm Hoffritz był kawalerem. Dan jeszcze nie odwiedził domu Hoffritza, ale przeczytał dostępne ogólne informacje, które nie zawierały żadnej wzmianki o żonie czy rodzinie. Inni odszukali najbliższą krewną: siostrę, która właśnie leciała skądś tam — z Chicago czy Detroit — żeby zająć się pogrzebem.

Marge Gelkenshettle powiedziałaaby mu, gdyby Regina wyszła za Hoffritza. Chyba że sama nie wiedziała.

Według danych wydziału komunikacji Regina Savannah Hoffritz, płci żeńskiej, miała czarne włosy i piwne oczy, pięć stóp sześć cali wzrostu i ważyła sto dwadzieścia pięć funtów. Data urodzenia: 3 lipca 1971. Akurat odpowiedni wiek dla kobiety, o której opowiadała Marge. Prawo jazdy podawało adres w Hollywood, na wzgórzach. Dan za-

pisał adres w notesie.

Wilhelm Hoffritz mieszkał w Westwood. Gdyby ożenił się z Reginą Savannah, po co utrzymywaliby dwa domy?

Rozwód. Całkiem możliwe.

Lecz nawet gdyby doszło do rozwodu, sam fakt małżeństwa wydawał się niepojęty. Jakie życie prowadziłaby kobieta poślubiona złośliwemu sadyście, który zrobił jej pranie mózgu, który całkowicie nad nią panował i który pewnego razu pobił ją tak dotkliwie, że trafiła do szpitala? Jeżeli Hoffritz maltretował Reginę, kiedy jeszcze była jego studentką — kiedy ryzykował karierę, dając upust takim perwersyjnym żądzom — o ile gorzej mógł ją traktować, kiedy została jego żoną, kiedy byli sami w prywatnym zaciszu własnego domu?

Ciarki przeszły Dana na tę myśl.

Earl Benton trzymał broń w ręku, ale tego, co wyłoniło się z ciemności, nie mógł sprzątnąć kilkoma celnymi strzałami z trzydziestkiósemki. Drzwi uderzyły o ścianę z donośnym łoskotem i do kuchni wtargnął zimny wir powietrza, wiatr jak żywy stwór, który syczał i warczał, węszył i płażał. A jeśli ciało stwora składało się z wiatru, jego futro stanowiły kwiaty, ponieważ nagle w powietrzu zaroiło się od kwiatów; białe, żółte i czerwone róże, badylaste niecierpki wszelkich odcieni, mnóstwo kwiatów z ogrodu za domem, niektóre z łodygami, niektóre bez łodyg, niektóre równo ucięte, a inne wyrwane z korzeniami. Stwór z wiatru otrząsnął się, kwietny płaszcz załopotał i jak z liniejącej sierści odpadały z niego oberwane liście, jaskrawe płatki, zmiażdżone łodygi, grudki wilgotnej ziemi przyczepione do korzeni. Kalendarz zeskoczył ze ściany i przefrunął przez połowę kuchni na skrzydłach z papieru, zanim osiadł na podłodze. Z miękkim szelestem, przypominającym trzepot skrzydeł, zasłony okienne wzleciały w powietrze i próbowały oderwać się od karniszów, żeby ochoczo przyłączyć się do demonicznego tańca nieożywionych przedmiotów. Śmiecie obsypały Earla, róża uderzyła go w twarz; poczuł na gardle lekkie ukłucie kolca i odruchowo uniósł ramię, żeby się zasłonić. Zobaczył, jak Laura McCaffrey osłania córkę, i uświadomił sobie własną bezradność w obliczu tej amorficznej groźby.

Drzwi zatrzasnęły się tak nagle, jak zostały otwarte. Lecz wirująca kolumna kwiecia wciąż się obracała, jakby ten wiatr nie był częścią większego wiatru grasującego w nocnych ciemnościach, tylko jego samowystarczalnym potomkiem.

Nie, to niemożliwe. Szalone. A jednak rzeczywiste. Kipiąca turbulencja rzeziła, syczała, znowu wypluła liście, kwiaty i połamane łodygi, strząsnęła z siebie więcej ziemi, pączków i barwnych płatków. Stwór z wiatru w swoim prześwitującym, postrzępionym płaszczu roztańczonej roślinności zatrzymał się tuż za drzwiami (choć jego oddech dochodził do najdalszych kątów) i został tam, jakby się przyglądał, jakby podejmował

decyzję, co dalej robić — a potem po prostu wyparował. Wiatr nie ucichł stopniowo: ustał w jednej chwili. Reszta kwiatów, których jeszcze nie zrzucił, opadła na kuchenną terakotę w beładnym stosie, z miękkim szelestem. Potem cisza, spokój.

W nieoznakowanym policyjnym sedanie na parkingu McDonalda Dan przerwał połączenie z komputerem wydziału komunikacji i jeszcze raz wywołał bazy danych towarzystwa telefonicznego. Otrzymał numer telefonu i adres Reginy Hoffritz, ten sam adres, który podał wydział komunikacji.

Dan zerknął na zegarek: 9.32. Korzystał z terminalu około dziesięciu minut. W dawnych złych czasach, przed wprowadzeniem przenośnych komputerów, straciłby co najmniej dwie godziny na zdobycie tych informacji. Wyłączył monitor i ciemność zgęstniała we wnętrzu samochodu.

Kończył drugiego cheeseburgera, popijał colę i rozmyślał, jak szybko zmienia się świat. Nowy świat, fantastyczno-naukowe społeczeństwo wyrastało wokół niego z zatrważającą szybkością i zdecydowaniem. Życie w tych czasach było równie radosne jak straszne. Ludzkość posiadała wiedzę dostateczną, żeby sięgnąć gwiazd, żeby wykonać gigantyczny skok w górę i rozprzestrzenić się po wszechświecie, lecz dysponowała również dostatecznymi środkami, żeby zniszczyć samą siebie, zanim rozpocznie się nieuchronna emigracja. Nowe technologie — jak komputery — uwalniały mężczyzn i kobiety od rozmaitych żmudnych zajęć, oszczędzały mnóstwo czasu. A jednak... a jednak dodatkowy czas nie oznaczał więcej odpoczynku ani więcej okazji do medytacji i refleksji. Przeciwnie, z każdą nową falą technologiczną wzrastało tempo życia: wciąż było więcej do zrobienia, więcej decyzji do podjęcia, więcej doświadczeń do przeżycia, a ludzie skwapliwie sięgali po te propozycje i zapełniali godziny dopiero co otrzymane w prezencie. Z każdym rokiem życie uciekało coraz szybciej i szybciej, jakby Bóg odkręcił do oporu kran przepływu czasu. Ale porównanie kulało, ponieważ dla wielu ludzi nawet koncepcja Boga wydawała się przestarzała w epoce, kiedy codziennie zmuszano wszechświat do wyjawiania nowych tajemnic. Nauka, technologia i zmiana — oto jedyne współczesne bóstwa, nowa Trójca Święta; i chociaż nie są świadomie okrutne ani niesprawiedliwe, jak wielu dawnych bogów, ich zimna obojętność nie przynosi żadnej pociechy chorym, samotnym czy zagubionym.

Jak mogą prosperować sklepy podobne do Znak Pentagramu w świecie komputerów, cudownych pigułek i statków kosmicznych? Kto zwraca się z pytaniami do okultystów, jeśli fizycy, biochemicy i genetycy dzień po dniu dostarczają więcej odpowiedzi niż wszystkie wróżby i seanse spirytystyczne od zarania historii? Dlaczego tacy naukowcy, jak Dylan McCaffrey i Wilhelm Hoffritz, zadają się z handlarzem nietoperzowego gówna i innych bzdur?

No, widocznie uważali, że nie wszystko to bzdury. Niektóre aspekty okultyzmu, nie-

które paranormalne zjawiska najwyraźniej interesowały McCaffreya i Hoffritza, ponieważ wierzyli, że mają związek z ich własnymi badaniami albo znajdą w nich zastosowanie. W jakiś sposób chcieli połączyć naukę z magią. Ale jak? I dlaczego?

Dopijając dietetyczną colę, Dan przypomniał sobie urywek wiersza:

*Pogrążymy się w ciemność,
w cierpienie i mękę,
gdzie Nauka i Diabeł
kroczą ręka w rękę.*

Nie pamiętał, gdzie usłyszał te słowa, chyba w piosence, w jakimś starym rockandrollowym kawałku z czasów, kiedy regularnie słuchał rocka. Próbował sobie przypomnieć, prawie mu się udało, skojarzyło mu się z jakimś protestsongiem o wojnie atomowej i zagładzie, ale nie potrafił uchwycić wspomnienia.

„Nauka i Diabeł kroczą ręka w rękę”.

To był naiwny obrazek, wręcz prostacki. Piosenka prawdopodobnie służyła tylko jako propaganda dla Nowych Luddystów, którzy pragnęli zburzyć cywilizację i wrócić do jaskiń czy szałasów. Dan nie sympatyzował z takimi poglądami. Wiedział, że szałas są wilgotne i pełne przeciągów.

Ale z jakiegoś powodu wizja „Nauki i Diabła kroczących ręka w rękę” wywarła na nim potężne wrażenie; przeszedł go zimny dreszcz.

Nagle nie miał już ochoty na wizytę u Reginy Savannah Hoffritz. To był długi dzień. Pora wracać do domu. Bolało go rozbite czoło, liczne sińce pulsowały na całym ciele. Ogień płonął w kościach i stawach. Oczy paliły, łzawiły i piekły. Dan potrzebował piwa albo dwóch — i dziesięciu godzin snu.

Ale miał jeszcze robotę.

Wstrząśnięta Laura rozejrzała się z niedowierzaniem.

Ziemia, kwiaty, liście i inne śmiecie leżały rozrzucone na kuchennym stole i na niedojedzonych porcjach spaghetti. Zmaltretowane róże zaścielały podłogę i blaty. Skręcone, połamane pęki czerwonych i purpurowych niecierpków wystawały ze zlewu. Jedna biała róża wisiała na uchwycie drzwi lodówki, a strzępki zieleni i setki oberwanych płatków przywarły do ścian, zasłon i szafek. Pod drzwiami sterta wiotkich, powyginanych łądyg i zwichrzonych kwiatów znaczyła miejsce, gdzie zmarł wiatr.

— Wychodzimy stąd — powiedział Earl, wciąż trzymając rewolwer w ręku.

— Ale ten bałagan... — zaczęła Laura.

— Później — rzucił, podszedł do Melanie i podniósł nieprzytomne dziecko z krzesła.

— Ale ja muszę posprzątać... — zaprotestowała oszołomiona Laura.

— Chodźmy, chodźmy — ponaglił niecierpliwie Earl. Z jego twarzy znikła czerstwa, rumiana cera wieśniaka, zastąpiona przez woskową bladość. — Do salonu.

Laura zawahała się, patrząc na skłębione szczątki.

— Chodźmy — powtórzył Earl — zanim coś gorszego wejdzie przez te drzwi!

Regina Savannah Hoffritz mieszkała przy jednej z biedniejszych uliczek na wzgórzach Hollywoodu. Jej dom stanowił jaskrawy przykład eklektyczno-anachronistyczno-wariackiej architektury, rzadko spotykanej w Kalifornii, którą jednak szowinistyczni nowojorczy wytykali palcami jako bezguście typowe dla zachodniego wybrzeża. Sądząc po ceglach i wyeksponowanych belkach zewnętrznych ścian, Dan ocenił dom jako tudorowski w zamierzeniu, chociaż zauważył też bogato rzeźbione wiktoriańskie okapy, amerykańskie kolonialne okiennice... oraz — po obu stronach frontowych drzwi domu oraz drzwi garażu — wielkie mosiężne powozowe latarnie, których stylu ani epoki nie dało się określić. Dwa stiukowe pilastry ze szlakiem z meksykańskich kafelków, pomiędzy którymi otwierało się wejście na chodnik, dźwigały ciężkie lampy z kutego żelaza, całkowicie różne — lecz nie bliższe tudorowskiemu ideałowi — od mosiężnych detali zamontowanych wszędzie indziej.

Czarny porsche parkował na podjeździe. W upiornym białym blasku licznych i nieodpasowanych lamp lśniąca krzywizna długiej maski samochodu przypominała pan-cerz żuka.

Dan nacisnął dzwonek, wydobył policyjną odznakę i czekał, kuląc ramiona na zimnym wietrze, a potem zadzwonił ponownie.

Wreszcie drzwi uchyliły się na szerokość łańcucha.

Połowa ślicznej twarzy wyjrzała na zewnątrz: lśniące czarne włosy, porcelanowa cera, jedno wielkie, czyste brązowe oko, pół delikatnie rzeźbionego nosa, w którym widoczne nozdrze było uformowane tak subtelnie, jakby zostało wydmuchane ze szkła; i połówka dojrzałych, kuszących ust.

— Tak? — powiedziała.

Głos miała miękki, ściszony. Może to był jej naturalny, nie udawany tembr głosu, ale brzmiał sztucznie, wyrachowanie.

— Regina Hoffritz? — zapytał Dan.

— Tak.

— Porucznik Haldane. Policja. Chciałbym z panią porozmawiać. O pani mężu.

Zezując, spojrziała na jego odznakę.

— O jakim mężu?

Usłyszał coś jeszcze w jej głosie: potulność, uległość, drżącą słabość. Wydawała się tylko czekać na rozkaz, który wymusi na niej posłuszeństwo.

Nie sądził, że przybrała ten ton ze względu na obecność gliniarza. Podejrzewał, że zachowywała się tak zawsze, z każdym. Czy raczej zachowywała się tak zawsze, odkąd Willy Hoffritz ją zmienił.

— Pani mąż — powtórzył. — Wilhelm Hoffritz.

— Och. Jedną chwileczkę.

Zamknęła drzwi i minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, pół minuty, dłużej. Dan chciał już zadzwonić ponownie, kiedy usłyszał szczełkę zdejmowanego łańcucha.

Drzwi się otwarły. Regina cofnęła się i Dan wszedł do środka, mijając trzy sztuki bagażu, które stały pod ścianą. W salonie usiadł w fotelu, ona zaś wybrała rdzawo-brązową sofę. Przybrała afektowanie skromną pozę, lecz ogólny efekt był wyraźnie uwodzicielski.

Chociaż była piękną kobietą, czegoś jej brakowało. Ten kobiecey wdzięk wydawał się sztuczny, przesadnie wypracowany. Włosy miała uczesane tak idealnie, makijaż nałożony tak starannie i nieskazitelnie, jakby zamierzała wystąpić przed kamerami w reklamówce Revlonu. Nosila jedwabny kremowy peniuar, długi do ziemi, ciasno ściągnięty w talii, żeby podkreślić pełne piersi, płaski brzuch i rozłożyste biodra. Peniuar był gęsto plisowany, z jedwabnymi falbankami na gorsie, przy kołnierzu, mankietach i obrąbku. Miękką szyję opinała złota obroża; tego rodzaju dopasowane naszyjniki wyszły z mody przed wielu laty i obecnie rzadko się trafiały u ludzi, którzy traktowali biżuterię jak zwykłą dekorację, natomiast sadomasochistyczne pary wciąż poszukiwały takich przedmiotów jako symboli seksualnego niewolnictwa. I chociaż Dan dopiero co poznał Reginę, wiedział, że nosila swoją obrożę właśnie na znak masochistycznej uległości, gdyż jej stłamszona, poddańcza natura przejawiała się w sposobie odwracania twarzy, w pełnych wdzięku, lecz ukradkowych ruchach (jakby czekała z perwersyjnym przyzwoleniem na cios, uszczypnięcie, bolesny uścisk), w unikaniu kontaktu wzrokowego.

Czekała, żeby zaczął.

Przez chwilę nic nie mówił, wsłuchiwał się w dom. Zwłoka przy zdejmowaniu łańcucha obudziła w nim podejrzenie, że Regina ma gościa. Pobiegnęła do niego po radę i otrzymała pozwolenie, zanim wpuściła Dana. Lecz w głębi domu panowała cisza.

Na stoliku do kawy ustawiono pół tuzina fotografii Willy'ego Hoffritza. Przynajmniej te trzy, które stały przodem do Dana, przedstawiały Hoffritza, więc zakładał, że znajduje się również na pozostałych. To była ta sama pospolita twarz, te same szeroko rozstawione oczy, te same nieco zbyt pulchne policzki i świński nos, które Dan widział na zdjęciu w prawie jazdy, znalezionym w portfelu jednej z ofiar wczorajszej nocy w Stu-

dio City.

— Na pewno pani wie, że pani mąż nie żyje — odezwał się w końcu.

— To znaczy Willy?

— Tak, Willy.

— Wiem.

— Chciałbym pani zadać kilka pytań.

— Na pewno nie mogę panu pomóc — powiedziała miękko, potulnie, wpatrując się we własne dłonie.

— Kiedy ostatni raz widziała pani męża?

— Ponad rok temu.

— Rozwód?

— No...

— Separacja?

— Tak, ale... nie w taki sposób, jak pan myśli.

Wolałby, żeby na niego patrzyła.

— Więc w jaki sposób?

Nerwowo zmieniała pozycję na sofie.

— Nigdy nie byliśmy... legalnym małżeństwem.

— Nie? Ale pani nosi jego nazwisko.

Przytaknęła, wciąż wpatrzona we własne dłonie.

— Tak, pozwolił mi zmienić moje.

— Pani poszła do sądu i zmieniła nazwisko na Hoffritz? Kiedy, dlaczego?

— Dwa lata temu. Ponieważ... ponieważ... pan nie rozumie.

— Proszę spróbować.

Regina nie odpowiedziała od razu. Czekając, aż sformułuje wyjaśnienie, Dan rozglądał się po pokoju. Na gzymsie białego ceglanego kominka zobaczył następną kolekcję fotografii Willy'ego Hoffritza: jeszcze osiem.

Chociaż w domu było ciepło, Dan poczuł dojmujący chłód jak w Górach Skalistych w styczniową noc, kiedy patrzył na te starannie ustawione, oprawione w srebrne ramki podobizny martwego psychologa.

Regina powiedziała:

— Chciałam pokazać Willy'emu, że należę do niego, całkowicie i na zawsze.

— Nie sprzeciwiał się, że pani przyjęła jego nazwisko? Nie obawiał się, że pani może wytoczyć mu sprawę o alimenty?

— Nie, nie. Nigdy nie zrobiłabym tego Willy'emu. On wiedział, że nigdy bym tego nie zrobiła. O nie. Wykluczone.

— Jeśli chciał, żeby pani nosiła jego nazwisko, dlaczego nie ożenił się z panią?

— Nie chciał się ożenić — odparła z wyraźnym żalem i rozczarowaniem.

Chociaż trzymała pochyloną głowę, Dan dostrzegł smutek rozciągający rysy jej twarzy niczym nagle przeciążenie.

— Nie chciał się z panią ożenić, ale chciał, żeby pani nosiła jego nazwisko. Na znak, że pani... należy do niego — powiedział zdumiony.

— Tak.

— Przybranie jego nazwiska było jak... naznaczenie?

— O tak — potwierdziła ochryplym szeptem i na jej twarzy rozkwitł uśmiech nieklamanej przyjemności, kiedy wspominała ten dziwaczny akt poddaństwa. — Tak. Jak naznaczenie.

— Milutki facio — podsumował Dan.

Lecz ona nie zwróciła uwagi na ironiczny ton, więc postanowił ukłuć mocniej, żeby porzuciła tę postawę zbitego psa.

— Jezu, z niego był niezły egomaniak!

Poderwała głowę i wreszcie spojrzała mu w oczy.

— O nie — zaprzeczyła, marszcząc brwi. Nie mówiła z gniewem czy zniecierpliwieniem, lecz z żarliwym przejęciem, tak bardzo pragnęła skorygować błędną, w jej mniemaniu, ocenę charakteru zmarłego. — O nie. Nie Willy. Nie było takiego drugiego jak Willy. On był cudowny. Zrobiłabym dla niego wszystko. Wszystko. Był taki wyjątkowy. Gdyby pan go znał, nie powiedziałby pan o nim złego słowa. Nie o Willym. Pan go nie znał.

— Osoby, które go znały, nie wyrażają się o nim tak pochlebnie. Na pewno pani zdaje sobie z tego sprawę.

Ponownie spuściła oczy.

— To tylko zazdrośni, zawistni, kłamliwi dranie — odparła tym samym miękkim, słodkim, afektowanym tonem, jakby nie odważyła się splamić swojej idealnej kobiecości, podnosząc głos czy w inny sposób okazując gniew.

— Wyrzucili go z UCLA.

Nie odpowiedziała.

— Za to, co pani zrobił.

Regina wciąż milczała, wciąż odwracała wzrok, lecz znowu poruszyła się niespokojnie. Peniuar rozchylił się i odsłonił jedną idealnie kształtną łydkę. Siniak wielkości półdolarówki szpecił kremową skórę. Dwa mniejsze sińce widniały na kostce.

— Niech mi pani opowie o Willym.

— Nie chcę.

— Obawiam się, że to konieczne.

Pokręciła głową.

— Co on robił z Dylanem McCaffreyem w Studio City?

— Nigdy nie powiem złego słowa o Willym. Nieważne, co mi zrobicie. Możecie mnie

wsadzić do więzienia, proszę bardzo. Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno. — Mówiła cicho, lecz z płomiennym przekonaniem. — Za dużo złego wygadywali o biednym Willym ludzie niegodni całować jego stopy.

— Regino, spójrz na mnie.

Podniosła jedną rękę do ust i lekko przygryzła kostki dłoni.

— Regino? Spójrz na mnie, Regino.

Nerwowo ssąc przygryzioną dłoń, uniosła głowę, lecz wciąż unikała jego wzroku. Zamiast spojrzeć mu w oczy, patrzyła ponad jego ramieniem.

— Regino, on cię pobił.

Nie odpowiedziała.

— Posłał cię do szpitala.

— Kochałam go — wymamrotała spoza przygryzionej dłoni, której poświęcała coraz więcej uwagi.

— On zrobił ci wyrafinowane pranie mózgu, Regino. Jakimś sposobem dostał się do twojego umysłu i zmienił cię, skrzywił cię, a tak nie postępuje miły i cudowny człowiek.

Łzy trysnęły jej z oczu i popłynęły po policzkach, twarz ściągnęła się z żalu.

— Tak bardzo go kochałam.

Rękaw peniuaru zsunął się z ramienia Reginy, kiedy podniosła dłoń do ust. Dan zobaczył mały siniak na umięśnionej części przedramienia — i ślad na nadgarstku, przypominający otarcie od sznura.

Mówiła, że nie widziała Willy'ego Hoffritza od roku, ktoś jednak niedawno bawił się z nią w niewolnicę.

Dan popatrzył na ozdobnie oprawione fotografie na stoliku do kawy, na wąski uśmiech zmarłego psychologa. Atmosfera nagle zrobiła się gęsta, lepka, brudna. Potrzeba świeżego powietrza niemal podniosła go z fotela i skierowała do drzwi.

Został na miejscu.

— Ale jak mogłaś kochać człowieka, który cię krzywdził?

— On mnie uwolnił.

— Nie, on cię zniewolił.

— Uwolnił mnie, żebym mogła...

— Co?

— Robić to, do czego zostałam stworzona.

— A do czego zostałam stworzona?

— Żeby być taka, jaka jestem.

— Czyli jaka?

— Taka, jaką mnie chcą.

Przestała płakać.

Uśmiech mignął w kącikach jej ust, kiedy rozważała własne słowa.

— Taka, jaką mnie chcą.

I zadrzała, jakby sama myśl o zniewoleniu i poniżeniu budziła w niej rozkoszne dreszcze.

— Twierdzisz, że zostałam stworzona tylko do tego, żeby spełniać wszystkie zachcianki Willy’ego Hoffritza, żeby robić tylko to, czego sobie życzył? — rzucił Dan z rosnącą frustracją i gniewem.

— Czego tylko sobie życzył — powtórzyła Regina i wreszcie spojrzała mu prosto w oczy.

Pożałował, że nie patrzyła już w przestrzeń ponad jego ramieniem, ponieważ zobaczył — albo zdawało mu się, że zobaczył — nieznośną udrękę, rozpacz i wstręt tak silne, że serce mu się ścisnęło. Ujrzał duszę podartą na strzępy, splamioną, zbrukaną, zdeptaną i chorą. We wnętrzu tego dojrzałego, rozkwitłego, wspaniale zmysłowego kobiecego ciała, pod wierzchnią warstwą osobowości uległej kobiecie-dziecka istniała inna Regina, lepsza Regina, uwięziona, pogrzebana żywcem, wegetująca za silnymi psychicznymi blokadami wszczepionymi przez Hoffritza, niezdolna do ucieczki, niezdolna nawet wyobrazić sobie drogi ucieczki. W tej krótkiej chwili kontaktu Dan zobaczył, że prawdziwa Regina, z czasów przed poznaniem Hoffritza, przypominała zwiędłą lalczkę z trawy, wysuszoną przez lata nieustannej udręki, żalosną, skurczoną istotę, którą koszarne tortury i upokorzenia zmieniły w garść słomy: tęskniła za zapałką, za miłosiernym unicestwieniem w ogniu.

Wstrząśnięty, nie mógł odwrócić wzroku.

Ona pierwsza spuściła oczy.

Poczuł ulgę. I wstręt.

Zaschło mu w ustach, język przywarł do podniebienia.

— Czy wiesz, jakie badania prowadził Willy po wydaleniu z UCLA?

— Nie.

— Nad jakim projektem pracowali z Dylanem McCaffreyem?

— Nie wiem.

— Widziałaś kiedyś szary pokój w Studio City?

— Nie.

— Czy znasz Ernesta Andrew Coopera?

— Nie.

— Josepha Scaldonego?

— Niech pan już idzie.

— Neda Rinka?

— Nie. Żadnego nie znam.

— Co oni robili z Melanie McCaffrey? Czego od niej chcieli?

— Nie wiem.

— Kto finansował ten projekt?

— Nie wiem.

Dan był przekonany, że kłamała. Wraz z pewnością siebie, godnością i niezależnością utraciła również umiejętność zręcznego, przekonującego fałszowania prawdy.

Teraz, kiedy poznał Reginę i zobaczył potworne, niewiarygodne skutki tego, co jej zrobiono, stracił wszelki szacunek do Hoffritza jako człowieka, lecz jeszcze bardziej przerażały go umiejętności Hoffritza w manipulowaniu ludźmi, jego nieposkromione okrucieństwo i mroczny geniusz, i jeszcze mocniej uświadomił sobie konieczność szybkiego rozwiązania tej sprawy. Jeśli Hoffritz tak kompletnie odmienił Reginę, co mógł osiągnąć we współpracy z Dylanem McCaffreyem, mając do dyspozycji więcej czasu i środków? Dan doznawał nowego uczucia, że czas ucieka, że trzeba się spieszyć. Hoffritz uruchomił jakąś straszliwą maszynę, która wkrótce zmiażdży jeszcze więcej ludzi, chyba że zrozumieją zasady jej działania, zlokalizują ją i zatrzymają. Regina go okłamała; nie mógł na to pozwolić. Musiał szybko poznać prawdziwe odpowiedzi, zanim będzie za późno, żeby pomóc Melanie.

Opuścili kuchnię zaśmieconą ziemią i kwiatami, ale Laura nie poczuła się bezpiecznie. Dziwaczne zjawiska występowały jedno za drugim, odkąd po południu weszli do domu. Najpierw Melanie obudziła się, wrzeszcząc ze strachu, drapiąc się i bijąc pięściami niczym nawiedzona fanatyczka religijna, która wypędza diabła z własnego ciała. Potem radio ożyło, a na koniec przez kuchenne drzwi wtargnęła trąba powietrzna. Gdyby ktoś powiedział Laurze, że jej dom jest nawiedzony, wcale by go nie wyśmiała.

Przeprowadzka z kuchni do salonu nie uspokoiła również Earla. Uciszył Laurę, kiedy zaczęła coś mówić. Zaprowadził ją i Melanie do gabinetu, znalazł na biurku długopis i plik papieru i pospiesznie nabazgrał wiadomość.

Zdumiona jego tajemniczym zachowaniem, Laura stanęła za nim i przeczytała: „Wychodzimy z domu”.

Nie zamierzała się sprzeciwiać. Wyraźnie pamiętała ostrzeżenie przekazane przez radio: TO nadchodziło. Pełen kwiatów wir powietrza wyglądał na kolejne ostrzeżenie o tej samej treści. To nadchodziło. To chciało Melanie. I to wiedziało, gdzie ich szukać.

Earl pisał dalej: „Proszę spakować walizkę dla siebie i drugą dla Melanie”.

Widocznie miał powody podejrzewać, że ktoś założył podsłuch w domu.

Ponadto chyba obawiał się, że nie zdoła bezpiecznie wyprowadzić Laury i Melanie z domu, jeśli podsłuchujący dowiedzą się o planowanej ucieczce. To miało sens. Ktokolwiek finansował Dylana i Hoffritza, na pewno przez cały czas chciał znać aktualne miejsce pobytu Melanie, żeby w odpowiedniej chwili porwać ją albo zabić. A FBI też chciało znać miejsce jej pobytu, żeby w odpowiedniej chwili złapać ludzi, którzy chcieli złapać Melanie. Chyba że samo FBI chciało ją porwać.

Laura znowu poczuła się jak uwięziona w sennym koszmarze.

Może nie wszyscy uwzięli się na nich, ale z pewnością tak wyglądało. Co gorsza, czyhał na nich nie tylko ktoś — ale coś.

Ukryć się. Nic więcej nie mogli teraz zrobić. Schować się tam, gdzie nikt ich nie znajdzie ani nie wytropi.

Laura chwyciła ołówek i napisała: „Dokąd pojedziemy?”.

— Później — powiedział cicho Earl. — Teraz musimy się pospieszyć.

TO nadchodziło.

W sypialni pomógł Laurze spakować dwie walizki, jedną dla niej i jedną dla Melanie.

TO nadchodziło. I chociaż nie wiedziała, czym To jest — a nawet było jej trochę głupio, że wierzyła w jego istnienie — fakt ten bynajmniej nie zmniejszał jej strachu przed Tym.

Po spakowaniu walizek, kiedy włożyli płaszcze, Laura kilkakrotnie zawołała Pieprzówkę. Kotka nie odpowiadała, a pospieszne przejrzanie pokoi też nic nie dało. Pieprzówka chowała się, była nieposłuszna, jak postąpiłby każdy szanujący się kot w podobnych okolicznościach.

— Zostawmy ją — szepnął Earl. — Jutro ktoś wpadnie ją nakarmić.

Przeszli przez pralnię do garażu. Nie zgasili za sobą światła, żeby nie zdradzić zamiarów. Earl włożył walizki do bagażnika błękitnej hondy Laury.

Nie musiała pytać, dlaczego biorą jej samochód zamiast jego. Zaparkował przed domem, przy krawężniku, a gdyby agenci FBI po drugiej stronie ulicy zobaczyli Laurę i Melanie idące do samochodu, chcieliby wiedzieć, dokąd jadą i po co; może nawet chcieliby ich zatrzymać.

Oczywiście ich pospieszna ucieczka mogła okazać się błędem, jeżeli FBI chciało tylko pomóc. Albo i nie. W każdym razie Laura ufała tylko Earlowi Bentonowi.

Posadził Melanie na tylnym siedzeniu i zapiął pas wokół jej talii.

Ze swojego miejsca Laura obejrzała się i zdumiała wyglądem córki. W zamkniętym garażu, oświetlona tylko sufitowym światłem samochodowym, wymizerowana twarz dziewczynki wydawała się bezcielesna; blada niby-księżycowa poświata łagodziła ostre linie i wystające kości. Po raz pierwszy Laura spostrzegła, jaka śliczna byłaby jej córeczka, gdyby trochę przybrała na wadze. Kilka dodatkowych kilogramów oraz spokój ducha dokonałyby całkowitej i cudownej transformacji. Jedno i drugie przyjdzie z czasem. Laura nagle ujrzała potencjał pod szorstką gliną, bliskość pod obcością, piękno pod szarością. Czas, niczym pędzel malarza, nałoży inne przeżycia i emocje na świeżą teraz udrękę Melanie, a kiedy farba dni, miesięcy i lat utworzy warstwę dostatecznie grubą, żeby zakryła koszmarne wspomnienia ojca, Melanie nie będzie już wychudzonym jak szkielet, dziwnym stworem o trupiobladej skórze i cierpiących oczach; będzie całkiem ładna. Ta świadomość pozbawiła tchu Laurę i na nowo rozbudziła w niej nadzieję.

Co ważniejsze, miękkie światło i pieszczotliwe cienie sprawiły, że Laura zobaczyła więcej z siebie w córce, co wywarło na nią jeszcze silniejszy wpływ. Intelktualnie wiedziała, że Melanie jest do niej podobna — świadectwo genów wyraźnie zaznaczało się w nawiedzonej twarzy dziecka, chociaż tortury zmieniły ją w maskę udręki — lecz aż

do tej chwili nie odbierała tego podobieństwa na poziomie emocjonalnym. Widząc siebie w córce, uświadomiła sobie jeszcze bardziej, że cierpienie dziecka to jej własne cierpienie, że przyszłość dziecka to jej własna przyszłość, że nie zazna szczęścia, dopóki Melanie nie będzie szczęśliwa. Uroda dziewczynki ponownie obudziła w Laurze nadzieję, natomiast odkrycie podobieństwa między nimi podsycało determinację, żeby dowiedzieć się prawdy i pokonać wrogów, nawet jeśli cały cholerny świat naprawdę zwrócił się przeciwko nim.

Earl usiadł za kierownicą. Spojrzał na Laurę i uprzedził:

— Będzie dosyć gorąco przez najbliższe kilka minut.

— Już jest gorąco — odparła, zapinając pas bezpieczeństwa.

— Skończyłem kurs samochodowy, na którym uczą, jak unikać terrorystów i kidnapów, więc nie jeżdżę tak brawurowo, jakby się wydawało.

— Brawura wcale mnie nie zmartwi — odparła Laura. — Nie po tym, jak ten wiatrostrwór wpakował mi się do kuchni. Zresztą zawsze myślałam, że fajnie byłoby jeździć jak James Bond.

Uśmiechnął się do niej.

— Twarda z pani sztuka.

Uruchomił silnik, a ona podniosła automatycznego pilota do drzwi garażu, który leżał na konsoli pomiędzy fotelami.

— Teraz — powiedział Earl.

Laura nacisnęła guzik i drzwi garażu zaczęły się przechylać. Zanim uniosły się do końca, Earl wrzucił wsteczny bieg i ruszył tyłem ze sporym przyspieszeniem, chociaż miał ledwie parę cali luzu.

Laura spodziewała się, że uderzą w drzwi, ale samochód gładko wysliznął się z garażu i odjechał od domu na wstecznym biegu z dużą szybkością. Zwolnił na styku podjazdu z ulicą, ale niewiele. Earl skręcił kierownicę mocno w prawo, żeby ustawić się przodem do długiego zjazdu ze wzgórza.

FBI w swojej fałszywej telefonicznej furgonetce jeszcze nie zareagowało. Earl przydepnął hamulce, wrzucił przedni bieg i docisnął gaz. Opony zapiszczały i samochód jakby przykleił się do jezdni, ale zaraz skoczył naprzód po ciemnej, spadzistej ulicy.

Dwie przecznice dalej Earl zerknął we wsteczne lusterko i oznajmił:

— Jadą.

Laura spojrzała przez tylną szybę i zobaczyła, że furgonetka właśnie rusza od krawężnika.

Earl przyduśił hamulce, obrócił kierownicę ostro w prawo i honda z poślizgiem skręciła za róg. Na następnym skrzyżowaniu skręcił w lewo, potem znowu w prawo, kluczył i lawirował przez spokojną willową dzielnicę, wreszcie wyjechał z Sherman Oaks na krawędź doliny, przez grań do kanionu Benedict, po zalesionych zboczach, przez ciem-

ność w stronę odległych światel Beverly Hills i Los Angeles.

— Zgubiliśmy ich — rzucił uszczęśliwiony.

Laura nie doznała ulgi. Nie wierzyła, że mogą zgubić swojego nieludzkiego wroga — niewidzialne To — równie łatwo jak furgonetkę FBI.

Dan uważnie obserwował Reginę i próbował wymyślić, w jaki sposób zmusić ją do mówienia. Wydawała się tak uległa, że z pewnością mógł ją nagiąć do swoich celów, gdyby tylko wiedział, gdzie i jak nacisnąć.

Regina przestała już obgryzać kostki dłoni. Teraz wsadziła kciuk do ust i ssała go delikatnie. Przybrała pozę tak prowokacyjną — niewinność oczekująca sprofanowania — że Dan miał pewność, iż nauczył ją tego Hoffritz. Zaprogramował ją do tego? Lecz ssanie kciuka wyraźnie przynosiło jej ulgę; rozdzierająca duchowa udręka kazała jej szukać pociechy w najprostszych, najbardziej infantylnych rytuałach uspokojenia.

Odkąd włożyła kciuk do ust, przestała siedzieć wyprostowana jak dama. Teraz skuliła się w kącie sofy. Dekolt peniuaru rozchylił się, ukazując głęboki, gładki, ocieniony rowek między piersiami.

Dan doskonale wiedział, jak nakłonić ją do mówienia, ale nie miał ochoty robić takich rzeczy.

Wyjęła na chwilę kciuk z ust i powiedziała:

— Nie mogę panu pomóc. Naprawdę nie mogę. Pójdzie pan teraz? Proszę.

Nie odpowiedział. Wstał z fotela, podszedł do stolika i stanął nad Reginą, mierząc ją surowym wzrokiem. Nie podniosła głowy. Ostro, niemal szorstko rozkazał:

— Spójrz na mnie.

Spojrzała na niego. Drżącym głosem, jakby nie spodziewała się spełnienia prośby, powtórzyła:

— Pójdzie pan teraz? Proszę. Pójdzie pan?

— Odpowiesz na moje pytania, Regino — oświadczył Dan z groźbą w głosie. — Nie będziesz kłamać. Jeśli nie odpowiesz albo jeśli mnie okłamiesz...

— Uderzysz mnie? — zapytała.

Nie miał już do czynienia z kobietą, tylko z chorą, żalostną, zagubioną istotą. Ale nie przerażoną. Perspektywa bicia nie wzbudziła w niej strachu. Wręcz przeciwnie. Regina była chora, żalostna, zagubiona — i głodna. Głodna podniecającego bicia, spragniona rozkosznego bólu.

Dan stłumił odrazę i postarał się przybrać jak najzimniejszy ton głosu.

— Nie uderzę cię. Nie dotknę cię. Ale powiesz mi, co chcę wiedzieć, ponieważ teraz tylko po to istniejesz.

Oczy jej zabłyśły dziwnym światłem, jak u zwierzęcia napotkanego nocą.

— Zawsze robisz to, czego od ciebie żądają, prawda? Spełniasz oczekiwania innych. Oczekuję, że będziesz ze mną współpracowała, Regino. Chcę, żebyś odpowiedziała na moje pytania, i odpowiesz, ponieważ tylko do tego się nadajesz... do udzielania cholernych odpowiedzi.

Spojrzała na niego wyczekująco.

— Spotkałaś kiedyś Ernesta Andrew Coopera?

— Nie.

— Kłamiesz.

— Czyżby?

Powściągając narastające współczucie i litość, jakie wobec niej odczuwał, Dan przybrał jeszcze bardziej lodowaty ton i wzniósł pięść nad jej głowę, chociaż nie zamierzał jej uderzyć.

— Czy znasz Coopera?

Nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w wielką pięść z perwersyjnym uwielbieniem, którego nie mógł wytrzymać. Pod wpływem nagłej inspiracji udał gniew, którego nie odczuwał.

— Odpowiadaj, ty dziwko!

Drgnęła na tę obelgę, ale nie wydawała się zdziwiona ani urażona. Drgnęła tak, jakby przeszedł ją dreszcz rozkoszy. Nawet drobna słowna zniewaga stanowiła klucz, który ją otwierał.

Przywierając wzrokiem do jego pięści, powiedziała:

— Proszę.

— Może.

— Spodoba się panu.

— Może... jeśli mi powiesz, co chcę wiedzieć. Cooper.

— Nie mówią mi nazwisk. Znałam jednego Ernego, ale nie wiem, czy to był Cooper.

Dan opisał nieżyjącego milionera.

— Tak — potwierdziła, wpatrując się na zmianę w jego pięść i w oczy. — To był on.

— Willy cię z nim poznał?

— Tak.

— A Joseph Scaldone?

— Willy... przedstawił mnie mężczyźnie imieniem Joe, ale jego nazwiska też nie znałam.

Dan opisał Josepha Scałdonego. Kiwnęła głową.

— To on.

— A Ned Rink?

— Chyba nigdy go nie spotkałam.

— Niski, przysadzisty, raczej brzydki.

W trakcie tego opisu zaczęła kręcić głową.

— Nie. Nigdy go nie spotkałam.

— Widziałaś szary pokój?

— Tak. Śni mi się czasami. Że siedzę w tym krześle, a oni mi to robią, wstrząsy, elektryczność.

— Kiedy to widziałaś? Ten pokój, krzesło?

— Och, kilka lat temu, kiedy po raz pierwszy malowali pokój, instalowali sprzęt, kończyli przygotowania...

— Co oni robili z Melanie McCaffrey?

— Nie wiem.

— Nie okłamuj mnie, do cholery. Zawsze spełniasz oczekiwania innych i robisz to, czego od ciebie chcą, wszystko, czego od ciebie chcą, więc skończ z tym gównem i odpowiadaj.

— Naprawdę nie wiem — powiedziała potulnie. — Willy nigdy mi nie mówił. To był sekret. Ważny sekret. Miał zmienić świat, tak mówił Willy. Tylko tyle wiem. Nie włączał mnie w tamte sprawy. Oddzielał życie ze mną od pracy z tamtymi ludźmi.

Dan wciąż stał nad nią, a ona ciągle kuliła się w narożniku sofy. Chociaż posłużył się groźbą przemocy wyłącznie dla efektu, czuł się nieswojo, niczym brutal maltretujący słabszą ofiarę.

— Co okultyzm miał wspólnego z tymi eksperymentami?

— Nie mam pojęcia.

— Czy Willy wierzył w zjawiska nadprzyrodzone?

— Nie.

— Dlaczego tak twierdzisz?

— No... bo Dylan McCaffrey wierzył bezkrytycznie we wszystko... w duchy, media, nawet w wilkołaki, o ile pamiętam... a Willy wyśmiewał się z niego, że jest taki łatwowierny.

— Więc dlaczego pracował z McCaffreym?

— Willy uważał Dylana za geniusza.

— Pomimo jego przesądów?

— Aha.

— Kto ich finansował, Regino?

— Nie wiem.

Poruszyła się w ten sposób, że peniuar rozchylił się szerzej i odsłonił prawie całą krągłą pierś.

— Gadaj — rzucił niecierpliwie. — Kto płacił ich rachunki? Kto, Regino?

— Przysięgam, że nie wiem.

Dan usiadł obok niej na kanapie. Wziął ją pod brodę, ujął jej twarz nie delikatnie, nie z erotycznym zamiarem, lecz jako przedłużenie fizycznej groźby, początkowo ucieleśnionej przez wzniesioną pięść.

Pomimo całej teatralności tego gestu Regina zareagowała. Tego właśnie pragnęła: strachu, posłuszeństwa i wypełniania rozkazów.

— Kto? — powtórzył.

— Nie wiem — odparła. — Naprawdę, naprawdę nie wiem. Powiedziałałabym, gdybym wiedziała. Przysięgam. Powiedziałałabym panu wszystko.

Tym razem jej uwierzył. Ale nie uwolnił jej twarzy.

— Wiem, że Melanie McCaffrey wycierpiała wiele fizycznych i psychicznych tortur w tym szarym pokoju. Ale chcę wiedzieć... Chryste, nie chcę wiedzieć, ale muszę wiedzieć... czy była również maltretowana seksualnie?

Regina odpowiedziała trochę niewyraźnie, ponieważ ścisnął jej podbródek i szczęki:

— Skąd mam wiedzieć?

— Powinnaś wiedzieć — nalegał. — W ten czy inny sposób powinnaś to wyczuć, nawet jeśli Hoffritz nie opowiadał ci ze szczegółami, co się działo w Studio City. Może nie wyjaśniał, co chce osiągnąć z tą dziewczynką, ale na pewno przechwalał się, jak nad nią dominuje. Tego jestem pewien. Nie znałem go osobiście, ale wiem o nim dosyć, żeby mieć pewność.

— Nie wierzę, żeby w tym było coś seksualnego — oświadczyła Regina.

Ścisnął jej twarz, aż się skrzywiła, ale spostrzegł (z konsternacją), że sprawiło jej to przyjemność, więc rozluźnił uścisk, chociaż jej nie puścił.

— Jesteś pewna?

— Prawie całkowicie. Może chciał... ją mieć. Ale pan chyba ma rację: powiedziałałby mi, gdyby to zrobił, gdyby był z nią w ten sposób...

— Czy robił kiedyś takie aluzje?

— Nie.

Dan poczuł głęboką ulgę. Nawet się uśmiechnął. Przynajmniej dziecko nie zostało w ten sposób poniżone. Potem przypomniał sobie, jakie inne poniżenia zносиła Melanie, i jego uśmiech szybko zgasł.

Wypuścił twarz Reginy, ale został obok niej na sofie. Czerwone, stopniowo blednące ślady znaczyły miejsca, gdzie jego palce naciskały wrażliwą skórę.

— Regino, powiedziałaś, że nie widziałaś Willy'ego od ponad roku. Dlaczego?

Spuściła oczy, pochyliła szyję. Jeszcze bardziej skuliła ramiona i wcisnęła się głębiej w róg sofy.

— Dlaczego? — powtórzył.

— Willy... znudziłam mu się.

Jej przywiązanie do Willy'ego przyprawiało Dana o mdłości.

— Już mnie nie chciał — podjęła tonem, jakim należało raczej zawiadamiać o nieuchronnej śmierci na raka. Willy już jej nie chciał i najwyraźniej uważała, że nie mogło jej spotkać nic gorszego. — Robiłam wszystko, wszystko, ale jemu nic nie wystarczało...

— Po prostu zerwał, z rozmysłem?

— Nigdy więcej go nie widziałam, odkąd mnie... odesłał. Ale czasami rozmawialiśmy przez telefon. Musieliśmy.

— Musieliście rozmawiać przez telefon? O czym?

Prawie szeptem:

— O innych, których do mnie przysyłał.

— Jakich innych?

— Jego znajomych. Innych... mężczyznach.

— Przysyłał do ciebie mężczyzn?

— Tak.

— Po seks?

— Po seks. Po wszystko, czego chcieli. Zrobię wszystko, czego zażądamy. Dla Willy'ego.

W wyobraźni Dana obraz zmarłego Wilhelma Hoffritza z każdą chwilą nabierał bardziej monstrualnych kształtów. Ten człowiek był skończonym łajdakiem.

Nie tylko zrobił Reginie pranie mózgu i podporządkował ją sobie dla własnych seksualnych celów, ale nawet kiedy przestała go pociągać, nadal ją tyranizował i maltretował cudzymi rękami. Widocznie sam fakt, że nadal była maltretowana, chociaż przez innych, zaspokajał go wystarczająco, żeby zachować żelazną kontrolę nad jej udręczonym umysłem. Hoffritz był bardzo chorym człowiekiem. Więcej niż chorym: obłąkanym.

Regina podniosła głowę i zapytała z pewną dawką entuzjazmu:

— Czy mam opowiedzieć o różnych rzeczach, które mi kazali robić?

Dan zagapił się na nią, oniemiały ze wstrętu.

— Chętnie wszystko opowiem — zapewniła. — Może się panu spodoba. Nie miałam nic przeciwko robieniu tych rzeczy i z chęcią opowiem panu dokładnie, co robiłam.

— Nie — odparł ochryple.

— Może jednak chciałby pan posłuchać.

— Nie.

Zachichotała cichutko.

— Może podsunę panu jakieś pomysły.

— Zamknij się! — warknął i prawie ją uderzył.
Spuściła głowę jak pies skarcony przez surowego pana. Dan odezwał się po chwili:
— Ci mężczyźni, których do ciebie przysyłał Hoffritz... kto to był?
— Znam tylko ich imiona. Jeden miał na imię Andy, a pan mi powiedział, że nazywał się Cooper. Drugi to był Joe.
— Scaldone? Kto jeszcze?
— Howard, Shelby... Eddie.
— Jaki Eddie?
— Mówiłam panu, nie znam ich nazwisk.
— Jak często przychodzili?
— Większość z nich... raz czy dwa razy w tygodniu.
— Ciągłe przychodzą?
— No pewnie. Oni mnie potrzebują. Był tylko jeden, który przyszedł raz i więcej nie wrócił.
— Jak się nazywał?
— Albert.
— Albert Uhlander?
— Nie wiem.
— Jak wyglądał?
— Wysoki, chudy, z... kościstą twarzą. Nie wiem, jak inaczej go opisać. Pan pewnie by powiedział, że wyglądał trochę jak jastrząb... jastrzębi nos... ostre rysy.
Dan nie obejrzał fotografii autora na książkach leżących obecnie w bagażniku jego samochodu, ale zamierzał to zrobić, jak tylko wyjdzie od Reginy.
— Albert, Howard, Shelby, Eddie... ktoś jeszcze? — zapytał.
— No, jak mówiłam, Andy i Joe. Ale oni już nie żyją, tak?
— Zgadza się.
— I jest jeszcze jeden. Przychodzi od dawna, ale nie znam nawet jego imienia.
— Jak wygląda?
— Około sześciu stóp wzrostu, dystyngowany. Piękne siwe włosy. Piękne ubrania. Niezbyt przystojny, wie pan, ale elegancki. Tak dobrze się nosi i bardzo dobrze mówi. Jest... kulturalny. Lubię go. Rani mnie tak... pięknie.
Dan głęboko zaczerpnął powietrza.
— Jeśli nie znasz nawet jego imienia, jak się do niego zwracasz?
Uśmiechnęła się szeroko.
— Och, on chce, żebym go nazywała tylko w jeden sposób. — Mrugnęła figlarnie do Dana. — Tatuś.
— Co?
— Mówię do niego Tatuś. Zawsze. Wie pan, udaję, że jest moim tatusiem, a on udaje,

że jestem jego prawdziwą córką, i siadam mu na kolanach, rozmawiamy o szkole i...

— Wystarczy — uciał Dan.

Zdawało mu się, że trafił do jakiegoś kręgu Piekła, gdzie znajomość miejscowych zwyczajów oznacza konieczność ich przestrzegania. Wolał nic nie wiedzieć.

Miał ochotę zrzucić fotografie ze stołu, roztrzaskać szkło w ramach, strącić resztę fotografii z gzymsu kominka na palenisko i podpalić zapalką. Wiedział jednak, że Reginie nie pomoże zniszczenie pamiątek po Hoffritzu. Tak, okrutny dręczyciel zmarł, ale będzie żył przez lata w umyśle tej kobiety, niczym złośliwy gnom w ukrytej jaskini.

Dan ponownie dotknął jej twarzy, tym razem krótko i czule.

— Regino, co robisz ze swoim życiem, jak spędzasz czas?

Wzruszyła ramionami.

— Chodzisz do kina, na tańce, na obiad z przyjaciółmi... czy tylko siedzisz tutaj i czekasz na kogoś, kto będzie ciebie potrzebował?

— Najczęściej zostaję w domu — odpowiedziała. — Podoba mi się tutaj. Tutaj Willy mnie chciał.

— A jak zarabiasz na życie?

— Robię, czego chcę.

— Skończyłaś psychologię, na litość boską.

Milczała.

— Po co robiłaś dyplom w UCLA, jeśli nie zamierzałaś go wykorzystać?

— Willy chciał, żebym zrobiła dyplom. Zabawne, wie pan. Wyrzucili go, te dranie z uniwersytetu, ale mnie nie mogli wyrzucić tak łatwo. Zostałam, żeby przypominać im o Willym. Żeby mu zrobić przyjemność. Uważał, że to świetny żart.

— Mogłaś wykonywać ważną pracę, ciekawą.

— Robię to, do czego zostałam stworzona.

— Nie. Wcale nie. Tylko Hoffritz twierdził, że jesteś do tego stworzona. To wielka różnica.

— Willy wiedział — odparła. — Willy wiedział wszystko.

— Willy był ostatnią świnia — oświadczył Dan.

— Nie. — Znowu łzy napłynęły jej do oczu.

— Więc oni tutaj przychodzą i wykorzystują cię, zadają ci ból. — Chwyił ją za ramię, podciągnął rękaw peniuaru, odsłonił dostrzeżone wcześniej sińce i otarcia od sznura na nadgarstku. — Oni cię krzywdzą, prawda?

— Tak, na różne sposoby, jedni bardziej, inni mniej. Niektórzy robią to lepiej. Z niektórymi to jest takie słodkie uczucie.

— Dlaczego godzisz się na to?

— Lubię to.

Atmosfera wydawała się jeszcze bardziej przytłaczająca niż przed paroma minuta-

mi. Gęsta, wilgotna, ciężka od niewidocznego brudu, który osiadał nie na skórze, lecz na duszy. Dan nie chciał wdychać tego powietrza. Przesycone było zaraźliwym zepsuciem.

— Kto opłaca twój czynsz? — zapytał.

— Nie płacę czynszu.

— Do kogo należy ten dom?

— Do firmy.

— Jakiej firmy?

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Do jakiej firmy?

— Pozwól, że zrobię coś dla ciebie.

— Do jakiej firmy? — nalegał.

— Przedsiębiorstwa Johna Wilkesa.

— Kto to jest John Wilkes?

— Nie wiem.

— Nigdy nie miałaś tutaj mężczyzny imieniem John?

— Nie.

— Skąd wiesz o tych Przedsiębiorstwach Johna Wilkesa?

— Dostaję od nich czek co miesiąc. Bardzo przyzwoity czek.

Dan chwiejnie wstał z kanapy.

Regina okazała wyraźne rozczarowanie. Dan rozejrzał się, spojrzał na walizki przy drzwiach, które zauważył, wchodząc.

— Wyjeżdżasz?

— Na parę dni.

— Dokąd?

— Do Las Vegas.

— Uciekasz, Regino?

— Od czego mam uciekać?

— Ludzie giną z powodu tego, co się stało w szarym pokoju.

— Ale ja nie wiem, co się stało w szarym pokoju, i nie chcę wiedzieć — odparła.

— Więc jestem bezpieczna.

Patrząc na nią, Dan zrozumiał, że Regina Savannah Hoffritz miała własny szary pokój. Zabierała go wszędzie ze sobą, ponieważ w tym szarym pokoju znajdowała się prawdziwa Regina, zamknięta, uwięziona, schwytana w pułapkę.

— Regino — powiedział — potrzebujesz pomocy.

— Potrzebuję, żebyś mi rozkazywał.

— Nie. Potrzebujesz...

— Niczego mi nie brak.

— Potrzebujesz terapii.

— Jestem wolna. Willy nauczył mnie wolności.

— Wolności od czego?

— Odpowiedzialności. Strachu. Nadziei. Wolności od wszystkiego.

— Willy cię nie uwolnił. On cię zniewolił.

— Pan nie rozumie.

— On był sadystą.

— To nic złego.

— Wtargnął do twojego umysłu, skrzywił cię. Nie mówimy o jakimś niedowarżonym profesorku psychologii, Regino. Ten zboczeniec był grubą szychą. Facet pracował dla Pentagonu, zajmował się modyfikacją behawioralną, odkrywał nowe sposoby prania mózgu. Narkotyki tłumiące jaźń, Regino. Podprogowe warunkowanie. Willy był dla Wielkiego Brata tym, czym Merlin dla króla Artura. Tylko że Willy rzucał złe czary, Regino. Przemienił cię w to... w masochistkę, dla własnej rozrywki.

— I w ten sposób mnie uwolnił — oznajmiła pogodnie. — Widzi pan, kiedy człowiek już nie boi się bólu, kiedy uczy się kochać ból, wtedy nie boi się niczego. I dlatego jestem wolna.

Dan chciał nią potrząsnąć, ale wiedział, że potrząsaniem niczego nie osiągnie. Wręcz przeciwnie. Regina będzie tylko błagać o więcej.

Chciał postawić ją przed współczującym sędzią i bez jej zgody uzyskać nakaz leczenia psychiatrycznego. Ale nie był jej krewnym, tylko praktycznie obcym człowiekiem; żaden sędzia nie zechce go wysłuchać, po prostu tak się tego nie załatwia. Chyba nie mógł dla niej nic zrobić.

— Wie pan, ciekawa sprawa — odezwała się. — Myślę, że Willy tak naprawdę nie umarł.

— Och, na pewno umarł.

— Może nie.

— Widziałem zwłoki. Mamy pozytywną identyfikację uzębienia i odcisków palców.

— Może — powtórzyła. — Ale... ciągle zdaje mi się, że on żyje. Czasami wyczuwam go gdzieś daleko... czuję jego obecność. To dziwne. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Ale właśnie dlatego nie załamalam się do końca. Bo jakoś nie całkiem wierzę w jego śmierć. On wciąż istnieje... gdzieś tam.

Tak uzależniła swoje samopoczucie i chęć do życia od Willy'ego Hoffritaa, tak bardzo potrzebowała jego pochwały i aprobaty albo przynajmniej rozmowy z nim przez telefon co jakiś czas, że nigdy nie pogodzi się z jego śmiercią. Dan podejrzewał, że mógłby zabrać ją do kostnicy, pokazać zakrwawionego trupa, zmusić, żeby położyła dłonie na zimnej martwej skórze, odsłonić przed nią groteskowo zmasakrowaną twarz, podsunąć jej pod nos raport koronera — i wcale by jej nie przekonał, że Hoffritz został zabi-

ty. Hoffritz wszedł do jej wnętrza, rozbił jej psychikę i połączył odłamki we wzór bardziej mu odpowiadający, posługując się własną osobą jako spoiwem. Gdyby Regina pogodziła się z rzeczywistością jego śmierci, straciłaby spójność własnej osobowości i groziłby jej obłąd. Jediną jej nadzieję — tak pewnie sama uważała — stanowiła wiara, że Willy wciąż żyje.

— Tak, on gdzieś tam jest — powtórzyła. — Czuję to. On jest gdzieś daleko.

Z poczuciem całkowitej bezradności, gardząc własną niemocą, Dan ruszył do drzwi.

Za jego plecami Regina szybko wstała z sofy.

— Proszę. Zaczekaj — powiedziała.

Obejrzał się na nią.

— Możesz... mnie mieć — zaproponowała.

— Nie, Regino.

— Zrób ze mną, co chcesz.

— Nie.

— Będę twoim zwierzątkiem.

Zrobił krok w stronę drzwi.

— Twoim małym zwierzątkiem.

Powściągnął chęć ucieczki.

Podeszła do niego, kiedy otwierał drzwi. Jej perfumy pachniały subtelnie, lecz efektownie. Położyła dłoń na jego ramieniu.

— Podobasz mi się — oznajmiła.

— Gdzie mieszkają twoi rodzice, Regino?

— Działasz na mnie.

— Twoja matka i ojciec? Gdzie mieszkają?

Dotknęła jego ust smukłymi, ciepłymi palcami. Obrysowała zarys warg.

Odepchnął jej rękę.

— Naprawdę mi się podobasz.

— Może rodzice wyciągną cię z tego.

— Podobasz mi się.

— Regino...

— Zrób mi krzywdę. Bardzo wielką krzywdę.

Odsunął ją od siebie takim gestem, jakim współczujący hipochondryk odpycha natrętnego trędownego: stanowczo, z niesmakiem, obawiając się zarażenia, lecz uwzględniając jego ciężki stan.

— Kiedy Willy posłał mnie do szpitala, odwiedzał mnie codziennie. Załatwił mi separatkę i kiedy przychodził, zawsze zamykał drzwi, żebyśmy byli sami. Gdy zostawaliśmy sami, całował moje sińce. Codziennie przychodził i całował moje sińce. Nie wy-

obraża pan sobie, poruczniku, jak cudownie jego usta pieściły moje sińce. Jeden pocałunek i każde obolałe miejsce, każda mała, wrażliwa ranka ulegała przemianie. Zamiast bólu, każdy siniak wypełniała rozkosz. Zupełnie jakby... jakby łechtaczka wyrastała na miejscu każdego sińca, i kiedy mnie całował, szczytowałam raz po raz.

Dan wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Zimny, porywisty wiatr pędził strzępki śmieci po nocnych ulicach, a w powietrzu wisiała groźba deszczu, kiedy Earl Benton zabrał Laurę i Melanie do mieszkania na parterze nieregularnego dwupiętrowego kompleksu w Westwood, na południe od Wilshire Boulevard. Mieszkanie składało się z pokoju, wnęki jadalnej, kuchni, sypialni i łazienki. Wydawało się większe niż w rzeczywistości, ponieważ duże okna wychodziły na bujnie zarosnięty dziedziniec, o tej porze oświetlony punktowymi błękitnymi i zielonymi reflektorami ukrytymi w gęstwinie.

Mieszkanie należało do Paladyna i spełniało funkcję „bezpiecznego domu”. Agencję czasami zatrudniano do wyciągania nastolatków i dzieci w wieku szkolnym z fanatycznych sekt religijnych; natychmiast po uwolnieniu dzieci przywożono do tego mieszkania, gdzie przechodziły kilkudniowe odwarunkowanie, zanim wróciły do rodziców.

Bezpieczny dom służył również za tymczasowe schronienie dla żon, którym grozili porzuceni mężowie, a kilkakrotnie wysocy urzędnicy korporacyjni z rozmaitych gałęzi przemysłu spotykali się tutaj na parę dni, żeby planować tajne przejęcie wrogich firm, ponieważ tutaj nie musieli się obawiać elektronicznego podsłuchu ani szpiegostwa przemysłowego. Kalifornia Paladyn raz nawet przetrzymywał w tych pokojach pastora baptystów, kiedy młodociany gang z L.A. zawarł kontrakt na jego życie, żeby zemścić się za zeznanie przeciwko jednemu z braci. Gwiazdor rocka ukrywał się tutaj przed wyjątkowo uciążliwym wezwaniem w kosztownym procesie cywilnym. A słynna aktorka potrzebowała akurat tyle całkowitej prywatności we właśnie takim nieprawdopodobnym miejscu, żeby odbyć rekonwalescencję po utrzymywanej w tajemnicy operacji usunięcia nowotworu, której ujawnienie kosztowałoby ją role w następnych filmach; producenci nie chcieli zatrudniać gwiazd niezdolnych do wypełnienia zobowiązań kontraktu, gwiazd, które mogły zachorować czy nawet umrzeć w połowie kręcenia filmu.

Melanie i Laura mogły schronić się w tych cichych, skromnych pokojach przynajmniej na jedną noc. Laura miała nadzieję, że kryjówka będzie zabezpieczała przed ścigającą ich dziwną siłą równie skutecznie, jak przed młodocianymi gangami i doręczycielami pozwów.

Earl włączył ogrzewanie i poszedł do kuchni, żeby zaparzyć dzbanek kawy.

Laura próbowała zachęcić Melanie do gorącej czekolady, ale dziewczynka nie chciała pić. Jak lunatyczka podeszła do największego fotela w pokoju, wdrapała się na niego, usiadła z podwiniętymi nogami i wpatrzyła się we własne dłonie, które letargicznie ciągnęły, skubały, drapały i pocierały się nawzajem. Palce spletały się i rozplatały, i łączyły się ponownie. Melanie wpatrywała się w swoje dłonie z takim skupieniem, jakby nie rozumiała, że stanowią jej część, tylko traktowała je jak dwa małe, ruchliwe zwierzątka bawiące się na jej kolanach.

Kawa pokonała chłód, który przeniknął ich w drodze ze smaganego wiatrem parkingu do budynku, ale nie mogła pokonać innego zimna — wywołanego nie przez fizyczne bodźce, lecz przez niespodziewany i niechciany kontakt z nieznanym.

Kiedy Earl dzwonił do biura, żeby zawiadomić o opuszczeniu domu w Sherman Oaks, Laura stanęła w oknie bawialni z kubkiem kawy w dłoniach i wdychała ciepły aromat. Patrzyła na kałuże cieni, na plamy i smugi zielonego i błękitnego blasku, kiedy pierwsze grube krople deszczu zabębniły o liście palmowe.

Gdzieś tej nocy coś tropiło Melanie, coś wykraczające poza ludzkie pojęcie, niedosiężny stwór, którego ofiary wyglądały jak po przejściu połowy cyklu w zgniatarce śmieci, zanim ktoś nacisnął wyłącznik alarmowy. Uniwersyteckie wykształcenie Laury i doktorat z psychologii pomogłyby jej w końcu wyprowadzić Melanie z quasiautystycznego stanu, lecz na żadnym uniwersytecie nie nauczono jej, jak pokonać To. Czy to był demon, duch, siła psychiczna? Takie rzeczy nie istnieją. Prawda? Nie istnieją. Ale... co takiego rozpętały Dylan i Hoffritz? I w jakim celu?

Dylan wierzył w zjawiska nadprzyrodzone. Dostawał okresowych obsesji na punkcie tego czy innego aspektu okultyzmu, i w tych okresach bywał bardziej spięty, nerwowy i kłótlivy niż zwykle. Właściwie Dylan podczas napadów obsesji przypominał Laurze jej matkę, ponieważ jego żelazna wiara w okultyzm — i wieczne kazania na ten temat — wyrastały z tego samego źródła co religijny fanatyzm i przesądne manie, które zrobiły z Beatrice taką wiedźmę; właśnie ta cecha, bardziej niż wszystko inne, przyczyniła się do rozwodu, ponieważ Laura nie mogła znieść niczego, co przypominało jej zatrute strachem dzieciństwo.

Teraz próbowała przywołać z pamięci kolejne wybuchy entuzjazmu Dylana, teorie stanowiące jego obsesję. Usiłowała odnaleźć coś, co mogło wyjaśnić obecne wydarzenia, ale nic istotnego nie przychodziło jej do głowy, bo przecież nigdy nie chciała go słuchać, kiedy opowiadał o rzeczach, które wydawały się czystą fantazją — albo czystym szaleństwem.

W reakcji na łatwowierność i irracjonalność matki, Laura zbudowała swoje życie na ścisłej logice i rozsądku. Wierzyła wyłącznie w to, co mogła zobaczyć, usłyszeć, powąchać, posmakować, czego mogła dotknąć.

Nie wierzyła, że pęknięte lustro oznacza siedem lat nieszczęścia, i nie rzucała rozsypanej soli przez ramię. Mając wybór, zawsze przechodziła pod drabiną zamiast obok, po prostu żeby udowodnić, że jest zupełnie inna od matki. Nie wierzyła w diabły, demony, opętania i egzorcyzmy. W głębi serca czuła, że Bóg istnieje, ale nie chodziła do kościoła i nie wyznawała żadnej konkretnej religii. Nie czytała powieści o duchach, nie oglądała filmów o wampirach czy wilkołakach. Nie wierzyła w telepatię, jasnowidzenie, przepowiadanie przyszłości.

Nic nie przygotowało jej na wydarzenia z ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Wprawdzie logika i rozsądek tworzyły najbardziej solidne fundamenty pod budowę życia, Laura jednak rozumiała, że do zaprawy murarskiej należy domieszać poczucie zadziwienia, szacunek dla nieznanego, a przynajmniej obiektywizm. Inaczej krucha zaprawa zacznie wysychać, pękać i odpadać. Krańcowe uzależnienie matki od religii i zabobonów niewątpliwie było chore. Może jednak nie należało wpadać w drugą krańcowość filozoficznego spektrum. Wszechświat wydawał się znacznie bardziej skomplikowany niż przedtem.

Coś czyhało w ciemnościach.

Coś, czego nie rozumiała.

I chciało Melanie.

Lecz nawet kiedy stała przy oknie i wpatrywała się w deszczową noc z nowym szacunkiem dla tajemniczych, niesamowitych spraw, jej umysł szukał bardziej racjonalnych rozwiązań, namacalnych wrogów z krwi i kości. Słyszała, jak Earl rozmawia przez telefon z kimś w biurze, i nagle uświadomiła sobie, że nikt oprócz Paladyna nie znał miejsca pobytu jej i córki. Przez okropną chwilę doznała uczucia, że zrobiła coś bardzo złego, bardzo głupiego, zgodziła się wyrwać spod czujnej obserwacji FBI, zerwać kontakt z przyjaciółmi, sąsiadami i policją. Melanie zagrażało nie tylko niewidzialne To, przed którym ich ostrzeżono, lecz również prawdziwi ludzie, tacy jak wynajęty morderca, którego znaleziono na szpitalnym parkingu. A jeśli ci ludzie mieli wtyczki w Kalifornia Paladynie? Jeśli sam Earl był katem?

Przestań!!!

Wzięła głęboki oddech.

Następny.

Stała na śliskim zboczku emocji i osuwała się w otchłań hysterii. Ze względu na Melanie, jeśli nie na siebie, musiała wziąć się w garść.

Dan wyszedł z domu Reginy i zatrzasnął za sobą drzwi, ale nie ruszył na podjazd. Czekał i nasłuchiwał pod drzwiami. Jego podejrzenia potwierdziły się, kiedy usłyszał męski głos: Regina miała gościa.

Mężczyzna był wściekły. Krzyczał, a ona mówiła do niego Eddie i odpowiadała potulnym, skamlącym głosem. Suchy, twardy, jednoznaczny odgłos policzka poprzedził jej okrzyk — meczenie dźwięczące częściowo bólem, częściowo strachem, częściowo jednak podnieceniem i przyjemnością.

Wiatr węszył hałaśliwie wokół Dana, gałęzie drzew ocierały się o siebie, więc Dan nie słyszał wyraźnie, co mówiono w domu. Rozróżnił dostatecznie dużo słów, żeby zrozumieć, że Eddie złościł się, ponieważ Regina ujawniła zbyt wiele. Żalonym, służalczym tonem Regina próbowała mu wytłumaczyć, że nie miała wyboru, że musiała powiedzieć Danowi wszystko; Dan nie pytał, tylko żądał odpowiedzi — a co ważniejsze, żądał w taki sposób, że nie mogła się oprzeć. Regina była posłuszną istotą, dla której jedyny cel, sens i radość życia stanowiło wypełnianie rozkazów. Eddie i jego przyjaciele lubili ją taką, mówiła, chcieli ją taką, a przecież nie mogła być taka z nimi i całkiem inna z innymi. „Nie rozumiesz, Eddie? Nie rozumiesz?”. Może i rozumiał, ale jej wyjaśnienia wcale nie złagodziły jego furii. Spoliczkował ją ponownie, i jeszcze raz, a jej bolesny, lecz odstręczająco gorliwy okrzyk nie brzmiał przekonująco.

Dan odsunął się od drzwi i przeszedł wzdłuż fasady domu do pierwszego okna. Chciał spojrzeć na tego Eddiego.

Przez szparę w zasłonach zobaczył fragment salonu i mężczyznę w wieku około czterdziestu pięciu lat. Facet miał rude włosy, wąsy i ciastowate rysy twarzy. Nosił czarne spodnie, białą koszulę, szarą wełnianą kamizelkę i muszkę. Wyglądał jak podstarzały, zepsuty dzieciak. Chociaż wydawał się zgrzybiały, poruszał się nienaturalnie dziarskim krokiem karłowatego koguta, jakby uważał, że autorytet zawsze należy wzmocnić wypinaniem piersi, wymachiwaniem ramion i buńczuczną kogucią postawą. Pomimo tych pozorów sprawiał wrażenie słabego i niedołęznego, niczym nauczyciel z liceum, który nie potrafi utrzymać dyscypliny wśród uczniów. Bynajmniej nie należał do tego rodzaju

mężczyzn, którzy biją kobiety; pewnie wcale nie uderzyłby Reginy, gdyby była inną kobietą, ponieważ inna kobieta mogłaby mu oddać.

Eddie najbardziej przejął się tym, że Regina powiedziała Danowi o Przedsiębiorstwach Johna Wilkesa, które ją utrzymywały, do których należał jej dom i które przysyłały jej czek co miesiąc. Regina klęczała przed nim z pochyloną głową, niczym wasal kończący się przed feudałem, a on górował nad nią, przestępował z nogi na nogę, gestykulował z nerwowym ożywieniem i ciągle besztął ją za niepotrzebne mielenie ozorem.

Przedsiębiorstwa Johna Wilkesa.

Dan wiedział, że zdobył klucz do następnego zamka w tej tajemnicy zamkniętej na cztery spusty.

Odsunął się od okna i wrócił na ulicę, gdzie zaparkował samochód. Otworzył bagażnik i z kartonowego pudła wyjął jedną z siedmiu książek Alberta Uhlandera, które wcześniej wyniósł z domu Neda Rinka. Regina powiedziała, że mężczyzna imieniem Albert odwiedził ją raz i w przeciwieństwie do innych, którzy ją wykorzystywali, nigdy nie przyszedł ponownie; mówiła, że miał kościstą twarz i ostre jastrzębie rysy. Teraz, w upiornym blasku rtęciowych latarni ulicznych i jeszcze bardziej niesamowitym świetle żarówki w bagażniku, Dan obejrzał fotografię autora na okładce. Uhlander miał długą, wąską, niemal trupią twarz, wydatne czoło, szczęki i kości policzkowe; oczy spoglądały zimno i drapieźnie, co w połączeniu z zakrzywionym, haczykowatym nosem rzeczywiście upodabniało mężczyznę do jastrzębia czy innego okrutnego drapieżnego ptaka.

Więc to Uhlander odwiedził Reginę, ale tylko raz, powodowany nie przemożną i perwersyjną seksualną potrzebą jak inni, lecz raczej ciekawością, jakby musiał zobaczyć na własne oczy, że Regina istnieje i że Hoffritz całkowicie ją zniewolił. Może chciał osobiście przekonać się o geniuszu Hoffritza w tej dziedzinie, zanim przyłączył się do dziwnego projektu Hoffritza i McCaffreya związanego z Melanie.

Dan chciał z nim porozmawiać. Dopisał Uhlandera do pamięciowej listy osób, które zamierzał przesłuchać, listy obejmującej już Mary O'Harę, żonę Ernesta Andrew Coopera, żonę Josepha Scaldonego (jeśli takową posiadał), zarządców i/lub właścicieli Przedsiębiorstw Johna Wilkesa, srebrnowłosego dystyngowanego zboczeńca, który regularnie odwiedzał Reginę i którego znała tylko pod pseudonimem „Tatus”, oraz innych mężczyzn, którzy ją wykorzystywali — Eddiego, Shelby'ego i Howarda.

Włożył książkę z powrotem do pudła, zamknął bagażnik i wszedł do samochodu, kiedy ciężkie krople deszczu zaczęły rozpryskiwać się na chodniku. Wciąż miał w kieszeni listę wysyłkową Scaldonego i wiedział, że wkrótce znajdzie nazwiska Eddiego, Shelby'ego i Howarda wśród tych trzystu klientów Znak Pentagramu. Ale światło było marne, czuł się zmęczony, oczy go piekły i chciał porozmawiać z Laurą McCaffrey, zanim zrobi się późno, więc zostawił listę w kieszeni, uruchomił silnik i wyjechał ze wzgórz Hollywood.

Za piętnaście jedenasta, kiedy dotarł do domu Laury w Sherman Oaks, padał zimny deszcz. Chociaż w kilku pokojach paliły się światła, nikt nie otworzył drzwi. Dan dzwonił, potem pukał, później walił w drzwi — bez rezultatu.

Gdzie jest Earl Benton? Miał tu zostać do północy, zanim go zmieni następny agent z Paladyna.

Dan pomyślał o zmiażdżonych, porozrywanych trupach w Studio City poprzedniej nocy i o martwym zabójcy Nedzie Rinku. Coraz bardziej zaniepokojony, odszedł od drzwi, z mlaskaniem przebrnął przez rozmiękły trawnik, przecisnął się pomiędzy dwoma ciężkimi od kwiatów krzakami hibiskusa i zajrzał w najbliższe okno. Nie zobaczył nic niezwykłego, żadnych trupów, krwi ani zniszczeń. Podszedł do następnego okna, ale też nic nie dostrzegł, więc pospieszył do bocznej furtki, wszedł na podjazd i pobiegł na tyły domu. Serce mu waliło, ostry ból rozdzierał wnętrzności.

Drzwi kuchenne nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i wchodząc do środka zauważył, że framuga popękała, a zerwany łańcuch zwisał z zaczepu. Potem zobaczył bałagan w kuchni: poszarpane, zwiędłe kwiaty, zgniecione, podarte liście, jakieś roślinne szczątki, grudy wilgotnej ziemi. Brak krwi.

Na stole stały trzy talerze z niedojedzonym spaghetti, posypanym kurzem i brudem. Jedno przewrócone krzesło.

Splątana masa niecierpków wylewająca się z kuchennego zlewu.

Ale żadnej krwi. Bogu dzięki. Żadnej krwi. Na razie. Wyciągnął rewolwer.

Pełen obaw, z rozpaczą myśląc o zmasakrowanych trupach, które muszą leżeć gdzieś w domu, wymknął się z kuchni i ostrożnie zaglądał do wszystkich pokoiów po kolei. Nikogo nie znalazł, spłoszył tylko wystraszonego kota.

Sprawdził garaż i zobaczył, że zniknęła błękitna honda Laury McCaffrey. Nie wiedział, co o tym myśleć.

Kiedy upewnił się, że nigdzie nie ma żadnych trupów, doznał tak wielkiej ulgi, jakby przedtem wędrował po dnie oceanu, przygniatany milionami ton wody, i nagle został przeniesiony na suchy ląd, gdzie dźwigał na ramionach tylko powietrze. Ulga była tak głęboka, a towarzysząca jej radość tak silna, że musiał przyznać się przed samym sobą, iż traktował tę kobietę z chorym dzieckiem inaczej niż wszystkie inne ofiary, z jakimi miał do czynienia przez czternaście lat policyjnej roboty. Jego niezwykle zaangażowanie i empatia nie wynikały z niejasnego podobieństwa tej sprawy do przypadku Fran i Cindy Lakey sprzed lat; Laura McCaffrey nie pociągała go wyłącznie dlatego, że ratując ją i Melanie, mógł odkupić śmierć Cindy Lakey, której nie zdołał ocalić. Owszem, częściowo zainteresowała go z tego powodu, ale pociągała go również jako kobieta. Nigdy przedtem nie przeżywał takiej fascynacji; Laura wywarła na nim wrażenie nie tylko swoją urodą, niezaprzeczalnie wyjątkową, i nie tylko wybitną inteligencją, ważną dla niego, ponieważ nigdy nie podzielał skłonności ogółu mężczyzn do głupich blondynek

czy pustogłowych brunetek, ale także niezwykłą siłą i determinacją w obliczu strasznego zagrożenia.

Lecz nawet jeśli Laura i Melanie wyjdą żywe z tej historii, pomyślał, nie mam żadnych szans na związek z tą kobietą. Ona jest doktorem psychologii, na litość boską. Ja jestem gliniarzem. Ona jest bardziej wykształcona ode mnie. Zarabia więcej ode mnie. Daj sobie spokój, Haldane. Nie dorastasz do jej klasy.

Niemniej, kiedy nie znalazł w domu żadnych ciał, poczuł ogromną ulgę i serce wzbierało mu dziwną radością, jakiej nie doznałby, gdyby kto inny uniknął śmierci zamiast tej kobiety i jej dziecka.

Wrócił do kuchni, żeby dokładniej obejrzeć zniszczenia, i wtedy zorientował się, że nie jest już sam w domu. Michael Seames, agent FBI, którego poznał przed paroma godzinami w Znaku Pentagramu, stał przy stole z rękami w kieszeniach i wpatrywał się w roślinne szczątki, które zaśmiecały pomieszczenie. Twarz Seamesa, dziwnie młoda pomiędzy siwymi włosami a przygarbionymi ramionami, wyrażała zdumienie i z troskanie.

— Dokąd oni pojechali? — zapytał Dan.

— Miałem nadzieję, że to pan mi powie — odparł Seames.

— Za moją radą zatrudniła całodobową ochronę...

— Kalifornia Paladyn.

— Tak, zgadza się. Ale o ile mi wiadomo, nie zamierzali proponować, żeby się ukryła czy coś w tym rodzaju. Mieli tutaj z nią zostać.

— Jeden z nich był tutaj. Niejaki Earl Benton...

— Tak, znam go.

— Jeszcze godzinę temu. Potem bez ostrzeżenia wyniósł się razem z Laurą McCaffrey i dziewczynką. Zwiewali, jakby się paliło. Mamy furgonetkę inwigilacyjną po drugiej stronie ulicy.

— Och?

— Próbowali ścigać Bentona, ale za szybko jechał. — Seames zmarszczył brwi. — Właściwie wyglądało na to, że od nas też chciał uciec. Nie podejrzewa pan dlaczego?

— Będę strzelał w ciemno. Pewnie za słabo się orientuję, żeby coś takiego sugerować. Ale może on wam nie ufa.

— Jesteśmy tutaj, żeby chronić dziecko.

— Na pewno wasz rząd nie chce jej zabrać na chwilę, żeby sprawdzić, co takiego z nią robili McCaffrey i Hoffritz w tym szarym pokoju?

— Możliwe — przyznał Seames. — Jeszcze nie podjęto decyzji w tej sprawie. Ale to jest Ameryka, wie pan...

— Tak słyszałem.

— ...i nie porywamy dzieci.

— Więc jak to nazywacie — „pożyczaniem”?

— Nie zrobimy żadnych badań bez zgody jej matki.

Dan westchnął, niepewny, w co ma wierzyć.

— Nie poradził pan przypadkiem Bentonowi, że powinien nas zgubić? — zagadnął Seames.

— Dlaczego miałbym to zrobić? Jestem stróżem prawa, tak jak pan.

— Więc pan zawsze pracuje w takich godzinach, przez cały dzień i pół nocy, przy wszystkich sprawach?

— Nie przy wszystkich sprawach.

— Przy większości spraw?

Dan mógł odpowiedzieć zgodnie z prawdą:

— Tak, właściwie przy większości spraw pracuję w nadgodzinach. Zaczyna się śledztwo i jeden trop prowadzi do następnego, i nie zawsze można codziennie skończyć o piątej. Większość detektywów pracuje w nadgodzinach, na różne zmiany. Na pewno pan to wie.

— Słyszałem, że pan pracuje ciężko jak mało kto.

Dan wzruszył ramionami.

— Mówią na pana buldog — ciągnął Seames — mówią, że pan kocha swoją pracę, że pan naprawdę wgryza się zębami i nie puszcza.

— Może. Pracuję dosyć ciężko. Ale w sprawie zabójstwa trop szybko stygnie. Zwykle, jeśli nie wykryje się mordercy po dwóch czy trzech dniach, już nigdy nie można go złapać.

— Ale pan wkłada w tę sprawę nawet więcej serca niż zwykle, więcej niż przeciętny detektyw. Prawda, poruczniku?

— Może.

— Pan wie, że tak.

— Hau, hau.

— Co?

— Buldog we mnie.

— Dlaczego buldog akurat przy tej sprawie?

— Chyba po prostu byłem w nastroju do działania.

— To żadna odpowiedź.

— Zjadłem za dużo psiej karmy, mam za dużo energii i muszę ją wyładować.

Seames potrząsnął głową.

— To dlatego, że panu wyjątkowo zależy na tej sprawie.

— Zależy mi?

— A nie?

— Nic o tym nie wiem — odparł Dan, chociaż śliczna twarz Laury McCaffrey nieproszona wypłynęła z jego pamięci.

Seames przyjrzał mu się podejrzliwie i powiedział:

— Słuchaj pan, Haldane, jeśli ktoś ładował forszę w Hoffritza i McCaffreya, bo ich projekt miał wojskowe zastosowania, to ci sami... nazwijmy ich „finansisci”... ci sami finansisci mogą wydać sporą kasę, żeby znowu dostać dziewczynkę w ręce. Ale ich forsa zawsze będzie brudna, cholernie brudna. Każdy facet, który jej dotknie, złapie śmiertelną infekcję. Rozumiemy się?

Początkowo wydawało się, że Seames jakimś cudem odkrył romantyczną skłonność Dana do Laury. Teraz nagle wyjaśniło się, że agenta dręczyły mroczniejsze podejrzenia.

Na litość boską, pomyślał Dan, on się zastanawia, czy jej nie sprzedałem Ruskim albo komuś innemu!

— Jezu, Seames, co panu chodzi po głowie!

— Oni gotowi są dużo zapłacić, żeby dostać ją w swoje ręce, i chociaż w naszym mieście policyjny detektyw zarabia całkiem nieźle, nigdy się nie wzbogaci... jeśli nie kombinuje.

— Nie podobają mi się pańskie pomówienia.

— A ja żałuję, że pan nie chce wyraźnie zaprzeczyć tym pomówieniom.

— Nie. Nigdy, nigdzie, nikomu się nie sprzedałem. Nie, nie, stanowczo zaprzeczam. Czy to panu wystarczy?

Seames nie odpowiedział, tylko burknął:

— W każdym razie kiedy zespół inwigilacyjny zgubił Bentona, wrócili tutaj, żeby poczekać, czy nie zjawi się znowu ta kobieta i dziewczynka albo może ktoś inny. Po namyśle postanowili rozejrzeć się koło domu, znaleźli otwarte drzwi tak jak pan... i ten niesamowity bałagan.

— No właśnie, co z tym bałaganem? — zapytał Dan. — Co pan z tego rozumie?

— Kwiaty pochodzą z ogrodu za domem.

— Ale co tutaj robią? Kto je przyniósł?

— Nie mamy pojęcia.

— I dlaczego łańcuch jest wyrwany z drzwi?

— Widocznie ktoś się włamał do środka.

— Naprawdę? Rany, wy z Biura niczego nie pominiecie.

— Nie całkiem rozumiem pańską postawę.

— Jak wszyscy inni.

— Pańską niechęć do współpracy.

— Po prostu jestem bardzo złym chłopcem. — Dan ruszył do telefonu, a Seames chciał wiedzieć, w jakim celu, więc Dan wyjaśnił: — Dzwonię do Paladyna. Jeśli Earl czuł, że Laurze i Melanie coś tutaj grozi, mógł je pospiesznie ewakuować, tak jak pan

mówił, ale kiedy dotarł na miejsce przeznaczenia, na pewno zadzwonił do biura i zawiadomił, gdzie się przenieśli.

Nocny operator w Kalifornia Paladynie, niejaki Lonnie Beamer, znał Dana dostatecznie dobrze, żeby rozpoznać jego głos.

— Tak, poruczniku, Earl zabrał ich do bezpiecznego domu.

Lonnie widocznie myślał, że Dan zna adres bezpiecznego domu, jednak mylił się. Earl wspominał o domu kilka razy, kiedy opowiadał o rozmaitych sprawach, przy których pracował, ale nawet jeśli dokładnie opisał położenie domu, Dan tego nie pamiętał. Nie mógł poprosić Lonniego o adres bez wzbudzania podejrzeń Seamesa, który uważnie słuchał rozmowy. Postanowił zadzwonić do nocnego operatora z innego telefonu, jak już urwie się agentowi.

— Ale pewnie długo tam nie posiedzą — powiedział Lonnie.

— Dlaczego?

— Nie słyszał pan? Pani McCaffrey i dzieciak już nie potrzebują naszej ochrony... chociaż ona jeszcze nas nie zwolniła. Może jeszcze będzie korzystała z naszych usług, ale głównie wasi ludzie przejmują zadanie. Przydzielono jej policyjną ochronę.

— Poważnie mówisz?

— Aha — przytaknął Lonnie. — Całodobowa ochrona policyjna. W tej chwili Earl jest w Westwood, w bezpiecznym domu, i czeka na dwóch waszych ludzi, żeby przejęli od niego te McCaffrey. Powinni zjawić się za parę minut.

— Kto?

— Ee... zobaczymy... kapitan Mondale zarządził ochronę i Earl ma przekazać nasze klientki detektywom Wexlershowi i Manuellowi.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak. Departament miał za mało ludzi, żeby zapewniać całodobową ochronę nawet w takiej sprawie. Zresztą Ross nie dzwoniłby osobiście do Paladyna; takie rzeczy zawsze zlecał asystentom. Poza tym, gdyby przydzielono ochronę, to w postaci umundurowanych policjantów, a nie potrzebnych gdzie indziej detektywów w cywilu, których brakowało jeszcze bardziej niż mundurowych.

I dlaczego akurat Wexlersh i Manuello?

— Więc równie dobrze może pan zostać w Sherman Oaks — ciągnął Lonnie — bo wasi ludzie pewnie tam odwiozą panią McCaffrey z dzieckiem.

Dan chciał wiedzieć więcej, ale nie mógł rozmawiać swobodnie, kiedy czuł oddech Seamesa na karku.

— No nic, dzięki, Lonnie — powiedział. — Chociaż moim zdaniem to niewybaczalne, że nie wiecie, gdzie jest wasz pracownik ani co się dzieje z waszymi klientami.

— Hę? Przecież właśnie panu powiedziałem...

— Zawsze myślałem, że Paladyn jest najlepszy, ale jeśli nie zaczniecie lepiej pilnować swoich agentów i klientów, zwłaszcza klientów narażonych na ryzyko...

— Co się z panem dzieje, Haldane? — zapytał Lonnie.

— Jasne, jasne — powiedział Haldane na użytek Seamesa — na pewno są bezpieczne. Wiem, że Earl to dobry agent i na pewno nie pozwoli, żeby coś im się stało, ale lepiej zróbcie tam u siebie porządek, bo prędzej czy później coś się stanie klientowi i odbiorą wam licencję.

Lonnie zaczął coś mówić, ale Dan odłożył słuchawkę.

Rozpaczliwie pragnął wydostać się stąd, znaleźć inny telefon i zadzwonić do Lonniego po więcej szczegółów. Nie chciał jednak zdradzić swojej niecierpliwości przed Seamesem, bo nie chciał, żeby Seames z nim poszedł. A gdyby Seames myślał, że Dan zna miejsce pobytu Laury i Melanie, nigdy nie zostawiłby go w pokoju.

Agent FBI patrzył na Dana twardym wzrokiem.

— W Paladynie nic nie wiedzą — oświadczył Dan.

— Tak panu powiedzieli?

— Tak.

— Co jeszcze panu powiedzieli?

Dan chciał i musiał ufać Seamesowi oraz FBI. Ostatecznie był gliną z wyboru i wierzył w prawo, w system władzy i porządku. Normalnie obdarzyłby Seamesa zaufaniem odruchowo, bez namysłu.

Ale nie tym razem. To była pokręcona sytuacja i w grę wchodziła stawka tak wysoka, że normalne zasady przestały obowiązywać.

— Ni cholery mi nie powiedzieli — odparł Dan. — A o co chodzi?

— Strasznie pan się spocił.

Dan czuł pot na twarzy, zimny i kroplisty. Szybko wymyślił odpowiedź.

— To przez tę rozbitą głowę. Nie boli i zapominam o tym, a potem nagle znowu zaczyna boleć tak mocno, że słabo mi się robi.

— Kapelusze? — zainteresował się Seames.

— Co?

— W Znaku Pentagramu powiedział mi pan, że skaleczył się podczas przymierzania kapeluszy.

— Naprawdę? No, po prostu się mądrzyłem.

— No więc... co się naprawdę stało?

— Widzi pan, zwykle nie przemęczam się myśleniem. Nie przywykłem do tego. Wielki tępą glina, pan rozumie. Ale dzisiaj myślałem tak ciężko, że głowa mi się rozgrzała i dostałem bąbli na czole.

— Moim zdaniem pan zawsze dużo myśli, Haldane. Bez przerwy.

— Za wysoko mnie pan ceni.

— Radzę panu poważnie pomyśleć o jednym: pan jest zwykłym miejskim gliną, a ja jestem agentem federalnym.

— Jestem całkowicie świadom pańskiego wysokiego stanowiska oraz obecności ducha J. Edgara Hoovera.

— Chociaż nie mogę bez powodu wtrącać się do pańskiej jurysdykcji, znam sposoby, żeby pan pożałował, jeśli mi pan wejdzie w drogę.

— Nigdy tego nie zrobię, sir. Przysięgam.

Seames tylko popatrzył na niego.

— No, to chyba będę leciał — oznajmił Dan.

— Dokąd?

— Pewnie do domu — skłamał Dan. — Miałem długi dzień. Pan ma rację: za dużo pracuję. I głowa mnie boli jak diabli. Wezmę aspirynę i zrobię sobie okład z lodu.

— Tak nagle przestał pan się martwić o te McCaffrey?

— Jasne, martwię się o nie — przyznał Dan — ale na razie nic więcej nie mogę zrobić. To znaczy, ten bałagan w domu wygląda dosyć podejrzanie, ale niekoniecznie świadczy o próbie zabójstwa, prawda? Myślę, że one są bezpieczne z Earlem Bentonem. To dobry człowiek. Poza tym, panie Seames, gliniarz od zabójstw musi mieć grubą skórę. Nie może utożsamiać się z ofiarami, pan rozumie. Jeśli zaczniemy się przejmować, wszyscy trafimy do czubków. Racja?

Seames wpatrywał się w niego bez mrugnięcia.

Dan ziewnął.

— No, czas walnąć piwo i do wyra.

Ruszył do drzwi. Czuł się beznadziejnie obnażony, przezroczysty jak szkło. Nie miał talentu do udawania. Seames odezwał się, kiedy Dan przekraczał próg.

— Jeśli Laurze McCaffrey i jej córce grozi niebezpieczeństwo, poruczniku, i jeśli pan naprawdę chce im pomóc, powinien pan ze mną współpracować.

— No, jak mówiłem, nie przypuszczam, żeby akurat w tej chwili coś im groziło — odparł Dan, chociaż nadal czuł krople potu spływające po twarzy, chociaż serce mu waliło, a żołądek skurczył się w bolesny węzeł.

— Cholera, dlaczego pan jest taki uparty? Dlaczego pan nie chce współpracować, poruczniku?

Dan spojrzał mu w oczy.

— Przed chwilą praktycznie oskarżył mnie pan, że się sprzedałem i wydałem komuś te McCaffrey.

— Podejrzliwość to część mojej pracy — wyjaśnił Seames.

— Mojej też.

— To znaczy... pan podejrzewa, że wcale nie chodzi mi o dobro tej dziewczynki?

— Panie Seames, przykro mi, ale chociaż ma pan okrągłą i gładką buzię cherubina, to wcale nie znaczy, że jest pan prawdziwym aniołem.

Dan wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i odjechał. Nie próbowali go śledzić;

pewnie doszli do wniosku, że nie warto marnować czasu.

Pierwszy telefon, który zobaczył Dan, należał do tego rodzaju urządzeń, których stopniowe znikanie symbolizuje upadek nowoczesnej cywilizacji: zamknięta ze wszystkich stron szklana budka. Stała na rogu parceli zajmowanej przez stację obsługi Arco.

Zanim Dan wreszcie znalazł budkę i zaparkował obok niej, cały się trząsł, jeszcze nie spanikowany, ale z pewnością na krawędzi paniki, co zupełnie do niego nie pasowało. Zwykle był spokojny, opanowany. Nawet w najgorszej sytuacji, nawet kiedy wszystko się waliło, potrafił zachować zimną krew. Ale nie tym razem. Może dlatego, że nie mógł przestać myśleć o Cindy Lakey, nie mógł zapomnieć swojej tragicznej porażki, a może przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny za dużo rozmyślał o morderstwie własnego brata i siostry, a może Laura McCaffrey pociągała go silniej, niż chciał przyznać, i jej utrata oznaczała dla niego wręcz niewyobrażalną katastrofę. Lecz bez względu na powód tej emocjonalnej zapaści, z każdą chwilą coraz bardziej puszczały mu nerwy. Wexlersh. Manuello.

Dlaczego nagle tak się ich przestraszył? Oczywiście nigdy ich nie lubił. Początkowo byli zastępcami i plotka głosiła, że należeli do najbardziej skorumpowanych w tamtym wydziale, i pewnie dlatego Ross Mondale załatwił im przeniesienie pod swoją komendę do East Valley; chciał mieć do dyspozycji ludzi, którzy wypełnią każde polecenie, którzy nie zadają pytań i nie kwestionują rozkazów, którzy pozostaną wobec niego lojalni, dopóki ich opłacał. Dan wiedział, że obaj byli pachołkami Mondale'a, oportunistami lekceważącymi własną pracę, nie żywiącymi szacunku dla koncepcji obowiązku czy bezpieczeństwa publicznego. Ale wciąż byli gliniarzami, złymi gliniarzami, leniwymi gliniarzami, ale nie płatnymi zabójcami jak Ned Rink. Na pewno nie stanowili zagrożenia dla Laury i Melanie. A jednak...

Coś było nie tak. Załedwie przeczucie. Dan nie potrafił wyjaśnić swojego nagłego przerażenia, nie rozumiał jego przyczyn, ale przez lata nauczył się ufać swoim przeczuciom, dlatego teraz przepełnił go strach.

W budce telefonicznej pospiesznie, gorączkowo wygrzebał z kieszeni kilka monet. Wystukał na klawiaturze numer Kalifornia Paladyna.

Jego oddech zaparował wewnętrzną powierzchnię szkła, podczas gdy deszcz spływał po drugiej stronie tafli. Srebrzyste światła stacji obsługi mrugały przez falujące strużki wody, rozmyte i przyćmione za zaparowaną szybą.

Ta dziwaczna migotliwa poświata, połączona z niepokojącymi odgłosami burzy, wywołała u Dana niezwykle uczucie, że jest zamknięty w kapsule i dryfuje poza nurtem czasu i przestrzeni. Wcisnąwszy ostatnią cyfrę numeru Paladyna, doznał niesamowitego wrażenia, że drzwi budki zamknęły się za nim na stałe, że już nigdy stąd nie wyjdzie, że nigdy nie zobaczy, nie usłyszy ani nie dotknie innej ludzkiej istoty, tylko wiecznie będzie dryfował w Strefie Mroku, uwięziony w tej szklanej kostce, i nie zdoła pomóc Laurze

i Melanie, nie zdoła ostrzec Earla o niebezpieczeństwie, nawet sam siebie nie ocali. Czasami śniło mu się, że jest całkowicie bezradny, bezsilny, sparaliżowany, podczas gdy na jego oczach jakiś nieokreślony, lecz potworny stwór torturuje i morduje ludzi, których kochał; po raz pierwszy jednak ten koszmar dopadł go na jawie.

Skończył wstukiwac numer. Po kilku elektronicznych piskach i kliknięciach na linii zabręczał sygnał.

Początkowo nawet sygnał nie rozproszył miazmatów strachu tak gęstych, że tamowały oddech. Dan niemal spodziewał się, że sygnał będzie tak dzwonił i dzwonił, bez odpowiedzi, ponieważ wszyscy wiedzą, że nie istnieje połączenie telefoniczne pomiędzy rzeczywistym światem a Strefą Mroku. Jednak po trzecim dzwonku Lonnie Beamer powiedział:

— Kalifornia Paladyn.

Dan ledwie powstrzymał okrzyk ulgi.

— Lonnie, to znowu Dan Haldane.

— Już pan oprzytomniał?

— Mówiłem te wszystkie rzeczy tylko na użytek faceta, który wisiał mi nad głową.

— Zorientowałem się, jak pan położył słuchawkę.

— Słuchaj, tym razem, jak tylko się rozłączę, zadzwoń do Earla i powiedz mu, że coś tu śmierdzi z tą ochroną policyjną.

— O czym pan mówi?

— Powiedz mu, że goście, którzy tam przyjadą, to nie będą prawdziwi gliniarze, więc niech im nie otwiera.

— Gada pan bez sensu. Przecież to będą gliniarze.

— Lonnie, coś złego się kroi. Nie wiem dokładnie co i jak...

— Za to ja wiem, że rozmawiałem z Rossem Mondale'em. Znaczący, poznałem jego głos, ale i tak zadzwoniłem do niego na numer biura. Po prostu, żeby jeszcze raz go sprawdzić, zanim mu powiedziałem, gdzie Earl trzyma obie McCaffrey.

— W porządku — rzucił niecierpliwie Dan — nawet jeśli zjawia się prawdziwi Wexlersh i Manuello, powiedz Earlowi, że to śmierdzi. Powiedz mu, że wpadnie w gówno po szyję, jeśli ich wpuści.

— Słuchaj pan, nie mogę mu powiedzieć, żeby przepędził spod drzwi dwóch gliniarzy.

— Nie musi ich przepędzać. Powiedz mu tylko, żeby ich nie wpuszczał. Powiedz mu, że już jadę. Musi bronić twierdzy, dopóki nie przyjadę. I jaki jest ten cholerny adres bezpiecznego domu?

— Właściwie to mieszkanie — wyjaśnił Lonnie. Podał Danowi adres w Westwood, na południe od Wilshire. — Hej, naprawdę pan myśli, że coś im grozi?

— Dzwoń do Earla! — zażądał Dan.

Trzasnął słuchawką, szarpnięciem otworzył zaparowane drzwi budki i pobiegł do samochodu.

— Aresztować? — powtórzył Earl, zerkając niepewnie na Manuella.

Earl wydawał się równie zdumiony i zaskoczony jak Laura. Siedziała obok Melanie na sofie, gdzie detektywi kazali jej zostać, gdy tylko weszli do pokoju. Czuła się straszliwie bezbronna i nie rozumiała dlaczego, skoro w pokoju byli tylko policjanci, którzy twierdzili, że chcą jej pomóc. Widziała odznaki, a Earl najwyraźniej ich znał (choć chyba niezbyt dobrze), więc wszystko wskazywało, że są prawdziwi. A jednak w duszy Laury kiełkowały ciemne pąki podejrzeń i strachu; wyczuwała, że coś tu było nie w porządku, bardzo nie w porządku.

Nie podobał jej się również wygląd dwóch policjantów. Manuello miał złośliwe spojrzenie i uśmiezek pełen wyższości. Poruszał się z zamaszystą arogancją macho, jakby tylko czekał na podważenie swojego autorytetu, żeby kogoś skopać i wdeptać w ziemię. Wexlersh, z woskowobiałą skórą i płaskimi szarymi oczami, przyprawiał Laurę o dreszcze.

— Co się stało? — zapytała. — Pan Benton pracuje dla mnie. Płacę za jego opiekę.
— A potem zaświtała jej szaleńcza myśl, którą natychmiast wyraziła na głos: — Mój Boże, chyba nie uważacie, że on nas tutaj trzyma wbrew naszej woli?

Detektyw Manuello zignorował ją i zwrócił się do Earla Bentona:

— Nosi pan broń?

— Jasne, ale mam zezwolenie.

— Pokaż pan.

— Zezwolenie?

— Broń.

— Chce pan moją broń?

— No już.

Wyciągając własny rewolwer, Wexlersh ostrzegł:

— Podaj ją bardzo ostrożnie.

Wyraźnie zdumiony tonem i zachowaniem Wexlersha, Earl powiedział:

— Myślicie, że jestem niebezpieczny, na litość boską?

— Tylko ostrożnie — powtórzył zimno Wexlersh.

— Po co miałbym strzelać do glin? — zapytał Earl, oddając broń Manuellowi.

Kiedy Manuello wetknął rewolwer za pasek spodni, zadzwonił telefon.

Laura zaczęła się podnosić, ale Manuello powiedział:

— Niech dzwoni.

— Ale...

— Niech dzwoni! — warknął Manuello.

Telefon zadzwonił ponownie.

Mroczna chmura niepokoju wypłynęła na twarz Earla i coraz bardziej ciemniała z każdą chwilą.

Telefon dzwonił i dzwonił, a wszyscy zamarli jak sparaliżowani tym dźwiękiem.

— Hej, słuchajcie, popełniacie poważny błąd — odezwał się Earl.

Telefon dzwonił.

Dan przyczepił przenośnego policyjnego koguta do krawędzi dachu sedana. Choć samochód był nieoznakowany, miał również syrenę, którą posłużył się Dan, żeby wymusić pierwszeństwo przejazdu. Samochody posłusznie zjeżdżały mu z drogi. Zważywszy na warunki jazdy, prowadził trochę zbyt brawurowo i niezbyt przejmował się bezpieczeństwem swoim czy innych kierowców, kiedy pędził w stronę Westwood.

Jeśli ktoś przekupił Rossa Mondale'a — czego bynajmniej nie można wykluczyć — i kazał mu wydać Melanie, Mondale bez trudu nakłoniłby Wexlersha i Manuella do współpracy. Mogli pojechać do bezpiecznego domu, wejść do środka dzięki policyjnym odznakom i zabrać dziecko. Musieliby pewnie zabić Earla i Laurę, żeby zatuzować zdradę, lecz im więcej Dan o tym myślał, tym bardziej był pewien, że nie cofną się nawet przed morderstwem, jeśli coś na tym zyskają. I nie ryzykowali specjalnie, ponieważ zawsze mogli powiedzieć, że po przyjeździe do domu znaleźli trupy i że dziecko zniknęło wcześniej.

Dojechał do miejsca, gdzie ulica przechodziła pod autostradą. Zagłębienie w jezdni pod wiaduktem wypełniała woda, tamując dalszy ruch. Jeden samochód utknął pośrodku wirującej kipieli, zanurzony do połowy drzwi, a kilka innych zatrzymało się na granicy zalanego odcinka. Właśnie przyjechała ciężarówka z miejskiego zarządu dróg. Robotnicy w odblaskowych pomarańczowych kamizelkach podłączali pompę, ustawiali barierki i kierowali ruch w przeciwną stronę, ale na dobrą chwilę Dan utkwiał w korku, pomimo migającego koguta na dachu sedana.

Siedział i kłął wściekle, zablokowany przez samochód osobowy z przodu i ciężarówkę z tyłu, a deszcz wybębniał monotony rytmem na masce i dachu sedana. Każde uderzenie kropli było jak tyknięcie zegara odliczającego cenne sekundy, czas rozmywał się w deszczu, strumienie ważnych chwil spływały do rynsztoka.

Telefon zadzwonił dziesięć razy i po każdym dzwonku narastało napięcie w pokoju.

Earl wiedział, że coś nie gra, ale nie potrafił tego określić. Spotkał już wcześniej Wexlersha i Manuella, słyszał o nich różne rzeczy i wiedział, że nie należeli do orłów intelektu. Nic dziwnego, że popełniali błędy. Bo to na pewno był błąd. Lonnie Beamer powiedział, że przyjeżdżają wziąć pod policyjną ochronę Laurę i Melanie; nic nie wspominał o nakazie aresztowania Earla, zresztą nie mogli dostać nakazu, bo Earl nie popełnił żadnego przestępstwa. Z tego, co słyszał o Wexlershu i Manuelli, to na nich wyglądało: wszystko im się pochrzańiło i wpadli tutaj zdezorientowani, źle poinformowani, działając w błędnym przeświadczeniu, że wysłano ich nie tylko dla ochrony Laury i Melanie, ale również żeby aresztować Earla.

Ale dlaczego nie odbierali telefonu? Przecież ktoś mógł dzwonić do nich. Earl nic z tego nie rozumiał.

Telefon wreszcie przestał dzwonić. Cisza przez chwilę wydawała się równie absolutna jak w próżni. Potem do Earla ponownie dotarło bębnienie deszczu na dachu i na dziedzińcu.

— Skuj go — powiedział Wexlersh do swojego partnera.

— Co jest, do cholery? — zapytał Earl. — Jeszcze mi nie powiedzieliście, za co mnie aresztujecie.

Manuello wyjął parę elastycznych plastikowych jednorazowych kajdanek z kieszeni marynarki.

— Przeczytamy ci oskarżenie na posterunku — odparł Wexlersh.

Obaj wydawali się zdenerwowani, jakby chcieli jak najszybciej załatwić sprawę. Dlaczego tak się spieszyli?

Dan skręcił ostro z Wilshire Boulevard na Westwood Boulevard, w kierunku południowym. Przejechał przez kałużę głęboką na stopę, wzbijając podwójną fontannę wody tak wysoką, jakby na samochodzie nagle wyrosły fosforyzujące skrzydła.

Wytężał wzrok, patrząc przez zalewaną deszczem szybę na mokry, czarny asfalt, który wydawał się zwijać i skręcać pod migotliwym odbiciem ulicznych świateł i neonów. Zmęczone, podrażnione oczy paliły go coraz mocniej. Rozbita głowa tętniła boleśnie, ale Dan odczuwał też inny, wewnętrzny ból, wywołany przez niechcianą świadomość porażki, przemożne, natrętne przecucie śmierci i rozpacz.

Z plastikowymi kajdankami w ręku Manuello podszedł do Earla i powiedział:

— Odwróć się i złóż ręce za plecami.

Earl zawahał się. Spojrzał na Laurę i Melanie. Spojrzał na Wexlersha, który trzymał rewolwer Smith & Wesson Police Special. Ci faceci byli glinami, ale Earl nagle nie miał pewności, czy powinien wypełniać ich polecenia, nie miał pewności, czy dobrze zrobił

oddając broń, natomiast miał cholerną pewność, że nie lubi kajdanek.

— Zamierzasz stawiać opór przy aresztowaniu? — zagadnął Manuello.

— Właśnie, Benton — dorzucił Wexlersh — na litość boską, chyba rozumiesz, że opór przy aresztowaniu oznacza koniec twojej licencji prywatnego detektywa?

Earl niechętnie odwrócił się i złączył dłonie za plecami.

— Nie przeczytacie mi moich praw?

— Mamy na to mnóstwo czasu w samochodzie — odparł Manuello, wsunął plastikowe kajdanki na nadgarstki Earla i zacisnął mocno.

— Lepiej weźcie płaszcze — Wexlersh zwrócił się do Laury i Melanie.

— A mój płaszcz? — zapytał Earl. — Powinniście mi pozwolić, żebym włożył płaszcz, zanim mnie skuliście.

— Poradzisz sobie bez płaszcza — stwierdził Wexlersh.

— Pada deszcz.

— Nie jesteś z cukru — burknął Manuello.

Telefon znowu zaczął dzwonić.

Jak poprzednio, detektywi zignorowali dzwonienie.

Syrena wysiadła.

Dan stuknął stopą w przełącznik, włączył go, wyłączył i znowu włączył, ale syrena nie chciała powrócić do życia. Został mu tylko migający czerwono kogut na dachu i klakson, żeby przebić się przez spowolniony deszczem ruch uliczny.

Spóźni się. Znowu. Tak jak z Cindy Lakey. Za późno. Przeskakiwał z pasa na pas, kluczył, lawirował, wymuszał pierwszeństwo i trąbił z narastającą pewnością, że oni już nie żyją, wszyscy nie żyją, że stracił przyjaciela i niewinne dziecko, które miał nadzieję obronić, i kobietę, która — przyznaj to — zrobiła na nim piorunujące wrażenie. Wszyscy nie żyją.

Laura wzięła płaszcz Melanie i ubrała ją najpierw. Trwało to dłużej, niż powinno, ponieważ dziewczynka wcale nie pomagała.

Manuello rzucił:

— Co z nią... zapóźniona czy jak?

— Nie mogę uwierzyć, że pan naprawdę tak powiedział — oświadczyła zdumiona i rozgniewana Laura.

— No, ona nie zachowuje się normalnie — odparł Manuello.

— Och, czyżby? — warknęła Laura. — Jezu. To dziecko jest bardzo chore. Co pan ma na swoje usprawiedliwienie?

Kiedy Laura ubierała Melanie, Earlowi kazano usiąść na sofie. Przysiadł na krawędzi. Ręce miał skute za plecami.

Laura skończyła zapinać płaszcz deszczowy córki i sięgnęła po własny.

— Mniejsza z tym — powiedział Wexlersh. — Niech pani usiądzie na sofie obok Bentona.

— Ale...

— Siadaj! — rozkazał Wexlersh i machnął w stronę sofę rewolwerem.

Nic nie dawało się wyczytać z jego lodowato szarych oczu.

Czy może Laura nie chciała odczytać w nich tego, co było wyraźnie widoczne.

Spojrzała na detektywa Manuello. Uśmiechał się złośliwie.

Odwróciła się do Earla po wyjaśnienie i zobaczyła, że wydawał się jeszcze bardziej zaniepokojony.

— Siadaj — powtórzył Wexlersh tym razem bez nacisku, niemal szeptem, a jednak w jakiś sposób tym łagodnym głosem wyraził większą groźbę — i łatwiej wymusił posłuszeństwo — niż wtedy, kiedy mówił bardziej szorstko.

Żołądek Laury skręcił się w supeł. Wezbrała w niej mdląca fala strachu.

Kiedy Laura usiadła, Wexlersh podszedł do Melanie, wziął ją za rękę, odprowadził od sofę i ustawił między sobą a Manuellem.

— Nie — zaprotestowała żałośnie Laura, lecz dwaj detektywi nie zwrócili na to uwagi.

Manuello spojrzał na Wexlersha i zapytał:

— Teraz?

— Teraz — potwierdził Wexlersh.

Manuello sięgnął pod marynarkę i wyciągnął pistolet. Nie była to broń, którą odebrał Earlowi, ani też służbowa broń detektywa, pomyślała Laura, która doskonale wiedziała, że policjanci zwykle używali rewolwerów. Właśnie coś takiego trzymał Wexlersh: rewolwer. Jak tylko zobaczyła pistolet w dłoni Manuella, ogarnęło ją przejmujące przecucie, że czegoś brakuje.

Potem Manuello wyjął z kieszeni osmaloną metalową rurkę i zaczął ją przykręcać do lufy pistoletu. To był tłumik.

— Co wy wyprawiacie, do cholery? — zapytał Earl.

Ani Wexlersh, ani Manuello nie odpowiedzieli.

— Jezu Chryste! — zawołał Earl, wstrząśnięty i przerażony, kiedy nagle zaświtało mu okropne wyjaśnienie.

— Nie krzycz — ostrzegł Wexlersh. — Nie wrzeszcz.

Earl zerwał się z sofę i daremnie próbował uwolnić się z kajdanków.

Wexlersh doskoczył do niego i rąbnął go rewolwerem, raz w ramię i drugi raz w twarz.

Earl upadł z powrotem na sofę.

Manuello nie ustawił gwintu na tłumiku równo z gwintowaniem lufy pistoletu, więc

musiał odkręcić tłumik i zacząć od początku.

Wexlersh, wciąż pochylony nad Earlem, spojrzął na partnera i warknął:

— Pospiesz się, dobrze?

— Próbuje, próbuję — zasapał Manuello, szarpiąc oporny tłumik.

— Wy dranie, chcecie nas pozabijać — rzucił Earl przez rozbite, krwawiące wargi.

Laura nie zdziwiła się, kiedy usłyszała wyrok zawarty w tych brutalnych słowach. Podświadomie od początku wiedziała, na co się zanosi, wyczuła to, jak tylko detektywi weszli do pokoju, poczuła to jeszcze silniej, kiedy zakuli w kajdanki Earla, i nabrała całkowitej pewności, kiedy Wexlersh zabrał od niej Melanie, ale nie chciała pogodzić się z prawdą.

Manuello znowu źle nakręcił tłumik.

— Co za kupa gówna.

— Będzie pasował, jeśli od początku ustawisz prawidłowo — poradził Wexlersh.

Laura rozumiała, że nie chcieli użyć własnych rewolwerów z obawy, żeby nie przypisano im zabójstwa. I woleli nie strzelać z pistoletu bez tłumika, ponieważ huk przyciągnie do okien sąsiadów z innych mieszkań i ktoś zobaczy, jak wychodzą z Melanie.

Melanie. Stała obok Manuella, pojękując cicho. Oczy miała zamknięte, głowę spuszczoną i co jakiś czas wydawała żalosne kwilenie. Czy wiedziała, co się stanie w tym pokoju, czy zdawała sobie sprawę, że jej matka zginie, czy też opłakiwała coś innego, coś ze swojego prywatnego świata fantazji?

Tonem częściowo niedowierzania, lecz głównie furii, Earl rzucił:

— Jesteście z policji, na litość boską.

— Zamknij się i siedź cicho — nakazał Wexlersh.

Laura zatrzymała wzrok na ciężkiej szklanej popielniczce na stoliku do kawy. Gdyby ją chwyciła, rzuciła w Wexlersha i trafiła go w głowę, mógł stracić przytomność albo przynajmniej wypuścić z ręki broń, a gdyby upuścił broń, Laura mogłaby ją złapać, zanim on czy Manuello zdążyliby zareagować. Ale potrzebowała dywersji. Rozpaczliwie próbowała wymyślić coś, żeby przyciągnąć uwagę Wexlersha, a tymczasem Earl widocznie zdecydował, że nie mają nic do stracenia; odwrócił uwagę obu detektywów dokładnie w odpowiedniej chwili.

Manuello wciąż walczył ze źle dopasowanym tłumikiem. Earl spojrzął na Wexlersha i powiedział:

— Nieważne, co zrobimy, nieważne, jak głośno będziemy krzyczeć, i tak nie użyjecie własnej broni ani mojej.

Potem, ze wszystkich sił wzywając pomocy, Earl rzucił się na Wexlersha i walnął go głową w brzuch.

Wexlersh zatoczył się dwa kroki do tyłu, kiedy Earl zaatakował go bykiem. Ale detektyw nie upadł; po chwili zadał cios bronią i powalił ochroniarza na podłogę, co za-

kończyło napaść i krzyki.

Podczas krótkiego zamieszania Laura zdążyła chwycić popielniczkę, zanim jeszcze Wexlersh uderzył Earla. Manuello zobaczył to i zawołał: „Hej!” kiedy celowała ciężkim przedmiotem w Wexlersha. Ostrzeżenie wystarczyło, żeby detektyw uchylił się przed pociskiem. Popielniczka przeleciała obok niego, rąbnęła w ścianę i z hukiem upadła na podłogę.

Wexlersh wymierzył służbowy rewolwer prosto w Laurę. W wylocie lufy zobaczyła czerń tak głęboką, jakiej nie widziała nigdy w życiu.

— Słuchaj, ty dziwko, jeśli nie usiądziesz grzecznie z zamkniętą jadaczką, zrobimy wam dużo więcej przykrości niż to konieczne.

Melanie teraz skomlała cicho w narastającej rozpacz. Głowę wciąż miała pochyloną, oczy zamknięte, szczęka jej opadła, z rozwartych ust wydobywały się żalosne dźwięki.

Earl przekręcił się na plecy, podciągnął się i oparł o sofę. Obficie broczył krwią z rany na czaszce. Łypnął na Wexlersha.

— Taak? Co ty powiesz? Zrobicie nam więcej przykrości? A co może być gorsze od waszych zamiarów, do cholery?

Wexlersh rozciągnął bezkrwiste usta w uśmiechu, który wyglądał wręcz koszmarnie na jego księżycowe bladej twarzy.

— Możemy zakleić ci usta taśmą i trochę cię potorturować. Potem zaczniemy torturować tę dziwkę.

Drżąca Laura odwróciła wzrok od tych szarych oczu. Pokój wydawał się zimny, zimniejszy niż wcześniej.

— Ładny kawałek dupy — zauważył Manuello.

— Tak, możemy ją zerznąć — zgodził się Wexlersh.

— Małą też zerzniemy — ciągnął Manuello.

— Taak — przyświadczył Wexlersh, wciąż z uśmiechem. — Małą też zerzniemy.

— Nawet jeśli jest zapóźniona — dodał Manuello, po czym skłął pistolet i tłumik, które nie chciały się dopasować.

— Więc jeśli nie będziecie siedzieć spokojnie — podjął Wexlersh — zakleimy wam usta taśmą i zerzniemy małą tutaj na waszych oczach... a potem i tak was zabijemy.

Dławiąc się torsjami, które podeszły jej do gardła, Laura opadła z powrotem na sofę, pokonana przez tę najstraszniejszą groźbę.

Earl również umilkł.

— Dobrze — pochwalił Wexlersh i jedną ręką rozmasował sobie brzuch w miejscu, gdzie Earl go uderzył. — Znacznie lepiej.

Skomlenie Melanie zabrzmiało głośniej, pojawiły się pojedyncze słowa punktowane przez drżące, głębokie westchnienia:

— ...otwierają się... drzwi... otwierają... nie...

— Zamknij się, mała — rzucił Wexlersh i lekko trzepnął ją po twarzy.

Laura chciała podejść do córki, objąć ją, utulić, ale dla dobra Melanie i własnego musiała zostać na miejscu.

W pokoju wyraźnie robiło się zimniej, coraz zimniej.

Laura przypominała sobie, jak w kuchni pojawił się lodowaty ziąb tuż przedtem, nim radio zbudziło się do życia. I po raz drugi, zanim stwór z wiatru wyłamał drzwi i wtargnął do domu z ciemności...

— Czy w tej cholernej ruderze nie mają ogrzewania? — burknął Wexlersh.

— Gotowe! — oznajmił Manuello, który w końcu nakręcił tłumik na lufę pistoletu.

Zimniej...

Teraz, kiedy partner wreszcie przygotował broń, Wexlersh włożył własny rewolwer do kabury, potem złapał Melanie za ramię, odciągnął ją z drogi i zaczął cofać się w stronę drzwi wejściowych.

Zimniej...

Laura była zelektryzowana, naładowana napięciem i oczekiwaniem. Czuła, że coś się stanie. Coś dziwnego.

Manuello przysunął się bliżej do Earla, który obserwował go bardziej z pogardą niż ze strachem.

Temperatura w pokoju spadła gwałtownie, za plecami Wexlersha i Melanie drzwi mieszkania otwały się z trzaskiem...

Lecz do środka nie wtargnęło nic nadnaturalnego, tylko Dan Haldane. Wpadł jak burza, zanim jeszcze do końca otworzył drzwi. Błyskawicznie zorientował się w sytuacji i wbił lufę swojego rewolweru w plecy Wexlersha, zanim ten zdążył odwrócić się do drzwi.

Manuello okręcił się na pięcie, ale Dan ostrzegł:

— Rzuć to! Rzuć to, draniu, albo cię rozwalę.

Manuello zawahał się, raczej nie dlatego, że bał się o życie swojego partnera, ale ponieważ nie miał wątpliwości, że ciało Wexlersha zatrzyma pierwszą kulę przeznaczoną dla Dana, natomiast miał pewność, że nie zdąży wystrzelić ponownie i Dan rozwali mu głowę. Zerknął również na Melanie, jakby obliczał szansę pochwylenia dziewczynki, ale kiedy Dan krzyknął jeszcze raz: „Rzuć to!”, Manuello w końcu uznał swoją porażkę i upuścił pistolet z tłumikiem na podłogę.

— On ma broń Earla — ostrzegła Dana Laura.

— I własny rewolwer służbowy — dodał Earl.

Trzymając mocno Wexlersha za marynarkę i wciąż wbijając mu rewolwer w plecy, Dan powiedział:

— Okay, Manuello, odłóż te dwie sztuki, powoli i spokojnie. Bez żadnych wygłupów.

Manuello wyjął i odłożył najpierw jeden rewolwer, potem drugi, wreszcie na rozkaz Dana cofnął się i stanął pod ścianą naprzeciwko.

Laura podeszła i zebrała trzy sztuki broni, a tymczasem Dan uwolnił Wexlersha od rewolweru służbowego.

— Dlaczego tu jest tak cholernie zimno? — zapytał.

Lecz zanim jeszcze dokończył pytanie, powietrze nagle ociepliło się równie szybko, jak przedtem ochłodziło.

Niewiele brakowało, żeby coś się stało, pomyślała Laura. Coś podobnego jak wcześniej w mojej kuchni.

Ale nie przypuszczała, że mieli dostać następne ostrzeżenie. Nie tym razem. Nie, teraz byłoby gorzej. Dręczyło ją niepokojące uczucie, że To mogło się pojawić już za sekundę.

Dan przyglądał się jej dziwnie, jakby wiedział, że znała odpowiedź na jego pytanie.

Ale nie mogła mówić. Nie potrafiła tego ująć w słowa tak, żeby cokolwiek zrozumiał. Wiedziała tylko, że gdyby To nadeszło, urządziłoby znacznie gorszą jatkę niż dwaj skorumpowani detektywi. Gdyby To nadeszło, czy wszyscy skończyliby jak tamte poszarpane, okaleczone, zmasakrowane trupy w Studio City?

Na ostrym dyżurze w Centrum Medycznym UCLA natychmiast opatriono Earlowi ranę na głowie i rozciętą wargę.

Laura i Melanie czekały w westybulu sąsiadującym z izbą przyjęć, a Dan poszedł do najbliższego automatu telefonicznego. Wybrał numer wydziału East Valley i kierunkowy do Rossa Mondale'a.

— Wyrabiasz nadgodziny, co, Ross?

— Haldane?

— Nie wiedziałem, że taki pracuś z ciebie.

— Czego chcesz, Haldane?

— Najbardziej to pokoju na świecie.

— Nie jestem w nastroju do...

— Ale chyba wystarczy mi rozwiązanie tej sprawy.

— Słuchaj, Haldane, jestem zajęty i...

— Będziesz jeszcze bardziej zajęty, bo musisz ostro główkować, żeby wymyślić alibi.

— O czym ty mówisz?

— Wexlersh i Manuello.

Mondale milczał.

— Ross, dlaczego wysłałeś ich do Westwood? — zapytał Dan.

— Pewnie nie wiesz, że postanowiłem przydzielić tym McCaffrey ochronę policyjną.

— Nawet przy obecnym braku personelu?

— No, biorąc pod uwagę dzisiejsze zabójstwo Scaldonego i wyjątkową brutalność tych morderstw, uznałem za wskazane...

— Wsadź to sobie gdzieś, sukinsynu.

— Co?

— Wiem, że chcieli zabić Earla i Laurę...

— Co ty wygadujesz?

— ...i porwać Melanie...

— Piłeś dzisiaj, Haldane?

— ...a potem wrócić i zameldować, że kiedy przyjechali na miejsce, Earl i Laura już nie żyli.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Twoje zdumienie wydaje się niemal szczere.

— To są poważne oskarżenia, Haldane.

— Och, jak ty ładnie mówisz, Ross.

— Tutaj chodzi o kolegów policjantów. Oni...

— Komu się sprzedałeś, Ross?

— Haldane, dobrze ci radzę...

— I za co się sprzedałeś? Oto wielkie pytanie. Czeka, czeka, nie odkładaj słuchawki, wytrzymaj jeszcze trochę, posłuchaj mojej teorii, okay? Nie sprzedałbyś się wyłącznie za pieniądze. Nie postawiłbyś na kartę całej kariery tylko dla pieniędzy. Chyba że dla kilku milionów, ale nikt nie wyłoży takiej kasy za taką robotę. Dwadzieścia pięć tysięcy, góra. Raczej piętnaście. Pewnie tylko tyle. No, mogę uwierzyć, że Wexlersh i Manuello zrobiliby to za takie pieniądze, może nawet za mniejsze, ale żaden z nich nie rozwaliby Earla i Laury bez twojej zgody, bez gwarancji twojej ochrony. Więc moim zdaniem oni dostali pieniądze, a ty dostałeś coś innego. Co takiego mogłeś dostać, Ross? Sprzedałbyś się za władzę, za naprawdę duży awans, za stanowisko szefa, może nawet nominację na burmistrza. Więc ten, kto cię kupił, kieruje polityczną maszyną. Ciepło, ciepło, co, Ross? Czy sprzedałeś Laurę i Melanie McCaffrey za takie obietnice?

Mondale milczał.

— Sprzedałeś, Ross?

— To jest gorsze niż pijackie brednie, Dan. To wariactwo. Brałeś prochy czy jak?

— Sprzedałeś, Ross?

— Gdzie jesteś, Dan?

Dan zignorował pytanie.

— Manuello i Wexlersh są teraz w tym mieszkaniu w Westwood — oznajmił — zakneblowani i związani, jeden na komodzie, drugi w wannie. Spuściłbym obu w klozecie, gdyby się zmieścili.

— Rany boskie, ty naprawdę się naćpałeś!

— Nie wysyłaj się, Ross. Paladyn wysyła tam kilku ludzi, żeby niańczyli twoich chłopaczków, a ja już zawiadomiłem reportera z „Timesa” i drugiego z „Journala”. Zadzwoniłem też do wydziału, przedstawiłem się i zgłosiłem usiłowanie morderstwa, żeby po drodze włożyli mundury. Będzie niezły cyrk.

Po kolejnej chwili milczenia Mondale zapytał:

— Czy pani McCaffrey zamierza oskarżyć Wexlersha i Manuella o usiłowanie morderstwa?

— Zaczynasz pękać, Ross?

— To są moi oficerowie — oświadczył Mondale. — Jestem za nich odpowiedzialny. Jeżeli naprawdę zrobili to, co mówisz, chcę mieć absolutną pewność, że zostaną osądzeni i skazani. Nie życzę sobie żadnych cholernych zgniłych jabłek w moim koszyku. Nie zamierzam kryć moich ludzi w imię jakiejś fałszywie pojętej policyjnej solidarności.

— Co jest, Ross? Myślisz, że nagrywam tę rozmowę? Myślisz, że ktoś nas podsłuchuje? Spoko, nikt nie podsłuchuje, nie ma taśmy, więc przestań się zgrywać.

— Nie rozumiem twojej postawy, Dan.

— Nikt nie rozumie.

— Nie wiem, dlaczego podejrzewasz mnie o współudział. — Mondale był marnym aktorem; nieszczerłość przebijała z jego głosu równie wyraźnie jak jąkanie czy seplenienie. — I nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy pani McCaffrey zamierza oskarżyć Wexlersha i Manuella o usiłowanie morderstwa, czy nie zamierza?

— Nie dzisiaj — odparł Dan. — Zabrałem stamtąd Laurę i Melanie i na razie zatrzymam je przy sobie, dobrze ukryte. Wiem, że przykro ci to słyszeć. One byłyby takim łatwym celem dla snajpera, prawda? Ale nikomu nie powiem, gdzie je ukryłem. Nie pozwolę im spotkać się z żadnymi glinami z żadnego wydziału, ani żeby złożyć zeznania, ani żeby zidentyfikować Wexlersha i Manuella. Nikomu już nie wierzę.

— Nie mówisz jak odpowiedzialny gliniarz, Dan.

— Bo taki nicpoń ze mnie.

— Na litość boską, nie możesz brać osobistej odpowiedzialności za te McCaffrey.

— Zobaczymy.

— Jeśli potrzebują ochrony, musisz to załatwić przez wydział, tak jak ja próbowałem, kiedy wysłałem tam Wexlersha i Manuella. Nie możesz tego załatwiać na własną rękę. Boże drogi, to nie są twoje krewne, sam wiesz. Nie możesz po prostu przejąć opieki nad nimi, jakbyś miał do tego prawo.

— Mogę, jeśli one tego sobie życzą. Nie są moimi krewnymi... racja, ale mimo wszystko... mam w tym swój interes.

— O czym ty mówisz?

— Sam tak powiedziałeś dzisiaj wieczorem w Znaku Pentagramu. To nie jest dla mnie zwykła sprawa. Dlatego tak głęboko wsiąknęłam. Podoba mi się Laura. I żałuję tej dziewczynki. Rzeczywiście zależy mi na nich bardziej niż na innych ofiarach, więc pamiętaj o tym, Ross.

— Właśnie podałeś mi wystarczający powód, żeby wyłączyć cię z tego śledztwa. Nie jesteś już bezstronnym przedstawicielem prawa.

— Pierdol się.

— To wyjaśnia twoją wrogość, historyczne oskarżenia i te wszystkie paranoidalne

teorie spisku.

— To nie paranoja. To rzeczywistość i sam o tym wiesz.

— Teraz rozumiem. Jesteś rozstrojony.

— Ostrzegam cię, Ross, wycofaj się. Dlatego właśnie do ciebie dzwonię. Dwa słowa: wycofaj się. — Mondale nie odpowiedział, więc Dan dodał: — Ta kobieta i to dziecko są dla mnie ważne.

Mondale oddychał cicho w słuchawce, ale niczego nie obiecał.

— Przysięgam na Boga, że zniszczę każdego, kto spróbuje je skrzywdzić. Każdego — oświadczył Dan.

Milczenie.

— Możesz zamknąć gęby Wexlershowi i Manuellowi — podjął Dan. — Możesz nawet znaleźć sposób, żeby umorzyć zarzuty i wyciszyć całą sprawę. Ale jeśli dalej będziesz polował na obie McCaffrey, powyrywam ci nogi z dupy. Przysięgam, Ross.

Wreszcie Mondale odezwał się trochę nie na temat, jakby nie słyszał pogrózek Dana.

— No, jeśli nie pozwolisz pani McCaffrey złożyć zeznania, nie możemy aresztować Wexlersha i Manuella.

— Owszem, możecie. Earl Benton złoży zeznanie. Został uderzony pistoletem. Przez Wexlersha. Earl jest w szpitalu, właśnie go łątają.

— W którym szpitalu?

— Bądź poważny, Ross.

W końcu z czystej frustracji Ross ujawnił odrobinę swoich prawdziwych uczuć. Tama nie pękła, lecz powstała w niej cienka jak włos szczelina.

— Ty draniu. Mam dość ciebie i twoich gróźb, nie mogę już wytrzymać, że wisisz nade mną jak jakiś cholerny miecz.

— Bardzo dobrze. Wyrzuć to z siebie, Ross. Zrzuć ciężar z serca.

Mondale znowu umilkł.

— W każdym razie — ciągnął Dan — jeśli Earla wypuszczą ze szpitala, wróci do tamtego mieszkania, żeby pogadać z mundurowymi, których wezwałem, złożyć zeznanie i dopilnować, żeby Wexlersha i Manuella zapudłowali pod zarzutem napaści i pobicia oraz napadu z zamiarem zabójstwa.

Mondale odzyskał panowanie nad sobą. Nie zamierzał ponownie go tracić.

— A jeśli lekarze zatrzymają go na noc na obserwację, policjanci z tego oddziału przyjadą tutaj po zeznanie. Tak czy owak Wexlersh i Manuello nie wywiną się z tego... chyba że osobiście ich wyciągniesz. Pewnie będziesz musiał to jakoś załatwić, żeby zamknąć im gęby.

Brak odpowiedzi. Tylko ciężki oddech.

— Kiedy ty i ja wreszcie wszystko wygładzimy, Ross, może przekonasz szefa Kelseya,

że razem z Wexlershem i Manuellem nie brałeś udziału w próbie porwania dziewczynki i zabicia jej matki, ale prasa zacznie coś podejrzewać i już nigdy więcej nie będzie ci wierzyła. Reporterzy będą węszyć wokół ciebie do końca twojej kariery i czyhać na twoje potknięcie.

Milczenie.

— Słyszysz, co mówię, Ross?

Milczenie.

— W najlepszym razie zatrzymasz gwiazdki kapitana, ale burmistrz skreśli cię z elitarniej listy kandydatów na stanowisko szefa policji. Na zawsze. Widzisz, to jest ostrzeżenie, Ross. Dlatego do ciebie zadzwoniłem. Słuchaj dobrze. Słuchaj uważnie. Jeśli dalej będziesz polował na obie McCaffrey, zostaniesz całkowicie zniszczony. Dopilnuję tego. Gwarantuję ci to osobiście. Już jesteś w połowie zniszczony, ale jeżeli dalej będziesz je ścigał, nawet nie zostaniesz kapitanem. Zepchnę cię na samo dno. Nieważne, kto cię do tego namówił, nieważne, jaki jest potężny i wpływowy, nie uratuje twojego tyłka, jeśli jeszcze raz spróbujesz chociaż tknąć obie McCaffrey. Nie uratuje cię przede mną. Załapałeś?

Milczenie. Ale teraz milczenie nabrało emocjonalnego wyrazu, zionęło nienawiścią. Dan podjął:

— Ciągle muszę martwić się o FBI i o tych, którzy finansowali Dylana McCaffreya i Willy'ego Hoffritza, bo ktoś tam bardzo chce dostać tę dziewczynkę, ale przynajmniej tobą przestanę się martwić, Ross. Dzisiaj wieczorem zrzekniesz się stanowiska w jednostce specjalnej i przekażesz całą sprawę komuś innemu, dopóki nie rozwiejesz tej chmury podejrzeń ciążyącej nad Wexlershem i Manuellem. Zrozumiano? Ja ci tego nie proponuję, Ross. Ja rozkazuję.

— Ty palancie.

— Bzdury. Słuchaj uważnie. Jeśli nie powiesz tego, co chcę usłyszeć, Ross, odkładam słuchawkę, a kiedy odłożę słuchawkę, będzie już za późno, żebyś zmienił zdanie.

Milczenie.

— No to... żegnaj, Ross.

— Czekać.

— Przepraszam, muszę lecieć.

— No dobrze, dobrze, zgadzam się.

— Na co?

— Na to, czego chciałeś.

— Mów wyraźniej.

— Wycofam się z tej sprawy.

— Bardzo rozsądnie.

— Nawet wezmę tydzień zwolnienia lekarskiego.

— Ach, źle się czujesz?

— Wycofam się z tego, zostawię to, ale chcę czegoś od ciebie — ciągnął Mondale.

— Czego?

— Nie chcę, żeby Benton, ty czy ta McCaffrey składali jakieś zeznania przeciwko Wexlershowi i Manuellowi.

— Marne szanse.

— Mówię poważnie.

— Nonsens. Mamy na ciebie haka tylko wtedy, jeśli oskarżymy tych dwóch gnojków o usiłowanie morderstwa.

— Okay. Niech Benton złoży zeznanie. Ale za kilka dni, kiedy już zapewnisz bezpieczeństwo tym McCaffrey, niech Benton wycofa zarzuty.

— Wyjdzie na durnia.

— Wcale nie. Może powiedzieć, że kto inny go pobił i uderzył mocno w głowę, że był oszołomiony i niesłusznie oskarżył Wexlersha i Manuella. Za kilka dni powie, że przeżył mu się w głowie i dopiero wtedy przypomniał sobie, co zaszło naprawdę. Powie, że jakiś inny bandzior go pobił, a Wexlersh i Manuello właściwie uratowali mu tyłek.

— W twojej sytuacji nie możesz niczego ode mnie żądać, Ross.

— Cholera jasna, jeśli nie zostawisz mi żadnego wyjścia, żadnego promyka nadziei, to nie mam powodu grać w twoją grę.

— Możliwe. Ale skoro się targujemy, ja też chcę czegoś więcej. Chcę nazwiska człowieka, który zwrócił się do ciebie, Ross.

— Nie.

— Kto chce dziewczynki, Ross? Powiedz mi i dobijamy targu.

— Nie.

— Kto cię namówił, żebyś użył Wexlersha i Manuella w taki sposób?

— Niemożliwe. Powiem ci i naprawdę jestem skończony. Jestem trup. Wolę już zginąć teraz w walce, niż kogoś zakapować i może skończyć jak te zwłoki w Studio City... albo gorzej. Daję ci te McCaffrey, a za kilka dni ty dasz mi Wexlersha i Manuella. Taka jest umowa.

— Musisz przynajmniej mi powiedzieć, czy to on finansował badania w szarym pokoju.

— Tak myślę.

— Ktoś z rządu?

— Może.

— Postaraj się trochę bardziej.

— Po prostu nie wiem. To taki facet, który może działać w imieniu rządu albo samodzielnie coś finansować.

— Bogaty?

— Nie podam ci jego nazwiska i tytułu szczegółów, żebyś odgadł jego nazwisko. Cholera, nie podpiszę własnego wyroku śmierci.

Dan namyślał się przez chwilę. Potem zapytał:

— Czy mówił, co oni chcieli osiągnąć w tym szarym pokoju?

— Nie.

— Ten facet, który zwrócił się do ciebie, ten, który finansował te wariackie badania... czy to on zabija, Ross?

Milczenie.

— To on, Ross? Śmiało, nie bój się mówić. Powiedziałeś już za wiele. Nie upieram się przy nazwisku, ale muszę znać odpowiedź na to pytanie. Czy to on jest odpowiedzialny za Scaldonego i te zwłoki w Studio City?

— Nie, nie. Wręcz przeciwnie. Boi się, że będzie następnym celem.

— No to kogo się boi?

— Nie wiem, czy on się boi kogoś.

— Co?

— To wariactwo... ale ci ludzie gadają w ten sposób i są tacy przerażeni, jakby sam Drakula ich ścigał. Z tego, co usłyszałem, wyciągnąłem wniosek, że to nie człowiek im zagraża. To jakiś stwór. Jakiś stwór zabija wszystkich związanych z szarym pokojem. Wiem, że to brzmi kretyńsko, ale takie odniosłem wrażenie. Więc jak, do cholery, dobijamy targu? Wycofuję się z tego, daję ci obie McCaffrey, a ty dajesz mi Wexlersha i Manuella. Umowa stoi?

Dan udawał, że się namyśla.

— Okay.

— Umowa stoi?

— Tak.

Mondale zaśmiał się nerwowo. W jego śmiechu zadźwięczała fałszywa nuta.

— Rozumiesz, co to znaczy, Haldane?

— Co to znaczy?

— Zawierasz taką umowę, wycofujesz oskarżenia przeciwko facetom, którzy podobno zamierzali popełnić morderstwo... więc jesteś tak samo brudny jak inni.

— Nie taki brudny jak ty. Gdybym przez miesiąc pływał w ścieku i jadł wszystko, co tam znajdę, nie byłbym nawet w połowie taki brudny jak ty, Ross.

Odwiesił słuchawkę. Wyeliminował jedno zagrożenie. Nikt nie wykorzysta policyjnej odznaki, żeby dobrać się do Melanie. Nadal ścigała ich armia wrogów, ale teraz została uszczuplona o jedną odmianę.

A co najpiękniejsze, nie musiał nic oddać w zamian za rezygnację Mondale'a, nie musiał ani trochę ubrudzić sobie rąk, ponieważ nie zamierzał dotrzymać swojej części umowy. Nie poprosił Earla, żeby wycofał oskarżenie przeciwko Wexlershowi i Ma-

nuellowi. Przeciwnie, kiedy sprawa wreszcie się wyjaśni i Laura z Melanie będą mogły bezpiecznie pokazać się publicznie, Dan nakłoni je, żeby również zeznawały przeciwko dwóm detektywom, i dołoży własne zeznanie. Manuello i Wexlersh byli skończeni — a razem z nimi Ross Mondale.

Dwadzieścia pięć minut po północy Earla Bentona zwolniono ze szpitala.

Widok pobitego ochroniarza wstrząsnął Laurą, nawet kiedy zmyto mu krew z twarzy. Z boku głowy lekarze wygolili mu fragment wielkości połowy dłoni i założyli siedem szwów na ranę, teraz zakrytą bandażem. Wargi miał sine i spuchnięte. Usta zniekształcone. Jedno oko podbite. Wyglądał jak po bliskim spotkaniu z ciężarówką.

Jego wygląd zrobił wrażenie na Melanie. Oczy dziewczynki nabrały wyrazu. Widocznie wynurzyła się z transu, żeby przyjrzeć się lepiej Earlowi, jak ryba podpływa pod powierzchnię jeziora, żeby obejrzeć dziwne stworzenie stojące na brzegu.

— Aach — powiedziała smutno.

Wydawało się, że chciała powiedzieć Earlowi coś więcej, więc nachylił się do niej.

Melanie dotknęła jedną ręką jego pokiereszowanej twarzy, powoli przeniosła wzrok z posiniaczonego podbródka na podbite oko i bandaż na głowie. Nerwowo przygryzła dolną wargę. Oczy jej zaszyły łzami. Próbowwała mówić, ale nie wydała żadnego dźwięku.

— O co chodzi, Melanie? — zapytał Earl.

Laura pochyliła się nad córką i objęła ją ramieniem.

— Co chcesz mu powiedzieć, skarbie? Spróbuj po jednym słowie na raz. Mów powoli, bez pośpiechu. Potrafisz to powiedzieć. Dasz sobie radę, maleńka.

Dan, lekarz, który opatrzył Earla, i młoda latynoska pielęgniarka patrzyli uważnie, wyczekująco.

Zamglone od łez spojrzenie dziecka wędrowało po twarzy Earla, po ranach odniesionych w walce. Wreszcie Melanie wyjąkała:

— Dla m-m-mnie.

— Tak — powiedziała Laura. — Masz rację, maleńka. Earl walczył dla ciebie. Narzązał życie dla ciebie.

— Dla mnie — powtórzyła Melanie ze zdumieniem, jakby sam pomysł, że ktoś ją kocha i troszczy się o nią, stanowił dla niej całkowitą nowość.

Podeksytowana tą szczeliną w autystycznej zbroi dziewczynki, w nadziei, że posze-

rzy pęknięcie albo nawet całkiem roztrzaska zbroję, Laura powiedziała:

— Wszyscy walczymy o ciebie, skarbie. Chcemy ci pomóc. Pomożemy ci, jeśli nam pozwolisz.

— Dla mnie — powtórzyła ponownie Melanie, ale nie odezwała się więcej. Chociaż Laura i Earl dalej zachęcali ją czułymi słowami, dziewczynka milczała. Łzy wyschły, ręce odsunęły się od twarzy Earla, do oczu powrócił nieobecny wyraz. Znużona, spuściła głowę.

Laura była rozczarowana, ale nie zrozpaczona. Przecież dziewczynka wyraźnie chciała wyrwać się ze swego mrocznego prywatnego świata, a jeśli pragnęła tego dostatecznie mocno, prędzej czy później powróci do zdrowia.

Lekarz z izby przyjęć zaproponował, że zatrzyma Earla na noc na obserwacji, lecz pomimo licznych obrażeń Earl odmówił. Chciał wrócić do bezpiecznego domu i złożyć zeznanie na policji, żeby wbić kilka gwoździ do dwuosobowej trumny Wexlersha i Manuella.

Wszyscy przyjechali do szpitala samochodem Dana, ale teraz Dan nie chciał wracać do bezpiecznego domu. Wolał, żeby Laura i Melanie nie zbliżały się do żadnych glin, więc zadzwonił po taksówkę dla Earla.

— Nie czekajcie ze mną — poprosił Earl. — Wy już możecie jechać.

— Równie dobrze możemy poczekać — sprzeciwił się Dan — bo i tak musimy obgadać parę spraw.

Bez żadnego uzgadniania skupili się wokół Melanie, żeby ją osłonić. Stali tuż za frontowymi drzwiami centrum medycznego, skąd widzieli ulewny deszcz i miejsce, gdzie miała podjechać taksówka. Połowa świetlówek w holu była wygaszona, ponieważ dawno minęła pora odwiedzin, a druga połowa rzucała rozmazane smugi zimnego, nieprzyjaznego światła na rozległą posadzkę. Powietrze pachniało lekko różanym środkiem dezynfekującym. Poza ich czwórka pomieszczenie było puste.

— Chcesz, żeby Paladyn przysłał kogoś tutaj, żeby mnie zastąpił? — zapytał Earl.

— Nie — odparł Dan.

— Tak właśnie myślałem.

— Paladyn jest cholernie dobry — oświadczył Dan — i nigdy nie miałem powodu wątpić w ich uczciwość, i nadal nie mam...

— Ale w tym konkretnym przypadku nie ufasz nikomu z Paladyna, tak samo jak nie ufasz nikomu z policji — dokończył Earl.

— Poza tobą — wtrąciła Laura. — Wiemy, że możemy ci ufać, Earl. Gdyby nie ty, zginęłybyśmy obie.

— Nie rób ze mnie bohatera — zaprotestował Earl. — Postąpiłem jak ostatni głupiec. Otworzyłem drzwi Manuellowi.

— Ale przecież nie mogłeś wiedzieć...

— Ale otworzyłem drzwi — powtórzył z uporem Earl i nawet rozległe ślady pobicia nie zdołały przesłonić wyrazu samopotępienia na jego twarzy.

Laura zrozumiała, dlaczego Dan i Earl byli przyjaciółmi. Obaj wykazywali zamiłowanie do pracy, silne poczucie obowiązku oraz skłonność do nadmiernego samokrytycyzmu. Te cechy rzadko występowały we współczesnym świecie, gdzie stawiano raczej na cynizm, egoizm i wygodnictwo.

Dan zwrócił się do Earla:

— Znajdę jakiś motel, wynajmę pokój i zaszyję się tam z Laurą i Melanie na resztę nocy. Myślałem, żeby je zabrać do mojego mieszkania, ale ktoś mógł to przewidzieć.

— A jutro? — zapytał Earl.

— Chcę porozmawiać z paroma osobami...

— Mogę pomóc?

— Jeśli będzie ci się chciało, kiedy rano wstaniesz z łóżka.

— Będzie mi się chciało — zapewnił Earl.

— No więc w Burbank mieszka niejaka Mary Katherine O'Hara. Jest sekretarzem organizacji o nazwie Teraz Wolność. — Podał Earlowi adres i wypisał informacje, których potrzebował od O'Hary. — Chcę także dowiedzieć się czegoś o firmie Przedsiębiorstwa Johna Wilkesa. Kto należy do zarządu, kim są główni akcjonariusze?

— To kalifornijska korporacja? — zapytał Earl.

— Prawdopodobnie — odparł Dan. — Muszę wiedzieć, kiedy została zarejestrowana, przez kogo, jakiego rodzaju działalność prowadzi.

— Skąd się w tym wzięła ta firma Johna Wilkesa? — zapytał Earl, co zaintrygowało również Laurę.

— To długa historia — odparł Dan. — Jutro ci opowiem. Umówmy się na późny lunch, powiedzmy o pierwszej, i razem spróbujemy coś wycisnąć z tego, co wiemy.

— Taak, do tej pory powinienem już zdobyć potrzebne informacje — mruknął Earl. Zaproponował kawiarnię w Van Nuys, ponieważ, jak mówił, nigdy nie widział w tym lokalu nikogo z Paladyna.

— Również gliny tam nie chodzą — oświadczył Dan. — Wygląda nieźle.

— Jest taksówka — oznajmiła Laura, kiedy przednie światła omiotły szklane drzwi i przelotnie rozbłyły w kroplach deszczu drżących na szybach.

Earl spojrział na Melanie i powiedział:

— No, księżniczko, uśmiechniesz się do mnie, zanim odjadę?

Dziewczynka podniosła na niego wzrok, ale Laura widziała, że jej spojrzenie wciąż jest odległe, nieobecne.

— Ostrzegam cię — powiedział Earl — będę łaził za tobą i naprzykrzał się, dopóki nie dostanę tego uśmiechu.

Melanie tylko patrzyła.

Earl odwrócił się do Laury.

— Głowa do góry. Okay? Wszystko się ułoży.

Laura kiwnęła głową.

— I dziękuję za...

— Za nic — przerwał jej Earl. — Otworzyłem im drzwi. Muszę to nadrobić. Zaczekaj, aż to nadrobię, zanim zaczniesz mi dziękować. — Podszedł do drzwi westybulu, pchnął jedno skrzydło, potem obejrzał się na Dana i zapytał:

— Właściwie co ci się stało?

— Co? — nie zrozumiał Dan.

— W czoło.

— Och. — Dan zerknął na Laurę, która domyśliła się z jego miny, że skaleczył się pracując nad tą sprawą i że nie chciał o tym mówić, żeby nie czuła się winna.

— Jedna staruszka walnęła mnie laską — oznajmił.

— Hę? — zdziwił się Earl.

— Pomogłem jej przejść przez ulicę.

— Więc dlaczego cię walnęła?

— Ona nie chciała przejść przez ulicę — wyjaśnił Dan.

Earl wyszczerzył zęby — makabryczny widok na jego pokiereszowanej twarzy — otworzył drzwi, przebiegł przez deszcz i znikł we wnętrzu czekającej taksówki.

Laura zapięła zamek błyskawiczny kurtki Melanie. Razem z Danem wzięli Melanie między siebie i pospieszyli do nieoznakowanego policyjnego sedana.

Powietrze było zimne.

Łał lodowaty deszcz.

Ciemność zdawała się dyszeć złowrogim życiem.

Gdzieś w mroku To czekało.

Pokój w motelu miał dwa podwójne łóżka przykryte purpurowo-zielonymi narzutami, które gryzły się z jaskrawymi pomarańczowo-błękitnymi zasłonami, a te z kolei nie pasowały do krzykliwej żółto-brązowej tapety. Praktycznie w jednej czwartej hoteli i moteli w każdym stanie, od Alaski po Florydę, występował pewien określony rodzaj porażającej oko kolorystyki wnętrza, bardzo dziwacznej i bardzo charakterystycznej, co skłaniało Dana do podejrzeń, że jeden i ten sam straszliwie niekompetentny dekorator miotał się jak szalony po całym kraju, tapetował ściany, obijał meble i zawieszał zasłony, zużywając resztki odrzucone przez fabryki i sklepy.

Łóżka miały zbyt miękkie materace, meble były odrapane i porysowane, ale przynajmniej było czysto. Kierownictwo dostarczyło bez dodatkowej opłaty ekspres do kawy i grzecznościowe foliowe paczuszki Hills Brothers i Mocha Mix. Dan zrobił kawę, kiedy Laura kładła Melanie do łóżka.

Chociaż dziewczynka przepłynęła przez cały dzień sennie jak lunatyczka, zużywając mało energii, było już tak późno, że zasnęła, zanim matka skończyła ją otulać.

Pod jedynym oknem w pokoju stał mały stolik z dwoma krzesłami, gdzie Dan zaniósł kawę. Siedzieli z Laurą w półmroku, tylko jedna mała lampka paliła się tuż za drzwiami. Nie do końca rozsunięte zasłony ukazywały fragment sieczonego deszczem parkingu, gdzie upiorne błękitnawe światło rtęciowych latarni malowało dziwaczne wzory na chromie i szkle samochodów i lśniło niesamowicie na mokrej makadamowej nawierzchni.

Dan słuchał z narastającym zdumieniem i niepokojem, kiedy Laura opowiadała mu resztę historii, którą rozpoczęła w samochodzie: lewitujące radio, które jakby nadało ostrzeżenie, wir powietrzny pełen kwiatów, który wtargnął przez kuchenne drzwi. Najwyraźniej sama ledwie mogła uwierzyć w te nadprzyrodzone zjawiska, chociaż widziała je na własne oczy.

— I co pani o tym myśli? — zapytał Dan, kiedy skończyła.

— Miałam nadzieję, że pan mi to wyjaśni. Opowiedział jej, jak Joseph Scaldone został zabity w pokoju, gdzie wszystkie drzwi i okna były zamknięte od środka.

— Jeśli połączymy tę niemożliwą zbrodnię z wypadkami, które zaszły w pani domu, musimy chyba przyjąć, że działa tutaj jakaś siła... coś, co wykracza poza ludzkie pojęcie. Ale co to jest, do cholery?

— No, myślałam o tym przez cały wieczór i wydaje mi się, że cokolwiek... cokolwiek „nawiedziło” moje radio i przyniosło te kwiaty do kuchni, nie jest tym samym, co zabija ludzi. W retrospekcji widzę, że ta obecność w mojej kuchni, chociaż przerażająca, właściwie nam nie zagrażała. I jak mówiłam, chyba próbowała nas ostrzec, że to, co zabiło Dylana, Hoffritza i innych, w końcu przyjdzie również po Melanie.

— Więc mamy dobrego ducha i złego ducha — podsumował Dan.

— Chyba można tak je nazwać.

— Przyjazne duchy i wrogie duchy.

— Nie wierzę w duchy — oświadczyła Laura.

— Ani ja. Ale widocznie jakimś sposobem, podczas eksperymentów w szarym pokoju, pani mąż i Hoffritz wywołali i uwolnili okultystyczne zjawy, niektóre mordercze, a inne życzliwe, przynajmniej na tyle, żeby ostrzegać przed tymi złymi. I dopóki nie wymyślę lepszego słowa... chyba najlepiej nazywać je duchami.

Zamilkli. Dopili resztki kawy.

Deszcz za oknem bębnił coraz mocniej. Ryczał.

Na drugim końcu pokoju Melanie wymruczała coś przez sen i poruszyła się pod kocami, potem znowu znieruchomiała.

— Duchy. To po prostu... obłąd — powiedziała wreszcie Laura.

— Szaleństwo.

— Idiotyizm.

Dan włączył słabą lampę nad stołem. Z kieszeni marynarki wyjął wydruk listy wysyłkowej Znak Pentagramu. Rozłożył ją i położył przed Laurą.

— Oprócz pani męża, Hoffritza, Ernesta Coopera i Neda Rinka, czy zna pani jeszcze kogoś z tej listy?

Przez dziesięć minut przeglądała nazwiska i znalazła jeszcze cztery znajome.

— Ten — oznajmiła. — Edwin Koliknikow. Jest profesorem psychologii w USC. Często otrzymywał od Pentagonu granty na badania i pomógł Dylanowi nawiązać kontakty w Departamencie Obrony. Koliknikow jest behawiorystą, szczególnie interesuje go psychologia dziecięca.

Dan odgadł, że Koliknikow to również „Eddie”, który był w domu Reginy na wzgórzach Hollywood i który obecnie zabrał ją do Las Vegas.

— Howard Renseveer — podjęła Laura. — Reprezentuje jakąś fundację z dużymi pieniędzmi. Nie jestem pewna którą, ale wiem, że wspierał rozmaite badania Hoffritza i kilka razy rozmawiał z Dylanem o grantie na jego pracę. Nie znałam go dobrze, ale wydawał mi się wyjątkowo niesympatycznym człowiekiem, wyniosłym i aroganckim.

Dan był pewien, że właśnie o tym „Howardzie” opowiadała Regina.

— Ten również — dodała Laura, wskazując kolejne nazwisko na liście. — Sheldon Tolbeck. Przyjaciele nazywają go Shelby. To waga ciężka, psycholog i równocześnie neurolog, który przeprowadził ostateczne badania rozmaitych form dysocjacyjnych zachowań.

— Co to znaczy? — zapytał Dan.

— Dysocjacyjne zachowania? Psychiczne zamknięcie w sobie, katatonii, autyzm... tego rodzaju stany.

— Jak u Melanie.

— Tak.

— Mam powody podejrzewać, że ci trzej mężczyźni współpracowali z pani mężem i z Hoffritzem w badaniach prowadzonych w tym przeklętym szarym pokoju.

Laura zmarszczyła brwi.

— Uwierzę w przypadku Koliknikowa i Renseveera, ale nie Sheldona Tolbecka. On ma nieskazitelną reputację. — Nadal patrzyła na listę. — Jeszcze jeden. Albert Uhlander. Jest pisarzem, pisze dziwne...

— Wiem. To pudło, które przyniosłem z samochodu, jest pełne jego książek.

— On i Dylan prowadzili rozległą korespondencję.

— Na jaki temat?

— Różnych aspektów okultyzmu. Nie wiem dokładnie.

Nie znalazła więcej znajomych nazwisk na długiej liście, lecz rozpoznała wszystkich członków konspiracji oprócz tego wysokiego, siwowłosego, dystygowanego dżentel-

mena, którego Regina знаła tylko jako „Tatusia”. Dan miał przeczucie, że „Tatus” nie był tylko zwykłym sadystycznym zbrodźcą ani kolejnym członkiem zaimprovizowanej grupy badawczej Dylana McCaffreya, lecz kluczem do całej sprawy, główną postacią w spisku.

— Myślę, że ci ludzie — powiedział — Količnikow, Renseveer, Tolbeck i Uhlander, wszyscy zginą. Wkrótce. Coś metodycznie zabija wszystkich związanych z projektem z szarego pokoju, coś, co nazywamy duchem z braku lepszego słowa. Oni sami uwolnili to coś i nie potrafią nad tym zapanować. Jeżeli mam rację, tej czwórce zostało niewiele życia.

— Więc powinniśmy ich ostrzec...

— Ostrzec? To oni doprowadzili Melanie do takiego stanu.

— A jednak, chociaż bardzo chcę ich ukarać...

— Zresztą myślę, że oni już wiedzą, że coś ich tropi — powiedział Dan. — Eddie Količnikow wyjechał z miasta dziś wieczorem. Inni pewnie też wyjadą, jeśli jeszcze nie zniknęli.

Laura milczała przez chwilę. Potem szepnęła:

— I cokolwiek ich ściga... kiedy wreszcie ich dopadnie... przyjdzie też po Melanie.

— Jeśli możemy wierzyć w ostrzeżenie nadane przez pani radio.

— Możemy — potwierdziła ponuro.

Melanie znowu zaczęła mamrotać i jej głos szybko przerodził się w jęki strachu. Dziewczynka rzucała się pod kocami, więc Laura wstała i zrobiła krok w stronę łóżka — lecz nagle zatrzymała się i rozejrzała trwożnie.

— Co się stało? — zapytał Dan.

— Powietrze — wyjaśniła.

Poczuł to, zanim jeszcze odpowiedziała. W pokoju zrobiło się zimniej.

31

Późny wahadłowy lot z LAX wylądował w Las Vegas przed północą. Regina i Eddie pojechali prosto do Desert Inn, gdzie mieli zarezerwowany pokój. Zameldowali się i rozpakowali przed pierwszą w nocy.

Regina była już dwukrotnie w Vegas z Eddiem. Zawsze meldowali się na jej nazwisko, więc nie dowiedziała się nazwiska swojego partnera ani od recepcjonisty, ani od portiera.

Wiedziała tylko, że coś w Vegas nakręcało Eddiego. Może to były światła i ożywienie, może widok i zapach pieniędzy. Bez względu na powód jego apetyt seksualny znacznie wzrastał w Vegas w porównaniu z L.A. Co wieczór, kiedy szli na kolację i przedstawienie, Regina wkładała suknię z dużym dekoltem, którą dla niej wybrał, żeby się nią popisać, ale przez resztę czasu trzymał ją zamkniętą w pokoju, żeby zawsze była pod ręką, kiedy wracał po sesji przy stole do kości lub black jacka. Dwa albo nawet trzy razy dziennie wpadał do pokoju podniecony, z nieco dzikim wzrokiem, spięty, lecz nie zdenerwowany, i używał jej, żeby wyładować nadmiar energii. Czasami zatrzymywał się zaraz przy wejściu, opierał się plecami o drzwi, rozpinał rozporek, kazał jej podejść i uklęknąć, a kiedy skończył, odpychał ją i wychodził bez słowa. Czasami chciał to robić pod prysznicem albo na podłodze, albo w łóżku, ale w dziwacznych pozycjach, które zwykle go nie interesowały. W Vegas czerpał większą satysfakcję z seksu, uprawiał go z większym ogniem i wykazywał jeszcze bardziej rozkoszne okrucieństwo niż w Los Angeles.

Toteż kiedy rozgościli się w pokoju w Desert Inn, Regina oczekiwała, że rzuci się na nią, lecz tej nocy on nie miał ochoty. Zdradzał wyraźne wzburzenie, odkąd przyjechał do jej domu przed kilkoma godzinami, potem trochę się odprężył, kiedy samolot wystartował z lotniska LAX, lecz ten stan nie trwał długo. Teraz wydawał się niemal... rozgorączkowany.

Wiedziała, że uciekał przed kimś lub przed czymś, co zabiło tamtych. Lecz zdumiała ją głębia i siła jego strachu. W jej obecności zawsze był chłodny, odległy, wyniosły. Nie przypuszczała, że mógł podlegać silniejszym emocjom, jak radość czy strach. Jeśli Eddie się bał, to zagrożenie naprawdę jest straszliwe. Nieważne. Ona się nie bała. Nawet gdyby

ktoś dowiedział się, że Eddie ukrywa się w Las Vegas, i przyjechał aż tutaj, żeby dopaść Eddiego, nawet gdyby przy nim również jej groziło niebezpieczeństwo, nie bała się. Była wolna od wszelkiego strachu. Willy ją wyzwolił.

Lecz Eddie nie był wolny i tak się bał, że nie chciał jej rznąć ani spać. Chciał zejść na dół do kasyna i pograć trochę, ale — co dziwne — chciał, żeby Regina z nim poszła. Nie miał ochoty przebywać sam wśród obcych, nawet w tak zatłoczonym publicznym miejscu jak kasyno.

Pośrednio prosił ją o moralne i emocjonalne wsparcie, czego nigdy przedtem nie żądał od niej ani on, ani żaden z jego przyjaciół, i czego zresztą nie mogła im dać — odkąd Willy ją odmienił. Właściwie mogła zbliżyć się do Eddiego jedynie wtedy, kiedy ją wykorzystywał, kiedy ją poniżał i ranił. Słaby, potrzebujący pomocy Eddie budził w niej tylko niesmak i wstręt.

Niemniej o pierwszej piętnaście nad ranem zeszła z nim na dół do kasyna. Chciał, żeby mu towarzyszyła, a ona zawsze robiła, czego od niej chcieli.

W kasynie panował spory ruch, ale tłumy miały napłynąć dopiero za pół godziny, kiedy sala widowiskowa opustoszeje po przedstawieniu o północy. Na razie setki ludzi stały przy migających-mrugających-błyskających automatach do gry, przy półeliptycznych stołach do black jacka i stołach do kości: ludzie w garniturach i sukniach wieczorowych, ludzie w dżinsach i podkoszulkach; świadomie rustykalni kowboje obok mieszczuchów, którzy wyglądali jak ofiary eksplozji w fabryce poliestru; babcie i młode kurewki; japońscy hazardziści prosto z Tokio na firmowej wycieczce i stado sekretarek z San Diego; bogaci i niezbyt bogaci; wygrani i przegrani; więcej przegranych; trzystufuntowa dama w jaskrawożółtym kaftanie i dopasowanym turbanie, która stawiała tysiąc dolarów na każde rozdanie w black Jacku, ale wiedziała tak mało o grze, że regularnie rozdelała pary dziesiątek; zalany nafcjarz z Houston, który przy każdym rozdaniu stawiał pięćdziesiąt dolarów za rozdającego i tylko dwadzieścia pięć za siebie; umundurowani ochroniarze, tacy ogromni, jakby zjadali meble na śniadanie, ale mówiący cicho i nieskazitelnie uprzejmi; krupierzy od kości i black Jacka w czarnych spodniach i białych koszulach z czarnymi muszkami; obsługa w smokingach przy stole do bakarata; kierownicy zmiany i ich pomocnicy, wszyscy w dobrze skrojonych ciemnych garniturach, wszyscy z tym samym bystrym, przenikliwym i podejrzliwym wzrokiem. Raj dla obserwatora ludzi.

Trzymając się u boku Eddiego, który niestrudzenie krążył po ogromnej sali, przechodził od stolika do stolika, ale nigdzie nie zagrał, Regina reagowała na zgiełk Vegas w sposób dla niej nietypowy. Przyspieszony puls, nagły przypływ adrenaliny, dziwne elektryzujące podniecenie, od którego mrowiła skóra — to wszystko kazało jej wierzyć, że stanie się coś wielkiego. Nie wiedziała, co się stanie, ale wiedziała, że już się zbliża. Wyczuwała to. Może wygra dużo pieniędzy. Może właśnie o tym mówią ludzie, którzy

opowiadają, że „mieli szczęście”. Regina nigdy jeszcze nie miała szczęścia. Nigdy jeszcze nie czuła się szczęśliwa. Może dzisiaj też nie będzie miała szczęścia, ale wyczuwała, że coś się stanie. Coś wielkiego. Niedługo.

W motelowym pokoju robiło się coraz zimniej. Melanie kręciła się we śnie i kopała nogami koce. Gwałtownie wciągnęła powietrze, jęknęła cicho i wymamrotała:

— Drzwi... te... drzwi...

Dan podszedł do drzwi i sprawdził zamek, ponieważ dziewczynka jakby wyczuwała, że coś nadchodzi.

— ...zamknij je!

Drzwi były zamknięte na klucz.

Temperatura powietrza spadła jeszcze bardziej.

— Nie... nie... nie wypuszczaj tego! — szeptała natarczywie Melanie.

Chyba „nie wpuszczaj”, pomyślała Laura. Ona powinna się bać, że coś wejdzie do środka.

Melanie rzucała się, dygotała, głośno łapała powietrze, ale nie obudziła się ze snu.

Przytłoczona poczuciem całkowitej bezsilności, Laura rozejrzała się po małym pomieszczeniu, próbując odgadnąć, który nieożywiony przedmiot, podobnie jak radio w jej kuchni, nagle zbudzi się do życia.

Dan Haldane wyciągnął rewolwer.

Laura odwróciła się w obawie, że okno eksploduje, że drzwi rozprysną się w drzazgi, że krzesła lub telewizor nagle ożyją i ruszą do ataku.

Dan został w pobliżu drzwi, jakby spodziewał się zagrożenia z tamtej strony.

Lecz wówczas zakłócenia ustały równie nagle, jak się zaczęły. Powietrze znowu się ociepliło. Melanie przestała dyszeć i pojękiwać, umilkła. Leżała na łóżku całkiem nieruchomo, oddychała niezwykle spokojnie i głęboko.

— Co się stało? — zapytał Dan.

— Nie wiem — odparła Laura.

W pokoju było teraz tak ciepło jak przed zakłóceniami.

— Skończyło się? — zapytał Dan.

— Nie wiem.

Melanie była blada jak śmierć.

Regina nosiła suknię z obnażonymi ramionami, dlatego poczuła zmianę w powietrzu wcześniej niż Eddie. Stali przy stole do kości, obserwując grę i Eddie nie mógł zdecydować, czy postawić razem z rzucającym. Ludzie tłoczyli się ze wszystkich stron i w kasynie było gorąco, tak gorąco, że Regina marzyła o wachlarzu. Potem nagle w atmosferze zaszła zmiana. Regina zdrzaskała i zobaczyła gęsią skórę na swoich ramionach.

Przez chwilę myślała, że kierownictwo przesadnie zareagowało na zaduch i za bardzo podkreśliło klimatyzację, ale potem zorientowała się, że temperatura spadła zbyt szybko i gwałtownie jak na efekty zwykłej klimatyzacji.

Kilka innych kobiet też poczuło chłód, a potem zmiana dotarła do świadomości Eddiego i wywarła zdumiewający skutek. Eddie odwrócił się od stołu, zadygotał i objął się ramionami. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie. Skóra zrobiła się bezkrwista i biała jak alabaster, oczy straciły blask. Spojrzał dzikim wzrokiem w lewo i w prawo, potem, porzuciwszy Reginę, przepchnął się przez tłum zgromadzony wokół stołu i zaczął łokciami torować sobie drogę w stronę szerokiego przejścia pomiędzy rzędami stołów do gry. Poruszał się nierównymi zrywami jak pod wpływem paniki.

— Eddie? — zawołała za nim.

Nie obejrzał się na nią.

— Eddie!

Teraz zrobiło się zimno jak w grudniu, przynajmniej obok stołów do kości. Ludzie komentowali głośno ten nagły i niewytłumaczalny mróz.

Regina przepchnęła się przez tłum w pogoni za Eddie. Dotarł do głównego przejścia i znalazł wolne miejsce. Okręcał się w kółko z uniesionymi ramionami, jakby spodziewał się ataku i zamierzał odeprzeć napastnika. Ale żaden napastnik się nie pokazał i Regina pomyślała, że facetowi odbiło. Ciągle zbliżała się do niego i teraz zobaczyła, że ochroniarz również zauważył dziwne zachowanie Eddiego i zmierza w jego stronę.

Ponownie zawołała Eddiego, lecz nawet jeśli usłyszał, nie miał szans odpowiedzieć, bo w tej samej chwili coś uderzyło go tak mocno, że zatoczył się w bok. Zderzył się z ludźmi przechodzącymi obok stołów do black jacka i upadł na kolana.

Ale kto go uderzył?

Przez tę krótką chwilę znajdował się na wysepce pustej przestrzeni pomiędzy szerokimi strumieniami ludzi. Nikt nie podszedł do niego bliżej niż na sześć czy osiem stóp. Ale coś go uderzyło. Włosy miał w nieładzie i twarz zalaną krwią.

Jezu, tyle krwi.

Zaczął krzyczeć.

Wodospad dźwięków przelewał się przez zatłoczone kasyno — radosne okrzyki i pohukiwania wygrywających w kości, odwieczna litania dealerów i graczy w black jacka, trzask kart, stukot kości, tyk-tyk-tyk koła fortuny, hurgot i grzechot kulki w ruletce, śmiech, jęki zawodu na widok złej karty, przenikliwe dzwonienie i wycie syren z tych automatów, które wypłacały wygraną, grzmiąca muzyka kwartetu przygrywającego w westybulu — lecz wszystko ucichło, kiedy Eddie zaczął krzyczeć. Przeraźliwe, mrozące krew w żyłach wrzaski brzmiały jak wycie potwora z koszmarnego snu. Sam ten szokujący koncert ryku i zawodzenia wystarczyłby, żeby przyciągnąć uwagę, teraz jednak niewidzialne wzmacniacze — albo jakaś dziwna potęgująca dźwięk właści-

wość zimnego, zadymionego powietrza — podchwyciły wrzask, powtórzyły go echem i ponownym echem, podwoiły i potroiły siłę głosu. Zupełnie jakby niewidzialny potwór szydził z ofiary, nagłaśniając jej wrzaski do jeszcze bardziej histerycznego poziomu. Wszelkie rozmowy ucichły, potem ustały gry i nawet orkiestra umilkła, i jedynym dźwiękiem — poza krzykami bólu, udręki i strachu — było dzwonięcie automatu w odległym zakamarku przestronnej sali.

Ludzie odsuwali się od Eddiego, zostawiali mu więcej miejsca.

Regina również zatrzymała się, kiedy zobaczyła go wyraźnie. Prawe ucho zwisało mu bezwładnie, urwane do połowy, broczące krwią. Cała prawa strona twarzy krwawiła jak obdarta ze skóry, na głowie brakowało kępki wyrwanych włosów. Wyglądał jak obity kijem przez piekielnie silnego i rozwścieczonego napastnika, ale jeszcze nie stracił przytomności. Wypluł krew i wybite zęby, zaczął podnosić się z kolan, ale otrzymał cios tak silny, że jego krzyki zamilkły. Coś podniosło go z podłogi i cisnęło w tłum gapiów przy sąsiednim stole do kości. Ludzie rozbiegli się, ich krzyki zmąciły krótką nie-naturalną ciszę i nawet ochroniarz, który zmierzał do Eddiego, zatrzymał się zdumiony i przestraszony.

Eddie upadł jak sterta zakrwawionych łachmanów, lecz natychmiast poderwał się ponownie, chociaż nie z własnej woli. Postawiono go na nogi jak marionetkę kierowaną przez niewidocznego lalkarza. Wykonał kilka chwiejnych, nierównych kroków dalej od stołu, zgiął się, obrócił, potknął i zatoczył na boki, podskoczył, zawirował, jakby straszliwe pioruny biły nad głową niewidocznego lalkarza, spływały po sznurkach na tę krwawą marionetkę i zmuszały ją do spazmatycznych pląsów.

Regina ustąpiła z drogi, kiedy Eddie przetoczył się obok niej. Szaleńczo młócił ramiionami na wszystkie strony, jakby lalkarzowi poplątały się sznurki. Prawie oko miał podbite i zamknięte, ale lewe mrugało, obracało się i gorączkowo szukało widmowego napastnika. Wpadł na wolne stołki przy stole do black jacka, przewrócił jeden, a patrzący ze zdumieniem dealer umknął w popłochu.

Kierownik zmiany krzyczał do telefonu, żądając przysłania dodatkowych strażników z ochrony. Eddie uchwycił się stołu do black jacka, jak tonący człowiek chwyta się trawy na wzburzonym morzu, i próbował stawić opór nieznanej sile czy istocie, która go szarpała. Lecz znacznie potężniejsza moc uniosła go z podłogi. Zawisł nad stołem, szamocząc się i wierzgając, utrzymywany w powietrzu jakby za pomocą czarów. Ten widok wywołał w tłumie najpierw gorączkową paplaninę, a potem pomruk zdumienia, niedowierzania i strachu. Nagle Eddie runął gwałtownie na powierzchnię stołu, pomiędzy karty, żetony i niedopite drinki porzucone przez graczy, którzy przed chwilą uciekli. Dźwignięto go i ponownie rzucono na stół, tym razem tak mocno, że stół załamał się pod nim; Eddiego na pewno pękł kręgosłup.

Lecz to nie był koniec jego męki. Postawiono go na nogi raz jeszcze i popchnięto

głową naprzód przez przejście pomiędzy stołami do kości i black Jacka, w stronę gąszczy jaskrawo świecących automatów. Ubranie miał podarte i zakrwawione, krew chlustała z niego, kiedy bezwładnie pędził przez kasyno. Był już nieprzytomny, może nawet martwy, bezwładny worek zmasakrowanego ciała i pogruchotanych kości, ożywionych nadnaturalną mocą.

Niezdrowa ciekawość tłumu przegrała walkę ze strachem. Ludzie biegli, przepychali się, deptali po sobie, niektórzy kierowali się do frontowych drzwi, inni do sali widowiskowej albo kawiarni, albo na schody prowadzące na antresolę, byle tylko uciec jak najdalej od tej koszarnej, przerażającej postaci, która przypominała wszystkim zdeklarowanym eskapistom z tego Disneylandu dla dorosłych o śmierci, tajemnicy i przewrotności wszechświata.

Oszołomiona, przejęta mrocznym dreszczem, którego natury nie potrafiła określić, chociaż odczuwała go tak mocno, Regina towarzyszyła Eddiemu w jego makabrycznej pielgrzymce ku rzędom automatów. Trzymała się piętnaście stóp z tyłu i wiedziała, że ochroniarze z kasyna posuwają się za nią.

Jeden z nich powiedział:

— Stać! Niech pani się zatrzyma.

Obejrzała się na nich. Trzech potężnych strażników w mundurach. Trzymali broń w pogotowiu. Wszyscy byli bladzi i roztrzęsieni.

— Z drogi — rozkazał jeden z nich, a następny wymierzył w nią z rewolweru.

Uświadomiła sobie, że mogli pomyśleć, że ona jest w jakiś sposób odpowiedzialna za niemożliwe rzeczy, które zrobiono Eddiemu. Ale co właściwie myśleli? Że ona dysponuje nadprzyrodzoną mocą psychiczną i cierpi na manię zabójczą?

Zatrzymała się zgodnie z rozkazem, ale ponownie odwróciła się do Eddiego. Już tylko dziesięć stóp dzieliło go od automatów.

Prosto przed Eddiem dwudziestu chromowanych jednorękich bandytów — cały jeden rząd — zostało uruchomionych jakby czarami. Dwadzieścia cylindrów zawirowało jednocześnie.

W okienkach migwały rozmazane serie wisienek, dzwonków, limonek i innych symboli tak szybko, że zlewały się w bezkształtne smugi barw. Cylindry wirowały przez kilka sekund, a potem wszystkie dwadzieścia zestawów zatrzymało się jednocześnie i we wszystkich okienkach maszyn pojawiły się cytryny.

Eddie gibnął się do przodu, opuścił głowę — czy raczej niewidzialny stwór opuścił mu głowę — runął prosto na świecący automat i rąbnął w niego głową dostatecznie mocno, żeby rozbić sobie czaszkę. Upadł. Ale natychmiast podniesiono go, szarpnięto do tyłu i po raz drugi pchnięto brutalnie na automat. Upadł. Został podniesiony. Odciągnięty do tyłu. Pchnięty do przodu. Tym razem uderzył w maszynę z taką siłą, że rozbił pleksiglasowe okienko i wyrwał szybkę z ramy.

Martwy człowiek upadł na podłogę.

Leżał bez ruchu, zakatowany.

Powietrze przez chwilę pozostało lodowate.

Regina objęła się ramionami.

Miała wrażenie, że coś ją obserwuje.

Potem zrobiło się cieplej i Regina wyczuła, że to coś, czymkolwiek było, odeszło.

Spojrzała na Eddiego. Wyglądał jak krwawy strzęp, nie do rozpoznania. W głębi serca Regina trochę litowała się nad nim, lecz przede wszystkim próbowała sobie wyobrazić, jaka była jego śmierć, co czuje się w tych ostatnich brutalnych minutach niewyobrażalnie intensywnego bólu, wszechogarniającego bólu, rozdzierającego i słodko wypełniającego bólu.

Melanie leżała spokojnie przez kilka minut, dostatecznie długo, żeby Laura uznała, iż najgorsze minęło, a Dan odłożył rewolwer. Kiedy wrócili do małego stolika pod oknem, dziewczynka ponownie zaczęła rzucać się i jęczeć. W pokoju zrobiło się zimno. Z walącym sercem Laura znowu podeszła do łóżka.

Rysy Melanie były groteskowo wykrzywione — nie z bólu, lecz (jak się wydawało) z przerażenia. W tamtej chwili wcale nie przypominała dziecka. Wydawała się... nie stara... lecz pomarszczona, przytłoczona brzemieniem jakiejś ohydnej i bolesnej wiedzy, daleko wykraczającej poza jej wiek, wiedzy przynoszącej lęk i cierpienie, wiedzy o mrocznych sprawach, jakich lepiej nie znać.

TO nadchodziło albo już nadeszło. Prymitywnym instynktem, którego sama nie rozumiała, Laura wyczuwała złowrogą moc podchodzącą coraz bliżej. Zjeżyły jej się drobne włoski na ramionach i na karku.

TO.

Desperacko rozejrzała się po pokoju. Żadnych demonicznych stworów. Żadnych piekielnych straszyleł.

No pokaż się, cholerniku, pomyślała gniewnie. Kimkolwiek jesteś, czymkolwiek jesteś, skądkolwiek przychodzisz, daj nam jakiś konkret, do którego można strzelać.

Lecz To pozostało poza zasięgiem jej zmysłów i jedynym wyczuwalnym znakiem jego obecności był chłód, którym zawsze się otaczało.

Temperatura powietrza spadała nieprawdopodobnie szybko, szybciej niż przedtem i tak nisko, że oddechy ludzi tworzyły widoczne obłoczki pary. Na szybach i lustrze pojawiła się wilgoć i skryształizowała się w szron, który stwardniał na lód. Lecz zaledwie po trzydziestu, czterdziestu sekundach powietrze znowu się ociepliło. Dziecko przestało jęczeć i raz jeszcze niewidzialny wróg odszedł, nie wyrządziwszy jej krzywdy.

Melanie nagle szeroko otwarła oczy, ale wciąż wpatrywała się w coś ze swojego snu.

— To ich dopadnie.

Dan Haldane pochylił się nad nią i położył dłoń na jej chudym ramieniu.

— O co chodzi, Melanie?

— To. To ich dopadnie — powtórzyła dziewczynka nie tyle do niego, ile do siebie.

— Co to za cholerny stwór? — zapytał Dan.

— To ich dopadnie — wymamrotała dziewczynka i zadrżała.

— Spokojnie, skarbie — odezwała się Laura.

— A potem — ciągnęła Melanie — dopadnie mnie.

— Nie — zapewniła ją Laura. — Obronimy cię, Melanie. Przysięgam.

Dziewczynka powiedziała:

— To wyjdzie... ze środka... i zje mnie... zje mnie całą...

— Nie — zaprzeczyła Laura. — Nie.

— Ze środka? — zdziwił się Dan. — Ze środka czego?

— Zje mnie całą — beznadziejnie powtórzyła dziewczynka.

— Skąd to wychodzi? — zapytał Dan.

Dziecko wydało przeciągły, powoli cichnący skowyt, który zabrzmiał bardziej jak westchnienie rezygnacji niż jęk strachu.

— Czy coś tutaj było przed chwilą, Melanie? — wypytywał Dan. — Ten stwór, którego tak się boisz... czy był w tym pokoju?

— To chce mnie — oznajmiła dziewczynka.

— Jeśli to chce ciebie, dlaczego cię nie zabrało, kiedy tutaj było?

Dziewczynka nie słuchała. Cichym, zachrypłym głosem powiedziała:

— Drzwi...

— Jakie drzwi?

— Drzwi do grudnia.

— Co to znaczy, Melanie?

— Drzwi...

Dziewczynka zamknęła oczy. Oddech jej się zmienił. Zapadła w sen.

Patrząc nad łóżkiem na Dana, Laura powiedziała:

— To chce najpierw innych, ludzi związanych z eksperymentem w szarym pokoju.

— Eddie Količnikow, Howard Renseveer, Sheldon Tolbeck, Albert Uhlander i może jeszcze inni, o których nie wiemy.

— Tak. Gdy tylko oni wszyscy zginą, To przyjdzie po Melanie. Tak powiedziała dzisiaj wieczorem w domu, kiedy radio zostało... nawiedzone.

— Ale skąd ona o tym wie?

Laura wzruszyła ramionami. Popatrzyli na śpiącą dziewczynkę.

— Musimy przebić się przez ten... ten jej trans, żeby nam powiedziała, co powinniśmy wiedzieć — oświadczył Dan.

— Próbowałam dzisiaj wcześniej. Terapia hipnozy regresyjnej. Ale nie odniosłam

wielkiego sukcesu.

— Może pani spróbować jeszcze raz?

Laura kiwnęła głową.

— Rano, kiedy córka trochę odpocznie.

— Nie możemy tracić czasu...

— Ona potrzebuje wypoczynku.

— No dobrze — ustąpił niechętnie.

Wiedziała, co myślał: Jeśli zaczekamy do rana, miejmy nadzieję, że nie będzie za późno.

Laura spała z Melanie w drugim łóżku, a Dan zajął pierwsze, ponieważ stało bliżej drzwi, czyli ewentualnego źródła kłopotów. Leżał w koszuli, spodniach, butach i skarpetkach; gotów do szybkiego działania. Zostawili zapaloną jedną lampę, ponieważ po wydarzeniach całego dnia nie ufali już ciemności. Dan słuchał głębokiego, spokojnego oddechu śpiących.

Nie mógł spać. Myślał o zmasakrowanych zwłokach Josepha Scaldonego, o zabitych ludziach w Studio City, o Reginie Savannah Hoffritz, która żyła fizycznie i umysłowo, lecz jej dusza została zamordowana. I jak zawsze, kiedy rozmyślał zbyt długo o tysiącnych odmianach morderstwa i zastanawiał się nad ludzką skłonnością do zabijania, nieodmiennie wracał myślami do zmarłego brata i zmarłej siostry.

Nigdy ich nie znał. Nie za życia. Zmarli, zanim poznał ich nazwiska i zaczął ich szukać. Co do niego, nie urodził się ani jako „Dan”, ani jako „Haldane”. Pete i Elsie Haldane adoptowali go, kiedy miał niecały miesiąc. Prawdziwi rodzice nazywali się Loretta i Frank Detwiler i przyjechali do Kalifornii z Oklahomy w pogoni za fortuną, której nigdy nie zdobyli. Zamiast tego Frank zginął w wypadku samochodowym, kiedy Loretta była w ciąży z trzecim dzieckiem; podczas ciąży wystąpiły poważne komplikacje i Loretta zmarła dwa dni po urodzeniu Dana. Nazwała go James. James Detwiler. Ale ponieważ nie miała krewnych i nikt nie przejął opieki nad trojgiem dzieci Detwilerów, rozdzielono je i oddano do adopcji.

Pete i Elsie Haldane nigdy nie ukrywali, że nie byli naturalnymi rodzicami Dana. Kochał ich i z dumą nosił ich nazwisko, ponieważ byli dobrymi ludźmi i wszystko im zawdzięczał. A jednocześnie wciąż myślał o swoich prawdziwych rodzicach i pragnął poznać ich tożsamość.

Z powodu przepisów obowiązujących agencje adopcyjne w tamtych czasach, Elsie i Pete nie wiedzieli nic o rodzicach dziecka, powiedziano im tylko, że naturalna matka i naturalny ojciec nie żyją. Ten jeden fakt jeszcze bardziej rozpałił ciekawość Dana, że rodzice nie porzucili go rozmyślnie, tylko stracił ich przez pechowe zrządzenie losu.

Na studiach Dan rozpoczął walkę z adopcyjną biurokracją, żeby zdobyć kopie akt

agencji. Poszukiwania zabrały dużo czasu, lecz po wielu staraniach i sporych wydatkach Dan poznał swoje prawdziwe nazwisko i ze zdumieniem dowiedział się, że ma siostrę i brata. Brat, Delmar, miał cztery latka, kiedy Loretta Detwiler zmarła, a siostra Carrie liczyła sześć lat.

Poprzez rejestry agencji adopcyjnej, które uległy częściowemu zniszczeniu w pożarze i nie były tak dokładne, jak życzyłby sobie Dan, rozpoczął jeszcze żmudniejsze poszukiwania zaginionego rodzeństwa. Pete i Elsie Haldane zawsze zapewniali mu głębokie i trwałe poczucie więzi rodzinnej; traktował ich braci i siostry jak prawdziwych wujków i ciotki, uważał ich rodziców za swoich dziadków i kochał ich wszystkich. A jednak... wciąż dręczyła go dziwna pustka, niejasne i niemiłe poczucie zagubienia, które pozostanie — wiedział o tym — dopóki nie odnajdzie i nie uściska swoich krewnych. Tysiąc razy od tamtej pory żałował, że w ogóle zaczął ich szukać.

Tropiąc wstecz przez lata, odnalazł w końcu brata Delmara. W grobie. Nazwisko na nagrobku brzmiało Rudy Kessman, nie Delmar ani Detwiler. Tak nazwali Delmara przybrani rodzice.

Osierocony przez matkę w wieku czterech lat, Delmar doskonale nadawał się do adopcji i szybko znalazł miejsce u młodej pary — Perry i Janette Kessmanów — w Fullerton, Kalifornia. Lecz agencja adopcyjna nie przeprowadziła wystarczająco dokładnego wywiadu i nie wykryła entuzjazmu pana Kessmana dla nowych, niebezpiecznych i często nielegalnych doświadczeń. Perry Kessman ścigał się podrasowanymi samochodami, co oczywiście było zgodne z prawem. Pasjonowały go motocykle, co było potencjalnie niebezpieczne, lecz bynajmniej nie zabronione. W dokumentach podał wyznanie katolickie, często jednak eksperymentował z nowymi kultami, nawet przez kilka miesięcy uczęszczał do kościoła panteistów i przez dłuższy czas należał do grupy czczącej UFO; ale nikt nie oskarża człowieka, który szuka Boga, nawet jeśli szuka Go w niewłaściwych miejscach. Kessman ponadto palił marihuanę, wykroczenie poważniejsze w tamtych czasach niż teraz, chociaż nadal nielegalne. Później przerzucił się na haszysz, środki pobudzające i uspokajające oraz rozmaite inne substancje. Pewnej nocy, pod wpływem halucynacji w narkotycznym stanie paranoi albo też składając krwawą ofiarę jakiemuś nowemu bogu, Perry Kessman zabił żonę, przybranego syna i na koniec siebie.

Rudy-Delmar-Kessman-Detwiler został zamordowany w wieku siedmiu lat. Krócej nosił nazwisko Kessman niż Detwiler.

Teraz, leżąc na motelowym łóżku w nikłym świetle, które prawie nie rozpraszało ciemności, tylko ubierało wszystkie znajome przedmioty w tajemnicze cienie, Dan nawet nie musiał zamykać oczu, żeby zobaczyć cmentarz, gdzie wreszcie odnalazł starszego brata. Nagrobki wyglądały jednakowo, osadzone płasko w ziemi, żeby nie psuły pięknych zarysów falistego krajobrazu. Każdy nagrobek stanowił prostokąt granitu, pośrodku każdego prostokąta znajdowała się wypolerowana miedziana tabliczka z nazwi-

skiem zmarłego, datą urodzenia i datą śmierci, a czasami cytatem z Pisma Świętego lub kilkoma czułymi słowami. W przypadku Delmara nie było żadnego cytatu z Biblii, żadnych pożegnalnych słów, tylko nazwisko i daty, zimne i bezosobowe. Dan dobrze pamiętał ten ciepły październikowy dzień na cmentarzu, łagodny wietrzyk, cienie brzoź i krzewów laurowych na bujnej zielonej trawie. Lecz przede wszystkim przypominał sobie, co czuł, kiedy upadł na kolana i położył dłoń na miedzianej tabliczce, która wyznaczała miejsce spoczynku nieznanego brata: dojmujące, przytłaczające poczucie straty, które zaparło mu dech w piersiach.

Chociaż minęło wiele lat, chociaż już dawno pogodził się z wieczną nieobecnością brata, znowu zaschło mu w ustach. Gardło mu się ścisnęło. Ucisk przewędrował do piersi. Dan mógł wtedy zapłakać cicho, jak płakał w inne noce, kiedy wspomnienie powracało nieproszone; zmęczenie szybciej sprowadzało łzy. Lecz Melanie zamamrotała przez sen i wydała cichy okrzyk strachu, i te odgłosy natychmiast poderwały go z łóżka.

Dziewczynka skręcała się pod przykryciem, ale inaczej niż przedtem, nie tak gwałtownie. Jęknęła cicho ze strachu, zbyt cicho, żeby zbudzić matkę. Szarpnęła się, jakby odpychała napastnika, lecz widocznie zabrakło jej sił, żeby stawić zdecydowany opór.

Dan zastanawiał się, jaki potwór z koszmaru ją ściga.

Potem w pokoju nagle się ochłodziło i Dan zrozumiał, że potwór ścigają nie w sennym koszmarze, lecz w rzeczywistości.

Szybko podszedł do własnego łóżka i wziął rewolwer, który leżał na nocnym stoliku.

Powietrze było lodowate. Coraz zimniejsze.

Dwaj mężczyźni siedzieli za stołem przy dużym oknie z kwaterami, grali w karty, pili szkocką z mlekiem i udawali, że spędzają wspólnie kawalerski wieczór i dobrze się bawią.

Wiatr świstał pod okapem chaty.

Noc była mroźna i burzliwa, jak przystało na luty w górach, lecz nie zanosilo się na kolejną śnieżycę. Za oknem wielki księżyc wędrował po gwiazdzistym niebie, rzucał perłowy blask na ośnieżone sosny i jodły, na górską łąkę pokrytą śniegiem.

Daleko uciekli od zatłoczonych ulic i jaskrawych świateł Wielkiej Pomarańczy.

Sheldon Tolbeck wyjechał z Los Angeles razem z Howardem Renseveerem w desperackiej nadziei, że odległość zapewni im bezpieczeństwo. Nie mówili nikomu, dokąd wyjeżdżają — w równie desperackiej nadziei, że morderczy psychogeist nie zdoła ich wytropić w miejscu, którego nie zna.

Wczoraj po południu ruszyli samochodem na północ i dalej na północny wschód, w wysokie góry, do narciarskiego domku opodal Mammoth, gdzie dotarli przed kilkoma godzinami. Domek należał do brata Howarda, lecz sam Howard nigdy przedtem

z niego nie korzystał, nie miał żadnych powiązań z tym miejscem i nikt nie spodziewał się go tutaj.

I tak nas znajdzie, pomyślał ponuro Tolbeck. Jakoś nas wywęszy.

Nie wypowiedział na głos swych domysłów, bo nie chciał drażnić Howarda Renseveera. Energiczny, przebojowy Howard w wieku czterdziestu lat zachował niemal chłopięcy wygląd i jeszcze do niedawna wierzył, że będzie żył wiecznie. Howard uprawiał jogging; Howard starał się nie jadać tłuszczu ani cukru rafinowanego; Howard codziennie medytował przez pół godziny; Howard zawsze oczekiwał od życia wszystkiego najlepszego i życie zwykle mu ulegało. Howard optymistycznie traktował ich szansę. Howard — jak sam twierdził — był absolutnie przekonany, że stwór, którego się lękali, nie mógł podróżować tak daleko ani ich śledzić, jeśli dokładnie zatarli trop. Lecz nie uszło uwagi Tolbecka, że Howard nerwowo spoglądał w okno za każdym razem, kiedy porywisty wiatr głośniej zawył pod okapem dachu, że podskakiwał za każdym razem, kiedy ogień strzelił na kominku. Zresztą sam fakt, że obaj nie spali o tej ponurej godzinie nad ranem, zadawał kłam rzekomej beztrosce Howarda.

Tolbeck dolewał sobie szkockiej i mleka, a Howard Renseveer tasował karty, kiedy w pokoju powiało chłodem. Obaj spojrzeli na kominek, gdzie płomienie strzelały wysoko; wentylatory mruczały, napędzając ciepłe powietrze od paleniska. Żadne okno ani drzwi nie zostały otwarte. I po chwili zrozumieli z mrozącym krew przerażeniem, że to nie był zbłąkany przeciąg, ponieważ robiło się coraz zimniej i zimniej.

To nadeszło. Cudowny, bezbożny adwent. W jednej chwili go nie było, w następnej zjawilo się wśród nich, demoniczne i zabójcze skupisko energii psychicznej.

Tolbeck zerwał się na równe nogi.

Howard Renseveer skoczył tak gwałtownie, że przewrócił swoją szkocką z mlekiem, a potem krzesło. Karty wypadły mu z ręki. Wnętrze chaty zmieniło się w lodownię, chociaż ogień nadal buzował w kominku.

Duży okrągły szmaciany chodnik, który leżał na podłodze pomiędzy dwoma sofami barwy soczystej zieleni, wzniósł się w powietrze na wysokość sześciu stóp. Wisiał tam nie miękki i pofałdowany jak kawałek tkaniny, lecz sztywny i twardy. Potem zaczął wirować coraz szybciej i szybciej, niczym ogromna płyta gramofonowa na niewidocznym talerzu.

Kierowany szaleńczą myślą o ucieczce, która natychmiast wydała mu się beznadziejnie głupia, Tolbeck cofnął się w stronę tylnych drzwi chaty.

Renseveer stał obok stołu, sparaliżowany widokiem wirującego dywanu, wyraźnie niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Nagle dywan opadł jak łachman bez życia. Jedna sofa przeleciała przez pokój z takim impetem, że przewróciła mały stolik i lampę, złamała sobie dwie nogi i rozbiła stojak na czasopisma; błyszczące magazyny rozsypały się po podłodze, trzepocząc kartka-

mi, niczym stado ptaków niezdolnych poderwać się do lotu.

Tolbeck wycofał się z pokoju do wnęki kuchennej, czyli wydzielonej części jednego wielkiego pomieszczenia, które zajmowało cały parter chaty. Prawie dotarł do tylnych drzwi. Zaczął już myśleć, że mu się uda. Nie śmiał odwrócić się plecami do niewidzialnej, lecz realnej istoty w pokoju, tylko wyciągnął rękę za siebie i macał dłonią w powietrzu, szukając klamki.

Rozrzucone karty poderwały się z podłogi i zawirowały wokół Renseveera, ożywione magiczną i złowrogą siłą podobną do tej, która potrafi zmienić miotłę w istne utrapienie dla ucznia czarnoksiężnika. Otoczyły Renseveera ruchliwym rojem niczym liście schwyte w trąbę powietrzną, szeleściły i szurały, trąc o siebie w szaleńczym tańcu. Coś w tym dźwięku przypomniało Tolbeckowi ostrzenie małych noży. Zaledwie odkrył to niepokojące skojarzenie, kiedy zobaczył, że Howard Renseveer, który gorączkowo odganiał od siebie nawałnicę pokrytych plastikiem prostokątów, krwawi z obu rąk i licznych ranek na twarzy. Oczywiście karty nie były dostatecznie twarde ani ostre, żeby głębiej rozciąć skórę... a jednak drapały, kasały, a Renseveer wrzeszczał z bólu.

Tolbeck wyciągnął za siebie jedną rękę i namacał gałkę u drzwi. Nie chciała się przekręcić. Zamknięte na zatrzask. Mógł odwrócić się, znaleźć przycisk i w mgnieniu oka wydostać się z chaty, lecz spektakl w pokoju przyciągał go z hipnotyczną siłą. Strach dodawał energii i jednocześnie paraliżował, wywoływał pragnienie ucieczki i odbierał władzę w nogach.

Karty opadły bezwładnie jak poprzednio dywan. Pokancerowane dłonie Howarda Renseveera wyglądały jak uwięzione w ciasnych szkarłatnych rękawiczkach.

Zanim jeszcze karty spadły na podłogę, coś odrzuciło kratę przed kominka. Płonąca kłoda wystrzeliła z paleniska, przemknęła przez pokój i trafiła Renseveera, zbyt oszołomionego, żeby uchylić się przed tym pociskiem. Kłoda była wypalona do połowy, narzędzie mordu utworzone z drewna, rozżarzonych węgli, popiołu i pełgających płomyków. Kiedy uderzyła Renseveera w brzuch, zwęglona część rozpadła się na czarne, dymiące okruchy, które obsypały mu buty. Lecz nie spalony rdzeń kłody był twardy i sękaty niczym prymitywna, wyjątkowo sadystyczna włócznia, która przebiła żołądek i brutalnie wtargnęła do środka, nie tylko rozrywając naczynia krwionośne i miażdżąc wewnętrzności na swojej drodze, lecz także niosąc ogień w głąb ciała.

Ten groteskowy, mrożący krew w żyłach widok wystarczył, żeby wyleczyć Tolbecka z paraliżu wywołanego strachem, który wcześniej unieruchomił go w drzwiach kuchni na długie, cenne sekundy. Tolbeck znalazł przycisk, przekręcił gałkę, szarpnął drzwi i wyskoczył w noc, ciemność i wiatr, żeby uciec przed śmiercią.

Temperatura powietrza podniosła się równie szybko, jak poprzednio spadła. W motelowym pokoju znowu zrobiło się ciepło.

Dan Haldane zadawał sobie pytanie, co, u diabła, się stało — albo prawie się stało. Co oznaczały zmiany temperatury? Czy jakaś nadprzyrodzona istota była tutaj przez kilka sekund? Jeśli tak, po co się zjawiała, skoro nie zaatakowała Melanie? I dlaczego odeszła?

Melanie jakby wyczuła zniknięcie zagrożenia, ponieważ ucichła i leżała spokojnie pod kocami.

Stojąc przy łóżku, Dan popatrzył na wychudzoną dziewczynkę i po raz pierwszy zauważył, że wyrosnie na równie piękną kobietę jak jej matka. Przeniósł spojrzenie na Laurę, która leżała obok córki głęboko uspiąca, nie słysząc jej cichego mamrotania, nieświadoma kęsającego zimna, które ogarnęło pokój na pół minuty lub dłużej. Jej śliczna twarz w spoczynku przypominała mu oblicza madonn, które oglądał na obrazach w muzeum. Gęste, jedwabiste, kasztanowe włosy Laury, rozrzucone na poduszce w bladobursztynowym świetle pojedynczej żarówki, wyglądały jak utkane z czerwono-złoty blasków jesiennego zachodu słońca. Dan miał ochotę dotknąć ich i poczuć, jak przesypują się przez palce.

Wrócił do własnego łóżka.

Położył się na plecach i zapatrzył się w sufit.

Pomyślał o Cindy Lakey. Zabita przez oszalałego z zazdrości przyjaciela matki.

Pomyślał o swoim bracie Delmarze. Zabity przez naćpanego, niepoczytalnego zastępczego ojca.

Oczywiście pomyślał też o swojej siostrze. Taka była nieunikniona kolejność wspomnień, tych samych każdej nocy, kiedy nie mógł zasnąć: Delmar, Carrie, Cindy Lakey.

W końcu poprzez archiwa agencji adopcyjnej, która rozproszyła rodzinę Detwilerów po śmierci matki, Dan odnalazł siostrę, z którą go rozdzielono, kiedy miał miesiąc, a ona sześć lat. Podobnie jak Delmar leżała w grobie, kiedy Dan wreszcie ją wytropił.

Sześćoletnia w dniu śmierci matki, Carrie bardzo źle zniosła rozpad swojej rodziny. To przeżycie okaleczyło ją psychicznie i emocjonalnie, a problemy z zachowaniem utrudniały jej adopcję. Wędrowała z sierocińca do różnych domów zastępczych, z powrotem do sierocińca i znowu do kolejnych zastępczych domów, na pewno z rosnącym przeświadczeniem, że nigdzie nie należała i nikt jej nie chciał. Jej zachowanie pogarszało się coraz bardziej i wreszcie zaczęła uciekać z tych domów, a po każdej ucieczce władze miały spore trudności z odnalezieniem zbiega. Zanim skończyła siedemnaście lat, nauczyła się wymykać organom ścigania i od tamtej pory żyła wolna, na własną rękę. Wszystkie dostępne fotografie świadczyły, że Carrie była śliczną dziewczyną, lecz niezbyt dobrze radziła sobie w szkole i nie miała żadnego zawodu, więc podobnie jak wiele ślicznych dziewcząt z rozbitych domów wybrała prostytutkę jako sposób zarabiania na życie — czy raczej prostytutka ją wybrała, bo sama Carrie właściwie nie miała wyboru.

Skończyła dwadzieścia osiem lat i była kosztowną dziwką na telefon, kiedy jej krótkie

nieszczęśliwe życie dobiegło końca. Jeden z jej klientów chciał czegoś wyjątkowo specjalnego, ona odmówiła i kłótnia szybko doprowadziła do rękoczynów. Carrie zginęła pięć tygodni wcześniej, zanim Dan ustalił miejsce jej pobytu, i od miesiąca leżała w grobie, kiedy ją odwiedził. Spóźnił się dwanaście lat na spotkanie z bratem, co było smutne, lecz nie tak bolesne, jak głupie trzydzieści dni spóźnienia na spotkanie z siostrą.

Powtarzał w kółko, że byli sobie obcy. Nie mieli nic albo niewiele wspólnego ze sobą. Może nie chciałyby go znać, skoro był glina, a ona prostytutką. Może sam nie chciałby poznać kobiety, na jaką wyrosła jego siostra. Prawie na pewno w danych okolicznościach spotkanie i ewentualny związek przyniosłyby wiele cierpienia i mało radości. Ale miał dopiero dwadzieścia dwa lata i zaczynał staż w policji, kiedy odnalazł grób siostry, a w tym wieku nie był jeszcze taki twardy jak teraz; płakał nad nią. Cholera, nawet teraz, po przeszło piętnastu latach policyjnej roboty, piętnastu latach oglądania ludzi zastrzelonych, zadźganych, uduszonych i pobitych na śmierć, zahartowany przez codzienne obowiązki, nadal czasami opłakiwał ją i utraconego brata, kiedy w najciemniejszej godzinie bezsennej nocy rozpamiętywał przeszłość, która przepadła.

Częściowo obwiniał się za śmierć Carrie. Czuł, że powinien jej szukać z większym poświęceniem, powinien ją znaleźć na czas, żeby uratować. Lecz wiedział również, że nie ponosi żadnej winy. Nawet gdyby odszukał siostrę wcześniej, żadne gesty ani słowa nie przekonałyby jej, żeby porzuciła profesję prostytutki; w żaden sposób nie mógł jej uchronić przed spotkaniem z tym zboczonym klientem. Wyrzuty sumienia dręczyły go niezasażenie. Po prostu kolejny przykład jego kompleksu Atlasa: chciał dźwigać cały świat na własnych ramionach. Rozumiał siebie; potrafił nawet śmiać się z siebie i czasami mawiał, że skoro tak skwapliwie brał na siebie winę, powinien być urodzić się Żydem. Ale zdolność wyśmiewania samego siebie bynajmniej nie umniejszała jego poczucia odpowiedzialności.

Toteż kiedy sen pozostawał irytująco niedostępny, Dan często wracał myślami do Delmara, Carrie i Cindy Lakey. W ciemności dumał nad ludzką skłonnością do morderstwa, obliczał, ile razy nie zdołał ocalić ludzkiego życia, i prędzej czy później zaczynał rozważać koncepcję, że matka umarła przez niego, ponieważ komplikacje przy porodzie spowodowały jej śmierć. Szaleństwo. Lecz już sam temat przyprawiał go o lekkie szaleństwo. Fakt śmierci. Fakt morderstwa. Fakt, że w głębi każdego mężczyzny i kobiety kryje się popędliwy dzikus. Nigdy nie umiał pogodzić się z tymi niepodważalnymi faktami. Uparcie wierzył, że życie jest cenne, a człowiek — szlachetny albo przynajmniej stworzony do szlachetności. Od Delmara przez Carrie do Cindy Lakey: zwykła nocna kolejność wspomnień. Zapuściwszy się tak daleko, często docierał aż na skraj otchłani irracjonalizmu, rozpaczy i poczucia winy, i czasami — nie często, lecz czasami — wstawał, zapalał światło i pił, dopóki nie upił się do nieprzytomności.

Delmar, Carrie, Cindy Lakey.

Jeżeli nie zdoła uratować obu McCaffrey, dopisze ich nazwiska do tej listy i od-
tąd procesja niechcianych wspomnień będzie dłuższa: Delmar, Carrie, Cindy Lakey...
Melanie i Laura.

Wtedy nie będzie mógł dłużej z tym żyć. Wiedział, że jest tylko samotnym glinia-
rzem, zwykłym człowiekiem jak każdy inny, nie żadnym Atlasem czy rycerzem w lśni-
cej zbroi, lecz jakaś częśćka jego duszy chciała, żeby został tym rycerzem; i właśnie ta
częstka — naiwny marzyciel, szlachetny głupiec — nadawała wartość życiu. Gdyby kie-
dyś utracił tę częśćkę, nie dałby sobie rady. Właśnie dlatego musiał chronić Laurę i Me-
lanie zupełnie jak własną rodzinę. Przywiązał się do nich i gdyby teraz pozwolił im
umrzeć, również by umarł — przynajmniej w sensie psychicznym i emocjonalnym.

Delmar, Carrie, Cindy Lakey... procesja dobiegła końca i wreszcie Dan odpły-
nął w sen, kołysany cichymi oddechami Laury i Melanie niczym szumem odległego
morza.

Sheldon Tolbeck wybiegł z chaty na białą łąkę, na śnieg miejscami sięgający kolan.
Górskie zbocze wydawało się podwójnie zlodowaciałe, od ostrego mrozu i zimnego
księżycowego blasku. Uciekając przez noc, Sheldon wydychał pióropusze pary i wzbijał
fontanny śniegu, które płynęły za nim jak duchy, podobne do ektoplazmy w fantasma-
gorycznym świetle księżyca.

Z chaty dobiegały wrzaski Renseveera, które niosły się daleko w mroźnym powie-
trzu i odbijały echem w odległej dolinie. Czysta atmosfera i szczególne ukształtowanie
terenu sprawiały, że echo odbijało się powtórnie i jeszcze raz, i jeszcze raz, niczym chór
potępieńczych wrzasków. Ta ohydna kakofonia brzmiała tak przeraźliwie, jakby drzwi
samego piekła rozwarły się tutaj na wysokościach. Wrzaski dodatkowo wystraszyły
Tolbecka, który pędził tak, jakby diabły deptały mu po piętach.

Miał na sobie buty, ale nie włożył kurtki i początkowo zimny, przenikliwy wiatr za-
dawał mu ból. Po chwili jednak, kiedy w szaleńczym pędzie przemierzał rozległą łąkę,
wiatr zmienił się w tysiące igieł wstrzykujących silny środek znieczulający. W odległości
pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu jardów od chaty zdrętwiały mu twarz i ręce. Ostry
mroz przenikał pod flanelową koszulę i dżinsy. Po stu jardach stracił czucie w całym
ciele jak pod wpływem nowokainy. Wiedział, że to miłosierne odrętwienie potrwa naj-
wyżej kilka minut; zwykły szok, nic więcej. Wkrótce ból powróci i zimno zaatakuje jak
krab, który wgryza się w kości i wyrywa kawałki szpiku lodowymi kleszczami.

Nie wiedząc, dokąd ucieka, kierowany nie rozsądkiem, lecz czystym przerażeniem,
przebrnął przez zaspę nawianą na obrzeżu łąki i znalazł się w lesie. Potężne jodły, sosny
i świerki wznosiły się nad nim. Fosforyczny blask księżyca docierał do podłoża lasu
tylko przez kilka nieregularnych prześwitów w olbrzymich, gęstych koronach drzew.
Tam, gdzie księżycowe promienie przebiły się przez gałęzie, przypominały blade snopy

reflektorów i wszystko w tych smugach nikłej poświaty wydawało się niezziemskie, nie-realne. Gdzie indziej las otulała ciemność o rozmaitych odcieniach, od smolistej czerni, poprzez granat i purpurę, do węglowej szarości.

Tolbeck chwiejnie brnął przed siebie z wyciągniętymi ramionami. Wpadał na drzewa. Potykał się o kamienie i wystające korzenie. Niespodziewanie zjechał do rowu, upadł na twarz, wstał, ruszył dalej. Oczy przyzwyczajały mu się do ciemności dość powoli i nie widział dobrze terenu przed sobą, jednak maszerował w szybkim tempie i często podbiegał parę kroków, ponieważ wrzaski Rensevera ucichły przed paroma minutami — co oznaczało, że teraz on stał się zwierzyną. Potknął się i boleśnie upadł na kolana. Wstał. Poszedł dalej. Przedarł się przez skute lodem zarośla, które trzeszczały, drapały, kłuły i szarpały. Szedł dalej. Zawadził o nisko zwieszoną gałąź sosny, która zerwała mu skórę na głowie; krew spływająca po twarzy wydawała się gorąca jak ukrop. Szedł dalej.

Znalazł się w szerokiej, płytkiej kotlinie, której dno pokrywały kamienie, suche gałęzie, nieliczne kępki zwarzonych mrozem krzaków i muł naniesiony z ostatnim deszczem, zanim jesień przeszła w zimę. Było tutaj trochę lodu, niewiele śniegu w miejscach, gdzie przepuściły go zbite korony drzew, lecz na ogół szło się łatwiej niż poza kotliną. Maszerował tak przez kilkaset jardów, aż kotlina zwężyła się i urwała w pobliżu grzbietu grani.

Wdrapując się na krótki stromy stok, gdzie drzewa rosły rzadziej, czepiał się zarośli i złomów granitu, częściowo oblepionych śniegiem, częściowo obmiecionych do czysta przez wiatr. Dłonie tak mu zmarzły i zesztyniały, że nie czuł zadrapań i siniaków, których niewątpliwie dorobił się podczas wspinaczki.

Wreszcie na szczycie grani wyczerpanie pokonało panikę. Tolbeck osunął się bezwładnie na ziemię, niezdolny do dalszej ucieczki.

Drzewa rosły rzadko, wiatr ponownie go odnalazł, zewsząd otaczał go śnieg i blask księżycy. Tolbeck przez chwilę daremnie usiłował złapać oddech, potem wczołgał się pod osłonę najbliższego granitowego głazu. Skulił się w cieniu i spod przymkniętych powiek spoglądał w głąb parowu, który pozostawił za sobą, z ponurym wyczekiwaniem wpatrując się w niższe, nieoświetlone zbocza.

Jedynym dźwiękiem był wiatr, który szumiał w iglastych gałęziach drzew i szeptał wśród skał na grani. Oczywiście to nie znaczyło, że psychogeist go nie ścigał. Może właśnie wyłaniał się spomiędzy drzew i zbliżał się bezgłośnie.

Wszystko trwało w bezruchu, tylko czasami kłęb śniegu zawirował na grani i gałęzie sosen zakołysały się na wietrze. Tolbeck wbił wzrok w ciemność na dnie kotliny, chociaż rozumiał, że wypatrywanie wroga jest głupie i bezsensowne, gdyż jeśli psychogeist nadejdzie, on go nie zobaczy. Psychogeist nie miał substancji, tylko nieskończoną moc. Nie miał kształtu, tylko siłę. Nie miał ciała, jedynie świadomość i wolę... i maniackalne

pragnienie zemsty, krwi.

Nie wykryje go, dopóki psychogeist nie zaatakuje.

Jeśli go odnajdzie, Tolbeck nie zdoła się obronić.

A jednak nie chciał się poddać, nigdy się nie poddawał i teraz też nie mógł pogodzić się z beznadziejną sytuacją. Drżąc z zimna i zabijając ręce, przywierając do bezpiecznej granitowej formacji, Tolbeck badał wzrokiem las w dole i wytężał słuch, żeby wyłapać każdy dźwięk nie wywołany wiatrem — i powtarzał sobie w kółko, że stwór nie przyjdzie, nie znajdzie go, nie rozedrze na strzępy.

Bezruch oznaczał mniej ciepła w organizmie i już po paru minutach mróz wbił niezliczone szpony w ciało. Tolbeck zadygotał nieopanowanie, zęby mu zaszczekały i odkrył, że nie może do końca rozprostować zgiętych palców, nie okrytych rękawiczkami. Skórę miał nie tylko zimną, ale wysuszoną, wargi mu pękały i krwawiły. Cierpienie tak go przytłoczyło, że nie mógł powstrzymać łez, które zbierały się na wąsach i szczecinie brody, gdzie szybko zamarzały.

Całym sercem żałował, że spotkał na swojej drodze Dylana McCaffreya i Willy'ego Hoffritza, żałował, że w ogóle widział ten szary pokój i dziewczynkę, którą nauczono znajdować drzwi do grudnia.

Kto by pomyślał, że eksperymenty mogą tak dalece wymknąć się spod kontroli albo że taki stwór wyrwie się na wolność?

Coś poruszyło się w dole.

Tolbeck gwałtownie wciągnął lodowate powietrze, aż zapiekło go w gardle i zablokowało w płucach.

Coś trzaskało, tupało, szeleściło.

Jeleń, pomyślał. W tych górach są jelenie.

Ale to nie był jeleń.

Nadal klęczał skulony pod osłoną skały w nadziei, że jeszcze zdoła się ukryć, chociaż wiedział, że sam siebie okłamuje.

Coś zagrzechotało w dole. Niesamowity odgłos zbliżał się, potężniał. Jakiś mały, twardy przedmiot odbił się od klatki piersiowej zaskoczonego Tolbecka i stuknął o zamrzniętą ziemię.

Zobaczył, jak przedmiot odtoczył się dalej i znieruchomiał w blasku księżyca. Kamyk.

Z dołu złośliwy, obłąkany psychoupiór rzucił w niego kamieniem.

Cisza.

Bawił się z nim.

Więcej grzechotania.

Kamień trafił go ponownie, dwa razy, niezbyt mocno, ale mocniej niż za pierwszym razem.

Zobaczył, jak kolejny pocisk spada na ziemię u jego stóp: biały kamyk wielkości fasoli. Grzechotanie wydawały kamyczki, które toczyły się po zboczu kotliny, podskakiwały, spadały i odbijały się od większych kamieni.

Psychogeist namierzył go bezbłędnie.

Tolbeck chciał uciekać. Nie miał siły.

Rozejrzał się dziko w lewo i w prawo. Nawet gdyby znalazł w sobie siłę, nie miał dokąd uciekać.

Spojrzał na nocne niebo. Gwiazdy błyszcząły zimno i ostro. Nigdy jeszcze nie widział nieba tak groźnego.

Zdał sobie sprawę, że się modli. Modlitwa Pańska. Nie modlił się od dwudziestu lat.

Nagle rozległ się donośny hurgot, nawałnica rozpędzonych kamieni, dziesiątki, setki małych kamyczków, szczęk-brzdęk-stuk-puk-szuru-buru-łubudu, które narastało i bębniło jak grad na betonowym parkingu. Potem kaskada skalnych odłamków wyrzycznych z ciemności wleciała ponad grzbietem grani, fale pocisków ledwie dostrzegalnych w bladym świetle księżyca, które bombardowały Tolbecka, odbijały się od czaszki, siekły twarz, ramiona i całe ciało. Żaden z kamyczków nie osiągnął prędkości kuli, żaden nie rozpędził się nawet w połowie wystarczająco, żeby zabić, ale wszystkie zadawały ból.

Teraz to nie wyglądało jak rzucanie kamieniami, tylko jakby siła grawitacji zmieniła kierunek na zboczu, przynajmniej w stosunku do małych kamieni, ponieważ runęły całymi strumieniami, Jezu, setki kamieni, a on tkwił pośrodku tej karzącej rzeki. Podciągnął kolana. Osłonił głowę ramionami. Próbował wcisnąć się głębiej w granitową niszę, gdzie szukał kryjówki, ale kamienie go znalazły.

Od czasu do czasu trafiały go odłamki zbyt wielkie jak na kamienie. Małe głązy. Niektóre nie takie małe. Wydawał okrzyk za każdym razem, kiedy walnął go taki głaz, ponieważ to było boleśniejsze niż cios pięścią.

Krwawił, był posiniaczony i chyba miał złamany lewy nadgarstek.

Twarda muzyka na grani, mordercza perkusja zmieniła brzmienie: werbel lecącego w górę gradu kamyczków przerywały głośniejsze trzaski i łomoty. Te hałasy wydawały skalne odłamki odbijające się od zbocza, żeby na niego spaść. Coś, czego nawet nie widział, zamierzało go ukamienować i już przestał się modlić, tylko krzyczał. Lecz nawet jego wrzaski nie zagłuszały odległego i przerażającego łoskotu prawdziwych głązów, wtaczających się nieubłaganie na wierzchołek grani.

Wydawało się, że całe zbocze poniżej ruszyło z posad i pędziło w górę, jakby kataklizm wyrwał je z ziemskiej skorupy, ponieważ sąd ostateczny skazał planetę na obdarzenie z szat i właśnie tutaj rozpoczynało się wykonanie tego surowego wyroku. Ziemia zdrząła od serii gwałtownych wstrząsów przenoszonych przez granitowe podłoże, jakby każdy podskok każdego nadciągającego głązu wytwarzał ilość energii odpowiadającą

eksplozji granatu.

Tolbeck wrzeszczał teraz ile sił w płucach, lecz nie słyszał własnego głosu przez straszliwy ryk antygravitacyjnej lawiny. Głazy wlatywały ponad granią i spadały wokół niego z ogłuszającym świstem. Odłupane od nich kamienne drzazgi kaleczyły go do krwi, lecz nie został zmiążdżony, jak się spodziewał. Dwa, trzy, dziesięć głazów runęło na ziemię wokół niego i spiętrzyło się nad jego głową, ale trafiły go tylko odłamki rozpryskujące się przy upadku.

Potem głazy znieruchomiały.

Tolbeck czekał, wstrzymując oddech z przerażenia.

Stopniowo ponownie dotarło do niego zimno. I wiatr.

Pomacał dookoła i odkrył, że ściana głazów otoczyła go ze wszystkich stron i zamknęła się nad jego głową niczym prymitywny grobowiec. Były za ciężkie, żeby je odepchnąć. Grobowiec miał szpary, mnóstwo szpar, i kilka przepuszczało promienie księżycowego blasku. Wiatr świszczwał, jęczał i zawodził w szczelinach, ale wszystkie były za małe, żeby pomieścić Tolbecka.

Podsumowując, chociaż wciąż miał dostęp do świeżego powietrza, został pogrzebany żywcem.

Na chwilę ogarnęła go zgroza, potem jednak przypomniał sobie, co stało się z McCafreyem, Hoffritzem i innymi, a wówczas ten rodzaj śmierci wydał mu się niemal miłosierny. Zimno znowu sprawiało mu ból, jakby szczur o lodowych zębach szarpał mu trzewia i wgryzał się w kości. Ale to szybko minie. Po kilku minutach odrętwienie powróci, tym razem na dobre. Krew zaczynała już odpływać w głąb ciała, dalej od przemarzniętej skóry, żeby jak najdłużej chronić żywotne organy. Dopływ krwi do mózgu również zmniejszył się do minimum i nadejdzie senność. Tolbeck zaśnie i nie obudzi się więcej. Nie tak źle. Nie tak źle w porównaniu z tym, co zrobiono Erniemu Cooperowi i innym.

Odrężył się, pogodzony ze śmiercią, gotów przyjąć ją spokojnie teraz, kiedy wiedział, że nie będzie zbyt bolesna.

Tylko wiatr mącił ciszę zimowej nocy.

Z ogromnym znużeniem Tolbeck zwinął się w kłębek w grobowcu i zamknął oczy.

Coś chwyciło go za nos, ścisnęło i wykręciło tak mocno, że łzy trysnęły mu z oczu.

Zamrugał, zamachał rękami, uderzył puste powietrze.

Coś szarpnęło go za ucho. Coś niewidzialnego.

— Nie — poprosił.

Coś dźgnęło go w prawe oko, poczuł rozdzierający ból i zrozumiał, że został oślepiiony.

Psychogeist prześliznął się przez szpary i przyłączył się do niego w prowizorycznym grobowcu z zimnych jak lód kamieni.

Jednak nie czekała go lekka śmierć.

Laura obudziła się w nocy i nie wiedziała, gdzie jest. Lampa z przechylnym abażurem rzucała słabe bursztynowe światło, tworzyła dziwaczne i straszne cienie. Laura zobaczyła drugie łóżko. Spał na nim Dan Haldane, całkowicie ubrany.

Motel. Ukrywali się w pokoju motelowym.

Wciąż zamroczona, z wysiłkiem rozwierając powieki, odwróciła się i spojrzała na Melanie. Wtedy zrozumiała, co ją obudziło. Temperatura powietrza spadała, a Melanie szamotała się słabo pod przykryciem, pochlipywała i pojękiwała ze strachu.

Wewnątrz pokoju znajdowała się teraz... obecność, coś więcej lub mniej niż człowiek, lecz niezaprzeczalnie obce, rzeczywiste, choć niewidzialne. W północy Laura wyraźniej wyczuwała istotę niż wtedy, kiedy dwukrotnie wtargnęła do jej kuchni albo gdy wcześniej nawiedziła ten sam pokój motelowy. Tuż po przebudzeniu wciąż jeszcze kierowała nią podświadomość, znacznie bardziej otwarta na taką fantastyczną percepcję niż świadomy umysł, który przez porównanie przypominał konserwatywnego i czujnego niewiernego Tomasza. Wprawdzie Laura nadal nie miała pojęcia, czym jest ten stwór, ale wyczuwała, że przepłynął przez pokój i zawisł nad Melanie.

Nagle Laura nabrała przekonania, że za chwilę na jej oczach córka zostanie pobita na śmierć. W panice, podobnej do grozy z sennego koszmaru, zaczęła podnosić się z łóżka. Dygotała, każdy jej oddech zamieniał się w parę. Lecz zanim jeszcze odrzuciła koce, powietrze znowu się ociepliło i córka ucichła. Laura zawahała się, popatrzyła na dziecko, rozejrzała się po pokoju, lecz zagrożenie — jeśli jakieś istniało — chyba minęło.

Nie wyczuwała już wrogiej istoty.

Dokąd odeszła?

Dlaczego pojawiła się i znikła po kilku sekundach?

Laura ponownie wśliznęła się pod koce i położyła się twarzą do Melanie. Dziewczynka była straszliwie wycieńczona, chuda i wątła.

Stracę ją, pomyślała Laura. To przyjdzie po nią prędzej czy później i zabije ją, jak zabiło innych, a ja nie będę mogła nic zrobić, żeby To powstrzymać, bo nawet nie rozumiem, skąd To przychodzi ani dlaczego To chce Melanie, ani czym To jest.

Przez chwilę kuliła się żałością na posłaniu, okryta nie tylko kocem i prześcieradłem, lecz również rozpaczą. A jednak z natury nie poddawała się łatwo niczemu i nikomu, więc stopniowo przekonała samą siebie, że rozum rządzi światem i każde zjawisko, nawet najbardziej tajemnicze, można zbadać i zrozumieć, jeśli zastosuje się logiczne podejście i zdrowy rozsądek.

Rano postanowiła ponownie wypróbować na Melanie terapię regresji hipnotycznej, tym razem jednak zamierzała nacisnąć mocniej niż za pierwszym razem. Istniało niebezpieczeństwo, że dziewczynka zmuszona do odtwarzania traumatycznych wspo-

mnień kompletnie się załamie, zanim zdoła sobie z nimi poradzić, lecz podjęcie ryzyka było konieczne, jeśli chciała uratować życie dziecka.

Czym są drzwi do grudnia? Co się za nimi kryje? I jaka potworna istota przez nie przechodzi?

Zadawała sobie te pytania raz po raz, aż wypełniły jej umysł niczym powtarzane w nieskończoność zwrotki kołysanki i pociągnęły ją w dół, w mrok.

Kiedy nadszedł świt, Laura spała głęboko i śniła. We śnie stała przed ogromnymi żelaznymi drzwiami, a nad drzwiami wisiał zegar i tykał, gdy wskazówki przesuwały się do północy. Już tylko sekundy pozostały, nim wszystkie trzy wskazówki nałożą się na siebie (tyk), a wtedy drzwi się otworzą (tyk) i coś żądnego krwi skoczy na nią (tyk), ale nie miała czym zabarykadować drzwi i nie mogła się odsunąć, mogła tylko czekać (tyk), a potem usłyszała skrobanie ostrych pazurów po drugiej stronie drzwi i wilgotny mlaszczący dźwięk. Tyk. Czas uciekał.

CZEŚĆ CZWARTA

TO

CZWARTEK 8.30-17.00

33

Laura siedziała przy stoliku pod oknem, gdzie poprzedniego wieczoru rozmawiała z Danem. Melanie zajęła miejsce po przeciwnej stronie stołu. Dziewczynka znajdowała się pod hipnozą; cofnęła się w czasie. Pod każdym względem prócz fizycznego powróciła do domu w Studio City.

Na dworze nie padał deszcz, lecz zimowy dzień był bez-słoneczny i ponury. Nocna mgła nie odpłynęła. Za motelowym parkingiem ruch uliczny ledwie było widać przez szarą kurtynę.

Laura zerknęła na Dana Haldane'a, który przysiadł na skraju łóżka.

Kiwnął głową.

Laura ponownie odwróciła się do Melanie i zapytała:

— Gdzie jesteś, skarbie?

Dziewczynka zadygotała.

— Loch — powiedziała.

— Czy tak nazywasz szary pokój?

— Loch.

— Rozejrzyj się po pokoju.

Z zamkniętymi oczami, w transie Melanie powoli obróciła głowę w lewo, potem w prawo, jakby oglądała inne miejsce, gdzie teraz rzekomo stała.

— Co widzisz? — zapytała Laura.

— Krzesło.

— To z elektrycznymi kablami i elektrodami?

— Tak.

— Czy czasami każą ci siadać na tym krześle?

Dziewczynka zadrzała.

— Spokojnie. Nie bój się. Nikt cię teraz nie skrzywdzi, Melanie.

Dziewczynka ucichła.

Jak dotąd sesja okazała się znacznie bardziej udana niż pierwsza, którą Laura przeprowadziła poprzedniego dnia. Tym razem Melanie odpowiadała wyraźnie i bez zwło-

ki. Po raz pierwszy od spotkania w szpitalu przedwczorajszej nocy Laura miała pewność, że córka jej słucha, reaguje, i ten postęp wprowadził ją w podniecenie.

— Czy czasami każą ci siadać na tym krześle? — powtórzyła.

Z zamkniętymi oczami dziewczynka zacisnęła małe piąstki, zagryzła wargę.

— Melanie?

— Nienawidzę ich.

— Czy każą ci siadać na tym krześle?

— Nienawidzę ich!

— Czy każą ci siadać na tym krześle?

Łzy wypłynęły spod powiek dziewczynki, chociaż usiłowała je powstrzymać.

— T-tak. Każą mi... siadać... boli... tak bardzo boli.

— I podłączają cię do maszyny biosprężenia zwrotnego obok krzesła?

— Tak.

— Po co?

— Żeby mnie uczyć — odpowiedziało dziecko szeptem.

— Żeby cię uczyć czego?

Melanie drgnęła.

— To boli! Kłuje! — krzyknęła.

— Nie siedzisz teraz na krześle, Melanie. Tylko stoisz obok. Nie czujesz wstrząsów.

Nic nie kłuje. Wszystko w porządku. Słyszysz mnie?

Udręka znikła z twarzy dziecka.

Laura musiała dalej ciągnąć sesję, chociaż robiło jej się niedobrze, kiedy zadawała ból Melanie — ponieważ po drugiej stronie tego bólu, zakopane pod tymi koszmarnymi wspomnieniami kryły się odpowiedzi, wyjaśnienia, prawda.

— Kiedy każą ci siadać na tym krześle, kiedy... zadają ci ból, czego oni próbują cię nauczyć, Melanie? Czego masz się nauczyć?

— Kontrolni.

— Kontrolni czego?

— Moich myśli — odpowiedziała dziewczynka.

— Oni chcą, żebyś co myślała?

— Pustkę.

— Co to znaczy?

— Nicość.

— Chcą, żebyś oczyściła swój umysł. Czy tak?

— I nie chcą, żebym czuła.

— Co czuła?

— Cokolwiek.

Laura spojrzała na Dana. Marszczył czoło i wydawał się równie zdumiony jak ona.

— Co jeszcze widzisz w szarym pokoju? — zwróciła się do Melanie.

— Zbiornik.

— Czy każą ci wchodzić do zbiornika?

— Nago.

Potężne emocje zawierały się w tym jednym słowie „nago”, więcej niż zwykły wstyd i strach, głębokie poczucie całkowitej bezradności i bezbronności, które rozdarło serce Laury. Chciała natychmiast przerwać sesję, obejść stół i chwycić córkę w ramiona, przytulić ją mocno. Ale jeśli istniała nadzieja na ocalenie Melanie, musieli wiedzieć, przez co przeszła i dlaczego, a na razie nie mieli innego sposobu, żeby zdobyć potrzebne informacje.

— Kochanie, chcę, żebyś weszła na te szare stopnie i zanurzyła się w zbiorniku.

Dziewczynka zakwiliła i gwałtownie pokręciła głową, ale nie otworzyła oczu i nie wyrwała się z transu, w który wprowadziła ją matka.

— Wejdz na stopnie, Melanie.

— Nie.

— Musisz robić, co ci każą.

— Nie.

— Wejdz na stopnie.

— Proszę...

Dziewczynka była przerażająco blada. Drobne kropelki potu wystąpiły jej na czole wzdłuż linii włosów. Ciemne kręgi wokół oczu zrobiły się jakby jeszcze większe i ciemniejsze. Zmuszanie dziecka, żeby ponownie przeżywało niedawne tortury, było straszliwie trudne.

Trudne, lecz konieczne.

— Wejdz na stopnie, Melanie.

Wyraz cierpienia wykrzywił rysy dziewczynki.

Laura usłyszała, jak Dan Haldane porusza się niespokojnie na skraju łóżka, ale nie spojrzała na niego. Nie mogła oderwać oczu od córki.

— Otwórz klapę zbiornika, Melanie.

— Bo... boję się.

— Nie bój się. Tym razem nie będziesz sama. Będę z tobą. Nie pozwolę, żeby coś złego się stało.

— Boję się — powtórzyła Melanie.

Te dwa słowa brzmiały w uszach Laury jak oskarżenie: Nie obroniłaś mnie wcześniej, matko, więc dlaczego mam wierzyć, że teraz mnie obronisz?

— Otwórz klapę, Melanie.

— Jest tam — powiedziała dziewczynka drżącym głosem.

— Co tam jest?

- Wyjście.
- Wyjście skąd?
- Ze wszystkiego.
- Nie rozumiem.
- Wyjście... ze mnie.
- Co to znaczy?
- Wyjście ze mnie — powtórzyła roztrzęsiona Melanie.

Laura doszła do wniosku, że na razie za mało wiedziała, żeby wykorzystać ten zwrot w przesłuchaniu. Jeśli zacznie naciskać, dziecko będzie tylko udzielało coraz bardziej surrealistycznych odpowiedzi. Przede wszystkim musiała wprowadzić Melanie do zbiornika i sprawdzić, co tam się stało.

- Kłapa jest przed tobą, skarbie.
- Dziewczynka milczała.
- Widzisz ją?
 - Tak — przyznała niechętnie.
 - Otwórz kłapę, Melanie. Przestań się wahać. Otwórz ją teraz.

Z bezsłownym protestem, który jakoś zdołał wyrazić lęk, ból i odrazę w kilku zniekształconych, nieartykułowanych sylabach, Melanie uniosła ręce i chwyciła drzwi, które w transie były dla niej bardzo rzeczywiste, chociaż niewidoczne dla Laury i Dana. Pociągnęła, a kiedy się otwarły, objęła się ramionami i zadygotała jak od zimnego przeciągu.

- To... ja... otwarałam je.
 - Czy to te drzwi, Melanie?
 - To... kłapa. Zbiornik.
 - Ale to są również drzwi do grudnia?
 - Nie.
 - Czym są drzwi do grudnia?
 - Wyjściem.
 - Wyjściem skąd?
 - Z... ze... zbiornika.
- Zaskoczona Laura wzięła głęboki oddech.
- Zapomnij o tym na razie. Na razie chcę tylko, żebyś weszła do zbiornika.
- Melanie zaczęła płakać.
- Wejdz do środka, kochanie.
 - Bo... boję się.
 - Nie bój się.
 - Mogę...
 - Co?

— Jeśli wejdę do środka... mogę...
— Co możesz?
— Zrobić coś — odparła dziewczynka bezbarwnym głosem.
— Co możesz zrobić?
— Coś...
— Powiedz mi.
— Straszego — dokończyła Melanie tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

Niepewna, czy prawidłowo zrozumiała, Laura zapytała:

— Myślisz, że coś straszego ci się stanie?

Ciszej:

— Nie.

— No więc...

— Tak.

— Czyli jak?

Jeszcze ciszej:

— Nie... tak...

— Kochanie?

Brak odpowiedzi.

Grymas na twarzy dziecka nie oznaczał już wyłącznie strachu. Inna emocja ściągnęła jej rysy, podobna do rozpacz.

— No dobrze — podjęła Laura. — Nie bój się. Spokojnie. Powoli. Jestem z tobą. Musisz wejść do zbiornika. Musisz wejść do środka, ale nic ci się nie stanie.

Napięcie odpłynęło z twarzy Melanie. Dziewczynka osunęła się na krzesło. Nadal miała ponurą twarz. Gorzej niż ponurą. Oczy zapadły się niemożliwie głęboko, zupełnie jakby wwierały się w czaszkę; łatwo było sobie wyobrazić, że po kilku minutach zostaną tylko dwa puste oczodoły. Skóra była biała jak maska wyrzeźbiona z mydła, wargi niemal równie bezkrwiste jak skóra. Dziecko wydawało się niezwykle kruche — nie stworzone z ciała, krwi i kości, lecz z najcieńszej bibułki i najdelikatniejszego pudru — jakby mogło rozsypać się i ulecieć z wiatrem, gdyby ktoś przemówił głośniej albo machnął ręką w jego stronę.

— Może posunęliśmy się dostatecznie daleko jak na jeden dzień — odezwał się Dan Haldane.

— Nie — zaprzeczyła Laura. — Musimy to zrobić. To najszybszy sposób, żeby się dowiedzieć, co te dranie z nią wyrabiały. Mogę przeprowadzić ją przez wspomnienia, nawet bardzo bolesne. Robiłam to już przedtem. Jestem w tym dobra.

Lecz kiedy Laura spojrzała przez stół na swoje blade, wymizierowane dziecko, zakręciło jej się w głowie i musiała powstrzymać falę mdłości. Melanie wyglądała jak martwa. Spoczywała bezwładnie na krzesle, z zamkniętymi oczami, wiotka i bez życia; twarz

przypominała zimne oblicze trupa, rysy zastygły w ostatecznym, bolesnym grymasie śmierci.

Czy te okropne wspomnienia mogły ją zabić, jeśli będzie musiała wyciągnąć je na światło, zanim stanie się gotowa?

Nie. Na pewno nie. Laura nigdy nie słyszała, żeby terapia regresji hipnotycznej zagroziła fizycznemu zdrowiu pacjenta.

A jednak... powrót do szarego pokoju, rozkaz opisanie krzesła, na którym poddano ją elektrowstrząsowej terapii awersyjnej, ponowne zamknięcie w komorze deprivacji sensorycznej... to wszystko jakby wysysało życie z dziewczynki. Jeśli wspomnienia czasami zmieniają się w wampiry, właśnie teraz wampiry piły jej krew.

— Melanie?

— Mmmmmm?

— Gdzie teraz jesteś?

— Płynę.

— W zbiorniku?

— Płynę.

— Co czujesz?

— Wodę. Ale...

— Ale co?

— Ale to też zanika...

— Co jeszcze czujesz?

— Nic.

— Co widzisz?

— Ciemność.

— Co słyszysz?

— Moje... serce... bije, bije... ale... to też zanika.

— Czego oni chcą od ciebie?

Dziewczynka milczała.

— Melanie?

Nic.

Z nagłym naciskiem Laura powiedziała:

— Melanie, nie odpływaj ode mnie. Zostań ze mną.

Dziewczynka poruszyła się i odetchnęła płytko, zupełnie jakby powróciła z odległego, bezgwiazdznego brzegu ciemnej rzeki, która płynęła pomiędzy tym światem a następnym.

— Mmmmmm.

— Jesteś ze mną?

— Tak — potwierdziła dziewczynka, ale tak cicho, że wypowiedziane słowo stano-

wiło zaledwie cień myśli.

— Jesteś w zbiorniku — oznajmiła Laura. — W zbiorniku jest tak jak zawsze... tylko że tym razem jestem z tobą: lina bezpieczeństwa, wyciągnięta ręka. Rozumiesz? Teraz... pływasz. Nic nie czujesz, nic nie widzisz, nic nie słyszysz... ale dlaczego tam jesteś?

— Żeby nauczyć się...

— Czego?

— ...wypuścić.

— Co wypuścić?

— Wszystko.

— Nie rozumiem, skarbie.

— Wypuścić. Wszystko. Mnie.

— Chcą, żebyś nauczyła się wypuszczać siebie? Co to dokładnie znaczy?

— Wyjść poza.

— Gdzie poza?

— Daleko... daleko... daleko...

Laura westchnęła rozczarowana i spróbowała innej taktyki.

— Co myślisz?

Jeszcze zimniejsza i bardziej niesamowita nuta zabrzmiała w głosie dziecka.

— Drzwi...

— Drzwi do grudnia?

— Tak.

— Czym są drzwi do grudnia?

— Nie pozwól ich otworzyć! Trzymaj je zamknięte! — krzyknęła dziewczynka.

— Są zamknięte, skarbie.

— Nie, nie, nie! One się otworzą. Nienawidzę tego! Och, proszę, proszę, pomóż mi, Jezu, mamó, pomóż mi, tato, pomóż mi, nie rób tego, proszę, pomóż mi, nienawidzę, kiedy się otwierają, nienawidzę!

Melanie teraz krzyczała, mięśnie jej szyi napięły się, żyły na skroniach nabrzmiały i pulsowały. Pomimo silnego podniecenia nie odzyskała kolorów; przeciwnie, zbladła jeszcze bardziej.

Dziecko śmiertelnie bało się czegoś, co leży za drzwiami, i przekazało swój strach matce. Laura poczuła zimny dreszcz przebiegający od karku wzdłuż całego kręgosłupa.

Ze sporym podziwem Dan patrzył, jak Laura ucisza i uspokaja przerażoną dziewczynkę.

Sesja tak mocno go zdenerwowała, że czuł się jak samo-niszczący mechanizm zegarowy, który zaraz eksploduje.

Laura zwróciła się do Melanie:

— Okay. Teraz... opowiedz mi o drzwiach do grudnia.

Dziewczynka wzbraniała się przed odpowiedzią.

— O co chodzi, Melanie? Wy tłumacz mi. No, skarbie.

Zduszonym głosem dziewczynka powiedziała:

— To jak... okno do wczoraj.

— Nie rozumiem. Wy tłumacz.

— To jak... schody... które prowadzą tylko na boki... ani w górę, ani w dół...

Laura spojrzała na Dana. Wzruszył ramionami.

— Powiedz mi więcej — zażądała Laura od dziewczynki.

Głosem, który wznosił się i opadał w niesamowitym rytmie, nigdy zbyt głośnym, często zbyt cichym, dziecko powiedziało:

— To jak... kot... głodny kot, który zjadł samego siebie. Głoduje. Nie ma nic do jedzenia. Więc... zaczyna obgryzać koniuszek własnego ogona. Zaczyna zjadać swój ogon... gryzie wyżej... wyżej i szybciej... aż cały ogon znika. Potem... potem zjada swój tył, a potem środek. Je dalej i dalej, pożera samego siebie... aż wreszcie zjada się do ostatniego kawałeczka... zjada nawet własne zęby... i wtedy po prostu... znika. Widziałaś, jak znika? Jak mógł zniknąć? Jak zęby mogły zjeść same siebie? Czy nie zostałyby przynajmniej jeden ząb? Ale nie został. Ani jeden ząb.

Tonem, w którym odbijało się zdumienie widoczne na twarzy Dana, Laura zapytała:

— To właśnie każą ci myśleć, kiedy jesteś w zbiorniku?

— W niektóre dni tak. W inne dni każą mi myśleć o oknie do wczoraj, nic, tylko okno do wczoraj, przez całe godziny... tylko skupiać się na tym oknie... widzieć je... wierzyć w nie... Ale zawsze najlepiej działają drzwi.

— Do grudnia.

— Tak.

— Opowiedz mi o nich, skarbie.

— Jest lato... lipiec...

— Mów dalej.

— Gorący i upalny. Tak mi gorąco... Tobie nie jest gorąco?

— Bardzo gorąco — zgodziła się Laura.

— Dałabym wszystko za... trochę chłodnego powietrza. Więc otwieram frontowe drzwi domu... a za tymi drzwiami jest mroźny zimowy dzień. Pada śnieg. Sople zwisają z dachu na ganku. Robię krok do tyłu i wyglądam przez okna po obu stronach drzwi... i przez okna widzę, że naprawdę jest lipiec... i wiem, że jest lipiec... ciepło... wszędzie jest lipiec... tylko nie za tymi drzwiami... po drugiej stronie tych drzwi... drzwi do grudnia. I wtedy...

— Co wtedy? — ponagliła Laura.

— Przechodzę przez...

— Przechodzisz przez drzwi? — upewniła się Laura.

Melanie nagle otworzyła oczy, zerwała się z krzesła i ku zdumieniu Dana zaczęła okładać się pięściami z całej siły. Małe dłonie wymierzyły serię gwałtownych ciosów w wątłą pierś, biły po bokach, uderzały w biodra.

— Nie, nie, nie, nie! — krzyczało dziecko.

— Powstrzymaj ją! — zawołała Laura.

Dan już zerwał się z łóżka i biegł do dziewczynki. Chwytał ją za ręce, ale uwolniła się z łatwością, która go zaskoczyła. Skąd miała tyle siły?

— Nienawidzę! — wrzasnęła Melanie i uderzyła się mocno w twarz.

Dan znowu próbował ją złapać.

Wykonała unik.

— Nienawidzę!

Chwyła garść własnych włosów i próbowała je wyrwać z czaszki.

— Melanie, skarbie, przestań!

Dan złapał dziewczynkę za nadgarstki i trzymał mocno. Składała się chyba z samych kości i bał się, że zrobi jej krzywdę. Ale gdyby ją wypuścił, zrobiłaby sobie krzywdę.

— Nienawidzę! — zaskrzeczała i bryznęła śliną.

Laura podeszła ostrożnie.

Melanie puściła własne włosy i próbowała podrapać Dana, żeby uwolnić się z jego uścisku. W końcu udało mu się przycisnąć jej ręce do boków, ale wciąż miotła się w prawo i w lewo, kopała go po kostkach i powtarzała:

— Nienawidzę, nienawidzę, nienawidzę!

Laura ujęła twarz córki w obie dłonie i przytrzymała jej głowę, żeby zmusić ją do słuchania.

— Skarbie, co to jest? Czego tak bardzo nienawidzisz?

— Nienawidzę!

— Czego tak bardzo nienawidzisz?

— Przechodzić przez drzwi.

— Nienawidzisz przechodzić przez te drzwi?

— Ich też.

— Kim oni są?

— Nienawidzę ich, nienawidzę ich!

— Kogo?

— Każą mi... myśleć o tych drzwiach, i każą mi wierzyć w te drzwi, a potem każą mi... przechodzić przez te drzwi i nienawidzę ich!

— Nienawidzisz swojego taty?

— Tak!

— Bo każe ci przechodzić przez drzwi do grudnia?

— Nienawidzę tego! — zaskomlała dziewczynka z furią i udręką.

— Melanie, co się dzieje, kiedy przechodzisz przez drzwi do grudnia? — zapytał Dan.

W transie dziewczynka nie słyszała żadnych głosów prócz własnego i matki, więc Laura powtórzyła pytanie.

— Co się dzieje, kiedy przechodzisz przez drzwi do grudnia?

Melanie zaczęła się krztusić. Nie jadła jeszcze śniadania, więc nie miała czym zwymiotować, ale dostała suchych torsji tak gwałtownych, że przeraziły Dana. Trzymał ją i czuł, jak każdy spazm wstrząsa całym ciałem dziewczynki, jakby miał rozerwać ją na kawałki.

Laura nadal obejmowała dłońmi twarz córki, teraz jednak rozluźniła uścisk. Przytrzymała Melanie i jednocześnie pieściła, wygładzała zmarszczki cierpienia, przemawiała czule do dziecka.

Wreszcie Melanie przestała się szamotać, zwiotczała, i Dan włożył ją w ramiona matki.

Dziewczynka pozwoliła się objąć i beznadziejnie smutnym głosem, który zmroził serce Dana, powiedziała:

— Nienawidzę ich... wszystkich... taty... innych...

— Wiem — szepnęła uspokajająco Laura.

— Zadają mi ból... tak bardzo boli... nienawidzę ich!

— Wiem.

— Ale... ale najbardziej ze wszystkich...

Laura usiadła na podłodze i wzięła córkę na kolana.

— Najbardziej ze wszystkich? Kogo nienawidzisz najbardziej ze wszystkich, Melanie?

— Siebie — odparła dziewczynka.

— Nie, nie.

— Tak — potwierdziła dziewczynka. — Siebie. Nienawidzę siebie... nienawidzę siebie.

— Dlaczego, kochanie?

— Bo... bo to robię — załkało dziecko.

— Co robisz?

— Przechodzę... przez drzwi.

— I co się dzieje?

— Przechodzę... przez... drzwi...

— I co robisz po drugiej stronie, co widzisz, co tam znajdujesz? — pytała Laura.

Dziewczynka milczała.

— Maleńka?

Brak odpowiedzi.

— Mów do mnie, Melanie.

Nic.

Dan pochylił się, żeby obejrzeć twarz dziecka. Odkąd znaleziono ją wędrującą po ulicy nago, dwie noce wcześniej, spojrzenie miała odległe i nieprzytomne, teraz jednak jej oczy były jeszcze bardziej obce i puste niż przedtem. Nawet nie wyglądały jak oczy. Zaglądając w nie, Dan pomyślał, że przypominają dwa owalne okna otwarte na niezmierną otchłań, równie pustą jak zimny przestwór kosmosu w centrum wszechświata.

Siedząc na podłodze w pokoju motelowym i obejmując córkę, Laura zapłakała bezgłośnie. Wargi jej zadrżały i wygięły się w podkowę. Kołysała córeczkę w ramionach i łzy płynęły jej z oczu, toczyły się po policzkach. Całkowite milczenie podkreślało intensywność jej cierpienia.

Wstrząśnięty wyrazem jej twarzy, Dan chciał wziąć ją w ramiona i kołysać tak samo, jak kołysała córeczkę. Zdobył się jedynie na to, żeby położyć jej rękę na ramieniu.

Kiedy łzy Laury zaczęły wysychać, Dan powiedział:

— Melanie mówi, że nienawidzi siebie za to, co zrobiła. Jak myślisz, co chce przez to powiedzieć? Co ona zrobiła?

— Nic — odparła Laura.

— Widocznie uważa, że coś zrobiła.

— To powszechny syndrom w takich przypadkach, prawie we wszystkich przypadkach maltretowania dzieci — oświadczyła Laura.

Chociaż mówiła raczej cicho i spokojnym tonem, Dan słyszał napięcie i strach ukryte tuż pod powierzchnią. Wyraźnie dokładała wysiłków, żeby opanować emocjonalny zamęt wywołany coraz gorszym stanem Melanie.

— Tyle w tym wstydu — podjęła. — Nawet sobie nie wyobrażasz. Wstyd dosłownie je przytłacza, nie tylko w przypadkach seksualnego napastowania, ale także przy dręczeniu innego rodzaju. Często maltretowane dziecko nie tylko wstydzi się swojej krzywdy, ale wręcz czuje się winne, jakby w jakiś sposób na to zasłużyło. Widzisz, te dzieci są dezorientowane, zdruzgotane swoimi przeżyciami. Nie wiedzą, co czuć, wiedzą tylko, że zdarzyło im się coś złego, i przez jakąś pokrętną logikę zaczynają oskarżać siebie zamiast dorosłych, którzy je skrzywdzili. W końcu nauczone je wierzyć, że dorośli są mądrzejsi i wiedzą lepiej, że dorośli zawsze mają rację. Boże, nie uwierzysz, jak często one nie rozumieją, że są ofiarami, że nie mają powodów do wstydu. Tracą wszelkie poczucie własnej wartości. Nienawidzą siebie, ponieważ obwiniają się za rzeczy, których nie zrobiły i którym nie mogły zapobiec. A jeśli nienawidzą siebie dostatecznie mocno, zamykają się w sobie... odchodzą coraz dalej... i terapeuta napotyka ogromne trudności, kiedy próbuje sprowadzić je z powrotem.

Melanie wydawała się teraz całkowicie nieprzytomna. Zwisiała bezwładnie w objęciach matki, milcząca, niemal bez życia.

— Więc myślisz, że kiedy ona mówi, że nienawidzi siebie, bo zrobiła coś strasznego, w rzeczywistości obwinia się za to, co jej zrobiono.

— Bez wątpienia — odparła stanowczo Laura. — Widzę teraz, że jej poczucie winy i nienawiść do siebie są jeszcze silniejsze niż w większości przypadków. W końcu była maltretowana... torturowana!... prawie przez sześć lat. I przeżyła wyjątkowo intensywną, niesamowitą udrękę psychiczną, znacznie bardziej destruktywną niż wszystko, czego doświadcza przeciętne dziecko-ofiara.

Dan rozumiał słowa Laury i wierzył, że jest w nich sporo prawdy. Ale przed chwilą, kiedy słuchał Melanie, zaświtała mu potworna myśl i nie mógł jej odpędzić. Szokujące, przerażające podejrzenie głęboko zapuściło swe macki. Na pozór wcale nie miało sensu. Wydawało się absurdalne, niemożliwe. A jednak...

Pomyślał, że wie, czym jest To.

Żadnym ze stworów, które wyobrażał sobie wcześniej. Znacznie gorszym od wszelkich dotychczasowych pomysłów rodem z koszmarnego snu.

Popatrzył na dziewczynkę z mieszaniną współczucia, litości i zimnego, twardego strachu.

Chociaż Laura wykonała wszystkie niezbędne czynności, żeby wyprowadzić Melanie z głębokiej hipnozy, stan dziewczynki nie uległ zmianie. W transie i poza transem pozostała praktycznie oderwana od rzeczywistości. Nie mogli z niej wydobyć więcej informacji.

Laura wydawała się niemal fizycznie chora ze zmartwienia. Dan jej nie potępiał.

Przenieśli Melanie na jedno z nieposłanych łóżek, gdzie leżała nieruchomo jak katoniczka, podniosła tylko lewą dłoń do ust, żeby ssać kciuk.

Laura zadzwoniła do szpitala, gdzie pracowała i skąd wzięła okolicznościowy urlop, żeby sprawdzić, czy nie pojawiły się jakieś nagłe wypadki wymagające jej interwencji, i upewniła się we własnym gabinecie, że sekretarka przekazała wszystkich jej prywatnych pacjentów innym psychiatrom na czas jej nieobecności. Potem, ponieważ jeszcze nie brała prysznicu, obiecała, że będzie gotowa za pół godziny albo czterdzieści pięć minut, weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

Dan siedział przy małym stoliku i zerkając od czasu do czasu na Melanie, przeglądał książki autorstwa Alberta Uhlandera, które poprzedniego dnia wyniósł z domu Rinka. Wszystkie siedem tomów traktowało o okultyzmie: „Nowoczesny duch”, „Nawiedzenia”, „Dwanaście zdumiewających przypadków”, „Voodoo dzisiaj”, „Życie mediów”, „Rurociąg Nostradamusa”, „Eksterioryzacja”, „Przypadek projekcji astralnej” i „Dziwne siły w nas”. Jedną wydał Putnam, jedną Harper & Row, a pozostałe pięć ku zdziwieniu Dana ukazało się nakładem John Wilkes Press, niewątpliwie kontrolowa-

nego przez Przedsiębiorstwa Johna Wilkesa, do których należał również dom, gdzie mieszkała obecnie Regina Savannah Hoffritz.

W pierwszej chwili uznał książki w barwnych obwolutach za śmiecie, pełne bzdur skierowanych do tych samych ludzi, którzy wiernie czytali wszystkie numery „Fate” i wierzyli w każde wydrukowane tam słowo, którzy wstępowali do klubów ufologicznych i głosili, że Bóg jest astronautą albo niebieskim ludzikiem wzrostu dwóch stóp o oczach jak spodki. Lecz przypomniał sobie, że coś nieludzkiego ścigało osoby związane z eksperymentami w szarym pokoju, coś pewnie bardziej zrozumiałego dla regularnych czytelników „Fate”, nawet z zaśmieconymi umysłami, niż dla ludzi podobnych do Dana, którzy zawsze traktowali wyznawców okultyzmu z protekcyjną wyższością lub jawną pogardą. A teraz, kiedy zobaczył sesję terapii regresji hipnotycznej z Melanie, stworzył własną teorię, równie fantastyczną jak rzeczy opisywane na łamach „Fate”. Człowiek uczy się całe życie.

Znalazł adres wydawnictwa na stronie z copyrightem. Biura znajdowały się na Doheny Drive w Beverly Hills. Zanotował to, żeby porównać z adresem centrali zarządu Przedsiębiorstw Johna Wilkesa, jedną z rzeczy, które Earl Benton miał sprawdzić dzisiaj rano.

Następnie przewertował wszystkie siedem tomów, przeczytał dedykacje i podziękowania w nadziei, że natrafi na znajome nazwisko, które jeszcze bliżej powiąże Uhlandera z konspiracją McCaffreya-Hoffritza albo zdradzi innych, jeszcze nieujawnionych konspiratorów, lecz nie znalazł nic wartościowego.

Popatrzył ponownie na książki i wybrał jedną do dokładniejszego przejrzania. Na pierwszy rzut oka ten właśnie tom mógł zawierać potwierdzenie okropnej teorii, która przyszła Danowi do głowy, kiedy obserwował sesję terapii hipnozy regresyjnej z Melanie. Przeczytał trzydzieści stron, zanim Laura wzięła prysznic, wykąpała Melanie i oznajmiła, że gotowa jest rozpocząć dzień; rzeczywiście na tych kartkach znalazł pożywkę dla swoich najgorszych lęków.

Mgła rozplywała się i odsłaniała zarysy tajemnicy. Dan czuł, że stoi na krawędzi zrozumienia, które wytłumaczy wypadki z ostatnich dwóch dni: szary pokój, ohydnie pokiereszowane zwłoki, fakt, że mężczyźni w Studio City nie mogli się obronić, cudowną ucieczkę Melanie z tej jatki, śmierć Josepha Scaldonego w zamkniętym pokoju i inne nadnaturalne zjawiska.

To było szaleństwo.

A jednak... miało sens.

I przerażało go jak diabli.

Chciał podzielić się swoim pomysłem z Laurą, zasięgnąć jej opinii jako psychiatry. Lecz proponowane wyjaśnienie było tak szokujące, straszne i beznadziejne, że postanowił jeszcze to przemyśleć. Musiał sprawdzić każde ogniwo w łańcuchu rozumowa-

nia, zanim poruszy ten temat. Jeśli jego podejrzenia okażą się słuszne, Laura będzie musiała zmobilizować wszystkie fizyczne, psychiczne i emocjonalne siły, żeby wytrzymać ten cios.

Wyszli z motelu i wsiedli do samochodu. Laura usiadła z tyłu obok Melanie, ponieważ chciała przez cały czas tulić, pieścić i pocieszać dziecko, a terminal komputerowy z przodu zostawiał miejsce tylko dla dwóch osób.

Dan zamierzał wpaść na krótko do swojego mieszkania, żeby się przebrać. Koszulę, spodnie i marynarkę miał wygniecione i nieświeże, ponieważ spał w ubraniu. Teraz jednak, odkąd uwierzył, że zbliża się do przełomu w śledztwie, przestał się przejmować swoim niechlujnym wyglądem. Wolał jak najszybciej odnaleźć Howarda Renseveera, Sheldona Tolbecka i innych uczestników konspiracji. Pragnął przedstawić im pomysł, na który wpadł przed paroma godzinami, i obserwować ich reakcję.

Zanim wyjechał z motelowego parkingu, obrócił się i popatrzył na Melanie.

Opierała się bezwładnie o matkę.

Oczy miała otwarte, lecz puste.

Czy mam rację, mała? — pomyślał. Czy To jest tym, o czym myślę?

Na wpół spodziewał się, że Melanie usłyszy niewypowiedziane pytanie i popatrzy na niego, ale nie popatrzyła.

Mam nadzieję, że się mylę, pomyślał. Bo jeśli właśnie To zabija tych wszystkich ludzi i jeśli przyjdzie po ciebie, kiedy wszyscy inni zginą, to nie ma dla ciebie ucieczki, prawda, kochanie? Nie przed czymś takim. Nie ukryjesz się nigdzie na całym świecie.

Zadrżał.

Uruchomił silnik i wyjechał z parkingu.

Mgła z poprzedniej nocy wciąż wisiała nad miastem. Znowu zaczął padać deszcz. Każda zimna kropla uderzała twardo w przednią szybę, a każdy lodowaty wstrząs przenikał przez szkło, przez ubranie Dana, przez ciało i kości aż do samego wnętrza duszy.

Dan i Laura prawie nic nie osiągnęli tego ranka, chociaż nie brakowało im dobrych chęci. Przeszkodziła im kolejna ulewa, ponieważ spowolniła miejski ruch do ślimaczego tempa. Pogoda nie dopisała, jednak prawdziwy kłopot polegał na tym, że wszystkie szczury, które mogły udzielić odpowiedzi, opuszczały tonący okręt. Ani Renseveera, ani Tolbecka nie znaleźli w domu i w pracy. Dan stracił mnóstwo czasu na tropienie obu mężczyzn, zanim w końcu doszedł do wniosku, że uciekli z miasta w nieznanym kierunku.

O pierwszej spotkali się z Earlem Bentonem w kawiarni w Van Nuys, jak umówili się poprzedniej nocy. Na szczęście rana głowy, którą zadał mu Wexlersh, nie osłabiła sprawności ochroniarza i jego poranek okazał się bardziej owocny od poranka Dana i Laurry. Cała czwórka usiadła w boksie w głębi restauracji, jak najdalej od szafy grającej muzykę country. Zajęli miejsce przy dużej panoramicznej szybie, po której spływały szare falujące strugi deszczu i zamazywały świat na zewnątrz. Restauracja przyjemnie pachniała świeżymi frytkami, skwierczącymi hamburgerami, zupą fasolową, bekonem i kawą. Kelnerka była pogodna i zręczna, a kiedy przyjęła zamówienia i odeszła, Earl opowiedział Danowi i Laurze o swoich odkryciach.

Z samego rana zadzwonił do Mary Katherine O'Hary, sekretarza organizacji Teraz Wolność, i umówił się z nią na dziesiątą. Mieszkała w schludnym małym bungalowu w Burbank, do połowy przesłoniętym bugenwillami, tak typowym dla architektury lat trzydziestych i tak dobrze utrzymanym, że Earl niemal spodziewał się zobaczyć packarda zaparkowanego na podjeździe.

— Pani O'Hara jest po sześćdziesiątce — oznajmił — i jest prawie tak dobrze utrzymana jak jej dom. Bardzo przystojna kobieta, za młodu musiała być wystrzałową dziewczyną.

Emerytowana pośredniczka w handlu nieruchomościami. Chociaż nie jest bogata, powiedziałbym, że prowadzi wygodne życie. Dom jest bardzo ładnie umeblowany, z kilkoma wspaniałymi antykami art deco.

— Czy niechętnie rozmawiała o Teraz Wolność? — zapytał Dan.

— Przeciwnie. Paliła się do rozmowy. Widzisz, wasz policyjny plik o organizacji jest nieaktualny. Ona już nie należy do zarządu. Zrezygnowała ze wstąpieniem kilka miesięcy temu.

— O?

— Ona jest gorliwą libertarianką, członkinią dziesięciu rozmaitych organizacji i kiedy Ernest Cooper zaprosił ją do odegrania głównej roli w libertarianiejskim Komitecie politycznym, który utworzył, z radością poświęciła swój czas. Cooper jednak widocznie potrzebował jej nazwiska, żeby zalegalizować swój komitet, i spodziewał się nią manipulować. Ale manipulowanie panią O'Hara jest równie łatwe jak gra w futbol żywym jeżozwierzem bez skaleczenia.

Dan zdziwił się i ucieszył, słysząc śmiech Laury. Przez ostatnie kilka dni tak mało się śmiała, że już zapomniał, jak silnie działa na niego jej radość.

— Twarda sztuka — zauważyła Laura.

— I bystra — uzupełnił Earl. — Przypomina mi ciebie.

— Mnie? Ja mam być twarda?

— Twardsza niż ci się zdaje — zapewnił ją Dan z takim samym podziwem, jakim widocznie darzył ją Earl.

Na zewnątrz grzmot przetoczył się po niebie niczym wielkie popękane koła z kamienia. Deszcz, pędzony porywistym wiatrem, bębnił w okna coraz mocniej.

— Pani O'Hara — ciągnął Earl — była członkinią prawie przez rok, ale wreszcie odešla, podobnie jak kilku autentycznych libertarian przed nią, ponieważ odkryła, że organizacja nie zajmuje się tym, do czego została rzekomo powołana. Zebrała dużo pieniędzy, ale nie wspierała w szerokim zakresie libertarianiejskich kandydatów czy programów. Większość funduszy szła na rzekomo libertarianiejski projekt badawczy kierowany przez Dylana McCaffreya.

— Szary pokój — powiedział Dan.

Earl przytaknął.

— Ale co było libertarianiejskiego w tym projekcie? — zapytała Laura.

— Pewnie nic — odparł Earl. — Libertarianiejska etykieta stanowiła jedynie wygodną przykrywkę. Do tego wniosku doszła w końcu Mary O'Hara.

— Przykrywkę dla czego?

— Nie wiedziała.

Kelnerka wróciła z trzema filiżankami kawy i jedną pepsa.

— Państwa lunch będzie gotowy za chwilę — oznajmiła. Przyjrzała się pokiereszowanej twarzy Earla i bandażowi na głowie, zerknęła na siniec na czole Dana i zagadnęła:

— Mieliście jakiś wypadek?

— Schodziłem ze schodów bez spadochronu.

— Bez spadochronu?

— Cztery piętra — dorzucił Earl.

— Aha, nabieracie mnie.

Wyszczерzyli do niej zęby.

Uśmiechnięta kelnerka pospieszyła przyjąć zamówienia przy następnym stoliku.

Laura odpakowała słomkę, włożyła do pepsi i próbowała napoić Melanie, a Dan zwrócił się do Earla:

— Pani O'Hara wygląda na osobę, która powinna zrobić coś więcej w takiej sprawie, nie tylko odejść. Spodziewałbym się po niej, że napisze do Federalnej Komisji Wyborczej i doprowadzi do rozwiązania tej organizacji.

— Napisała do nich — odparł Earl. — Dwukrotnie.

— No i?

— Bez odpowiedzi.

Dan poprawił się na ławce, jakby zrobiło mu się niewygodnie.

— Twierdzisz, że ludzie, którzy stoją za Teraz Wolność, mają haka na Federalną Komisję Wyborczą?

— Powiedzmy raczej, że mają jakieś wpływy.

— Co znaczy, że to tajny projekt rządowy — podsumował Dan. — I mądrze zrobiliśmy, że zwaliśmy przed FBI.

— Niekoniecznie.

— Ale tylko rząd mógłby wyciszyć dochodzenie prowadzone przez komisję elekcyjną, i też miałyby kłopoty.

— Cierpliwości — poprosił Earl, podnosząc filiżankę.

— Ty coś wiesz — oskarżył go Dan.

— Ja zawsze coś wiem. — Earl uśmiechnął się i łyknął kawy.

Dan zobaczył, że Melanie wypija trochę pepsi, chociaż nie bez trudności. Laura zużyła już jedną serwetkę, żeby wytrzeć brązowe krople z brody dziewczynki.

— Po pierwsze — podjął Earl — muszę cofnąć się i wyjaśnić, skąd Teraz Wolność bierze pieniądze. Pani O'Hara była tylko sekretarzem, ale kiedy poczuła, że coś tu śmierdzi, sprawdziła rachunki skarbnika za plecami Coopera i Hoffritza. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent funduszy komitet otrzymał jako granty od trzech innych komitetów: Uczciwość w Polityce, Obywatele o Oświecony Rząd i Grupa Dwudziestego Pierwszego Wieku. Co więcej, kiedy przyjrzała się tym organizacjom, odkryła, że Cooper i Hoffritz pełnili funkcje we wszystkich i że te trzy komitety czerpały główne fundusze nie ze składek zwykłych obywateli, jak należało się spodziewać, tylko z dwóch innych instytucji nie nastawionych na zysk, z dwóch fundacji charytatywnych.

— Fundacje charytatywne? Czy wolno im wtrącać się do polityki?

Earl kiwnął głową.

— Tak, dopóki postępują bardzo ostrożnie i jeżeli zgodnie ze statutem mają wspierać „służby publiczne i programy poprawy rządów”, jak te dwie fundacje.

— A skąd te fundacje biorą pieniądze?

— Zabawne, że pytasz. Pani O’Hara nie grzebała głębiej, ale zadzwoniłem od niej do Paladyna i kazałem kilku naszym ludziom rozpocząć śledztwo. Obie fundacje są finansowane przez inną, większą instytucję charytatywną.

— Mój Boże, całkiem jak chińskie pudełko-łamiągówka! — odezwała się Laura.

— Chciałbym podsumować — zabrał głos Dan. — Ta większa dobroczynność finansowała dwie niniejsze, a te dwie mniejsze finansowały trzy komitety polityczne... Uczciwość w Polityce, ee, Obywatele o Oświecony Rząd i Grupa Dwudziestego Pierwszego Wieku... a z kolei te komitety przekazywały fundusze na Teraz Wolność, która praktycznie przeznaczala wszystkie pieniądze na finansowanie pracy Dylana McCaffreya w Studio City.

— Zgadza się — przyznał Earl. — Stworzono ten skomplikowany system prania pieniędzy, żeby starannie odizolować prawdziwych sponsorów od Dylana McCaffreya, na wypadek gdyby coś poszło źle i władze wykryły, że facet przeprowadza serię okrutnych i karygodnych eksperymentów na własnym dziecku.

Pogodna młoda kelnerka przyniosła zamówione dania, a oni wymieniali nieobowiązujące uwagi o pogodzie, kiedy stawiała jedzenie na stole.

Kiedy odeszła, nikt nie tknął lunchu.

— Jak się nazywa instytucja charytatywna w samym środku tego chińskiego pudełka? — zwrócił się Dan do Earla.

— Trzymaj się mocno, bo spadniesz z krzesła.

— Nie siedzę na krześle.

— Fundacja Boothe’a.

— A niech mnie szlag.

— Ta sama, która wspiera sierocińce, grupy opieki społecznej nad dziećmi i program pomocy dla emerytów? — wtrąciła Laura.

— Ta sama — potwierdził Earl.

Dan pogrzebał w kieszeni marynarki i wyciągnął komputerowy wydruk wysyłkowej listy klientów ze Znak Pentagramu. Przekartkował do strony trzeciej i pokazał im: Palmer Boothe, dziedzic fortuny Boothe’ów, obecnie głowa rodziny, właściciel i wydawca „Los Angeles Journal”, jeden z najwybitniejszych obywateli miasta, kierujący Fundacją Boothe’a.

— Znalazłem to wczoraj wieczorem, w biurze Josepha Scaldonego, na zapleczu tego cudacznego okultystycznego sklepu. Zdziwiło mnie, że twardogłowy biznesmen w rodzaju Boothe’a interesuje się nadprzyrodzonymi zjawiskami. Oczywiście nawet najtwardsze głowy mają słabe punkty. Wszyscy mamy jakieś słabostki, jakieś głupie skłon-

ności. Ale reputacja Boothe'a, jego racjonalny wizerunek... cholera, nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógł być zamieszany w coś takiego.

— Diabeł ma adwokatów w najmniej prawdopodobnych miejscach — oznajmił Earl.

Z szafy grającej popłynął głos Eltona Johna. Dan spojrzął na szary, zacinający deszcz za oknem.

— Dwa dni temu nawet nie wierzyłem w diabła — wyznał.

— Aż do teraz?

— Aż do teraz.

Laura kroїła cheeseburgera Melanie na małe kawałeczki, takie na jeden kęs, które można łatwo zdjąć z widelca. Dziewczynka wpatrywała się w falujące wzory deszczu na szybie — albo w coś odległego o całe lata świetlne.

W innej części restauracji pomywacz albo kelnerka upuścili stos naczyń; głośny szcęk został nagrodzony wybuchem śmiechu.

— Zresztą — powiedział Earl — pamiętasz te dwa listy, które Mary O'Hara wysłała do Federalnej Komisji Wyborczej? No więc dlaczego nie nadano biegu sprawie, to żadna tajemnica. Palmer Boothe hojnie wspiera obie partie polityczne, zawsze trochę więcej daje na partię będącą akurat u władzy, ale o drugiej też nie zapomina. I oto kilka lat temu, kiedy komitety polityczne po raz pierwszy weszły w modę i Boothe zobaczył, jak mogą się przydać na przykład do zakamuflowanego finansowania operacji w rodzaju badań Dylana McCaffreya, postanowił umieścić jednego czy dwóch swoich ludzi w komisji nadzorującej te komitety.

Laura skończyła krojenie cheeseburgera i powiedziała:

— Słuchajcie, niewiele wiem o Federalnej Komisji Wyborczej, ale wydaje mi się, że jej członkowie nie są mianowani przez polityków.

— Nie są — zgodził się Earl. — Nie bezpośrednio. Ale ludzie zarządzający biurokracją, która zarządza komisją wyborczą, są mianowani przez polityków. Więc jeśli chcesz umieścić tam swoją wtyczkę, jeśli chcesz tego dostatecznie mocno i nie brakuje ci pieniędzy, możesz to załatwić okrężną drogą. Oczywiście nie możesz sobie pozwolić na całkowite skorumpowanie komisji, na skandaliczne nadużycia, ponieważ obie partie polityczne uważnie patrzą jej na ręce. Ale jeśli masz skromne potrzeby... powiedzmy, powstrzymanie komisji od zbyt dokładnego sprawdzania kilku komitetów politycznych, które założyłaś dla niezbyt legalnych celów... wtedy nikt niczego nie zauważy albo nie będzie się przejmował. A jeśli jesteś równie sprytna jak Palmer Boothe, nie wykorzystasz zwykłych zauszników; posłużysz się szanowanymi, zaangażowanymi społecznie działaczami jednej z największych krajowych instytucji charytatywnych, żeby zaproponować ich usługi Federalnej Komisji Wyborczej, i wszyscy się ucieszą, że tacy wykształceni, prawomyślni obywatele bezinteresownie ofiarują rządowi swój czas i energię.

Dan westchnął.

— Więc to Palmer Boothe, nie rząd, finansował badania McCaffreya. W takim razie nie musimy się martwić, że FBI chce, aby Melanie ponownie zniknęła.

— Nie jestem tego taki pewien — sprzeciwił się Earl. — To prawda, że rząd nie dostarczał pieniędzy na opłacanie Hoffritza i McCaffreya ani na badania prowadzone w szarym pokoju. Ale teraz, kiedy widzieli to miejsce i mieli okazję przejrzeć papiery McCaffreya, mogą dojść do wniosku, że jego prace mają znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego, więc przydałoby się dokładnie zbadać Melanie i popracować z nią dłużej... bez przeszkód.

— Po moim trupie — oświadczyła Laura.

— Więc ciągle jesteście zdani na siebie — doszedł do wniosku Dan.

Earl przytaknął.

— Poza tym Boothe widocznie znalazł dojście do Rossa Mondale'a, żeby posłużyć się wydziałem policji przeciwko nam...

— Nie całym wydziałem — sprostował Dan. — Tylko kilkoma zgniłymi jabłkami.

— Ale skąd wiadomo, czy on nie ma przyjaciół również w FBI? Bo jeśli rząd zabierze nam Melanie, będziemy mogli ją odzyskać, ale jeśli Boothe ją dorwie, pewnie już jej nigdy nie zobaczymy.

Przez kilka minut milczeli. Jedli lunch, a Laura próbowała nakarmić Melanie, chociaż bez większych sukcesów. Piosenka Whitney Houston z szafy grającej dobiegła końca i po kilku sekundach Bruce Springsteen zaczął śpiewać żałosny utwór o tym, jak wszystko umiera, ale niektóre rzeczy wracają, kochanie, to fakt.

W obecnej sytuacji tekst Bruce'a Springsteena brzmiał dla nich dość makabrycznie i niepokojąco.

Dan patrzył na deszcz i zastanawiał się, ile pomogły im te nowe informacje o Boothe'u. Wiedzieli teraz, że wróg jest potężny, lecz nie tak wszechpotężny, jak się obawiali. Cholernie pocieszająca wiedza. Poprawiła im samopoczucie. Lepiej mieć do czynienia z ultrabogatym megalomanem — z pojedynczym wrogiem, choćby nawet szalonym i ogromnie wpływowym — niż walczyć ze skamieniałą biurokracją, która dąży do celu za wszelką cenę, nawet jeśli ten cel oznacza szaleństwo. Wróg wciąż był olbrzymem, ale teraz mogli go powalić, gdyby tylko znaleźli odpowiednią procę i idealnie ukształtowany kamień.

I teraz Dan znał tożsamość „Tatusia”, siwowłosego i ach-jakże-dystyngowanego zbrojńca, który regularnie odwiedzał Reginę Savannah Hoffritz w tym domu na wzgórzach Hollywood, wahającym się pomiędzy stylem tudorowskim a hiszpańskim.

— A co z Przedsiębiorstwami Johna Wilkesa? — zapytał Earla. Zanim jeszcze do końca zdanie, spostrzegł coś, co powinien był zauważyć wcześniej, i częściowo odpowiedział na własne pytanie: — Nie ma żadnego Johna Wilkesa. To wyłącznie nazwa

korporacji, prawda? John Wilkes Boothe. Człowiek, który zastrzelił Lincolna, chociaż chyba nazywał się Booth, bez „e” na końcu. Więc to następna firma należąca do Palmera Boothe’a, który nazwał ją Przedsiębiorstwa Johna Wilkesa jako co?... jako żart?

Earl kiwnął głową.

— Dla mnie brzmi jak prywatny żart, ale chyba musisz zapytać samego Boothe’a, jeśli chcesz to wyjaśnić. W każdym razie Paladyn sprawdził korporację dzisiaj rano. Żadnych mrocznych tajemnic, nic takiego. Boothe jest wymieniony jako jedyny akcjonariusz. Wykorzystuje Przedsiębiorstwa Johna Wilkesa do prowadzenia szeregu drobnych przedsięwzięć, które nie pasują do profilu jego innych korporacji czy fundacji, a jedno czy dwa nawet nie przynoszą zysków.

— Wydawnictwo John Wilkes Press — podsunął Dan.

Earl uniósł brwi.

— Tak, to jedno z nich. Wydają tylko książki związane z okultyzmem i bankrutują co kilka lat, w inne lata tracą kilka dolarów. John Wilkes ma również mały ambitny teatr w Westwood, sieć trzech sklepów sprzedających czekoladki domowego wyrobu, jadłodajnie Burger King i parę innych rzeczy.

— Włącznie z domem, gdzie Boothe trzyma swoją kochankę — dorzuciła Laura.

— Nie jestem pewien, czy uważają za kochankę — odparł Dan z widocznym niesmakiem. — Raczej za domowe zwierzątko... ładną małą samiczkę, którą wyuczono różnych zmyślnych sztuczek.

Dokończyli lunch. Deszcz siekł o szyby.

Melanie wciąż milczała, zagubiona, z pustym spojrzeniem.

— Co teraz? — odezwała się wreszcie Laura.

— Teraz pójdę porozmawiać z Palmerem Boothe’em — oświadczył Dan. — Jeśli nie uciekł jak wszystkie inne szczury.

Zanim zapłacili rachunek i wyszli z restauracji, zdecydowali, że Earl zabierze Laurę i Melanie do kina. Dziewczynka potrzebowała kryjówki na kilka godzin, dopóki Dan nie zdoła porozumieć się z Palmerem Boothe'em osobiście lub telefonicznie, a szukanie schronienia w kolejnym pokoju motelowym stanowiło zbyt przygnębiającą perspektywę. Ani FBI, ani policja — ani nawet zausznicy Boothe'a — nie szukaliby ich w anonimowym multipleksie w centrum handlowym, nie było również praktycznie żadnych szans, że ktoś dostrzeże ich przypadkowo na ciemnej widowni. W dodatku Laura zasugerowała, że odpowiedni film może posłużyć za terapię dla Melanie: czterdziestostopowe obrazy, nienaturalnie jaskrawe kolory i ogłuszający hałas filmu czasami przykuwały uwagę autystycznego dziecka, kiedy nic innego nie pomagało.

Przed restauracją stały automaty z gazetami. Dan zanurkował w deszcz, żeby kupić „Journal” z programem kinowym. Wszyscy zauważyli, jaką ironią było korzystanie z publikacji Palmera Boothe'a, żeby ukryć się przed nim. Wybrali przygodowe fantasy Stevena Spielberga i kino w Westwood. Był to multipleks pokazujący drugi film odpowiedni dla Melanie, więc po filmie Spielberga mogli obejrzeć następny seans i spędzić tam resztę popołudnia oraz wczesny wieczór w razie konieczności. Zamierzali zostać w kinie, dopóki Dan nie znajdzie Boothe'a albo nie zrezygnuje z poszukiwań, po czym miał do nich wrócić i zwolnić Earla.

Wsiedli do samochodu Earla, a Dan wsunął się za nimi na chwilę, bo deszcz wciąż padał z szarego zachmurzonego nieba. Dan powiedział do Laury:

— Musisz coś dla mnie zrobić. Kiedy będziecie w kinie, chcę, żebyś obserwowała Melanie jeszcze uważniej niż dotąd. W żadnym wypadku nie pozwól jej zasnąć. Jeśli zamknie oczy dłużej niż na mgnienie, potrząśnij nią, uszczypnij, zrób wszystko, żeby ją obudzić.

Laura zmarszczyła brwi.

— Dlaczego?

Nie odpowiedział na pytanie, tylko ciągnął:

— A nawet jeśli pozornie nie śpi, tylko jakby zapada w coraz głębszą katatonię, zrób

coś, żeby ją sprowadzić do rzeczywistości. Mów do niej, dotykaj jej, zmusz ją, żeby zwróciła na ciebie uwagę. Wiem, że proszę o niełatwą rzecz. Biedne dziecko już i tak jest półprzytomne, więc trudno będzie ocenić, czy odpłynęło trochę dalej, zwłaszcza w ciemnym kinie, ale postaraj się.

— Ty coś wiesz, prawda? — zapytał Earl.

— Może — przyznał Dan.

— Wiesz, co się działo w szarym pokoju.

— Nie wiem. Ale mam pewne... niejasne podejrzenia.

— Co? — Laura wychyliła się z tylnego siedzenia z żalnym pośpiechem, rozpaczliwie pragnąc zrozumieć sytuację, gorączkowo szukając wiedzy, która rzuci światło na ciężki stan córki, i nawet nie przyszło jej do głowy, że czasami lepiej jest nie wiedzieć niż wiedzieć, że wiedza bywa znacznie okropniejsza od tajemnicy. — Co podejrzewasz? Dlaczego to takie ważne, żeby nie zasnęła, żeby pozostała przytomna?

— Za długo trzeba by wyjaśniać — skłamał Dan. Nie miał pewności, że domyślił się prawdy, więc nie chciał niepotrzebnie martwić Laury. Czuł, że gdyby jej powiedział o swoich podejrzeniach, wpadłaby w jeszcze większą rozpacz. — Muszę jak najszybciej sprawdzić, czy Boothe jest jeszcze w mieście. Ty tylko postaraj się, żeby Melanie była przytomna i rozbudzona.

— Kiedy ona śpi albo wpada w katatonię, staje się bezbronna, prawda? — zgadywała Laura. — W jakiś sposób staje się bardziej bezbronna. Może... może To nawet wyczuwa, kiedy ona śpi, i wtedy po nią przychodzi. Przecież wczorajszej nocy w motelu, kiedy spała, w pokoju zrobiło się zimno i coś przyszło, prawda? A wczoraj wieczorem w domu, kiedy radio było... nawiedzone i kiedy ten wir pełen kwiatów wyłamał drzwi, ona miała zamknięte oczy i... nie spała, ale pogрузzyła się w katatonii głębiej niż zwykle. Pamiętasz, Earl? Miała oczy zamknięte i jakby nie zdawała sobie sprawy z tego całego zamieszania. A To w jakiś sposób wiedziało, kiedy osłabła jej czujność, i przyszło, ponieważ była bezbronna, o to chodzi? Dlatego nie mogę dopuścić, żeby zasnęła?

— Tak — skłamał Dan. — Częściowo. A teraz naprawdę muszę iść, Lauro.

Chciał dotknąć jej twarzy. Chciał ucałować kąciki jej ust i pożegnać się czule, do czego nie miał prawa. Więc tylko poprosił Earla:

— Pilnuj ich dobrze.

— Jakby były moje własne — obiecał Earl.

Dan wysiadł z samochodu, zatrzasnął drzwi i pognął przez smagany deszczem parking do nieoznakowanego sedana, którego zostawił po drugiej stronie restauracji. Zanim uruchomił silnik i włączył wycieraczki, Earl już wyjechał z parkingu i włączył się w powolny ruch na śliskiej jezdni.

Dan nie wiedział, czy jeszcze kiedyś ich zobaczy.

Delmar, Carrie, Cindy Lakey...

Znienawidzony, niezapomniany, prześladowający go w koszmarach cykl porażek przesunął się przez jego myśli po raz chyba stutysięczny.

Delmar, Carrie, Cindy Lakey... Laura, Melanie.

Nie.

Tym razem nie dopuści do klęski.

Zresztą był chyba jedynym gliniarzem w mieście — jedynym człowiekiem w promieniu tysiąca mil — dostatecznie zafascynowanym morderstwem i mordercami, dostatecznie obeznanym z ich wynaturzoną psychologią i zachowaniem, żeby znaleźć drogę do sedna tej dziwacznej sprawy; może jedynym, który miał szansę na jej rozwiązanie. Wiedział o morderstwie więcej niż większość ludzi, ponieważ myślał o tym więcej niż inni i ponieważ morderstwo odegrało taką ważną rolę w jego życiu osobistym i zawodowym. Rozważania nad tym tematem już dawno doprowadziły go do przygnębiającego wniosku, że w każdym człowieku tkwi potencjalny morderca, więc nie dziwił się, kiedy wykrywał ten potencjał u najmniej podejrzanych osób. I teraz również nie dziwiły go podejrzenia, które nabrały jeszcze bardziej konkretnych kształtów w ciągu ostatnich kilku godzin, chociaż Laurę i Earla na pewno wprawiłyby nie tylko w zdumienie, ale wręcz w przerażenie.

Delmar, Carrie, Cindy Lakey.

Łańcuch porażek kończył się tutaj.

Wprawdzie Dan ze wszystkich sił starał się zachować optymizm, ale odjeżdżał spod restauracji w nastroju równie ponurym jak szary, deszczowy, beznadziejny dzień.

Film Spielberga wszedł na ekrany kilka tygodni przed gwiazdką, a prawie trzy miesiące później wciąż cieszył się dostateczną popularnością, żeby zapełnić w połowie wielką salę w dzień powszedni. Teraz, na pięć minut przed początkiem projekcji, widzowie rozmawiali ściszonymi głosami, śmiali się i poprawiali na krzesłach w radosnym wyczekiwaniu.

Laura, Melanie i Earl zajęli trzy miejsca po prawej stronie sali, w połowie przejścia. Melanie siedziała pomiędzy Laurą a Earlem i wpatrywała się w ogromny pusty ekran z twarzą bez wyrazu, nieruchoma, milcząca, złożonywszy bezwładne ręce na kolanach, ale przynajmniej nie spała.

Chociaż w ciemnościach trudniej byłoby obserwować dziewczynkę, Laura niecierpliwie wyczekiwała na chwilę, kiedy światła zgasną i zacznie się film, ponieważ w świetle czuła się obnażona, bezbronna i wystawiona na spojrzenia tych wszystkich obcych ludzi. Wiedziała, że niepotrzebnie martwi się, że ktoś niepowołany zobaczy ich tutaj i sprowadzi kłopoty. FBI, sprzedajni policjanci oraz Palmer Boothe i jego pomocnicy na pewno bardzo chcieli ją znaleźć, co znaczyło, że prowadzili poszukiwania w mieście, a nie chodzili do kina. Tutaj było bezpiecznie. Najlepszym schronieniem na świe-

cie okazało się zwykłe kino w deszczowe popołudnie.

Ale przecież niedawno doszła do wniosku, że nigdzie na świecie nie jest już bezpiecznie.

Dan zdecydował, że w przypadku Palmera Boothe'a najskuteczniejsze będzie działanie na siłę, na bezczelnego i zaskoczenia. Prosto z restauracji pojechał więc do budynku „Journala” na Wilshire Boulevard, zaledwie kilka przecznic na wschód od punktu, w którym Beverly Hills ustępują przed potężnymi ośmiornicowymi mackami miasta Los Angeles. Nie wiedział nawet, czy Boothe jest jeszcze w mieście, nie mówiąc o biurze, ale od czegoś musiał zacząć.

Zaparkował w podziemnym garażu pod budynkiem i wjechał windą na osiemnaste piętro, gdzie wszyscy dyrektorzy komunikacyjnego imperium „Journala” — które obejmowało dziewiętnaście innych gazet, dwa czasopisma, trzy rozgłośnie radiowe i dwie stacje telewizyjne — mieli swoje biura. Winda otworzyła się na westybul z pluszowymi meblami, grubym do kostek dywanem i dwoma oryginalnymi olejami Rothki na ścianach.

Mimowolnie będąc pod wrażeniem faktu, że te dwa obrazy w prostych ramach stanowiły dzieła sztuki wartości czterech do pięciu milionów dolarów, Dan nie potrafił wśliznąć się w rolę Detektywa-Postrachu Zabójców tak gładko i kompletnie, jak sobie zaplanował. Niemniej posłużył się swoją legitymacją i autorytetem, żeby ominąć uzbrojoną ochronę oraz chłodno uprzejmie i maksymalnie sprawne recepcjonistki.

Grzeczny młody człowiek, wyglądający na sekretarza zarządu, kierownika stażystę albo ochroniarza — albo na wszystkich trzech naraz — zjawił się na wezwanie recepcjonistki. Poprowadził Dana długim korytarzem, tak cichym, jakby znajdował się w przestrzeni kosmicznej pomiędzy odległymi gwiazdami, a nie w środku ruchliwego miasta. Korytarz kończył się w kolejnej sali recepcji, luksusowo wyposażonej komorze dekompresyjnej przed *sanctum sanctorum* samego komandora gwiazdolotu, Palmera Boothe'a.

Młody człowiek przedstawił Dana pani Hudspeth, sekretarce Boothe'a, po czym odszedł. Pani Hudspeth była przystojną, elegancką siwowłosą damą w śliwkowym dżersejowym kostiumie i pastelowej bluzce ze śliwkową kokardą na szyi. Chociaż wysoka, szczupła, dystygowana i najwyraźniej dumna ze swojej pozycji, była również szybka i sprawna; ten rzeczowy aspekt jej osobowości przypomniał Danowi niejaką Irmatrudę Gelkenshettle.

— Och, poruczniku — powiedziała — tak mi przykro, ale pana Boothe'a nie ma w tej chwili w budynku. Rozminał się pan z nim tylko o pięć minut. Musiał jechać na spotkanie. Jest dzisiaj strasznie zajęty, zresztą jak co dzień, pan rozumie.

Dan zaniepokoił się słysząc, że Boothe pracuje jak zwykle. Jeśli jego teoria była słusz-

na, jeśli prawidłowo odgadł tożsamość Tego, Palmer Boothe powinien drżeć o własne życie, powinien uciekać albo zabarykadować się w podziemiach ufortyfikowanego zamku, najlepiej w Tybecie czy w Alpach szwajcarskich, czy w jakimś innym odległym, trudno dostępnym zakątku świata. Jeżeli Boothe uczestniczył w spotkaniach i podejmował decyzje jak co dzień, to oznaczało, że się nie bał, a skoro się nie bał, widocznie teoria Dana na temat szarego pokoju była błędna.

— Koniecznie muszę porozmawiać z panem Boothe'em. To pilna sprawa. Można nawet powiedzieć, że to kwestia życia lub śmierci — powiedział do pani Hudspeth.

— No, oczywiście on również bardzo chciałby z panem porozmawiać — zapewniła pani Hudspeth. — To wyraźnie wynikało z jego wiadomości.

Dan zamrugął.

— Z jakiej wiadomości?

— Czy nie dlatego pan przyszedł? Nie otrzymał pan wiadomości, którą panu zostawił w pańskiej komendzie okręgowej?

— W wydziale East Valley?

— Tak, dzwonił dzisiaj z samego rana, zależało mu na spotkaniu z panem. Ale pana jeszcze nie było. Próbowaliśmy w domu, ale nikt nie odpowiadał.

— Nie wróciłem dzisiaj do East Valley — wyjaśnił Dan. — Nie otrzymałem żadnej wiadomości. Przyszedłem tutaj, bo muszę jak najszybciej porozmawiać z panem Boothe'em.

— Och, wiem, że on podziela pańskie pragnienie — oznajmiła pani Hudspeth. — Właśnie mam tutaj kopię jego rozkładu zajęć na dzisiaj... gdzie będzie i o jakiej godzinie... i prosił mnie, żebym udostępniła ją panu, jeśli pan się zjawi. Nalegał, żeby pan spróbował spotkać się z nim w dogodnym miejscu i czasie.

W porządku. To już lepiej. Boothe jednak był zdesperowany, tak zdesperowany, że miał nadzieję albo przekupić Dana, albo namówić do pośredniczenia pomiędzy sobą a tym szczególnym diabłem, który ścigał ludzi z szarego pokoju. Nie uciekał ani nie ukrywał się w jakimś zagranicznym porcie, ponieważ doskonale wiedział, że ucieczka ani kryjówka nic nie pomogą. Prowadził interesy jak zwykle, ponieważ alternatywa — gapienie się w ścianę i czekanie na To — była po prostu nie do przyjęcia.

Pani Hudspeth podeszła do ogromnego henredonowskiego biurka, otworzyła skórzany folder i wyjęła pierwszy arkusz papieru — rozkład dnia szefa. Przejrzała go i powiedziała:

— Niestety nie złapie go pan tam, gdzie jest teraz, a potem przez jakiś czas będzie się przemieszczał... oczywiście limuzyną... więc chyba najwcześniej może pan spotkać się z nim o czwartej.

— To dopiero za godzinę i kwadrans. Na pewno nie mogę go złapać wcześniej?

— Niech pan sam zobaczy. — Podała mu rozkład zajęć.

Miała rację. Gdyby jeździł po mieście za Boothe'em, nigdy nie zdążyłby go dogonić: wydawca był zajęтым człowiekiem. Lecz według rozkładu o czwartej powinien być w domu.

— Gdzie on mieszka?

Zapisał sobie adres w Bel Air, który podała pani Hudspeth.

Kiedy skończył pisać, zamknął notesik i podniósł wzrok, przyglądała mu się uważnie. W jej oczach błyszczała powściągnięta ciekawość. Widocznie zdawała sobie sprawę, że dzieje się coś niezwykłego, ale Boothe tym razem nie dopuścił jej do sekretu, więc musiała przywołać na pomoc całą dystynkcję i opanowanie, żeby nie wyciągać z Dana informacji. Ponadto zżerał ją lęk, który do tej pory ukrywała, teraz jednak wypłynął na powierzchnię niczym rozdęty trup topielca, wynurzający się z mrocznej głębi. Niepokój tej miary mogła odczuwać tylko wtedy, kiedy wiedziała, że sam Boothe czegoś się lęka, on zaś pozwoliłby jej dostrzec własne obawy tylko wtedy, jeśli nie potrafił ich ukryć. Twardy, sprytny biznesmen nie może ukryć własnych emocji tylko wtedy, jeśli graniczą z paniką.

Młody kierownik — albo ludzki odpowiednik psa obronnego — wrócił i odprowadził Dana z powrotem do recepcji. Uzbrojony strażnik wciąż stał czujnie obok wind.

Piękna, lecz zimna recepcjonistka stuknęła z wielką szybkością na klawiaturze komputera. W wyciszonej akustyce pokoju niemal bezgłośnie klawisze wydawały miękkie kliknięcia, które kojarzyły się Danowi z brzękiem kostek lodu w szklance.

Film rozpoczął się przed dziesięcioma minutami, ku wielkiej uldze Laury, ponieważ teraz byli równie anonimowi jak inne niewyraźne sylwetki widzów, rozparte w fotelach z wysokimi oparciami.

Melanie patrzyła przed siebie z takim samym wyrazem twarzy jak wcześniej, przed rozpoczęciem projekcji. Odblask z ekranu rozświetlał jej twarz. Zniekształcone odbicia klatek filmu przesuwały się po jej rysach i barwiły jej policzki sztucznym, przelotnym rumieńcem, ale przez resztę czasu w tym dziwnym oświetleniu wydawała się jeszcze bledsza niż zwykle.

Przynajmniej nie śpi, pomyślała Laura.

A potem zastanowiła się, co takiego wiedział Dan Haldane. Więcej niż jej powiedział. Tego była pewna.

Siedzący po drugiej stronie dziewczynki Earl Benton sięgnął pod marynarkę i ukradkiem upewnił się, czy rewolwer tkwi w kaburze pod pachą i czy daje się gładko wyciągnąć. Laura zauważyła, że sprawdzał broń dwukrotnie jeszcze przed początkiem filmu; wiedziała, że sprawdzi ponownie za kilka minut. Ten nerwowy odruch u człowieka, który zazwyczaj nie zachowywał się w taki sposób, wymownie świadczył o jego zaniepokojeniu.

Oczywiście, gdyby To odnalazło ich w kinie i gdyby wreszcie postanowiło zabrać Melanie, nawet najszybszy rewolwerowiec świata nie mógłby jej obronić.

Mając godzinę i kwadrans wolnego czasu do spotkania z Palmerem Boothe'em w Bel Air, Dan postanowił wpaść na posterunek w Westwood, gdzie poprzedniego wieczoru wniesiono oskarżenie przeciwko Wexlershowi i Manuellowi. Dwóch detektywów zatrzymano wyłącznie na podstawie zaprzysiężonego oświadczenia Earla Bentona, więc Dan chciał dołożyć własne zeznanie jako następną kłódkę na drzwiach ich celi. Zostawił Rossa Mondale'a w przeświadczeniu, że nie oskarży Wexlersha i Manuella o napaść z usiłowaniem zabójstwa, obiecał nawet, że Earl wycofa swoje zarzuty po kilku dniach, kiedy obie McCaffrey będą bezpieczne, ale kłamał. Jeżeli nie osiągnie nic więcej w tej sprawie, jeżeli nie zdoła uratować Laury i Melanie, przynajmniej zobaczy Wexlersha i Manuella za kratkami i Rossa Mondale'a zniszczonego.

Na posterunku oficer prowadzący sprawę, niejaki Herman Dorft, ucieszył się na widok Dana. Jednego tylko pragnął bardziej niż zeznania Dana, mianowicie zeznania Laury McCaffrey. Zmartwiła go wiadomość, że doktor McCaffrey będzie nieosiągalna w najbliższej przyszłości. Zabrał Dana do małego pokoju przesłuchań z poobijanym biurkiem, terminalem komputerowym, stołem i pięcioma krzesłami. Zaproponował, że dostarczy albo stenografa, albo magnetofon.

— Znam ten tryb postępowania tak dobrze — powiedział Dan — że wolałbym sam spisać zeznanie. Skorzystam z komputera, jeśli pan pozwoli.

Herman Dorft usłużnie zostawił Dana samego z komputerem, z ostrym jarzeniowym światłem i bębnieniem deszczu o dach, z gryzącym odorem stęchłego dymu papierosowego, który osiadł na ścianach cienką żółtawą warstwą od czasu ostatniego malowania.

Dwadzieścia minut później Dan właśnie skończył pisać zeznanie i chciał poszukać policyjnego notariusza, w którego obecności zamierzał podpisać tekst, kiedy drzwi się otworzyły i Michael Seames, agent FBI, wkroczył do środka.

— Witam — powiedział.

Zdaniem Dana poszczególne części ciała Seamesa nadal nie pasowały do siebie: miał twarz trzydziestolatka, ale pochylone ramiona i sztywne ruchy upodabniały go do długoletniego klienta opieki społecznej.

— Szukałem pana, Haldane.

— Dobry dzień na ryby, hę? — rzucił Dan i wstał.

— Gdzie są pani McCaffrey i Melanie? — zapytał Seames.

— Trudno uwierzyć, że jeszcze kilka lat temu wszyscy martwili się suszą. Teraz co roku zima jest bardziej deszczowa.

— Dwaj detektywi oskarżeni o usiłowanie zabójstwa, policja pogwałciła prawa oby-

wateli, potencjalne naruszenie bezpieczeństwa narodowego... teraz Biuro ma mnóstwo powodów, żeby wkroczyć w tę sprawę, Haldane.

— Osobiście buduję sobie arkę — zakończył Dan, wziął wydrukowane zeznanie i ruszył do drzwi.

Seames nie ustąpił mu z drogi.

— I wkroczyliśmy. Nie jesteśmy już tylko obserwatorami. Skorzystaliśmy z prawa federalnej jurysdykcji przy tych zabójstwach.

— Bardzo słusznie — pochwalił Dan.

— Pan oczywiście ma obowiązek współpracować z nami.

— Z góry się cieszę — zapewnił Dan, marząc, żeby Seames wyniósł się wreszcie do diabła.

— Gdzie są pani McCaffrey i Melanie? — powtórzył agent.

— Pewnie w kinie.

— Do cholery, Haldane...

— W taką paskudną pogodę raczej nie poszły na plażę ani do Disneylandu, ani na piknik do parku Griffitha, więc czemu nie do kina?

— Zaczynam myśleć, że jesteś zwykły gnojek, Haldane.

— No, pocieszyło mnie przynajmniej, że pan zaczyna myśleć.

— Kapitan Mondale ostrzegał mnie przed panem.

— Och, proszę tego nie traktować poważnie, agencie Seames. Ross lubi sobie pożartować.

— Pan przeszkadza...

— Nie, to pan przeszkadza — przerwał mu Dan. — Pan mi nie daje przejść.

Przepchnął się obok Seamesa i wyszedł. Agent FBI ruszył za nim korytarzem do ruchliwego pokoju operacyjnego, gdzie Dan znalazł notariusza.

— Haldane, pan nie może ich chronić w pojedynkę. Jeśli pan się upiera przy takim rozwiązaniu, one w końcu zostaną porwane albo zabite i to pan będzie odpowiedzialny.

Podpisując zeznanie w obecności notariusza, Dan odpowiedział:

— Możliwe. Może zostaną zabite. Ale jeśli przekażę je panu, na pewno zostaną zabite.

Seames wytrzeszczył na niego oczy.

— Czy pan sugeruje, że ja... że FBI... że rząd gotów jest zamordować małą dziewczynkę? Dlatego że mogła uczestniczyć w rosyjskim lub chińskim projekcie badawczym? Albo dlatego że uczestniczyła w jednym z naszych projektów i teraz wie za dużo, więc chcemy ją uciszyć, zanim sprawa nabierze rozgłosu? Tak pan uważa?

— Coś takiego przyszło mi do głowy.

Kipiąc oburzeniem, prawdziwym albo doskonale udawanym, Seames przeszedł za

Danem do następnego biurka, gdzie Herman Dorft popijał czarną kawę i przeglądał teczkę ze zdjęciami zatrzymanych.

— Zwariował pan, Haldane, czy jak? — zapytał, jękając się ze złości.

— Czy jak.

— Jesteśmy rządem, na litość boską. Rządem Stanów Zjednoczonych.

— Gratuluję.

— To nie Chiny, gdzie rząd co noc puka do kilkuset drzwi i kilkuset ludzi znika bez śladu.

— Ilu znika tutaj? Dziesięciu na noc? Od razu mi ulżyło.

— To nie jest Iran, Nikaragua czy Libia. Nie jesteśmy zabójcami. Mamy chronić obywateli.

— Czy ta wzruszająca mowa ma jakiś podkład muzyczny? Powinna mieć, ale nic nie słyszę.

— Nie mordujemy ludzi — oświadczył bezbarwnie Seames.

Podając Dorftowi swoje poświadczone zeznanie, Dan rzucił w stronę Seamesa:

— No dobrze, więc sam rząd, sama instytucja rządu w tym kraju nie zabija ludzi w ramach prowadzonej polityki... najwyżej podatkami i biurokracją. Ale rząd składa się z pojedynczych osób i pańska agencja składa się z pojedynczych osób, i niech pan mi nie wmawia, że żadna z tych osób nie mogłaby zamordować obu McCaffrey w zamian za pieniądze lub korzyści polityczne, przez źle pojęty idealizm czy z tysiąca innych powodów. Niech pan mi nie wmawia, że w waszej agencji są same świętoszki i żaden z nich nigdy nawet nie pomyślał o morderstwie, bo pamiętam Waco w Teksasie i rodzinę Weaverów w Idaho, i wiele innych przypadków nadużycia władzy przez Biuro, agencje Seames.

Zaskoczony Dorft podniósł na nich wzrok, a Seames gwałtownie potrząsnął głową i powiedział:

— Agenci FBI są...

— Ofiarni, wyszkoleni i na ogół cholernie dobrzy w swojej robocie — dokończył Dan. — Ale nawet najlepsi z nas są zdolni do popełnienia morderstwa, panie Seames. Nawet ci, którzy budzą największe zaufanie... nawet najbardziej łagodni, najbardziej niewinni ludzie. Proszę mi wierzyć, ja wiem. Wiem wszystko o morderstwach, o mordercach wśród nas, o mordercach w nas. Więcej niż chciałbym wiedzieć. Matki mordują własne dzieci. Mężowie upijają się i mordują swoje żony, a czasami nawet nie muszą się upijać, tylko cierpią na niestrawność, a czasami nawet nie potrzeba niestrawności. Zwykle sekretarki mordują swoich niewiernych kochanków. Zeszłego lata tutaj w L.A., w najgorętszy dzień lipca, zwykły komiwojażer zamordował sąsiada z powodu kłótni o pożyczoną kosiarkę. Pokręcony z nas gatunek, Seames. Chcemy dobrze, chcemy postępować przyzwoicie wobec siebie nawzajem i próbujemy, Bóg widzi, że próbujemy,

ale tkwi w nas ta skaza, ta ciemność i musimy z nią walczyć w każdej minucie, walczyć, żeby ciemność nie urosła i nie opanowała nas, i walczymy, ale czasami przegrywamy. Mordujemy z zazdrości, chciwości, żądz, pychy... z zemsty. Polityczni idealisci wpadają w morderczy szał i zamieniają życie w piekło na ziemi dla tych samych ludzi, którym chcieli dać lepsze życie. Nawet najlepszy rząd, jeśli jest dostatecznie wielki, roi się od idealistów, którzy z czystym sumieniem zakładaliby obozy koncentracyjne, gdyby tylko dostali szansę. Religijni zapaleńcy zabijają się nawzajem w imię Boga. Gospodynie domowe, pastory, biznesmeni, hydraulicy, pacyfiści, poeci, lekarze, prawnicy, babcie i nastolatki... wszyscy mogą popełnić morderstwo, wystarczy odpowiednia chwila, nastrój i motyw. A najmniej należy ufać tym, którzy twierdzą, że są całkowicie pokojowo usposobieni, że absolutnie nie uznają przemocy, ponieważ albo kłamią i czekają tylko na dogodną okazję... albo są niebezpiecznie naiwni i nie znają samych siebie. Teraz, widzi pan, dwie osoby, na których mi zależy... które chyba są dla mnie najważniejsze na świecie... znajdują się w niebezpieczeństwie i nie powierzę ich życia nikomu prócz siebie. Wykluczone. Nie ma mowy. Koniec tematu. A każdy, kto wejdzie mi w drogę, kto chce mi przeszkodzić w chronieniu obu McCaffrey, dostanie takiego kopa, że dupa mu wyjdzie między łopatkami. Co najmniej. A każdy, kto spróbuje je skrzywdzić, choćby tknąć je palcem... no, takiego skurwysyna załatwię na amen. Nie wątpię w to, Seames, ponieważ nie mam żadnych złudzeń co do swoich własnych morderczych skłonności.

Roztrzęsiony, odszedł od biurka i ruszył do drzwi, które wychodziły na parking za posterunkiem. Po drodze zauważył, że w pokoju panuje cisza i że wszyscy na niego patrzą. Zorientował się, że mówił nie tylko z gniewem i pasją, ale również podniesionym głosem. Czuł, że ma gorączkę. Twarz miał spoconą. Ludzie schodzili mu z drogi.

Dotarł do drzwi i położył już rękę na klamce, zanim Michael Seames doszedł do siebie po tym emocjonalnym wybuchu i pospieszył za nim.

— Czekaj, Haldane, na rany Chrystusa, w ten sposób nic nie zdziałasz. Nie możesz odgrywać Samotnego Jeźdźca. Zastanów się, człowieku! Ośmiu ludzi zginęło przez dwa dni, dlatego ta cholerna sprawa jest za wielka, żeby...

Dan zdjął rękę z klamki, obrócił się gwałtownie do Seamesa i przerwał mu:

— Ośmiu? Tak pan powiedział? Ośmiu zabitych? Dylan McCaffrey, Willy Hoffritz, Cooper, Rink i Scaldone. Razem pięciu. Nie ośmiu. Tylko pięciu.

— Co zaszło od wczorajszej nocy? — zapytał ostro Dan. — Kto jeszcze zginął oprócz Scaldonego?

— Nie wie pan?

— Kto jeszcze? — powtórzył Dan.

— Edwin Koliknikow.

— Przecież on uciekł. Wyjechał do Las Vegas.

Seames wpadł w furję.

— Pan wiedział o Koliknikowie? Pan wiedział, że był współnikiem Hoffritza w tej sprawie szarego pokoju?

— Tak.

— Nic nie wiedzieliśmy, dopóki nie zginął, na litość boską! Pan zataja informacje istotne dla śledztwa, Haldane, i gównu mnie obchodzi, że pan jest policjantem!

— Co się stało z Koliknikowem?

Seames opowiedział o spektakularnej publicznej egzekucji w kasynie w Vegas.

— Zupełnie jak poltergeist — oznajmił agent. — Coś niewidzialnego. Nieznana, niepojęta moc, która przeniknęła do kasyna i pobiła Koliknikowa na śmierć na oczach setek świadków! Teraz nie ma już wątpliwości, że Hoffritz i Dylan McCaffrey pracowali nad czymś bardzo istotnym dla obronności, a my bezwzględnie musimy się dowiedzieć, co to było.

— Macie jego papiery, dzienniki i zapisy z domu w Studio City...

— Mieliliśmy — sprostował Seames. — Ale cokolwiek sprzątnęło w kasynie Koliknikowa, dotarło również do dowodów zebranych w tej sprawie i spaliło wszystkie papiery McCaffreya...

— Co? Kiedy to się stało? — zapytał zdumiony Dan.

— Wczoraj w nocy. Pieprzony samozapłon, kurwa — warknął Seames.

Widocznie Seames balansował na granicy ślepej furii, ponieważ agenci federalni zwykle nie rzucają mięsem w miejscach publicznych. Takie zachowanie niekorzystnie wpływało na wizerunek, a dla fedziów wizerunek liczył się nie mniej niż praca.

— Powiedział pan ośmiu — przypomniał Dan. — Ośmiu zabitych. Kto jeszcze oprócz Koliknikowa?

— Dzisiaj rano znaleziono martwego Howarda Renseveera w jego domku narciarskim w górach Mammoth. Pewnie pan już wiedział o Renseveerze.

— Nie — skłamał Dan z obawy, że prawda rozwścieczy agenta do tego stopnia, że aresztuje detektywa. — Harold Renseveer?

— Howard — poprawił Seames sarkastycznym tonem, jakby wciąż podejrzewał, że Dan doskonale zna to nazwisko. — Następny współnik Willy'ego Hoffritza i Dylana McCaffreya. Widocznie tam się ukrywał. Ludzie w sąsiednim domku, niżej na zboczach, usłyszeli krzyki w nocy i wezwali szeryfa. Zastali jatki, kiedy dotarli na miejsce. I z Renseveerem był ktoś jeszcze. Sheldon Tolbeck.

— Tolbeck? Kto to jest? — zapytał Dan, udając głupiego, żeby chronić własną skórę.

— Następny naukowiec psycholog, który współpracował z Hoffritzem i McCaffreym. Ślady wskazują, że Tolbeck był w chacie, kiedy to coś... ta moc, czymkolwiek jest, pojawiła się i zaczęła tłuc Renseveera. Tolbeck uciekł do lasu. Jeszcze go nie odnaleziono. Pewnie nigdy go nie znajdą, ale jeśli tak... no, w tych okolicznościach możemy najwyżej życzyć mu, żeby zamarzył na śmierć.

To było straszne. Okropne. Najgorsze.

Dan wiedział, że czas ucieka, ale nie zdawał sobie sprawy, że ucieka tak szybko, niczym powódź wylewająca się przez wyrwę w tamie. Myślał, że zostało jeszcze do załatwienia co najmniej pięciu konspiratorów z szarego pokoju, zanim To zwróci uwagę na Melanie. Wyobrażał sobie, że te egzekucje zajmą jeszcze dzień lub dwa, a on zdąży sprawdzić swoje podejrzenia na długo przed usunięciem ostatnich konspiratorów i znajdzie sposób, żeby w porę położyć kres mordom i uratować Melanie. Przypuszczał nawet, że zdąży ocalić jednego czy dwóch spośród tych amoralnych manipulatorów, chociaż nie zasługiwali na ocalenie. Teraz jednak szansę ratunku skurczyły się gwałtownie. Zginęło trzech następnych. O ile wiedział, pozostało dwóch konspiratorów: Albert Uhlander, pisarz, i Palmer Boothe. Jak tylko To ich wykończy, zaatakuje Melanie z jeszcze większą furią. Rozedrze ją na strzępy. Rozbije na kawałeczki jej czaszkę, wytłucze z mózgu ostatni przeblysłk życia, zanim wreszcie ją uwolni. Tylko Boothe i Uhlander stali pomiędzy dziewczynką a śmiercią. A przecież nawet w tej chwili wydawca lub autor — lub obaj — mogli umierać w bezlitosnym uścisku swego niewidzialnego, lecz potężnego wroga.

Dan odwrócił się od Seamesa, szarpnął drzwi i wyskoczył na parking, gdzie lodowaty wiatr, ulewny deszcz i gęsta mgła pracowicie negowały standardowy pocztówkowy wizerunek południowej Kalifornii. Z chlupotem przebiegł przez kałuże, woda nalała mu się do butów.

Usłyszał, że Seames go woła, ale nie zatrzymał się ani nie odpowiedział. Przemoczony i drżący wsiadł do samochodu, obejrzał się i zobaczył, że agent stoi w otwartych drzwiach posterunku. Z tej odległości twarz Seamesa jakby się postarzała; teraz bardziej pasowała do siwych włosów.

Wyjeżdżając z parkingu na ulicę, Dan dziwił się, że Seames go wypuścił. Ostatecznie w grę wchodziła duża stawka, może nawet śmiertelnie poważne kwestie bezpieczeństwa narodowego; osiem osób zginęło i FBI oficjalnie wkroczyło w sprawę. Seames miał prawo go zatrzymać; właściwie zaniedbał swoje obowiązki, skoro pozwolił mu odejść.

Dan oczywiście cieszył się z wolności, ponieważ koniecznie musiał porozmawiać z Palmerem Boothe'em jak najszybciej, cholernie szybko. Życie Melanie wisiało na włosku, a czas niczym nieubłagany nóż stopniowo przecinał tę cieniutką nitczkę.

Delmar, Carrie. Cindy Lakey...

Nie.

Nie tym razem.

Uratuje tę kobietę, to dziecko. Nie poniesie kolejnej klęski.

Przejechał przez Westwood, dotarł do Wilshire, skręcił w lewo, w stronę Bulwaru Westwood, który prowadził do Bulwaru Zachodzącego Słońca i wjazdu do Bel Air. Zjawi się w domu Boothe'a przed czasem, ale może Boothe również wróci wcześniej.

Minął trzy przecznice, zanim mu zaświtało, że Michael Seames na pewno kazał umieścić pluskwę w jego samochodzie, kiedy Dan na posterunku przygotowywał swoje zeznanie przeciwko Wexlershowi i Manuellowi. Dlatego nie zatrzymano go na przesłuchanie ani nie aresztowano za utrudnianie pracy agentowi federalnemu. Seames zorientował się, że najszybciej znajdzie Laurę i Melanie McCaffrey, jeśli pozwoli Danowi zaprowadzić się do celu.

Kiedy światło zmieniło się na czerwone, Dan zahamował i kilkakrotnie zerknął we wsteczne lusterko. Panował duży ruch. Wytropienie ogona będzie niełatwe i czasochłonne, a przecież zostało tak niewiele cennego czasu. Poza tym śledzący niekoniecznie musieli za nim jechać; jeśli podłożyli mu pluskwę, jeśli prowadzili elektroniczny pościg, mogli siedzieć w samochodzie kilka przecznic dalej i obserwować jego trasę na podświetlonym schemacie, nałożonym na komputerowo wygenerowany plan ulic.

Musiał ich zgubić.

Nie jechał jeszcze na spotkanie z Laurą McCaffrey, ale nie chciał również, żeby śledzono go do domu Boothe'a. Gospodarz nie ucieszy się na widok bandy agentów FBI deptających Danowi po piętach. Co więcej, jeśli Boothe zacznie mówić, Dan wolałby, żeby nikt nie słyszał wyznań wydawcy, ponieważ gdyby Melanie jakimś cudem przeżyła, te informacje zostałyby użyte przeciwko niej. Wówczas nie miałaby żadnej nadziei na wyleczenie z autyzmu, żadnych szans na powrót do normalnego życia.

Zresztą i tak pozostało jej niewiele nadziei, najwyżej iskierka. Zadanie Dana polegało na chronieniu tej iskierki i rozdmuchaniu jej w płomień.

Światła uliczne zmieniły się na zielone.

Zawahał się, niepewny, w którą stronę skręcić, w jaki sposób pozbyć się ogona.

Delmar, Carrie, Cindy Lakey...

Spojrzał na zegarek.

Serce mu waliło.

Cichutkie tykanie zegarka, łomotanie serca i bębnienie deszczu o karoserię zlały się w jeden metronomiczny dźwięk, jakby cały świat zmienił się w bombę z czasowym zapalnikiem, która zaraz wybuchnie.

Oczy Melanie śledziły akcję na ekranie. Nie wydała żadnego dźwięku i ani razu nie zmieniła pozycji w fotelu, lecz jej oczy poruszały się, co stanowiło dobry znak. Zaledwie kilka razy przez ostatnie dwa dni Laura widziała, że córka rzeczywiście na coś patrzy. Prawie przez godzinę ruchy gałek ocznych świadczyły, że film wciągnął dziewczynkę, a przynajmniej po raz pierwszy od dłuższego czasu skupiła uwagę na świecie zewnętrznym. Czy śledziła akcję, czy po prostu fascynowały ją jaskrawe obrazy, to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że muzyka, kolor i filmowy artyzm Spielberga — pełne fantazji sceny, archetypiczne postacie i śmiałe operowanie kamerą — dokonały tego, co nie udało się nikomu innemu: wywabiły dziecko z psychicznej izolacji, którą samo sobie narzuciło.

Laura wiedziała, że nie będzie żadnego cudownego ozdrowienia, żadnej samoczynnej remisji autyzmu z powodu zwykłego filmu. Ale zrobiły pierwszy krok, chociaż niewielki.

Jednocześnie zainteresowanie Melanie filmem ułatwiało Laurze obserwację córki i pilnowanie, żeby nie zasnęła. Dziewczynka nie zdradzała żadnych oznak senności ani powrotu do głębokiej katatonii.

Dan jeździł tam i z powrotem przez Westwood, skręcał w kolejne ulice. Za każdym razem, kiedy zatrzymywał się na czerwonym świetle, przełączał bieg na parkowanie, wysiadał i pospiesznie przeszukiwał jeden mały fragment karoserii sedana, żeby zlokalizować przenośny nadajnik, który FBI musiało gdzieś przyczepić do pojazdu. Mógł stanąć przy krawężniku i metodycznie obejrzeć cały samochód od początku do końca, wtedy jednak śledzący agenci dogonią go i zobaczą, co robi. Jeżeli odkryją, że podejrzewa podstęp, nie będą czekać spokojnie, żeby znalazł pluskwę, pozbył się jej i wyniknął się pościgowi; na pewno aresztują go i zabiorą z powrotem do Michaela Seamesa. Więc na pierwszych światłach gorączkowo sprawdził pod lewym przednim zderzakiem i na kole wokół całej opony, szukając po omacku przymocowanego magnetycznie pudełka wielkości paczki papierosów. Na następnym postoju sprawdził lewe tylne koło;

podczas dwóch kolejnych postojów przebiegł na prawą stronę samochodu i pomacał pod tamtymi zderzakami. Wiedział, że inni kierowcy gapią się na niego, ale ponieważ kluczył zygzakiem przez przypadkowo wybrane ulice, żaden nie jechał za nim dłużej niż przez dwa skrzyżowania, więc żaden nie zdążył pomyśleć, że takie zachowanie jest nie tylko dziwaczne czy ekscentryczne, ale wręcz podejrzanе.

Wreszcie przed znakiem stopu na skrzyżowaniu w osiedlu mieszkaniowym, dwie przecznice na wschód od Hillgate i na południe od Bulwaru Zachodzącego Słońca, gdzie w zasięgu wzroku nie widział innych samochodów, a deszcz przylepiał mu włosy do czaszki i kapał za kołnierz marynarki, pod tylnym zderzakiem znalazł to, czego szukał. Oderwał pluskwę, wrzucił ją w kolczasty żywopłot na frontowym podwórzu przed wielkim bladeżółtym hiszpańskim domem, ponownie usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi i odjechał pełnym gazem. Przez następne skrzyżowania ciągle spoglądał we wsteczne lusterko z obawy, że agenci podjechali bliżej i widzieli, jak wyrzucał pluskwę, i teraz go nie spuszczają z oka. Ale nikt go nie ścigał.

Miał przemoczone buty i nogawki spodni, mnóstwo wody nakapało mu za kołnierz, kiedy schylał się i wykręcał, żeby dosięgnąć różnych zakamarków karoserii. Zęby mu szczękały, przechodziły go fale dreszczy.

Podkręcił ogrzewanie w samochodzie do najwyższego poziomu. Ale to był tani miejski gruchot i nawet kiedy wyposażenie działało, nie działało dobrze. Nawiew dmuchnął mu w twarz ciepłym, wilgotnym, lekko cuchnącym powietrzem, jakby samochód miał nieświeży oddech. Dan dygotał przez całą drogę na wzgórza Bel Air, dygotał, kiedy krążył splątana siecią bardzo prywatnych uliczek i kiedy wreszcie znalazł posiadłość Boothe'a przy uliczce najdalszej i najbardziej zacisznej.

Za rzędem masywnych sosen i dębów, niemal równie potężnych jak iglaste olbrzymy, wznosił się ceglany mur barwy starej krwi, mierzący od siedmiu do ośmiu stóp wysokości, kryty czarnym łupkiem i uwieńczony czarnymi żelaznymi szpikulcami. Mur był tak długi, jakby otaczał teren jakiejś instytucji — uniwersytetu, szpitala, muzeum — nie prywatnej rezydencji. Wkrótce jednak Dan dotarł do miejsca, gdzie ceglane fortyfikacje zakręcały łukiem po obu stronach podjazdu, prowadziły wzdłuż niego na odcinku dwudziestu stóp i kończyły się wspaniałą żelazną bramą.

Krzyżujące się pręty bramy miały dwa cale grubości. Cała konstrukcja, flankowana i zwieńczona misternie kutymi żelaznymi wolutami oraz fleurs-delis, wyglądała pięknie, elegancko i imponująco — i dość solidnie, żeby wytrzymać każde bombardowanie.

Przez chwilę Dan myślał, że będzie musiał wyjść na deszcz i szukać guzika domofonu, ale potem zauważył budkę strażnika, zręcznie ukrytą w łukowej krzywiźnie muru. Strażnik w kaloszach i szarej pelerynie z naciągniętym kapturem wyszedł zza ceglanej ścianki, która maskowała drzwi do jego małego królestwa; dopiero teraz Dan zauważył okrągłe okno, przez które strażnik widział nadjeżdżającego sedana.

Mężczyzna podszedł prosto do samochodu, zapytał, w czym może pomóc, sprawdził tożsamość Dana i poinformował go, że jest oczekiwany.

— Otworzę bramę, poruczniku. Niech pan jedzie głównym podjazdem i zaparkuje na kręgu przed frontem domu.

Dan podniósł szybę, a strażnik wrócił do budki. Po chwili kolosalne skrzydła bramy rozwarły się do wewnątrz z majestatycznym wdziękiem. Przejeżdżając pomiędzy nimi, Dan doznał dziwnego, wręcz fantastycznego wrażenia, że rezydencja nie znajduje się w tym samym świecie, który znał, tylko w innym, lepszym wymiarze; brama strzegła magicznego portalu, który przenosił człowieka do krainy dziwów i cudów.

Posiadłość Boothe'a zajmowała jakieś osiem do dziesięciu akrów i z pewnością należała do największych w Bel Air. Podjazd wznosił się łagodnie, po czym zakręcał w lewo przez doskonale utrzymane tereny parkowe. Dom, zbudowany w miejscu, gdzie podjazd tworzył koło, wyglądał tak, jakby mógł tam zamieszkać Bóg — gdyby wystarczyło Mu pieniędzy. Przypominał jedną z tych magnackich siedzib w filmach umiejscowionych w Anglii, jak „Rebeka” czy „Odwiedziny w Brideshead”: ogromna ceglana bryła z granitowymi narożnikami i parapetami okien, trzypiętrowa, z mansardowym dachem o licznych szczytach, krytym czarnymi łupkowymi dachówkami, z częściowo widocznymi skrzydłami i całkiem niewidocznymi skrzydłami, które wyrastały pod rozmaitymi kątami z frontowej części budynku. Dwanaście stopni pod portykiem prowadziło do zabytkowych podwójnych drzwi wejściowych, które niewątpliwie kosztowały życie co najmniej jednego dużego drzewa albo dwóch mniejszych.

Dan zaparkował obok fontanny z wapienia stojącej pośrodku kolistego placu. W tej chwili fontanna nie działała, chociaż wyglądała zupełnie jak dekoracja do sceny miłosnej z Cary Grantem i Audrey Hepburn w jakimś starym filmie o europejskich romansach i intrygach.

Dan wspiął się po stopniach, a jedno skrzydło drzwi otwarło się, zanim zdążył odszukać dzwonek. Widocznie strażnik przy bramie zadzwonił i uprzedził o jego wizycie.

Westybul był tak wielki i wspaniały, że Dan mógł mieszkać tam wygodnie do końca życia, nawet gdyby ożenił się i spłodził dwójkę dzieci.

Służący o cichym głosie z brytyjskim akcentem, ubrany w szary garnitur, białą koszulę i czarny krawat zamiast tradycyjnego stroju filmowych kamerdynerów, zabrał ociekający wodą płaszcz Dana i przez uprzejmość nie spojrział krzywo na jego wilgotne, zmięte, nieświeże ubranie.

— Pan Boothe oczekuje pana w bibliotece — oznajmił kamerdyner.

Dan spojrzął na zegarek. Trzecia pięćdziesiąt pięć. Na skutek zwłoki, która wynikała z konieczności usunięcia nadajnika, nie przyszedł za wcześnie. Ponownie doznał nagłego przeczucia, że czas ucieka.

Kamerdyner poprowadził go przez szereg rozległych, sennych pokoi — każdy

umeblowany bardziej ozdobnie i wykwintnie od poprzedniego — po starożytnych perskich dywanach i chińskich kobiercach. Kasetonowe sufity z intarsjami wyglądały na importowane z klasycznych pałaców Europy. Przechodzili przez cudownie rzeźbione drzwi i mijali obrazy impresjonistów pędzla wszystkich mistrzów tej szkoły (Dan nie miał powodu podejrzewać, żeby choć jeden był kopią lub reprodukcją).

Bogactwo antyków i piękno całego domu zapierały dech w piersiach, jednak kolejne rajskie komnaty budziły w Danie narastający niepokój. Wyczuwał potężne i złowrogie siły, drzemiące w czujnej gotowości tuż za ścianami i pod podłogą, jakimś szóstym zmysłem odbierał złowrogi szum kolosalnej maszynierii ukrytej gdzieś w pobliżu. Chociaż dom zbudowano bez oglądania się na koszty, chociaż urządzono go z doskonałym smakiem, chociaż został zaprojektowany na imponującą skalę — a może właśnie z powodu tych nadludzkich proporcji — panowała w nim przytłaczająca średnio-wieczna atmosfera.

Co więcej, Dan mimo woli zastanawiał się ponuro, jakim sposobem Palmer Boothe — człowiek dostatecznie wrażliwy i wyrafinowany, żeby doceniać uroki tego domu — mógł skazać małą dziewczynkę na okropności szarego pokoju. Ta sprzeczność świadczyła o wybitnie dwoistej naturze, co graniczyło wręcz ze schizofrenicznym rozszczepieniem osobowości. Doktor Jekyll i mister Hyde. Wielki wydawca, liberał i filantrop, który nocą grasuje po ciemnych uliczkach ze sztyletem ukrytym w niewinnej na pozór lasce.

Kamerdyner otworzył jedno skrzydło ciężkich, wykładanych boazerią drzwi biblioteki, wszedł pierwszy i zapowiedział Dana. Dan z lekkim, lecz wyraźnym drżeniem wkroczył pomiędzy regały, które otaczały wejście. Kamerdyner wycofał się natychmiast i zamknął za sobą drzwi.

Dwadzieścia pięć stóp w górze bogato rzeźbiony mahoniowy sufit opadał łukiem do wysokich na dziesięć stóp mahoniowych regałów wypełnionych książkami; dostęp do pozycji na górnych półkach umożliwiała biblioteczna drabinka. Na drugim końcu pokoju ogromne oszklone drzwi zajmowały jedyną ścianę nie zakrytą w całości przez książki; za szkłem rozciągał się widok na bujne ogrody, chociaż ciężkie zielone draperie zasłaniały ponad połowę szyb. Perskie dywany zdobiły drewnianą podłogę wypolerowaną na wysoki połysk, a grubo wyściełane fotele ustawione w grupkach zapewniały wygodę i elegancję. Na biurku, dużym prawie jak łóżko, lampa z barwionego szkła od Tiffany'ego rzucała tak cudownie nasycone świetlne desenie, jakby zrobiono ją z drogocennych klejnotów, nie ze zwykłego szkła. Zza tego biurka, przez czerwono-zielono-niebiesko-żółte smugi łagodnego blasku, wyszedł Palmer Boothe, żeby powitać gościa.

Boothe miał sześć stóp wzrostu, szerokie ramiona i klatkę piersiową, wąską talię. Sporo po pięćdziesiątce, wyglądał i zachowywał się jak znacznie młodszy człowiek. Twarz miał zbyt wąską i rysy zbyt wydłużone, żeby nazwać go przystojnym. Jednak

ascetyczna surowość wąskich ust i cienkiego, prostego nosa oraz szlachetne linie szczęki i kości policzkowych całkowicie usprawiedliwiały pochlebny przymiotnik „dystyngowany”.

Podchodząc z wyciągniętą ręką, Boothe powiedział:

— Poruczniku Haldane, tak się cieszę, że pan przyszedł.

Zanim Dan połapał się w sytuacji, już potrząsał dłonią Boothe’a, chociaż powinno go odrzucić na samą myśl o dotknięciu tego śliskiego gada. W dodatku spostrzegł, że manipulowano nim, żeby zareagował na Boothe’a częściowo jak wasal z nieznanymi przyczyn dopuszczony na dwór króla, częściowo jak ceniony znajomek wezwany przez szlachcica, na którego pochwałę pragnął zasłużyć, wypełniając posłusznie każde polecenie, żeby tylko zdobyć jego przyjaźń. W jaki sposób przeprowadzono tę subtelną manipulację, pozostało dla Dana tajemnicą. I właśnie dlatego Palmer Boothe miał grube miliony, natomiast Dan robił zakupy częściej w tanich supermarketach niż w ekskluzywnych sklepach. W każdym razie już na początku tego spotkania cholernie szybko wypadł z roli twardego gliniarza, który przyszedł skopać komuś tyłek.

Dan zauważył jakiś ruch w ciemnym kącie pokoju. Odwrócił się i zobaczył wysokiego, chudego mężczyznę o jastrzębiej twarzy, który podniósł się z fotela, trzymając w ręku szklankę whisky z lodem. Chociaż dzieliło ich dwadzieścia stóp, niezwykle jasne i skupione oczy mężczyzny nawet na odległość zdradzały najważniejsze cechy jego osobowości: wysoką inteligencję, silną ciekawość, agresję — i szczyptę szaleństwa.

Boothe zaczął prezentację, ale Dan mu przerwał:

— Albert Uhlander, pisarz.

Uhlander widocznie wiedział, że w przeciwieństwie do Palmera Boothe’a nie posiada wyjątkowego daru manipulacji. Nie uśmiechnął się. Nie wyciągnął ręki. Równie jasno jak Dan zdawał sobie sprawę, że należeli do przeciwnych obozów i wyznawali wrogie ideologie.

— Czego pan się napije? — zapytał Boothe z niepotrzebną uprzejmością, przesadnie ugrzecznionym tonem, który zaczynał irytować Dana. — Szkocka? Bourbon? Może kieliszek wytrawnego sherry?

— Nie mamy czasu siedzieć i popijać, na litość boską — warknął Dan. — Obaj żyjecie na kredyt i dobrze o tym wiecie. Tylko dlatego chcę uratować wam życie, żeby z wielką przyjemnością wsadzić was do pierdła na długi, długi czas.

No, już lepiej.

— Doskonale — rzucił chłodno Boothe i wrócił za biurko. Zasiadł w klubowym fotelu krytym zieloną skórą i nabijanym mosiężnymi ćwiekami i prawie całkowicie schował się w cieniu z wyjątkiem twarzy, którą kolorowe promienie z lampy Tiffany’ego barwiły na żółto, zielono i niebiesko.

Uhlander podszedł do szyby nie zakrytej zieloną kotarą i stanął plecami do prze-

szklonych drzwi. Na zewnątrz pochmurne popołudnie przechodziło we wczesnozimowy zmierzch, więc do biblioteki docierało tylko skąpe światło, przefiltrowane przez bujną zieleń francuskich ogrodów. A jednak rozjaśniało przestrzeń za Uhlanderem wystarczająco, żeby zredukować go do niewyraźnej sylwetki i pogрузić jego twarz w głębokim maskującym cieniu.

Dan podszedł do biurka, stanął w kręgu wielobarwnego światła i spojrzał z góry na Boothe'a, który popijał whisky ze szklanki.

— Dlaczego człowiek o pańskiej pozycji i reputacji zadawał się z kimś takim jak Willy Hoffritz?

— To był wielki umysł. Geniusz w swojej dziedzinie. Zawsze wysoko sobie ceniłem inteligentnych ludzi — oświadczył Boothe. — Po pierwsze, tacy są najbardziej interesujący. A po drugie, często wykorzystuję praktycznie ich pomysły i entuzjazm w rozmaitych interesach.

— A poza tym Hoffritz dostarczył panu całkowicie posłuszną, stuprocentowo uległą młodą kobietę, która pokornie znosiła wszelkie upokorzenia, jakich pan jej nie szczędził. Czy nie tak, Tatusiu?

Wreszcie w gładkiej masce Boothe'a pojawiła się rysa. Na chwilę jego oczy zwęziły się nienawistnie i wężły mięśni wystąpiły na szczękach, kiedy gniewnie zacisnął zęby. Lecz po kilku sekundach szczelina zamknęła się i Boothe odzyskał zimną krew. Ze spokojną twarzą pociągnął łyk whisky.

— Wszyscy ludzie mają swoje... słabości, poruczniku. Pod tym względem nie różnią się od innych.

Coś w jego oczach, głosie i wyrazie twarzy zaprzeczało wszelkim śladom słabości. Raczej sprawiał wrażenie, że tylko przez wielkoduszość przyznaje się do wad typowych dla zwykłych ludzi. Najwyraźniej wcale nie uważał, że w jego zachowaniu wobec Reginy kryło się coś złego czy choćby wątpliwego moralnie, a przyznając się do winy, nie wyrażał pokory ani skruchy, tylko protekcyjną łaskawość.

Dan zmienił taktykę.

— Hoffritz może był geniuszem, ale zбочonym, chorym. Wykorzystywał swoją wiedzę i zdolności nie do legalnych badań modyfikacji behawioralnej, tylko do rozwijania nowych technik prania mózgu. Słyszałem od ludzi, którzy go znali, że był faszystą, totalitarystą, elitarystą najgorszego rodzaju. Jak to pasuje do pańskiego szeroko rozgłaszanego liberalizmu?

Boothe popatrzył na Dana z rozbawieniem, politowaniem i pogardą. Tonem wyższości, jakby zwracał się do dziecka, powiedział:

— Poruczniku, każdy, kto uważa, że problemy społeczne można rozwiązać na drodze procesów politycznych, jest elitarystą. Czyli większość ludzi. Nieważne, czy pan jest prawicowcem, konserwatystą, centrowcem, liberałem lub ekstremalnym lewicowcem.

Jeżeli przypisuje pan sobie jakąkolwiek etykietkę polityczną, to jest pan elitarystą, ponieważ pan wierzy, że problemy można rozwiązać tylko wtedy, jeżeli właściwa grupa ludzi obejmie władzę. Więc nie obchodził mnie elitaryzm Willy'ego Hoffritza. Osobiście uważam, że masy potrzebują kierownictwa, kontroli...

— Prania mózgów.

— Tak, prania mózgów, ale dla ich dobra. Przy stale rosnącej światowej populacji, kiedy technologie umożliwiają coraz szybsze rozprzestrzenianie informacji i ideologii, upadają stare instytucje, jak kościół i rodzina. Niezadowoleni znajdują nowe, bardziej niebezpieczne sposoby, żeby wyrazić swoją frustrację i alienację. Więc musimy znaleźć metody eliminacji niezadowolonych, kontrolowania myśli i czynów, jeżeli mamy zbudować stabilne społeczeństwo, stabilny świat.

— Rozumiem, dlaczego wykorzystaliście libertariańskie komitety polityczne jako przykrywkę dla finansowania McCaffreya i Hoffritza.

Boothe uniósł brwi.

— Więc pan o tym wie?

— Wiem znacznie więcej.

Boothe westchnął.

— Libertarianie to tacy beznadziejni marzyciele. Chcą zredukować rząd do minimum, praktycznie wyeliminować politykę. Pomyślałem, że zabawnie będzie posłużyć się szyldem libertariańskiej krucjaty dla osiągnięcia dokładnie przeciwnego celu.

Albert Uhlander wciąż stał plecami do oszklonych drzwi, czujny, lecz nieprzenikniony, milcząca sylwetka, która poruszała się tylko po to, żeby unieść czarny zarys szklanki z whisky do niewidocznych ust.

— Więc pan wspierał Hoffritza i McCaffreya, i Koliknikowa, i Tolbecka, i Bóg wie jeszcze ilu pokręconych „geniuszów” — stwierdził Dan. — Tak pilnie pan szukał metody kontrolowania mas, a teraz sam pan stracił kontrolę. Jeden z eksperymentów oszalał i w szybkim tempie likwiduje wszystkie związane z nim osoby. Niedługo zlikwiduje również pana.

— Z pewnością ten ironiczny obrót rzeczy sprawił panu ogromną satysfakcję — odparł Boothe. — Ale nie wierzę, że pan wie tak dużo, jak się panu zdaje. Kiedy pan usłyszy całą historię, kiedy pan zrozumie, co się dzieje, równie mocno jak my zapragnię pan przerwać zabijanie, powstrzymać grozę, która wypełzła z szarego pokoju. Przysięgał pan chronić i ratować życie, a ja dość dobrze znam pański przebieg służby i wiem, że traktuje pan tę przysięgę poważnie, wręcz z pietyzmem. Tym razem musi pan chronić życie moje i Alberta, i chociaż pan nami gardzi, udzieli nam pan wszelkiej koniecznej pomocy, jak już pan pozna całą historię.

Dan potrząsnął głową.

— Przecież pan lekceważy honor i uczciwość zwykłych ludzi, takich jak ja, a jednak

polega pan na tym honorze, kiedy trzeba ratować własny tyłek.

— Na tym... i na pewnych zachętach — odezwał się Uhlander ze swojego miejsca pod oknem.

— Jakich zachętach? — zapytał Dan.

Boothe przyjrzał mu się uważnie. Jaskrawe miniaturowe desenie barwionego szkła od Tiffany'ego odbijały się w jego lodowatych oczach. Wreszcie powiedział:

— Tak, chyba nie zaszkodzi najpierw przedstawić zachęty. Albert, przynieś je tutaj, dobrze?

Uhlander podszedł do fotela, gdzie wcześniej siedział, odstawił szklankę whisky na podręczny stolik i podniósł walizkę, która stała obok fotela, lecz Dan przedtem jej nie zauważył. Położył ją na biurku Boothe'a i otworzył. Walizkę wypełniały pliki banknotów pięćdziesięcio — i studolarowych, starannie spięte opaskami.

— Pół miliona dolarów gotówką — powiedział cicho Boothe. — Ale to nie wszystko, co panu proponuję. Mam również dla pana posadę w „Journalu”. Kierownik ochrony. Z pensją ponad dwukrotnie wyższą od pańskich obecnych poborów.

Ignorując pieniądze, Dan powiedział:

— Pan udaje spokój i opanowanie, ale z tego widać wyraźnie, że jest pan zrozpaczony. To wszystko przez panikę. Podobno pan mnie zna, więc powinien pan wiedzieć, że taka oferta niemal zawsze powoduje odwrotny skutek.

— Owszem — przyznał Boothe — gdybyśmy żądali, żeby pan za pieniądze zrobił coś złego. Ale mam nadzieję przekonać pana, że chcemy, żeby pan zrobił jedyną słuszną rzecz w danej sytuacji, zgodnie z własnym sumieniem. Wierzę, że kiedy pan pozna całą sprawę, postąpi pan właściwie. I tylko tego chcemy. Naprawdę. Zobacz pan, że nie proponujemy pieniędzy, żeby zagłuszyć poczucie winy, tylko... no cóż, jako premię za dobrze wykonane zadanie — zakończył z uśmiechem.

— Chcecie tej dziewczynki — stwierdził Dan.

— Nie — zaprzeczył Uhlander z błyszczącymi oczami, z twarzą jeszcze bardziej jastrzębią w niesamowitej gmatwaninie barwnych blasków i cieni. — Chcemy jej śmierci.

— I to szybko — dodał Boothe.

— Czy proponowaliście Rossowi Mondale'owi tyle pieniędzy? Wexlershowi i Manuellowi? — zapytał Dan.

— Wielkie nieba, skąd! — obruszył się Boothe. — Ale teraz tylko pan jeden wie, jak znaleźć Melanie McCaffrey.

— Pan jest jedynym odważnym w mieście — wtrącił Uhlander.

Obaj obserwowali Dana zza biurka z drapieżnym wyczekiwaniem.

— Widocznie jesteście jeszcze bardziej zdeprawowani, niż myślałem — oświadczył. — Uważacie, że zamordowanie niewinnego dziecka można przedstawić jako słuszną

rzecz, jako dobry uczynek?

— Kluczowym słowem jest „niewinne” — odparł Boothe. — Kiedy pan zrozumie, co się stało w szarym pokoju, kiedy pan się dowie, co zabiło tych wszystkich ludzi...

— Chyba już wiem, co ich zabiło — przerwał mu Dan. — To Melanie, prawda?

Wytrzeszczyli na niego oczy, zdumieni jego przenikliwością.

— Czytałem jedną z pańskich książek, tę o projekcjach astralnych — zwrócił się do Uhlandera. — Dodałem jedno do drugiego i złożyłem razem.

Miał rozpacziwą nadzieję, że się mylił, że jego najgorsze podejrzenia okażą się nieślusne. Ale nie mógł uciec przed prawdą. Ogarnęła go zimna rozpacz, równie rzeczywista i niemal równie namacalna jak deszcz za oknem.

— Zabiła ich wszystkich — oświadczył Uhlander. — Sześciu ludzi jak dotąd. I zabije resztę nas, jeśli jej pozwolimy.

— Nie sześciu — sprostował Dan. — Ośmiu.

Film Spielberga dobiegł końca. Earl kupił bilety na następny seans innego filmu w tym samym multipleksie. Razem z Laurą zajęli miejsca na nowej sali, z Melanie bezpiecznie ukrytą pomiędzy nimi.

Laura obserwowała uważnie córkę podczas pierwszego seansu, ale dziewczynka nie zdradzała objawów senności czy ucieczki w głęboką katatonię. Oczy nadal śledziły akcję na ekranie aż do zakończenia, a raz przelotny uśmiech mignął w kącikach jej ust. Nic nie mówiła ani nawet nie wydała żadnego dźwięku w reakcji na celuloidową fantazję, poruszyła się zaledwie raz czy dwa, lecz nawet minimalna uwaga poświęcona filmowi świadczyła o poprawie jej stanu. Laura pozwoliła sobie na więcej nadziei niż przez ostatnie dwa dni, chociaż bynajmniej nie oceniała optymistycznie szans dziewczynki na całkowite wyzdrowienie.

Poza tym gdzieś ciągle czyhało To.

Spojrzała na zegarek. Dwie minuty do rozpoczęcia projekcji.

Earl przeczesywał wzrokiem publiczność, o połowę mniejszą niż na poprzednim filmie. Sprawiał wrażenie, że po prostu przygląda się ludziom, bez żadnego napięcia, bez cienia podejrzliwości. Nie denerwował się tak jak przed pierwszym filmem; tylko raz sięgnął pod marynarkę i sprawdził broń, zanim światła pogasły i wielki ekran zapłonął blaskiem.

Melanie osunęła się w fotelu jeszcze niżej niż poprzednio i wyglądała na bardziej zmęczoną. Lecz oczy miała szeroko otwarte i wpatrzone w ekran, na którym pokazywano zapowiedzi nadchodzących atrakcji.

Laura westchnęła.

Prawie całe popołudnie minęło bez żadnego wypadku. Może teraz wszystko będzie dobrze.

— Ośmiu? — Uhlander był przerażony. — Mówi pan, że zabiła ośmiu ludzi?

— Sześciu — upierał się Boothe. — Jak dotąd tylko sześciu.

— Wiecie o Kolknikowie w Vegas? — upewnił się Dan.

— Tak — potwierdził Boothe. — On był szósty.

— Wiecie o Tolbecku i Renseveerze w Mammoth?

— Kiedy? — zawołał Uhlander. — Mój Boże, kiedy ich dopadła?

— Wczoraj w nocy — odparł Dan.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia i Dan wyczuł falę strachu, która przepłynęła pomiędzy nimi. Uhlander powiedział:

— Ona likwiduje ludzi w określonym porządku, według tego, ile czasu spędzili w szarym pokoju i ile sprawili jej przykrości. Palmer i ja bywaliśmy tam znacznie rzadziej niż pozostali.

Dan miał ochotę zgryźliwie skomentować eufemistyczne określenie „przykreść”, wybrane przez Uhlandera zamiast bardziej odpowiedniego „ból”. Zrozumiał teraz, dlaczego obaj byli tacy spokojni, kiedy się zjawił, tacy pewni, że mają czas na drinka i staranne zaplanowanie kolejnego ruchu; spodziewali się, że zginą jako ostatni z dziesięciu konspiratorów, a dopóki sądzili, że Howard Renseveer i Sheldon Tolbeck jeszcze żyją, pomimo strachu nie wpadali w panikę.

Za wielkimi oszklonymi drzwiami przygasało mętne, szare światło dnia.

Wewnątrz biblioteki cienie rosły i przesuwwały się jak żywe istoty.

Lampa od Tiffany’ego wydawała się świecić coraz jaśniej, w miarę jak dogorywał dzień. Wielobarwne smugi blasku i pełzające cienie sprawiały, że wielki pokój wydawał się mniejszy, nasycaly skurczoną przestrzeń jakąś dziwną atmosferą cygańskiego wozu, namiotu czy innego karnawałowego miejsca.

— Ale jeśli Howard i Shelby nie żyją — odezwał się Boothe — to my jesteśmy następni i... ona... ona może przyjść w każdej chwili.

— W każdej chwili — potwierdził Dan. — Więc nie mamy czasu na drinki czy łąpówki. Chcę dokładnie wiedzieć, co zaszło w szarym pokoju... i dlaczego.

— Przecież nie zdążymy opowiedzieć wszystkiego — zaprotestował Boothe. — Pan musi ją powstrzymać! Na pewno pan wie, że próbowaliśmy wywołać u dziewczynki zjawisko eksterioryzacji... wyjścia poza ciało, a ona...

— Wiem trochę i podejrzewam więcej, ale na razie niewiele z tego rozumiem — oświadczył Dan. — I chcę wiedzieć wszystko, znać każdy szczegół, zanim zdecyduję, co robić.

— Muszę się napić. — Do głosu Boothe’a zakradło się drżenie. Magnat wstał i chwiejnie podszedł do baru, ukrytego w kącie pokoju.

Uhlander opadł na fotel zwolniony przez Boothe’a. Podniósł wzrok na Dana.

— Opowiem panu o tym.

Dan przysunął sobie drugi fotel.

Przy barze Boothe zachowywał się tak nerwowo, że upuścił kilka kostek lodu. Kiedy nalewał sobie następną porcję burbona, szyjka butelki wild turkey zadzwoniła o brzeg szklanki, zanim zdążył opanować dygotanie dłoni.

Laura co chwilę pochylała się i zaglądała w twarz Melanie.

Dziewczynka osunęła się jeszcze niżej w fotelu.

Ten film, trwający zaledwie od dziesięciu minut, zapowiadał się na sporo nudniejszy od filmu Spielberga. Na razie Melanie miała otwarte oczy i zdawała się śledzić akcję, lecz Laura obawiała się, że wkrótce dziewczynka straci zainteresowanie.

Palmer Boothe chodził po pokoju i popijał burbona z nietypowym dla siebie brakiem opanowania.

Albert Uhlander siedział z głową wciągniętą w kanciaste ramiona, podobny do ptaka w każdym szczególe twarzy i sylwetki, opowiadając o projekcie z szarego pokoju.

Chociaż Dylan McCaffrey był doktorem psychologii, przez całe życie fascynowały go rozmaite aspekty okultyzmu. Przeczytał kilka pierwszych książek Uhlandera i nawiązał z nim korespondencję, która ostatecznie skoncentrowała się na doświadczeniach eksterioryzacji, wyjścia poza ciało, znanego również jako projekcja astralna. Zjawisko projekcji astralnej opierało się na teorii, że w każdym człowieku istnieją dwa byty: fizyczne ciało oraz astral, czyli ciało eteryczne — czasami nazywane psychogeistem. Innymi słowy, każda istota ludzka posiada dwoistą naturę, a dokładnie sobowtóra, który może funkcjonować oddzielony od fizycznego ciała, co umożliwia przebywanie w dwóch miejscach jednocześnie. Zwykle sobowtór, ciało astralne (lub według określenia Uhlandera „ciało czujące i wrażliwe”) zamieszkuje ciało fizyczne i kieruje nim. Lecz w ekstremalnych okolicznościach (rutynowo w obliczu śmierci) ciało astralne opuszcza fizyczną powłokę.

— Niektóre media — mówił Uhlander — twierdzą, że potrafią dokonywać eksterioryzacji na życzenie, chociaż prawdopodobnie kłamią. Znamy jednak wiele fascynujących historii, opowiadanych przez ludzi godnych szacunku, którym śniło się, że podczas snu unoszą się nad własnym ciałem, że podróżują niewidzialnie, często do miejsc, gdzie umierają najbliżsi albo grozi im śmierć. Na przykład dziesięć lat temu pewna kobieta w Oregonie przeżyła we śnie takie doświadczenie: uniosła się z ciała, przepłynęła nad dachami domów, opuściła miasto i dotarła do miejsca, gdzie samochód jej brata przewrócił się na pustym odcinku rzadko uczęszczanej bocznej drogi. Brat został uwięziony we wraku i wykrwawiał się na śmierć. Nie mogła mu pomóc w postaci astralnej, ponieważ ciało astralne zwykle nie dysponuje żadną siłą, posiada tylko wrażliwość,

zdolne jest wyłącznie do obserwacji. Ale kobieta wróciła do swojego ciała, obudziła się, zadzwoniła na policję, zawiadomiła o wypadku brata i ocaliła mu życie.

— Zwykle — wtrącił Boothe — ciało astralne jest niewidoczne. Całkowicie duchowe.

— Chociaż zdarzały się przypadki widzialności, a nawet materialności — podjął Uhlander. — W roku 1810, kiedy poeta lord Byron przebywał w Patras w Turcji, złożony silną gorączką, kilku przyjaciół widziało go w Londynie. Twierdzili, że minął ich na ulicy bez słowa i widziano, jak wpisywał swoje nazwisko do rejestru osób pytających o zdrowie króla. Byron uznał to za dziwne, lecz nigdy nie uświadomił sobie, że doświadczył eksterioryzacji o rzadkiej intensywności... i zapomniał o tym, kiedy opuściła go gorączka. W każdym razie wszyscy poważni okultyści próbują samodzielnie dokonać eksterioryzacji... zwykle bez skutku.

Boothe wrócił już do baru, żeby dolać sobie burbona.

— Nie warto się upijać — ostrzegł Dan. — Utrata przytomności wcale nie zapewni panu bezpieczeństwa. Tylko skomplikuje sprawę.

— Nigdy w życiu się nie upiłem — odparł lodowato Boothe. — Ja nie uciekam od problemów, poruczniku. Ja je rozwiązuję.

Podjął spacer, ale nie pochłaniał już burbona tak łapczywie jak wcześniej.

— Dylan nie tylko wierzył w projekcję astralną, ale sądził, że wie, dlaczego tak trudno jest dokonać eksterioryzacji — kontynuował Uhlander.

Dylan (wyjaśniał Uhlander) uważał, że ludzie rodzą się ze zdolnością wychodzenia z ciała i wchodzenia w nie — wszyscy, bez wyjątku. Lecz uważał również, że represyjny, ograniczający charakter wychowania w społeczeństwie — długa lista zakazów i nakazów, arbitralnie narzucone definicje rzeczy możliwych i niemożliwych — skutecznie warunkuje dzieci tak wcześnie, że nigdy nie mają szans na rozwinięcie swojego potencjału projekcji astralnych, podobnie jak wielu innych sił psychicznych. Dylan wierzył, że dziecko może odkryć i rozwinąć ten potencjał, jeśli zostanie wychowane w kulturowej izolacji, nauczone tylko tych rzeczy, które wyostają świadomość psychicznego uniwersum — oraz poddane długim, częstym sesjom w komorze deprywacji sensorycznej od wczesnych lat, żeby skierować umysł do wewnątrz, na jego własne ukryte zdolności.

— Izolacja — przerwał Boothe — była sposobem na udoskonalenia koncentracji dziecka, na odcięcie wszelkich zakłóceń codziennego życia, żeby umysł bardziej intensywnie skupił się na kwestiach psychicznych.

— Kiedy pani McCaffrey postanowiła rozwieść się z Dylaniem, dostrzegł szansę wychowania Melanie według swoich teorii, więc uprowadził ją z tym zamiarem — oznajmił Uhlander.

— A pan mu pomagał — oskarżył Boothe'a Dan. — Wspólnik porwania, konspira-

tor maltretujący dziecko.

Siwowłosa wydawca podszedł do fotela Dana, stanął nad nim i zmierzył go wzrokiem z nieukrywaną pogardą. Wyniośle ignorował ból, który sprawił.

— To było konieczne. Okazja, jakiej nie wolno przepuścić. Niech pan tylko pomyśli! Gdyby udowodniono możliwość projekcji astralnej, gdyby można było nauczyć dziecko świadomego wychodzenia poza ciało, wówczas na tej podstawie można by opracować system uczenia dorosłych... wybranych dorosłych. Niech pan sobie wyobrazi, co to znaczy, kiedy wybrana grupa, elita intelektualna, potrafi niezauważalnie przeniknąć do każdego pokoju na świecie, choćby najsurowiej strzeżonego, podsłuchać każdą rozmowę, choćby najbardziej tajną. Żaden rząd, żaden konkurent w interesach, żadna osoba na świecie nie mogłaby ukryć przed nami swoich planów czy zamierzeń. Nikt nie wiedziałby, co i jak robimy, więc moglibyśmy w końcu zaaranżować ewolucję jednego światowego rządu bez wyraźnej opozycji, w zasadzie bez żadnej opozycji. Jakim sposobem opozycja może przetrwać, jeżeli uczestniczymy w ich strategicznych naradach, znamy ich nazwiska, zamiary i tajne organizacje?

Boothe oddychał ciężko, częściowo z powodu wypitego alkoholu, głównie jednak dlatego, że megalomańskie marzenia o władzy napełniły go mrocznym podnieceniem. Lampa od Tiffany'ego rzucała kręgi bursztynowego światła na jego policzki, mniejsze plamki błękitu na podbródek, barwiła usta na żółto i malowała zielenią nos i czoło, więc ponownie skojarzył się Danowi z karnawalem, ze strasznym lunaparkiem jak z powieści Bradbury'ego „Jakiś potwór tu nadchodzi”. Przypominał dziwaczego, szalonego klauna, w którego oczach płonęły migotliwe, szkarłatne ognie piekła i potępione dusze.

— Świat będzie nasz — oznajmił Boothe.

Uśmiechnął się do Uhlandera, który odpowiedział uśmiechem, jakby obaj zapomnieli o fatalnym fiasku swoich planów i poważnym niebezpieczeństwie, jakie im groziło.

— Jesteście parą wariatów — wykrztusił Dan.

— Proroków — poprawił go Uhlander.

— Wariatów.

— Wizjonerów — sprostował Boothe.

Odwrócił się od Dana i znowu zaczął spacerować.

Uśmiech stopniowo spęłzył z twarzy Uhlandera, który przypomniał sobie, po co się spotkali w tym miejscu. Opowiadał dalej. Dylan McCaffrey spędzał w domu w Studio City dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, rok po roku, wciąż przy Melanie, uwięziony prawie tak samo jak ona, widując tylko garstkę sympatyków spośród niewielkiego kręgu przyjaciół, którzy łączyli naukę z okultyzmem i podzielali jego zainteresowania — wszyscy w ten czy inny sposób utrzymywani przez Palmera Boothe'a. Dylan, ogarnięty narastającą obsesją na punkcie swojego projektu, wyznaczał

dla Melanie coraz ostrzejszy reżim, stawał się coraz bardziej wymagający, coraz trudniej wybaczał jej zwykłe ludzkie słabości, ułomności i ograniczenia. Szary pokój, pomalowany, wyciszony i urządzony w ten sposób, żeby zredukować do minimum wszelkie bodźce z zewnątrz, stał się całym wszechświatem Melanie i również ośrodkiem życia jej ojca. Nieliczni uprzywilejowani, którzy wiedzieli o eksperymencie, traktowali go jak szlachetną próbę przemiany rasy ludzkiej i ukrywali tortury Melanie tak starannie, jakby strzegli świętej i cudownej tajemnicy.

— Potem — ciągnął Uhlander — dwie noce temu Melanie wreszcie dokonała przełomu. Podczas swojej najdłuższej sesji w komorze deprivacji sensorycznej, w kokonie, osiągnęła to, w co Dylan zawsze wierzył.

Boothe odezwał się z purpurowo-szarego cienia pod oknem:

— Dziewczynka wykorzystała swój pełny psychiczny potencjał. Oddzieliła swoje ciało astralne od ciała fizycznego i wydostała się ze zbiornika.

— Lecz nikt nie spodziewał się tego, co nastąpiło później — oświadczył Uhlander. — W ataku szału zabiła swojego ojca, Willy'ego Hoffritza i Erniego Coopera, który akurat tam był.

— Ale jak? — zapytał Dan, chociaż już wierzył w prawdziwość tej historii. — Mówiliście, że ciało astralne zwykle posiada zdolność obserwacji, ale nie może wykonać żadnych fizycznych czynności. A nawet jeśli w tym przypadku było inaczej... przecież to tylko mała dziewczynka. Tych ludzi śmiertelnie pobito. Zmasakrowano w bestialski sposób.

Palmer Boothe przesunął się do głębszego cienia pod bibliotecznymi regałami i znikł w mroku. Jego odcieleśniony głos napłynął znikąd:

— Zdolność projekcji astralnej to nie wszystko, czego ta mała dziwka nauczyła się tamtej nocy. Widocznie odkryła również, jak teleportować swoje ciało astralne na wielkie odległości...

— Do Las Vegas, w góry nad Mammoth — uściślił Uhlander.

— ...i jak poruszać przedmiotami bez dotykania. Telekineza — wyjaśnił Boothe. Zrobił przerwę. W ciemności szklanka whisky zadzwoniła o zęby. Odgłos przełykania zabrzmiał nienaturalnie głośno. — Jej siła jest psychiczna, to siła umysłu, która praktycznie nie ma granic. Ona jest silniejsza niż dziesięciu ludzi, stu, tysięcy. Łatwo pozbyła się ojca, Hoffritza i Coopera... a teraz dopadnie resztę z nas, jednego po drugim, i widocznie potrafi wykryć naszą obecność, nawet w najlepszej kryjówce.

Melanie westchnęła.

Laura przechyliła się i spojrzała na córkę w nikłym świetle padającym z ekranu.

Dziewczynce sennie opadały powieki.

Zaniepokojona Laura położyła rękę na ramieniu córki i potrząsnęła lekko, potem mocniej.

Melanie zamrugała.

— Oglądaj film, kochanie. Oglądaj film.

Oczy dziecka ponownie skupiły się na ekranie i śledziły akcję.

Boothe wynurzył się z cienia.

Uhlander wychylił się do przodu z fotela.

Obaj jakby czekali, żeby Dan coś powiedział, żeby ich zapewnił, że zabije dziewczynkę i powstrzyma jatki.

On jednak milczał, ponieważ chciał, żeby trochę się spocili. Poza tym w głowie miał taki zamęt, że na razie wołał się nie odzywać.

Morderstwo, jak wiedział, było ludzką rzeczą, równie uniwersalną jak miłość. Mordercze skłonności występowały u łagodnych i potulnych, dobrych i niewinnych, chociaż może ukryte głębiej niż u innych. Odkrycie tych skłonności u Melanie McCaffrey nie zdziwiło go bardziej niż u licznych zabójców, których przez lata wsadzał do więzienia — chociaż wprawiło go w rozterkę i głębokie przygnębienie.

To prawda, że mordercze instynkty Melanie były bardziej zrozumiałe niż w większości wypadków. Uwięziona, torturowana fizycznie i psychicznie, pozbawiona miłości, ciepła i zrozumienia, traktowana bardziej jak laboratoryjna małpka niż ludzka istota, skazana na długie lata fizycznego i emocjonalnego bólu, wyhodowała w sobie nadludzką furję i nienawiść, twardą jak diament i palącą jak ogień, którą mogła zaspokoić tylko krwawa, brutalna zemsta. Może jej furia i nienawiść — i potrzeba rozładowania tych gwałtownych emocji — przyczyniły się do psychicznego przełomu w takim samym stopniu, jak ćwiczenia i surowe warunki narzucone przez ojca.

Teraz ściagała swoich dręczycieli, krucha dziesięcioletnia dziewczynka, morderczyni równie groźna i skuteczna jak Kuba Rozpruwacz czy członkowie Rodziny Mansona. Lecz nie była całkowicie zdeprawowana. Dan uczeplił się tej myśli. Widocznie jakaś część jej umysłu zareagowała ze zgrozą i wstrętem na tę jatkę. Przerażona własnymi krwawymi czynami, Melanie uciekła w katatonię, schroniła się w ciemnym miejscu, gdzie mogła ukryć straszną prawdę o morderstwach przed światem... i nawet przed sobą. Dopóki zachowała sumienie, nie zmieniła się jeszcze w bestię i może wciąż istniała dla niej nadzieja wyleczenia.

To ona opanowała wtedy kuchenne radio. Nie mogła zrzucić z siebie ciężkiego brzemienia winy, które uwięziło ją w mrocznym quasiautystycznym świecie, nie mogła zdobyć się na przyznanie do swoich czynów, mogła jednak wysyłać przez radio ostrzeżenia i prośby o pomoc. To właśnie oznaczały te wiadomości: „Pomóż mi, powstrzymaj mnie. Pomóż mi. Powstrzymaj mnie”.

A trąba powietrzna pełna kwiatów oznaczała... co? Nie żadną groźbę, oczywiście. Laura i Earl odebrali ją jako groźbę tylko dlatego, że nie zrozumieli. Nie, wir obłado-

wany kwiatami stanowił żaloszny, rozpaczliwy wyraz miłości Melanie do matki.

Miłość do matki.

W tej miłości dziewczynka mogła znaleźć zbawienie.

Boothe zniecierpliwił się milczeniem Dana.

— Kiedy dokonała przełomu, kiedy wreszcie odrzuciła wszelkie cielesne ograniczenia, kiedy odkryła swoje wielkie moce i nauczyła się nimi posługiwać, powinna okazać nam wdzięczność. Ta zepsuta mała dziwka powinna być wdzięczna ojcu i nam wszystkim, którzy pomogliśmy jej stać się czymś więcej niż dzieckiem, czymś więcej niż człowiekiem.

— Zamiast tego — zaskomlał żalosznie Uhlander — ten wredny bachor zwrócił się przeciwko nam.

— Więc wynajęliście Neda Rinka, żeby ją zabił — dokończył Dan.

Boothe jak zwykle szybko znalazł usprawiedliwienie.

— Nie mieliśmy wyboru. Ona była nieskończenie cenna, chcieliśmy ją zbadać i zrozumieć. Ale wiedzieliśmy, że nam zagraża, więc po prostu nie mogliśmy ryzykować, żeby znowu ją zamknąć i badać.

— Nie chcieliśmy jej zabić — oświadczył Uhlander. — Przecież to my ją stworzyliśmy. My sprawiliśmy, że tym się stała. Ale musieliśmy ją usunąć. Z ostrożności. W samoobronie. Zmieniła się w potwora.

Dan popatrzył na Uhlandera i Boothe'a takim wzrokiem, jakby zaglądał przez pręty klatki w zoo, i to jakiegoś kosmicznego zoo na odległej planecie, ponieważ ten świat nie mógł chyba stworzyć istot równie dziwacznych, okrutnych i bezlitosnych jak oni.

— Melanie nie jest potworem — syknął. — Potwory to wy.

Podniósł się, zbyt wzburzony, żeby usiedzieć na miejscu, i stał z opuszczonymi dłońmi zaciśniętymi w pięści.

— Czegoście się spodziewali, do cholery, kiedy ona wreszcie osiągnęła ten przełom? Myśleliście, że powie: „Och, dziękuję wam bardzo, jak mogę się wam odwdziżyć, jakie życzenia mam spełnić, jakie zadania wykonać?”. Myśleliście, że ona będzie jak dzinn wypuszczony z lampy, gorliwie służący temu, kto potarł mosiężną podstawkę? — Zorientował się, że krzyczy, i próbował zniżyć głos, ale daremnie. — Na litość boską, przecież więziliście ją przez sześć lat! Torturowaliście ją! Myślicie, że więźniowie zwykle są wdzięczni swoim dozorcóm i oprawcom?

— To nie były tortury! — zaprotestował Boothe. — To było... szkolenie. Trening. Naukowo przyspieszona ewolucja!

— Pokazywaliście jej Drogę — dodał Uhlander.

Melanie zamamrotała.

Laura ledwie słyszała głos córki, zagłuszony przez muzykę i pisk opon na filmie.

Przysunęła się bliżej do dziewczynki.

— O co chodzi, skarbie?

— Drzwi... — szepnęła Melanie.

W pulsującym świetle z ekranu Laura zobaczyła, że oczy dziewczynki znowu się zamykają.

— Drzwi...

Za szklanymi drzwiami noc zapadła w Beverly Hills. Boothe podszedł do baru po dolewkę burbona. Uhlander również wstał. Stanął za biurkiem i wpatrywał się w mozaikę kolorów na kloszu lampy od Tiffany'ego. Dan zapytał:

— Co to są te „drzwi do grudnia”, te drzwi, które otwierają się na inną porę roku niż wszystkie drzwi i okna w domu? Czytałem o tym w pańskiej książce. Napisał pan, że to paradoksalny obraz stosowany jako klucz do psychiki, ale nie zdążyłem dokończyć rozdziału i zresztą nie całkiem zrozumiałem tę koncepcję.

Uhlander odpowiedział, nie podnosząc wzroku znad lampy:

— W ramach treningu, żeby przyzwyczaić Melanie do postrzegania wszystkiego jako możliwe, żeby otworzyć ją na fantastyczne pomysły w rodzaju projekcji astralnej, przedstawiono jej specjalnie skonstruowane koncepcje, na których miała się koncentrować podczas długich sesji w komorze deprivacji sensorycznej. Każda koncepcja stanowiła niemożliwą sytuację... starannie zaprojektowany paradoks. Jak te drzwi do grudnia, o których pan czytał. Zgodnie z moją teorią twierdziłem... nadal twierdzę, że te ćwiczenia rozciągające umysł pomagają ludziom, którzy pragną rozwinąć swój potencjał psychiczny. To dobra metoda, żeby nauczyć się wychodzenia poza oczywistość, żeby przystosować swój światopogląd do zaakceptowania rzeczy, które dotąd uważaliśmy za niemożliwe.

Boothe odezwał się od baru:

— Albert jest genialny. Przez lata opracowywał syntezę nauki i okultyzmu. Odkrył miejsca, gdzie krzyżują się te dziedziny. Ma nam tyle do przekazania, tyle do nauczania. Nie wolno mu umrzeć. Dlatego nie może pan pozwolić, poruczniku, żeby ta mała dziwka nas zabiła. Obaj możemy tyle dać światu.

Uhlander nadal wpatrywał się w barwne jak klejnoty szkiełka lampy.

— Poprzez wizualizację niemożliwości, pracując ciężko, żeby każda z tych dziwnych koncepcji wydawała się realna, możliwa i znajoma, możemy w końcu uwolnić swoje siły psychiczne z umysłowej klatki, w której zamknęliśmy je na kłódkę naszej społecznie nabytej, kulturowo narzuconej niewiary. Najlepiej, jeśli wizualizacja zachodzi podczas głębokiej medytacji lub pod hipnozą, co pozwala w pełni skoncentrować myśli. Tej teorii nigdy nie udowodniono. Ponieważ naukowcy nie zgadzają się na poddawanie ludzkich podmiotów długim i niekiedy bolesnym procesom, koniecznym do

przekształcenia psychiki.

— Szkoda, że nie mieszkał pan w Niemczech, kiedy naziści byli u władzy — rzucił z goryczą Dan. — Na pewno dostarczyliby setki ludzkich podmiotów do tak interesującego eksperymentu i gwizdaliby na to, w jaki sposób pan przekształca ich psychikę.

Uhlander ciągnął, jak gdyby nie usłyszał obelgi:

— Ale wtedy z Melanie, przez lata wprowadzanej w narkotycznie wywołane stany przedłużonej i intensywnej koncentracji, i jeszcze te długie sesje w komorze deprywacji sensorycznej... no, to były idealne warunki i wreszcie osiągnęliśmy przełom.

Oprócz drzwi do grudnia istniały inne rozciągające umysł ćwiczenia, wyjaśniał okultysta. Czasami kazano dziewczynce koncentrować się na schodach, które prowadziły tylko na boki.

— Proszę sobie wyobrazić ogromne, wiekowe wiktoriańskie schody z bogato rzeźbioną poręczą — mówił Uhlander. — Nagle uświadamia pan sobie, że ani nie wchodzi pan wyżej, ani nie schodzi niżej. Zamiast tego idzie pan po schodach, które prowadzą tylko w bok, które nie mają początku ani końca.

Wykorzystywano również koncepcję kota, który zjadł sam siebie, zaczynając od ogona — historia, którą Melanie odtworzyła w stanie regresji hipnotycznej tego ranka w pokoju motelowym — oraz koncepcję okna do wczoraj.

— Stoi pan przy oknie w swojej sypialni i patrzy na trawnik. Nie widzi pan trawnika takiego, jaki jest dzisiaj, ale jaki był wczoraj, kiedy pan się tam opalał. Widzi pan samego siebie, leżącego na ręczniku plażowym. To nie jest ta sama scena, którą pan widzi przez inne okna w pokoju. To nie jest zwykłe okno. To okno z widokiem na wczoraj. A jeśli pan wyjdzie przez to okno, czy wróci pan do wczoraj i stanie obok siebie samego na trawniku?

Boothe odszedł od baru, prześliznął się przez cienie i zatrzymał się w półmroku na skraju tęczego blasku lampy.

— Jeżeli podmiot zdolny jest uwierzyć w paradoks, wówczas musi nie tylko w niego wierzyć, ale dosłownie w niego wejść. Na przykład, gdyby schody donikąd najlepiej działały na Melanie, w pewnej chwili kazano by jej zejść z końca tych schodów, chociaż nie miały końca. I gdyby to zrobiła, w tej samej chwili wyszłaby również ze swojego ciała i dokonała pierwszej eksterioryzacji. Albo gdyby najlepiej sprawdziło się okno do wczoraj, przeszłaby do wczoraj i to przemieszczenie w głąb niemożliwości wyzwoliłoby projekcję astralną. W każdym razie w teorii.

— Obłąd — skonstatował Dan.

— Wcale nie obłąd. — Uhlander wreszcie podniósł wzrok znad lampy. — Widzi pan, to podziałało. Dziewczynka najlepiej potrafiła zwizualizować drzwi do grudnia i jak tylko przez nie przeszła, dotarła do własnych psychicznych zdolności. Nauczyła się nimi kierować.

Wbrew podejrzaniom Laury i Dana, dziewczynka nie bała się tego, co wyjdzie przez drzwi z jakiegoś metafizycznego wymiaru. Odkąd otworzyła drzwi, bała się tylko, że przejdzie przez nie i zabije ponownie. Szamotała się rozdarta pomiędzy dwoma sprzecznymi i potężnymi pragnieniami: żądzą zabicia wszystkich swoich dręczycieli i desperacką potrzebą powstrzymania morderstw.

Jezusie.

Boothe podszedł do biurka i przesunął ręką po równych plikach studolarowych banknotów, które wypełniały otwartą walizkę. Spojrzał twardo na Dana.

— No więc?

Zamiast mu odpowiedzieć, Dan zwrócił się do Uhlandera:

— Kiedy Melanie wchodzi w ten psychiczny stan, używa tych mocy, czy w powietrzu wokół niej zachodzą jakieś zauważalne zmiany?

Nowa czujność zabłysła w ptasio bystrych oczach Uhlandera.

— Jakiego rodzaju zmiany?

— Nagły, niewytłumaczalny chłód.

— Całkiem możliwe — mruknął Uhlander. — Oznaka szybkiej akumulacji energii parapsychicznej. Takie zjawiska związane są na przykład z poltergeistami. Pan był obecny, kiedy to nastąpiło?

— Tak. Myślę, że to następuje za każdym razem, kiedy ona opuszcza ciało... albo wraca do ciała — powiedział Dan.

Nagle w kinie zrobiło się zimno.

Laura właśnie odwróciła wzrok od Melanie, najwyżej dwie, trzy sekundy wcześniej, kiedy oczy dziewczynki były szeroko otwarte. Teraz były zamknięte i To już nadchodziło. Widocznie czekało i obserwowało, gotowe wykorzystać pierwszą okazję, kiedy dziewczynka stanie się bezbronna.

Laura potrząsnęła córką, lecz oczy Melanie pozostały zamknięte.

— Melanie? Melanie, obudź się!

Robiło się coraz zimniej.

— Melanie!

Zimniej.

Pod wpływem paniki Laura uszczypnęła córkę w twarz.

— Obudź się, nie śpij!

Dwa rzędy z tyłu ktoś powiedział:

— Hej... ciszej tam.

Zimniej.

Boothe dotykał pieniędzy, pieścił pliki banknotów.

— Pan wie, gdzie ona jest. Pan musi ją zabić. To jedyne słuszne wyjście.

Dan potrząsnął głową.

— Ona jest tylko dzieckiem.

— Zabiła już ośmiu ludzi — przypomniał Boothe.

— Ludzi? — Dan zaśmiał się niewesoło. — Czy ludzie mogli traktować ją tak jak wy? Torturować ją elektrowstrząsami? Gdzie przyczepialiście elektrody? Na jej szyi? Na plecach? Na chudych ramionkach? Na genitaliach? Tak, założę się, że właśnie tam. Na genitaliach. Maksymalny efekt. Do tego zawsze dążą oprawcy. Maksymalny efekt. Ludzie? Ośmiu ludzi, pan mówi? Poniżej pewnego poziomu moralności, poza granicą zwyrodnienia nie może pan już nazywać się człowiekiem.

— Ośmiu ludzi — powtórzył Boothe, ignorując tyradę Dana. — Dziewczynka jest potworem, psychopatycznym potworem.

— Ona jest poważnie chora. Nie odpowiada za swoje czyny.

Dan nigdy nie przypuszczał, że widok ludzi drżących ze strachu sprawi mu taką przyjemność, jak narastająca rozpacz i zgroza na twarzach tych dwóch łajdaków, kiedy zrozumieli, że ich ostatnia nadzieja przeżycia okazała się fałszywa.

— Pan jest oficerem policji — rzucił gniewnie Boothe. — Ma pan obowiązek zapobiegać przemocy.

— Zastrzelenie dziewięcioletniej dziewczynki to akt przemocy, nie zapobieganie.

— Ale jeśli pan jej nie zabije, ona zabije nas — nalegał Boothe. — Dwa trupy zamiast jednego. Pan ją zabije i w ostatecznym rozrachunku uratuje pan jedno życie netto.

— Jedno życie netto więcej na moim koncie, tak? Rany, co za interesujący punkt widzenia. Wie pan, Boothe, kiedy trafi pan do piekła, na pewno diabeł zrobi pana księgowym dusz.

Nagła, wszechogarniająca furia ściągnęła twarz siwowłosego wydawcy w groteskową maskę nienawiści i bezsilnej złości. Cisnął szklanką whisky w głowę Dana.

Dan uchylił się, a cenny kryształ uderzył o podłogę za jego plecami i roztrzaskał się na drobne kawałeczki.

— Ty głupi skurwysynu — warknął Boothe.

— No, no. Pańscy przyjaciele z klubu rotariańskiego nie powinni słyszeć takich słów od pana. Na pewno byliby zaszokowani.

Boothe odwrócił się do niego plecami i wbił wzrok w ciemność, gdzie książki czekały cierpliwie na półkach. Trząśił się z wściekłości, ale milczał.

Dan dowiedział się wszystkiego, czego potrzebował. Teraz mógł odejść.

Laura nie mogła obudzić Melanie. Narobiła jeszcze więcej zamieszania w kinie, zdernowowała innych widzów, ale dziecko nie reagowało na jej wysiłki nawet westchnieniem czy trzepotem powiek.

Earl wstał i oparł rękę na broni pod marynarką.

Laura rozejrzała się rozpaczliwie, czekając na pierwszy atak zjawy, na eksplozję okultystycznych mocy.

Lecz chłód nagle ustąpił i powietrze znowu ociepliło się bez żadnych nadnaturalnych efektów.

Cokolwiek było tutaj przed chwilą, teraz odeszło.

Wzrok Uhlandera ponownie przyciągnęła mozaika z barwionego szkła, jedyne źródło światła w pokoju, rozsiewające kolorowe promienie. Chociaż wpatrywał się w scenę przedstawioną na kloszu, jakby jej nie widział, jego rozmyte spojrzenie przypominało katatoniczną zapaść Melanie. Pisarz prawdopodobnie oglądał swoją przyszłość w tym świetle, chociaż jego przyszłość malowała się w czarnych barwach. Cienkim, drżącym głosem powiedział:

— Poruczniku, proszę posłuchać... nie musi pan pochwalać tego, co zrobiliśmy... nie musi pan nas lubić... litować się nad nami...

— Litować? Twierdzi pan, że z litości powinienem rozwalić głowę dziewięcioletniej dziewczynce?

Rozdygotany Palmer Boothe odwrócił się gwałtownie.

— Przecież pan uratuje nie tylko nasze życie. Na litość boską, czy pan nie rozumie? Ona wpadła w amok. Zasmakowała we krwi i cholernie wątpię, czy poprzestanie na nas. To wariatka. Sam pan tak powiedział. Mówił pan, że doprowadziliśmy ją do obłądu i ona nie odpowiada za swoje czyny. W porządku! Nie odpowiada, bo nie panuje nad sobą, i pewnie z godziny na godzinę nabiera coraz więcej sił, dowiadyuje się coraz więcej o swoich psychicznych zdolnościach, więc jeśli ktoś jej szybko nie powstrzyma, wkrótce nikt już nie zdoła jej powstrzymać. Nie chodzi tylko o mnie i Alberta. Ilu jeszcze może zginąć?

— Nikt więcej — odparł Dan.

— Co?

— Ona zabije was dwóch, ostatnich konspiratorów z szarego pokoju, a potem... potem zabije siebie samą.

Mocno go rąbnęło, kiedy ubrał to w słowa. Nagły ból zaciążył mu w piersi na myśl, że Melanie odbierze sobie życie z rozpaczy po tym, co zrobiła.

— Zabije się? — powtórzył Boothe.

— Skąd pan wziął taki pomysł? — zapytał Uhlander.

Dan zwięźle opowiedział im o terapeutycznych sesjach hipnozy regresyjnej i o dziwnych rzeczach, które mówiła Melanie w związku z własnym bezpieczeństwem.

— Kiedy powiedziała, że To przyjdzie po nią, jak już zabije wszystkich innych, nie mieliśmy pojęcia, co to za stwór. Duch, demon... wydawało się niemożliwe, żeby takie

zjawiska istniały, ale na własne oczy widzieliśmy dowody, że coś dziwnego krąży po świecie. Teraz wiemy, że to nie był duch ani demon, i wiemy, że po... no, po usunięciu was dwóch ona zamierza odebrać sobie życie, zwrócić swoje siły psychiczne przeciwko sobie. Więc widzicie, że tylko wasze życie i jej waży się na szali, i obawiam się, że mam szansę uratować tylko ją jedną.

Boothe, który moralnie stał na poziomie Adolfa Hitlera czy Józefa Stalina, który z czystym sumieniem wynajmował morderców i katów, który najwyraźniej gotów był osobiście, własnymi gołymi rękami popełnić dowolne zbrodnie, żeby tylko ocalić własną cenną skórę, ten łajdak zepsuty do szpiku kości był oburzony, że Dan, oficer policji, nie tylko pozwoli im umrzeć, ale wręcz cieszy się, że obaj spiskowcy wkrótce zejda z tego świata.

— Ale... ale... jeśli ona nas zabije, a pan jej nie powstrzyma, chociaż mógłby... to będzie pan równie winny jak ona.

Dan popatrzył na niego i kiwnął głową.

— Tak. Ale to mnie nie przeraża. Zawsze wiedziałem, że pod tym względem nie różnię się od innych. Zawsze wiedziałem, że w sprzyjających okolicznościach potrafię popełnić morderstwo z zimną krwią.

Odwrócił się do nich plecami.

Ruszył w stronę drzwi biblioteki.

Kiedy był w połowie drogi, Uhlander zapytał:

— Ile czasu mamy, według pana?

Dan przystanął i obejrzał się na nich.

— Dzisiaj rano, po przeczytaniu fragmentu pana książki, chyba trochę zacząłem rozumieć, co się dzieje. Więc kiedy się rozstawaliśmy, ostrzegłem Laurę, żeby nie pozwoliła Melanie zasnąć ani zapaść w stan głębokiej katatonii. Nie chciałem, żeby was załatawiła, zanim zdążymy pogadać. Ale dzisiaj wieczorem nie zabronię Melanie pójść do łóżka. A kiedy położy się do łóżka i wreszcie zaśnie...

Wszyscy milczeli.

Ciszę mącił tylko odległy szum i plusk deszczu.

— Więc zostało nam parę godzin — powiedział w końcu Boothe. Wyglądał jak nie ten sam człowiek, który niedawno powitał Dana w bibliotece, jak ktoś znacznie słabszy i mniej imponujący. — Tylko parę godzin...

Ale nie zostało im nawet tyle czasu. Załedwie głos Palmera Boothe'a rozpląnął się w ciszy przepełnionej strachem i żalem, temperatura powietrza w bibliotece spadła w ciągu sekundy o dwadzieścia stopni.

Laura nie zdołała utrzymać Melanie w stanie przytomności.

— Nie! — zachłysnął się Uhlander.

Książki eksplodowały z najwyższej półki i runęły na Boothe'a i Uhlandera.

Dwaj mężczyźni krzyknęli i osłonili głowy ramionami.

Ciężki fotel uniósł się z podłogi na wysokość ośmiu stóp, zawirował w powietrzu, po czym przeleciał przez cały pokój i uderzył w szklane drzwi. Rozległ się ostry brzęk pękającego szkła i trzask drewnianej ramy, fotel odbił się od framugi i z łoskotem upadł na podłogę.

Melanie była tutaj. Jej eteryczna połowa. Ciało astralne albo psychogeist.

Dan chciał przemówić do niej i przekonać ją, żeby nie zabijała ponownie, ale wiedział, że nie ma szans nawiązać z nią kontaktu, nie bardziej niż jej matka podczas terapeutycznej sesji hipnozy regresyjnej. Nie mógł uratować Boothe'a ani Uhlandera i właściwie wcale nie pragnął ich ratować. Teraz mógł ocalić tylko Melanie, ponieważ wymyślił coś — plan, sztuczkę — żeby powstrzymać ją przed zwróceniem własnej mocy psychicznej przeciwko sobie, przed samobójczą reakcją na straszliwe wyrzuty sumienia. Marny to był plan. Dan nie pokładał w nim wielkiej nadziei. Ale żeby przynajmniej spróbować, musiał znaleźć się obok dziewczynki, obok jej fizycznego ciała, kiedy astral powróci. Musiał więc dotrzeć do kina w Westwood, zanim Melanie dokończy dzieła w Bel Air, dlatego nie mógł tracić czasu na bezowocne próby powstrzymania jej przed zabiciem Boothe'a i Uhlandera.

Niewidzialne dłonie zmiotły z półki następny rząd książek, które rozsypały się po całej podłodze.

Boothe wrzeszczał.

Bar eksplodował, jakby wybuchła tam bomba, w powietrzu rozszedł się zapach whisky.

Uhlander błagał o litość.

Dan zobaczył, że lampa od Tiffany'ego wznosi się w powietrze jak balon na uwięzi. Zanim uniosła się na całą długość kabla, Dan zebrał myśli i przypomniał sobie, że musi się spieszyć. Przebiegł ostatnie kilka kroków do wyjścia. Kiedy otworzył drzwi, za jego plecami zgasło światło i biblioteka pograżyła się w ciemnościach.

Zatrzasnął drzwi i biegiem ruszył przez dom tą samą trasą, którą wcześniej prowadził go kamerdyner.

W pokoju o ścianach barwy brzoskwini i misternie rzeźbionym białym suficie napotkał tego samego służącego, który spieszył w przeciwną stronę, zaniepokojony przez straszliwe wrzaski dobiegające z biblioteki.

— Dzwon po policję! — zawołał Dan.

Pewien był, że Melanie nie skrzywdzi nikogo oprócz osób zapamiętanych z szarego pokoju albo ściśle związanych z projektem. Niemniej kiedy kamerdyner zatrzymał się zmieszany, Dan dodał:

— Nie wchodź do biblioteki. Wezwij policję. Na litość boską, nie wchodź tam, człowieku!

Ciemna sala kinowa nie stanowiła już dla Laury schronienia. Ogarnęła ją klaustrofobia. Rzędy krzeseł ograniczały przestrzeń. Ciemność groziła. Na Boga, dlaczego ukrywali się w ciemnym miejscu? To pewnie najlepiej się czuło w ciemności.

Co się stanie, jeśli powietrze znowu się oziębi i stwór powróci?

A powróci na pewno.

Wkrótce.

Ogromna żelazna brama powoli zaczęła się rozwierać, kiedy Dan przejechał połowę długiego podjazdu.

Zazwyczaj kamerdyner dzwonił do stróżówki i strażnik pewnie otwierał bramę, zanim jeszcze gość wycofał samochód z kolistego parkingu przed domem. Teraz jednak kamerdyner dzwonił pod 911, śmiertelnie przerażony przez mrozące krew w żyłach wrzaski i odgłosy walki dochodzące z biblioteki, więc strażnik uruchomił mechanizm bramy dopiero wtedy, kiedy zobaczył przednie światła pędzące ku niemu w deszczu przez wczesny zmierzch.

Dan przyczepił również do dachu przenośnego policyjnego koguta. Zjeżdżając z długiego wzgórza, docisnął pedał gazu niemal do podłogi i liczył, że strażnik otworzy bramę dostatecznie szybko, żeby nie dopuścić do paskudnej kolizji. Te żelazne pręty wyglądały na wystarczająco mocne, żeby zatrzymać czołg. Jeśli w nie rąbnie, pewnie obechną mu głowę albo przebiją na wylot.

Mógł zjechać ze wzgórza w rozsądniejszym tempie, ale teraz liczyły się sekundy. Nawet jeśli astral dziewczynki skończy z Boothe'em i Uhlanderem dopiero za kilka minut, niewątpliwie wróci do kina w Westwood dużo szybciej niż Dan; duch nie podróżuje wolno jak samochód, lecz przemieszcza się z miejsca na miejsce w mgnieniu oka. Poza tym kamerdyner mógł wkrótce oprzytomnieć i dojść do wniosku, że to Dan spowodował te wrzaski w bibliotece. Gdyby nabrał takich podejrzeń, kazałby strażnikowi natychmiast zamknąć bramę i nie wypuszczać Dana, co oznaczało stratę kilku minut.

Trzydzieści stóp przed bramą, której skrzydła nadal się rozchyłały, Dan wreszcie zdjął nogę z gazu i dotknął hamulca. Samochód zaczął się ślizgać, ale trzymał się drogi i nadal kierował się we właściwą stronę. Ostry trzask, cienki wizg: tylny zderzak otarł się o jedno ze skrzydeł, jeszcze nie całkiem otwarte. Potem Dan wpadł na krótki odcinek prywatnej drogi za murem posiadłości. Żadnego ruchu przed nim na ulicy. Nie zwolnił, skręcając w lewo. Samochód zarzuciło aż do przeciwnego krańca, ale Dan wciąż panował nad kierownicą i stracił tylko niewiele szybkości.

Z migającym kogutem na dachu, wyciskając z auta ostatni dech, zjeżdżał na łeb, na szyję ze wzgórz Bel Air, przemykał z jednej krętej uliczki na drugą, beztrąsko narażając własne życie i życie każdego, kto mógł znaleźć się na jego drodze za kolejnym śle-

pym zakrętem.

Jego myśli wciąż wracały do przeszłości: Delmar, Carrie, Cindy Lakey...

Nigdy więcej.

Melanie zabijała, tak, ale nie zasługiwała na karę śmierci. Nie była przy zdrowych zmysłach, kiedy popełniała te morderstwa. Zresztą samoobrona zawsze, a zwłaszcza w tym przypadku, stanowiła dostateczne usprawiedliwienie. Gdyby nie pozabijała ich co do ostatniego, wówczas pojmaliby ją niekonieczne dla zemsty, ale żeby prowadzić na niej dalsze eksperymenty. Gdyby nie zabiła wszystkich dziesięciu ludzi, tortury trwałyby dalej.

Musiał jej to jakoś wytłumaczyć. Myślał, że znalazł sposób.

Boże, proszę, żeby tylko się udało.

Westwood znajdowało się niedaleko. Z migającym kogutem, lekceważąc własne bezpieczeństwo, powinien dojechać do kina za niecałe pięć minut.

Delmar, Carrie, Cindy Lakey... Melanie...

Nie!

Kino przypominało lodownię.

Melanie zakwiliła.

Laura zerwała się z fotela, niepewna, co robić, wiedziała tylko, że nie może siedzieć beczynn timer, kiedy To nadchodzi.

Temperatura powietrza gwałtownie spadała. Zrobiło się nawet zimniej niż poprzedniego wieczoru w kuchni albo w pokoju motelowym, kiedy To składało im wizyty.

Z tylnego rzędu ktoś poprosił Laurę, żeby usiadła, i głowy odwróciły się do niej nawet po drugiej stronie przejścia. Lecz po chwili uwagę wszystkich przykuł niewytłumaczalny chłód, który nagle zapanował w kinie.

Earl również wstał i tym razem wyciągnął rewolwer z podramiennej kabury.

Melanie wydała cienki, żaloszny okrzyk, lecz nie otwierała oczu.

Laura chwyciła ją, potrząsnęła.

— Dziecinko, zbudź się! Zbudź się!

Fala niespokojnych szeptów przepłynęła przez salę, kiedy inni widzowie komentowali nie zachowanie Laury, lecz coraz bardziej dotkliwe zimno. Potem wstrząśnięty tłum zamilkł na krótką chwilę, ponieważ olbrzymi ekran kinowy rozdarł się od góry do dołu z przeraźliwym trzaskiem, jakby sam Bóg rozrywał tkaninę niebios. Poszarpana linia czerni pojawiła się na środku wyświetlanego obrazu, ekranowe postacie zafalowały, twarze i ciała ulegały groteskowym zniekształceniom, kiedy srebrzysta powierzchnia, na której istniały, zaczęła marszczyć się, wydymać i obwisać.

Melanie rzuciła się na fotelu i uderzyła pięściami w powietrze. Ciosy trafiły w Laurę, która usiłowała obudzić dziewczynkę.

Zaledwie rozdarty ekran uciszył publiczność, gdy ciężkie kotary wiszące po obu stronach zostały wyrwane z szyn w suficie. Załopotwały w powietrzu niczym olbrzymie skrzydła, jakby sam diabeł wleciał do kina i unosił się nad salą; potem opadły z przeciągłym fuusz! i utworzyły wielkie stopy martwej materii.

Tego było już za wiele dla widzów. Przerażeni i oszołomieni ludzie wstawali z miejsc.

Laura zainkasowała kilka bolesnych ciosów w ramiona i twarz, zanim schwytała i unieruchomiła nadgarstki Melanie. Obejrzała się przez ramię w stronę przedniej części sali.

Operator nie wyłączył jeszcze sprzętu, więc zniszczony ekran wciąż rozsiewał upiorną poświatę, a pod ścianami lampy awaryjne w kształcie pochodni rzucały nikły bursztynowy blask. Światła akurat wystarczyło, żeby wszyscy zobaczyli, co stało się potem. Puste fotele w pierwszym rzędzie oderwały się od podłogi, do której były przyśrubowane, wystrzeliły w górę i uderzyły w wielki ekran. Przebiły tkaninę na wylot.

Ludzie zaczęli krzyczeć, kilka osób pobiegło w stronę wyjść na końcu sali.

— Trzęsienie ziemi! — ktoś wrzasnął.

Oczywiście trzęsienie ziemi nie tłumaczyło tych zjawisk i nikt nie dałby wiary takim wyjaśnieniom. Lecz te słowa, straszące w Kalifornii od czasu wstrząsu w Northridge, wywołały panikę. Więcej foteli — w drugim rzędzie — wyskoczyło z podłogi: śruby pękły, metal trzasnął, beton sypnął okruchami.

Zupełnie, pomyślała Laura, jakby jakaś gigantyczna niewidzialna bestia weszła do kina z przodu i zbliżała się do nich, niszcząc wszystko na swojej drodze.

— Uciekajmy stąd — krzyknął Earl, chociaż wiedział równie dobrze jak ona, że nie uciekną przed tym stworem.

Melanie przestała walczyć. Zwiotczała jak szmaciana lalka, opadła na fotel bezwładnie jak martwa.

Operator wyłączył projektor i zapalił górne światła. Wszyscy oprócz Laury, Earla i Melanie ruszyli ławą do wyjścia, połowa publiczności już opuściła salę.

Z sercem walącym jak młot Laura wzięła Melanie na ręce i chwiejnie przeszła między fotelami do przejścia. Earl trzymał się tuż za nią.

Teraz fotele wylatywały w powietrze z czwartego rzędu i rozbijały się z hukiem o zdemolowany ekran. Lecz najgorszy dźwięk dochodził z drzwi awaryjnych po obu stronach ekranu. Otwierały się i zatrzaśkiwały raz po raz, waliły o ścianę i framugę z tak potężną siłą, że pneumatyczne amortyzatory, które miały zapewnić ciche zamykanie, nie wytrzymały impetu.

Laura nie widziała drzwi, tylko kłapiące paszcze, głodne paszcze, i wiedziała, że gdyby jak głupia próbowała uciekać tymi drzwiami, zamiast na parking przed kinem weszłaby do gardzieli jakiejś niewyobrażalnie ohydnej bestii. Wariacka myśl. Obłąd.

Laura balansowała na granicy bezmyślnej paniki.

Gdyby wcześniej nie doświadczyła zjawiska poltergeista na mniejszą skalę we własnej kuchni, ten widok mógłby doprowadzić ją do szaleństwa. Co to było? Co To było? I dlaczego, do cholery, chciało dopaść Melanie?

Dan wiedział. Przynajmniej częściowo.

Ale nieważne, ile wiedział, teraz i tak nie mógł im pomóc. Laura zważyła, czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

Zważywszy na fakt, że znajdowała się w stanie emocjonalnego wzburzenia graniczącym z histerią, myślała, że już nie zobaczy Dana, zabolęła ją niespodziewanie mocno.

Zanim jeszcze dotarła do przejścia, kolana ugięły się pod nią od ciężaru Melanie połączonego z ciężarem strachu. Earl wepchnął rewolwer z powrotem do kabury i wziął dziewczynkę z ramion matki.

Przy drzwiach do westybulu zostało tylko parę osób i napierało na tych z przodu. Niektórzy rozszerzonymi oczami oglądali się za siebie, na niepojęty chaos.

Laura i Earl zrobili zaledwie kilka kroków po tej samej wyłożonej chodnikiem drodze ucieczki, kiedy fotele przestały wylatywać w powietrze za nimi — i poderwały się z rzędów przed nimi. Po krótkim, niezdarnym powietrznym balecie sponiewierane fotele runęły na chodnik i zablokowały przejście.

Melanie nie pozwolono wyjść.

Trzymając dziewczynkę w ramionach, Earl rozejrzał się dookoła, niepewny, co ma robić.

Potem coś go popchnęło. Zatoczył się do tyłu. Coś wyrwało Melanie z jego objęć. Dziewczynka potoczyła się po chodniku i uderzyła o rząd foteli.

Laura z krzykiem podbiegła do córki, przewróciła ją na wznak, przyłożyła rękę do jej szyi. Wyczuła puls.

— Laura!

Na dźwięk swojego imienia podniosła wzrok i z ogromną ulgą zobaczyła Dana Haldane'a. Przepchnął się przez tłum wychodzący z sali. Pobiegł przejściem w ich stronę.

Przeskoczył przez zwalone fotele, które niewidzialny wróg spiętrzył w przejściu, i zbliżając się zawołał:

— Właśnie tak! Trzymaj ją w objęciach, chroń ją.

Dotarł do Laury i uklęknął obok.

— Zasłoń ją własnym ciałem, bo myślę, że To cię nie skrzywdzi.

— Dlaczego?

— Później wyjaśnię. — Odwrócił się do Earla, który podniósł się na czworaki.

— Z tobą okay?

— Aha. Tylko parę guzów.

Dan wstał.

Laura leżała w przejściu, wśród rozsypanej prażonej kukurydzy, zgniecionych papierowych kubków i innych śmieci, obejmując Melanie, owinięta całym ciałem wokół dziecka. Uświadomiła sobie, że w kinie zapadła cisza, że niewidzialna bestia przestała się miotać. Lecz powietrze nadal było zimne, lodowate.

To nie odeszło.

Dan powoli obracał się dookoła, czekając, aż coś się stanie.

Kiedy cisza trwała, powiedział:

— Nie możesz się zabić, dopóki nie zabijesz swojej matki. Nie pozwoli ci tego zrobić, chyba że najpierw ją zabijesz.

Laura podniosła na niego wzrok.

— Do kogo mówisz? — Potem krzyknęła i przywarła mocniej do córki. — Coś mnie ciągnie! Dan, coś próbuje oderwać mnie od niej!

— Walcz z tym.

Ścisnęła mocno Melanie i przez chwilę wyglądała jak epileptyczka, miotająca się w drgawkach na podłodze. Lecz atak skończył się i Laura przestała walczyć.

— Odeszło? — zapytał Dan.

— Tak — przyznała ze zdumieniem.

Dan przemówił w pustkę, ponieważ wyczuwał, że ciało astralne unosi się gdzieś na sali:

— Ona nie pozwoli ci się odepchnąć, żebyś mogła rozszarpać się na strzępy. Ona cię kocha. Jeśli będzie musiała, odda życie w twojej obronie.

Po drugiej stronie sali trzy fotele wyrwały się z zamocowań i wleciały w powietrze. Przez pół minuty obracały się i zderzały ze sobą, zanim z powrotem spadły na podłogę.

— Bez względu na to, co myślisz — mówił Dan do psychogeista — nie zasługujesz na śmierć. Zrobiłaś straszną rzecz, ale musiałaś.

Milczenie. Cisza.

— Twoja matka cię kocha — ciągnął Dan. — Chce, żebyś żyła. Dlatego trzyma cię z całej siły.

Żałosny dźwięk wyrwany z gardła Laury świadczył, że wreszcie zrozumiała całą okropną prawdę.

Z przodu sali zmięte kotary drgnęły i uniosły się lekko, niezdecydowanie, jakby próbowały znowu rozłożyć się w groźne skrzydła, lecz po kilku sekundach opadły na bezkształtny stos.

Earl podniósł się na nogi. Stał za Danem. Badając wzrokiem salę, zapytał:

— To była sama Melanie?

Dan przytaknął.

Szlochając z bólu, żalu i strachu, Laura kołysała córkę w objęciach.

Powietrze wciąż było przenikliwie zimne.

Coś dotknęło Dana niewidzialnymi lodowymi rękami i popchnęło go do tyłu, ale niezbyt mocno.

— Nie możesz się zabić. Nie pozwolimy ci się zabić — powiedział do niewidocznego astralnego ciała. — Kochamy cię, Melanie. Nigdy nie miałaś szansy, a my chcemy dać ci szansę.

Cisza.

Earl zaczął coś mówić, a potem kilka rzędów za nimi psychogeist przemknął wzdłuż szeregu foteli trzaskając siedzeniami, i kotary uniosły się tym razem, drzwi awaryjne znowu zaczęły otwierać się i zamykać z hukiem, deszcz dźwiękochłonnych płytek runął z sufitu i rozległo się cienie zawrodożenie, które musiało być astralnym głosem, ponieważ dochodziło zewsząd i wypełniło salę dźwiękiem o takim natężeniu, że Earl i Dan zakryli uszy rękami.

Dan zobaczył, że Laura się krzywi, ale nie wypuściła córki, żeby zasłonić uszy. Wciąż trzymała ją w miłosnym uścisku, tuliła ją mocno, obejmowała.

Hałas wzrósł nie do wytrzymania i Dan pomyślał, że źle ocenił dziewczynkę, że Melanie zwali im dach na głowy i zabije ich wszystkich, żeby popełnić samobójstwo. Lecz nagle kakofonia ucichła i wirujące przedmioty runęły z powrotem na podłogę, i drzwi przestały trzaskać.

Ostatnia sufitowa płytka sfrunęła na dół, uderzyła w rząd siedzeń przed nimi, przekożiołkowała dwukrotnie i znieruchomiała.

Znowu spokój.

Znowu cisza.

Przez ponad minutę czekali z lękiem — a potem zrobiło się ciepło.

Z tyłu sali jakiś człowiek, który wyglądał na kierownika, zapytał:

— Co tu się stało, do cholery?

Bileter stojący obok kierownika, który widocznie widział początek zniszczeń, próbował to wyjaśnić, ale bez powodzenia.

Dan dostrzegł ruch w budce operatora i zobaczył, że jakiś człowiek wygląda przez jeden z otworów. Miał zdumioną minę.

Laura wreszcie oderwała się od Melanie, a Dan i Earl przykucnęli obok.

Dziewczynka miała otwarte oczy, ale nie patrzyła na nikogo. Jej spojrzenie pozostało puste. Lecz oczy straciły ten nawiedzony wyraz, jaki miały wcześniej. Melanie jeszcze nie dostrzegała niczego na tym świecie, ale przynajmniej przestała szukać schronienia w kryjówce swojego umysłu. Stała teraz na granicy pomiędzy fantazją a rzeczywistością, pomiędzy wewnętrzną ciemnością a światem światła, w którym kiedyś przyjdzie jej żyć.

— Jeśli samobójcze skłonności minęły... w co wierzę... to najgorsze za nami — oświadczył Dan. — Myślę, że z czasem ona całkowicie przyjdzie do siebie. Ale to będzie wymagało mnóstwo miłości i cierpliwości.

— Mam dosyć jednego i drugiego — zapewniła Laura.

— Pomożemy — obiecał Earl.

— Tak — przyświadczył Dan. — Pomożemy.

Melanie czekały teraz lata terapii i istniało ryzyko, że pozostanie autystyczna. Lecz Dan miał przeczucie, że na dobre zamknie drzwi do grudnia, że już nigdy nie pozwoli im się otworzyć! A jeśli pozostaną zamknięte, jeśli Melanie potrafi zapomnieć, jak się je otwiera, może w końcu zapomni o cierpieniu, przemocy i śmierci, które wydarzyły się za tymi drzwiami.

Zapomnienie to początek uzdrowienia.

Zrozumiał, że sam powinien nauczyć się tej lekcji. Lekcji zapominania. Musiał zapomnieć o bólu wywołanym przez własne klęski. Delmar, Carrie, Cindy Lakey. Wezbrała w nim rozpaczliwa, dziecinna nadzieja. Gdyby tylko zdołał wreszcie zostawić za sobą te ponure wspomnienia i zamknąć własne drzwi, może dziewczynka również zamknie swoje; może jego determinacja w powracaniu do życia przyspieszy jej wyzdrowienie.

Postanowił potargować się z Bogiem: Słuchaj no, Panie, obiecuję, że zostawię przeszłość za sobą, przestanę zadręczać się rozmyślaniami o krwi, śmierci i morderstwach, poświęcę więcej czasu na życie i docenianie błogosławieństw, którymi mnie obdarzyłeś, okażę więcej wdzięczności za to, co mi dałeś, a w zamian, Boże, chcę od ciebie tylko, żeby Melanie całkiem wyzdrowiała. Proszę. Umowa stoi?

Laura spojrzała na niego, kołysząc córkę w objęciach.

— Wydajesz się taki... skupiony. Co się stało? O czym myślisz?

Nawet wysmarowana brudem, zakrwawiona i rozczochrana, była piękna.

— Zapomnienie to początek uzdrowienia — powiedział Dan.

— O tym myślałeś?

— Tak.

— I to wszystko?

— Wystarczy — powiedział. — Wystarczy.

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA	2
1	3
2	8
3	12
4	20
5	27
6	37
7	44
8	50
9	52
10	54
CZEŚĆ DRUGA	58
11	59
12	67
13	72
14	76
15	82
16	85
17	89
18	93
19	98
20	116
21	124

CZEŚĆ TRZECIA	161
22	162
23	172
24	179
25	183
26	194
27	197
28	208
29	217
30	225
31	232
32	241
CZEŚĆ CZWARTA	255
33	256
34	270
35	277
36	290